

PETER F. HAMILTON

NAGI BÓG

WYPRAWA



Bestseller  
SPACE OPERA

Kontynuacja WIDMA ALCHEMIKA

**PETER F. HAMILTON**

**NAGI BÓG  
WYPRAWA**

Tłumaczyli  
Dariusz Kopociński  
Michał Jakuszewski

Tytuł oryginału  
*The Naked God vol. 2*



Z nieznanego powodu skłębione pasma czarnej mgły, która wypełniała to mroczne kontinuum, zawsze ustępowały na boki przed Valiskiem. Nie zdarzyło się, żeby bodaj jedno pasemko musnęło habitat. Osobowość habitatu nadal nie rozwikłała natury ruchu, jaki odbywał się wokół skorupy. Bez wiarygodnych punktów orientacyjnych nie dało się powiedzieć, czy sam habitat podróżuje w nieznaną, czy też koło niego przelatują jakieś ciemne zasłony. Pochodzenie, budowa i sygnatura kwantowa nowej czasoprzestrzeni wciąż stanowiły absolutną tajemnicę. Nie było nawet wiadomo, czy czarna mgławica powstała z materii. Tylko jedno nie ulegało wątpliwości: na zewnątrz skorupy habitatu panowała doskonała próżnia.

Na kosmodromie brygada obudzonych z uspienia potomków Rubry, nie szczędząc wysiłku, przerobiła uniwersalne pojazdy serwisowe na automatyczne platformy sensorowe. Pięć pojazdów już wystartowało; silniki chemiczne bez zakłóceń popychały je w tajemniczą otchłań. Przynajmniej reakcje spalania, jak się okazało, zachodziły identycznie w każdej czasoprzestrzeni. Czego nie można było powiedzieć o urządzeniach elektronicznych. Poza obrębem skorupy działały jedynie podstawowe układy. Ale nawet one wysiadały w tempie proporcjonalnym do odległości od habitatu. Wystarczyło sto kilometrów, a posłuszeństwa odmawiały obwody zasilania. Z tą chwilą aparatura właściwie przestawała przesyłać dane. Co samo w sobie dawało do myślenia. W tutejszej czasoprzestrzeni występował specyficzny efekt tłumienia promieniowania elektromagnetycznego; może właśnie ten fakt tłumaczył grobowy wygląd mgławicy. Grono fizyków zastanawiało się, czy coś się nie dzieje na poziomie orbit elektronowych, co z kolei tłumaczyłoby pewne elektryczne i biochemiczne problemy, jakie napotykali.

Gigantyczna pajęczyna smolistej pary unikała też sond, co uniemożliwiała pobranie jakichkolwiek próbek. Zwykły radar był bezużyteczny. Nawet radar laserowy z ledwością śledził zmodyfikowane pojazdy serwisowe. Dziesięć dni po uruchomieniu osiowej tuby świetlnej nastroje wśród badaczy były minorowe. Żaden eksperyment czy zabieg badawczy nie pomógł w uzyskaniu konkretnych informacji. A bez nich nie sposób było pracować nad teorią, która pomogłaby im wrócić.

Inaczej rzeczy się miały we wnętrzu habitatu, gdzie stopniowo zaprowadzano ład, choć zaprawiony kroplą goryczy. Wszyscy, których wcześniej opętano, wymagali opieki lekarskiej. Najwięcej przeszły osoby starsze: dręczyciele bezlitośnie wykręcali im ciała, dostosowując je do swoich młodzieńczych wyobrażeń. Ucierpieli też ci z nadwagą. Podobnie jak chudzi, mali, mający odmienną karnację lub kolor włosów. Ponadto opętani, każdy jeden, przemodelowali sobie rysy twarzy, co wydawało im się chyba równie łatwe jak oddychanie.

Valisk nie dysponował pakietami nanoopatunku w ilości potrzebnej dla mieszkańców habitatu. A te, które były na składzie, działały z bardzo niską skutecznością. Personel medyczny, potrafiący je prawidłowo programować, balansował na pograniczu załamania psychicznego, jak każdy świeżo odpętany. Tymczasem potomkowie Rubry mieli dość pracy z zaopatrywaniem habitatu w elektryczność, by jeszcze zajmować się chorymi. Zresztą było ich dramatycznie mało.

Po początkowej fali optymizmu, związanej z przywróceniem światła, w miarę jak wysiedleńcy zapoznawali się z sytuacją, ogarniało ich coraz większe przygnębienie. Rozpoczął się exodus. Ludzie wędrowali w stronę pieczar w północnej czapie biegunowej. Długie karawany, wyruszające z holów drapaczy gwiazd, trącały schludne ścieżki w drodze przez wnętrze habitatu. Często pokonanie dwudziestu kilometrów w sawannowym krajobrazie zajmowało kilka dni. Wędrowcy szukali przystani, gdzie pakiety medyczne działają poprawnie, funkcjonuje zorganizowana

władza i można liczyć na porządną posiłek. I gdziepo okolicy nie snują się duchy. Tego Graala nie było sensu szukać w żalosnych slumsach, wyrosłych wokół holów wieżowców.

- Nie wiem, czego oni ode mnie oczekują, do cholery! - Poskarżyła się osobowość habitatu Dariatowi (między innymi), kiedy wybrały się w drogę pierwsze grupy. - W pieczarach braknie żywności.

- W takim razie kombinuj, jak ją zdobyć - odparł Dariat. - Bo oni nie mają wyjścia. W wieżowcach nic już nie zostało.

Istotnie, w drapaczach chmur, odkąd przybyli do mrocznego kontinuum, co chwila wysiadało zasilanie. Nie jeździły windy. Gruczoły zamiast jedzenia wydzielaly niejadalną papkę. Narządy trawienne nie potrafiły odprowadzać i przerabiać nieczystości. Kanaliki systemu cyrkulacji powietrza syczały i prychały.

- Jeśli nie przeżyją w wieżowcach, to w pieczarach tym bardziej - odparła osobowość.

- Bzdura. Co drugie drzewo we wnętrzu habitatu rodzi owoce.

- Najwyżej co czwarte. Tak czy inaczej, sady znajdują się przy południowym biegunie.

- No to wyznacz ekipy do zrywania owoców i pobieraj z wieżowców, co tylko się da. To twój obowiązek, jakbyś nie wiedział. Pamiętaj, że ty tu rządzisz. Ludzie jak zawsze zrobią, co im każesz. Nawet się ucieszą, wiedząc, że nad wszystkim czuwa dawna władza.

- Dobra, dobra. Tylko mi tu nie rób wykładów z psychologii.

Zaprowadzono więc jaki taki porządek. Pieczary zaczęły przypominać obozowiska nomadów i zarazem oddziały segregacyjne szpitala polowego. Ludzie kładli się na pierwszym z brzegu kawałku wolnej przestrzeni i czekali na instrukcje. Osobowość, przyjąwszy na siebie dawną rolę, wydawała polecenia. Zdiagnozowane przypadki raka i zaawansowanej anoreksji były leczone poza kolejnością. Pakiety nanoopatrunku rozdawano osobom najbardziej potrzebującym. Podobnie jak generatory termonuklearne i aparatura laboratoryjna o wiele lepiej działały w głębokich pieczarach. Najzdrowsi ludzie zostali oddelegowani do zdobywania żywności. Inne grupy miały wynosić z wieżowców sprzęt, ubrania, koce i inne rzeczy pierwszej potrzeby. Należało pomyśleć o transporcie.

Duchy, rzecz jasna, włączyły się nieznużenie za swoimi dawnymi nosicielami. W godzinach nocnych przemykały po sawannie, za dnia kryły się w dołach i szczelinach, gęsto rozsianych u podstawy północnej czapy biegunowej. Wciąż napotykały niewidzialną barierę nieprzejednanej wrogości, która nie pozwalała im wchodzić do podziemnych korytarzy.

Dariat też musiał trzymać się na uboczu. Wychodźcy nie rozróżniali duchów. W każdym razie, gdyby wiedzieli, że jest sprawcą ich niedoli, zetknąłby się z ich zajadłą nienawiścią. Pocięszal się tylko tym, że osobowość habitatu zawiera w sobie częśćkę jego samego. Nie uzna go więc za śmiecia i nie odrzuci jego potrzeb. Poniekąd miał rację, choć roszczać sobie szczególne przywileje, wykazywał sporo arogancji - stary Dariat w najczystszej postaci. W tych dziwnych, trudnych czasach także duchy - te skłonne do współpracy - mogły wykonywać pożyteczne zajęcia. Osobowość wyznaczyła mu na partnera Toltona i zleciła im inwentaryzację rzeczy wynoszonych z wieżowców.

- Co, z nim?! - Wykrzyknął Tolton z oburzeniem, kiedy Erentz pouczyła go o nowych obowiązkach.

Przeniosła spojrzenie ze zszokowanego poety na ironicznie uśmiechniętego, grubego ducha.

- Dogadacie się - stwierdziła. - Skoro mnie się udaje.

- Tak, ale...

- Dobra, ja tu się troszczę o pacjentów. - Wskazała na posłania ułożone w długim rzędzie pod polipową ścianą. W sklepionej pieczarze znajdowało się osiem identycznych rzędów. Materace lub stopy poduszek porozkładano w pośpiechu, bez specjalnej dbałości o porządek. Schorowane osoby

leżały owinięte brudnymi kocami niczym wielkie, trzęsące się poczwaraki. Jęczały, ślinały się i robiły pod siebie, gdy pakiety nanoopatrunku sukcesywnie naprawiały uszkodzone komórki. W tym strasznym stanie wymagały ciągłej opieki. A opiekunów nie było wielu, ponieważ mnóstwo ludzi przetrząsało habitat.

- Od których wieżowców zaczynamy? - Spytał Tolton.

Gruntowna inwentaryzacja jednego wieżowca trwała trzy dni. Kiedy zabierali się za trzeci, Dzerbę, robota już szła im dość sprawnie. Ten gmach uległ jedynie drobnym zniszczeniom w trakcie niedawnych rozruchów w Valisku. Wandale Kiery nie zdołali "wyzwolić" go spod władzy Rubry. Wewnątrz doszło do paru potyczek serwitörów z opętanymi, potem gmach został opuszczony. A to znaczyło, że powinno się tu zachować sporo cennych rzeczy. Należało je tylko skatalogować.

Posyłanie na dół ekip mających zbierać, co im w ręce wpadnie, byłoby mało skuteczne, zwłaszcza że brakowało ludzi. A procesy myślowe osobowości nie docierały w tak odległe zakątki habitatu. Wspomnienia zawartości pomieszczeń były, delikatnie mówiąc, niekompletne.

- Prawie same biura - zawyrokował Tolton, machając pałeczką świetlną. Jedną trzymał w dłoni, dwie po partyzancku zawiesił pod szyją na paskach. Dopiero trzy pałeczki zapewniały to samo oświetlenie co jedna świecąca pełną mocą.

- Na to wygląda - odparł Dariat. Znajdowali się w holu na dwudziestym trzecim piętrze, gdzie w ścianach widniały anonimowe, bliźniaczo do siebie podobne drzwi. W długich donicach wędły rośliny; ich liście, zbrązowiałe z braku światła, sypały się na biało-niebieski dywan.

Przechadzając się w holu, czytali tabliczki na drzwiach. Dotychczas nie znaleźli w biurach wielu cennych przedmiotów. Przekonali się, że jeśli firma nie handluje sprzętem medycznym lub elektronicznym, nie warto zaglądać do środka. Bywało, że w lokalnej pamięci zachowało się wspomnienie jakiejś wartościowej rzeczy, lecz warstwa neuronowa ubożała z każdym kolejnym piętrem.

- Trzydzieści lat - dumął Tolton. - To się nazywa zażarta nienawiść. - Nudziło im się, opowiadali więc sobie o życiu.

Dariat uśmiechnął się do swoich wspomnień.

- Zrozumiałbyś mnie, gdybyś zobaczył Anastazję. Najcudowniejsza dziewczyna pod słońcem.

- Kiedyś muszę coś o niej napisać. Ale twoja historia jest dużo ciekawsza. Stary, ile w tobie cierpienia! Umarłeś za nią, dosłownie. Zabiłeś się z premedytacją. A myślałem, że takie rzeczy zdarzają się wyłącznie w wierszach lub rosyjskich powieściach.

- Nie podniecaj się. Zrobiłem to, kiedy już wiedziałem, że istnieje życie pozagrobowe. Poza tym - dodał, wskazując na swoją tęgą postać i niechlujną togę - niewiele traćłem.

- Tak? Jeśli o mnie chodzi, to nie jestem gwiazdą sensyvizji, ale nie zamierzam rozstawać się z tym, co mam. Szczególnie teraz, odkąd wiem o zaświatach.

- Nie musisz się bać zaświatów. Jeśli naprawdę zechcesz, możesz je opuścić.

- Powiedz to duchom na górze. Szczerze mówiąc, w tej czasoprzestrzeni jeszcze bardziej cenię swoje ciało. - Tolton przystanął przed drzwiami sensyvizyjnego studia nagraniowego i popatrzył z ukosa na Dariata. - Jesteś w kontakcie z osobowością. Mamy szansę się stąd wyrwać?

- Za wcześnie o tym mówić. Jeszcze nie orientujemy się w tej ciemnicy.

- Hej, pytam cię jak człowiek, który przeżył tę całą okupację. Bądź ze mną szczerzy, daruj sobie oficjalne wyjaśnienia.

- Nic przed tobą nie ukrywam. Jedyna hipoteza, która spędza sen z powiek moim wspaniałym krewniakom, to więcierz na homary.

- Więcierz na homary?

- Jeśli już wskoczysz, nie dasz rady wyskoczyć. Rzecz w poziomach energii. Sądząc po tym, jak tutejsza czasoprzestrzeń wchłania naszą energię, nie znajduje się w tym samym aktywnym stanie energetycznym. W porównaniu z otoczeniem jesteśmy głośniejsi i silniejsi. Ale tej siły pomału nam ubywa. To efekt wyrównywania entropii. Wszystko dąży do ujednorodnienia. Obrazowo ujmę to tak: siedzimy na dnie głębokiej dziury, na nas leży cały wszechświat. A zatem będziemy musieli sprężyć się jak cholera, żeby wygrzebać się na wierzch. Teoretycznie, powinniśmy zwać tunelem czasoprzestrzennym. Ale nawet gdybyśmy umieli określić współrzędne terminala, który otworzyłby się w naszym dawnym wszechświecie, byłoby niezwykle ciężko go wygenerować. Żeby otworzyć tunel, trzeba użyć ogromnej, precyzyjnie skoncentrowanej energii, a właściwości tej czasoprzestrzeni raczej na to nie pozwalają. Ze względu na jej osłabiające działanie skoncentrowanie wystarczającej ilości energii może się okazać niemożliwe. Energia się rozproszy przed osiągnięciem punktu dystorsji.

- Kurde. Musimy sobie jakoś poradzić.

- Jeśli te zasady naprawdę tu obowiązują, możemy jedynie wysłać wiadomość. Właśnie nad tym pracuje osobowość do spółki z moimi krewniakami. Gdyby Konfederacja wiedziała, gdzie jesteśmy, mogłaby otworzyć tunel z tamtej strony.

- Mogłaby?

- Masz inny pomysł? Wal śmiało. Bo na razie najlepszym jest to, żeby rzucili nam linę.

- Akcja ratunkowa, co? Konfederacja ma dość własnych problemów.

- Jeśli się dowiedzą, jak nas stąd wyciągnąć, będą w połowie drogi do ich rozwiązania.

- No tak.

Doszli do końca holu i machinalnie zawrócili.

- Nic tu nie ma - zameldował Dariat. - Schodzimy na dwudzieste czwarte piętro.

- W porządku - odpowiedziała osobowość. - Dwa piętra niżej jest hotel Bringnal. Zerknijcie do składu pościeli, potrzebujemy więcej koców.

- Każesz brygadzie taszczyć koce dwadzieścia parę pięter?

- Większe zapasy na wyższych poziomach już się wyczerpały. Obecnie prościej znieść nowe koce, niż prac stare. Nikt nie ma na to sił.

- No dobrze. - Dariat odwrócił się do Toltona i oznajmił głośno i wyraźnie: - Chcą, żebyśmy poszukali koców.

- To się nam dostała arcyważna misja. - Tolton precisnął się na klatkę schodową przez niedomknięte drzwi z błony mięśniowej. Drżące brzegi już go tak nie przerażały. Dariat ruszył za nim, rozmyślnie przechodząc przez szparę. Odkrył, że jeśli chce, może przenikać ściany. Czuł się wtedy, jakby wtapiał się w lód. Przywędrował do nich jeden z zabłąkanych skoków napięcia. Komórki elektroforescencyjne znów jasno rozbłysły, oświetlając schody ostrym, lekko niebieskawym blaskiem. Kanalik wentylacyjny zionął strumieniem mglistego powietrza, jakby wydawał żalosne westchnienie. Na powierzchniach osiadła szara warstwa wilgoci. Toltonowi para szła z ust. Chwycił się mocniej poręczy, żeby się nie pośliznąć.

- Niedługo nie będziemy już mogli szabrować po wieżowcach. - Wytarł dłoń o skórzaną kurtkę. - Coraz trudniej tu chodzić.

- Powinieneś zobaczyć, w jakim stanie są przewody i kanaliki.

Uliczny poeta prychnął, struty. Dotąd mało kto tak dobrze się odżywiał. Prace inwentaryzacyjne miały swoje zalety. Mógł sobie do woli buszować w prywatnych apartamentach, gdzie znajdował modne ciuchy i zapasy smakołyków. Ekipy plądrujące budynki zainteresowane były głównie magazynami w barach i restauracjach. Kiedy wreszcie przestał się lękać bezkresu

pograżonych w mroku pięter, cieszył się, że nie musi siedzieć w pieczarze z chorymi i całym tym smrodem.

- Dariat, słyszysz mnie?

Przystanął. Wyczuł zaniepokojenie Rubry.

- O co chodzi?

- Coś jest na zewnątrz.

Więź afiniczna pozwoliła mu dzielić uczucie konsternacji, które ogarniało jego krewnych, w większości przebywających na przeciwbrotowym kosmodromie i w pieczarach.

- Pokaż.

Jeden z czerwonych i niebieskich ogników, poruszających się wolno w smolistej mgławicy, zaczął mrugać w odległości sześćdziesięciu kilometrów od południowego bieguna. Nim zgasnął, zastąpiło go w oddali kilkanaście nowych; rzucały na powłokę olbrzymiego habitatu snopy pastelowego światła. Osobowość - przypuszczając, że ta zbieżność nie jest dziełem przypadku - wzięła się skwapliwie do zbierania obrazów z zewnętrznych komórek sensorycznych. Dariat miał kolejny niemiły dowód na to, że nawet tak prosta sprawa jak obserwacja nieba jest teraz niezmiernie trudna.

Wśród pasm najgłębszej czerni przemykał ciemnoszary punkt, na przemian znikający i pojawiający się w polu widzenia. Patrząc na jego płynne, faliste ruchy, Dariat kojarzył go sobie z narciarzem. Obiekt wykonywał slalom, z każdym skrętem przybliżał się jednak do Valiska.

- Mgławica nie ustępuje przed nim - zauważyła osobowość. - Omija obłoki.

- Wobec tego posługuje się inteligencją, a przynajmniej instynktem na poziomie zwierzęcym.

- Otóż to.

Początkowe zakłopotanie potomków Rubry ustąpiło miejsca przytomnym, energicznym działaniom. Ci zgromadzeni na kosmodromie uruchamiali aparaturę, kierowali czujniki na gościa. Przygotowano pojazd serwisowy do misji zbadania i przechwycenia.

- Pojazd serwisowy ma ograniczoną sterowność - zauważył Dariat.

Gość błyskawiczną spiralą ominął czarnego, ziarnistego zawijasa i wystrzelił równolegle do powłoki Valiska, oddalony od niej o piętnaście kilometrów. Poprawiała się rozdzielczość obrazu. Gość miał szerokość mniej więcej stu metrów i wygląd dysku z potarganych płatków. - Nawet jastrzęb niełatwo dotrzymałby mu tempa. - Gość śmignął za następną postrzępioną kolumnę czarnej substancji. Kiedy pojawił się ponownie, szybował niemal prostopadle względem poprzedniego kursu. Płatki zginały się i odchylały. - Przypominają mi żagle.

- Lub skrzydła. Choć zastanawiam się, od czego miałyby się odpychać.

- Jeśli ta czasoprzestrzeń znajduje się w niskim stanie energetycznym, jakim cudem on się porusza tak szybko?

- Pojęcia nie mam.

Na kosmodromie kilkanaście anten śledziło lot gościa. Zaczęły emitować standardowy sygnał wywoławczy, zgodny z zatwierdzonym przez Komisję Astronautyczną protokołem komunikacyjnym do kontaktów z rasami ksenobiotycznymi.

Dariat wytłumił więź afiniczną, która teraz przejawiała się cichym szeptem.

- Chodź - powiedział do Toltona. - Znajdźmy gdzieś okno.

- Gość nie odpowiedział na sygnał wywoławczy. Nie zareagował też na impulsy radarowe, wysyłane w jego kierunku. Co może nie powinno dziwić, skoro nie odbierali sygnałów powrotnych. Gdy tak wirował i tańczył coraz bliżej i bliżej, zauważalnie zmienił się jedynie sposób, w jaki lgnęły do niego cienie. Na oko nawet malał, jakby oddalał się od habitatu. - Trochę mi to przypomina efekt



kamuflażu optycznego, którym posługują się opętani – stwierdził Dariat. Razem z Toltonem zainstalowali się w eleganckim barze Homera na dwudziestym piątym piętrze. Dwa duże, okrągłe okna okazały się od środka zamglone, Tolton chwycił więc szorstki obrus i wytarł je do czysta. A nie było to łatwe, ponieważ każdy jego oddech natychmiast zamieniał się w parę na lodowatej szybie.

- Wszak wybraliśmy kontinuum odpowiednie dla duchów - rzekła osobowość.
- Nie słyszałem o duchu, który by tak wyglądał.

Przybysz znajdował się teraz w odległości pięciu kilometrów od powłoki Valiska, na skraju mgławicy czarnych, azurowych obłoczków. Pomiędzy nim a habitatem została pusta przestrzeń.

- Może boi się bardziej zbliżyć - zastanawiała się osobowość. - Jestem od niego znacznie większy.

- Próbowałeś coś nadać w paśmie afinicznym?
- Owszem. Brak odzewu.
- Aha. Tak sobie tylko pomyślałem.

Przybysz opuścił poskręcaną tkankę mgławicy i pomknął w stronę potężnego korpusu habitatu. Jego zwodnicza uroda wyrażała się rozetą perłowożłoty wstęg, wijących się bez wdzięku wokół drgającej osi obrotu. Obraz mgławicy i dziwnych zmaconych cieni w jej obrębie zginał się i falował, przysłaniany postacią gościa; to skrzył się jaskrawo, to przyoblekał się czernią ciemniejszą niż horyzont zdarzeń. Nie było w nim niczego statycznego.

Podpłynął na odległość pięćdziesięciu metrów od powłoki, a następnie dzikimi zygzakami popędził wzdłuż jej krzywizny. Tak nakreślona węzowa orbita pozwalała mu przelecieć nad znacznym fragmentem habitatu.

- Czegoś szuka - stwierdziła osobowość. - Zapewne działa z rozmysłem. Mamy do czynienia z samoświadomą istotą.

- Czego może szukać?
- Na przykład wejścia. Albo czegoś znajomego, może sposobu nawiązania kontaktu.
- Systemy obronne na kosmodromie są sprawne? - Spytał Dariat.
- Ty chyba żartujesz. Potrzebujemy pomocy, do cholery. Sojuszników.
- Nim się połączyliśmy, byłeś najbardziej podejrzliwym, zeschizowanym łotrem, jakiego znałem. Myślę, że w tej sytuacji powinieneś przyjąć tanto nastawienie.

- No cóż, oto wpływ twojej dojrzałej, niekonfliktowej natury. Możesz winić tylko siebie. Ale nie martw się, nie wyślę w pościg pojazdu serwisowego.

- Dzięki niech będą Tarrugowi.
- Nasz gość lada chwila pokaże się w twoim polu widzenia. Może zobaczysz na oczy coś, czego nie widzą moje komórki sensoryczne.

- Jeszcze raz przetrzyj okno - zwrócił się Dariat do Toltona.

Przemoczony obrus rozmazał długie krechy wilgoci. Gdzie nie dosięgnął, srebrzyły się drobne kryształki szronu. Wyłączył dwie pałeczki świetlne i obaj wyjrżeli na zewnątrz. Przybysz, wynurzając się zza krawędzi powłoki, błysnął dwiema cienkimi wiązkami światła w kolorach cynobru i indyga. W strużkach wody ściekającej po szybie wiązki delikatnie drżały, chwiały się efemerycznie, nim cofnęły się do wnętrza istoty. Pozostała już tylko czarna plama w materii czasoprzestrzeni, zbliżająca się błyskawicznie do ciemnej, rdzawej polipowej skorupy.

- Czy ja mam zwidy, czy toto wali prosto na nas?

\*

W miejscu i czasie, których już nie ma, dawno temu i bardzo daleko, nazywali siebie Orgathe. Z upływem lat imiona straciły swój pierwotny sens, a może to oni się przeistoczyli w coś nowego

zgodnie z prawami rządzącymi tym okrutnym środowiskiem. Identyczny los dzieliło wielu innych, którzy dryfowali w ciemnym kontinuum. Tożsamość przestała mieć wymiar jednostkowy. W ciągu niezliczonych eonów charakterystyczne cechy mnogich ras zlewały się ze sobą i rozmywały, tworząc jeden wielki konglomerat.

A mimo to świadomość celu, o tak, świadomość celu pozostała niewzruszona. Poszukiwanie światła i siły, powrót w te słodkie wyżyny, z których zostali strąceni. Marzenie podtrzymywane nawet w melanzu, poza którym pozostały tylko nieliczne formy. Proces więdnienia wciągał w tę otchłań każde życie. To jednak ponownie się wybiło, porwane przypadkową, zbuntowaną falą, jakie przetaczały się w melanzu. Wyplute, żeby mogło wędrować w mroku, póki starczy mu sił. Uciekinier swój swobodny lot zawdzięczał naturze Orgathe, nawet jeśli skrzydeł uczepliły się esencje wielu bytów. Jego fantastyczny kształt był marną imitacją dostojnych ptasich władców, którzy szybowali z wartkimi prądami powietrza na swej ojczystej planecie.

Teraz przed nim dryfował egzotyczny obiekt. Zbudowany z substancji żywej w najstarszych wspomnieniach Orgathe, tych sprzed przejścia do ciemnego kontinuum. Jakże to dziwne, że z takim trudem poznał zwiastuna swego wybawienia.

Materia. Stała, uporządkowana materia. Wypromieniowująca tyle żaru, że długo musiał przyzwyczajać się do nowych warunków. Ciepło wprowadzało go niemalże w stan euforii. Niewiarygodne, ale tuż pod parzącą powierzchnią jasnym i silnym płomieniem paliła się warstwa energii życiowej. Tajemniczy obiekt był więc jedną, potężną istotą. A jednak bierną. Bezradną. Szykowała się ucztą, długa biesiada dla rozległych partii melanzu. Mogłoby nawet dojść do całkowitego rozproszenia.

Orgathe przysunął się blisko powierzchni obiektu, wyczuwając skryty w nim umysł, który śledził jego lot. Gdy prażył się w cieple pod powłoką kłębiły się sploty intensywnych myśli. Nie było wszakże sposobu przedrzeć się przez twardą powierzchnię do obfitych złóż energii życiowej. Próbuąc rozerwać skorupę, z pewnością do cna by się spalił. Dłuższy kontakt z tak gorącą rzeczą z pewnością byłby nie do wytrzymania. A jednak żądzy, jaką potęgowała w nim bliskość podstawowej energii życiowej, nie dało się już powściągnąć.

Gdzieś musiało być wejście, jakaś szpara lub otwór. Orgathe szybował nad obiektem, zmierzając do sterczących pośrodku wyrostków. Wydawały się wątle, słabsze niż reszta. Długie, puste w środku kolce, z których w ciemne kontinuum wysączała się energia. Energia życiowa była tam wytłumiona, a żar nie odpychał. Każdy szpikulec zawierał w sobie tysiące ciemnych, okrągłych okienek, zabezpieczonych chłodniejszymi arkuszami przezroczystej materii. W niektórych migotały światełka, błyskały i zaraz znikwały. Tylko w jednym było inaczej. Tam światło w oknie nie gasło.

Orgathe z werwą puścił się w jego stronę. Za przezroczystym arkuszem paliły się dwa płomyki energii życiowej. Jeden nagi, drugi odziany gorącą materią. Zaślepiło go szalone pragnienie. Przyspieszył.

\*

- Kurwa mać! - Ryknął Tolton.

Rzucając się w bok, przewracał krzesła i stoliki. Dariat uskoczył w przeciwnym kierunku, gdy Orgathe wpadł na okno. Mróz rozkwitł niczym żywa istota; pasma długich, kruchych kryształów mnożyły się na szkłe, potem zaczęły się rozrastać w powietrzu. Po drugiej stronie szarego futra mrozu poruszały się niezidentyfikowane kształty. Ciemne, niewyraźne węże, grubsze od ludzkiego tułowia, mogące być mackami lub jęzorami, furiacko skrobały po szybie. W barze rozległ się charakterystyczny piskliwy zgrzyt głęboko rysowanego szkła, zagłuszający krzyki przerażonego Toltona.

- Zrób coś! - Błagał Dariat.

- Rzuć pomysł.

Tolton cofał się na czworakach ze wzrokiem przyklejonym do okna. Wężowe formy wiły się z nieprzejednaną agresją, aby tylko wtargnąć do środka. Wśród ogłuszających zgrzytnięć dał się słyszeć wyraźny trzask, towarzyszący pojawieniu się wąskiego cienia na zmrożonej szybie. Meble zatrzęsły się i przesunęły po ziemi. Szklanki i butelki, porzucone na marmurowym blacie baru, podskoczyły z animuszem i spadły.

- Zaraz wejdzie! - Krzyknął Dariat. Usiłując powstać, uświadomił sobie, że brakuje mu sił. Zmęczenie paraliżowało mu kończyny.

- Zabij go!!! - Ryczał Tolton.

- Możemy się z nim rozprawić - powiedziała osobowość - jak rozprawiliśmy się z opętanymi.

- Cholera, na co czekasz!?

- Boimy się, że i ty zginiesz.

- Częściowo jesteś mną. Naprawdę myślisz, że chcę, żeby to mnie dorwało?

- A więc dobrze.

Osobowość zajęła się reorganizacją połączonych kanałów przesyłu energii elektrycznej. Zamknęła dopływ prądu do pieczar i osiowej tuby świetlnej i zarazem maksymalnie żyłowała niestabilne generatory termonuklearne. Prąd ponownie popłynął do sieci przewodników organicznych w wieżowcu Dzerba. Okna na pierwszym piętrze wypełniły się złotym blaskiem. Ożywione urządzenia mechaniczne i elektroniczne poruszały się z dzikim hałasem lub przystępowały do przetwarzania danych. Po paru milisekundach obudziło się drugie piętro. Potem trzecie i czwarte...

Z okien budynku strzelały w mrok snopy oślepiającego światła. Rozbłyskiwały na coraz niższych kondygnacjach, wciąż bliżej i bliżej obłożonego dwudziestego piątego piętra. Osobowość pozbierała swoje najważniejsze procesy myślowe i wpuściła je do wieżowca, co łączyło się z wrażeniem skoku do czarnej, bezdennej studni. Umysł wnikający w dół momentalnie budził kolejne systemy technobiotyczne.

Wokół okna w barze Homera powstała martwa strefa. Zewnętrzna warstwa polipa była w tym miejscu niewiarygodnie zimna; żywe komórki zamarły na kość, osobowość straciła nad nimi kontrolę. Czuła za to drgania podłogi, gdy Orgathe drapał i tłukł szybę.

Łąca w sieci przewodników organicznych zmieniły biegunowość, podprogramy wysokiego poziomu wyłączyły ograniczniki. Każdy erg energii z generatorów termonuklearnych był kierowany do baru Homera. Pasy komórek elektroforescencyjnych na suficie raziły białym światłem. Przewodniki organiczne w ścianach topiły się i wypalały długie fragmenty polipa, sypały się bursztynowe iskry. W powietrzu migały błyskawice wyładowań, zewnętrzna ściana została ostrzelana zabójczą salwą elektronów.

Już sam żar materii i energii życiowej dokuczał intruzowi, toteż zaciekle bombardowanie elektronami dopełniło miary. Orgathe odskoczył od okna, młóćąc przestrzeń wyrostkami, gdy strumienie nieprzyjaznej energii doprowadzały ciało do wrzenia. Przez chwilę widać było, jak giętkie, połyskliwe macki, najeżone krzywymi ostrzami, zwijają się, żeby ochronić baniasty kadłub. Postrzępione płatki skrzydeł zaczęły się zginać. Potem rozmyły się na nim odbłaski migotliwego wieżowca i wystrzelił w dal z oszałamiającym przyspieszeniem. Po kilku sekundach rozpląnął się w mgławicy.

Dariat odsłonił twarz. Ustąpiła zalewająca bar powódź światła, przeraźliwy hałas ucichł. Gdzieś na ścianach z głębokich okopconych bruzd sypały się jeszcze iskry. Szczątki lśniących komórek elektroforescencyjnych, spękane i pomarszczone, skręcały się na ziemi w smuzkach dymu.

- W porządku, chłopcze? - Zapytała osobowość.

Dariat popatrzył po sobie. W mdłym, żółtawym blasku pałeczki świetlnej Toltona jego widmowe ciało wydawało się niezmiennione. Choć może bardziej niż zwykle przezroczyste. Nadal czuł się skonany.

- Chyba tak. Ale strasznie mi zimno.

- Mogło być gorzej.

- No. - Czuł, jak ważniejsze podprogramy osobowości wycofują się z wieżowca. Na górnych piętrach gasły światła, technobiotyczne urządzenia wyłączały się automatycznie. Cały roztrzęsiony, dźwignął się na kolana. Rozejrzawszy się, zobaczył grubą warstwę szronu na wszystkich przedmiotach, zupełnie jakby bar zamienił się w arktyczną grotę. Wyładowania elektryczne niewiele w tej kwestii poprawiły. Prawdopodobnie to właśnie ich uratowało, szybę pokryła bowiem kilkunastocentymetrowa skorupa lodu. Pęknięcia w szkle zarysowały się z zatrważającą wyrazistością. Tolton zwijał się na podłodze z zaślinionymi ustami. Szron srebrzył mu się we włosach. Z każdym płytkim, charkotliwym oddechem wydmuchiwał biały obłok pary. - Cholera! - Dariat z wysiłkiem zbliżył się do niego. W samą porę przypomniał sobie, że nie powinien dotykać cierpiącego nieszczęśnika. - Ślij tu lekarzy!

- Jasne, już ich wysłałam. Powinni być u was do trzech godzin.

- Cholera! - Kucnął obok Toltona i pochylił się nad nim, żeby zajrzeć w jego szklane, niewidzące oczy. - Hej! - Pstryknął przezroczystymi palcami nad nosem leżącego. - Hej, Tolton, słyszysz mnie? Spróbuj równo oddychać. Weź głęboki oddech. No dalej! Musisz się uspokoić. Oddychaj. - Tolton zadzwonił zębami. Zarzęził, policzki mu się wydeły. - O to chodzi. No, oddychaj. Głęboko. No proszę cię, wciągajże to powietrze! - Uliczny poeta lekko przekrzywił usta i odetchnął z cichym świstem. - Dobrze, dobrze! No to jeszcze raz, dawaj.

Dopiero po kilku minutach Toltonem przestało rzucać. Chwytał powietrze miarowo, większymi haustami.

- Zimno - stęknął.

Dariat uśmiechnął się do niego.

- Słuchaj, chłopie, napędziłeś mi stracha. I bez ciebie kręci się tu kupa duchów.

- Serce... Moje serce... Boże, myślałem...

- Spokojnie, już po wszystkim.

Tolton niezdarnie pokiwał głową i spróbował się podnieść.

- Czeka! Poleż tak jeszcze z minutę. Zapomniałeś, że służba medyczna trochę u nas kuleje? Przede wszystkim musisz coś zjeść. Na tym piętrze powinna być restauracja.

- Zapomnij. Wynosimy się stąd, jak tylko wstanę. W życiu nie wejść do wieżowca. - Zakaszlał i rozejrzał się wkoło. - Chryste... - Ściągnął brwi. - Nic już nam nie grozi?

- Pewnie, że nie. Przynajmniej chwilowo.

- Zabiliśmy go?

Dariat się skrzywił.

- Niezupełnie. Aleśmy go przepłoszyli.

- Nie zginął od tych błyskawic?

- Nie. Odleciał w diabły.

- Kurna, prawie się przekręciłem.

- Żyjesz i tylko to się liczy.

Tolton wolno podniósł się do pozycji siedzącej. Nawet najdrobniejszy ruch sprawiał mu trudność. Kiedy już oparł się plecami o nogę stołu, wyciągnął rękę i z zadumą pogłaskał oblodzone

krzesło. Spojrzał posepnie na Dariata swoimi przekrwionymi oczami.

- Zdaje się, że ta historia nie będzie miała szczęśliwego zakończenia.

\*

Do Monterey zbliżyło się siedem piekielnych jastrzębi. Kiedy skupiły się na nich czujniki platform bojowych, odpowiedziały na wywołanie.

- Sieć strategiczno-obronna Sewilli była dużo silniejsza, niż nam meldowano - usłyszał Juli von Holger, spytawszy o powodzenie misji. - Straciliśmy siedem fregat, a z naszego dywizjonu zostało tylko tyle.

- Desant się powiódł?

- Chyba ze stu się przebiło.

- Wspaniale.

Z żadnej strony nie padło już ani jedno słowo. Juli von Holger wyczuwał głuchą wściekłość piekielnych jastrzębi, które ocalały. Wolał nie wspominać o tym Emmetowi Morddenowi. Piekielne jastrzębie były problemem Kiery.

- Siadajcie na półkach cumowniczych - zwrócił się do nich Hudson Proctor. - Zwolniliśmy cokoły. Zaraz po wylądowaniu rozpocznie się podawanie pokarmu. - Skoncentrował się na obliczu Kiery. Uśmiechała się swoim najbardziej promiennym, anielskim uśmiechem, wlewając w myśli tyle wdzięczności, ile jej zastępca był w stanie przekazać.

- Dobra robota. Zdaję sobie sprawę z trudności, ale wiercie mi, niebawem skończą się te śmieszne misje. - Uniosła brwi z pytającą miną. - Odpowiedziały?

Lekko się zaczerwienił, słysząc oddźwięk, z jakim spotkała się jej krótka mowa w paśmie afinicznym.

- Nie. Są bardzo zmęczone.

- Rozumiem. - Rysy na jej słodkiej buzi stężały. - Przerwij kontakt.

Hudson Proctor nieznacznie kiwnął głową, sygnalizując, że już to zrobił.

- Chciałaś powiedzieć, że masz nadzieję, że niebawem skończą się te misje - rzekł Luigi z oburzeniem.

Siedzieli w trójkę w jednym z mniejszych, bardziej kameralnych holów nad półkami cumowniczymi, gdzie czekali na przyście jeszcze jednej osoby. W ciągu ostatnich paru dni bunt Kiery nabrał wyraźnego rozpędu. Sukces misji infiltracyjnych pozytywnie wpłynął na popularność i autorytet Ala, lecz został okupiony wysokimi stratami wśród statków kosmicznych. Coraz częściej odzywały się głosy, że tego rodzaju kampania jest obliczona wyłącznie na doraźne korzyści. Kiera czaiła się i obserwowała. Zdolność do odczytywania niezadowolenia i troski w umysłach ludzi była rzeczą niezwykle cenną, gdy chodziło o wyszukiwanie potencjalnych stronników.

Wszedł Silvano Richmann. Usiadł przy stoliku, na którym stała już bateria butelek, i nalał sobie whisky.

- Wróciła flotyła wysłana na Sewillę - powiadomiła go Kiera. - Sprzątnęli nam siedem fregat i pięć piekielnych jastrzębi.

- Szlag by trafił! - Silvano pokręcił głową, zbulwersowany.

- Al ma już w planach piętnaście nowych misji. On niczego nie widzi.

- Widzi tylko to, co chce zobaczyć. Dzięki tym misjom przenikamy na terytorium wroga, Konfederacja sra w gacie. Zgarniamy pięć planet dziennie. Al zaskarbił sobie szacunek i lojalność Organizacji na planecie.

- Szkoda tylko, że moja flota dostaje wpierdol! - Warknął Luigi. - Wszystko przez tę wredną sukę Jezzibellę! Trzyma go za jaja.

- Twoja flota to jedno - powiedziała Kiera. - Mnie ubywa piekielnych jastrzębi. Jeszcze trochę i zwięją.

- Niby dokąd? - Spytał Silvano. - Muszą z tobą trzymać. Niezły numer im wykreśliłeś z tym żarciem.

- Edeniści ciągle kuszą je nowymi ofertami - rzekł Hudson.

- Wiemy to od Etchellsa. Ostatnio zaproponowali, że przyjmą osobowości czarnych jastrzębi do warstw neuronowych w habitatach, a naszym pozwolą latać. W zamian będą dostawać jedzenie, byle zgodzili się na współpracę z edenistami, pomagali im badać naszą moc.

- Trzeba coś z tym zrobić, do cholery! - Mruknął Silvano. - Sam byłbym zainteresowany taką propozycją, gdybym mógł się pozbyć duszy nosiciela.

- Doskonale cię rozumiem. - Wygodnie oparta na krześle Kiera popijała wino. - Pytanie brzmi: jak daleko jesteście gotowi się posunąć?

- Kurde, jeśli o mnie chodzi, to chyba oczywiste - powiedział Luigi. - Osobiście skopię ryj temu zasańcowi. Zrobił ze mnie pieprzonego chłopca na posyłki. Nikomu by się lepiej nie powiodło z Tranquillity.

- A ty, Silvano?

- Capone musi odejść. Ale zaangażuję się w to pod jednym warunkiem, nie podlegającym dyskusji.

- Jaki to warunek? - Kiera domyślała się, w czym rzecz. Silvana obawiano się, ponieważ był prawą ręką Capone, lecz w jednym punkcie nie zgadzał się z szefem.

- Jeśli nam się uda, koniec z nie opętanymi w Organizacji. Wyeliminujemy ich, zgoda?

- Nie mam nic przeciwko - odparła Kiera.

- Zwariowałeś?! - Krzyknął Luigi. - Z opętanymi załogami będę miał gówna, nie flotę, dobrze o tym wiesz! Podkładasz mi świnię!

- Co ty powiesz. A do czego nam potrzebna flota? Dobrze mówię, Kiera? Musimy zadbać o własne bezpieczeństwo. Zabierzemy stąd Nową Kalifornię, usuniemy się z tego wszechświata. To samo robią opętani na innych planetach. Dlatego nieopętani nie mogą nam się pałętać pod nogami. Chyba to rozumiesz, Luigi. Jeśli zostanie ich chociaż garstka, będą knuć i kombinować, jak się nas pozbyć. Na miłość boską, kradniemy im ciała! Gdybyś teraz żył, wyłaziłbyś ze skóry, żeby nam je odebrać. - Rąbnął szklanką o blat stolika. - Wykosimy nieopętanych albo zgody nie będzie!

- Mam w dupie taką zgodę! - Ryknął Luigi. Kiera uniosła ręce.

- Chłopcy, bez nerwów. W ten sposób nie wygracie z Alem. Dziel i rządź, mówi wam to coś? Każdy z nas ma swój własny interes na uwadze, a jedynym sposobem, żebyśmy wszyscy wyszli na swoje, jest udział w Organizacji. Tylko Organizacja potrzebuje floty, piekielnych jastrzębi i ludzi, których trzeba trzymać za mordę. - Popatrzyła znacząco na Silvana. - Capone tak ją zbudował, żebyśmy musieli go popierać, inaczej wylecielibyśmy z obiegu. Dlatego rozmontujemy Organizację, a potem zmontujemy ją na nowo, ale tak, żeby nas słuchano.

- Czyli jak? - Spytał podejrzliwie Luigi.

- Dobra, chcesz znowu dowodzić flotą. Czemu?

- Bo jest moja, debilko! Zbudowałem ją od zera, do cholery! Jestem z Alem od samego początku. Od dnia, w którym wszedł do ratusza w San Angeles.

- W porządku, lecz we flocie możesz być tylko mięsem armatnim. Naprawdę chcesz ryzykować, rozbijać się po Konfederacji, walczyć z sieciami strategiczno-obronnymi? Tam już nas przejrżeli na wylot, wkurzyliśmy ich tymi misjami. Prędzej czy później wybiją nas do nogi, Luigi.

- Co z tego? Mam to gdzieś. Jestem admirałem, nie muszę uczestniczyć w każdej wyprawie.

- Chodzi o to, Luigi, że flota nie musi nigdzie latać. Przydałoby się, żebyś ją sobie zamienił w coś innego, co pozwoliłoby ci zostać na topie. Co ty na to?

- Może... - Luigi przyglądał jej się bacznie.

- To właśnie musimy obgadać w naszym małym gronie. Na dzień dzisiejszy po usunięciu Capone jesteśmy w stanie rządzić Organizacją. Niestety, na tym koniu daleko nie zajedziemy. Na miłość boską, magiczne żetony zamiast pieniędzy, co za bezsens! Po przewrocie ustanowimy zupełnie nowe rządy. Absolutne i niepodważalne.

- Tylko jak? - Spytał Silvano. - Na co komu rząd, skoro Nowa Kalifornia ma się kopnąć do innego wszechświata?

- Takiś pewny? - Prychnęła Kiera. - Widziałeś miasta tam w dole. Niech tylko Organizacja przestanie dusić rolników, żeby produkowali żywność, cała gospodarka zawali się z dnia na dzień. Jeśli Nowa Kalifornia pryśnie z tego wszechświata, mieszkańcy będą się musieli przedzierać w średniowiecznych chłopów, żeby przeżyć. Niezły syf, co? Gdy tymczasem pięć procent ludności pracującej w polu mogłoby wyżywić całą resztę. Nie wiem, jakie państwo tam sobie stworzymy, ale prędzej zdechnę, niż zamieszkać w lepiance. Orać ziemię, gapiąc się na koński zad, także nie zamierzam. Zwłaszcza że można do tego zagonić innych.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem - rzekł Silvano. - Rolnicy będą harować, a pozostali leżeć do góry brzuchem?

- W zasadzie tak. Ma to przypominać mój układ z piekielnymi jastrzębiami, tylko na dużo większą skalę. Musimy zatrzymać rolników na roli i kontrolować transport żywności do ośrodków miejskich. Zrobimy z Organizacji olbrzymiego dostawcę, przy czym dostawać będą ci, których wskażemy.

- Cholera, do tego trzeba armii! - Wykrzyknął Luigi.

- Od czego mamy ciebie? - Odpowiedziała Kiera z wielkodusznym gestem. - Twoim zadaniem będzie reorganizacja floty. Zdobędziesz przenośną broń, dobrą na opętanych. Coś podobnego do karabinów, którymi w Mortonridge posługują się zasrani sierżanci. Będziemy ją produkować i przekazywać lojalnym ludziom. Wykorzystasz istniejący system dowodzenia, ale sieć strategiczno-obronną zastąpisz wojskami lądowymi.

- To się może udać - przyznał Silvano. - No więc jeśli Luigi będzie miał armię, co ja dostanę?

- Kluczowa sprawa to komunikacja, bez niej wszystko się rozpadnie. I z rolnikami trzeba obchodzić się delikatniej, bez przykładania im lufy do pleców. Ale to już zadanie służb porządkowych.

Ponownie nalał sobie whisky.

- Możliwe, że się dogadamy.

\*

Pełnomocnik za Europę Zachodnią zwykł osobiście wyprowadzać psy na spacer. Posiadanie psa uczyło odpowiedzialności: albo robi się to porządnie, albo wcale. Rzadko zdarzał się kryzys na tyle poważny, że musiał opuszczać codzienny spacer. Przypuszczał jednak, że któryś z jego podwładnych wkrótce będzie musiał go zastępować.

Elegancki trawnik na tyłach domostwa miał ze trzysta metrów. Gdy kupował posiadłość, jeszcze mierzył go w jardach, ale nawet on w końcu się przerzucił na ten okropny, francuski system miar. Granicę wyznaczał prastary cisowy żywopłot, wysoki na dziesięć metrów, obsypany miękkimi, czerwonymi jagodami. Przechodząc między skruszałymi kamiennymi słupkami dawnej bramy, zapisał sobie w pamięci, że robot ogrodniczy musi przyciąć gałązki. Pod skórzanymi butami uginał się

kobierzec wyschniętego igliwia, wokół biegały labradory. Dalej były łąki, w wysokiej trawie migotały liczne jaskry i stokrotki. Łagodnym stokiem można było zejść tędy do długiego, nieruchomego jeziora, oddalonego o osiemset metrów, czyli dawniej pół mili. Pogwizdując z cicha, rzucił patyk.

- Mamy ich - poinformowała go datawizyjnie Ameryka Północna.

- Kogo?

- Opętany Quinn Dexter, nasz znajomy z Nowego Jorku. Jak ci powiem, pewnie zaczniesz się jeszcze bardziej mądrzyć: miałeś rację, udał się do sekty Nosiciela Światła.

- Aha. - Labradory znalazły patyk, jeden z nich chwycił go w pysk. Kiedy pełnomocnik klasnął dłońmi o uda, rzuciły się ku niemu długimi susami. - Bardzo źle to wygląda?

- Nie najgorzej, jak sędzę. Oczywiście, straciłem wielkiego magusa. Chyba popełnił samobójstwo. Zostało jednak paru aktywistów. Dwóch dodzwoniło się do mnie, nim energistyczne zakłócenia uszkodziły im neuronowe nanosystemy. Podobno przejmują po kolei wszystkie siedziby sekty. Na razie padło osiem, między innymi główna siedziba satanistów w wieżowcu Leicester.

- A liczby?

- Do przełknięcia. Mniej więcej dziesięciu opętanych w każdej siedzibie sekty. Nierozgarnięci akolici witają ich z otwartymi rękami i słuchają rozkazów. Nowi przywódcy po prostu siedzą w ukryciu i organizują sobie wyszukane orgie. Zadbali o to, żeby w żadnej siedzibie nie działał sprzęt elektroniczny, choć już przedtem rzadko które urządzenie było podłączone do sieci.

- Wiedziałem, że mają jasno sprecyzowane cele.

- I określoną strategię infiltracji. Zdobyli przyczółki i czekają na dalsze dyspozycje.

- Jeśli chcą przeniknąć do wszystkich kopuł, to nie skończyli jeszcze działalności w terenie.

- Wiem. Łatwiej im dzięki zamieszaniu. Po wstrzymaniu kolei wybuchają zamieszki, chuligani niszczą, co popadnie. W takich warunkach jednostka sztucznej inteligencji ma problem z namierzeniem usterek.

- Kiedy robisz nalot na siedziby sekty?

- Dobrze pytanie. Ciebie się chciałem poradzić. Jeśli uderzę teraz, to ci, którzy akurat kręcą się po ulicach, wystraszą się i zapadną pod ziemię. Żeby w stosownej chwili zająć Nowy Jork.

Pełnomocnik na Europę Zachodnią wyciągnął patyk z zębów labradora i przystanął.

- Owszem, ale jeśli zaczekasz, aż zdobędą wszystkie siedziby sekty, będziesz miał kupę zasrańców do zlikwidowania. Niektórzy na pewno się przedrą przez kordon policyjny i w końcu obudzisz się z ręką w nocniku. Ile siedzib możesz jednocześnie monitorować?

- Wszystkie. Od dawna to robię. Tych, w których nie mam wtyczek, pilnują agenci.

- Widzę, że trzymasz rękę na pulsie. Poczekaj, aż grupa opętanych pojawi się w nowej siedzibie, wtedy zdejmiesz ich wszystkich.

- A jeśli w terenie działa więcej grup?

- Lepiej się martwić na zapas, co? Jakimi siłami planowałeś uderzyć?

- Brygadą specjalną GISD-u. Zabijają każdego, kto im się nawinie. Niech zrobią totalne czystki w siedzibach sekt, nie potrzeba nam więźniów do przesłuchiwania. Fletcher nadal współpracuje z zespołem naukowym w Halo.

- Biorąc pod uwagę stawkę w grze, radzę najpierw potraktować ich impulsami promieniowania gamma. Nie obędzie się bez przypadkowych ofiar, jednak uderzenie z orbity spowodowałoby dużo większe zniszczenia. Potem wkroczą brygady specjalne, które zabezpieczą i uprzątną teren.

- W porządku, jakoś się z tym pogodzę.



- Może nawet dostaniemy wotum zaufania od naszych szacownych kolegów.
- Choćbym się poddał najnowszym zabiegom genetycznym, kaktus na dłoni mi nie wyrośnie.

Przygotuję operację na godzinę 3:00 czasu wschodnioamerykańskiego.

- Jeśli będziesz potrzebował pomocy, wystarczy zawołać. - Pełnomocnik na Europę Zachodnią uśmiechnął się szeroko i wyrzucił patyk w powietrze.

\*

Nawet B7 nie mogło sprawić, aby doniesienia z wydarzeń w Nowym Jorku nie rozeszły się w globalnej sieci. Tak zwany "incydent w Kopule Pierwszej", po którym wstrzymano komunikację kolejową w arkologii, był inspiracją do nieustających, gorączkowych spekulacji. Parokrotnie do ulicznych demonstrantów docierali reporterzy, przy czym dwaj zostali mocno poturbowani w czasie rejestrowania materiału, co nagraniem sensywnym zawsze dodawało szczególnej pikanterii. Jedenaście godzin później komisarz Ameryki Północnej ponownie wystąpił na konferencji prasowej. W toku zakończonego śledztwa ustalono, jak oznajmił, że incydent nie został spowodowany przez opętanych. Na dworcu Grand Central płatny morderca przy użyciu implantów bojowych i kombinezonu maskującego dokonał zabójstwa na zlecenie. W celu przesłuchania poszukiwano nieuczciwych partnerów w interesach zabitego Buda Johnsona.

Przywrócono ruch na kolei, bojówkarze i szabrownicy zniknęli z ulic. Odwołano dodatkowe jednostki policyjne. Czołowi prezenterzy wiadomości w specjalnych programach dyskutowali o trwodze, jaka zawładnęła planetą. Przybycie "Mount's Delt'y" odbierano jako zapalnik mnóstwa zająć przypisywanych opętanych, a mających kulminację na dworcu Grand Central. Poczucie zagrożenia dodatkowo wzmogła niedawna zmiana strategii Ala Capone, polegająca na wysyłaniu oddziałów desantowych przeciwko planetom Konfederacji. Ani Siły Powietrzne, ani miejscowe sieci strategiczno-obronne nie były w stanie powstrzymać zapędów Organizacji. Gdy już się wydawało, że przepisy kwarantannowe są skutecznym remedium na ekspansję opętanych, na nowo rozpoczął się podbój światów. Panowało przekonanie, że nigdzie nie jest bezpiecznie. Przywrócenie ruchu kolei tunelowej pozwoliło choć w pewnej mierze rozładować napięcie... Do godziny 2:50 czasu wschodnioamerykańskiego, kiedy nagle wstrzymano kursowanie pociągów. W ciągu dziesięciu sekund sfrustrowani pasażerowie poinformowali o wszystkim dziennikarzy. Nowojorscy reportażyści, którzy po ciężkim dniu, obfitującym w sensacyjne doniesienia, tłumnie zaludnili bary, zostali przez szefów redakcji wygonieni do betonowych kanionów. Pracownicy agencji informacyjnych, ślący datawizyjne zapytania do władz administracyjnych arkologii, spotykali się z niemym zdziwieniem. Nikt im nie mówił, że w nocy na czwartej zmianie stanie kolej. Policjanci na posterunkach też robili wielkie oczy. Daremnie próbowano dotrzeć do poinformowanych źródeł, nikt się niczego nie dowiedział. Przynajmniej w ciągu dziesięciu minut, gdy to miało znaczenie.

Pełnomocnicy z biura B7 pilnie śledzili rozwój wypadków, gdy pełnomocnik na Amerykę Północną wydał rozkaz do ataku.

Odkąd ruszyła kolej tunelowa, do Nowego Jorku przybywały brygady specjalne GISD-u. W chwili rozpoczęcia ataku przeszło ośmiuset komandosów rozesłano do poszczególnych siedzib sekty. Wszyscy byli uzbrojeni w broń palną na pociski chemiczne bądź elektryczne, a także w lasery promieniowania gamma. Moc tych ostatnich, powszechnie stosowanych podczas operacji antyterrorystycznych, spokojnie wystarczała do przeniknięcia pięciu metrów betonu węglowego. Tak duży zasięg pozwalał brygadam likwidować cele ukryte głęboko w wieżowcach lub megawieżach. Jeden komandos potrafił w mgnieniu oka rozprawić się z całą grupą w zamkniętym pomieszczeniu.

Pełnomocnik na Amerykę Północną każdą siedzibę sekty kazał otoczyć dziewięcioma komandosami, a tę w wieżowcu Leicester piętnastoma. Najbardziej obawiał się tego, że opętani

dzięki swojej nadludzkiej percepcji zwietrzą niebezpieczeństwo. Aby uniknąć zdekonspirowania, użyto przemysłowych mechanoidów, które przez cały dzień wyładowywały i instalowały lasery w okolicznych budynkach. Nadzór człowieka został ograniczony do absolutnego minimum. Pomijając lasery, pełnomocnik polecił założyć pułapki we wszystkich wyjściach i korytarzach, aby każdego, kto będzie próbował się przemknąć, poraził prąd elektryczny. Tę robotę należało wykonać z wyjątkową ostrożnością, lecz mechanoidy z logo nowojorskich służb publicznych uwijały się przy przełączaniu kabli i przewodów bez zwracania na siebie szczególnej uwagi.

Brygady specjalne czekały w odległości kilku przecznic, żeby nic się nie wydało. Pełnomocnik na Amerykę Północną pchnął ich do akcji równocześnie ze wstrzymaniem ruchu na kolei. Ponadto wstrzymał ruch drogowy i metro w arkologii oraz odizolował poszczególne kopuły - z czego agencje informacyjne długo jeszcze nie zdawały sobie sprawy. Jeśli wierzyć wtyczkom i pluskwom przemyconym do kryjówek sekty, zarówno akolici, jak i opętani nie wiedzieli, co się święci. Nie zauważyli nawet zbliżających się komandosów.

Lasery promieniowania gamma wystrzeliły o godzinie 2:55 nad ranem. Piętnaście promieni ugodziło wieżowiec Leicester i przecesało osiem dolnych kondygnacji, gdzie sekta miała swoją główną kwaterę. Przesuwały się na przemian w pionie i poziomie, żeby nie pominąć bodaj centymetra sześciennego. Kiedy kierowały się w sam środek gmachu, konstrukcja pochłaniała energię, natomiast meble i kompozytowe ścianki, nie wytrzymując piekielnej mocy promieniowania, natychmiast stawały w ogniu. Szerokie, błyszczące, pomarańczowe pręgi rysowały się na słupach i posadzkach z węglowego betonu, po których wędrowały zabójcze promienie. Powietrze, rozgrzane ponad miarę, rozpadało się na pojedyncze atomy. Szyby wylatujące pod wpływem olbrzymiego ciśnienia sypały się na ulice na podobieństwo szklanych sztyletów.

Obudziły się tryskacze przeciwpożarowe, lecz woda zamieniała się najpierw w parę, a zaraz potem w obłoki jonów. Jaskrawe, fioletowoniebieskie jęzory wysuwały się przez roztrzaskane okna i pełzły w górę szybami wind. Żar rozchodził się po budynku nieszczelnymi przewodami systemów klimatyzacyjnych. Dolne piętra zamieniły się w oślepiającą kulę ognia.

Ciała ludzkie, uwięzione w elastycznej, trójwymiarowej sieci promieniowania, ulegały unicestwieniu w kontakcie ze straszliwą energią. Woda z organizmu wybuchała parą, węgiel się spalał. Promienie docierające na drugą stronę wieżowca miały jeszcze wystarczającą moc, żeby przebić się przez ścianę. Na okolicznych budynkach, haratanych promieniowaniem, pozostawały długie blizny zniszczeń. Chwilę później ostre włócznie jonów, wyrzucane z wieżowca Leicester, pokłuły elewacje i wywołały dziesiątki zwyczajnych już pożarów.

Wyłączono lasery. Noc rozbrzmiewała hukami płomieni i wrzaskami ludzi palących się żywcem. Pożary dawały tyle światła, że w całej dzielnicy było jasno. Nieposzkodowani mieszkańcy sąsiednich budynków - ci mający szczęście mieszkać na dole - wylegli na ulice. Jednakże ci na wyższych piętrach tylko patrzyli bezradnie, jak ogień się rozprzestrzenia. Na obrazach przekazywanych agencjom informacyjnym, oglądanych na całym świecie, komandosi z brygady specjalnej GISD-u wszystkimi drogami kroczyli w stronę wieżowca Leicester. Na tle szalejących płomieni ich żaroodporne elastopancerze wydawały się matowoczarne. Dźwigając długolufową broń beztrąsko na ramieniu, ze zdumiewającą nonszalancją szli w paszczę ognia.

Głównym wyjściem wyskoczyły trzy postacie, chcące ratować się z pożogi. Były jak bogowie ognia: na ich spuchniętych ciałach huśtały się płomienie. Komandosi błysnęli krótką, lecz skuteczną salwą turkusowych pocisków. Ogniste monstra upadły i dopaliły się spokojnie na szerokim chodniku.

Dopiero te sceny bezpardonowej eksterminacji ostatecznie przekonały świat, że opętani w jakiś sposób sforsowali tytaniczne zabezpieczenia w Halo. Należało się spodziewać ostrych

politycznych reperkusji. Na forum Wielkiego Senatu Rządu Centralnego złożono wnioski o postawienie w stan oskarżenia przewodniczącego za to, że o niczym nie uprzedził Senackiej Komisji Obrony. Przewodniczący, który przecież nie mógł się przyznać publicznie, że sam nic nie wiedział, zdymisjonował szefów pierwszych czterech biur GISD-u pod zarzutem rażącej niesubordynacji i nadużycia władzy. Dyrektor nowojorskiej placówki GISD-u został oskarżony o morderstwo z premedytacją i aresztowany. Tego rodzaju rozszady interesowały jednak opinię publiczną o wiele mniej niż aktualne doniesienia, napływające szerokim strumieniem z miejsc zdarzeń.

Brygady specjalne wycofały się po ustaleniu, że w siedzibach sekt nie uchował się ani jeden opętany. Dopiero wtedy mogły wkroczyć do akcji służby ratunkowe. Mechanoidy ze straży pożarnej ostatni pożar ugasiły po dziesięciu godzinach. Po wypalonych piętrach rozchodziły się zespoły pogotowia. Szpitale wypełniały się rannymi, choć nie mogły liczyć na pomoc odizolowanych kopuł. Wstępnie obliczane straty firm ubezpieczeniowych szły w setki milionów dolarów. Burmistrz Kopuły Pierwszej w porozumieniu z pozostałymi czternastoma burmistrzami ogłosił dzień żałoby narodowej i ustanowił fundusz dla ofiar tragedii.

Oficjalnie podczas operacji przeciwko opętanym zginęły w Nowym Jorku tysiąc dwieście trzydzieści trzy osoby, z czego połowa w wyniku bezpośredniego trafienia wiązką promieniowania gamma. Pozostali spłonęli żywcem lub udusili się dymem. Przeszło dziewięć tysięcy - głównie poparzonych lub zszokowanych - wymagało hospitalizacji. Dwukrotnie więcej straciło dach nad głową. Kilkaset firm musiało szukać sobie nowego lokum. Kolej w Nowym Jorku wciąż nie funkcjonowała.

\*

- No i? - Zapytał Pacyfik Północny. Pięć godzin po akcji brygad specjalnych członkowie B7 ponownie się zebrali, żeby przedyskutować sytuację.

- Zlikwidowaliście stu ośmiu opętanych, tylu się doliczyliśmy. Kiedy lasery zrobiły swoje, dla ekspertów z medycyny sądowej nie zostało do zbadania zbyt wiele materiału.

- Bardziej interesują mnie ci, których nie zlikwidowaliście.

- Zadziałało osiem pułapek zainstalowanych w miejscach, które mogli uciekać. Komandosi wyciągnęli z korytarzy jedenaście trupów.

- Do rzeczy! - Wtrąciła Ameryka Południowa. - Czy ktoś się wydostał?

- Prawdopodobnie tak. Specjaliści twierdzą, że trzy lub cztery osoby mogły się przedrzeć przez elektryczne zasieki. Trudno powiedzieć, czy byli opętani, ale tylko skubaniec o nadludzkich siłach wytrzymałby napięcie, którym tam pieściło.

- Cholera! No to jesteśmy w punkcie wyjścia. Kiedy się przegrupują, będziesz musiał znowu robić rzeź, tylko że teraz nie mogą się schronić w żadnej siedzibie sekty.

- Tym razem domagam się wstrzymania ruchu na kolei na czas nieokreślony - rzekł Pacyfik Północny. - Nie możemy pozwolić, żeby zwiali z Nowego Jorku.

- Popieram - powiedziała Europa Zachodnia.

- Tylko dlatego, że się boisz następnego głosowania.

- Odłóżmy na bok osobiste animozje. Panujemy nad sytuacją.

- Naprawdę? To gdzie jest Quinn Dexter?

- Zlikwiduję go w odpowiednim czasie.

- Weź ty się lecz...

\*

Była to gwiazda typu widmowego K5, mająca swój numer katalogowy, ale nic więcej. Wokół niej krążyły tylko trzy planety: dwie mniejsze od Marsa i gazowy olbrzym o średnicy pięćdziesięciu

tyśiący kilometrów. Niczym się nie wyróżniająca w kategoriach astronomicznych, znajdowała się czterdzieści jeden lat świetlnych poza luźnymi granicami Konfederacji. W roku 2530 przybył tu statek zwiadowczy, którego dowódca natychmiast zdecydował o jej nieprzydatności. Gdyby wierzyć oficjalnym wykazom, ludzie więcej nie odwiedzali tego jałowego układu. Okręty Floty nigdy się tu nie zapuszczały. Zresztą patrole szukające śladów przestępczej działalności w Konfederacji i za jej granicami i tak już były zbyt nieliczne. Chociaż wianek sąsiednich gwiazd świetnie się nadawał do mafijnych operacji bądź ryzykownych, niezależnych przedsięwzięć kolonizacyjnych, odległość czterdziestu jeden lat świetlnych była już odrobinę za duża, by usprawiedliwiać wydatki na regularne loty inspekcyjne.

Nielegalny kartel mógł tu się czuć bezpiecznie. Stacja produkcji antymaterii krążyła pięć milionów kilometrów od powierzchni gwiazdy, zbudowano ją bowiem z wykorzystaniem najnowszych zdobyczy ludzkiej inżynierii materiałowej. Promieniowanie, żar, cząstki, pole magnetyczne - wszystko to wywierało olbrzymią presję na konstrukcję i urządzenia. Zbliżający się statek zobaczyłby zwykły czarny dysk, szybujący na tle rozpalonej tarczy Słońca. Ze swoją średnicą sześćdziesięciu kilometrów stacja tworzyła długą, stożkową strefę cienia, ażyl dla każdej istoty w tej piekielnej okolicy. Półprzewodnikowe baterie na powierzchni zwróconej w stronę gwiazdy przypominały promienistą harmonię; pochłaniały kolosalną energię promieni słonecznych i przetwarzały ją bezpośrednio na energię elektryczną. Z tyłu były lekko zaróżowione: wykorzystywały własny cień, by obciążenie cieplne nie przekroczyło wartości dopuszczalnej. Ogółem baterie były w stanie produkować moc przeszło półtora terawata.

Agregaty do produkcji antymaterii mieściły się w kanciastych, srebrzystobiałych modułach pośrodku zespołu baterii. Stara, poczciwa metoda wytwarzania antymaterii właściwie nie zmieniła się od drugiej połowy XX wieku, lecz skala i wydajność zasadniczo wzrosły od chwili, gdy w laboratoriach fizyki wysokich energii otrzymano pierwsze antyprotony. Produkcja wymaga takiego przyspieszania poszczególnych protonów, aby ich energia przekroczyła gigaelektronowolt, w którym to momencie energia każdego z nich w większym stopniu zależy od prędkości niż od masy. Po spełnieniu tego warunku zderzają się z ciężkimi jądrami atomowymi, co skutkuje powstaniem rozmaitych cząstek elementarnych, w tym antyprotonów, antyelektronów i antyneutronów. Cząstki są następnie rozdzielane, grupowane, schładzane i łączone w antywodór. Właśnie ów pierwszy etap przyspieszania protonów pochłania te niewyobrażalne ilości energii, jaką wytwarza układ baterii słonecznych.

Całością produkcji kierował zespół dwudziestu pięciu techników, mieszkających w obrotowym, karbotanowym kole, umieszczonym pośrodku strefy cienia za potężnymi osłonami. Niedawno dołączyło do nich ośmiu przedstawicieli Organizacji, którzy przejęli nad wszystkim kontrolę. Opanowanie stacji było śmiesznie łatwym zadaniem.

Ponieważ nielegalny kartel, nie zaniebując podstawowych środków bezpieczeństwa, wszczepiał zmodyfikowany nanosystem każdemu, kto poznał lokalizację stacji, odwiedzający te strony mogli należeć tylko do dwóch grup: autentycznych klientów bądź patroli Sił Powietrznych Konfederacji wysłanych z misją typu odszukaj i zniszcz. Przybycie przedstawicieli Ala Capone było szokiem dla pracowników stacji, których nędzna broń ręczna nie nadawała się do walki z opętanymi. Mogli się tylko zabawić w kamikadze, lecz po zapoznaniu się z propozycjami i warunkami Organizacji odłożyli ten pomysł na czas nieokreślony. Powstał kruchy, czasem dość uciążliwy mariaż potrzeby i strachu, przerabiany już na Nowej Kalifornii.

Odkąd pierwszy konwój Organizacji zarekwirował absolutnie całą antymaterię, stacja maksymalnie wykorzystywała swoje moce produkcyjne, żeby zrealizować kolosalne zamówienia

Capone. Co pięć, sześć dni przybywały z Nowej Kalifornii statki po towar.

\*

Eskadra admirała Saldany nie zamierzała zbliżyć się podstępnie, kiedy już wynurzyła się w układzie dwadzieścia pięć milionów kilometrów od Słońca. Okręty Floty zawsze miały przygniatającą przewagę nad wytropionymi stacjami. Głęboko w obrębie pola grawitacyjnego gwiazdy obsługa stacji nie miała szans na szybką ewakuację. W takich warunkach broń defensywna nie zdawała egzaminu. Nawet antimateria, używana do budowy napędu i głowic bojowych, nie mogła zaważyć na zwycięstwie. Blisko gwiazdy czujniki os bojowych były prawie ślepe.

Zgodnie ze standardową procedurą wojskową okręty wystrzeliwały salwę pocisków uderzeniowych na orbitę wsteczną, dzięki czemu stacja w krótkim czasie traciła wszystkie osy bojowe i mogła się już bronić tylko bronią promieniową. Gdy nadlatywał rój dziesięciu tysięcy harpunów, prawdopodobieństwo zestrzelenia wszystkich równało się zeru. Oczywiście przy założeniu, że czujniki stacji wykryłyby niebezpieczeństwo. W większości wypadków słoneczne piekło stanowiło doskonały kamuflaż. A że okręty Floty nigdy nie wysyłały ostrzeżenia, stacja najczęściej dowiadywała się o ich obecności, gdy pierwszy pocisk trafiał w cel.

Wystarczyło jedno dokładne trafienie w agregat produkcyjny. Eksplozja zapoczątkowywała reakcję łańcuchową w komorach utrzymania antimaterii. W efekcie wybuch mógł mieć moc wystarczającą do zniszczenia pięciu czy sześciu planet, zależnie od ilości substancji przechowywanej w zbiornikach.

Tym razem akcję należało przeprowadzić inaczej. Meredith Saldana czekał z niecierpliwością na mostku kapitańskim "Arikary", aż jastrzębie małymi skokami zajmą stanowiska wokół gwiazdy.

Każdy wystrzelił grupę niedużych czujników satelitarnych, badających potężną magnetosferę, w której wszyscy się znaleźli.

Zlokalizowanie stacji nie przysporzyło trudności, lecz ze względu na olbrzymi wycinek badanej przestrzeni zabrało trochę czasu. Komputer taktyczny "Arikary" otrzymywał datawizyjne przekazy z satelitów i sklejał z nich spójny obraz najbliższego sąsiedztwa gwiazdy. Kiedy otrzymał wszystkie potrzebne informacje, pokazał Słońce jako ciemną kulę, otoczoną warstwowymi powłokami złotawej poświaty. Najgłębsza powłoka burzyła się jak morze w czasie sztormu, szarpana i wyginana w takt zmian pola magnetycznego, następne stopniowo się wygładzały.

Po kołowej orbicie wokół Słońca poruszał się maleńki, poskręcany węzełek miedzianego światła. Na to wszystko komputer nałożył pozycję eskadry i Meredith zaczął wydawać rozkazy. Jastrzębie, wrażliwe na temperaturę i promieniowanie, pozostały na swoich pozycjach, aby wypatrywać wynurzających się obcych statków. Okręty adamistów wyrwały się naprzód. Osiem fregat weszło na orbitę o dużym nachyleniu, skąd mogły storpedować stację pociskami uderzeniowymi. Pozostałe okręty, łącznie z "Lady Makbet", ustawiły się na kursie przechwytyjącym i wystartowały z przyspieszeniem 3 g.

W odległości trzech milionów kilometrów główna antena telekomunikacyjna "Arikary" nakierowała się na stację i wysłała maksymalnie wzmocniony sygnał:

- Uwaga, komunikat do zarządcy stacji - oświadczył datawizyjnie Meredith. - Tu "Arikara", okręt Sił Powietrznych Konfederacji. Nielegalna działalność stacji dobiegła końca. Produkcję antimaterii, zasługujecie na karę śmierci, lecz upoważniono mnie do przetransportowania was do kolonii karnej, jeśli zgodzicie się współpracować. Propozycja obejmuje wszystkich opętanych przebywających na stacji. Czekam na odpowiedź godzinę. Brak odpowiedzi będzie równoznaczny z odmową, stacja zostanie zniszczona. - Poleciał komputerowi pokładowemu powtórzyć wiadomość.

Eskadra czekała. Dopiero po dziesięciu minutach dotarł pełen trzasków sygnał ze stacji:

- Mówi Renko. Dowodzę stacją z polecenia Ala. Wypierdalajcie stąd, bo po całym Słońcu rozrzucę wasze pedalskie dupy! Rozumiesz mnie, kolego?

Meredith przeniósł wzrok nad fotelami amortyzacyjnymi w stronę porucznika Grese. Mimo przeciążenia oficer wywiadu zdobył się na uśmiech.

- Mamy przełom - stwierdził. - Cokolwiek się stanie, dorwaliśmy fabrykę, w której zaopatruje się Capone.

- Myślę, że Flocie należy się odrobina wytchnienia - rzekł Meredith. - Przynajmniej nam, żołnierzom frontowym.

- Będzie musiał zrezygnować z tych cholernych desantów i zostawić sobie resztki antimaterii na obronę Nowej Kalifornii.

- To fakt. - Meredith w dość dobrym humorze polecił komputerowi przesłać na stację datawizyjną odpowiedź: - Przedyskutuj to z ludźmi, Renko. Stoicie na straconej pozycji. Nam wystarczy wystrzelić jeden pocisk na godzinę, wy musicie odpalić pięć, by mieć pewność, że się nie przebije. Nie spieszy nam się, możemy tak sobie strzelać dwa tygodnie. Po prostu nie macie szans. A zatem przyjmujecie propozycję czy wracacie w zaświaty?

- Niezły bluff, ale tylko bluff. Nie damy się nabrać. Za dobrze was znam, wrąbiecie nas do kapsuł zerowych, gdy tylko podniesiemy ręce.

- Jeśli chcesz wiedzieć, rozmawiasz z kontradmirałem Meredithem Saldaną, który daje ci słowo, że zostanieie przewiezieni na niezamieszkaną planetę, na której może żyć człowiek. Jaką macie alternatywę? Jeśli zaatakujemy stację, wrócicie w zaświaty. Jeśli kłamię z tą planetą karną, też oczywiście wrócicie, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że jednak nie kłamię. Chcecie zmarnować taką szansę?

Tak samo jak cała eskadra, Joshua musiał czekać na odpowiedź dwadzieścia minut. Ostatecznie Renko zgodził się poddać.

- Dobra nasza! - Ucieszył się Joshua. Ze względu na duże przyspieszenie nie mógł się uśmiechnąć, lecz w jego z trudem wypowiedzianych słowach przebijała radość.

- Boże, druga strona mgławicy - podniecał się Liol. - Gdzie najdalej doleciał człowiek?

- W 2570 roku grupa zwiadowcza jastrzębi oddaliła się na odległość sześciuset osiemdziesięciu lat świetlnych od Ziemi - odparł Samuel. - Obróła kurs na galaktyczną północ, my lecimy w inną stronę.

- Przegapiłem to wydarzenie - zasmucił się Ashly. - Napotkali coś ciekawego?

Samuel zamknął oczy i zadał pytanie jastrzębiom, krążącym na orbitach w odległości milionów kilometrów.

- Nie przeżyli niezwykłych, dramatycznych przygód. Były gwiazdy z jałowymi planetami, były gwiazdy z planetami, które wyglądały na terrakompatybilne. Nie odkryto inteligentnych gatunków ksenobiotycznych.

- Flota Południkowa zapuściła się dalej - wtrąciła Beaulieu.

- Jeśli wierzyć legendom - odparł Dahybi. - Nikt nie wie, gdzie zniknęła. Tak czy owak, to było kilkaset lat temu.

- No więc logicznie biorąc, musiała daleko zalecieć, skoro nikt jej nie znalazł.

- Wraków nie znalazł, chciałaś powiedzieć.

- Straszny z ciebie pesymista.

- Tak sądzisz? Hej, Monica! - Dahybi dźwignął rękę, którą przeciążenie momentalnie wbiło w fotel. - A wy nie wiecie, dokąd poleciecieli? Może gdzieś na nas czekają?

Monica uporczywie wpatrywała się w sufit w swoim przedziale. Bólu promieniującego spod ściśniętych gałek ocznych nie potrafił zwalczyć żaden program. Nie znosiła dużych przyspieszeń.

- Nie - odpowiedziała datawizyjnie, podczas gdy jej gardło cierpiało na równi z resztą ciała. Złościło ją, że nie może zabarwić uczuciem swojej digitalizowanej mowy. Co prawda wiedziała, że powarkiwaniem na załogę nie zaskarbi sobie jej przyjaźni, lecz te ich nieustające rozmowy o pierdołach zaczynały ją wkurzać. A przecież musiała wytrzymać w tym towarzystwie co najmniej miesiąc. - Kiedy wyruszała Flota Południkowa, ESA była jeszcze w powijakach. Ale nawet dzisiaj wątpię, czy chciałoby się nam infiltrować kretynów, którzy szukają raję.

- Wolę nie wiedzieć, co nas spotka - rzekł Joshua. - Przecież w gruncie rzeczy to wyprawa odkrywczą. Jesteśmy podróżnikami zdanymi na własne siły. Od stu lat takich nie było.

- Amen, kolego - przyklasnął Ashly.

- Nawet tu, gdzie jesteśmy, rzadko kto bywa - powiedział Liol. - Popatrzcie na tę stację.

- Standardowe moduły przemysłowe - zadrwił Dahybi. - Ani to egzotyka, ani cudo techniki.

Liol westchnął ze smutkiem.

- Dobra, będziemy podchodzić do punktu wtryskowego - oznajmił Joshua. - Jaki jest stan urządzeń? Kadłub się trzyma? - Komputer pokładowy przekazywał obrazy z czujników wprost do jego neuronowego nanosystemu. W pełni rozpostarte panele termozrzutu stale się przekręcały, kierując wąskie krawędzie na prażącą tarczę Słońca. Płaska strona mocno się zaróżowiła w trakcie wypromieniowywania ciepła nagromadzonego w statku. Joshua tak zaprogramował wektor lotu, żeby statek obracał się w cyklu piętnastu minut, dzięki czemu olbrzymi żar mógł rozkładać się równo na powierzchni kadłuba. Delikatne manewry odbywały się wolno ze względu na ciężar dodatkowej masy reakcyjnej, lecz programy do kompensacji odchyień radziły sobie z tym problemem, pod warunkiem że im pomagał.

- Na razie żadnego przegrzania - zameldowała Sara. - Dodatkowa warstwa pianki z nultermu spisuje się znakomicie. Za to chwytamy mnóstwo promieniowania cząstkowego, o wiele więcej niż normalnie. Musimy na nie uważać.

- Stracimy je za osłoną - powiedział Liol. - Już niedługo.

- Widzisz? - Zwróciła się Beaulieu do Dahybiego. - Otaczają cię optymiści.

Okręty przechwytyjące zajmowały ściśle określone miejsce na orbicie trzy tysiące kilometrów za stacją. Gdyby Renko teraz postanowił wyłączyć komory utrzymania antymaterii, powybuchowa fala promieniowania poważnie nadwężyłaby osłony statków. Na razie wszystko szło dobrze. Renko wydawał się pogodzony z porażką.

Komandor Kroeber negocjował przebieg operacji: Statek cywilny cumujący na stacji odleci z kompletną załogą, a następnie przycumuje do jednego z krążowników eskadry. Opętani opuszczą pokład i na czas trwania lotu udadzą się do kabiny aresztanckiej pod strażą uzbrojonych żołnierzy. Jeżeli z jakiegokolwiek powodu przyjdzie im do głowy użyć energistycznej mocy, w areszcie popłynie prąd o napięciu 40 kilowoltów. Krążownik, eskortowany przez dwie fregaty, poleci bezpośrednio na niezamieszkaną, terrakompatybilną planetę, obecnie będącą w połowie epoki lodowcowej. Wyposażeni w sprzęt niezbędny do przetrwania, zostaną wstrzeleni do strefy równikowej w jednorazowych kapsułach. Konfederacja nie będzie utrzymywać kontaktu z tą planetą z wyjątkiem przysyłania następnych opętanych, z którymi zawrze tak niespotykane umowy.

Kroeber zasugerował też, że mogliby pomagać CNIS-owi w badaniach nad energistyczną mocą do czasu rozwiązania kryzysu, lecz tę sugestię z miejsca odrzucili.

Po osadzeniu opętanych w areszcie drugi krążownik przycumuje do statku, przejmie stały personel stacji i przewiezie go na planetę karną. Całkowita kontrola nad urządzeniami przejdzie w

ręce inżynierów wojskowych, którzy za pomocą zdalnych komend sprawdzą swoje nowe królestwo. Jeśli uzyskają dostęp do wszystkich systemów, trzeci krążownik przycumuje do stacji, a oddział piechoty przeprowadzi akcję zajęcia i zabezpieczenia terenu.

Po krótkich targach, głównie związanych ze sprzętem, jaki opętani mieli zabrać na zaśnieżoną planetę, Renko poszedł na ugodę. Załoga "Lady Makbet" za pośrednictwem czujników obserwowała bieg wydarzeń. Transport więźniów odbył się bez komplikacji, w niecały dzień było po wszystkim. Datawizyjny przekaz z pierwszego krążownika pokazywał opętanych: wystroili się w eleganckie dwurzędowe garnitury, a prowadzeni do aresztu, bezwstydnie się śmiali. Personel stacji nie krył zadowolenia, że skończy się tylko na planecie karnej. Bez szemrania udostępnił wszelkie kody dostępu.

- Może pan cumować, kapitanie Calvert - oznajmił datawizyjnie admirał Saldana. - Porucznik Grese poinformował mnie, że mamy pełną kontrolę nad stacją. Ilość antymaterii w zbiornikach z pewnością odpowiada pańskim wymaganiom.

- Dziękuję, sir. - Joshua uruchomił napęd termojądrowy. Banalnie prosty manewr podejścia do stacji wyliczył już sobie wiele godzin wcześniej. Przyspieszyć, odwrócić się, wyhamować.

Byli już w cieniu stacji i rozpoczynali procedurę cumowania, kiedy pojawił się konwój Organizacji.

\*

- Jedenaście, sir - powiedział porucznik Rhoecus. - Punkt wynurzenia: sto trzydzieści siedem milionów kilometrów od gwiazdy, sto czterdzieści trzy miliony kilometrów od stacji.

- Stopień zagrożenia? - Typowe, pomyślał admirał. Misja prawie zakończona, a tu znowu coś nam przeszkadza.

- Minimalny. - Oficer łącznikowy edenistów sprawiał wrażenie zadowolonego. - "Ilex" i "Oenone" meldują, że formację wroga tworzy pięć piekielnych jastrzębi i sześć fregat. Piekielne jastrzębie nie skoczą do nas, nie na ten pułap. Nawet jeśli przyjmiemy, że fregaty są wyposażone w osy bojowe z napędem na antymaterię, leciałyby do nas wiele godzin z ciągłym przyspieszeniem, a jeszcze nie słyszałem o osie z paliwem na godzinę lotu.

- Chyba że są robione na specjalne zamówienie - przyznał Grese. - Moim zdaniem Capone nie pomyśli o czymś takim. Zresztą gdyby istniały, odległość jest taka, że łatwo wykonamy unik.

- Wobec tego Calvert może kontynuować?

- Tak, sir.

- Świetnie. Kroeber, proszę zezwolić "Lady Makbet" na wykonanie dalszej części planu. Byłoby dobrze, gdyby nasz zacny kapitan nie marnował czasu.

- Aye, sir.

Meredith zapoznał się z planem sytuacyjnym. Jastrząb "Oenone" znajdował się zaledwie pięć milionów kilometrów od zespołu okrętów Organizacji.

- Poruczniku Rhoecus, niech jastrzębie zgrupują się dwadzieścia pięć milionów kilometrów nad stacją. Nie chcę, żeby były od siebie odizolowane, bo piekielne jastrzębie jeszcze coś zmagstrują. Komandorze Kroeber, niech reszta eskadry dołączy do jastrzębi, fregaty spotkają się z nami na orbicie o dużym nachyleniu. Dwie fregaty czekają przy stacji, aż "Lady Makbet" zakończy tankowanie. Gdy się oddalą na bezpieczną odległość, stacja ma zostać zniszczona.

- Aye, sir.

Meredith polecił komputerowi taktycznemu opracować przewidywalny rozwój wydarzeń. Szacunki komputera w zasadzie pokrywały się z jego własnymi. Obie strony miały równe szanse. On posiadał więcej statków, Organizacja wyposażała swoje w osy z napędem na antymaterię. Gdyby



wydał rozkaz przechwycenia wroga, eskadrę czekałby wielogodzinny pościg. A przecież okręty Organizacji uciekłyby tunelem czasoprzestrzennym - wówczas tylko jastrzębie dałyby radę dalej prowadzić pościg. Tyle że dysponowałyby mniejszą siłą ognia.

A zatem impas. Żadna strona nie mogła zaszkodzić drugiej.

Nie powinienem jednak pozwalać im spokojnie odlecieć, pomyślał Meredith. Stworzyłbym niepotrzebny precedens.

- Poruczniku Grese, co nam wiadomo o nieopętanych ludziach w załogach okrętów Organizacji? Jakiego haka ma na nich Capone?

- Z sesji dochodzeniowych wynika, że ich rodziny są zakładnikami na Montereyu. Capone starannie dobiera ludzi mających kontakt z antymaterią. Na razie jego sposób się sprawdza. Niektóre załogi okrętów Organizacji zdołały zbiec po zlikwidowaniu opętanych oficerów, choć nie słyszeliśmy o próbie buntu na statku przewożącym antymaterię.

- Szkoda - mruknął Meredith, kiedy "Arikara" przyspieszyła na spotkanie z jastrzębiami. - Tak czy inaczej, wystosuję do nich to samo ultimatum, jakie dostała obsługa stacji. A nuż szansa na złożenie broni stanie się zarzewiem jakiejś małej rebelii?

\*

Etchells słuchał wiadomości, którą admirał wysyłał konwojowi. Mglistych, mało wiarygodnych obietnic wstrzymania się od użycia broni i bezpiecznego transportu na planetę karną. Puszczal je mimo uszu.

- Ponawiamy propozycję w imieniu edenistów - dodały jastrzębie. - Prześlij nam osobowość nosiciela, to zapewnimy ci dostatek pokarmu. W zamian prosimy o pomoc w szukaniu kompromisowego rozwiązania.

- Nie wazcie się, gnoje, odpowiadać! - Przestrzegł Etchells swoich kamratów, piekielne jastrzębie. - Strach im dupę ściska. Nie proponowaliby czegoś takiego, gdyby nie byli w rozpaczliwej sytuacji.

Wyczuł niepewność tętniącą w paśmie afinicznym. Nikt jednak nie ośmielił się przeciwstawić mu bezpośrednio. Zadowolony z tego, że trzyma ich za mordę, poprosił o instrukcje dowódcę konwoju.

- Wycofujemy się - nadeszła odpowiedź. - Nic tu nie zdziałamy.

Etchells nie był tego taki pewien. Flota nie zniszczyła stacji, co kłóciło się z sankcjami obowiązującymi w Konfederacji. Musiał być jakiś arcyważny powód takiej zmiany polityki.

- Powinniśmy zostać - odpowiedział dowódcy konwoju. - Nawet gdyby chcieli, przez parę godzin nic nam nie zrobią. Mamy szansę odkryć, co tu kombinują. Jeśli planują użyć przeciwko nam antymaterii, trzeba ostrzec Capone.

Dowódca zgodził się z ociąganiem, ale wydał rozkaz, żeby statki adamistów przemieściły się do punktu o współrzędnych skoku do Nowej Kalifornii, a piekielne jastrzębie nadal obserwowały stację.

Kierowanie wzroku wprost na rozpaloną tarczę Słońca było nader uciążliwe. Pęczermom sensorowym Etchellsa zaczęły dokuczać jasne plamy, przypominające fioletowe powidoki, jakie nekają ludzkie oczy. Zaczął się leniwie obracać i skręcać czarne krawędzie skrzydeł, tak aby zasłonić się przed strumieniami cząstek wiatru słonecznego i przekazywać zadanie obserwacji kolejnym pęczermom. Pomimo to ciągle wpatrywanie się w mikroskopijny punkcik, oddalony o miliony kilometrów, męczyło go jak mało co. Ból głowy zaczynał szarpać zawłaszczoną strukturą neuronową.

Nie korzystał z czujników elektronicznych, umieszczonych w przedziałach ładunkowych, ponieważ były to w większości urządzenia do zastosowań wojskowych, pomocne w czasie

odpierania ataku. A polem dystorsyjnym nie sięgnąłby tak daleko. Mógł polegać jedynie na paśmie optycznym. Patrzył więc, jak należące do Sił Powietrznych statki adamistów przyspieszają, wychodząc z olbrzymiego pola grawitacyjnego gwiazdy - świetliste kropeczki, jaśniejsze od fotosfery.

Pół godziny później obok stacji zapłonęły następne trzy silniki termonuklearne. Dwa ogniki ruszyły w ślad za okrętami eskadry, ostatni obrał kurs zupełnie inny: okrążał południową półkulę Słońca, wspinając się po orbicie o bardzo dużym nachyleniu.

Etchells szeroko otworzył dziób i w wyobraźni wydał triumfalny okrzyk. Cokolwiek robił ów samotny statek, to z jego powodu wojsko tak dziwnie się zachowywało. Przekazał kilka gorączkowych instrukcji pozostałym piekielnym jastrzębiom. Mimo swojego brutalnego charakteru w znacznym stopniu polegał na informacjach wydobytych z umysłu nosiciela. Maskę ślepej zawziętości zakładał z pełną premedytacją. Niech wróg uważa, że jesteś głupszy od niego. Wysługując się Kierze, stał się jej najbardziej zaufanym poplecznikiem, dzięki czemu oszczędzała mu tych szalonych operacji desantowych i nie zlecała niebezpiecznych zadań. Eskortowanie konwoju było chyba najłżejszą fuchą.

Dziesiątki lat straconych na tułaczce po Konfederacji, wypełnianiu kretyńskich zleceń najemniczych, nauczyły go jednego: ukrywania swoich prawdziwych zdolności. Sztuka przeżycia opierała się na inteligencji i nikczemnym cwaniactwie, nie na szlachetnej odwadze. A nie miał wątpliwości, że jeśli chce jeszcze trochę pożyć, musi wykazać się całym swoim sprytem. Podobnie jak Rocio w "Mindori", podziwiał swoją nową technobioryczną powłokę i przedkładał ją nad ludzkie ciało. Chociaż ciągle jeszcze debatował, jak ją sobie zatrzymać. Był pewien, że tam, dokąd opętani zabierają planety, uciekając przed wszechświatem, nie będzie miejsca dla piekielnych jastrzębi. A Konfederacja nie spocznie, póki nie opracuje metody permanentnego wyganiania dusz z powrotem w zaświaty.

Tak więc czekał w przyczajeniu i toczył wkoło swoim wielkim, żółciejącym okiem w nadziei, że trafi mu się okazja uratowania tyłka. A koledzy? Do diabła z nimi!

Niekonwencjonalne poczynania Sił Powietrznych mogły oznaczać przełom, o którym marzył.

Kiedy ostatnie trzy statki znajdowały się w odległości trzydziestu tysięcy kilometrów od fabryki antymaterii, eksplodowała z blaskiem, który przyćmił protuberancję wylatującą łukiem nad chromosferę. Piekielne jastrzębie, pogodzone z porażką, skoczyły poza układ.

Jastrzębie przeanalizowały pola dystorsyjne, które swoim naciskiem na czasoprzestrzeń otworzyły wloty tuneli. Każdy z pięciu statków zdawał się wracać do Nowej Kalifornii.

- Pozostawiły fregaty w trudnym położeniu - zameldował Rhoecusowi Auster, dowódca "Ilexa". - Jakie są rozkazy admirała?

- Zostańcie na swojej pozycji. Jeśli zaatakujecie, skoczą i tyle. Możemy je nękać w drodze powrotnej, lecz nie przyniesie nam to żadnej korzyści. Cel misji został zrealizowany.

- Rozumiem.

- Syrinx?

- Słucham - odpowiedziała Rhoecusowi.

- "Oenone" może lecieć na spotkanie z "Lady Makbet". Admirał życzy wam obojgu szczęśliwej podróży.

- Dziękuję.

Etchells wątpił, czy jastrzębie pójdą ich tropem, a nawet jeśli, to nie od razu. Piekielne jastrzębie przeskoczyły dziesięć lat świetlnych, a trzy sekundy później wykonały następny skok. Jeśli świadkiem tego skoku nie był żaden jastrząb, to już nikt nie mógł sprawdzić, dokąd się udali.

Cztery piekielne jastrzębie poleciały do Nowej Kalifornii, Etchells jednak wrócił w pobliże gwiazdy. Wynurzył się dwadzieścia dwa miliony kilometrów od bieguna południowego. Ponieważ jastrzębie nadal przebywały w grupie na orbicie równikowej dwadzieścia pięć milionów kilometrów od Słońca, nie miały szans dostrzec otwierającego się i zamykającego terminala tunelu czasoprzestrzennego. Ze swojego miejsca mógł swobodnie obserwować okręty Sił Powietrznych, które wznosiły się na wyższy pułap. Pęcherze sensorowe nie musiały już koncentrować się na porażającej bieli Słońca. Nawet ból głowy zaczął ustępować.

Wciąż pobieżnie zerkał na okręty wojenne, wydostające się z pola grawitacyjnego, lecz interesował go przede wszystkim samotny statek odlatujący na południe. W odległości dwudziestu milionów kilometrów od gwiazdy statek wyłączył silniki. Etchells wyliczył jego kurs i zaczął grzebać w swojej przywłaszczonej pamięci, a ściślej, w danych kosmicznych. Biorąc pod uwagę trajektorię skoku, statek mógł zmierzać do dwudziestu układów słonecznych w Konfederacji. A także do Hesperii-LN, planety Tyrataków.

Courtney siedziała przy barze piętnaście minut. Czterech facetów chciało postawić jej drinka. Dawniej bywało ich więcej, lecz od paru dni ludzie woleli siedzieć w domu. Nawet "Błękitna Orchidea" cierpiała z powodu potwornych historii, krążących w sieci. Dziś znów klientela zawiodła. Normalnie w nocy o tej porze byłby tu ścisk. W tego rodzaju klubach, szanujących się na tyle, by nie mieć rangi speluny, kierownicy niższego i średniego szczebla przesiadywali po pracy bez obawy, że zobaczy ich ktoś z firmy. Courtney zaglądała już do gorszych lokali. Bramkarze się nie czepiali, chociaż tyłek dosłownie wrywał jej się spod wieczorowej sukienki. Lubiła tę sukienkę z czarnego, chłodnego materiału, której ramiączka zmysłowo podnosiły cycuszki i krzyżowały się na głęboko wyciętych plecach. Wyglądała w niej na gorącą laskę, lecz nie na tanią zdzirę.

Banneth powiedziała, że świetnie na niej leży. Najlepszą rzeczą, którą dostała od sekty, była właśnie ta sukienka. Nigdy wcześniej nie czuła się tak kobieco. A jakie efekty! Nie było nocy, żeby nie udały się łowy. Czasem nawet dwa razy punktowała. Podobała jej się ta fucha, zaciąganie facetów do hotelu studenckiego, którego właściciela sekta trzymała w garści. Frajer ściągał portki, a tu do pokoju wpadali Billy-Joe, Rav i Julie i spuszczały mu łomot. Kiedy leżał nieprzytomny, Billy-Joe przegrywał bioelektryczny wzorzec i czyścił mu dysk kredytowy.

Mniej więcej tym właśnie zajmowała się od trzech lat, odkąd brat przedstawił ją Nosicielowi Światła. Tyle że na początku umawiała się ze zбочonymi pedofilami, którzy zabierali ją do własnych kryjówek lub ciągnęli na koniec ciemnej alejki w śródmieściu. Wtedy jej alfonsiem był jeszcze Quinn Dexter. Co dziwne, kiedy czuwał nad nią, czuła się najbezpieczniej. Gość miał nieźle narąbane w głowie, ale zawsze zjawiał się w porę.

Teraz miała piętnaście lat. Urosła na tyle, że nie mogła już uchodzić za małą dziewczynkę. Banneth zaczęła jej dawać inne hormony. Nowe prochy nie hamowały rozwoju piersi, wręcz przeciwnie, stymulowały ich wzrost. Nadal miała drobną posturę, ale do tego okazałe balony. W ciągu dziewięciu miesięcy zmieniła jej się grupa docelowa. Nie kusiała już zboków, tylko życiowe ofiermy. Uważała, że zmiana wyszła jej na dobre. Duże cycy były jedną z mniejszych modyfikacji, jakim Banneth poddawała członków sekty.

Piąty facet, który spytał ją o samopoczucie i zaoferował się postawić drinka, miał wszystko co trzeba. Nadwagę, nalaną twarz i spocone czoło, włosy ulizane żelem, dobry garnitur po wielu czyszczeniach. Patrzył na nią niepewnie, jakby się spodziewał dostać po pysku. Courtney dopiła drinka i z uśmiechem podała mu pustą szklanę.

- Dzięki.

Był za gruby na tańce. A szkoda, bo lubiła sobie potańczyć. Musiała więc przez godzinę siedzieć i wysłuchiwać jego jójczenia - na szefa, rodzinę, mieszkanie, jak to w życiu nic mu się nie układało. Marudził tyle pewnie po to, aby sobie pomyślała, że jest zwykłym chłopem z krwi i kości, który ostatnio przeżywa ciężkie chwile. Spodziewał się po niej, że da mu z litości.

Odzywała się jak trzeba i kiedy trzeba. Tak wiele już w klubach widziała, że wyczytałaby z jego twarzy połowę życiorysu. Świadczył o tym fakt, że jeszcze nigdy się nie pomyliła. Ofiary zawsze miały przy sobie dysk z kupą kasy. Po godzinie i trzech drinkach ośmielił się wreszcie wysunąć niewinną propozycję. I zdziwił się co niemiara, bo w odpowiedzi uśmiechnęła się zalotnie i skwapliwie pokiwała głową.

Na szczęście nie było daleko do hotelu studenckiego. Nie lubiła wsiadać z klientami do taksówki, ponieważ Billy-Joe mógł ich przez Przypadek zgubić. Nie obejrzała się, żeby sprawdzić, czy trzej członkowie sekty idą za nimi chodnikiem. Na pewno szli. Łowy stały się dla nich prostą

rutyną.

Tym niemniej dwa razy miała wrażenie, że słyszy z tyłu czyjeś kroki. Bardzo wyraźne, charakterystyczne stukanie obcasów podkutych blachą. Głupi pomysł: przecież ulicą przetaczały się tabuny ludzi. Kiedy ukradkiem zerknęła przez ramię, nie zobaczyła nikogo, kto przypominałby gliniarza. Tylko bandę zagonionych przechodniów, którym się ubrdało, że ich debilne życie coś znaczy.

Jedynie gliniarzy się bała. Nawet przy założeniu, że najwyżej co czwarta ofiara zgłasza na policji napad i rabunek, jednostka sztucznej inteligencji prędko znalazłaby prawidłowości. Ale Banneth wiedziałaby, że kroi się akcja. Banneth wiedziała o wszystkim, co działo się w zasranym Edmontonie. Courtney zdawała sobie sprawę, że niektórzy akolici nie wierzą w Bożego Brata, lecz nie chcą wyjść z szeregu, bo szczają w gacie ze strachu przed Banneth.

- To tutaj - powiedziała facetowi. Zatrzymali się przed zdewastowanym wejściem do dwustuletniego wieżowca. Na schodach siedziało dwóch autentycznych studentów, pociągających na zmianę z inhalatora. Popatrzyli na Courtney szklistym, obojętnym wzrokiem. Pchnęła grubasa do holu.

W windzie wykonał pierwszy, ostrożny ruch. Miał ochotę na całusa, czego mu nie żałowała. Wpakował jej do gardła swój ozór. Na nic więcej nie starczyło mu czasu. Pokój wybrany na tę noc znajdował się na drugim piętrze. Jego prawdziwy właściciel błąkał się gdzieś po arkologii, odkąd nielegalny program stymulacyjny pozwierał mu neurony.

- Co studiujesz? - Zapytał, gdy już byli w środku.

Zbił ją z tropu. Nie wiedziała, jaką bajeczkę mu wcisnąć; klienci nie interesowali się czymś takim. I znikąd natchnienia. W skąpo oświetlonym pokoju, jak to u studentów, panował bajzel, wszędzie poniewierały się fleksy i ubrania, na rozklekotanym stole leżał dziesięcioletni blok biurkowy. Courtney nie umiała za dobrze czytać, toteż nie wiedziała, co jest napisane drobnym drukiem na pudełkach fleksów.

Prosta sprawa. Strząsnęła ramiączka i zakołysała cyckami. To go uciszyło. W ciągu trzydziestu sekund rzucił ją na łóżko, potem jedną rękę włożył jej pod sukienkę, a jednocześnie drugą miętosił pierś. Jęczała, jakby było jej dobrze, mając nadzieję, że wreszcie Billy-Joe - do cholery! - Wejdzie z ekipą do pokoju. Czasem kretyni czekali, aż gość ją zerznie. Oglądali przedstawienie za pomocą czujników lub przez jakąś dziurę, śmiali się po cichu i walili konia. Twierdzili, że jeśli wejdą później, nie będzie to wyglądało na zaaranżowany numer. Słuchając skarg, Banneth też się śmiała.

Facet ścigał jej majtki i z rozpaloną gębą obślinał sutki. Próbowwała się nie krzywić. Aż nagle zatrzęsała się z zimna; zdawać by się mogło, że pieprzony system klimatyzacji wtłoczył do pokoju arktyczne powietrze.

Mężczyzna mruknął ze zdziwieniem i uniósł głowę. Przez chwilę na siebie patrzyli, oboje zaskoczeni. Wtem czyjaś biała dłoń chwyciła go za nażelowane włosy i mocno szarpnęła. Krzyknął z bólu, gdy oderwano go od niej i rzucono na drugi koniec pokoju. Tłuszcioch z hałasem rąbnął o ścianę i osunął się na ziemię. Przy łóżku stała postać w czarnym habicie; przód kaptura pochylił się nad dziewczyną. Wiedząc, że nie jest to żaden pieprzony Billy-Joe, ani też nikt z ekipy, nabrała powietrza w płuca, aby krzyknąć.

- Cicho! - Ostrzegł nieznajomy. Z jaśniejącej ciemności pod kapturem wyłoniła się twarz.

- Quinn! - Pisnęła Courtney. Błady uśmiech zadrżał na jej wargach. - Quinn? Boży Bracie, skądżeś tu się wziął, do cholery?

Myślałam, że cię przetransportowali.

- To długa historia. Niedługo ci opowiem. - Odwrócił się, podszedł do rozdygotanego

grubasa, chwycił go za głowę i odchylił ją bezceremonialnie.

Nieszczęśliwemu naprężyła się skóra na gardle, odsłoniętym w całej okazałości.

- Quinn, co ty...? Faj! - Wstrząśnięta dziewczyna patrzyła z niezdrową ciekawością, jak z ust Quinna wyrastają ostre kły. Mrugnął do niej i nachylił się, żeby ugryźć faceta w szyję. Gdy pił krew, grdyka mu latała, na brodę spływały czerwone krople. Ofiara pojękiwała w śmiertelnej trwodze. - Kurwa, co za ohyda!

Quinn wyprostował się z szerokim uśmiechem i przetarł usta wierzchem dłoni, rozmazując krew.

- Powiedziałbym raczej, że ostateczne zwycięstwo. Krew jest najlepszym pokarmem dla człowieka. Pomyśl, wszystkie potrzebne mikroelementy starannie przetworzone i przygotowane do spożycia. Masz prawo żywić się sługusami fałszywego, przegranego boga. Wykorzystuj ich, Courtney, nabieraj siły, wzmacniaj ciało. - Spojrzał z góry na tłuszciocha, który zalany krwią palcami trzymał się za pokaleczone gardło.

Dziewczyna zachichotała nerwowo, słysząc ciche rżenie.

- Zmieniłeś się.

- Ty również.

- No! - Objęła swoje piersi i uniosła je wyżej. - Zobacz, jak mi urosły. Niezłe, co?

- Courtney, do diabła, jesteś najzwyklejszą szmatą.

Wyprostowała nogę i zakołysała butem na palcu.

- A mnie się podoba to, kim jestem, Quinn. To moja wężowa bestia, pamiętasz? Poczucie godności jest słabością tak samo jak reszta gówna na liście życzeń klasy średniej.

- Nie spałaś na kazaniach.

- Jasne, że nie.

- Co u Banneth?

- Po staremu.

- To się niedługo zmieni. Wróciłem. - Wyciągnął ręce i zaczął wykonywać proste gesty.

Pokój się zmieniał: ściany ciemniały, meble uzyskiwały czarną barwę żeliwa. Na metalowej poręczy łóżka pojawiły się kajdany.

Courtney z przerażeniem przyglądała się tym zjawiskom. Cofała się po skotłowanej pościeli skrajem łóżka, jak najdalej od Quinna.

- Cholera, ty jesteś opętany!

- Mylisz się - odpowiedział spokojnie. - To ja opętałem. To mnie Boży Brat uczynił swoim mesjaszem. Moc powracających dusz bierze się z siły woli. A nikt nie wierzy w siebie bardziej niż ja. Odzyskałem władzę nad ciałem, bo nasz Pan natchnął mnie do wielkiej wiary w siebie. Teraz jestem silniejszy od całej zgrai tych stukniętych, prymitywnych pojebusów.

Courtney rozluźniła się i przyjrzała mu uważniej.

- To naprawdę ty, co? Do samego końca? Masz własne ciało i w ogóle?

- Inteligencją to ty nigdy nie grzeszyłaś. Zresztą nie wzięliśmy cię do sekty, żebyś ruszała głową.

- Byłaś w Nowym Jorku? - Zapytała z niekłamanym podziwem. - Widziałam zamieszki w AV. Gliny tak się bały, że zabiły kupę ludzi w wieżowcach.

- Byłem tam jakiś czas temu. Byłem też w Paryżu, Bombaju i Johannesburgu, o czym policja jeszcze nie ma pojęcia. Potem postanowiłem się zająć swoimi sprawami.

- Fajnie, że przyjechałeś. - Zerwała się z łóżka, zarzuciła mu ręce na szyję i polizała go od ucha do ust. - Witaj w domu.

- Od dzisiaj mnie będziesz słuchała, nie Banneth.
- Dobrze. - Musnęła językiem krzepnącą krew na jego brodzie. Była słona i lepka.
- Będziesz mi we wszystkim posłuszna.
- Oczywiście.

Quinn skupił się na myślach tętniących w jej umyśle. Wiedział, że dziewczyna mówi prawdę. Dokładnie tego się po niej spodziewał. Otworzył drzwi i wpuścił pozostałą trójkę. Rava i Billy-Joe go znał z dawnych czasów, nie musiał się więc wysilać, żeby ich skłonić do posłuszeństwa. Pięć dorosłych osób ledwie się mieściło w małym studenckim pokoiku, od samych oddechów robiło się ciepłej. Szybkich oddechów przejętych, podekscytowanych ludzi. Ciekawiło ich, co teraz zrobi Quinn.

- Wróciłem na Ziemię, żeby sprowadzić noc - oznajmił. - Macie ważną rolę do spełnienia, podobnie jak opętani. W każdej arkologii założę swoją komórkę, lecz Edmonton ma dla mnie wyjątkowe znaczenie, bo tutaj mieszka Banneth.

- Co jej zrobisz? - Spytał Billy-Joe.

Quinn poklepał chudzielca po kościstym ramieniu.

- Najgorsze, co można sobie wyobrazić - odparł. - A ja miałem czas, żeby wyobrazić sobie to i owo.

Billy-Joe rozdziawił usta w głupkowskim uśmiechu.

- Ekstra!

Quinn popatrzył na grubasa, który dyszał jak ryba. Na posadzce utworzyła się ogromna, rozchlapana kałuża krwi.

- Umierasz - powiedział wesoło. - Tylko w jeden sposób możesz się uratować. - Na jego polecenie przesunęły się pola energii, wywierające na rzeczywistość szczególny nacisk. Z zaświatów zaczęły przenikać krzyki dusz. - Courtney, zrób mu krzywdę.

Wzruszyła ramionami i z całej siły kopnęła faceta w krocze. Przeszedł go dreszcz, oczy wyszły mu z orbit, a powieki zatrzepotały samoistnie. Z rany mocniej siknęła krew.

- Jeszcze raz - rozkazał spokojnie Quinn. W myślach stawiał warunki potępionym duszom, które cisnęły się przy wątej szczelinie między wymiarami. Wysłuchiwał błagań dusz twierdzących, że są godne. Dokonywał wyboru. Courtney zrobiła, co jej kazano. Patrzyła, zafascynowana, jak duch, prawdziwy umarłak przejmuje kontrolę nad zbitą ofiarą. Rana się zabiłiła. Zaczął sapać, oszołomiony. Na zgięciach zakrwawionej marynarki rozbłyskiwały cienkie smugi światła. - Dajcie mu się napić! - Gdy na jego polecenie Billy-Joe i Julie wyszukali w kredensie puszek z wodą mineralną, które otworzyli i podali wdzięcznemu opętanemu, zwrócił się do nowo opętanego: - Uzupełnienie krwi zajmie ci trochę czasu. Na razie leż i się nie przemęczaj. Popatrzysz sobie na przedstawienie.

- Dobrze, Quinn - bąknął opętany słabowitym głosem. Zdołał przewrócić się na plecy, choć kosztowało go to tyle wysiłku, że o mało nie zemdlął.

Żelazne kajdany odemknęły się z głośnym szczęknięciem. Courtney zerknęła na niego i spojrzała na Quinna pytającym wzrokiem. Habit już mu się rozpląwał.

- Wiesz, co się z nimi robi.

Strząsnęła z siebie sukienkę, pochyliła się nad łóżkiem i wsunęła ręce w bransolety. Zatrzasnęły się ze zgrzytem.

\*

Wynurzywszy się w rejonie planety Avon, "Ilex" promieniał uczuciem wielkiej satysfakcji i... Dokuczliwego głodu. Na Trafalgarze każdy edenista wychwycił emocjonalny przekaz jastrzębia i

uśmiechał się, słuchając nowin Austera. Lalwani natychmiast odtajniła operację wojskową przeciwko fabryce antymaterii, a biuro informacyjne Floty zaczęło przekazywać szczegóły agencjom informacyjnym w układzie. Wszystko toczyło się tak szybko, że zaledwie sztab admirała złożył oficjalny raport Jecie Anwar, a już odbierał go z sieci personel kancelarii przewodniczącego.

Jastrząb podleciał do półek cumowniczych w bazie wojskowej spokojniutko, z przyspieszeniem 2 g, zupełnie inaczej niż ostatnio, kiedy wyskoczył z tunelu czasoprzestrzennego w pobliżu Trafalgara. Ogólnodostępne pasmo afiniczne brzęczało mnóstwem ironicznych komentarzy, przypominających ten fakt wesołej załodze statku.

Dwie godziny po przybyciu "Ileksa" kapitan Auster udał się do biura naczelnego admirała w towarzystwie porucznika Keatona, oficera pracującego od niedawna w sztabie admirała. Samuel Aleksandrovich ciepło przywitał się z edenistą i gestem ręki zaprosił go do formalnego salonu dla gości. Lalwani i Kolhammer usiedli z nimi na skórzanych kanapach, porucznik podał kawę i herbatę. Gdy rozdawał porcelanowe filiżanki, masywna kolumna AV na środku sufitu roziskrzyła się i zaraz w salonie zmaterializowały się postacie przewodniczącego Haakera i Jeety Anwar.

- Moje gratulacje dla Floty, witam admirałów i porucznika - rzekł Haaker. - Zniszczenie stacji produkcji antymaterii w tych czasach zasługuje na szczególne słowa pochwały.

- Stacji Ala Capone, panie przewodniczący - dodał z naciskiem Kolhammer. - Wynikają z tego dodatkowe korzyści.

- W rzeczy samej - powiedział Samuel. - Wreszcie przestanie rozsyłać po Konfederacji te przekłete desanty, nie mówiąc już o większych inwazjach, jak atak na Arnstadta. Unieruchomiliśmy jego flotę. Wznowimy operację nękania wroga na jego terytorium, tyle że tym razem mocniej mu dokuczemy. Piekielne jastrzębie się zmęczą, zapasy antymaterii stopnieją. Przypuszczam, że Organizacja, która boryka się z niestabilną sytuacją społeczną, rozpadnie się w ciągu kilku tygodni, najdalej za dwa miesiące.

- Chyba że wyciągnie następnego królika ze swojego przepastnego kapelusza - stwierdził Haaker. - Nie zamierzam umniejszać znaczenia operacji przeciwko stacji produkującej antymaterię, admirale, ale, na Allacha, jak długo to trwało! Może nawet za długo. Najnowsze raporty mówią, że opętana została już trzecia część ludności Kerry, kapitulacja reszty jest tylko kwestią czasu. Ponadto mamy wieści o jedenastu światach, na których Organizacji udało się wysadzić desant. A to znaczy, że je też utracimy, chyba zgodzi się pan ze mną. Jestem pewien, że w tej chwili lecą do nas statki z wiadomością o kolejnych desantach, które miały miejsce przed zniszczeniem stacji. Proszę mi wybaczyć, ale nie jest to sukces, o którym wszyscy marzyli.

- Czego pan od nas oczekuje?

- Sam pan wie doskonale. Jak przebiegają badania doktora Gilmore'a?

- Pomału, zresztą Mae Ortlieb informuje pana na bieżąco.

- Owszem, owszem. - Haaker machnął ręką, poirytowany. - Tak czy inaczej, proszę mnie powiadamiać o dalszych postępach. Najlepiej najpierw mnie, potem dziennikarzy.

- Naturalnie, panie przewodniczący.

Postacie przewodniczącego i jego współpracownicy zniknęły.

- Niewdzięczny cap - mruknął Kolhammer.

- Nie dziwny mu się - powiedziała Lalwani. - Forum Zgromadzenia przypomina ostatnio wybieg w zoo. Ambasadorowie nagle zrozumieli, że ich płomienne mowy nie doprowadzą do rozwiązania kryzysu. Dlatego nawołują do działania, chociaż oczywiście nie wchodzi w szczegóły.

- Po zniszczeniu źródła antymaterii Flota powinna wreszcie złapać oddech - rzekł Kolhammer. - Musimy naciskać na rządy, żeby utrzymały w mocy przepisy o ograniczeniach ruchu



statków cywilnych.

- Nadal są z tym kłopoty - stwierdziła Lalwani. - Małe, odległe asteroidy przeżywają zapaść gospodarczą. Z ich perspektywy wojna toczy się gdzieś daleko. Stąd nielegalne loty.

- Inaczej zaśpiewają, kretyni, kiedy przez ten ich egoizm opętani zdobędą osiedla - burknął Kolhammer.

- Odnotowujemy postępy w namierzaniu głównych winowajców. Wiele agencji wywiadowczych współpracuje z nami. Jeśli doniesienie o przestępstwie potwierdza się, pałeczkę przejmują służby dyplomatyczne.

- I wszystko się rozchodzi po kościach. Cholera z prawnikami!

Samual położył filiżankę z herbatą na stole z drewna różanego i zwrócił się bezpośrednio do Austera:

- Pan był z eskadrą Mereditha w rejonie Jowisza, jak sądzę?

- Tak, panie admirale.

- Świetnie. Kiedy "Ilex" zacumował, zapoznałem się z pańskim raportem z operacji przeciwko fabryce antymaterii. Niech mi pan wytłumaczy, dlaczego konsensus wysłał dwa statki na drugą stronę Mgławicy Oriona? I dlaczego, jeśli można wiedzieć, jednym z nich jest akurat "Lady Makbet"? Chyba dałem jasno do zrozumienia, że kapitan Calvert powinien zostać w Tranquillity. Również ta wariatka Mzu, i to w odosobnieniu.

Dowódca jastrzębia kiwnął głową z poważną, pełną szacunku miną. Pomimo kontaktu z "Ileksem" i otuchy czerpanej z więzi z edenistami konfrontacja z niezadowolonym naczelnym admirałem była ciężką próbą.

- Zapewniam pana, że konsensus wziął sobie do serca problem z "Alchemikiem", lecz pojawiły się pewne informacje, w świetle których musieliśmy zrewidować pański zakaz.

Samual Aleksandrovich oparł się na skórzanej kanapie, wiedząc, że nie powinien odgrywać nieustępliwego tyra. Czasem trudno było się powstrzymać.

- Proszę mówić, słucham.

- Lord Ruin dowiedział się, że religia Tyrataków może mieć jednak konkretne podłoże.

- Nie wiedziałem, że wyznają religię. - Kolhammer przeszukiwał rozmaite nanosystemowe pliki encyklopedyczne.

- Zgadza się, wszystkich to zadziwiło - odparł Auster. - Wyznają religię i wiele wskazuje na to, że ich bóg jest wszechpotężną istotą. Wierzą, że jest zdolny uratować ich od opętanych ludzi.

- I dlatego konsensus wysłał dwa statki na rekonesans? - Spytał Samual.

- Tak. Biorąc pod uwagę odległość, do celu może dotrzeć tylko statek adamistów z napędem na antymaterię.

- A jednocześnie nie trzeba się obawiać, że opętani dotrą do Calverta i Mzu. Jak to się wszystko dobrze złożyło.

- Konsensus też jest tego zdania, panie admirale.

Samual zaśmiał się cynicznie.

- Libracyjny Calvert spotka prawdziwego, żywego boga. To nam się szykuje spektakl. Dojdzie do takiego starcia charakterów, że będzie to widać z tej strony mgławicy.

Lalwani i Auster uśmiechnęli się jak na komendę.

- Cóż, mam nadzieję, że niego nie ostatnia deska ratunku - rzekł Samual. - Dziękuję, kapitanie, i gratuluję „Ileksowi" wykonania zadania.

Edenista wstał i ukłonił się formalnie.

- Do widzenia.

Porucznik Keaton odprowadził go do wyjścia.

Chociaż widział w tym zachowaniu coś z absurdu, jeśli nie grubiaństwa, Samuel poczekał, aż Auster się oddali, nim przemówił do dwojga admirałów. Przywykł naradzać się w atmosferze tajności, a co do Lalwani, to wiedział, że wspaniałomyślnie nie wyjawia treści poufnych rozmów.

- Mają boga?

- Pierwsze słyszę - odparła Lalwani. - Ale prawdą jest, że konsensus nie podejmuje skrajnych działań, jeśli prawdopodobieństwo powodzenia jest znikomo małe.

- W porządku. Poproszę Konsensus Jowiszowy o szczegółowy raport w tej sprawie.

- Dopilnuję, żebyśmy dostali wyjaśnienia.

- Na razie nie będziemy uwzględniać biblijnego zbawienia w planach strategicznych.

- Rozumiem, admirale.

- Zostaje do omówienia nasz ostatni problem. Mortonridge.

- Mówiłem, że to strata czasu - mruknął Kolhammer.

- Mówił pan, i to niejeden raz. Sam to mówiłem, lecz ta kampania ma przede wszystkim wymiar polityczny. Pomimo to nie możemy udawać, że przebiega zgodnie z planem. Ostatnie wydarzenia, mówiąc oględnie, wyglądają nieciekawie. Wydaje się również, że nasze bataliony piechoty morskiej ugrzęzły tam na dłużej, niż się spodziewaliśmy.

- Na dłużej, dobre sobie! - Fuknął Kolhammer. - Oglądał pan przekazy sensoryczne? Boże, ile tam błota! Cała ta cholerna kampania utknęła w martwym punkcie.

- Nie utknęła w martwym punkcie, tylko napotkała nieprzewidziane problemy - powiedziała Lalwani.

Kolhammer zachichotał i wyciągnął w jej stronę filiżankę kawy.

- Zawsze podziwiałem edenistów za ich niewiarygodną powściągliwość, ale żeby bryłę ziemi szerokości piętnastu kilometrów, zniecka wlatującą w powietrze i przenoszącą się do innego wymiaru, nazywać błahym problemem, to już szczyt wszystkiego.

- Nie powiedziałam, że problem jest błahy.

- Czym innym martwię się bardziej niż zniknięciem Ketton. - Samuel z niezmaconym spokojem wytrzymywał spojrzenia zaskoczonych rozmówców. - Myślałem o problemach medycznych, związanych z odpętaniem ludzi. Na szczęście dziennikarze jeszcze nie robią z tego szumu, ale to się zmieni. Jeśli zdołamy ściągnąć z powrotem planety takie jak Norfolk czy Lalonde, trzeba będzie spojrzeć prawdzie w oczy. Sojusznicy królestwa z godną pochwałą sumiennością nadsyłają środki medyczne, lecz liczba zgonów spowodowanych rakiem ciągle rośnie. - Pstryknął palcami na Keatona, który kręcił się przy samowarze.

Porucznik zbliżył się do stołu.

- W wojskowej klinice na Trafalgarze bada się skutki odpętania. Szczerze mówiąc, dobrze, że na półwyspie Mortonridge nie mieszka więcej ludzi. Królestwo z pomocą sojuszników zdobędzie dość pakietów nanopatrunku, żeby wyleczyć dwa miliony chorych na raka. Sęk w tym, że trzeba umieć się nimi posługiwać, a brakuje Wykwalifikowanego personelu medycznego. Szacujemy, że odpętani mieszkańcy średnio zaludnionej planety, czyli jakieś siedemset pięćdziesiąt milionów ludzi, ledwie by się zmieścili we wszystkich klinikach w Konfederacji. Wiadomo, że opętani zdobyli osiemnaście planet plus kilkaset osiedli asteroidalnych. Ponadto zakładamy, że planety, na które przeniknęła Organizacja, podzielą ten sam los. Co daje nam w sumie trzydzieści planet, jeżeli nie więcej.

- Cholera! - Wykrzyknął Kolhammer. Popatrzył z zatroskaną miną na młodego porucznika. - No więc co się stanie, jeśli wszystkie wrócą?

- Biorąc pod uwagę zaawansowane stadium choroby, obserwowane u pacjentów, na planetach nastąpi gwałtowny, trudny do zahamowania wzrost umieralności.

- Bardzo rzeczowe podejście do tematu, poruczniku.

- Należy też mieć świadomość, że dusze opętujące ludzi albo nie zdają sobie sprawy, jak bardzo szkodzą swoim nosicielom, albo nie są w stanie się uzdrowić. Energistyczną mocą leczą fizyczne obrażenia, lecz nie stwierdzono, żeby radzili sobie z ukrytymi chorobami. Być może są wobec nich bezradni.

- Do czego pan zmierza? - Spytała Lalwani.

- Opętani, gdziekolwiek są, muszą chorować, chyba że warunki biochemiczne na planetach usuniętych z naszego wszechświata są radykalnie odmienne. Jeśli nie są, pozbawione opieki lekarskiej ciała nosicieli zaczną umierać.

Lalwani słuchała tego z wielką trwogą, której cząstka przeciekła do ogólnodostępnego pasma afinicznego. Edeniści na asteroidzie natychmiast otwierali szerzej umysły, oferując wsparcie emocjonalne. Niechętnie odmówiła.

- Mieszkańcy trzydziestu planet? - Zapytała z niedowierzaniem. Przeniosła wzrok na naczelnego admirała. - Pan o tym wiedział?

- Dziś rano zapoznałem się z raportem - przyznał Samuel. - Nie powiadomiłem jeszcze przewodniczącego. Niech najpierw zapanuje nad Zgromadzeniem, zanim rąbniemy mu taką wiadomość.

- Dobry Boże - mruknął Kolhammer. - Jeśli ich tutaj ściągniemy, nie będziemy w stanie im pomóc. Jeśli ich zostawimy, też zginą. - Obrzucił Keatona spojrzeniem, w którym tajiło się błaganie. - Czy wpadliście na jakiś ciekawy pomysł w tej waszej klinice?

- Tak, sir. Nawet dwa.

- No wreszcie ktoś wykazał się inicjatywą, do cholery! Cóż to za pomysły?

- Pierwszy jest prosty. Nadamy ostrzeżenie do wszystkich grup opętanych, o których wiemy, że nie opuściły jeszcze tego wszechświata. Niech przestaną zmieniać wygląd ciał nosicieli. Dla własnego dobra.

- Zawsze mogą powiedzieć, że to propaganda - powiedziała Lalwani. - A w chwili gdy nowotwór staje się widoczny, najczęściej jest za późno na leczenie prymitywnymi metodami.

- Tak czy owak, z pewnością skorzystamy z tej rady - stwierdził Samuel.

- A drugi pomysł? - Spytał Kolhammer.

- Zwrócimy się z oficjalną prośbą do ambasadora Kiintów.

Kolhammer prychnął z odrazą.

- Ha! Te gnojki nam nie pomogą. Dali to wyraźnie do zrozumienia.

- Ee... Sir? - Keaton spojrział znacząco na naczelnego admirała, który kiwnął głową na znak przyzwolenia. - Powiedzieli, że nie rozwiążą za nas problemu z opętanymi. W takim razie poprosimy ich o wsparcie techniczne. Wiemy, że pod względem technologicznym są bardziej rozwinięci. Odkąd nawiązaliśmy kontakt, przedsiębiorstwa ludzi kupują od nich udoskonalone wersje najróżniejszych produktów. A incydent z Tranquillity pokazał, że wcale nie zwinęli swojej bazy produkcyjnej. Dostarczą nam urządzenia medyczne w dowolnych ilościach. Bądź co bądź, musimy znaleźć ostateczne rozwiązanie, żeby posłużyć się ich sprzętem. Jeśli Kiintowie faktycznie nam współczują, bardzo możliwe, że wyrażą zgodę.

- Doskonały plan - pochwaliła Lalwani. - Nie możemy zmarnować takiej szansy.

- I nie zmarnujemy - rzekł Samuel. - Poprosiłem ambasadora Roulora o spotkanie w cztery oczy. Zobaczymy, jak on się na to zapatruje.

- Naprawdę dobra myśl - powiedział Kolhammer. - Ma pan świetny zespół doradców w klinice wojskowej, panie admirale.

\*

Quinn dziwnie się czuł po powrocie. Przyczajony w królestwie duchów, obserwował główną siedzibę sekty w Edmonton. Może właśnie ta niezwykła, zamglona postać materialnego świata, widziana z perspektywy jego widmowego otoczenia, nadawała nowy wymiar znajomym pomieszczeniom i korytarzom? A może odkąd przed laty był tu po raz ostatni, tak bardzo zmieniło się jego podejście do życia?

Przez wiele lat nazywał to miejsce swoim domem. Tu szukał schronienia i tu doznawał trwogi. Obecnie widział tylko konglomerat ponurych pokoi, oddzielony od wspomnień i odarty z jakiegokolwiek uroku. Wszystko tu szło dawnym trybem, choć nieco spowolnionym. Co budziło wściekłość starszych akolitów. Uśmiechał się, gdy wrzeszczeli i wyżywali się na nowicjuszach. Cóż, jego wina. Głosił dobrą nowinę, która rozchodziła się lotem błyskawicy.

Niebawem w całym Edmonton będzie się mówić o jego przybyciu. Do tej pory zdobył osiem siedzib sekty i szykował się do złożenia wizyty w pozostałych. W tych, które dostały się w jego jarzmo, aktywnie wypełniano wolę Bożego Brata. W ciągu ostatnich paru dni wysyłał grupki sabotażystów z zadaniem uszkodzenia żywotnych elementów infrastruktury arkologii. Ofiarą tych działań padały generatory, stacje wodociągowe, węzły komunikacyjne. Używano prymitywnych środków, chemicznych materiałów wybuchowych produkowanych według instrukcji, które przed kilkuset laty zapisali w bankach danych wolnomyślni anarchiści, a które powielono w tylu plikach, że już nie dało się ich wszystkich wymazać. Zgodnie z wytycznymi Quinna opętani tylko pełnili nadzór, nie uczestniczyli w akcjach w terenie. Angażowali do tego tępe mięso armatnie, czyli wiernych wyznawców. Gdyby władze Edmonton dowiedziały się o opętanych, mogłyby mu jeszcze pokrzyżować szyki. Dotychczasowe akty wandalizmu przypisywano zbuntowanemu odłamowi sekty - fanatykom, którzy wypowiedzieli posłuszeństwo wielkiemu magusowi. Z pewnością identyfikowano ich z anarchistycznymi ugrupowaniami w Paryżu, Bombaju i Johannesburgu, które także podkładały bomby i terroryzowały współobywateli.

Władze w końcu zrozumieją, kto za tym wszystkim stoi. Ale do tego czasu powstanie tyle skupisk opętanych, że nic nie przeszkodzi w nadejściu nocy.

Quinn wszedł do kaplicy i rozejrzał się po kątach. Była to wysoka komnata, kosztowniej udekorowana niż kaplice w mniejszych siedzibach sekty. Na ścianach obrazy deprawacji i przemocy mieszały się ze znakami runicznymi i pentagramami. Na ołtarzu wokół wysłużonego odwróconego krzyża palił się żółtymi płomykami wianek świeczek. Ciągnęło go do masywnej płyty, a zarazem powracały wspomnienia. Ból inicjacji, a potem znowu ból, kiedy wykorzystywano go podczas następnych ceremonii. Za każdym razem Banneth uśmiechała się łagodnie niczym anioł ciemności, sprawujący opiekę nad jego ciałem. Aplikowano mu narkotyki i pakiety, dzięki czemu męczarnie przeplatały się z obscenicznym rodzajem przyjemności. Śmiech Banneth spowijał go całego, nabierał mocy lubieżnej pieśczoły. Ów przerażający, wielopłciowy potwór - on, ona, ono w jednej postaci - uczył go reagować na ból w sposób sprawiający najwięcej przyjemności... Potworowi. Ostatecznie dwa tak odległe od siebie uczucia spotkały się i połączyły.

"Sukces - oświadczyła Banneth. - Oto umysł idealnego członka sekty, narodziny wężowej bestii".

Quinn oglądał z ciekawością ołtarz. Widział siebie doń przywiązanego: skóra błyszcząca od potu, krew, krzyki. Obrazy tak żywe, ból tak wyraźny. Nie miał jednak żadnych wcześniejszych wspomnień. Zupełnie jakby Banneth równocześnie z umysłem stworzyła ciało.

- Quinn? To naprawdę ty, Quinn?

Odwrócił się wolno i spojrzał na bladą postać, siedzącą w pierwszej ławce. Znał tę twarz: widywał ją w tej kaplicy, lecz dawno, dawno temu. Przygarbiony młodzieniec w porwanej, skórzanej kurtce i brudnych dżinsach podniósł się z miejsca. Żalony w swej niematerialnej formie.

- To na pewno ty, Quinn. Musisz mnie pamiętać. To ja, Erhard.

- Erhard? - Nadal nie kojarzył.

- Kurna, tyle czasu jebaliśmy razem. Jak mogłeś zapomnieć?

- No tak, przypominam sobie.

Był to nowicjusz, który przyłączył się do sekty mniej więcej w tym samym czasie co Quinn. Brakowało mu siły, by przetrwać w środowisku satanistów. Ta sama lawina bezlitosnych prób i kar, które zahartowały Quinna, zdruzgotała Erharda. Punkt kulminacyjny nastąpił podczas ceremonii, której Erhard - staraniem Banneth - nie mógł przeżyć. Był gwałt, tortury, narkotyki i ektopasożyty, całość wyreżyserowana przez Banneth. Tych wszystkich potworności dokonywano przy gromkich pieśniach i hałaśliwym śmiechu całej braci. Przez chór głosów przebiły się ostatnie błagania Erharda, jęklive okrzyki śmiertelnego przerażenia. A potem Banneth chwyciła wysadzany klejnotami rytualny nóż i szybkim ruchem go dźgnęła.

W tym momencie Quinn doświadczył niemal orgazmicznej rozkoszy. Właśnie jemu powierzono zadanie podania noża Banneth.

- To niesprawiedliwe, Quinn, powinienem być gdzie indziej. Nie znoszę gołego miejsca, nie znoszę sekty.

- Boś nigdy nie karmił wężowej bestii - odparł wzgardliwie Quinn. - Spójrz na siebie: ten sam niedojda, jakim zawsze byłeś.

- To niesprawiedliwe! - Krzyknął Erhard. - Tak naprawdę nie wiedziałem, czym jest sekta. A potem mnie zabili. Ty mnie zabiłeś, Quinn. Do spółki z nimi.

- Zasłużyłeś sobie.

- Wal się! Miałem dziewiętnaście lat, miałem własne życie, a ty mi je odebrałeś! Ty i ta pierdolnięta psychopatka Banneth. Chcę ją zabić. Przysięgłem sobie, że ją zabiję.

- Nie! - Huknął Quinn.

Erhard skulił się, wystraszony tym wybuchem złości.

- Banneth nie umrze - ciągnął Quinn. - Nigdy! Banneth należy do mnie.

Duch zbliżył się ostrożnie, wyciągając rękę, jakby nęcił go żar ogniska.

- Czym ty jesteś?

Quinn cicho zachichotał.

- Nie wiem, ale Boży Brat pokazał mi, co mam robić. - Rozstając się z duchem, wyszedł z kaplicy.

Korytarzem maszerowały trzy osoby, jedna z wielkimi oporami. Quinn poznał akolicę Kiliana. Spotkali się przed paroma dniami. Wszyscy trzej zmarszczyli czoło, mijając niewidzialnego obserwatora, zdziwieni nagłym chłodem.

Quinn ruszył za nimi. Wiedział, dokąd idą, sam wielokrotnie przemierzał tę drogę. Zaraz zobaczy to monstrum. Banneth. Na razie na tym poprzestanie. Po prostu popatrzy, przypomni sobie twarz. Nic szybkiego jej się nie przydarzy. W tym względzie dobrze go wyszkoliła. Najprzyjemniejsza kara zadawana jest wolno. Kiedy nadejdzie noc, kara rozciągnie się na całą wieczność.

\*

Nastał czas ciemności. Nawet jeśli nie szeptali o tym akolici, było coś w zadymionym

powietrzu w głównej siedzibie sekty w Edmonton, co zdawało się potwierdzać prawdziwość tych słów. Nowe zagrożenie przerażało bardziej niż sadystyczne praktyki, uskuteczniane przez porządkowych akolitów.

Banneth wiedziała, czego się spodziewać. Projekторы AV na okrągło wyświetlały reportaże z Nowego Jorku, którymi w siedzibie sekty żyła cała wspólnota. Przedłużająca się izolacja arkologii. Pogłoski o grasujących na wolności opętanych. Gdziekolwiek spojrzeć, znaki. I to znaki, które niejeden brał sobie do serca.

Wobec tego kulała organizacja. Każda siedziba sekty w mieście notowała mniejsze dochody ze szwindli i wymuszeń. Nawet jej, wielkiemu magusowi, nie udawało się wzbudzić w wiernych zapału. Na cóż więc mogli liczyć magusowie niższej rangi?

Kiedy wściekała się na porządkowych akolitów, przestępowali z nogi na nogę i marudzili, że nie ma sensu wracać do starych zwyczajów. "Nadchodzi nasz czas - powiadali. Boży Brat powraca na Ziemię. Na co komu okładać po ryju durnych ludzi?". Biorąc pod uwagę nauki Nosiciela Światła, nie miała argumentów, żeby walczyć z takim rozumowaniem. Nie bawiła jej ta ironia losu.

Mogła co najwyżej wsłuchiwać się w gwar ulicy, łowić nowiny. Było to jednak, zwłaszcza teraz, skąpe źródło informacji. Podobnie jak w wielu ziemskich arkologiach, także w Edmonton narastał strach i z wolna zamierało życie. W dzielnicach handlowych zaznaczał się problem absencji w pracy. Ludzie dzwonili, że są chorzy, wybierali się na wczasy. Wyludniły się parki i galerie. Piłka nożna, baseball, hokej na lodzie - w cokolwiek grano, mecz śledziła garstka widzów. Rodzice nie puszczali dzieci do klubów dziennych. Najstarsi ludzie nie pamiętali czasów, kiedy można było bez problemu znaleźć miejsce siedzące w autobusie czy wagonie kolejki tunelowej.

Kolej próżniowa wciąż działała. Brak ograniczeń ruchu na kolei świadczył o spokoju Rządu Centralnego i gwarantował, że Ziemi nie grozi niebezpieczeństwo. Mimo to liczba pasażerów stopniała o siedemdziesiąt procent. Każdy w miarę możliwości unikał towarzystwa, szczególnie nieznanym. Kierownicy przedsiębiorstw użyteczności publicznej musieli straszyć sądem robotników, żeby wykonywali najważniejsze zadania. Bumelującym pracownikom budżetówki, zwłaszcza policjantom, grożono dyscyplinarnymi zwolnieniami. Burmistrzowie starali się funkcjonować normalnie w nadziei, że obywatele pójdą za ich przykładem. Ich starania niejednokrotnie przybierały groteskową formę w obliczu zacieklego uporu ludności.

Na rozkaz Banneth akolici włóczyli się po mrocznych rynsztokach, czyli ulicach śródmieścia, i szukali jakiegokolwiek zdobyczy. Spłukani mieszkańcy, jacy zwykle tabunami szwendali się po chodnikach, kryli się za zaryglowanymi bramami i z podejrzliwością słuchali energicznych kroków członków sekty. Wozy policyjne przemykały cicho, podrywając w powietrze chmury srebrzystych reklamówek. Na dolnym poziomie nie widywano innych pojazdów. Samochody na chwilę zwalniały przy bandytach z sekty, policjanci przyglądali się ponurym twarzom przez przymglone szyby pancerne, a potem włączała się syrena i auto się oddalało. Długo wysiłki Banneth nie przynosiły skutku, lecz nie rezygnowała, gdy tymczasem świat dusił się w objęciach paranoi. I chyba szczęście w końcu się do niej uśmiechnęło.

Akolita Kilian ze wszystkich sił starał się opanować drzenie, kiedy porządkowi akolici skwapliwie zostawili go w apartamencie Banneth. Komnata znajdowała się w samym sercu wieżowca, w którym sekta miała swą główną siedzibę. Jak w przypadku wszystkich rozrzuconych po świecie siedzib sekty Nosiciela Światła, tak i tutaj pierwotny rozkład pomieszczeń i korytarzy uległ dewastacji i przeobrażeniu, gdy akolici na podobieństwo robaków przeryli się przez ściany i kanały. Zburzyli ścianki działowe i dostawili nowe, tworząc przedziwną betonową dżunglę z isticie cebulowatych warstw cel i komnat. W samym sercu mieszkała Banneth - blisko trzydzieści pięć lat i

ani razu nie wyszła na zewnątrz. Nie musiała: wszystko, co uprzyjemnia życie, samo się przed nią zjawiało.

W odróżnieniu od kilkunastu wielkich magusów, z którymi utrzymywała kontakt, nie pławiła się w luksusach. I choć starsi akolici mogli się otaczać dekadentem zbytkiem, pochodzącym z kradzieży i łapówek - mieszkali parę pięter wyżej, gdzie zdobili apartamenty kosztownymi cackami, a w haremach trzymali piękne dziewczyny, młodzieńców oraz dziwolągi wyhodowane przez Banneth - to jednak ona sama wołała inne rozrywki.

Kiedy Kilian zaczął się rozglądać, prędko się przekonał, że najstraszniejsze koszmary, wyłaniające się z szeptanych opowieści akolitów, błędą w zderzeniu z rzeczywistością. Matecznik Banneth był doświadczalną salą operacyjną. W oczy rzucał się przede wszystkim szeroki stół, zastawiony blokami procesorowymi o dużej wydajności i nowoczesnym, błyszczącym sprzętem medycznym. Na środku komnaty stały trzy stoliki ze stali nierdzewnej, dyskretnie wyposażone w skórzane pasy. Zbiorniki systemów podtrzymania życia, ułożone pod ścianami, przypominały ogromne szklane słupy. Zawartość oświetlały używane w akwariach okrągłe jarzeniówki. Kilian wolałby, żeby były zgaszone, bo na widok umieszczonych wewnątrz okropieństw niejedną zesrałby się w gacie. W niektórych znajdowali się ludzie - unieruchomieni białą, jedwabistą siatką w gęstym, przezroczystym płynie, z wpiętymi do ust i nosów rurkami; mowa o tych, którzy jeszcze mieli usta i nosy. Wszyscy bez wyjątku spozierali wokół otwartymi oczami. Byli to akolici, których Kilian spotykał, i to całkiem niedawno, tylko że teraz mieli doszyte wyrostki bądź pousuwane różne części ciała. Otwarte rany straszyły brakiem narządów. Do tego dochodziły istoty nieludzkie, tym ohydniejsze, że wyposażone w części zabrane ludzkim dawcom. Także zlepki narządów połączonych gmatwaniną gołych, pulsujących żył. I pozbawione mózgow zwierzęta, okaleczone koty i goryle z wyciętym sklepieniem czaszki. Wyeksponowane miejsce nad stołem chirurgicznym zajmował wiekowy obraz olejny, przedstawiający młodą kobietę w stroju złożonym ze sztywnego gorsetu i długiej spódnicy.

Chociaż Kilian nigdy tutaj nie zawitał, każdy prędzej czy później musiał tu przyjść - w ramach kary lub po udoskonaleniu. Banneth osobiście przeprowadzała wszelkie operacje. Teraz więc stał na tyle nieruchomo, na ile pozwalały mu drżące kończyny, gdy wielki magus podchodził do niego zwawym krokiem.

Banneth miała męską szczękę - tępą, kościstą i mocno wysuniętą. Poza tym jej rysy były wybitnie kobiece. Usta miękko zarysowane, duże oczy. Zagadkowy wygląd dopełniała kudłata, słomiana czupryna. Kilian zerknął z obawą na jej białą koszulę. Mówiło się, że wielkiego magusa podnieca widok strachu. Sterczące sutki oznaczałyby, że weszła w żeńską fazę cyklu.

Kółka piersi rysowały się wyraźnie pod bawełnianym materiałem. Kilian zastanawiał się, czy to faktycznie ma jakieś znaczenie. Banneth była hermafrodytą, a chodziły słuchy, że z własnego wyboru. Wyglądała na dwadzieścia lat - czy to jako facet, czy jako kobieta. Co prawda, żeby oszukać wiek, wystarczyło posłużyć się zwykłym pakietem kosmetycznym. Nikt nie wiedział, ile ona ma naprawdę lat, a nawet tego, od jak dawna jest wielkim magusem. W istocie rzeczy o jej przeszłości mówiły jedynie legendy i pogłoski. Pytać nikt się nie ważył.

- Dziękuję, żeś zechciał mnie odwiedzić. - Banneth pogłaskała go po twarzy, wodząc chłodnymi kostkami dłoni po kości policzkowej. Patrzyła na niego jak doświadczony rzeźbiarz, który znalazł formę, o jaką mu chodziło. Czując jej dotyk, zadrżał. Zamrugnęła różowymi oczami o kocich źrenicach, rozbawiona jego reakcją. - Denerwujesz się, Kilian?

- Nie wiem, co takiego zrobiłem, wielki magusie.

- To prawda. Z drugiej strony, co może wiedzieć zwykły, szary człowieczek? No dobrze,

przestań trząść portkami. Szczerze mówiąc, nawet mi się przysłużyłeś.

- Naprawdę?

- O dziwo tak. Czy muszę ci przypominać, że lojalnych ludzi zawsze wynagradzam?

- Nie, wielki magusie.

- Zastanawiam się, jaką dać ci nagrodę. - Z chłopięcym uśmiechem zaczęła obchodzić wkoło wystraszonego akolity. - Ile ty masz lat? Dwadzieścia pięć, co? No więc zadaję sobie pytanie, o czym najczęściej marzą młodzieńcy w twoim wieku. Odpowiedź wydaje się oczywista: o większym fiucie. Każdy powie to samo. W tych sprawach mogę ci pomóc, wiesz? Mogę ci odciąć tę maleńką, zajęczą fujarkę i na jej miejsce wstawić coś większego. Fiuta długiego na pół ręki i twardego jak stal. To co, mam to zrobić?

- Wielki magusie, proszę... - Wyjąkał Kilian.

- "Proszę" w znaczeniu "poproszę"?

- Ja... Ja zrobię, co zechcesz. Dołożę wszelkich starań...

Przesłała mu pocałunek i wciąż krążyła wokół niego.

- Grzeczny chłopczyk. Wezwałam cię, bo muszę się czegoś dowiedzieć. Wierzysz w nauki Bożego Brata?

Podchwytliwe pytanie! - Wił się w duchu Kilian. Jeśli zaprzeczę, dowali mi karę, jeśli potwierdzę, wymyśli próbę wytrzymałości.

- Co do joty, wielki magusie, w każde słowo. Odnalazłem w sobie wężową bestię.

- Wyśmienita odpowiedź, Kilian. A teraz powiedz: cieszysz się z nadejścia ciemności?

- Tak, wielki magusie.

- Naprawdę? A skąd wiesz, że nadchodzi?

Niepewnie zerknął przez ramię, lecz Banneth akurat znajdowała się dokładnie za nim. Jedyne, co zobaczył, to oczy akolitów w zbiornikach z płynem, pilnie śledzące jej ruchy.

- Wśród nas są już opętani. On ich przysłał, nasz Pan. Sprowadzą na świat noc.

- Wszyscy mówią to samo. W arkologii aż huczy od plotek. Co ja mówię, cały świat zajmuje się tylko tym, niczym innym. Mnie zaś ciekawi, skąd u ciebie, Kilian, taka pewność.

Zatrzymała się przed nim z ustami wykrzywionymi miłym, wyczekującym uśmiechem.

Muszę powiedzieć prawdę, uświadomił sobie ze zgrozą. Tylko czy ona to właśnie chce usłyszeć? Ja pierdolę! Boży Bracie, co ze mną będzie, jeśli sknocę? W co mnie zamieni?

- Języka w gębie ci brakło? - Spytała ironicznie. Jej uśmiech nieco ostygł, przestał wyrażać wesołość. Przesunęła wzrok na pojemnik z pumą. - Oczywiście, mogę oddać twój język kotu. Tylko co włożyć zamiast niego? Co by się najlepiej nadawało? Nazbierało mi się trochę materiału, z którym nie mam co robić. W wielu przypadkach minął termin ważności. Dotykałeś kiedyś nadpsutego ciała, Kilian? Nekromorfologia to coś, co trzeba polubić. Ale kto wie, może z czasem zostaniesz jej miłośnikiem.

- Widziałem jednego! - Krzyknął. - Kurwa, no widziałem! Przepraszam, wielki magusie, nie powiedziałem nic porządkowemu, bo...

Gdy nagle pocałowała go w płatek ucha, zamilkł, zszokowany.

- Rozumiem - wyszeptała. - Naprawdę. Żeby zrozumieć, jak myśli człowiek, trzeba zrozumieć, jak działa. Od dłuższego czasu wnikliwie badam działanie ludzkiego organizmu. Powiedziałaby ktoś, że fizjologię przetwarzam w nową fizjologię. Zgadzasz się, Kilian?

Nie znosił tych wypowiedzianych uczonym tonem pierdoł wielkiego magusa. Nigdy nie umiał odpowiedzieć. Nie umieli też akolici, nawet starsi.

- Widziałem go w kaplicy w kopule Vegreville. - Wiedział już z całą pewnością, że



wielkiego magusa interesują opętani. Może jednak ucieknie spod topora.

Banneth stała bez ruchu przed wystraszonym akolita. Resztki uśmiechu zniknęły z jej dwupłciowej twarzy.

- Nie powiedziałeś nic porządkowemu akolicie ze strachu, że wpakujesz się w jakieś gówno. Bo jeśli opętani naprawdę przyjdą, to hierarchia w sekcie, w której od sześciu lat z wielkim oddaniem liżesz wszystkim dupę, rozsypie się w pył. Rozpowiadaniem o tym, co widziałeś, właściwie podburzałbyś ludzi do buntu. Chociaż wątpię, czy byłbyś zdolny w ten sposób się usprawiedliwić. W twoim przypadku po prostu zadziałał instykt. Wężowa bestia troszczy się o ciebie, stawia cię na pierwszym miejscu. I tak powinno być, wszak byłeś lojalny wobec siebie i Bożego Brata. Oczywiście, nie wytrzymałeś, musiałeś wszystko wypaplać. Wiesz, Kilian, że nagradzam akolitów, którzy wydają mi swoich przyjaciół.

- Tak, wielki magusie - wymamrotał.

- No to się cieszę, że się ze mną zgadzasz. Bo niestety w sekcie obowiązuje złota zasada, która mówi, że należy mi o wszystkim donosić. Ja i tylko ja decyduję, co jest ważne, a co nie. - Podeszła do jednego ze stolików ze stali nierdzewnej i stuknęła palcem w blat. - Chodź no tu, Kilian. I połóż się grzecznie.

- Wielki magusie, proszę...

- Jazda!

Gdyby widział w ucieczce choćby cień nadziei, wziąłby nogi za pas. Nawet strzeliła mu do głowy myśl, żeby rzucić się na nią. Pod względem siły fizycznej górował nad Banneth. Moment później stracił otuchę w starciu z jej wolą. Był na tyle głupi, że spojrzał prosto w jej różowe oczy.

- Idiotyczny pomysł - powiedziała. - Rozczarowujesz mnie.

Z ociąganiem, drobnymi kroczkami, w końcu podszedł do stolika. W mdłej fioletowej poświacie zbiorników systemu podtrzymania życia zobaczył, że porysowaną, srebrzystą powierzchnię upstrzyły czarne plamki zaschniętej krwi.

- Rozbieraj się! - Rozkazała. - Ubranie by przeszkadzało. Żadne obrzędy inicjacyjne, kary czy poniżenia, którym poddawał się z myślą o sekcie, nie przygotowały go na tę straszną chwilę. Ze zwykłym bólem jakoś sobie radził. Szybko mijał, za to dawał siłę i uczył podłości. Za każdym razem wężowa bestia ukazywała się w większej postaci, śmielsza i złośliwsza. Teraz jednak na nic nie mógł liczyć. Ilekroć zdejmował część ubrania, czuł się, jakby poświęcał Banneth część swej istoty.

- W dawnych czasach sądzono, że kara powinna być adekwatna do czynu - ciągnęła z bladym uśmiechem, kiedy po ściągnięciu dzinsów Kilian zaprezentował swoje chude nogi. - Kiedyś myślałam, że to słuszne podejście. Teraz uważam, że to ciało powinno być adekwatne do czynu.

- Tak... - Bąknął Kilian.

Nie potrzebował dalszych wyjaśnień. W ramach swoich obowiązków nieskończenie wiele razy wywalał gnój spod świń. Wszyscy akolici musieli to robić, choć brzydzyli się utyłanymi, kwiczącymi zwierzakami. Miało im to przypominać o losie, jaki ostatecznie czeka członków sekty w Edmonton, bez względu na to, czy otrzymują kary czy nagrody.

Świnie w stadzie Banneth miały wyjątkowy rodowód, sięgający minionych wieków, kiedy inżynieria genetyczna dopiero raczkowała. Pierwotnie pobierano od nich narządy do transplantacji. Było to chwalebne przedsięwzięcie, mające na celu pomóc ludziom z wadami serca lub niewydolnymi nerkami. Jeśli chodzi o rozmiary, narządy świni nie różniły się od ludzkich. Pierwszym znaczącym sukcesem genetyków było takie zmodyfikowanie ich genów, że układ odpornościowy biorcy nie odrzucał przeszczepu. Przez kilka lat na początku XXI wieku metoda cieszyła się wielką popularnością, lecz medycyna, genetyka i technika protetyczna rozwijały się

błyskawicznie. Uczłowieczane świnie zostały odsunięte na bok i zapomniane przez wszystkich z wyjątkiem historyków medycyny i paru dociekliwych zoologów. Potem w pewnym starodawnym artykule medycznym Banneth natrafiła na opis doświadczenia.

Zlokalizowała i pozbierała potomków zmodyfikowanych świń, żeby odbudować hodowlę. Stosując nowoczesne techniki genetyczne, udoskonalila linię hodowlaną. Pociągała ją surowość tego zamierzenia, sięganie do korzeni. Nowoczesna technologia kłóciła się z wymową kazań. Świnie w połączeniu z archaicznymi zabiegami chirurgicznymi stanowiły doskonałą alternatywę.

Jeśli akolita potrzebował udoskonalenia, nie zastępowała ludzkiego ciała przeszczepami ze sztucznej tkanki mięśniowej. Podobnie jak narządów wewnętrznych świni, tak i świńskich mięśni organizm człowieka nie odrzucał. Świńska skóra była ponadto grubsza i wytrzymalsza. W późniejszych latach rozpoczęły się eksperymenty na innych gatunkach zwierząt. Dzięki stopom przeszczepionym od małpy akolita zamieniał się w akrobatę i z łatwością włamywał się do mieszkań na wysokich piętrach. Mniejszy ciężar kości nóg pozwalał prześcignąć policyjnego mechanoida. Banneth wiedziała, że dysponując czasem i odpowiednim materiałem do badań, może stworzyć odpowiedniki wszelkich usprawnień stosowanych przez kosmoników i najemników, od których roilo się wśród planet Konfederacji.

Metody chirurgiczne pomagały w utrzymaniu dyscypliny. Przykładowo, jeśli ktoś próbował uciec z sekty, poskramiała jego zapędy, przeszczepiając mu wieprzowe nogi. W przypadku Kiliana nie zdecydowała się jeszcze na konkretną lekcję. Podobał jej się choćby pomysł z przedłużeniem jelita i puszczeniem go inną drogą, tyłem gardła, żeby delikwent srał ustami. Dodatkowy przewód pogrubiłby szyję. Ciekawy efekt, pomyślała. Lubił mleć jęzorem, to niech sobie miele.

Kiedy rozebrał się do naga, kazała mu położyć się na brzuchu, a potem unieruchomiła go pasami. Wymyślną karę musiała odłożyć na później. Ponieważ przyznał się w sprawie opętanych, liczyła się dla niej tylko jedna rzecz. Wtarła mu w kark sporą ilość kremu depilacyjnego, potem opłukała to miejsce zimną wodą z węża. Czysta, naga skóra czekała już tylko na przyjęcie pakietu implantu nanonicznego.

Kilian nie dostał środków usypiających ani przeciwbólowych. Bez przerwy jęczał i skomlał, kiedy włókna pakietu brutalnie wkłuwały się w mózg, a przy okazji wzbudzały fale niechcianych impulsów nerwowych, które z kolei wywoływały drgawki w kończynach. Nadzorując przebieg operacji, Banneth siedziała na stołku przy ławie laboratoryjnej i raczyła się schłodzonym, ręcznie mieszanym martini. Co pewien czas przesyłała do pakietu datawizyjne instrukcje. Niespełna dwie godziny później inwazyjnymi włóknami zaczęły przepływać pierwsze chaotyczne impulsy. Banneth zleciła jednostce sztucznej inteligencji analizę i interpretację dezorientującej powodzi impulsów. Wizualizacje, początkowo eksplozje przypadkowych kolorów, powoli się uspokajały, w miarę jak jednostka sztucznej inteligencji porządkowała pobudzenia w synapsach. Z chwilą gdy procesy myślowe zostały skatalogowane i skorelowane ze strukturą neuronową, świadomość Kiliana była już pod całkowitą kontrolą. Włókna mogły wprowadzać nowe impulsy do penetrowanych szczelin synaptycznych i w ten sposób zastępować pierwotne myśli.

Kilian myślał o rodzinie, jeśli można to było nazwać rodziną: matce i dwóch młodszych przyrodnych braciach. Mieszkali we wszawym dwupokojowym mieszkanku w śródmiejskim wieżowcu w kopule Edson. Przed laty. Matka, objęta rządowym programem wsparcia dla pracujących rodziców, za dnia się nie pokazywała. Musiał żyć w ciągłym hałasie burd, awantur, muzyki, kroków, przejeżdżających wagonów metra. Niczego tak nie pragnął, jak uciec z domu. I podjął tę pechową decyzję.

- Czemu? - Spytała. Wzdrygnął się. Siedział przy oknie na wgniecionej wersalce i z

rozzewnieniem oglądał wszystkie te stare, swojskie przedmioty, do których był przywiązany w swoim krótkim dzieciństwie. W drzwiach stała Banneth z pogardliwą miną. Była jaśniejsza niż cokolwiek w pokoju, bardziej kolorowa. - Czemu? - Powtórzyła.

Czaszkę Kiliana zewsząd zgniatała niewidzialna siła, wyciskająca myśli przez usta nieprzerwanym strumieniem.

- Bo olałem to wszystko, żeby wejść do sekty. Co za kretyn ze mnie. Całe to moje pierdolone życie, jak ja go nienawidzę! Teraz leżę na stole, a ty mnie zaraz zamienisz w psa... Albo utniesz mi fiuta, który dasz komuś, żeby mnie nim ruchał! Wiem, że mi dojedziesz. Bez sensu, bo nie zrobiłem nic złego. Zawsze wiernie służyłem sekcje. Boże, nie możesz mnie tak traktować! Za co to wszystko? Ty nie jesteś człowiekiem. Każdy to wie. Ty jesteś, cholera, popieprzonym, śmierdzącym kanibalem!

- I to ma być wdzięczność? Zresztą w dupie mam twoje stany lękowe! Gadaj mi tu zaraz, kiedy widziałeś opętanych!

Niewidzialna siła znęcała się teraz nad innym obszarem umysłu. Darł się wniebogłosy, kiedy wspomnienia, niczym gejzery kwasu, tryskały mu w oczy. Rodzinny dom spalił się do szczętu; olbrzymie fragmenty łuszczyły się jak gnijąca skóra, aż ukazała się kaplica w kopule Vegreville. Był tam przed trzema dniami, wysłany przez porządkowego akolitę z zadaniem odebrania pakunku. Nie miał pojęcia, co jest w środku - wiedział tylko, że "Banneth czeka niecierpliwie".

W siedzibie sekty było inaczej niż zwykle. W labiryncie mrocznych pomieszczeń szerzyła się atmosfera ostatniego wieczoru przed wielkim wydarzeniem. Robiono sobie żarty z Kiliana. Widząc, że chce jak najszybciej wykonać zadanie, odebrać przesyłkę i odejść, nabijali się z niego ze śmiechem. Ilekroć ich ponaglał, umyślnie robili wszystko jeszcze wolniej. Byli jak rozwydrzone dzieciaki w klubie dziennym, które pastwią się nad nową ofiarą.

W końcu zaprowadzili go do kaplicy, gdzie starszy akolita oświadczył, że paczka czeka. Ściany komnaty były zbudowane z tysięcy wąskich, pospawanych ze sobą prętów zbrojeniowych - niby ptasie gniazdo z żelaznych patyków. Ołtarz tworzyły gęsto ściśnięte, zardzewiałe szpikulce o końcach zeszlifowanych na jednej wysokości. Z obu stron na zjeżonym, metalowym ołtarzu płonęły świece; długie, żółte języki ognia tańczyły w pomroce. Do budowy ław użyto kompozytowych płyt dachowych, poprzybijanych gwoździami do nóg z najróżniejszych materiałów. Znaki runicznie pozostały na ścianach, lecz były ledwo widoczne. Wszystko - ściany, sufit, nawet podłogę popisano sprayem. Nowe hasło brzmiało: NADCHODZI NOC.

Kilianowi kazano wejść w pojedynek. Jego niewielka eskorta, głośno chichocząc, pozostała za grubymi drzwiami. Gdy zbliżał się do ołtarza, jego gniew przygasł, zastąpiony rosnącą trwogą. Za ołtarzem czekały na niego trzy postacie w czarnych habitach. Nie miały na ubraniach pentagramów czy innych dekoracji, preferowanych zwykle przez starszych członków sekty, przez co biła od nich jeszcze większa groza. Twarze tonęły pod przepastnymi kapturami; pod dwoma w blasku żółtych, chybotliwych płomyków pokazywały się czasem to przekrwione oczy, to haczykowaty nos, to znowu szerokie usta. Wnętrze trzeciego kaptura jakby ziało pustką. Doszedłszy do ołtarza, Kilian nadal nie mógł przeniknąć wzrokiem czarnej głębi.

"Przysłał mi wielki magus - wydukał. - Macie dla mnie paczkę, co?"

"Ależ oczywiście" - wydobył się głos z czarnej pustki pod kapturem.

Banneth, zaniepokojona, uruchomiła program porównawczy, chociaż wspomnienie głosu z reguły nie stanowiło wiarygodnego materiału do analizy. Pomimo to ujawniły się wyraźne podobieństwa do nagranych głosu Dextera. Kilian zadygotał, kiedy zamaskowana postać wyciągnęła rękę. Jakby się spodziewał ujrzeć lufę pistoletu. Z obszernego rękawa wynurzyła się jednak tylko śnieżnobiała dłoń. Na ołtarz upadło małe, plastikowe pudełko.

“To nasz prezent dla Banneth. Mam nadzieję, że się przyda”.

Kilian porwał je skwapliwie.

“Dobra. Dzięki”. - Czuł, że powinien spierdalać stamtąd jak najszybciej. Ci goście byli prawie tak samo straszni jak Banneth.

“Ciekawe, że wielki magus zachowuje się, jakby nic się nie działo”.

Kilian nie wiedział, co powiedzieć. Zerknął przez ramię, zastanawiając się, czy nie prysnąć. No tak, jeśli mu nie pozwolą, nie wyjdzie nawet z kaplicy.

“No... Sami wiecie, jak to jest”. - Nieporadnie wzruszył ramionami.

“Oczywiście, że wiemy”.

“Dobra, to ja wracam”.

“Nastanie noc”.

“Wiem”.

“Doskonale. W takim razie przyłączysz się do nas, kiedy przyjdzie czas”.

“Moja wężowa bestia jest silna”.

Spod kaptura wychynęła głowa. Ciemność cofała się powoli, odsłaniając rysy twarzy.

“Twoje szczęście” - rzekł Quinn.

Banneth zatrzymała obraz. Nie było wątpliwości. Skóra biała jak płótno, oczy czarne jak studnia... Choć wrażenie mogło być wyolbrzymione na skutek emocji. Był to jednak Quinn, nikt inny.

Uśmiechnęła się pod nosem, sięgając do wspomnień. Zdziorność, która niegdyś tak go ożywiała, a ją fascynowała, gdzieś zniknęła. Jeśli już, to wyglądał na zestresowanego. Z kącików oczu rozchodziły się pokruszone linie zmarszczek, policzki zaś, dawniej tak słodkie, były teraz smętnie zapadnięte.

Skoncentrowała myśli na cechach tożsamości pewnej szczególnej osoby.

- Dexter przyjechał do Edmonton. Mój akolita spotkał się z nim trzy dni temu.

- Rozumiem i dziękuję - odparł pełnomocnik na Europę Zachodnią.

\*

Dziesięć statków należących do konwoju wynurzyło się w rejonie Nowej Kalifornii i natychmiast poinformowało ośrodek dowodzenia na Montereyu, kim są. Choć raz piekielne jastrzębie, towarzyszące fregatom, nie próbowały wysforować się na czoło. Wolały poczekać, aż dowódca konwoju przekaze złą nowinę.

- Gdzie Etchells? - Zapytał Hudson Proctor, kiedy zameldowały się cztery piekielne jastrzębie.

- Nie wiemy - odparł Pran Soo. - Odłączył się od nas, żeby rozejrzeć się wokół fabryki antimaterii. Prawdopodobnie zaraz się wynurzy.

- To pewne, że Konfederacja zniszczyła stację?

- Fregaty zostały dłużej, widziały wybuch.

Był to fakt, który dowódca konwoju potwierdził z wielkim ociąganiem. W ciągu pół godziny wieść obiegła asteroidę i mniej więcej w tym samym tempie rozeszła się wśród miast na planecie. Po dwóch dniach mówiło się o tym na zapadłych wioskach. Odległe osiedla asteroidalne Organizacji dowiedziały się o wszystkim z tygodniowym opóźnieniem - przy czym te ostatnie z programów propagandowych Konfederacji, która za nic w świecie nie przepuściłaby takiej okazji.

Tym razem Emmet Mordden oświadczył wprost, że nie pójdzie do Ala z nowiną, dlatego starszyzna uradziła, żeby tym zaszczytnym zadaniem nagrodzić Leroya Octaviusa. Patrząc, jak niezdarnym krokiem wytacza się z centrum dowodzenia, zwolennicy wszystkich frakcji podzielali przekonanie, że i on stchórzy: opowie o wszystkim Jezzibelli.

Leroy przez całe życie lawirował wśród narowistych charakterów w przemyśle rozrywkowym, zatem dobrze wiedział, czym to pachnie. Jedynie Jezzibella gwarantowała, że jego cenne ciało i dusza pozostaną nietknięte, toteż nie mógł dopuścić, by jej pozycja została podkopana. Przez chwilę wahał się, czy nie przekazać pałeczki biednemu Avramowi Harwoodowi, lecz ledwo zipiący eks-major mógłby w końcu nie wytrzymać presji. Koniec końców, Leroy zebrał się na odwagę i zszedł do apartamentu Nixona. Gdy zbliżał się do drzwi, ze strachu trzęsły się pod nim nogi.

Dwaj gangsterzy warujący przy wejściu podchwycili nurtujące go uczucia. Unikając jego wzroku, otworzyli ciężkie drzwi.

Al i Jezzibella jedli śniadanie w oranżerii - długim, wąskim pomieszczeniu, w którym jedna falista ściana była zrobiona w całości ze wzmocnionego szafiru, przez co gwiazdy i planety za oknem uzyskiwały niebieskawy odcień. Przeciwna ściana zniknęła za treliazem obrośniętym kwitnącymi pnączami. Słupy ustawione rzędem na całej długości oranżerii były w istocie przezroczystymi akwariami, pełnymi dziwnych, prześlicznych ryb zebranych z kilkunastu planet.

Na szerokim, owalnym stole z kutego żelaza stał wazon z pomarańczowymi liliami. Al i Jezzibella siedzieli obok siebie, ubrani w identyczne niebieskawozielone, frotowe szlafroki, i spokojnie zajadali się tostami. Wokół stołu, nalewając kawę, kuśtykała Libby.

Al podniósł wzrok na Leroya. Przywitał go uśmiechem, lecz zrzędała mu mina, kiedy wyczuł niepokój w myślach spasionego impresaria.

- Nie wyglądasz mi na okaz szczęścia, chłopcze. Coś cię trapi?

Jezzibella oderwała spojrzenie od książki historycznej.

Leroy zaczerpnął powietrza i wypalił:

- Przynoszę wiadomość. Niestety, nie najlepszą.

- Dobra, Leroy. Wiem, że cwaniaki zepchnęły na ciebie głównianą robotę, nie ugryzę cię za to.

Co się, kurna, znowu stało?

- Wrócił ostatni konwój, który wysłaliśmy po antymaterię. Chodzi o to, że wojsko tam na nich czekało. Rozwalili stację, Al. Koniec z dostawami antymaterii.

- Chryste Panie! - Al grzmotnął w stół, aż porcelana podskoczyła. Na policzku wystąpiły mu trzy białe blizny. - Skąd wiedzieli, do jasnej cholery? Niczego nie planujemy tak starannie jak tych konwojów po antymaterię! Byli śledzeni?

- Nie wiem, Al. Fregaty zacumują za dwadzieścia minut, może dowódcy powiedzą nam coś więcej.

- Już ja ich, kurwa, powitam! - Al zacisnął pięści. Patrzył na gwiazdy za oknem oranżerii.

Leroy, skonsternowany, spojrział na Jezzibellę. Bez słowa skinęła głową na drzwi. Tylko czekał na pozwolenie. Ukłonił się Alowi i spylił tak szybko, na ile pozwalały mu grube nogi. Jezzibella czekała cierpliwie, w milczeniu. Dobrze знаła cykl nastrojów Ala.

Po minucie jak gdyby ocknął się z letargu.

- Kurwa mać!!! - Ryknął i ponownie walnął pięścią w stół. Tym razem posłużył się energistyczną mocą. Żelazo wygięło się alarmująco. Talerze, słociczki z dżemem, filiżanki i wazon - wszystko razem zsunęło się do nowo utworzonego żlebu i potłukło. Al poderwał się z miejsca, kiedy gorąca kawa wylała się na podłogę, gdzie leżały lilie. Nogi krzesła zawadziły o fugę między płytkami. - Pierdolony świat! - Odwrócił się i poczęstował krzesło takim kopniakiem, że pofrunęło na falistą, szafirową taflę.

Libby stęknęła, wystraszona. Tulila do piersi dzbanuszek z mlekiem, jakby był jej ostatnią deską ratunku. Jezzibella opadła na oparcie krzesła, trzymając w rękach ocaloną filiżankę z kawą. Na

jej twarzy nie gościło żadne uczucie.

- Skurwiałe, niedojebane gównojady! To była moja stacja, cholera, moja stacja! - Chwycił stół od spodu i rzucił nim z takim impetem, że ten kilkakrotnie przeokoziółkował w powietrzu, nim wylądował na drugim końcu oranżerii. Porcelana poszła w drobny mak na podłodze. Libby skuliła się, kiedy ciężka, metalowa noga śmignęła kilka centymetrów nad jej siwym kokiem. - Nikt a nikt nie będzie ruszał tego, co należy do mnie! Czy oni nie wiedzą, z kim mają do czynienia? Nie jestem nędznym, zasmarkanym piratem! Nazywam się Al Capone, do cholery! Mam armadę, która daje w dupę planetom! Postradali zmysły czy jak? Cała ta ich zasrana flota pójdzie na dno. A temu stukniętemu ruskiemu admirałowi wrąbię do dupy kij baseballowy, że mu gębą wyjdzie!

- W diabły - odezwała się Jezzibella.

- Co? - Al błyskawicznie się odwrócił i huknął na nią z góry: - Coś ty, kurwa, powiedziała!?

- Flota pójdzie co najwyżej w diabły, nie na dno. Nie jesteśmy na Ziemi, Al.

Zamachnął się pięścią. Trzęsła się mocno przed zadaniem ciosu. Nagle się wykręcił i palnął w wysokie akwarium. Szkło pękło i przez dziurę wypłynęły gromadą fioletowe ryby. Woda opryskała mu skraj szlafroka.

- Cholera jasna! - Odskoczył do tyłu, żeby nie zamoczyć pantofli.

Jezzibella z niezmaconym spokojem uniosła stopy, gdy pod krzesłem przechodziła fala. Ryby rzucające się na posadzce obijały się o donice z kwiatami.

- Czy na początku miałaś antymaterię?

Al przyglądał się rybom w krańcowym zdumieniu. Zupełnie jakby nie wiedział, skąd się wzięły.

- Co? - Bąknął.

- Dobrze wiesz co. - Odwróciła wzrok i obdarzyła Libby życzliwym uśmiechem. - Mała prośba: przynieś jakieś wiadro.

- Już się robi, gołąbeczko - odparła zatrwożona kobieta i wybiegła z oranżerii.

- Wystraszyłeś ją! - Rzuciła Jezzibella oskarżycielskim tonem.

- Niech się wali! - Warknął Al, poirytowany. - O co ci chodziło z tą antymaterią?

- Po pierwsze, zostały nam tony tego świństwa. Pomyśl, ile konwojów stamtąd przyleciało.

- Tony?

- Dobrze, jeśli nie tony, to na pewno kilogramy. Nie wierzysz, to sobie sam policz: jeden kilogram to dwa i jedna piąta funta. Nasza flota w połączeniu z siecią strategiczno-obronną spokojnie dokopie każdej dywizji, którą Konfederacja w swojej głupocie wyśle przeciwko Nowej Kalifornii. No i zostaje nam jeszcze Kingsley Pryor. Czy ty aby o nim nie zapomniałeś?

Al przestał liczyć w pamięci. Swoją drogą, był w tym bardzo dobry, co zostało mu z dawnych czasów, kiedy pracował jako księgowy w Baltimore. Jezzibella znowu miała rację, posiadali porządny zapas materiału na superbomby. I niezupełnie zapomniał o Kingsleyu Pryorze, tyle że minęły całe wieki, odkąd wysłał go z tajną misją.

- Boże, o tym dupku? Dawno go skreśliłem. Nic nie drgnęło w tej sprawie.

- Nie szkodzi. On jest wysłannikiem, nie torpedą. W końcu robi co trzeba.

- Może.

- Owszem, robi, i wtedy zwyciężysz. Kiedy padnie Konfederacja, nikt cię więcej nie będzie niepokoił.

- Zobaczymy - westchnął. - Ale skąd wziąć więcej antymaterii? Do licha, jeśli wyślą drugą dywizję, siedzimy po uszy w szambie.

- Nie robią tego, wierz mi, to politycznie niewykonalne. Wracamy do punktu wyjścia. Nie

miałaś antymaterii, kiedy to wszystko rozkręcałeś, a mimo to udało ci się zdobyć planetę. Traktuj antymaterię jak dodatkową premię, Al. Zrobiłeś z niej doskonały użytek. Nie dość, że udało ci się nastraszyć Konfederację, to jeszcze osłabiłeś ją tymi desantami. Dwadzieścia pięć załatwionych planet. Gospodarka padnie, przywódcy się skłócą. Nikt ci nie podskoczy na twoim podwórku, mowy nie ma. Powinieneś to docenić. - Wyciągnęła nogi i wsparła stopy na jednym z dwóch stojących krzeseł. - Nie zobaczymy okrętów wojennych nieprzyjaciela za tym oknem. Już nie. Nic ci nie grozi, Al. Sytuacja jest jasna. Okopałeś się przed tymi gnojkami, teraz skup się na scementowaniu tego, co zdobyłeś. Niech te durne ciuśmoki, które podają się za twoich przyjaciół, przestaną szarpać Organizację.

- Jasny gwint, aleś ty piękna! - Przebiegł z chlupotem po kałuży wody. Uśmiechnęła się i poślaskotała go palcem pod brodą. - Ludzie będą wkurzeni, żeśmy stracili stację - powiedział.

- Będą się bać i tyle. Po prostu udowodnij im, że nie ma powodu do strachu, że kontrolujesz sytuację. Nie mogą w ciebie zwątpić. Potrzebują cię, Al. Nikt inny nie utrzyma tego w kupie.

- Masz rację, zarządzę spotkanie. Nawciskam trochę kitu i skopię dupę komu trzeba.

Przesunęła dłoń na jego kark.

- Nie stanie się nic złego, jak zrobisz to za godzinę.

\*

W Alu wzbierała złość, odkąd przybył do biura dowództwa sztabu. Spotkanie nawet się nie zaczęło, nie chciał więc jeszcze nikogo mieszać z błotem. Tyle że... Nie mógł zapomnieć, jak wyglądało to wymuskane biuro, kiedy korzystali z niego po raz pierwszy: wszędzie błysk i porządek, elegancki porcelanowy serwis, kawa nalewana ze srebrnego dzbanka. Ostatnio i tu zrobił się syf, którego pełno było na Montereyu. Pod nieobecność mechanoidów nie sprzątano, a cóż dopiero mówić o polerowaniu. Na stole wały się talerze, zapleśniałe kubki i pomięte saszetki, leżące tak od trzech, czterech spotkań. Nikomu się nie chciało zanosić ich do najbliższej kantyny.

Nie podobało mu się to ani trochę. Jezzibella dobrze mówiła. Musiał scementować to, co już miał. Nadać wszystkiemu bieg, jak na samym początku.

Kiera przyszła ostatnia. Weszła jej to w nawyk. Al zastanawiał się, czy robi to po to, żeby mu dopiec, czy żeby wszyscy ją zobaczyli. Usiadła z boku, w połowie stołu między Patricią a Leroyem. Al demonstracyjnie wstał i dolał sobie kawy z syczącego ekspresu.

- Hej, Leroy, gdzie Webster? - Spytał nagle. - Powinien nam usługiwać.

Menedżer przerwał szeptaną rozmowę z Patricią i rozejrzył się po biurze z zaskoczeniem.

- Chłopak pewnie miga się od roboty.

- Dawno go tu nie widziałem. Dziwne to. - Ale nie przypominał sobie, kiedy malec usługiwał mu po raz ostatni. Czemu tu się dziwić, do cholery, skoro nikt tu nad niczym nie panuje... Webster był najważniejszym zakładnikiem, tylko ze względu na niego Kingsley Pryor podjął się swojej misji.

Leroy wyciągnął swój kieszonkowy blok, prędko wstukał polecenie i przejrzał rozkład obowiązków. Wnioski go zaniepokoiły, co nie uszło niczyjej uwagi.

- Chyba zszedł na dół do kuchni. Takie dostał ostatnie polecenie, gdy pomagał kucharzowi. Strażnik nic nie meldował.

Al usiadł i pomieszał kawę.

- Silvano, gdzie dzieciak?

Ponury mężczyzna zasepił się jeszcze bardziej.

- Skąd mam wiedzieć, do cholery?

- Do cholery, na tym polega twoja robota, żeby wiedzieć! Chryste, powierzam ci dowodzenie ludźmi, a ty nie potrafisz upilnować gówniarza! Dobrze wiesz, ile dla nas znaczy Webster. Jest

cenniejszy niż cała reszta zakładników.

- Jasne, Al. Znajdę go.

- Lepiej się postaraj. To kolejny dowód na to, cholera, jak wszystko tu schodzi na psy. - Napił się kawy, usiłując pohamować wzburzenie. - Dobra, ludzie, jesteście na bieżąco z tym, co się stało z fabryką antimaterii? - Z mamrotanych odpowiedzi i uciekających w bok spojrzeń wnosił, że są. - Nie myślcie sobie, że to koniec świata. Nic podobnego. Osiągnęliśmy to, co było naszym celem. Dwight, ilu planetom dosraliśmy?

Dowódca floty zaczerwienił się, kiedy wszyscy skupili na nim wzrok.

- Potwierdzono siedemnaście udanych infiltracji, Al. I czekamy na powrót dwóch grup.

- Dziewiętnaście planet. - Al uśmiechnął się szeroko do swoich podkomendnych. - Plus Arnstadt. Nieźle. Powiedziałbym, że całkiem nieźle. Wepchnęliśmy ich w takie gówno, że trudno im dupą ruszyć. A jeśli zechcą uderzyć... Emmet, co się wtedy stanie? Mamy jeszcze co trzeba, żeby dać im do wiwatu?

- Pewnie, że tak. Platformy bojowe są uzbrojone w antimaterię, to samo połowa floty. Jeśli ktoś tu się zjawi, żeby sobie postrzelać, to chyba tylko kamikadze.

- I to jest dobra nowina. Każdy słyszał? - Rozglądał się uważnie, próbując namierzyć swoimi nadprzyrodzonymi zmysłami malkontentów, gdy wszyscy potwierdzali, że owszem, słyszeli i się zgadzają. Jeden ujawnił się od razu: Kiera, chłodna i pełna wzdrygi. Pozostali okazywali zwykłą nerwowość lub, jak w przypadku Silvana, siedzieli nadąsani. Na razie jednak panował nad nimi. - Zrealizowaliśmy to, cośmy sobie założyli, wchodząc do ratusza. Zdobyliśmy planetę z całą ferajną kosmicznych zakładów. I co najważniejsze, odparliśmy ataki, zrobiliśmy z tej cholernej planety fortecę. Dzięki temu zamiast wojować, możemy wreszcie pozierać do kupy cały ten kram. Leroy, jak tam sprawa z żywnością?

- Głodu nie ma, Al. Na farmach wytwarza się mniej niż kiedyś, ale zawsze coś się wytwarza. Myślę, że wydajność skoczy do góry, jeśli nadzorcy przycisną niesfornych. Muszą mieć większą motywację.

- A zatem żywności może być więcej, to tylko kwestia czasu. Mickey, czy twoi chłopcy maszerują jak szkopy, gdy rzucisz rozkaz, czy robią z ciebie wała?

Mickey Pileggi zliżał kropelki potu, które nagle pojawiły mu się nad ustami.

- Mam ich pod kontrolą, Al, spokojna głowa.

- Pieprzysz jak potłuczony, synu. Zaraz nam się ta buda na łby zwali! Skaczemy do oczu Konfederacji i nawet nie widzimy, że przez dziurę w dachu deszcz pada.

- Tego właśnie chciałeś.

Al zatrzymał się w swoim pędzie, choć poskromił gniew z najwyższym trudem. A tak mu się dobrze układała mowa.

- Robi się z ciebie wstrętna zołza, Kiera! Staralem się, jak mogłem, żebyśmy czuli się bezpiecznie, nikt mi tu nie będzie niczego zarzucał!

- Niczego ci nie zarzucam, Al, po prostu podzielam twoje zdanie. Jesteśmy, gdzie jesteśmy, bo szliśmy za tobą.

- Chciałabyś teraz być gdzie indziej?

- Nie.

- To stul dziób. A wy wszyscy słuchajcie: zaczynamy robić porządki w domu. Żołnierzy trzeba wziąć za pysk, inaczej skończy się na zbiorowej samowolce, a my się obudzimy z ręką w nocniku. Ma wrócić ład i dyscyplina. Jeśli nie będzie rygoru, Organizacja się rozleci. A jeśli się rozleci, wszyscy mamy przechłapanie.



- Al, Organizacja istnieje, żeby istniała flota - powiedziała Kiera.

- Pieprzony Einstein w spódnicy, nie wierzę! Sama na to wpadłaś czy oświecił cię jakiś młokos z siłowni, gdy cię bzykał? - Al. głośno zachichotał, zachęcając innych do śmiechu.

- Zawsze o tym wiedziałam, tylko się zastanawiam, czy ty wiesz.

Zrobił groźną minę.

- Do czego zmierzasz?

- Potrzebowalibyśmy floty tylko wtedy, gdybyśmy chcieli zostać w tym wszechświecie.

- Rany, znowu te pierdoły! Naprawdę nie kapujesz, że jeśli stąd odejdziemy, uczone głowy w Konfederacji w końcu znajdą jakiś sposób, żeby nas ściągnąć z powrotem? Musimy tu zostać, inaczej nie dowiemy się, co na nas szykują.

- Jeśli zobaczysz, Al, że się za nas biorą, co wtedy zrobisz? Wyobrażasz sobie technikę, która pozwoli ściągnąć planetę z drugiej strony zaświatów? Zacziesz walić osami bojowymi? Wierz mi, jeśli Konfederacja stanie się tak potężna, załatwi nas w okamgnieniu. Ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek się dowiedziała, jak wykręcić nam taki numer. My damy sobie radę, bo sam diabeł używa nam mocy, z którą żadne mechaniczne ustrojstwo nie ma się co równać. Jeśli się stąd wyniesiemy, to moim zdaniem będziemy mogli czuć się o wiele bezpieczniej.

Ala swędziała ręką dokładnie w tym miejscu, gdzie zwykł trzymać kij baseballowy. Ledwo się powstrzymał przed jego zmaterializowaniem. Ta jej wzmianka o diable zbiła go z tropu. Będąc katolikiem z urodzenia, wołał nie dochodzić sensu swego istnienia i swojej nowej roli.

- Nie budujemy przyszłości na twoich domysłach, siostró - warknął. - Jeśli chcemy mieć pewność, zostaniemy tutaj.

- Środki Organizacji zostaną skupione na planecie - ciągnęła Kiera, jakby słowa Ala nic dla niej nie znaczyły. - Do chwili przejęcia kontroli nad miastami sieć strategiczno-obronna będzie naszym zapleczem politycznym. Potem użyjemy sił lądowych, aby zaprowadzić porządek. Al miał rację, ostatnio rozpanoszyło się nieróbstwo i samowola. Wiadomo, że musimy zachować przemysł i produkcję rolniczą, jeśli chcemy spokojnie żyć po drugiej stronie. Będzie potrzebny silny, zdecydowany rząd, żeby to osiągnąć. I my ten rząd utworzymy.

- Możemy zadbać o cały ten bajzel bez ruszania się z miejsca - rzekł Al głosem zbliżonym do szeptu. Ci, którzy znali go najdłużej, zlekli się, chociaż Kiera chyba nie dostrzegła ukrytego zagrożenia. - Kiedy będę potrzebował kogoś, żeby w moim zastępstwie rządził Organizacją, dam ci znać. Kapujesz, laluniu? Czy może inaczej ci to wytłumaczyć?

- Słucham tego, co mówisz - odpowiedziała z cynicznym rozbawieniem.

- I tak trzymaj. Dobrze, odtąd wszyscy macie robić, co każę. Rozprawcie się z darmozjadami, jakby sam Bóg tupnął nogą w niebiosach. Żołnierzom powiedzcie: do roboty albo fora ze dwora. A za dworem, wierzcie, nie jest za przyjemnie!

\*

Wszyscy wyszli, tylko Emmet i Silvano zostali na polecenie Ala. Wcisnął przełącznik, żeby ściana zrobiła się przezroczysta, a potem z niecierpliwością patrzył, jak przelewają się przed nim nieuchwytnie fale. Po spotkaniu wciąż był naładowany, ciężko mu było wytłumić energistyczną moc. W końcu ściana się uspokoiła, co pozwoliło mu przyjrzeć się wnętrzu centrum analiz strategicznych. Za długim szeregiem konsol siedziało pięć osób. Dwie grały w karty.

- Cwana suka, nie? - Al był przede wszystkim zaskoczony.

- Kiedyś była żoną polityka - odpowiedział Silvano. - Ma niezłą gadkę.

- Prawie mnie przekonała, że wzięcie dupy w troki nie jest głupim pomysłem - mruknął Al. Zwrócił się twarzą do swoich podwładnych. - Emmet, to się da zrobić? Możemy zabrać planetę tam,

gdzie jej nie znajdują? Teraz, zaraz?

Emmet przetarł dłonią czoło.

- Ja co najwyżej mogę dopilnować, żeby sprzęt chodził cacy: tu coś naprawić, tam odpowiednio podłączyć. Ale... Kurde, Al, takich pytań mi nie zadawaj, to nie moja broszka. Pogadaj z fizykiem teoretycznym albo księdzem. Ale nawet jeśli się kapną, jak to możliwe, nie stanie się to już dzisiaj. Długo nikt nas stamtąd nie wykurzy. A tymczasem może się dowiemy, jak tam zostać na zawsze. Kurde, no ciężko mi coś powiedzieć.

- Hm... - Al usiadł, poirytowany niemiłym rozstrzygnięciem tego spotkania. - Nie będziemy musieli się niczego dowiadywać. Przeklęta suka! Rozpowiada, żeby wiać, a ja muszę się uprzeć, żebyśmy zostali. Na pewno zacznie nawoływać do buntu.

- Opętani marzą o opuszczeniu tego wszechświata - rzekł Silvano. - To siedzi w nich głęboko. Może nie broń się przed tym, co nieuniknione, szefie.

- Myślisz, że ulegnę tej małpie?

- Nie mówię, że jej, ale ona wyraża zdanie większości.

- Na razie nie mogę zrezygnować z czarnych jastrzębi. Emmet, zbudowałeś już dla nich koryto?

- Wybacz, Al, nie było czasu.

- Teraz masz czas.

\*

Banneth szykowała się do zasadniczego etapu operacji, aż tu nagle do drzwi komnaty załomotał starszy akolita. Kilian zarządził słabowicie, kiedy wepchnęła mu wąską rurkę głębiej w ciało.

- Zaraz wracam - obiecała żartobliwym tonem i docisnęła klamrę przy nacięciu, żeby zatamować krwawienie. W drodze do drzwi ściągnęła cienkie rękawiczki chirurgiczne.

- Trup, wielki magusie - wysapał akolita. - Znaleźliśmy trupa w kaplicy.

Spochmurniała.

- Czyj trup?

- Akolity Tilkei. Zakatowany na śmierć. Bez upoważnienia. Był gorliwym wyznawcą.

- Rozumiem. - Banneth zabezpieczyła drzwi datawizyjnym kodem i udała się do kaplicy. - To straszne, morderstwo bez upoważnienia - zakpiła.

- Tak, wielki magusie - zgodził się speszony akolita. Podobnie jak wszyscy w siedzibie sekty, zawsze miał wątpliwości, czy Banneth mówi poważnie.

Nawet w zestawieniu ze zwyczajami sekty morderstwo było dość drastyczne. Szczątki Tilkei wisiały nad ołtarzem rozpięte na linach z hartowanego drutu. Ciało nad łopatkami, pośladki, nadgarstki i golenie zostały przebite podczepionymi do lin grubymi hakami, sam tułów rozkrojony od gardła po krocze, a żebra odgięte, żeby wnętrzości mogły wylać się na ołtarz, gdzie leżały w kałuży krwi. Banneth ostrożnie obchodziła zwłoki, gdy tymczasem garstka akolitów czekała w pełnej szacunku odległości. Cóż za ironia, rozmyślała, że śmierć w kaplicy, gdzie w ciągu kilkudziesięciu lat zabili setki ludzi, tak nimi teraz wstrząsnęła. Znak czasów.

Krew jeszcze nie ostygła. Banneth wyjęła z kieszeni niewielki blok medyczny i przyłożyła podkładkę czujnika do błyszczącej wątroby.

- Umarł najwyżej pół godziny temu - orzekła. - Pełnił służbę?

- Tak, wielki magusie.

Połączyła się datawizyjnie z procesorem sieciowym, któremu poleciła przejrzeć raporty systemów bezpieczeństwa. Od godziny nikt nie wychodził z budynku.

- Przy każdych drzwiach stanie na straży pięciu akolitów. Można rozdać broń palną, ale tylko na pociski chemiczne. - Starsi akolici pospieszyli wykonać rozkaz. Banneth wyprostowała się i dostrzegła napis na ścianie za ołtarzem. NASTAŁ CZAS CIEMNOŚCI. Przesunęła spojrzenie po drutach, ginących w cieniu pod sufitem.

- Kto je tam przymocował? - Zapytała cicho. Rzecz sama w sobie niezbyt skomplikowana, wymagała jednak wysiłku, który nie mógł ujść niezauważeniu. Akolici bezradnie wzruszali ramionami.

- Wyjątkowo wyrafinowane morderstwo - zwróciła się do pełnomocnika na Europę Zachodnią. - Wymagało dłuższego planowania. Nawet opętanemu byłoby ciężko wejść do budynku potajemnie. Jednostka sztucznej inteligencji monitoruje usterki.

- Dexter by sobie poradził - odparł pełnomocnik. - Z tego, cośmy widzieli, wynika, że potrafi wykiwać każde urządzenie. Przypuszczalnie prowadzi z nami wojnę nerwów. Jeżeli faktycznie uwziął się na ciebie, to szybka śmierć go nie usatysfakcjonuje.

- Też tak uważam.

- Nie przejmuj się. Mamy dowód, że nie wyniósł się jeszcze z Edmonton. Jeśli Tilkea zginął pół godziny temu, Dexter na pewno nie zdążył wyjechać. Każę natychmiast wstrzymać ruch na kolei.

- Jeśli potrafi być niewidzialny, pewnie czai się w kaplicy.

- Korciło ją, żeby rozejrzeć się po mrocznych zakątkach. - Pewnie jest ciekawy, jak zareaguję.

- Spraw mu frajdę, krzyknij albo zemdlej, coś w tym stylu.

- Zostawię to sobie na później.

- A gdybyś już teraz weszła w męską fazę cyklu? Zmień się w faceta.

- Tylko co mi to da?

- Może w tej sytuacji męska agresja byłaby najodpowiedniejszą reakcją z twojej strony?

Dexter to przecież psychopatyczny zwyrodnialec.

Banneth przesłała wrażenie ironicznego śmiechu w paśmie afinicznym.

- Cenię w sobie zwłaszcza to, że świetnie znam oba portrety psychologiczne człowieka. Umieję wykorzystywać słabości kobiet i mężczyzn. Bądź pewien, że mężczyźni rzadziej kierują się sumieniem, ale czy są twardsi i wytrzymalsi? To raczej żałosne kłamstwo, sami się oszukujecie.

- Jak zawsze milutka. W takim razie powiedz, czy ci czegoś potrzeba.

- Na razie nic mi nie przychodzi do głowy. Tyle tu zainstalowano pułapek, że bardziej niż wtargnięcia opętanych boję się, by któryś z tych kmiotków akolitów nie spowodował wybuchu.

- No to w porządku.

- Obserwujesz inne siedziby sekty?

- Tak, wspólnie z Ameryką Północną. Opętani przejęli osiem sekt w Edmonton. Reszta podzieli ich los, to tylko kwestia czasu. Quinn zaczął niszczyć infrastrukturę miasta. Wysłał akolitów, żeby psuli generatory termonuklearne i stacje wodociągowe. W trzech czy czterech przypadkach nawet im się udało.

- Nie zauważyłam negatywnych skutków.

- Bo ich jeszcze nie było, lecz rezerwy będą się kończyć. Ostateczny cel wysiłków Dextera pozostaje wielką niewiadomą. Na szczęście wpadliśmy na interesujący trop. W Paryżu i Bombaju dochodzi do podobnych incydentów.

- Myślisz, że był tam?

- Tak. Oczywiście, Paryżem zajmuję się osobiście. Pełnomocnik na Azję Wschodnią przygląda się uważnie sekcje w Bombaju.

- Twoi obserwatorzy powinni zwrócić uwagę na Courtney i Billy-Joego. - Banneth przywołała na pamięć ich postacie. - Dwa dni temu słuch po nich zaginął. Dexter był jej opiekunem, kiedy ją stręczyłam. Może nie darzy go przyjaźnią, ale jest mu uległa. Jeśli wziął sobie kogoś do pomocy, to na pewno ją.

- Dziękuję. Będziemy mieć oczy otwarte.

\*

Wizualizacja przyjęła kształt trójwymiarowej pajęczyny, wypełniającej cały wszechświat. Nitki - każda w jednym z podstawowych kolorów - przecinały się w najrozmaitszych konfiguracjach. Ów pajęczynowy gąszcz ciągnął się w nieskończoność, by roztopić się w dali w jednolitej szarej mgiele. Pośrodku znajdował się umysł Louise, ukierunkowany na wszystkie strony naraz.

Neuronowy nanosystem pokazywał jej sieć telekomunikacyjną Ziemi. A ściślej mówiąc, część londyńskiej struktury przesyłu informacji. Chociaż mogła to być jedynie wewnętrzna sieć hotelu Ritz. Jeszcze nie umiała się w tym połapać - wiedziała tylko, że widzi otoczenie procesora sieciowego w jej pokoju... Oczywiście, w wybranym przez siebie protokole interpretacyjnym. Poprzednie wizualizacje przypominały cybernetyczną kolonię koralowców, rysunkowe drogi, powikłane pierścienie gazowego olbrzyma, a nawet mieszaninę przelewających się płynów. Ta jednak w jej odczuciu najdokładniej oddawała rzeczywistość.

Zjeżdżały się do niej zewsząd informacyjne taksówki; ciche światełka, przemieszczające się po nitkach pajęczyny, skupiały się wokół niej na podobieństwo galaktyki. Była to reakcja na ostatniego kwestora, którego wysłała w cyfrowy eter z misją znalezienia związku między Quinnem Dexterem a Banneth w dowolnej kategorii. Próbowwała złożonych kombinacji najbardziej absurdalnych odchyień fonetycznych. Usunęła ograniczenia czasowe, żeby kwestory mogły przekopywać się przez kilkusetletnie banki pamięci, uwzględniła w poszukiwaniach nawet dzieła fikcji, od książek po te bardziej wyrafinowane. Gdyby wyłowiła chociaż mglisty związek, odkryła jedno wiarygodne źródło, wówczas kwestory, reporterzy, przeglądarki katalogów, kalkulatory kredytowe i setki innych wyszukiwarek zainstalowanych w nanosystemie ruszyłyby tropem Banneth jak wilki.

Taksówki informacyjne ładowały pliki - swoich pasażerów - do programu analitycznego, działającego w trybie nadrzędności.

- Do licha z tym! - Jęknęła. Gdy zniknęła neuroikonowa wizualizacja, dźwignęła się na łokciach.

Genevieve siedziała przy biurku z uruchomioną w bloku procesorowym lekcją geohistorii Anglii. Spojrzała współczująco na starszą siostrę.

- Znowu zero, co?

- No. - Louise wychyliła się nad skraj łóżka i rozejrzała za butami. - Ani jednego wspólnego źródła, nic.

- Musisz pytać do skutku. - Genevieve wskazała leżący na biurku stos pudełek z fleksami. - Komputery nie są mądre, tylko szybkie. Połykają dane, wypluwają dane.

- Tak myślisz? - Louise nie zamierzała krytykować siostry za jej maniackalne zamiłowanie do materiałów edukacyjnych. Lepsze to niż gry, pomyślała. Problem w tym, że jej wiedza jest powierzchowna. Jak moja... - Za mało umiem - przyznała. - Nawet z pomocą przewodnika, który pomaga mi formatować kwestory. - Martwiła się nie tylko swoją nieporadnością w tropieniu Banneth. Nie odzywał się także Joshua. Posłała mu już kilka wiadomości, a Tranquillity nawet nie powiadomiło jej o ich odebraniu. - Muszę się poradzić fachowca.

\*

Wróciła! Andy Behoo aż westchnął, gdy ujrzał ją w sklepie. Magii tej chwili nie zepsuło nawet pojawienie się Genevieve. Tym razem nie zaprzętał sobie głowy spławianiem klienta, po prostu go zostawił. Louise stała na środku sklepu i rozglądała się z takim samym niezdecydowaniem jak ostatnio. Uśmiechnęła się lekko, widząc, że do niej podchodzi... Spokojnie, nie biegnij, wyjdiesz na idiotę!

- Przyszłaś po coś jeszcze? - Zapytał. Boże, co za kretyński tekst! Czemu po prostu nie krzyknę: Moje życie jest puste!?

- Tak, chciałabym dokupić parę programów.

- Wspaniale. - Prędko zlustrował ją od stóp do głów, zapisując obraz w komórce pamięciowej. Dziś nosiła cytrynową sukienkę z lśniącego materiału, obcisłą w biodrach, i przedpotopowe okulary przeciwsłoneczne w drucianej oprawce. Dziwne to było połączenie, choć bardzo eleganckie. Należało mieć tylko zimną krew, żeby poradzić sobie z efektem. - Czym mogę służyć?

- Potrzebny mi rozbudowany kwestor. Bo widzisz, próbuję znaleźć kogoś, o kim właściwie nic nie wiem. Kwestor w pakiecie NAS2600 nie potrafi go zlokalizować.

Zainteresowanie, jakie wzbudziły w nim te słowa, sprawiło, że oderwał wzrok od jej biustu.

- Serio? Zwykle nie zawodzi. Twój przyjaciel musiał się dobrze zaszyć. - Jejku, niech to będzie jej znienawidzony narzeczony!

- Całkiem możliwe. Pomożesz mi?

- Od tego jestem. - Andy podszedł do kasy, kombinując, jak w tej sytuacji ugrać coś dla siebie. Jakoś nie miał odwagi, żeby spytać ją wprost, czy poszłaby z nim na drinka po pracy. Zwłaszcza, że kręciła się z nią Genevieve. Tak czy owak, musiał coś wymyślić, jeśli chciał się z nią jeszcze raz spotkać, ale już nie w Jude's Eworld.

Miał świadomość, że Liscard, kierowniczka sklepu, bacznie mu się przygląda. Była niezwykle spięta, odkąd z wizytą do sklepu wpadło dwóch gliniarzy z wydziału specjalnego. Zabrali ją do gabinetu, gdzie spędziła przeszło godzinę. Cokolwiek powiedzieli, jej programy uspokajające nie radziły sobie z hamowaniem nerwów. Przez cały dzień wyżywała się na Andym, powarkując na niego bez powodu.

Miał nieprzyjemne przeczucie, że jest to w jakiś sposób związane z Louise. A raczej z odpluskwieniem jej i Genevieve. Jeśli pluskwy zaaplikowano im z polecenia Rządu Centralnego, to prawdopodobnie złamał prawo. Nie dostał jednak nagany. Wciskacze korzystali z pogłosek i ludzkiej ciekawości. Każdy przechwalał się, że to do niego zagląda tajemnicza persona, która zapewne jest powodem całego zamieszania.

W głowie Andy'ego wyświetliła się lista towarów, w której zaznaczył kwestory.

- Wydaje mi się, że twój problem wynika częściowo z tego, że kwestor w pakiecie 2600 sprawdza wyłącznie bieżące indeksy plików - wyjaśnił dziewczynie. - Musimy wybrać taki kwestor, który sprawdza całe pliki i jednocześnie ignoruje datę. To ci pozwoli dotrzeć do ukrytych źródeł. - Andy zanurkował pod kontuar, aby przejrzeć fleksy zgromadzone na dolnych półkach. - No i mamy - oświadczył, wynurzywszy się z pudełkiem. - Killabyte. Niewiele mu brakuje do sztucznej inteligencji. Jedno pytanie tworzy matrycę samoskojarzeniową. Program posługuje się napotkanymi odniesieniami do budowania listy skojarzeń, których nie uwzględniłaś, i dynamicznie zmienia kryteria wyszukiwania. Nie wyśle ci taksówki, póki nie znajdzie odpowiedzi, choćby to miało trwać bardzo długo. Uparty skurczybyk.

- Fajnie. Dzięki, Andy.

- Najchętniej dałbym ci Hyperpaedię, ale nie mamy na składzie ani jednego egzemplarza.

Jeśli uruchomisz ją łącznie z Killabyte'em, znajdziesz przyjaciela na mur beton. Dziś to główne produkty na rynku.

- Jestem pewna, że Killabyte wystarczy.

- Dla pewności złożę zamówienie na Hyperpaedię. Hurtownia oprogramowania nie prześle nam jej datawizyjnie, boją się piractwa. - Wsparł łokcie na kontuarze i nachylił się ku niej z miną konspiratora. - Oczywiście, kod dawno został złamany. Na każdym stoisku w Chelsea Market dostaniesz nielegalną kopię, choć prawdopodobnie z błędami transkrypcji. Lepiej weź oryginał, będziemy go mieli jutro rano. Mogę go wysłać pod twój adres.

- Mieszkam w Ritzu. - Louise pogrzebała w torebce, skąd wyciągnęła dysk hotelowego systemu doręczania zakupów.

- W porządku. - Andy podsunął blok z listą zamówień, żeby przyjąć kod hotelu. - Narzeczony się nie zjawia?

Genevieve musiała się pochylić i zasłonić twarz ustami, żeby ukryć chichot.

- Na razie - odpowiedziała niewzruszenie Louise. - Lada dzień powinien przylecieć. Jest już w tym układzie słonecznym. Zastanawiam się, czy nie mógłbyś zrobić dla mnie jeszcze czegoś.

- Jasne, co tylko chcesz!

Louise skwitowała jego entuzjazm nikłym uśmiechem. Muszę być wobec niego bardziej zasadnicza. Tylko że bycie zasadniczym wobec Andy'ego Behoo kojarzyło jej się trochę z topieniem małych kotów.

- Na wypadek gdyby kwesor nie znalazł tego, czego szukam - wyjaśniła. - Mówiłeś, że zaglądamy do sklepu prywatni detektywi. Możesz mi któregoś polecić?

- Popytam - odparł w zamyśleniu. - Poczekaj chwilkę.

Liscard obrzuciła go zaniepokojonym spojrzeniem, kiedy do niej podszedł.

- Prywatny detektyw? - Wymamrotała, gdy zapytał, którego powinien polecić.

- No. Specjalizujący się w szukaniu ludzi. Są wśród nich tacy?

- Chyba tak - bąknęła kierowniczką. Czekwała niecierpliwie. Zaledwie siostry pojawiły się w sklepie, uruchomiła sensywizyjne połączenie z e-adresem podanym przez oficerów wydziału specjalnego. Implant wzrokowy pospołu z programem filtrowania dźwięku przekazywał zdarzenie osobie po drugiej stronie łączy. Nie ośmieliłaby się używać żadnych programów tropiących, dostępnych pracownikom Jude's Eworld. Producenci ręczyli za ich całkowitą niewykrywalność, lecz wolała nie igrać z ogniem. A już zwłaszcza z ludźmi, którzy twierdzili, że pracują w wydziale specjalnym policji. Kiedy spytała o nich znajomego z miejscowego posterunku policji, warknął, żeby już nigdy się z nim nie kontaktowała, i bezceremonialnie przerwał połączenie. - Co mam jej powiedzieć? - Zapytała datawizyjnie anonimowego rozmówcę.

- Znam kogoś, kto pomoże dziewczynie - nadeszła odpowiedź.

Liscard odesłała datawizyjną wiadomość bezpośrednio do neuronowego nanosystemu Andy'ego. Przemierzając sklep, nie spieszył się, dzięki czemu mógł dłużej zachwycać się jej kształtami. Nagrane wcześniej obrazy były niezłą gratką, lecz w jego sensywizyjnym środowisku sprowadzały się właściwie do fotonowych lalek. Po ich wyczarowaniu marzył o bardziej przekonujących replikantach. Przełączył więc siatkówki na odbiór podczerwieni i przepuścił sygnał przez program filtracyjny, dzięki czemu mógł zobaczyć pod materiałem sukienki mięśnie brzucha i zarysy klatki piersiowej. Trójwymiarowe siatkowe odwzorowanie dokładnie odzwierciedlało kształt cudownych piersi. W pliku znalazł się również przedział odcieni skóry. Program do modelowania w prosty sposób odgadywał kolor ciała na podstawie odsłoniętych fragmentów nóg i ramion. Brakowało mu już tylko smaku, kiedy wodził językiem po kształtnym brzuszku i wewnętrznej stronie

uda. No i właściwej barwy głosu, kiedy jęczała z rozkoszy i go wychwalała - najlepszego kochanka, jakiego kiedykolwiek miała.

Pogardzał sobą za to, że musi zadowalać się sensorywnymi podrobkami. Sam się postarał o ostateczny i poniżający dowód swojej kompletnej niezaradności. Ale ona była niesamowita! Lepiej kochać i stracić, niż w ogóle nie kochać. Nawet jeśli miłość miała miejsce w cyfrowym świecie.

- Co się z nim dzieje? - Zapytała głośno Genevieve. - Czemu patrzy na ciebie tak śmiesznie?

Andy zamaskował przerażenie kiepskim uśmiechem, kiedy jej piskliwy głosik wdarł się w jego roztrzęsione myśli. Na zaczerwienionej skórze perliły się zimne krople potu. Nanosystem nie potrafił pozbyć się rumieńców, był zbyt zajęty hamowaniem erekcji.

Louise spojrzała na niego z lekką podejrzliwością.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze - bąknął. Ignorując surową minę Genevieve, szurnął za kontuar. - Przypuszczam, że szukasz kogoś takiego jak Ivanov Robson. Specjalizuje się w zaginięciach jednego i drugiego typu.

- Jednego i drugiego typu?

- No. Niektórzy giną tradycyjnie: wyciągają kopyta lub z jakichś powodów nie mogą aktualizować informacji w plikach, jak ten twój przyjaciel. Inni celowo przepadają bez wieści: dłużnicy, niewierni partnerzy, przestępcy. Rozumiesz chyba.

- W porządku, dziękuję. Chętnie spotkam się z panem Robsonem.

Przesłał jej adres i e-adres detektywa. Gdy uśmiechnęła się i przed wyjściem niepewnie pomachała ręką, syknął przez zaciśnięte krzywe zęby. Ręce znowu mu drżały, musiał chwycić się kontuaru. Głupek! Głupek! Głupek! Na szczęście nie wypadła ze sklepu z wściekłością ani nie czepiała się jego debilnych fantazji erotycznych. Ciągle miał u niej szansę. Akurat! Równie dobrze mógłby się ubiegać o tron króla Kulu.

Raz jeszcze zerknął pod ladę. Na środkowej półce stało rzędem piętnaście fleksów z Hyperpaedią w oryginalnym opakowaniu. Tylko dzięki niej mógł liczyć na ponowne spotkanie z Louise.

\*

Taksówka zatrzymała się u wylotu Fernshaw Road, w pobliżu miejsca, gdzie droga krzyżowała się z Edith Terrace. Louise i Genevieve wysiadły, drzwi zasunęły się za nimi. Samochód cicho przyspieszył i zniknął. Znalazły się na cichej ulicy mieszkalnej, gdzie chodniki były wyłożone kamiennymi płytami, a nie wylane betonem węglowym. Po obu stronach ulicy rosły chyba kilkusetletnie jawory i białe brzozy; olbrzymie konary, splatające się w górze, tworzyły misterną, szmaragdową tarczę osłaniającą przed ostrymi promieniami słońca. Dwu- i trzykondygnacyjne budynki pomalowane były na biało i kremowo. Dachówki i ściany z cegły zapadnięciami i wybrzuszeniami zdradzały swój wiek. Stulecia ruchów tektonicznych i zanieczyszczeń środowiska nadwerężyły każdy mur i element konstrukcyjny. Futryny okien poprzekrzywiały się pod najdziwniejszymi kątami. Na ulicy nie pozostała ani jedna prosta linia. Przed domami były małe podwóreczka, lecz całą zieleń zastąpiono płytkami. Olbrzymie drzewa zabierały tyle światła, że poniżej rosnać nie mogły żadne krzewy czy pnącza.

- To chyba tutaj - odezwała się Louise z wahaniem. Patrzyła na wysoki mur i dębowe drzwi, mocno spłowiałe ze starości. Obok nich widniała mosiężna płytka z kratką. Chyba nie wysyłało się sygnału datawizyjnego do tak prymitywnego urządzenia. Louise wcisnęła biały guziczek.

- Słucham - odezwał się cienki głos z urządzenia.

- Przyszłam spotkać się z panem Robsonem - odpowiedziała. - Dzwoniłam wcześniej. Nazywam się Louise Kavanagh.

Otworzyła drzwi, kiedy głośno zabręczały. Zaraz za murem było prostokątne patio, zastawione wyrobami z kutego żelaza i uschniętymi krzewami iglastymi w popękanych donicach. Drzwi frontowe, ładząco podobne do drzwi w murze, już ktoś zdążył otworzyć. Ostrożnie zajrzała do małej sieni.

Za biurkiem stała - niewiele starsza od niej - jasnowłosa dziewczyna. Na blacie cisnęły się foldery, pudełka z fleksami i porcelanowe filiżanki. Dziewczyna wpatrywała się w nieduży, kolumnowy projektor AV, wbudowany w zespół bloków procesorowych, na oko bardzo drogi. Blade, turkusowe światelko skrzącego się projektora odbijało się w jej wąskich, brązowych oczach. Wydawała się sparaliżowana strachem.

Zdawała sobie sprawę z obecności sióstr, bo spytała ochryple:

- Widziałyście?

- Co? - Zdziwiła się Genevieve.

Recepcjonistka wskazała kolumnę.

- Ostatnie wiadomości.

Siostry skierowały wzrok na świetlistą mgiełkę, otaczającą projektor. I oto nagle patrzyły na rozległy park w arkologii, przykryty typową kopułą. Dokładnie naprzeciwko nich, na zadbanym, szmaragdowym trawniku, leżała wielka, zwężająca się wieża z metalowych elementów, a właściwie długa hałda pogiętego żelastwa. Kilka spośród wysokich, rozłożystych drzew, jakie otaczały wieżę, zostało zmiażdżonych ciężarem zardzewiałej, stalowej konstrukcji. Wokół rumowiska zebrał się tłum gapiów, zasilany tysiącami ludzi, którzy zbliżali się wszystkimi drózkami. Wyczuwało się przygniatający nastrój żałoby, jakby umarła ukochana osoba. Prawie każdy miał spuszczone głowę, wielu płakało. W powietrzu niesły się ciche łkania.

- Gnoje - odezwała się recepcjonistka. - Cholerne gnoje!

- Co to za rzecz? - Spytała Genevieve.

Recepcjonistka popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Jesteśmy z Norfolka - wyjaśniła Louise.

- To wieża Eiffla w Paryżu. Wysadzili ją anarchiści spod znaku nocy. Banda kretynów, którzy tam rozrabiają. Twierdzą, że to ich zadanie przygotować świat na nadejście nocy. Kryją się za nimi opętani, wszyscy to wiedzą. Gnoje!

- Ta wieża była taka ważna? - Dopytywała się Genevieve.

- Zbudowano ją ponad siedemset lat temu, już samo to coś znaczy.

Dziewczyna oglądała projekcję.

- To straszne, co zrobili.

- Pewnie dlatego istnieją zaświaty. Żeby łotry cierpiały przez całą wieczność.

Oszklonymi, spiralnymi schodami siostry weszły na piętro. Na korytarzu czekał Ivanov Robson. Podróż statkiem "Far Realm" przyzwyczała Louise do wyglądu ludzi, których ciało odbiegało od stereotypu funkcjonującego na jej ojczystej planecie. A w Londynie mieszkały przedziwne indywidua. Tym niemniej omal nie podskoczyła na widok Robsona. W życiu nie spotkała takiego wielkoluda. Mimo przeszło siedmiu stóp wzrostu wydawał się tęgi i barczysty. A jednak Louise nie dostrzegła na nim zbędnego tłuszczu. Musiał mieć w sobie straszliwą moc, już same ręce przewyższały grubością jej nogi. Skóra, w najczarniejszym odcieniu czerni, lśniła po terapii sparingowej w klubie fitness. Grube, kasztanowe włosy ze złotym połyskiem, związane w mały kucyk, w połączeniu z modnym garniturem z żółtego jedwabiu nadawały mu zaskakująco elegancki wygląd.

- Witam, panno Kavanagh. - W aksamitnym głosie brzęczała wesoła nuta, należało się więc



spodziewać, że wie, jak działa na ludzi.

Drewniana podłoga trzeszczała pod nogami, kiedy prowadził siostry do gabinetu. Widząc regały z książkami, Louise przypomniała sobie gabinet ojca, chociaż tu zobaczyła tylko kilka oprawnych w skórę tomów. Ivanov Robson klapnął na szerokie krzesło za biurkiem z ciemnym, szklanym blatem. Nic na nim nie stało prócz cieniutkiego bloku i osobliwej szklanej rury z przezroczystym płynem; miała chromowe wieko, wysokość osiemnastu cali i podświetlenie. W środku leniwie przemieszczały się do góry i w dół migotliwe, pomarańczowe twory.

- To ksenobiotyczne ryby? - Genevieve po raz pierwszy zabrała głos. W obecności olbrzyma nie przejawiała zwykłej sobie zadziorności. Przez cały czas chowała się za plecami Louise.

- Nie spodziewaj się niczego nadzwyczajnego - odparł Ivanov. - To antyk, oryginalna lampa lawowa z XX wieku. Kosztowała masę pieniędzy, ale bardzo ją lubię. No więc czym mogę służyć? - Splótł palce i wbił wzrok w Louise.

- Muszę kogoś odnaleźć - odpowiedziała. - Jeśli powiem kogo, a pan się nie zgodzi, nie będę miała pretensji. O ile się orientuję, nazywa się Banneth. - Zaczęła opowiadać o wszystkim, co przytrafiło jej się od opuszczenia Cricklade, przy czym nie tuszowała tyłu rzeczy co zwykle.

- No, no, zaimponowałaś mi - rzekł cicho Ivanov, kiedy skończyła. - Stałaś oko w oko z opętanymi i żyjesz, a to nie byle jakie dokonanie. Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pieniędzy, to znam paru ludzi w branży medialnej.

- Nie chcę pieniędzy, panie Robson. Chcę tylko znaleźć Banneth. Żaden kwesor nie może mi pomóc.

- Trochę mi głupio brać od ciebie pieniądze, ale oczywiście je wezmę. - Uśmiechnął się promiennie, ukazując rząd zębów w złotych koronkach. - Moje honorarium wynosi dwa tysiące fuzjodolarów, płatne z góry. Jeśli odnajdę Banneth, dodasz pięć tysięcy. I pokryjesz koszty. Postaram się zbierać rachunki.

- Zgoda. - Louise wyciągnęła dysk kredytowy Banku Jowiszowego.

- Najpierw parę pytań - powiedział Ivanov po wykonaniu przelewu. Przechylił się do tyłu wraz z krzesłem. - O Banneth wiesz tylko tyle, że skrzywdziła Quinna Dextera. Mam rację?

- Tak powiedział.

- I Banneth na pewno mieszka na Ziemi? Ciekawe. Zaszło między nimi coś okropnego, dlatego podejrzewam, że byli zamieszani w działalność przestępczą. Chyba to będzie punkt zaczepienia w moim śledztwie.

- Aha. - Louise unikała jego wzroku. Przecież to było takie oczywiste. Żałowała, że nie kazała kwesorowi przeglądać kryminalnych archiwów.

- Jestem profesjonalistą, Louise - powiedział łagodnie. - Wiesz, że opętani przylecieli na Ziemię, prawda?

- Tak. Oglądałam reportaż z Nowego Jorku. Chociaż burmistrz powiedział, że zostali zlikwidowani.

- Niby tak, ale Rząd Centralny nie przywrócił ruchu na kolei w Nowym Jorku. Na pewno coś to oznacza. I teraz wysadza się wieżę Eiffla zupełnie bez powodu, chyba tylko po to, żeby zdenerwować ludzi i zamącić im w głowach. Prawdopodobnie opętani dotarli do Paryża. Czegoś takiego nie dokonałby gang naćpanych oszołomów. Ja ci tylko próbuję uzmysłwić, Louise, w ten trochę pokręcony sposób, że jeśli jest tu Quinn Dexter, to na pewno też szuka Banneth. Naprawdę znowu chcecie na niego wpaść?

- Nie! - Pisnęła Genevieve.

- To miejcie świadomość, że wszystko ku temu zmierza.

- Wystarczy, że dostanę e-adres Banneth. Nie trzeba mi nic więcej.
- W takim razie zrobię co w mojej mocy, żebyś go otrzymała. Będziemy w kontakcie.

Ivanov poczekał, aż siostry zejda spiralnymi schodami, nim spytał:

- Dać jej e-adres Banneth?

- W tej sytuacji to chyba bezcelowe - odpowiedział pełnomocnik na Europę Zachodnią. -

Quinn przebywa w Edmonton, miasto zostało zamknięte. Dziewczyna nie może wjechać, żeby się z nim spotkać. Będzie musiała posiedzieć chwilę na ławce rezerwowych.

W pewnych kręgach ludzi perspektywa lotów kosmicznych wydawała się ze wszech miar realna na długo przed tym, jak Sputnik 1 wdarł się z hukiem na orbitę. Kiedy pełną parą ruszyły pierwsze fabryki niskograwitacyjne, dowodząc, że produkcja na orbicie może być opłacalna, idee lansowane przez wizjonerów pokroju Ciołkowskiego, Goddarda czy odważniejszych pisarzy SF tamtej epoki zostały prędko podchwycone i rozreklamowane przez napalonych zwolenników podboju kosmosu. Wraz z rozbudową Halo O’Neilla i rozwojem górnictwa na orbicie Jowisza w XXI wieku koncepcje futurystów nareszcie zaczęły przybierać realny kształt. Drażono komory w planetoidach i przystosowywano je do zamieszkania. Wypychanie ich z orbity Ziemi i posyłanie w przestrzeń ku Proxima Centauri stanowiło już tylko problem natury mechanicznej i finansowej. Teoria przestała stać na przeszkodzie: potrafiąco skonstruować silniki na antimaterię lub paliwo termojądrowe, zdolne przyspieszyć olbrzymią bryłę skalną do prędkości mieszczącej się w zakresie od pięciu do dwudziestu procent prędkości światła, tu zdania fizyków były podzielone. Kolejne pokolenia mieszkańców asteroidy rodziłyby się, dbały o urządzenia techniczne i umierały, przemierzając pustkę kosmosu w nadziei, że ich potomkowie obejmą w posiadanie nową Ziemię.

Niestety, z powodu takich, a nie innych cech ludzkiej natury loty obliczone na stulecia wydały się po prostu zbyt długie, a idea kolonizacji - zbyt abstrakcyjna, żeby rządy i potężne instytucje tamtej epoki były skłonne sponsorować budowę projektowanych ark kosmicznych. Skuteczny hamulec oczywiście stanowiły też koszty. Nie mogło być mowy o zwrocie poniesionych nakładów.

Wszystko wskazywało na to, że idealisci głoszący hasła nowego początku mogą sobie o nim co najwyżej pomarzyć.

Jednym z niepoprawnych marzycieli był Julian Wan, który będąc człowiekiem bardziej energicznym od swoich kolegów, przekonał zarząd korporacji New Kong do inwestowania w badania nad wynalezieniem sposobu podróży z prędkością przekraczającą prędkość światła. Argumentował, że byłby to skromny, niedrogi projekt, polegający na praktycznym zastosowaniu pewnych dyskusyjnych równań kwantowej teorii unifikacji, a właściwie na zatrudnieniu garstki nieszablonowych fizyków teoretycznych i umożliwieniu im korzystania z odpowiedniej mocy obliczeniowej komputerów. Gdyby projekt wypalił, przyniósłby krociowe zyski. Nikt się bynajmniej nie kierował szlachetną troską o przyszłość ludzkości i chęcią rozwiązania zagadek wszechświata.

W roku 2115 New Kong przeprowadził udane próby z napędem wykonanym w technice ZTT, a koncepcja arki kosmicznej szybko i po cichu odeszła do lamusa. Pięknie nakreślone plany i propozycje licznie wspierających podróże kosmiczne związków i stowarzyszeń trafiły do archiwów bibliotek uniwersyteckich, dzieląc los innych niezrealizowanych pomysłów, takich jak bombowiec z silnikami jądrowymi, most nad kanałem La Manche, elektrownie słoneczne na orbicie geostacjonarnej czy tworzenie kontynentów (projekt Nowa Atlantyda, przewidujący użycie bomb termonuklearnych w celu zmiany aktywności tektonicznej skorupy ziemskiej). Gdy w roku 2395 odkryto Hesperii-LN, planetę Tyrataków, i dowiedziano się, że to kolonia założona przez mieszkańców kosmicznej arki, studenci historii inżynierii na krótko odgrzebali dawne plany ark, żeby zobaczyć, czy mogą się równać z arkami już sprawdzonymi. Okres akademickiej ciekawości tym tematem trwał niespełna dekadę.

Joshua, który mienił się ekspertem w dziedzinie podróży kosmicznych, z zachwytem patrzył na blade światło, pokazywane przez czujniki “Lady Makbet”. Obiegało Hesperii-LN po silnie wydłużonej orbicie eliptycznej, której perygeum wynosiło dwanaście tysięcy kilometrów, apogeum zaś czterysta tysięcy. Na szczęście aktualnie znajdowało się prawie trzysta tysięcy kilometrów od

planety Tyrataków i się oddalało.

Wynurzyli się w odległości dwóch milionów kilometrów od Hesperii-LN, czyli poza zasięgiem konwencjonalnych czujników systemu strategiczno-obronnego. W odróżnieniu od uprzemysłowionych planet należących do człowieka świat Tyrataków nie był ośrodkiem ożywionej działalności kosmicznej. Znajdowała się tu garść niskoorbitalnych stacji cumowniczych, klastrów przemysłowych i czujników satelitarnych, sieć telekomunikacyjna oraz dwadzieścia pięć platform bojowych, sterowanych przez pracowników Sił Powietrznych Konfederacji. Piractwa oczywiście nikt się specjalnie nie obawiał, Tyratakowie nie produkowali bowiem towarów mających jakąkolwiek wartość w oczach ludzi, a już zwłaszcza mających wartość czarnorynkową. Konfederacja w dużo większym stopniu obawiała się sytuacji, w której zbójcecki statek kosmiczny, uzbrojony w broń szturmową, zaszantażuje planetę. Wprawdzie Tyratakowie nie wytwarzali dóbr konsumpcyjnych, to jednak wydobywali złoto, platynę, diamenty i inne cenne surowce, których potrzebował przemysł. Kolonia została założona w roku 1300 n.e., stąd na każdym świecie zamieszkanym przez ludzi krążyły legendy o olbrzymich zapasach, nagromadzonych tu w ciągu tysiąclecia. W każdej knajpie, na każdym przyjęciu, zawsze znalazła się osoba znająca kogoś, komu opowiadano o człowieku, który osobiście odwiedził niezmiernie podziemne pieczary, wypełnione skarbami, jakich w baśniach strzegły smoki.

Flota Konfederacji łożyła więc pieniądze na utrzymanie placówki pilnującej, aby dobrosąsiedzkich stosunków między rozumnymi rasami nie zepsuł żaden incydent. Placówka została opuszczona wraz ze stacjami obsługiwanymi przez ludzi z chwilą, gdy Tyratakowie zerwali pakt o przyjaźni. Ze wskazówek udzielonych przez Monicę i Samuela załodze "Lady Makbet" wynikało, że Tyratakowie nie zdołają utrzymać w pełnej sprawności sieci strategiczno-obronnej.

"Ale musimy uważać, bo mogą spróbować nas ostrzelać - powiedziała Monica. - Ich ambasador grzmiał z mównicy, że nie chcą się z nami zadawać".

Joshua i Syrinx założyli, że sieć strategiczno-obronna jest włączona i w pełni sprawna i do tego dostosowali taktykę. Ich celem było wprowadzenie na Tandzurika-RI zespołu naukowego, mającego za zadanie odnaleźć wzmiankę o Śpiącym Bogu w elektronicznych bankach pamięci starożytnej arki kosmicznej. Najwięcej trudności przedstawiało wejście chyłkiem na pokład.

Oba statki od chwili wynurzenia działały w trybie pełnej niewykrywalności. Przed skokiem w głąb układu Joshua ustawił "Lady Makbet" na takim kursie, żeby po wyjściu z terminala poruszać się po trajektorii prowadzącej do spotkania z arką. Dopóki nie musiał włączać napędu na paliwo termojądrowe lub antymaterię, statek miał szansę pozostać niezauważony. Na tym etapie misji udzielał wsparcia: miał wdrzeć się do układu i zapewnić osłonę ogniową na wypadek, gdyby zrobiło się nieciekawie i "Oenone" musiał ewakuować zespół. Używali wyłącznie czujników biernych, chemiczne silniki korekcyjne uruchamiali jak najrzadziej, natomiast drugorzędne systemy przełączyli w tryb oczekiwania, co zmniejszyło zużycie energii, a tym samym emisję ciepłą. Wewnętrzne akumulatory magazynowały ciepło wytwarzane przez generator termojądrowy, aczkolwiek mogły je przyjmować tylko przez dwa dni, później należałoby rozłożyć panele termozrzutu. Ale nawet to nie było powodem do strachu, ponieważ ciepło zostałoby wypromieniowane w stronę przeciwną do czujników sieci strategiczno-obronnej. Musieliby mieć strasznego pecha, żeby zauważyły ich urządzenia strzegące Hesperii-LN.

- Odbieramy sygnały radarowe platform bojowych - zameldowała Beaulieu. - Bardzo słabe. Nie szukają nas. Powłoka kadłuba z łatwością wszystko pochłania.

- To dobrze - odpowiedział Joshua. - Lioł, jak tam aktywność statków kosmicznych?

- Czujniki podczerwieni wykryły w pobliżu planety dwadzieścia trzy statki z włączonymi

silnikami. W większości poruszają się między niską orbitą a platformami bojowymi. Cztery chyba krążą po wysokiej orbicie biegunowej. Podejrzewam, że uzupełniają sieć strategiczno-obronną. Żaden nie porusza się szybko, maksymalnie 0,5 g. Ale to duże statki.

- Takie właśnie lubią Tyratakowie - wtrącił Ashly. - Mogą się swobodnie poruszać w sekcjach mieszkalnych. Kurde, czują się w nich pewnie jak w katedrach.

- Potencjał wojskowy?

- Jeśli dysponują produkowanymi u nas osami bojowymi, to znaczny - rzekł Liol. - Z błysków silników wynika, że to międzyplanetarne statki Tyrataków. Mają kilkanaście osiedli asteroidalnych, a na nich zakłady niskograwitacyjne, w których produkują olbrzymie podzespoły na potrzeby planetarnych fabryk. Z tego wniosek, że ciężar użytkowy tych statków jest o wiele większy od naszego. Można by je nazwać platformami bojowymi o dużej zwrotności.

- Wspaniale. - Joshua połączył się datawizyjnie z zespołem technobiotycznych procesorów, który zainstalowali podczas ostatniego remontu. - "Oenone", jak u ciebie wygląda sytuacja?

- Wszystko idzie zgodnie z planem, Joshua. Za czterdzieści dwie minuty powinniśmy się spotkać z Tandzurikiem-RI. Zespół badawczy ubiera się w skafandry.

W przeciwieństwie do "Lady Makbet" jastrząb "Oenone" mógł przyspieszać i manewrować po wynurzeniu się w rejonie planety. Zmniejszywszy do minimum pole dystorsyjne, ruszył w kierunku arki z przyspieszeniem 0,5 g. Ze względu na odległość satelity sieci strategiczno-obronnej nie miały szans wychwycić tak drobnego zaburzenia czasoprzestrzeni. Minus był taki, że zasięg percepcji jastrzębia stanowił mizerną cząstkę tego, jakim zwykle mógł się on pochwalić. Gdyby z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Tyratakowie naszpikowali obszar wokół Tandzurika-RI niekontaktowymi minami, ich wykrycie byłoby możliwe dopiero z najbliższej odległości.

Syrinx nie cierpiała sytuacji, w których mogła polegać jedynie na pęcherzach sensorowych i zespołach pasywnych czujników. Jastrzębie nie wyobrażały sobie lotu bez możliwości przenikania zmysłami ogromnego sferycznego wycinka przestrzeni wokół siebie.

- Na służbie we Flocie dawaliśmy sobie radę - rzekł spokojnie "Oenone".

W półmroku na mostku kapitańskim - zużycie energii w toroidzie załogi też zostało zmniejszone do minimum - Syrinx uśmiechnęła się promiennie.

- To znaczy wtedy, gdy byliśmy jeszcze młodzi i bezmyślni?

- To nie jest bezmyślna wyprawa - napomniął ją jastrząb. - Wing-Cit Czong uważa, że wiele od niej zależy.

- Też tak uważam, ale w takich chwilach trudno uciec od wspomnień. - Na przykład o Thetisie, choć nie mówiła o nim. Ostatnio zadawała sobie pytanie, czy jej brat zdołał wydostać się z zaświatów zgodnie z zapewnieniem przekłętego Latona. Kiełkowało w niej poczucie winy; już przed wyprawą patrzyła z rezerwą na jego dziwny, ułomny byt w wieloskładnikowej osobowości Romulusa. Bo czy rzeczywiście był sens go zatrzymywać, skoro dusza przebywała na wolności?

- Jak myślisz, w którym miejscu najlepiej wylądować? - Spytał "Oenone".

Jastrząb zawsze wiedział, kiedy wyrwać ją z zamyślenia.

- Sama nie wiem. Pokaż, co widać. - Uruchomiła plik ze skąpymi informacjami na temat Tandzurika-RI, przechowywany w pokładowych procesorach, i spróbowała je zestawić z obrazem widzianym przez jastrzębia.

Tandzurika-RI Tyratakowie spisali na straty niespełna pięćdziesiąt lat po przybyciu do układu Hesperii-LN. W odczuciu ludzi został potraktowany dość brutalnie, lecz spełnił wszystkie nadzieje pokładane w nim przez jego dawno zmarłych konstruktorów, a ci nie ulegali sentymentom. W ciągu stu pięćdziesięciu wieków swojego istnienia arka przemierzyła tysiąc sześćset lat świetlnych, aby

rasa Tyrataków nie zginęła w wyniku wybuchu ojczystej gwiazdy. Po drodze założyli pięć oddzielnych, prosperujących kolonii. Ilekroć arka zatrzymywała się w układzie planetarnym, żeby stworzyć podwaliny nowej kolonii, Tyratakowie przebudowywali ją od podstaw, zaopatrywali w paliwo, a potem kontynuowali swój bój o przetrwanie rasy. Niemniej nawet najwytrzymalsze urządzenia mechanicznie osiągają kres swoich możliwości. Po założeniu Hesperii-LN porzucony Tandzurik-RI mógł już tylko bez końca okrążyć planetę.

Za pośrednictwem pęcherzy sensorowych jastrzębia Syrinx patrzyła na powiększającą się sylwetkę statku. Tandzurik-RI był ciemną, cylindryczną bryłą skalną o długości sześciu kilometrów i średnicy dwóch i pół. Na jego powierzchni utworzyła się misterna mozaika z płaskich kraterów, przypominająca wyrzeźbione przez wiatr pole lodowe. Dnem krętych dolin biegły szeregi zszarzałych metalowych konstrukcji, resztki olbrzymich urządzeń mechanicznych. Wszystkie te instalacje cierpiały przez tysiąclecia na skutek ablacji i zderzeń z cząsteczkami. Niegdyś na powierzchni, wśród paneli radiatorów wielkości jezior, jeżyły się wyrafinowane wieże, obecnie o dawnej wspaniałości świadczyły połamane elementy mocowania. Najintensywniej podziobany był przód, gdzie zachowały się liczne szczątki rdzawej, sześciokątnej siatki.

Ponieważ Tandzurik-RI podróżował z prędkością przekraczającą piętnaście procent prędkości światła, kolizja z małym kamyczkiem mogła spowodować katastrofalne skutki. Dlatego arkę w czasie lotu chronił parasol plazmy - chmura naelektryzowanego gazu, która kruszyła i absorbowała wszystko o masie głazu. Parła przed statkiem utrzymywana w żądanym położeniu dzięki polu magnetycznemu, wytwarzanemu w siatce nadprzewodnikowej.

Dokładnie pośrodku siatki, usytuowany na osi obrotu, znajdował się kosmodrom. Tyratakowie, chociaż wyszli z tych samych założeń co edeniści, budujący swoje przeciwoobrotowe kosmodromy w habitatach, zaprojektowali wymyślną stożkową konstrukcję z ułożonych piętrowo dysków. Czubek stożka zniknął pod skalną powierzchnią niczym grot gigantycznej strzały, która ugrzęzła w statku w zapomnianych wiekach. Największe dyski u góry odłamały się dawno temu, prawdopodobnie kiedy wysiadły magnetyczne łożyska. Tym, które zostały, dokuczała ablacja: ich brzegi łuszczyły się jak wystrzępiona tkanina, a płaskie powierzchnie wolno topniały, z czasem coraz cieńsze. Ponieważ ekipy remontowe odeszły stąd przed trzynastoma wiekami, metalowe półki na szerokich połaciach wychudły do paru centymetrów i zostały podziurawione tysiącami mikrometeoroidów.

"Oenone" przekazywał obraz arki kosmicznej członkom zespołu badawczego, przebijającym się w komorze przygotowawczej śluzie powietrznej w toroidzie załogi. Ze względu na tajny charakter misji zespołem kierowali Samuel i Monica Foulkes. Towarzyszyło im tylko dwóch naukowców: Renato Vella, główny asystent Kempstera Getchella, oraz Oski Katsura, kierowniczka wydziału elektroniki, zajmującego się badaniem cywilizacji Laymilów. Ich zadanie polegało na włączeniu elektronicznej biblioteki na pokładzie Tandzurika-RI i wyłuskanie z niej wszystkich możliwych odniesień do Śpiącego Boga. Wsparcie taktyczne zapewniało czterech sierżantów, wyposażonych w osobowość Ione.

W komorze przebywali również Kempster Getchell i Parker Higgins; w razie potrzeby pomagali w nakładaniu skafandrów, lecz przede wszystkim wymieniali ostatnie uwagi na temat misji. Członkowie zespołu przyoblekli się już w skafandry SII z czarnego, bezkształtnego silikonu i teraz trudzili się z zatraskami sztywnych skafandrów egzozkieletowych. Używali standardowego ubioru Sił Powietrznych Konfederacji, wykonanego z generatorowo wzmacnianego węgla monolitycznego i wyposażonego w system wspomagania ruchu i plecak manewrowy. Równie jednolity i opływowy jak skafandry SII, sprawdzał się podczas zadań bojowych na statkach i asteroidach, chronił od urazów i

pomagał w walce z przeciążeniem.

Uczestnicy ekspedycji włączali integracyjne programy diagnostyczne. Stawy w rękach zginały się i wykręcały, czujniki określały zakres ruchów. Monica, Samuel i sierżanci uruchomili programy obsługi broni. Gdy tylko procesor skafandra informował o wykonaniu wszystkich połączeń, zaczęli przypinać do pasa i mocować w gniazdach szeroki wybór śmiertelnych narzędzi. Oski i Renato kompletowali bloki procesorowe i ekwipunek naukowy. Kiedy zabrakowało im miejsca przy pasie, skorzystali z niewielkich pojemników mocowanych na piersi.

Kempster przytrzymał pojemnik Renata, przywierając do pancernego skafandra.

- Nie czuję ciężaru - rzekł datawizyjnie młody astronom. - Muszę tylko uważać na równowagę, ale tym zajmuje się odpowiedni program.

- Najnowsze zdobycze nauki - mruknął Kempster. - Chyba powinienem być zadowolony. Komandosi przystępują do akcji tylko po to, żeby zdobyć informacje astronomiczne. To świadczy o rosnącym znaczeniu mojej profesji.

- Śpiący Bóg nie jest zjawiskiem astronomicznym - napomniał go Parker z irytacją. - Już to ustaliliśmy.

Kempster uśmiechnął się za ciemnoszarymi plecami swego asystenta. Kiedy Renato przygotował się do wyjścia, połączył się datawizyjnie z zespołem procesorów "Oenone", prosząc o aktualny obraz. Zdeastrowany kosmodrom Tandzurika-RI znajdował się w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów, pęcherze sensorowe jastrzębia mogły mu się dokładnie przyjrzeć. Ogromne dyski trzymały się na jednym filarze, który składał się na oko z setek poplątanych rur. Między półkami były przynajmniej stumetrowe odstępy, pozwalające statkom kosmicznym poruszać się swobodnie. Pojazdy Tyrataków korzystały z półek jak z hangarów; stały przy słupach cumowniczych i podłączały się do gniazd serwisowych. Do dziś po dyskach zostały płaskie arkusze próchniejącej blachy; cienka warstwa urządzeń pomocniczych wyparowała razem z krawędziami.

- Mam nadzieję, że nie będziemy tu lądować - powiedział Renato Vella. - Taka półka może się załamać.

Za pomocą technobiotycznego procesora w skafandrze Samuel przesłał mu datawizyjną odpowiedź:

- "Oenone" zabierze nas pod najniższą półkę. Przed nami spacer kosmiczny i szukanie wejścia przy głównym filarze kosmodromu.

- Nie powinno być problemu - powiedziała datawizyjnie Monica. - Ekspedycja archeologiczna z Halo O'Neilla weszła bez przeszkód.

- Sto trzydzieści lat temu - zauważył Kempster. - Przez ten czas arka ulegała dalszym procesom rozpadu. Teraz droga może być zablokowana.

- To nie jest stanowisko archeologiczne, doktorze - przypomniała mu Monica. - W razie konieczności wytniemy sobie przejście. W tym przypadku rozpad może nam pomóc. Konstrukcja nie będzie się długo opierała.

Kempster przechwycił spojrzenie Parkera. Obaj podchodzili do tego z dezaprobatą. Wyciąć przejście, dobre sobie!

- Przynajmniej dysponujemy ogólnym planem pomieszczeń wewnątrz statku - odezwała się datawizyjnie Oski. - Gdybyśmy musieli szukać po omacku, pewnie wrócilibyśmy z pustymi rękami.

- No tak - zgodziła się Monica. - Jak to się stało, że Tyratakowie wpuścili tu wysłanników z uniwersytetu?

- Słuszniej byłoby spytać, czemu mieliby ich nie wpuścić - rzekł Parker. - Tyratakowie nie rozumieją naszego zainteresowania arką. Wiecie, że zamykają i opuszczają dom po śmierci

rozplodowców. Z Tandzurikiem-RI sprawa wygląda podobnie. Kiedy coś, co do nich należy, przestaje spełniać swoje zadanie, staje się... Zbędne, chyba tak można to określić. Nie używają tego, nie zwracają na to uwagi. I nie chodzi tu o respekt, jakim ludzie na przykład darzą groby. Nie czują potrzeby szanowania pamiątek czy grobowców.

- Dziwna rasa - skonstatowała Monica.

- To samo myślą o nas - stwierdził Kempster. - Poprzedni Lordowie Ruin niejednokrotnie zapraszali ich do wspólnych ba dań nad cywilizacją Laymilów, mogliby wnieść świeże spojrzenie. Odpowiadali zawsze tak samo: nie mamy zamiaru grzebać się w starociach.

Podkradając się do Tandzurika-RI na odcinku ostatniego kilometra, "Oenone" zmniejszył pole dystorsyjne niemalże do punktu. Arka kosmiczna wykonywała pełen obrót wokół własnej osi w ciągu czterech minut, przy czym w ciągu stuleci nabawiła się tylko niewielkiego rozchwiania. Co świadczyło o mistrzowskim rozkładzie masy. W efekcie tej niepozornej niestabilności kosmodrom zataczał maleńkie koło, które jastrząb bez trudu naśladował.

Wśliznęli się pod dolny dysk, mający zaledwie siedemdziesiąt metrów średnicy. Krótki odcinek filara, który wynurzał się po środku dysku, by wnikać w skałę, miał dwadzieścia pięć metrów szerokości.

- Na dolnej półce musiały cumować odpowiedniki naszych wielofunkcyjnych pojazdów serwisowych - wyraziła przypuszczenie Syrinx. - Na górnej zaś wielkie statki międzyplanetarne.

- Logiczny wniosek - zgodził się "Oenone". - Ciekawe, jak wyglądały.

- Przypominały te, których dziś używają Tyratakowie - zabrał głos Ruben. - Oni rzadko coś unowocześniają. Jeśli system działa jak należy, niczego nie zmieniają.

- Trochę to głupie - wtrąciła Serina. - Skąd wiadomo, że coś jest zrobione optymalnie, jeśli nie próbuje się poprawić konstrukcji? Rower to fajny wynalazek, skuteczny do przenoszenia się z miejsca na miejsce, ale pojawiły się auta, bo szukaliśmy czegoś lepszego.

- Nie zastanawiałem się nad tym - przyznał Ruben. - Ale teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że tysiąc trzysta lat to strasznie długi czas, żeby trzymać się jednej konstrukcji, a przecież trzeba dodać czas trwania podróży. My nasze silniki termojądrowe stale usprawniamy, a mamy je sześćset lat.

- I są o wiele lepsze niż silniki termojądrowe Tyrataków - dodał Oxley. - Od chwili spotkania sprzedajemy im nowoczesne podzespoły.

- Traktujemy ich tak, jakby mieli ludzką psychikę, a to błąd - powiedział Ruben. - Im brakuje naszej intuicji, wyobraźni. Jeśli coś zdaje egzamin, nie starają się tego ulepszać.

- Nie mogą być całkiem pozbawieni wyobraźni - sprzeciwił się Casus. - Bez niej nie zaprojektowaliby arki kosmicznej.

- Trzeba spytać Parkera Higgensa. - W afinicznym przekazie Rubena dało się wyczuć zwątpienie. - Może on to lepiej wyjaśni. Ja myślę, że jeśli dążysz do czegoś wolno i konsekwentnie, w końcu to osiągniesz.

Syrinx przyglądała się warkoczowi poskręcanych rur i elementów konstrukcyjnych, tworzących filar podporowy kosmodromu. Spełniając niemą prośbę, "Oenone" rozszerzył pole dystorsyjne, żeby objąć nim cały niszczący statek. W jej umyśle pojawił się obraz zagmatwanych, prześwitujących rur. Nagromadzenie ubytków w metalu i kompozycie, przypominających ciemne pęknięcia, było zatrważające, podobnie jak cienkość ścianek w rurach.

- Ten statek naprawdę się sypie - oświadczyła. - Samuel, uważaj, kiedy będziesz wychodził. Jedno tupnięcie i odpadnie cały kosmodrom.

- Dzięki za ostrzeżenie.



"Oenone" obrócił się delikatnie, tak aby śluza powietrzna toroidu załogi znalazła się naprzeciwko ołowianoszarego szybu. Stojąc w otwartym luku, za pośrednictwem czujników skafandra Samuel patrzył, jak gwiazdy przesuwały się przed nim, aż nałożyła się na nie plątanina żelastwa. Mimo że była to zwykła zdezelowana konstrukcja mechaniczna, miała w sobie coś, co wskazywało, że nie wyszła spod ręki człowieka. Toporność, pomyślał. Otóż to, brakowało jej śmiałej elegancji, znamionującej ludzką myśl astroinżynierską. Tam gdzie człowiek montowałby zabezpieczenia przeciwawaryjne i wielokrotne obwody zapasowe, Tyratakowie instalowali swoje proste, wytrzymałe urządzenia w bliźniaczych parach. Gdy jedno poddawano naprawie bądź konserwacji, jego funkcję przejmowało drugie. Najwyraźniej ta koncepcja sprawdzała się w praktyce, o czym świadczyło samo istnienie Tandzurika-RI i jego świetlana przeszłość. Była to rzeczywistość, mówiąc obrazowo, o krok oddalona od ludzkiego pojmowania świata.

Jastrząb przestał się obracać. Kadłub tonął w cieniu, w którym marmurkowy polip uzyskiwał barwę spłowiałego orzecha. W służbie nie objętej już polem dystorsyjnym siła ciężenia zmalała do zera.

- Bliżej nie podejźmy - powiedziała Syrinx. - Archeolodzy wchodzili tuż nad pierścieniem łożyska.

Filar podtrzymujący kosmodrom wydawał się wznosić przy samej krawędzi kadłuba. Za nim migotały gwiazdy. Samuel włączył silniczki odrzutowe na schłodzony gaz i oderwał się od luku. Łatwo było zauważyć szpary w filarze. Pierwotnie ciasny splot rur i elementów konstrukcyjnych poluzował się w wyniku ustania pracy łożysk, co z kolei zaowocowało powstaniem mnóstwa szczelin. Nie sposób było odgadnąć, z której skorzystali przed laty naukowcy.

Samuel wybrał tę umiejscowioną dziesięć metrów nad olbrzymim, osadzonym w skale pierścieniem łożyska.

Z małych dysz wąskiego plecaka manewrowego tryskał azot, gdy zbliżał się do otworu ograniczonego z jednej strony zdeformowaną rurą, z drugiej porwanym kanałem przewodowym. Wyciągnął lewą rękę i ostrożnie chwycił rękawicą wątki kabel. Zmącił palcami kurz. Receptory taktylne w dłoni sygnalizowały, że kabel lekko się ścisnął. Ale trzymał. Samuel obawiał się, że wszystko, o co się otrą w obrębie filara, rozpadnie się jak krucha porcelana.

- W porządku, materiały zachowały jaką taką spoistość - poinformował datawizyjnie resztę ekspedycji. - Możecie iść, ja wchodzę.

Zapalił reflektory na hełmie i nadgarstku, a następnie skierował światło w głąb czarnej studni. Kiedy zatarły się łożyska filara, nacisk kosmodromu pchanego siłą bezwładności doprowadził do połamania setek elementów konstrukcyjnych i zerwania niezliczonych rur i kabli. Gdyby to stało się nagle, cały stożek dysków odleciałby w kosmos. Zniszczenia następowały powoli, tarcie hamowało rotację przez kilka tygodni, a mimo to górne dyski zerwały się z uwięzi.

W rezultacie wewnątrz filara wypełniło się okropnym gąszczem szczątków. Samuel włączył blok inercyjnego naprowadzania. Na monochromatycznym obrazie, przekazywanym przez czujniki, zapaliła się jasnozielona mapa konturowa. Zgodnie z odczytami czujników skafandra przestrzeń między elementami konstrukcyjnymi wypełniała rozrzedzona mgiełka cząsteczek metalu.

Szczelina stawała się coraz węższa, w miarę jak przemieszczał się w kierunku zaznaczonym na mapie konturowej. Czasem ocierał się pancerzem o fragmenty konstrukcji. Wyciągnął z pasa dziesięciocentymetrowy nóż rozszczepieniowy. Żółte, jaskrawe światło ostrza pełgało po szarych, metalowych powierzchniach. Nóż przecinał wszystko bez najmniejszego oporu.

- Czuję się jak żołnierz z epoki wiktoriańskiej, który z maczetą w dłoni przedziera się przez dżunglę - zwierzył się załodze "Oenone".

Wokół niego wirowały metalowe obrzynki, płasające wśród żelastwa w zakamarkach zrujnowanego labiryntu. U wylotu pojawiła się druga postać w opancerzonym skafandrze. Renato Vella prędko wcisnął się za nim do środka. Następnie wszedł jeden z sierżantów, potem Monica, drugi sierżant i Oski Katsura.

Korzystając z pęcherzy sensorowych, Syrinx patrzyła, jak kolejno znikają w ciemnościach.

- Nie wygląda to źle - powiedziała, dzieląc się z załogą swoją spokojną pewnością siebie.

Parker Higgens i Kempster Getchell weszli na mostek kapitański i usiedli w fotelach wskazanych przez Syrinx.

- Posuwają się naprzód - oznajmił Edwin dwóm starszym konsultantom naukowym. - W tym tempie Samuel za dziesięć minut dotrze do głównej komory śluzowej. Za dwie godziny mogą zejść na docelowy poziom.

- Oby - powiedziała Tyla. - Im prędzej się stąd zmyjemy, tym lepiej. Trochę tu strasznie, aż ciarki mnie przechodzą. Jak myślicie, obserwują nas dusze Tyrataków?

- Ciekawa uwaga - rzekł Parker. - Powracające dusze ludzi nie wspominają o napotkaniu w zaświatach dusz ksenobiontów.

- Dokąd więc odchodzą? - Spytał Oxley.

- Dopiszmy to do listy pytań do Śpiącego Boga - powiedział wesoło Kempster. - Moim zdaniem, to nieistotna sprawa w porównaniu... - Urwał w pół zdania, kiedy edeniści zamarli w bezruchu i jak jeden mąż zamknęli oczy. - Co jest?

- Statek kosmiczny - syknęła Syrinx. - "Oenone" wyczuł pole dystorsyjne. A to oznacza, że wykryją je także detektory Tyrataków. Niech to cholera!

- Widzę was - odezwał się triumfalnie "Stryla".

\*

Etchells nie spodziewał się, że niesfornemu statkowi adamistów towarzyszy jastrząb, póki nie wynurzył się w układzie Hesperii-LN i nie zaczął badać okolicznej przestrzeni w poszukiwaniu śladów zbiega, którego śledził, odkąd wyleciała w powietrze fabryka antymaterii. W sąsiedztwie planety ksenobiontów panował ożywiony ruch. Wielkie, ospałe statki przemieszczały się na orbity o dużym nachyleniu, uzupełniając ochronną sferę zbudowaną z platform bojowych. Bliźniacze księżyce wywoływały ciągłe perturbacje grawitacyjne, gdy okręzały się wzajemnie pół miliona kilometrów od Hesperii-LN. Sieć czujników satelitarnych. Niezwykle gęsty obłok pyłu wijący się nad zewnętrznym pasem van Allena. Musiał małymi skokami okrężyć przestrzeń między planetą a księżycami, żeby ogarnąć polem dystorsyjnym wszystkie obecne tu obiekty.

Statek adamistów był łatwy do zlokalizowania, tworzył drobną anomalię w jednorodnej tkance czasoprzestrzeni. Etchells skupił się na nim, sondował go skrupulatnie. Wytwarzając mnóstwo małych zmarszczek w swoim polu dystorsyjnym, sprawdzał, jak reagują w kontakcie z obiektem, badał obraz dyfrakcyjny wywołany przez fale obejmujące kadłub i wewnętrzne urządzenia statku. Jedna rzecz wyjaśniła się szybko: nie był to okręt Sił Powietrznych Konfederacji. Przemawiało za tym samo rozmieszczenie pokładów. Poza tym okrętów Floty nie wyposażano w napęd na antymaterię. Główne generatory termojądrowe zostały wyłączone; moduły mieszkalne były zasilane z dwóch zapasowych tokamaków. I rzecz najbardziej podejrzana: schowane panele termozrzutu. Tryb niewykrywalności.

Statek kosmiczny wykonywał za zgodą Sił Powietrznych Konfederacji tajną misję w układzie Tyrataków. Musiała to być zaiste ważna misja, skoro w tych niepewnych czasach ryzykowano pogorszenie stosunków z obcą rasą. Etchells dałby sobie głowę uciąć, że ma to związek ze sprawą opętanych. Inaczej wojsko nie dopuściłoby do tego przedsięwzięcia. Po dokonaniu ekstrapolacji

trajektorii zauważył, że statek przeleci obok planetoidy. Sięgając do leksykonu w zawłaszczonej pamięci piekielnego jastrzębia, dowiedział się, że planetoida jest w gruncie rzeczy arką kosmiczną, porzuconą ponad tysiąc lat temu po ucieczce przed wybuchem gwiazdy. W jego wiedzy na temat historii Tyrataków, choć szczątkowej, zawierały się podstawowe fakty, a mimo to nie miał pojęcia, co łączy ów starożytny statek z kryzysem wywołanym przez opętanych.

Wykonał błyskawiczny manewr skoku, żeby - wyprzedzając statek adamistów o kilka godzin - znaleźć się tysiąc kilometrów od Tandzurika-RI. Zaczął mu się przyglądać. Dopiero wtedy zauważył jastrzębia w trybie niewykrywalności, czającego się tak blisko arki, że prawie się z nią stykał.

Pomimo tego radosnego sukcesu wciąż nurtowała go niepewność. Co oni tu robią, do diabła? Na pewno coś ważnego, o kluczowym znaczeniu. Wobec czego stanowili dla niego zagrożenie. Miał wiele opcji do wyboru, lecz jedna rzecz nie pozostawiała cienia wątpliwości: musiał pokrzyżować im plany, jakiegokolwiek były.

- Mówi kapitan Syrinx z jastrzębia "Oenone". Do kogo się zwracam?  
- Nazywam się Etchells, jestem piekielnym jastrzębiem Ala Capone.  
- Opuść natychmiast ten układ planetarny. Nie zawahamy się użyć siły, by cię do tego zmusić.  
- Twarda z ciebie suka, co? Podaj mi powód, żebym stąd odleciał. Sama mi powiedz, co tu majstrujecie.

- Nasze sprawy ciebie nie dotyczą. Oddał się.  
- Bzdury! Podejrzewam, że dotyczą mnie w dużym stopniu. - Etchells wystrzelił osę bojową w stronę arki i natychmiast odskoczył. Terminal tunelu czasoprzestrzennego otworzył się sto kilometrów od statku adamistów. Uruchomił program tropiący w drugiej osie i wypuścił ją po wynurzeniu się w rzeczywistej przestrzeni.

\*

Joshua wprowadził na statku stan gotowości bojowej, gdy tylko Syrinx powiadomiła go o pojawieniu się piekielnego jastrzębia. Zdawał sobie sprawę, że jeśli ich obecność nie została jeszcze zauważona, to z pewnością niedługo będzie. Główne generatory termonuklearne wznowiły pracę, czujniki systemów bojowych wychyły ze schowków w komplecie, otworzyły się wyrzutnie myśliwców bezpilotowych. U siebie w kabinie Alkad Mzu i Peter Adul pośpiesznie usadowili się na dużych fotelach amortyzacyjnych, wyposażonych w funkcję kapsuły zerowej. Na pokładzie mostkowym członków załogi oplotła na fotelach siatka bezpieczeństwa.

- Otwiera się terminal tunelu - ostrzegła Beaulieu. - Odległość: sto kilometrów.  
Joshua włączył potrójny napęd termojądrowy. To, że piekielny jastrząb wynurzył się tak blisko, nie było dziełem przypadku. Zapewne znał współrzędne "Lady Makbet".

- Liol, potraktuj gnoja maserem!  
- Robi się. - Jego nanosystemowy program kierowania ogniem uruchomił się w trybie nadrzędności. Spośród ośmiu działek maserowych statku trzy wzięły na cel terminal i strzeliły. Wiązki promieniowania trafiły intruza, gdy wychodził z tunelu, i podążyły za nim. Przy strzałach ze stu kilometrów prawo o sile odwrotnie proporcjonalnej do kwadratu odległości nie pozwalało od razu zabić piekielnego jastrzębia, lecz Joshua tym się nie przejmował. Zamierzał tylko odegnąć przeciwnika. Gdyby ten chciał się pojedynkować, proszę bardzo, "Lady Makbet" mogła znieść o wiele dłuższą chłostę promieniowaniem niż jakiegokolwiek twór technobiotyczny.

Ale nie chciał. Jedna jedyna osa bojowa wystrzeliła z wyrzutni i zakręciła, żeby przechwycić "Lady Makbet". Potworne kształty piekielnego jastrzębia rozmyły się i skurczyły do postaci wąskiego, polipowego jaja, opryszczonego stalowoszarymi mechanicznymi modułami. Miotał się panicznie, próbując wyrwać się spod obstrzału. Po trzech sekundach daremnego manewrowania

wywarł polem dystorsyjnym niewyobrażalny nacisk na przestrzeń, czym utworzył wlot tunelu czasoprzestrzennego. Joshua odpalił cztery osy bojowe, żeby zniszczyć nadlatujący myśliwiec, i zmienił kurs. Załoga jękiem przerażenia reagowała na przyspieszenie 10 g. Przestrzeń za oślepiającą triadą spalin silników termojądrowych wybuchła huraganem plazmy, kiedy osy bojowe rzygnęły podpociskami. Eksplozje głowic nuklearnych wytworzyły nieprzejrzaną barierę, przebijaną wiązkami promieniowania cząsteczkowego i jonizującego.

- Chyba nam się upiekło - powiedziała datawizyjnie Beaulieu. - Rozwaliliśmy osę bojową.

Joshua śledził wskazania czujników - coraz łagodniejsze, w miarę jak pęczniejące wiązki plazmy robiły się najpierw fioletowe, a potem gasły po przejściu przez kolejne barwy spektrum. Za nawałnicą rozszalałych jonów znowu zaczęły przebłyskiwać gwiazdy. Joshua zredukował przyspieszenie do 4 g i ponownie zmienił kurs.

- Chyba koniec z chodzeniem na paluszkach - mruknęła Sara.

- No - przyznał Dahybi. - Ktokolwiek opętał piekielnego jastrzębia, zna się na taktyce. Jedna osa bojowa nie mogła zrobić nam krzywdy, ale teraz sieć strategiczno-obronna ma nas jak na widelcu.

- Nie tylko nas - zauważyła Beaulieu.

Czujniki pokazywały drugie starcie os bojowych, które rozgorzało kilkaset kilometrów od Tandzurika-RI.

- Syrinx, gdzie on się podział? - Spytał datawizyjnie Joshua. - Masz zamiar?

- Skoczył w rejon księżyców - odpowiedziała.

Joshua zdążył już otworzyć leksykonowy plik z informacjami na temat układu planetarnego. Przyswoił sobie wiedzę o bliźniaczych księżycach. Jałowe skały, brak atmosfery, średnica trzy tysiące kilometrów. Gdyby nie to, że poruszały się po orbicie Hesperii-LN, zostałyby skatalogowane jako wyjątkowo duże planetoidy.

- Nic na nich nie ma - zdziwił się. - Złoża są tak nędzne, że Tyratakowie nawet nie prowadzą wydobywania.

- Wiem. Naszym zdaniem, znalazł strategiczne miejsce, żeby się wycofać. Będzie przynajmniej częściowo zasłonięty przed platformami bojowymi. Tyratakowie prawdopodobnie nie wiedzą o jego obecności.

- Świetnie. Udało się wprowadzić zespół do środka?

- Tak, już weszli. "Oenone" czeka w pogotowiu sto kilometrów od Tandzurika-RI, bo piekielny jastrząb może wrócić i poczęstować nas znowu osami. Arka jest bardzo krucha, Joshua, nie wytrzyma ataku nuklearnego. Musieliśmy się ujawnić. Czujniki sieci strategiczno-obronnej już nas namierzyły.

Komputer pokładowy sygnalizował, że trzy radary koncentrują się na kadłubie "Lady Makbet".

- Cholera! - Joshua wyłączył silniki termojądrowe i pozwolił statkowi dryfować. Nie poruszali się już w kierunku Tandzurika-RI. - Nas też obserwują - powiedział. - Co robimy?

- Ich ruch. Czekamy.

Wiadomość przyszła po ośmiu minutach, wysłana do "Oenone" i "Lady Makbet" z niskoorbitalnej stacji cumowniczej:

- Do statków ludzi: nie macie pozwolenia, żeby tu przebywać. Użyliście broni w rejonie naszej planety. To akt agresji. Opuśćcie układ i tu nie wracajcie.

- Krótko i na temat - rzekł Ashly, gdy Tyratakowie powtórzyli wiadomość. - Dziwię się, że nie dodali: „bo inaczej...”.

- 1,2 g.
- Właśnie dodali - oznajmiła Beaulieu. - Trzy statki na kursie przechwycenia. Przyspieszenie:
  - U nich to prędkość rajdowa - powiedział Liol. - Tyratakowie nie znoszą przeciążeń.
  - Następne trzy włączone silniki termojądrowe - meldowała Beaulieu. - Jeden zbliża się do nas, dwa do Tandzurika-RI.
  - Szczęście, że jesteśmy poza zasięgiem os bojowych wystrzeliwanych z platform - rzekł Liol.
  - Mogłyby nam uprzykrzyć życie.
  - Jak to widzisz? - Zwrócił się Joshua do Syrinx. W nanosystemowych programach analizy taktycznej śledził trajektorie statków Tyrataków. W tym czasie kolejne dwa statki uruchomiły silniki termojądrowe i ruszyły w stronę arki kosmicznej.
  - Myślę, że sytuacja nie wymknęła się jeszcze spod kontroli - odpowiedziała. - Byle konflikt się nie nasilił.
  - No właśnie. Zastanawiam się nad taką możliwością. Ekipa badawcza musi wykonać zadanie, choćby nie wiem co. Nie dopuścimy piekielnego jastrzębia do Tandzurika-RI.
  - Możemy skoczyć w rejon księżyców i dać popalić piekielnemu jastrzębiowi, tylko że wtedy ekipa zostanie bez ochrony. Tyratakowie zechcą sprawdzić, co robimy na arce. Są flegmatyczni, owszem, ale w końcu wejdą na pokład Tandzurika-RI.
  - Nie martw się, już ja im dam zajęcie. Ty skocz w rejon księżyców.
  - Rozumiem.
- Joshua uniósł głowę i uśmiechnął się do załogi.
- Boże! - Jęknęła Sara z nieudawanym przestraczem. - Nie cierpię, kiedy się tak uśmiechasz!
  - Głowa do góry, przeprowadzimy atak na Hesperii-LN.

\*

Obrotowa komora śluzy przetrwała w prawie nienaruszonym stanie te straszne chwile, kiedy zacierały się łożyska kosmodromu. Samuel wyciął otwór w ścianie i wfrunął do pustego, przestronnego pomieszczenia. Reflektory hełmu przełączyły się automatycznie na światło rozproszone. Cylindryczna komora o średnicy piętnastu metrów i długości pięćdziesięciu była surowa nawet jak na standardy Tyrataków. Ściany wyłożono skamieniałym, porowatym tworzywem podobnym do pumeksu, pokrytym tysiącami wcięć rozmieszczonych w regularnych odstępach. Miały akurat taką wielkość, żeby pomieścić kopyto rozplodowca.

Na każdym końcu komory widniały trzy hermetyczne grodzie, duże i okrągłe, wyposażone w toporne, elektromechaniczne zamki obręczowe. Na samym środku znajdował się gruby pierścień z obrotowym uszczelnieniem, umożliwiający Tyratakom przejście z arki na kosmodrom w hermetycznych warunkach. Ponieważ ciecz robocza wypłynęła, części wewnętrzne przeobraziły się w kruche, rzeźbione wizerunki samych siebie - rysunki naskalne w nowoczesnym wydaniu.

Renato Vella węzowym ruchem wśliznął się do komory. Przy okazji oderwał fragmenty ściany z brzegów otworu wyciętego przez Samuela.

- To się nazywa mrok dziejów - oświadczył. - Nie bawili się w dekoracje, co?
- Wątpię, czy translator znalazłby odpowiednie słowo w ich języku - odpowiedział datawizyjnie Samuel. Przez dziurę przedarł się pierwszy sierżant, wyłamując ze ściany jeszcze więcej kawałków. Nieco dalej znajdował się niemalże identyczny otwór, tyle że odrobinę szerszy. Podobny wycięto przy jednej z hermetycznych grodzi prowadzących w głąb statku. Samuel chwycił się wcięć w wysuszonym, porowatym tworzywie i wolno, kładąc dłoń za dłonią, zbliżał się do tego przejścia. - Tędy musiała iść ekipa archeologiczna - stwierdził. - Czekaście... No tak. - Czujniki skafandra pokazały mu małe, plastikowe pudełko przytwierdzone klejem epoksydowym do ściany

obok wyrwy. Trzecią część jego granatowej powierzchni pokrywały czerwone litery. - Coś jakby blok nadawczo-odbiorczy. Kilka kabli prowadzi do dziury. - Kazał nadajnikowi skafandra wysłać standardowy sygnał wywoławczy. - Nie odpowiada. Prawdopodobnie padło zasilanie.

- Szkoda - rzekł Renato. - Dobrze byłoby tu mieć sieć telekomunikacyjną.

- Można by przywrócić zasilanie - zauważyła Oski. - Sprzęt ma tylko sto lat, procesory muszą być w pełni sprawne.

- Odpada - wtrąciła Monica. - Porozumiewamy się ze sobą i "Oenone" za pomocą technobiotycznych procesorów. Niedługo się stąd wynosimy, nie musi nam tu być przytulnie.

- Obyś miała rację - powiedział Samuel. Kiedy cały zespół zebrał się w komorze próżniowej, reflektory jego hełmu rzuciły ostre snopy światła. Złapał się brzegu starej dziury i wsunął do środka.

Ekipa archeologiczna wdarła się do szerokiego korytarza, prowadzącego do jednej z zatrzaśniętych na głucho grodzi. Był to właściwie prosty szyb skalny z rurami na ścianach. Miał przekrój prostokąta i podłoże wysłane porowatym tworzywem z wycięciami dla kopyt. Nim Samuel zdążył dobrze się rozejrzeć, Syrinx powiadomiła ich o obecności intruza. Relacjonowała na bieżąco przebieg wypadków, gdy reszta zespołu wchodziła do korytarza.

- "Oenone" skacze w rejon księżyców, żeby podokuczać piekielnemu jastrzębiowi - powiedziała Syrinx. - "Lady Makbet" będzie zaprzętać uwagę Tyrataków.

- Jak długo? - Spytała Monica.

- Jak długo się da - odparł Joshua. - W najgorszym razie misja zakończy się fiaskiem. Pierwszy statek Tyrataków powinien dotrzeć do Tandzurika-RI za pięćdziesiąt trzy minuty, pamiętajcie o tym.

- Kiepska sprawa. Nie zdążymy dotrzeć nawet na poziom drugi.

- Chętnie się z tobą zamienię.

- Przepraszam, Joshua, wcale się nie skarżę. Skąd ten skubaniec wiedział, że tu jesteśmy?

- Pewnie nas wypatrzył w pobliżu fabryki antimaterii - powiedziała Syrinx. - Byliśmy śledzeni.

- Dziękujemy - rzekł datawizyjnie Samuel. - Będziemy się spręzać.

- Jeśli robi się gorąco, dajcie nam znać - odparł Joshua.

- Lepiej ruszajmy - zwrócił się Samuel do swoich towarzyszy. - Zwłoka może nas drogo kosztować. - Odpalił silniczki plecaka i poszybował korytarzem do masywnej grodzi.

Monica uruchomiła swój plecak i śmignęła za nim.

Korytarz rozszerzał się przed hermetyczną grodzią, będącą typowym przykładem techniki Tyrataków. Kwadratowa, tytanowa płyta miała szerokość czterech metrów i zaokrąglone brzegi. Rygle były grube, ciężkie, wytrzymałe i spawane próżniowo. Ekipa archeologiczna rozwiązała problem wejścia poprzez wycięcie w metalu metrowego koła i zainstalowanie własnej grodzi. Zwykła, mechaniczna grodzień była wyposażona w beztarciowe zawiasy i uszczelnienia. Na środku, w niewielkim wgłębieniu, zamocowano standardowy, metalicznie fioletowy uchwyt, a obok wypisano instrukcję obsługi.

Samuel zapał się i szarpnął za uchwyt. System wspomagania ruchu pancerza nie musiał mu szczególnie pomagać. Uchwyt przesunął się w górę i obrócił o dziewięćdziesiąt stopni.

- Nie ma to jak ludzka technika - zwrócił się datawizyjnie Renato do Samuela, gdy ten pchnął i otworzył grodzień.

- Niezupełnie - powiedziała Oski. - To kwestia odpowiedniego doboru materiału. Zamontowaliśmy grodzień odporną na długotrwałe działanie próżni. Oni swoją zbudowali z myślą o regularnej konserwacji.

Po drugiej stronie zobaczyli następny korytarz, niczym się nie różniący od poprzedniego. Jeden z sierzantów zamknął za nimi przejście. Korytarzem dochodziło się do kolejnej tytanowej grodzi, której towarzyszyła mniejsza grodz ludzka. Samuel przesunął i przekręcił uchwyt, ale nim pchnął grodz, czujniki skafandra poinformowały go o zmianie otoczenia.

- Uchodzi gaz - oznajmił datawizyjnie. - Drobne skażenie rozrzedzonym azotem. Chyba ciśnienie się wyrównuje.

- Otwieraj - ponagliła go Monica. - Na pewno tam nie ma żadnej atmosfery. Czas ucieka.

Samuel chwycił tytanową wręgę i drugą ręką pchnął grodz. Tym razem system wspomaganie ruchu jęknął na granicy słyszalności. Kiedy grodz się odemknęła, owiał go kłęb srebrzystego pyłu.

- Ile tu jeszcze będzie tych korytarzy? - Spytał Renato, gdy wfrunął do środka i ujrzął następny pusty szyb, wycięty w skale. Na obrazie generowanym przez system inercyjnego naprowadzania zobaczył, że korytarz pnie się nieznacznie i odbija od osi obrotu. Nadal nie odczuwał siły ciężenia.

- Mamy zapisane w pliku, że to ostatni - powiedział Samuel.

W grodzi naprzeciwko znajdowała się mniejsza grodz, stworzona ręką człowieka, a przy niej nieduża tabliczka z napisem:

UNIWERSYTET HIGH YORKA EKSPEDYCJA ARCHEOLOGICZNA, ROK 2487

Wyrażamy hołd i uszanowanie dla pokoleń Tyrataków, którzy podróżowali tym statkiem.

Napotkaliśmy tu ślady rzeczy wielkiej i jesteśmy wdzięczni za szlachetny obraz, jaki się z nich wylania.

Tyratakowie nie mają boga, lecz w ich życiu nie brakuje cudów.

Kiedy Monica odsunęła się na bok, Renato podfrunął do srebrzystej tabliczki.

- Nieźle jak na początek - zauważył. - Ekspedycja nie natknęła się na żadną wzmiankę o bogu Tyrataków.

- Przecież to było wiadome - odparła Oski. - Poza tym wątpię, żeby jej szukali. Przeglądali tylko pliki w pamięci sieci zarządzania systemami. Musimy pogrzebać głębiej, jeśli chcemy znaleźć coś konkretnego.

Samuel skierował czujnik na grodz.

- Po raz pierwszy w życiu czuję się jak hiena cmentarna.

- Zdarzały się gorsze zadania - stwierdziła Monica. - Zarówno tobie, jak i mnie.

Nie odpowiedział. Złapał uchwyt i pociągnął go w górę. Tym razem gaz uchodził silniej.

- Nareszcie - ucieszyła się Oski. - Jesteśmy. Terrakompatybilna mieszanina azotu, tlenu i kilku gazów śladowych. Brak pary wodnej. Prawdopodobnie jest za zimno. Zmierzyłam, trzydzieści stopni poniżej zera.

- Potwierdza się to, co już mamy w pliku - rzekła Monica.

Samuel otworzył grodz i przemknął na drugą stronę. Ekspedycja archeologiczna rozglądała się po wnętrzu Tandzurika-RI przez sześć tygodni. Biorąc pod uwagę krótki czas, poszukiwania nie mogły być gruntowne. Najważniejsze sekcje opisano jednak dokładnie, a przy okazji poddano powierzchownym oględzinom silniki statku i mechanizmy regulacji środowiskowej. Tandzurik-RI składał się z trzech głównych poziomów. Wzdłuż osi obrotu znajdowały się trzy długie, cylindryczne komory o szerokości sześciuset metrów. Każda zawierała płytkie jezioro, które pełniło zasadniczą rolę w przetwarzaniu odpadów biologicznych - stanowiło połączenie zbiornika z rybami i glonowego odświeżacza powietrza, zasilane oświetleniem żarowym, rozłożonym równomiernie wzdłuż osi.

Wokół rozciągał się rozległy labirynt półkulistych grot, połączonych kilometrami szerokich korytarzy. Na tym poziomie rozwiązywano wszelkie problemy techniczne, w szczególności te związane z utrzymaniem lotu. Groty były wypakowane różnorodną maszyną, poczynając od generatorów termojądrowych oraz chemicznych stacji uzdatniania wody, a kończąc na zakładach cybernetycznych i silosach na materiały sypkie. Czwarta część grot na tyłach statku zawierała systemy pomocnicze i zbiorniki z paliwem dla silników termojądrowych.

Na poziomie drugim rozmieszczono koncentrycznie osiem głównych pierścieni mieszkalnych. Wyżłobione w litej skale i obite metalem niby gigantyczną taśmą wzmacniającą, miały prostokątny przekrój, pięćset metrów szerokości i sto wysokości. Dołem każdego z nich biegła pętla wieżowców, przetykana niteczkami zieleni, a zaprojektowana przez komputer z uwzględnieniem wszystkich urbanistycznych udogodnień.

- Nas interesuje poziom trzeci, pierścień piąty - oświadczyła datawizyjnie Oski, gdy przeszli przez ostatnią śluzę. - Tam archeologowie znaleźli sterownię. - W jej umyśle rozwinęła się trójwymiarowa mapa statku. Blok inercjalnego naprowadzania rozciągnął w tunelach lśniącą, zieloną linię, która łączyła z pierścieniem piątym miejsce, gdzie się obecnie znajdowali.

A znajdowali się w korytarzu o standardowych rozmiarach, okrążającym przednią część arki kosmicznej. Odbijało od niego przeszło sto innych korytarzy. Siła ciężenia była ledwo wyczuwalna; w tych warunkach przedmiot spadał na ziemię kilka minut. Monica uruchomiła plecak manewrowy, żeby podleciec do stosu ludzkich skrzyń, poskładanych pod ścianą. W zimnej, rozrzedzonej atmosferze biały plastik uzyskał lekko kremowy odcień. Przyjrzała się niektórym etykietkom.

- Nic nam się nie przyda - stwierdziła. - To sprzęt obozowy. Namioty z programowalnego silikonu, urządzenia regulacji składu powietrza i tym podobne.

- Co ze światłem? - Spytał sierżant.

- Dobrze pytanie. - Monica przesuwała się, odczytując następne etykiety. - Co my tu mamy... Projektory monochromatyczne o trzystumetrowym promieniu oświetlenia. Wątpię, żeby miały własne zasilanie.

- Zostaw je - odezwał się Samuel. - Nie mamy czasu. - Odpalił silniczek plecaka manewrowego i poszybował korytarzem. W ścianie naprzeciwko śluzy widniały łukowate przejścia w głąbiny statku, których nie potrafiły przejrzeć ani reflektory, ani czujniki skafandra. - Gdzieś tu powinna być winda. O, jest! - W ścianie przy piątym łukowatym przejściu znajdował się plastikowy krążek wielkości ludzkiej dłoni, a w nim maleńka lampka sygnalizacyjna. Przechodząc obok, Samuel odruchowo trącił ją palcem. W lampce nie obudziła się nawet iskierka życia, jej źródło zasilania, oparte na rozpadzie trytu, wyczerpało się dawno temu.

Dysze plecaka bluznęły spalinami, popychając go w głąb przejścia. Piętnaście metrów dalej napotkał drzwi windy: metalową płytę szeroką na dziesięć metrów i na trzy wysoką. Ekipa nawet się przy niej nie zatrzymała. Po obu stronach ujrzeni mniejsze drzwi, prowadzące do spiralnych pochylni, opadających na podobieństwo podwójnej helisy DNA wzdłuż szybu windy. Jedne z nich były otwarte. Tuż za nimi zauważyli lampkę sygnalizacyjną; nie świeciła.

- Zjedziemy tędy prawie kilometr w dół - rzekł Samuel.

- Przynajmniej czeka nas wygodna jazda, kiedy wzrośnie siła ciężenia - stwierdził Renato. - Dzięki Bogu, że Tyratakowie nie używają schodów. Wyobrażacie sobie ich rozmiary i rozstaw?

Monica zawisła przy drzwiach i skierowała reflektory skafandra w głąb pochylni. Pochylnia ginęła w mroku, choć można było przyjrzeć się krzywiźnie. Wyjęła zza pasa wąską puszkę, z której wyciągnęła pierwszy krążek. Konsensus jowiszowy zaopatrzył ją w maleńkie, technobiotyczne sensory, przezroczyste krążki o średnicy centymetra. Zasięg więzi afinicznej wynosił tylko kilka



kilometrów, co jednak w ich sytuacji zupełnie wystarczało. Przycisnęła krążek do obrzeża drzwi. Od razu przylgnał. Kiedy połączyła się z nim za pomocą technobiotycznego procesora w skafandrze, zobaczyła szerokokątny obraz korytarza i garstki skafandrów unoszących się przed wejściem na pochylnię.

- Szkoda, że nie dysponujemy rojem technobiotycznych owadów do pilnowania wnętrza - powiedziała. Samuel nie zareagował na żart. - Ale to urządzenie szybko nas ostrzeże. Jeśli za nami coś zacznie się ruszać, włączy się czujnik ruchu.

- W takim razie naprzód - zakomenderował Samuel.

Plecak manewrowy wepchnął go na pochylnię. W tym momencie technobiotyczne procesory wszystkich członków wyprawy odebrały wiadomość od zaniepokojonego Joshuy:

- Obawiam się, że będziecie mieli towarzystwo.

\*

"Lady Makbet" pędziła z przyspieszeniem 6 g w odległości ćwierć miliona kilometrów od Hesperii-LN, okrążając płaskim łukiem północny biegun planety. Na spotkanie z nią leciały dwie formacje Tyrataków, po pięć statków w każdej. Wyruszyły z orbit o promieniu stu tysięcy kilometrów z przyspieszeniem 1,5 g. Joshua nie przejmował się ani nimi, ani trzema statkami, które obrały kurs na bliźniacze księżycy, żeby sprawdzić, co tam wyczyniają dwa technobiotyczne statki. Bezpośrednio do Tandzurika-RI zmierzała kolejna grupa czterech statków, oddalona od "Lady Makbet" o siedemdziesiąt pięć tysięcy kilometrów.

- Kierują się dokładnie na arkę - potwierdziła Beaulieu. - Wygląda na to, że chcą wiedzieć, co tam się dzieje.

- Cudownie - burknął Joshua. - Powstrzymamy ich tylko wtedy, jeśli zauważą, że mamy wrogie zamiary.

- Chyba nie trzeba ich specjalnie przekonywać - powiedziała Sara z taką ironią w głosie, na jaką pozwalało przeciążenie.

Gdy tylko ruszyli obecnym kursem, Joshua wystrzelił trzy osy bojowe. Nie wyznaczył im żadnych precyzyjnych celów, po prostu leciały w stronę planety. Program miał je zdetonować w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów od atmosfery, gdyby udało im się tak daleko dotrzeć. Ale Tyratakowie o tym nie wiedzieli. Obserwowali tylko trzy pociski nuklearne, pędzące w kierunku planety z przyspieszeniem 27 g - niczym nie sprowokowany atak statku ludzi, który nadal wykonywał wrogie manewry.

Joshua ponownie zmienił kurs, wybierając taką trajektorię, żeby znaleźć się poniżej grupy lecącej do Tandzurika-RI, a przy okazji na strategicznej pozycji, umożliwiającej bombardowanie planety. Z prowadnic wyrzutni ześliznęły się kolejne dwie osy bojowe; płonące silniki termojądrowe pchnęły je w stronę czterech statków.

Był to niezły manewr taktyczny, który jednak zakończył się niepełnym powodzeniem. Trzy statki Tyrataków zmieniły kurs, żeby się bronić przed osami i ścigać "Lady Makbet", lecz czwarty wciąż się kierował na Tandzurika-RI.

- Wali na nas trzynaście statków - oznajmiła Beaulieu. - Dwanaście platform strategiczno-obronnych ma nas na celowniku. Na razie nie strzelają osami bojowymi.

Joshua studiował plan sytuacyjny, na którym przecinały się i nakładały na siebie fioletowe i pomarańczowe wektory. "Lady Makbet" poruszała się w niemalże odwrotnym kierunku względem ostatniego ze statków Tyrataków. Nie miał pojęcia, jak zaprzętnąć jego uwagę. Została mu tylko opcja ataku, lecz z miejsca ją odrzucił. Po pierwsze musiałby wykonać zwrot, a więc zmarnować masę czasu i wytracić prędkość, po drugie przebić się przez trzy statki, prawdopodobnie zaopatrzone

w znaczny zapas os bojowych, i wreszcie po trzecie zniszczyć statek, żeby powstrzymać go przed dotarciem do arki.

Nieciekawie to wyglądało. Tyratakowie z załogi tego statku byli przecież niewinni, próbowali bronić siebie i swój świat przed agresywnymi ksenobiontami. Gdyby jednak spojrzeć na to z innej strony, mogli przeszkodzić ekipie badawczej i tym sposobem zaprzepaścić ostatnią nadzieję na ratunek przed opętanymi. Czy pozwolić, aby garstka Tyraków przyczyniła się do końca całej rasy ludzkiej z powodu bądź co bądź zatorów komunikacyjnych?

Joshua posłużył się zespołem technobiotycznych procesorów, żeby przekazać ostrzeżenie o zbliżającym się statku.

- Szacujemy, że zacumuje za czterdzieści minut - powiedział. - Ile wam czasu potrzeba?

- Dwie godziny, o ile nic nam nie przeszkodzi - odparła Oski. - Realnie rzecz biorąc, przydałby się dzień.

- Dzień nie wchodzi w rachubę - sprzeciwił się Joshua. - Jeśli tu porządnie narozrabiam, może uda mi się zyskać dla was godzinę.

- To nie będzie konieczne, Joshua - odezwał się sierżant. - To ogromny statek. Jeśli wejdą na pokład, będą musieli nas szukać.

- Z czujnikami podczerwieni łatwo sobie poradzą.

- Zakładamy, że popędzą za nami na złamanie karku. Skoro wiemy, że przyjdą, możemy im ten pościg diabelnie utrudnić, a nawet pójść za przykładem Horacjusza. My, sierżanci, i tak jesteśmy spisani na straty.

- Poza tym mamy lepszą broń - dodała Monica. - Dysponujemy potężną siłą ognia, gdy nie musimy się bać, że nam sprzęt nawali.

- A jak się stamtąd wydostaniecie? - Zapytał Dahybi.

- Sytuacja zmienia się z minuty na minutę, planowanie na zapas nie ma sensu - stwierdził Samuel. - Najpierw musimy zdobyć informacje, a potem pomyślimy, jak wrócić na statek.

- W porządku - rzekł niechętnie Joshua. - Wasz wybór. Ale będziemy w pobliżu, gdybyście nas potrzebowali. - Wrócił do planu sytuacyjnego. Chociaż "Lady Makbet" stanowiła potencjalne zagrożenie dla Hesperii-LN, sama nie musiała się obawiać planetarnego systemu obrony. Znajdowali się w bezpiecznej odległości od statków Tyraków i sieci strategiczno-obronnej. Wystrzelona w ich kierunku osłona bojowa dotarłaby do celu nie wcześniej niż po piętnastu minutach. Mieliby aż nadto czasu, by wykonać manewr skoku i uniknąć kłopotów. - Dobra, żeby się gnojkom nie nudziło... - Poleciał komputerowi pokładowemu wystrzelić w stronę planety następną osłona bojową.

\*

W połowie olbrzymiej spiralnej pochylni wiedzieli już, że najłatwiej będzie zjechać na siodło. Podłogę pokrywał czarny szron, rozpełzający się po ścianach na podobieństwo wąsów zmrożonych roślin pnących. Jak wszyscy, tak i Monica pruć w dół na tyłku, sunęła niczym na zaśnieżonym stoku. Stopniowo się rozpędzała, nie zastanawiając się, czy to uchodzi w jej fachu. Z miejsca gdzie skafander ze zgrzytem szorował po pochylni, gęsto się sypały wstrętne lodowe kruszyny. Co rusz trafiała na nierówności i przelatywała metr w powietrzu. Jakkolwiek długość łuku za każdym razem malała, w miarę jak rosła siła grawitacji.

- Zaraz będziemy na dole - ostrzegł Samuel.

Znajdował się przed Monicą, dwie osoby dalej, przesłonięty chmurą czarnych okruchów lodu. Snopy światła miotały się wkoło, po ścianach przemykały rozedrgane cienie.

Monica przyłożyła rękawice do podłoża, żeby zahamować. Ręce tylko ślizgały się i podskakiwały.

- Jak mamy zwolnić? - Zapytała.

- Plecakiem manewrowym. - Wypuściwszy z dysz maksymalny strumień spalin, Samuel poczuł łagodną siłę hamowania. Zjeżdżający za nim sierżant wpadł mu na plecy. - Wszyscy naraz, proszę.

Korytarz pochylni wypełnił się nagle szarobiałymi kłębam, gdy drobiny lodu łączyły się z azotem, przez co wzrastało ciśnienie powietrza. Światło reflektorów wydobywało z mroku jednolitą mgiełkę.

Monica przełączyła się na mikroradar. Gdy prędkość zjazdu wyraźnie się zmniejszyła, znów przyłożyła ręce do ziemi, lecz tym razem silniej, żeby uruchomić system wspomagania. Była w stanie wpić się w lód palcami, które z przeraźliwym piskiem żłobiły dziesięć prostych rowków. Zatrzymała się na względnie płaskiej powierzchni. Dzięki radarowi w odległości piętnastu metrów zobaczyła wylot pochylni, a także pancerne skafandry pozostałych członków ekspedycji, zatrzymujące się wokół niej z gracją. Biaława mgiełka znikła równie szybko, jak się pojawiła, zassana w górę pochylni i wywiana przez służę.

Podźwignęli się na równe nogi i rozejrzeli dokoła. Znaleźli się u zbiegu ośmiu korytarzy. Przy każdym łukowatym przejściu widniała lampka sygnalizacyjna. Warstwa lodu na podłodze była z lekka pofalowana, niczym kamienna posadzka starta kilkusetletnim, równomiernym szuraniem butów. Poza tym nic nie wskazywało na to, by kiedyś zawitała tu grupa archeologów.

- Tutaj powinniśmy się rozdzielić - oznajmił datawizyjnie jeden z sierżantów. - Dwóch z nas zostawi ciepłe ślady, reszta pójdzie do pierścienia piątego.

Monica wyświetliła mapę sporządzoną przez ekspedycję archeologiczną i zintegrowała ją ze wskazaniami bloku inercyjnego naprowadzania. Pomarańczowe kontury nałożyły się na obraz przekazywany przez czujniki i wskazały właściwy korytarz. Wyciągnęła z pojemnika kolejny krążek sensorowy i przytwierdziła go do ściany.

- Dobrze. Wy dwaj uważajcie na siebie, będą tu za dwadzieścia minut. Oski, Renato, idziemy!

Czwórka ludzi wraz z dwójką sierżantów zagłębiła się w korytarz. Ponieważ siła grawitacji była trzy razy niższa od standardowej, posuwali się do przodu długimi, płaskimi susami.

Sierżanci oddalili się od siebie, a poczwórny umysł Ione zaczął się rozpadać na cztery osobne, niezależne umysły. Jeden z nich wybrał korytarz, który zgodnie z mapą prowadził w stronę zakładów chemicznych. Wyciągnąwszy pistolet laserowy, datawizyjnie ustawiła niską moc promienia i powtarzającą się co trzy sekundy sekwencję strzałów. Maszerując w długich podskokach, kołysała bronią tak, by lufa zawsze kierowała się w dół. Wokół stóp rozżarzały się ciepłe punkty; lód się nie topił, ale ślad pozostawał. Czujniki podczerwieni przedstawią obraz tak, jakby szło tędy kilka osób.

Krąg światła otaczającego skafander ginął w nieprzejrzanym ciemnościach. Doskwierało jej nieprzyjemne uczucie osaczenia, tylko trochę osłabione kontaktem afinicznym z trzema swoimi kopiami i Samuelem.

Po raz trzeci zapoznają się z życiem poza Tranquillity i proszę: znowu skalne tunele jak tamte w Ayacucho. Tyle że o wiele straszniejsze, mimo że nie ścigają mnie opętani.

Pozostałych uczestników ekspedycji dręczył ten sam nieokreślony niepokój. Na czele szła teraz Monica; w warunkach słabej grawitacji programy utrzymania równowagi nadawały jej ruchom lekkość i pewność. Pomimo przytłaczającego otoczenia brak przeszkód dodawał jej otuchy. Miała złe przeczucia odnośnie do tej misji, a zwłaszcza do tego etapu. Podczas lotu Tandzurik-RI nabierał w jej wyobraźni kształtu olbrzymiego wraku, równie ponurego jak Pierścień Ruin. Rzeczywistość okazała się nietak straszna. Na pokładzie arki nic się nie sypało, była tylko zimna i zapuszczona.

Wydawało się jej, że można by się pokusić o wyremontowanie starego wędrowca. Gdyby udało się włączyć generatory termojądrowe i puścić prąd w instalacji elektrycznej, prędko zrobiłoby się jasno i ciepło.

- Dziwne, że ją porzucili - powiedziała. - Czemu nie przycumowali jej do asteroidy i nie zrobili z niej bazy przemysłu niskograwitacyjnego?

- Za droga w utrzymaniu - odpowiedziała datawizyjnie Oski. - Zresztą to integralna całość, nie można zostawić na chodzie pierścienia mieszkalnego, a wyłączyć resztę. No i jest wielka. Korzyści byłyby niewspółmiernie niskie w porównaniu z kosztami eksploatacji. Bardziej opłacała się budowa mniejszych komór biosferycznych na asteroidach.

- Szkoda. Tyratakowie mogliby zbić fortunę, gdyby sprzedali arkę ludziom jako ciekawostkę turystyczną.

- Oto doskonały dowód na ich słynną obojętność. Po prostu przestali się nią interesować.

Pięć minut później dotarli do pierwszej groty na poziomie drugim, półkuli o wysokości dwustu metrów i ścianach ozebrowanych pękami rur. Na środku znajdowała się jedna olbrzymia maszyna, podparta dziesięcioma grubymi na trzy metry rurami, które wyrastały z ziemi niczym nogi. Podobnie dziesięć rur wyrastało z wierzchu maszyny i pięło się ku wierzchołkowi groty. Zespół badawczy przystanął u wejścia, oświetlając reflektorami skafandrów metalową bestię. Obudowę opinały długie, szklane kolumny, ściemniałe od środka na skutek gorąca. Zawory, cewki, przekaźniki, silniki, kratki wlotowe, transformatory wysokiego napięcia i pompy sterczały z kadłuba jak metalowe krosty.

- Cóż to jest, na Boga? - Zdumiał się Renato.

- Sprawdź w pliku - odparła Oski. - To rodzaj reaktora biologicznego. Hodowali tu rozmaite części organiczne.

Renato podszedł do jednej z grubych rur i zajrzał pod brzuszysko straszego reaktora. Kiedy arka się wychłodziła, obudowa popękała, a pęknięciami wyciekł niebieskozielony płyn. Na podłodze szklily się kałuże i plamy po innych płynach.

- Coś tu jest nie w porządku - oświadczył datawizyjnie Renato.

- Co masz na myśli? - Spytał Samuel.

- No bo sami zobaczcie. - Młody astronom poklepał rurę. Mimo rozrzedzonej atmosfery czujniki skafandra zarejestrowały cichy brzęk. - To jest prawie... Nieśmiertelne. Wątpię, czy w chwili gdy opuszczali ojczystą gwiazdę, stało tu coś innego. Wiem, że w czasie podróży sto razy remontowali całą maszynę i że projektują proste, lecz trwałe urządzenia, ale i tak nie rozumiem, jakim cudem przez piętnaście tysięcy lat nic się nie zmieniło. Nic a nic, na Boga! Który konstruktor powie: to nam wystarczy, nie wymyślimy już nigdy żadnego ulepszenia?

- Niedługo sam ich o to spytasz - powiedziała Monica. - Za dziesięć minut przybędzie ich statek. Posłuchaj, Renato, ja wiem, że wszystko to jest fascynujące, ale nie mamy czasu.

- Jasne, przepraszam. Po prostu nie znoszę nierozwiązanych zagadek.

- Dlatego nadajesz się na naukowca. I cieszę się, że nam pomagasz. Tam jest korytarz, którym dalej pójdziemy. - Monica zostawiła na zimnej rurze następny krążek sensorowy i podjęła wędrówkę.

Renato po raz ostatni obrzucił wzrokiem starożytny reaktor, po czym ruszył za nią. Dwóch sierżantów zamykało tyły.

\*

- Statek Tyrataków z pewnością przycumuje - stwierdziła Beaulieu. - Zrównał się prędkością z Tandzurikiem-RI.

- No to kanał - burknął Joshua. Akurat cieszyli się chwilową przerwą w trójwymiarowych szachach na wysokiej orbicie. "Lady Makbet" przelatywała z przyspieszeniem 1 g w odległości stu siedemdziesięciu pięciu tysięcy kilometrów od bieguna Hesperii-LN. Osiemnaście os bojowych zbliżało się do niej ze wszystkich stron naraz - klasyczny manewr okrążający. Pierwsze dosięgłyby celu za cztery minuty. Przynajmniej piekielny jastrząb nie mógł już wejść im w paradę. Syrinx informowała, że wciąż ugania się za "Strylą" wokół dwóch księżyców. - Liol, przekaz ekipie złą nowinę. - Joshua skupił się na schemacie pokazującym stan urządzeń na statku. Nakazał komputerowi pokładowemu przygotować kadłub do skoku translacyjnego. W zakamarkach jego umysłu, prawie w podświadomości, czaiła się pełna zdumienia radość, że z takim luzem podchodzi do kosmicznej bitwy. Starczyłoby porównać spokojne reakcje i decyzje załogi w dniu dzisiejszym z nerwowym pokrzykiwaniem i napędzanymi adrenaliną desperackimi rajdami nad Lalonde, a można by pomyśleć, że tamto się działo w zupełnie innym wszechświecie. Największa różnica jednak polegała na tym, że tę rozróbę on sam zaczął i sam rozdawał karty. - Dażybi, co u ciebie?

- Węzły naładowane i gotowe. Można skakać, kapitanie.

- Super. Zobaczmy, jak z naszą dokładnością. - Wyłączył silniki termojądrowe i zainicjował sekwencję skoku.

Tyratakowie obserwujący niebezpiecznego intruza zobaczyli, jak znika w roju os bojowych. Czujniki sieci strategiczno-obronnej jednocześnie namierzyły współrzędne terminala: pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od miejsca, gdzie był wlot tunelu. Napęd termojądrowy znów się włączył i statek przyspieszył w kierunku planety. Jej mieszkańcy mieli prawo czuć się zagrożeni. Wszystkie statki polujące na wroga zmieniły kurs i wznowiły pogon.

\*

Na dziobowej części Tandzurika-RI rozlała się wzburzona chmura rozgrzanych jonów, kiedy statek Tyrataków zakończył manewr zbliżenia. Wśród szczątków siatki nadprzewodnikowej zachodziły świetliste wyładowania elektryczne, które wypalały kruche cząsteczki powierzchniowe wśród skrzących się, wielobarwnych erupcji. Pilot ani myślał zatrzymać się w bezpiecznym oddaleniu, a potem podpełzać do stożka kosmodromu przy użyciu silników pomocniczych. Wektor lotu został tak obliczony, żeby statek znalazł się niespełna kilometr od arki, i nikt się nie przejął tym, że spaliny napędu termojądrowego mogą uszkodzić starożytny obiekt.

Tyratakowie przylecieli typowym dla nich statkiem międzyplanetarnym - istniał tylko jeden model - zwykłym cylindrem o szerokości stu pięćdziesięciu metrów i długości trzystu. W odróżnieniu od swoich ludzkich odpowiedników - budowanych wokół szkieletu ładunkowego, do którego w zależności od zapotrzebowania montowano moduły i kapsuły - wszystkie urządzenia mieściły się wewnątrz aluminiowego kadłuba. Był to ponury, mało elegancki koń pociągowy, zszarzały w czasie lat borykania się z promieniowaniem cieplnym i ultrafioletowym, emitowanym przez miejscową gwiazdę. Z przodu na obwodzie statku rozmieszczono w równych odstępach cztery wielkie, prostokątne wrota, z tyłu zaś sterczało pięć krótkich dysz termojądrowego napędu odrzutowego.

Kiedy zakończył się manewr hamowania, statek leciał równoległe do Tandzurika-RI, dwa kilometry od kosmodromu. Na krawędziach zapaliły się małe silniki chemiczne; jasne, siarkowożółte płomienie pchnęły statek w stronę osi obrotu. Jednocześnie zaczął się przekreślać, aby zbliżyć się podstawą do kosmodromu. Przednie silniki chemiczne włączyły się z całą mocą, silniki termojądrowe zadziały na krótko. Lśniące warkocze plazmy, niby bliźniacze włócznie, dźgnęły w sam środek kosmodromu. Drugie odpalenie nie trwało dłużej niż dwie sekundy, nie było też szczególnie silne. Zniszczenia były jednak ogromne. Metalowe i kompozytowe fragmenty wybuchały i zamieniały się w parę, która burzliwie uchodziła w przestrzeń.

Oslabiona konstrukcja kosmodromu nie mogła tego wytrzymać. Cały stożek z lądowiskami oderwał się u podstawy i przełamał. Poszczególne dyski odpadały, rozlatywały się na wszystkie strony, zostawiając po sobie ślad pokruszonych szczątków. Jeden z dysków zderzył się z Tandzurikiem-RI i przed odbiciem pozginał, jakby był z papieru. Po kolumnie wspierającej kosmodrom pozostał poszarpany, dziesięciometrowy kikut, wystający ze skały. Pogrzyżył się w cieniu, gdy tylko statek Tyrataków ustawił się dokładnie nad nim. Z dwojga otworzonych wrót wystrzeliło kilkadziesiąt bladych, jajowatych kapsuł. Początkowo poruszały się bez ładunku i składu, niczym puch ostu w podmuchach delikatnej bryzy. Potem, gdy z małych dysz trysnął gaz, skierowały się ku połamanej resztki podpory kosmodromu.

Księżycy Hesperii-LN nie były gościnną przystanią dla statku kosmicznego. Odkąd się połączyły, ich ścierające się pola grawitacyjne przyciągnęły masę kosmicznego śmiecia. Pył, piasek i mniejsze drobiny w końcu uciekały, wykorzystując wiatr słoneczny; ciśnienie światła i wysokoenergetyczne cząstki elementarne wypychały je z powrotem ku gwiazdom. Pozostawały tylko większe odłamki: kamyki, duże bryły, nawet asteroidy. Pochwycone na przestrzeni tysięcy kilometrów, pomału się przesunęły - w miarę jak stale zmieniające się pole grawitacyjne naruszało ich orbitę - by zakończyć wędrówkę w punkcie libracyjnym, gdzie wisiały w równej odległości między księżycami. Było to istne wysypisko odpadów, szerokie prawie na sto kilometrów, widoczne z powierzchni Hesperii-LN jako szara, rozmyta plama. Pod względem budowy imitowało galaktykę: skupione pośrodku większe asteroidy otoczone były skręconym wiankiem brył skalnych i kamiennych ziaren.

W takim miejscu użycie osłonek bojowych i emiterów promieniowania byłoby bezcelowe. Ktoś mógłby się zatrzymać na obrzeżach i bezkarnie obserwować wroga przyczajonego po drugiej stronie. Pod warunkiem że potrafiłby unikać obłoków ciemnych, rozpędzonych okruchów skalnych, miotających się wokół punktu libracyjnego.

"Oenone" daremnie próbował ścigać piekielnego jastrzębia. Po dwudziestu minutach karkołomnego slalomu, podczas którego przybliżył się zaledwie o sto metrów do nonszalanckiego przeciwnika, Syrinx zdecydowała, że dość tych wygłupów. Niemiłosiernie żyłowali komórki energetyczne, niezbędne do podtrzymania pola dystorsyjnego, bez którego kadłub zostałby poobijany gradem kamieni. Mogli bowiem już niebawem, i to niezależnie od powodzenia misji na Tandzuriku-RI, potrzebować całego zapasu energii. Powiedziała jastrzębiowi, żeby się zatrzymał i ustawił na tym samym wektorze orbitalnym co otaczające ich cząsteczki.

Kiedy Etchells zorientował się, że nikt za nim nie goni, uspokoił się i zatrzymał. Statki dzieliła odległość niecałych piętnastu kilometrów. Mogły się tego jednak dowiedzieć jedynie dzięki polom dystorsyjnym, ponieważ obserwacja optyczna i radarowa była niemożliwa.

- To nie jest zwykła sytuacja patowa - powiedziała Syrinx do piekielnego jastrzębia. - Trzy statki Tyrataków lecą w naszą stronę. Nie możesz chować się w nieskończoność między księżycami. Opuść układ.

- Zapomnij - odparł Etchells. - Nie masz wyboru, musisz tu przy mnie warować. Dałaś się wycyckać. Nie zrealizujesz tego, po co tu przyleciałaś. Twoi kumple adamiści też się nieźle wrąbali. Dostaną za swoje.

- Podzielam twoje zdanie, choć z zastrzeżeniami - stwierdziła, uważając, by nie zdradzić swoich uczuć w paśmie afinicznym. Najwyraźniej nie wiedział, że na pokład Tandzurika-RI weszła ekipa badawcza. Należało go pilnować do chwili, gdy Oski i Renato zapoznają się z plikami. - Zagadujcie go - zwróciła się do załogi. - Ja będę miała oko na statki. Możliwe, że trzeba będzie stąd zmiatać.

- Jasne - odpowiedział Casus.

- Ruben, włącz nowe generatory termojądrowe i jak najszybciej doładuj komórki modelujące.

Kiedy stąd odleciemy, zrobimy to tak, żeby piekielny jastrząb został daleko w tyle.

- Rozumiem. - Ruben polecił zespołowi procesorów rozpocząć rozruch generatorów.

\*

Z poziomu drugiego na trzeci można się było dostać właściwie tylko windą towarową. Każdą oplatały spiralne pochylnie. Uczestnicy ekspedycji badawczej musieli wypuszczać kolce w butach, zjeżdżając pochylnią prowadzącą do pierścienia piątego. Oblodzone podłoże w połączeniu z rosnącą siłą grawitacji tworzyło nader niebezpieczne warunki.

Na dole zobaczyli ogromną śluzę powietrzną z drzwiami pasującymi bardziej do sejfu w banku niż statku kosmicznego. Z drugiej strony, była to pierwsza linia obrony mieszkańców arki na wypadek uszkodzenia kadłuba na górnych poziomach. Wyznawana przez Tyrataków filozofia projektowania tutaj znalazła swoje najlepsze odbicie. O jej podziwu godnej skuteczności świadczyło to, że opuszczone od trzynastu wieków groty i pierścienie na Tandzuriku-RI zachowały w sobie resztki atmosfery.

Przed drzwiami na końcu pochylni ludzie poskładali garść urządzeń: dwie mikroprądnice termojądrowe, ruchome platformy z żurawiem wysięgnikowym, przemysłowe elektrody termoindukcyjne, hydrauliczne tarany i siłowniki elektromechaniczne - wszystko oplecione luźno spiętymi pękami kabli i giętkich węży. Archeologowie użyli tego sprzętu do uaktywnienia potężnej śluzy. Obecnie drzwi były uchylone, co pozwalało na swobodne wejście do pierścienia piątego. Zaraz za drzwiami stały cztery małe dzipy, standardowe pojazdy przeznaczone do jazdy po powierzchni planet pozbawionych atmosfery. Miały niskociśnieniowe opony i kompozytową, szkieletową karoserię. Wydawały się nieprzeciętnie wyrafinowane w porównaniu z surową techniką widoczną dookoła.

Samuel przyjrzał im się z bliska, sprawdzając przełączniki na desce rozdzielczej.

- Mam odpowiedź procesora sterującego - oświadczył datawizyjnie. - W obwodach przełączonych w tryb oczekiwania zostało trochę energii, ale nic ponadto. Główne baterie są wyczerpane.

- Mniejsza z tym - rzekła Monica. Poleciła reflektorom skafandra błysnąć ostrym światłem i przygotowała czujniki. W nanosystemowym pliku pamięciowym zapisał się obraz. Programy buforujące pozwoliły jej przyjrzeć się szczegółom.

Nawet w maksymalnym blasku skafandra przeciwna strona pierścienia tonęła w mroku. Właściwie nie dostrzegało się krzywizny wnętrza. Stała w metalowej jaskini, w której podłoże, ściany i strop składały się z milionów paneli ze stopu aluminium, pozgrzewanych z licem skały i zespawanych. W czasach gdy arka była zamieszkała, po metalowych treliach pięły się bujne rośliny. Ich liście, czarne i pomarszczone, obumarły z powodu braku wody i światła na długo przed tym, jak ze statku uleciało ciepło. Nadciągający mróz posypał je szronem i przykuł do smętnych metalowych płyt.

Sufit przypominał te w halach magazynowych ludzi: plątanina grubych rur i masywnych dźwigarów nadawała olbrzymiej komorze Pozory zakładu przemysłowego. Oświetlenie zapewniały niegdyś tysiące dużych, okrągłych dysków z przyciemnianego szkła, wyzierających ze szczelin.

- Zimowy pałac z krainy baśni - zażartowała Monica. - Nawet jeśli go zbudowały elfy na usługach diabła.

- Boże, tu się nie da mieszkać - dziwił się Renato. - To jakaś maszynownia. Pewnie nikt się nie troszczył o miły wygląd ani o wygody. Chyba bym zwariował, gdybym miał tu siedzieć całe życie.

- Ty może i tak, ale nie oni - zauważyła Oski. - Pod względem psychiki bardzo się od nas różnią.

- I artystycznego wycucia, starczy się rozejrzeć - dodał Samuel. - Podejrzewam, że w naszym habitacie też by psioczyli na krajobraz.

- Nadchodzą Tyratakowie - poinformował ich datawizyjnie sierżant.

Wszyscy odbierali obraz z krążka sensorowego, który Monica zostawiła na poziomie pierwszym. Śluza powietrzna od strony wnętrza statku jarzyła się światłem. Duże, potargane fragmenty tytanowej grodzi zderzały się ze ścianami w korytarzu i odskakiwały w kłębach lodowych okruców. Pojawili się Tyratakowie i wolnym truchtem ruszyli w stronę spiralnej pochylni. Mieli na sobie skafandry, które nie pozwalały odróżnić rozplodowca od żołnierza. Mimo że przedsiębiorstwo SII nie jeden raz próbowało im sprzedać skafandry z programowalnego silikonu, zmodyfikowane pod kątem ich budowy anatomicznej, uparcie trzymali się własnego, sprawdzonego ubioru.

Poszczególne części skafandra Tyrataka były wykonane z odpornego, elastycznego tworzywa sztucznego w srebrnoniebieskim kolorze, można by powiedzieć, że z metalicznego jedwabiu. Razem tworzyły luźny, obszerny kombinezon, w który bez trudu wchodziła roślina istota, wsunawszy nogi i ręce w harmonijkowe rury. Zamknięty skafander nie wypełniał się powietrzem; do środka wpompowywano gęsty żel, który wypierał powietrze. Biorąc pod uwagę liczbę kończyn Tyrataka, tego rodzaju rozwiązanie sprytnie omijało problem projektowania hermetycznych połączeń na każdym stawie. Do oddychania służyła prosta, mocno przylegająca do twarzy maska, umieszczona wewnątrz skafandra. Wzdłuż kręgosłupa biegły dwa czarne żebra radiatora. Pojemniki z tlenem, mechanizm regulatora i wymiennik ciepła znajdowały się w plecaku. Dodatkowy sprzęt wisiał pod szyją na specjalnej uprzęży.

- Wygląda na to, że pod względem delikatności też nic nas nie łączy - powiedziała Monica. - Musieli rozwalić wszystkie grodzie w korytarzu, żeby dostać się do środka. Krążek sensorowy rejestruje intensywny ruch gazu w korytarzu. Nie martwią się, że Tandzurik-RI utraci resztki atmosfery.

- Skoro oni się nie martwią, my też nie powinniśmy - odezwał się Renato. - To nie ma wpływu na naszą misję.

- Wszyscy uzbrojeni - rzekł Samuel. - Nawet rozplodowce.

Każdy z Tyrataków niósł dwa czarne, matowe karabiny, połączone skręconymi w spiralę przewodami z urządzeniem zasilającym w uprzęży. Monica uruchomiła w trybie nadrzędności plik z encyklopedią broni i przeszukała katalogi.

- Masery - zawyrokowała. - Dość proste emitery średniej mocy. Pancierz powinien rozproszyć energię strzału, ale jeśli znajdziemy się w krzyżowym ogniu, będzie naprawdę gorąco. Poza tym dźwigają inny sprzęt. Zauważyłam parę pocisków kierowanych i granatów odłamkowych. Kupionych od ludzi.

- Ciekawe, kto je im sprzedaje - powiedziała Oski. - Myślałam, że Konfederacja zabrania sprzedaży Tyratakom sprzętu wojskowego.

- Teraz to bez znaczenia - rzekł Samuel. - Chodźcie, poszukamy sterowni, którą znaleźli archeologowie.

Gdy ruszyli w dalszą drogę, Monica - patrząc na siebie w wizualizacji tworzonej przez czujniki podcierwieni - miała wrażenie, że krwawi. Naokoło materializowały się budynki Tyrataków, bladoniebieskie cienie zwężających się ku górze wieżowców, niby płomienie znieruchomiałe w pustej, czarnej, niezmierzonej otchłani. Była to zimna nekropolia z łudzaco do siebie podobnymi budynkami i ulicami, zupełnie jakby wszystkie sekcje zostały odlane z tej samej



formy i ułożone tak, by stykały się krawędziami. Na każdy wieżowiec wdzierała się splątana roślinność z przyległych ogrodów, splecione łodygi zastygły w akcie więdnienia. Siarczysty mróz upodobił rośliny do twardego żeliwa. Fantazyjne liście, kwiaty o dziwnych kształtach i napuchnięte strąki przybrały ten sarni smutny odcień węgla drzewnego.

- Cholera, mimo słabej grawitacji Tyratakowie śmigają jak sarenki! - Zauważył Samuel.

Nie szli nawet dziesięciu minut, gdy okazało się, że Tyratakowie dotarli na dno pierwszej spiralnej pochylni. Krążek sensorowy pokazywał, jak jeden z nich omiata podłogę przenośnym elektronicznym skanerem, a inni czekają. Grupa rozdzieliła się na trzy podgrupy i każda wyruszyła po śladach ciepła.

- Sądzę, że w naszą stronę idzie osiemnastu - powiedziała Monica. - Między innymi cztery rozplodowce. Są odrobinę większe.

- Wrócę do wejścia - oświadczył datawizyjnie jeden z sierżantów. - Zanim dotrą do tego pierścienia, będę miał trochę czasu, żeby porobić fałszywe ślady. Powinni się znowu rozdzielić. Może uda mi się zamknąć grodz śluzy. Tak czy inaczej, uszczuplę grupę, która idzie waszym tropem.

- Dziękuję - powiedziała Monica. Sierżant odwrócił się i ruszył z powrotem.

- I zostało ich pięciu... - Mruknął z niepokojem Renato do rurki respiratora.

\*

Ione chciała jak najszybciej dowiedzieć się, co planują Tyratakowie, żeby opracować optymalną strategię odciągania ich od ekspedycji. Dwaj sierżanci lawirowali wśród maszyn w wielkich grotach na poziomie drugim, gdzie w pośpiechu zostawiali ślady widoczne w podczerwieni. Okazało się, że mapom sporządzonym przez archeologów daleko do doskonałości. Kilka razy wspomagała się blokiem inercyjnego naprowadzania, aby zorientować się w położeniu, gdy korytarze przestawały się pokrywać ze schematem. Należało uwzględnić ten czynnik podczas nakreślenia ewentualnych planów ucieczki. Tyratakowie z pewnością nie błędzili. Schemat Tandzurika-RI był im doskonale znany, przekazywany z pokolenia na pokolenie za pomocą gruczołów z programami chemicznymi.

Jeden z sierżantów pozostał u wejścia do olbrzymiej, półkulistej groty. Zbudowano w niej ze szkła coś na kształt rafinerii. Kolumnady, iglice, kule i kopuły, ginące w gęstwinie rur, tworzyły miniaturowe miasto. Zbiorniki wypełnione były kolorowymi, zamrożonymi płynami. Wszystko wydawało się popękane. Gdyby nagle podniosła się temperatura, prawdopodobnie cały kombinat ległby w gruzach.

Do groty ze szklaną rafinerią prowadziły cztery wejścia, przy czym trop wiodący z pochylni docierał do wylotu korytarza znajdującego się naprzeciwko sierżanta. Dzięki krążkom sensorowym, rozmieszczonym na ścianach w korytarzu, Ione obserwowała zwawy marsz Tyrataków. Czekwała. Wiedziała, że gdy tylko wejdą do groty, zauważą ciepło jej skafandra, błyszczącego w arktycznym korytarzu z intensywnością czerwonego karła.

Do groty wszedł pierwszy z nich. Przystanął, uniósł wyżej skaner i skierował go na nią. Blok nadawczo-odbiorczy przechwycił ciąg zaszyfrowanych wiadomości. Zatrzymała się cała kolumna Tyrataków. Potem dwóch wysunęło się na szpicę, aby ubezpieczać pierwszego. Natychmiast się rozeszli - jeden w lewo, drugi w prawo - żeby utrudnić jej celowanie.

- Cholera! - Powiedziała. - Chyba nici z pułapki. Reszta czeka i sprawdza, co się stanie.

- Należało się tego spodziewać - odpowiedział Samuel. - Bądź co bądź, mamy do czynienia z kastą żołnierzy. Walka jest ich żywiołem. Rozplodowce nie muszą im przekazywać chemicznych programów taktycznych. Taktykę mają we krwi.

Sierżant wynurzył się z płytkiej niszy, w której był zasłonięty. Ione poleciła blokowi

nadawczo-odbiorczemu otworzyć kanał o częstotliwości używanej przez Tyrataków, gdy raptem żołnierze strzelili promieniami masera. Siatka rozpraszająca ciepło w pancerzu skafandra z ledwością poradziła sobie z odprowadzeniem energii. Uskoczyła w tył. System wspomaganie ruchu w warunkach słabej grawitacji nadał jej niespodziewany impet. Jednocześnie zdetonowała materiały wybuchowe, założone nad każdym wejściem do groty. W lawinach kamieni runęły tony gruzu. Trójka Tyrataków znalazła się w potrzasku.

Ione wstała i ponownie ustawiła czujniki skafandra. Skok przeniósł ją na odległość pięćdziesięciu metrów, przy czym omal nie zahaczyła o sufit. Małe odłamki skalne koziółkowały w powietrzu i wolno zbliżały się do niej. Krążki sensorowe w grocie nie pokazywały nic oprócz tumanów pyłu, za pośrednictwem innych natomiast widać było szybki odwrót Tyrataków. Zaczęli się rozdzielać i znikać w bocznych korytarzach, gdzie nie widział ich już żaden sensor.

- Zła wiadomość jest taka, że mają rozkaz zabijać, co się rusza - oznajmiła. - Przypuszczam, że nie ciekawi ich cel naszej wizyty.

- Nie ma się co dziwić - odpowiedział Samuel. - W żadnej społeczności nie wyodrębni się kasta o charakterze bezwzględnie agresywnym, jeśli nie ma na nią zapotrzebowania. System społeczny Tyrataków oparty jest na hierarchii klanowej, integralność terytorialna ma dla nich kluczowe znaczenie. A my pomimo wyraźnego zakazu plądrujemy najstarszy skrawek ich terytorium.

- Cóż, przynajmniej wiecie, czego się spodziewać, kiedy was znajdą w pierścieniu piątym. Dobra, znikam stąd, nim wyskoczą jakimś sekretnym przejściem, żeby mnie zastrzelić.

\*

Sterownia, odległa o czterysta metrów od spiralnej pochylni, składała się z szeregu pomieszczeń wyłobionych w ścianie pierścienia piątego: zwyczajnych prostokątnych wnęk, obitych płytami ze stopu aluminium, z podłogą wyłożoną kompozytem. W każdym pomieszczeniu stał rząd zwalowych terminali komputerowych, wyposażonych w podwójne, rozetowe klawiatury, przystosowane do palców Tyrataków. Wyżej na ścianach wisiały długie ekrany do wyświetlania stanu urządzeń pokładowych i informacji nawigacyjnych. Praktycznie rzecz biorąc, był to mostek kapitański Tandzurika-RI.

Archeologowie twierdzili, że mniejsza ilość szronu i lodu pozwoliła im bez problemów uruchomić kilka układów elektronicznych. Sterownia była podłączona do osobnego systemu regulacji środowiskowej, utrzymywano tu dużo niższą wilgotność powietrza. Przed ostatecznym opuszczeniem arki zamknięto śluzy, dlatego nie przeniknęła tu wilgoć z pierścienia piątego.

Archeologowie wiedzieli, że zamknięte na głucho pomieszczenia są niezwykle ważne. Badając wewnętrzną sieć telekomunikacyjną statku, zorientowali się, że tu właśnie znajduje się główny ośrodek dowodzenia. Z całym należnym szacunkiem zainstalowali nowe grodzie w hermetycznych grodziach Tyrataków, podobnie jak na poziomie pierwszym. Nie musieli się obawiać skażenia atmosfery w sterowni, skoro na statku zamarzła cała woda, lecz chcieli w jak najmniejszym stopniu ingerować w to, co zastali. Naukowcy przeprowadzali pierwsze w historii badania urządzeń należących do ksenobiotycznej rasy, toteż kierowali się względami etycznymi. Nawet jeśli Tyratakowie nie poświęcali uwagi takim sprawom.

Nie tylko oni, jak się teraz okazało. Olbrzymie tytanowe płyty, pełniące rolę drzwi do pomieszczeń sterowni, uaktywnione przez kogoś i otworzone, odchyliły się pod samą ścianę groty. Mało tego: elektroniczne, zablokowane ze sobą urządzenia ryglujące zostały w jakiś sposób ominięte, dzięki czemu dało się otworzyć wszystkie trzy pomieszczenia naraz. Pięć postaci ubranych w skafandry stanęło w drzwiach i zbadało wnętrze sensorami.

- To musi być tutaj - stwierdziła datawizyjnie Monica. - Grodzie ludzi są nietknięte.

Archeologowie nie montowali ich nigdzie indziej.

- Czyżby zawitała tu jeszcze jedna ekspedycja? - Dumał Renato.

- Jeśli tak, to w tajemnicy przed Ziemią, Jowiszem i Kulu - rzekł Samuel. - Szczerze mówiąc, nie chce mi się w to wierzyć.

- Dziwi mnie to, że nie skorzystali z grodzi zamontowanych przez archeologów - powiedział Renato. - Na pewno działają. Musieli się sporo nagłowić, żeby odemknąć to pieroństwo.

Oski ostrożnie postąpiła krok do przodu. Blisko krawędzi grodzi Przesuwała trzymaną w dłoni końcówkę czujnika.

- Nie wykrywam sygnałów elektrycznych, ale służę otwarto niedawno. W otoczeniu zachowały się niki ślady ciepła. Prawdopodobnie podgrzali grodzie do temperatury nominalnej, żeby nimi sterować.

Monica walczyła z odruchem oglądania się na ulice nekropolii. Wbudowany w skafander mikroradar bez przerwy sprawdzał, czy nic się nie rusza w najbliższej okolicy. Chłód panujący w arce zdołał jakoś sforsować pancerz i przeszyć ciało.

- Niedawno, czyli kiedy? - Spytała.

- Góra pięć dni temu.

- I nie byli to ludzie - oświadczył Renato.

- Skąd ta pewność?

- Prosta sprawa. Gdyby tu byli ludzie, nie wahaliby się użyć grodzi zainstalowanych przez ekipę archeologiczną. Ktokolwiek tu przyszedł, nie mógł się w nich zmieścić.

- Założę się, że Kiintowie - powiedział Samuel. - Bądź co bądź, przyczynili się do tego, że tu jesteśmy. Ione i Kelly miały rację, Lieria zainteresowała się Śpiącym Bogiem. Każdy by tu szukał informacji. Pewnie teleportowali się tu niedługo po opuszczeniu Tranquillity. No i otworzyli oryginalne grodzie. W sumie to spodziewałbym się po nich takiej właśnie finezji. Widzieliśmy, co Tyratakowie robią z drzwiami, które zagradzają im drogę.

- Czemu nie teleportowali się bezpośrednio do pomieszczeń sterowni? - Spytała Monica.

- Bo są malusieńkie w skali kosmicznej. Moim zdaniem, taka próba wymagałaby niewiarygodnej wręcz dokładności, biorąc pod uwagę, że do Jobisa jest stąd ponad trzysta lat świetlnych.

- Może i tak. Myślisz, że są tu jeszcze?

Oski wskazała końcówką czujnika krótki tunel śluzy.

- Nie wyczuwam ruchu.

- Czas ucieka - ponagliła ich Monica. - Wchodzimy.

W pomieszczeniach kontrolnych było zdecydowanie cieplej. Czujniki skafandrowy wykryły cieplejsze punkty przy trzech terminalach komputerowych w drugim pomieszczeniu.

- To centrum astronawigacyjne - powiedziała Oski. - Jedno z miejsc, gdzie powinniśmy szukać informacji. Jeśli chcemy zlokalizować Śpiącego Boga, tu znajdziemy współrzędne.

- No to do roboty - poganiała Monica. Krążek sensorowy sygnalizował, że Tyratakowie właśnie mijają biologiczny reaktor na poziomie drugim. Od chwili gdy sierżant schwytał w pułapkę ich towarzyszy, nieznacznie zwolnili. Traktując z podejrzliwością każdą grotę, wpuszczali do nich nie więcej niż trzech żołnierzy naraz. Mimo wszystko w ciągu piętnastu minut powinni dotrzeć do spiralnej pochylni, prowadzącej do pierścienia piątego.

Oski i Renato kucnęli przed jednym z terminali i rozłożyli sprzęt. Monica, Samuel i ostatni z sierżantów pospiesznie przeszukali pozostałe pomieszczenia, a następnie wrócili do głównej komory pierścienia.

- Cofnijmy się trochę i zostawmy fałszywe ślady - zaproponowała Monica. - Zyskamy kilka minut.

- Nie sędzę - odrzekł Samuel. - Kiedy tu przyjdą, będą wiedzieć na sto procent, że interesują nas pomieszczenia kontrolne. Niczym ich nie zmylimy. Będziemy musieli się bronić.

- Mam nadzieję, że nie, do cholery, bo stoimy na straconej pozycji. Runą na nas ze wszystkich stron, a my nie wiemy, jak się stąd wydostać.

- Za to dysponujemy znacznie lepszą bronią. Obyśmy nie musieli jej używać.

- Jasne. No ale skoro osiągnęliśmy cel misji, może byśmy już zaczęli myśleć nad drogą ucieczki.

\*

Drugi sierżant odciągający wroga założył ładunki w korytarzu na odcinku stu pięćdziesięciu metrów. Nieskomplikowana pułapka: poczekać, aż pierwszy Tyratak dotrze do ładunku wybuchowego, i detonować oba. Cała grupa pościgowa, złożona z dwunastu ksenobiontów, powinna zostać uwięziona między zwałami skał. Kiedy jednak osobnik idący na przedzie zbliżył się do pierwszego ładunku, zwolnił. Reszta się zatrzymała. Ione zaklęła, gdy zaczął się skradać, kiwając na boki skanerem. Podczas zakładania materiałów wybuchowych musiała zostawić w korytarzu odbiegający od normy ślad cieplny.

Tyratak po raz ostatni sprawdził odczyty skanera, po czym skierował na sufit karabin maserowy. Gdyby wiązka padła na elektroniczne zapalniki, promieniowanie by je uszkodziło.

Poirytowana, zdetonowała ładunek wybuchowy, na skutek czego zawalił się pięciometrowy kawałek korytarza. Żaden z Tyrataków nie odniósł obrażeń. Pokłusowali korytarzem w drugą stronę i się rozdzielili. Przypuszczalnie zamierzali ominąć blokadę i podjąć trop, tyle że bez podglądu krążków sensorowych mogła tylko zgadywać. Znow ruszyła przed siebie, w głąb statku, pewna przynajmniej tego, że nie ma ich przed nią.

\*

Oski czuła się w swoim żywiole. Zmartwienia związane z fizycznym zagrożeniem opuściły ją na dobre, gdy z pomocą Renata ściągała obudowę terminala, aby dostać się do obwodów elektronicznych. Sprzęt Tyrataków był o kilka pokoleń, jeśli nie stuleci w tyle za zdobyczami ludzkiej nauki. Nie miała do czynienia z tak prymitywnymi podzespołami od czasów studiów, a ściślej, trwających półrocze ćwiczeń z historii elektroniki.

Renato wprawnie wykonywał jej instrukcje. Namierzył kabel zasilający terminal i podłączył jedną z matryc elektronowych, które ze sobą przynieśli. Na obwodzie rozetowej klawiatury zapaliły się kolorowe symbole.

- Jakie to szczęście, że brakuje im wyobraźni - zauważyła Oski. - Nie chciałabym się szarpać ze sprzętem nie dość że archaicznym, to jeszcze niestandardowym. Tyratakowie nie mają polotu i dzięki im za to.

- Dla mnie to wciąż paradoks - odparł Renato. - Wyobraźnia leży u podstaw wszelkich nowych pomysłów. Jak bez niej projektować statek kosmiczny? Jest bliźniakiem syjamskim zwykłej ciekawości.

- Której też nie mają w nadmiarze.

- A przecież wysyłanie zwiadowców w teren było warunkiem przeżycia od zarania dziejów. Jeśli chcesz żyć, musisz wiedzieć, czy nie zbliża się niebezpieczeństwo. Potem się zastanawiasz, jak się przed nim obronić.

- Nie będę się z tobą sprzeczać, odłóżmy tę rozmowę na inną okazję.

Oski zaczęła podłączać przyniesione przez siebie bloki procesorowe do szyn danych w

terminalu. Rozwijają długie nitki światłowodów z wtyczkami wykonanymi na specjalne zamówienie. Oczywiście, naukowcy zajmujący się w Tranquillity cywilizacją Laymilów mieli dostęp do specyfikacji wszystkich znanych układów elektronicznych Tyrataków, lecz dla pewności zapoznała się ze sprawozdaniem ekspedycji archeologicznej. Sprzęt wykorzystany na pokładzie Tandzurika-RI nie różnił się absolutnie niczym od tego, którym posługiwali się obecnie, łącznie z wymiarami i konfiguracją gniazd. Standard obowiązujący piętnaście tysięcy lat! Renato miał rację, to nie było dziwne, to było niesamowite.

Bez trudu powciskała wtyczki do gniazd. Blok datawizyjnie poinformował ją o wykryciu łącza światłowodowego wysokiej przepływności. Śmiać się jej chciało. Spodziewała się, że trzeba będzie spryskać gniazdo środkiem chemicznym, żeby wtyczka weszła swobodnie. Ów środek opracowano w jej wydziale do czyszczenia łączy optycznych, wystawionych na długotrwałe działanie próżni, pyłu i innych niekorzystnych czynników w Pierścieniu Ruin. Sporo go zużywali podczas prac nad resztkami urządzeń elektronicznych Laymilów.

Odstawiła pojemnik ze sprayem i sięgnęła po mikroskaner.

- W zasadzie można by oczekiwać, że urządzenia będą tu w znacznie lepszym stanie niż moduły elektroniczne Laymilów - powiedziała. - Zostały porzucone stosunkowo niedawno i nie niszczały w tak fatalnych warunkach. Ale żeby mieć aż takiego fuksa... To się w głowie nie mieści. - Bloki skończyły rysować graficzny schemat architektury terminala. - Cały terminal działa bez zarzutu, najdrobniejsza część nie szwankuje. Kiintowie nie tylko skopiowali dane, ale doprowadzili dziadostwo do stanu pełnej używalności. Na miłość boską, niektóre części są fabrycznie nowe!

- Ile ich jest?

- Skaner informuje, że procesory i kilka obwodów wspomagających. Kryształy pamięci są oryginalne, co ma sens. Tak jak my, chcieli poznać przechowywane w nich dane.

- Ściągniesz je?

- Nie widzę problemu. - Znali język programowania Tyrataków, z pewnością też nie istniało nic takiego jak protokół bezpieczeństwa czy hasła chroniące przed nieuprawnionym dostępem. Nim wyruszyli z Tranquillity, pracujący w wydziale programiści napisali kwestory specjalizowane do badania informacji zawartych w kryształach pamięciowych Tyrataków. Oski datawizyjnie przesłała do terminala pierwszą partię preformatowanych programów. Jedne próbowały wytropić bezpośrednie odniesienia do Śpiącego Boga, drugie klasyfikowały informacje zgodnie z typem pliku. Naukowcy na bieżąco zapoznawali się z rezultatami działań kwestorów.

- Szukanie bezpośredniego odniesienia to już chyba przesada - rzekł Renato.

- Nie ma żadnej wzmianki o niezwykłych zdarzeniach kosmologicznych - dodała Oski. Studiowała indeks plików, żeby sprawdzić, do jakiej konkretnie bazy danych się dostali, i odpowiednio sformułować następne kwestory. - Za to mnóstwo współrzędnych nawigacyjnych.

- Zobaczą, czy nie ma gdzieś listy gwiazd, których współrzędne pomagały im ustawiać laserowy sprzęt łączności w czasie lotu. Może się chociaż dowiemy, jaki protokół łączności stosowali w kontaktach z innymi arkami kosmicznymi.

- Dobry pomysł. Ja sprawdzę, czy nie zapisali informacji o szlakach statków kosmicznych. Nawet nie wiemy, jak duży obszar przestrzeni kosmicznej wchodzi w grę.

Kwestory ujawniły kilkadziesiąt tysięcy pomiarów położenia gwiazd, niezbędnych do ustawienia laserowych urządzeń łączności międzygwiazdnej. Pomiarów w osiemdziesięciu pięciu procentach wykonano podczas pierwszych sześciu tysięcy lat trwania podróży, potem liczba wiadomości otrzymywanych i wysyłanych z arki zaczęła gwałtownie maleć. W późniejszych fazach lotu położenie gwiazd ustalano jedynie przy okazji wysyłania wiadomości do pięciu kolonii

planetarnych, założonych przez mieszkańców Tandzurika-RI.

Po ustaleniu pomiarów Oski zaczęła szukać związanych z nimi plików.

- Samych wiadomości tu nie ma - oznajmiła w końcu. - W każdym pliku z pomiarami gwiazd znajduje się odsyłacz. Do zupełnie innego systemu.

- Wiesz, gdzie on jest?

- Jeszcze nie. - Ułożyła nowy zestaw kwestorów i kazała im szperać w programach zarządzających terminalem. - A tobie jak idzie?

- Niestety, aż za dobrze. Tyratakowie zbudowali ponad tysiąc ark kosmicznych.

- O kurde!

- Właśnie. Jeśli wszystkie zapuściły się tak daleko jak Tandzurik-RI, to mamy gigantyczny obszar do zbadania, jeśli chcemy znaleźć Śpiącego Boga. Tu już mowa o pewnym procencie całej galaktyki. Co prawda niedużym, ale wszystko zależy od skali. Parker i Kempster będą zacierać ręce.

Kwestory dostarczały Oski pierwszych odpowiedzi.

- Proszę bardzo: pliki, których potrzebujemy, są przechowywane w jakimś centralnym archiwum. Mam kod identyfikacji.

- Archiwum może być na drugim końcu statku. Z niczym się stąd nie połączymy.

- Nie jest tak źle. Chodź, przejdziemy do pomieszczenia, w którym kierowano systemami pokładowymi. Może uda się uruchomić terminal i wyświetlić schemat ogólny statku.

\*

Promień masera trafił sierżanta w udo, kiedy przemierzał jedną z półkulistych grot. Ione zareagowała instynktownie: dała długiego nura za jakąś mamucią maszynę. Promień urwał się, kiedy wylądowała. Wbudowany w skafander blok do walki radioelektronicznej namierzył strzelca. Tyratak celował z wylotu korytarza.

Przesłała współrzędne do procesora sterującego bronią. Z wyrzutnika przy pasie wystrzelił samokierowany granat odłamkowy, by łukiem przelecieć nad dającą osłonę maszynę. Wybuch granatu zasypał wejście do korytarza. Po pancernym sierżanta prześliznął się kolejny promień masera. Ione momentalnie odtoczyła się na bok i ustawiła wyrzutnik. Drugi samokierowany granat rozprawił się z korytarzem, z którego szarżował Tyratak.

- Poruszają się cholernie szybko - poinformowała Samuela i swoich sobowtórów. - Profesjonalnie wzięli mnie w kleszcze. - Za pomocą czujników skafandra sprawdziła korytarz naprzeciwko. Nie wykryła ruchu ani podejrzanych źródeł podczerwieni.

- Nie możesz wracać - powiedział do niej sierżant towarzyszący Monice i Samuelowi w pierścieniu piątym. - Wiesz, że są za tobą.

- Wiem. - Podchodząc do ostatniego nienaruszonego korytarza, odpięła od pasa magazynkę i wsunęła go do wielolufowego wyrzutnika. W dwusekundowych odstępach wystrzeliła trzy smukłe pociski, które wpadły do mrocznego korytarza. Sama przywarła do ściany.

Każdy z pocisków był uzbrojony w głowicę generującą impuls neutronowy. Eksplodujące równocześnie pociski zalały półkilometrowy fragment korytarza falą zabójczego promieniowania. Jeśli czaili się tam Tyratakowie, w wyniku neutronowego bombardowania zginęli niemal natychmiast.

Dźwigając w jednej ręce ciężki wyrzutnik pocisków, w drugiej emiter promieniowania X, sierżant pomału, krok po kroku, zagłębił się w radioaktywny korytarz.

- Oski, proszę o raport - odezwała się datawizyjnie Monica. Krążek sensorowy pokazywał Tyrataków, którzy gromadzili się przed spiralną pochylnią, prowadzącą do pierścienia piątego. - Zaczyna nam się palić grunt pod nogami.

- Przeglądałam ogólny schemat statku. Za moment namierzę centralne archiwum. W tym terminalu też dłubali Kiintowie, co znaczy, że jesteśmy na właściwym tropie.

- Słuchaj, Oski - wtrącił Samuel - w miarę możliwości zapamiętaj ten schemat. Może pozwoli nam się stąd wydostać.

- Wydostać się stąd? - Zaciekała się Monica.

- Tak, mam plan.

- Umieram z ciekawości.

- Moment. Syrinx?

- Słucham. Robicie postępy?

- Tak, choć mogłyby być większe. Oski zaraz zacznie przysyłać "Oenone" i "Lady Makbet" zebrane do tej pory informacje. Na wypadek gdyby nie udało nam się stąd wyjść.

- Do Tandzurika-RI dotarł tylko jeden statek Tyrataków. Nie ma szans z "Oenone". Uratujemy was, jeśli tylko zdołacie się dostać do resztek podpory kosmodromu.

- To może okazać się trudne. Sierzanci donoszą, że Tyratakowie z kasty żołnierzy są twardym przeciwnikiem. I wiedzą, którędy moglibyśmy wracać. Zastawią na nas pułapkę.

- Co więc proponujesz?

- Ja i Monica widzieliśmy na własne oczy, jak doktor Mzu ulatnia się z Tranquillity...

- Zaraz, czekaj no... - Zaprotestowała Syrinx.

- Mógłbym to zrobić - stwierdził "Oenone". - Skoro "Udat" dał radę, czemu nie ja? - W mentalnym głosie jastrzębia pobrzmiwał nieklamany entuzjazm.

- Nie - upierała się Syrinx z opiekuńczą troską. - Tandzurik-RI jest nieporównywalnie mniejszy niż Tranquillity. Nie zmieściłbyś się w pierścieniu.

- Zmieściłbym się w grotach na poziomie pierwszym.

- To właśnie miałem na myśli - powiedział Samuel. - Powinniśmy się przebić do jednej z nich. Wątpię, czy piekielny jastrząb też skoczy, żeby zniweczyć nasze plany. Gdybyście jednak przylecieli, żeby walczyć ze statkiem Tyrataków, on by z pewnością wam bruździł.

- Dam radę - nalegał "Oenone".

- Na pewno? Nie przechwalasz się aby?

- Wiesz, że sobie poradzę. Niech ten czyn będzie uhonorowaniem pamięci "Udata".

- W porządku. - Syrinx nie potrafiła ukryć dumy i rosnącego animuszu. - Samuel, spróbujemy was ewakuować z jednej z grot na osi obrotu.

- Dziękuję - odpowiedział z wdzięcznością.

Oski i Renato niemal biegiem wyskoczyli ze śluzowego pomieszczenia kontrolnego. Programy skafandra musiały ograniczyć wspomaganie ruchu, żeby nie uderzyli głowami o sufit w tunelu śluzowym.

- Znalazłem archiwum. - Renato przesłał Monice, Samuelowi i sierżantom schemat statku. - Kilometr stąd, po drugiej stronie pierścienia.

- W drogę! - Zakomenderowała Monica. Blok inercyjnego naprowadzania analizował nowe dane i wpisywał je do istniejących plików.

- Zgodnie ze schematem zaraz za archiwum znajduje się pochylnia prowadząca na poziom drugi - rzekł Samuel. - Wypalę w grodzi dziurę, przez którą uciekniemy, gdy tylko zdobędziecie informacje.

- Brzmi nieźle - skomentował Renato.

Pięciu uczestników ekspedycji, zdanych wyłącznie na programy naprowadzające, zasuwało mrocznymi ulicami, wykonując długie, niskie skoki. Wokół nic się nie zmieniało. Za każdym zakrętem

pojawiwały się nowe skute lodem wieżowce, w podczerwieni wyglądające kubek w kubek jak te, które minęli.

- Tyratakowie zjeżdżają pochylnią do naszego pierścienia - poinformował ich sierżant pilnujący wejścia. - Założyłem ładunek przy słuzie. Mam go zdetonować?

- Nie - odpowiedziała Monica. - Zaczekaj, aż wszyscy wejdą do pierścienia, potem go zdetonuj.

- Chcesz ich tu z nami uwięzić? - Spytał datawizyjnie Renato.

- To dobry manewr taktyczny - poparł ją Samuel. - Jeśli ich teraz przyblokujemy, za chwilę nie będziemy wiedzieć, gdzie są i którędy chcą się tu wcisnąć. Ale gdy wejdą za nami, możemy ich śledzić za pośrednictwem krążków sensorowych. To się nazywa przewaga strategiczna.

Czujnik podczerwieni pokazał światelko w głębi korytarza, przypominające jesienny brzask. Ione przystanęła, włożyła do wyrzutnika magazynek z inteligentnymi pociskami samokierowanymi i wprowadziła do procesorów profil Tyrataka. Dzięki czujnikom skafandra ujrzała rosnące światło również za sobą.

- Otoczyli mnie - powiadomiła sobowtórów. - Uważajcie, umieją wykorzystać posiadaną wiedzę.

W grupę, która zachodziła ją od tyłu, wystrzeliła dwa pociski z głowicą neutronową. Rzuciła granat i popędziła przed siebie. Z ciężkiego wyrzutnika wyleciały inteligentne pociski samokierowanie. Rozeszły się impulsy neutronowe. Gdy zdetonowała granat, zawalił się sufit. Z przodu dolatywały ciche wybuchy ładunków odłamkowych; pociski dziurawiły skafandry Tyrataków i przed eksplozją wbijały się głęboko w ksenobiotyczne ciała.

Obraz w podczerwieni pokrył się szkarłatnymi plamami. Nadal wystrzeliwała pociski, kiedy trafiło ją w prawą nogę coś na podobieństwo niedużej kuli armatniej. Siła wybuchu cisnęła nią o sufit. Spadła na ziemię z połamanymi kośćmi. Na egzoszkielecie przybywało pęknięć, ale pancerz wzmocniany przez generator sił wiążących molekuly wytrzymał.

Sierżant uniósł głowę, strząsając gruz, który przysypał hełm. Poruszył ramionami. Siłowniki męczyły się, ponieważ tułów ugrzązł w stercie kamieni. Część z nich stracił z pancerza. W jego stronę zbliżało się w podskokach dwóch Tyrataków z kasty żołnierzy. Ione czekała, aż podejda na odległość piętnastu metrów, i odpaliła dwa granaty samokierowanie.

\*

Krążek sensorowy przy pochylni na poziomie pierwszym zarejestrował wzrost ciepła przekraczający ustaloną granicę i wysłał sygnał alarmowy. Na statek wkroczyła druga grupa Tyrataków. Dwudziestu żołnierzy.

- Boże, tego nam jeszcze brakowało - powiedziała Monica.

- Do pierścienia piątego dotrą dopiero za czterdzieści minut - rzekł Samuel. - Jeśli do tego czasu Oski nie znajdzie informacji, to znaczy, że i tak już by jej nie znalazła.

Znajdowali się w odległości pięćdziesięciu metrów od ściany pierścienia, zostawiali za sobą ostatnie wieżowce. Snopy światła, ślizgające się tanecznie po ścianie, załamywały się i krzesaly tęczowe refleksy na kurtynie zmrożonych pnączy.

- Tam! - Oznajmił Renato. Wskazał palcem miejsce, w którym znieruchomiło jego światło, żeby reszta skierowała na nie swoje reflektory. Grodź śluzы powietrznej prowadzącej do archiwum pod każdym względem przypominała te prowadzące do pomieszczeń kontrolnych. I podobnie jak tamte, była otwarta.

- Byli tu niedawno - stwierdziła Oski. - Kilka słabych śladów w podczerwieni. Przypominają tamte w sterowni.



- Monica, pójdziesz z nimi - zarządził Samuel. - Ja przygotowuję ładunki, żeby wysadzić wejście na pochylnię.

Monica chwyciła w dłoń karabin laserowy i przełączyła samokierowane granaty w stan aktywności. Lekko podniesiona na duchu, przeszła przez otwartą śluzę. Oski i Renato otrzymali ten sam zestaw broni, lecz nawet najlepsze programy do walki w terenie nie mogły zrobić z żółtodziobów porządnymi żołnierzami. Wiedziała, że w tym wypadku nie ma co liczyć na element zaskoczenia, dlatego zdecydowała się na szybkie działanie: pędem minęła ostatnią grodz z czujnikami nastawionymi na maksymalne wzmocnienie sygnału. Radarem i czujnikiem podczerwieni w ciągu milisekund zbadła całą komorę. Program taktyczny po zapoznaniu się z rezultatami sygnalizował brak jakiegokolwiek aktywności w archiwum.

- Możecie wejść - poinformowała datawizyjnie naukowców.

Archiwum ewidentnie różniło się od pomieszczeń kontrolnych. Przede wszystkim było o wiele większe. W litej skale wydrążono długi tunel, sklepiony na wysokości trzydziestu metrów. Pomijając dopasowane do rozmiarów Tyrataków gabloty i terminale komputerowe, chyba to właśnie pomieszczenie na arce miało dla człowieka najbardziej swojski charakter. Głównie dlatego, zdaniem Moniki, że od razu kojarzyło się z salą muzealną. Na całej długości pomieszczenia stały w równych rzędach przeszklone gabloty, sześciiany o boku pięciu metrów. Szkło zmętniało pod wpływem brudu i lodu. Gdy skierowała światło na pierwszą gablotę, zawartość wychyliła się z mroku szeregiem intrygujących, niewyraźnych cieni. Wydawało się, że to urządzenie mechaniczne; duża ilość płaskich krawędzi i kątów prostych raczej wykluczała organizm biologiczny. Rzędy gablot były podzielone na sekcje przestronnymi stanowiskami terminali komputerowych, rozbudowanych wokół olbrzymich ekranów na sześciobocznym cokole. Oski podeszła do najbliższego z nich.

- To na pewno stanowiska operacyjne - powiedziała. Omiotła reflektorami obudowy urządzeń i oświetliła ekrany. - Jest tu jakaś tabliczka. - Neuronowy nanosystem uruchomił w trybie nadrzędności program tłumaczący język Tyrataków. - Regulacja atmosfery - przeczytała. - Każde stanowisko musi odnosić się do innej dziedziny. Spróbujcie znaleźć coś związanego z nawigacją lub komunikacją.

- Zauważyłaś terminale naprawione przez Kiintów? - Spytał Renato. - Nie musielibyśmy tracić czasu na szukanie.

- Nie, ale się rozglądam - odpowiedziała Monica.

Renato przechadzał się wzdłuż szeregu gablot, poirytowany tym, że pod szkłem tak mało widać. Pierwsze stanowisko operacyjne: destylacja związków mineralnych. Drugie: systemy ogrzewania. Trzecie: eksploatacja górnicza. Pod wpływem impulsu starł rękawicą trochę lodu ze szkła i zwiększył moc reflektorów. Pod spodem ujrzał fragment maszynierii.

- Mam wrażenie, że te ustrojstwa wczoraj zjechały z taśmy - zauważył. - To niekoniecznie jest muzeum. Może przechowywali tu gotowe podzespoły, wzorcowe kopie na wypadek, gdyby doszło do zniszczenia układów elektronicznych?

- Gdyby wskutek katastrofy ucierpiały kryształy pamięci, tym tu urządzeniom też by się dostało - odezwała się datawizyjnie Oski. - Zresztą pomyśl, ile maszyn pracowało na pokładzie Tandzurika-RI. Od groma i jeszcze trochę.

- To może są tu tylko te najważniejsze?

- Chyba znalazłam - oznajmiła Monica. - Patrzcie, jak wychuchali ten terminal. Jest o kilka stopni cieplejszy od pozostałych.

Oski rozejrzała się za pomocą czujników skafandra, żeby zlokalizować agentkę ESA.

- Co to za stanowisko?

- Zasiadanie planety.

- Nie wiem, czy tam akurat bym szukała. - Podbiegła do Moniki, która kierowała światło na jeden z terminali.

- Tyratakowie weszli do pierścienia piątego - oświadczył sierżant strzegący wejścia na pochylnię. - Wysadzam służę powietrzną.

Pomimo pracujących z wysoką rozdzielczością czujników Monica nie dostrzegła żadnego śladu eksplozji.

- Oski, nie możemy tu krążyć w nieskończoność - powiedziała. - Kopiuj z terminala, co się da. Miejmy nadzieję, że Kiintowie wiedzieli, co robią.

- Zgoda. - Specjalistka od elektroniki kucnęła przy terminalu i zabrała się za przednią płytę obudowy.

Ione śledziła Tyrataków z wielu punktów obserwacyjnych naraz, gdy rozchodzili się po pierścieniu piątym. Rozproszyli się, zaledwie eksplodowała za nimi śluza powietrzna. Przy okazji zostali zasypani dwaj ostatni w grupie. Krążki sensorowe rejestrowały mikrofalowe sygnały radarowe wysyłane przez żołnierzy. Dzięki temu ustawiła cele pierwszym samokierowanym granatom. W ten sposób położyła trupem kolejnych trzech przeciwników. Reszta zmadrzała i wyłączyła radary. Ione wysłała na ich głowy rój inteligentnych pocisków, zaprogramowanych do lotu nad szczytami wieżowców. Jeśli któryś zauważył skafander, spadał jak strzała na swoją ofiarę.

Tym manewrem jednak zdradziła swoją pozycję. Co w gruncie rzeczy było nawet korzystne. Znajdowała się po drugiej stronie grotu względem archiwum, więc odciągała wroga od ekspedycji badawczej.

Jeden z krążków sensorowych pokazał jej żołnierza, który uniósł strzelbę wielkości ludzkiej armatki. Rzuciła się do ucieczki, nie bacząc na brak osłony. Za nią rozleciał się wieżowiec. Siła wybuchu była tak wielka, że nawet w ekstremalnie rozrzedzonym powietrzu dało się wyczuć podmuch. Olbrzymie odłamki, uderzające o sąsiednie budynki, rozbijały kruchy beton. Trzy gmaszyska legły w gruzach, wzbijając gęste kłęby czarnego pyłu, który niósł się po okolicznych ulicach, blokując widoczność na wszystkich pasmach.

Monica starała się śledzić przebieg starcia za pośrednictwem krążków sensorowych. Odczuwała nerwowość, która objawiała się też dokuczliwym swędzeniem okolic żeber i kręgosłupa. W skafandrze nie mogła się podrapać. Nie pomagało nawet wiercenie się pod pancerzem. W żaden sposób nie mogła pomóc naukowcom. Oski i Renato wybebeszyli wewnątrz terminala i teraz podłączali bloki do prymitywnych układów. Płynne ruchy przekładały się na szybkie postępy. Wokół rozetowej klawiatury paliły się światełka, a ekran wyświetlał burzę zielonych i czerwonych symboli.

Zaczęła spacerować między dalszymi gablotami, tropiąc inne ślady bytności Kiintów. Na razie tylko tyle mogła zrobić. Chociaż w tej sytuacji nie miało to już szczególnego znaczenia. Gdy jednak po raz drugi zaczęła okrążyć stanowisko przyporządkowane sprawom zasiedlania planet, w jej podświadomości odezwał się dzwonek alarmowy. Przystanąła i wyteżyła wzrok. Kształty w szklanych gablotach nie były już takie swojskie i regularne. To już nie był niepokój, ale prawdziwy strach. Monica przetarła rękawicą Pomarszczony, skrzący się lód, aż oczyściła kawałek szyby. Reflektory skafandra dały mocniejsze światło, skupione na wnętrzu gabloty. Czujniki pracujące w paśmie optycznym zmieniły ogniskową. Monica cofnęła się o krok, zrobiło jej się duszno. Program monitorujący funkcje organizmu ostrzegwał, że nagle wzrosło jej tętno.

- Hej, Samuel! - Zawołała datawizyjnie.

- Co jest?

- Mają tu ksenobiontów. Ksenobiontów, jakich w życiu nie widziałam. - Badała czujnikami

okaz zamknięty w gablocie, aby wysłać edeniście plik z pikselowym obrazem. Stworzenie było dwunożne, niższe od człowieka, wyposażone w cztery ramiona rozłożone symetrycznie w połowie wysokości tułowia. Żadnych stawów łokciowych ani kolanowych; kończyny były jednosegmentowe. Baniaste stawy barkowe i biodrowe wskazywały na spore możliwości ruchu. Każde ramię kończyło się krótką dłonią z czterema szponiastymi palcami, natomiast nogi wspierały się na okrągłych poduszkach. Głowa miała kształt napuchniętego stożka; głębokie fałdy skórne, okalające grubą szyję, świadczyły o szerokim kącie obrotu. Pionowy otwór służył jako usta lub nos, a jamy w części czołowej pewnie zawierały oczy. - Boże, Samuel, to istota rozumna! Ona coś nosi, zobacz. - Skupiła się na ręce, a właściwie na srebrnej bransoletce opinającej pobrużdżoną, jasnobrązową skórę. - To mi wygląda na zegarek, w każdym razie na jakiś mechanizm. Schwytali rozumnego ksenobionta i wypchali pechowca, żeby dzieciaki mogły sobie pooglądać dziwoląga. Na miłość boską, co tu jest grane?

- Wybiegasz za daleko w swoich przypuszczeniach, Monica.

- Wytłumacz mi więc, do ciężkiej cholery, co to tu robi! Mówię ci, wystawili biedaka na pokaz. Prawdopodobnie żył na jednej z tych planet, na których się zatrzymali.

- Jesteś w archiwum, nie w cyrku ani w zoo.

- I co, mam się z tego cieszyć? No dobrze, wzięli go w celach naukowych, nie dla rozrywki. Po co go badali? To istota rozumna, a nie królik doświadczalny.

- Monica, wiem, że to okropne, lecz mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Przykro mi, na razie o tym zapomnij.

- Kurewski świat! - Odwróciła się i ruszyła w stronę terminala, przy którym pracowali Oski i Renato. Po kilku krokach jednak trochę ochłonęła. Zatrzymała się i powtórnie przyjrzała gablocie skrywającej w swoim mrocznym wnętrzu ucieleśnienie cierpienia i bezradności. Światło załamywało się na okruchach lodu.

Kiedy wchodzili na pokład, zastanawiała się, czy obserwują ich dusze Tyrataków. Obecnie interesowała ją tylko dusza nieznanego ksenobionta, samotna i zagubiona, krzycząca w rozpacz do swoich pobratymców. Czy patrzyła teraz z daleka? Czy błagała o wybawienie, uwięziona w jakimś odległym kącie okrutnych zaświatów, opuszczona przez swoich własnych bogów?

Program medyczny ostrzegał, że nie oddycha normalnie. Spróbowała wciągać powietrze spokojniejszym rytmem.

- Oski, jak wam idzie?

- Trudno powiedzieć. Znalazłam kilka plików z treścią wiadomości, ale nie wchodzimy w szczegóły, tylko kopiujemy całą zawartość pamięci do późniejszego przeanalizowania.

- Ile to jeszcze potrwa?

- Kończymy programowanie. Datawizyjne kopiowanie plików do bloków procesorowych zajmie pół godziny.

- Nie mamy tyle czasu.

- Wiem. Technobiotyczne procesory będą przekazywać informacje "Oenone" i "Lady Makbet" w czasie rzeczywistym. Oby Tyratakowie nie wpadli tu przed czasem.

- Chwilowo nie musicie się bać. Będą zbyt zajęci gonitwą za nami.

- Do diabła, jak tam wyleźli? - Zdziwiła się Ione.

Przynajmniej trzech Tyrataków z kasty żołnierzy gnało po dźwigarach pod sufitem w pierścieniu piątym. Wąskie metalowe pomosty, snujące się wśród szyn suwnicowych i rur irygacyjnych, trzęsły się groźnie, gdy tupwały po nich ciężkie postacie. Ale się nie łamały. Na domiar złego umożliwiały Tyratakom rażenie celów z góry.

Chmury pyłu zalegały nad rozległymi fragmentami pierścienia w sześciu miejscach, gdzie zawałone wieżowce świadczyły o coraz brutalniejszej wymianie ognia. Wszędzie na zimnych płytach leżały ciała broczących posoką Tyrataków. Jeden z dwóch żywych sierżantów mocno kulał, odkąd potężny odłamek, z którego impetem nie poradziły sobie generatory sił wiążących molekuly, zmiażdżył skafander na wysokości kolana. Kilka procesorów i urządzeń, trafionych promieniem masera, nadawało się do wyrzucenia.

Ze strategicznego punktu widzenia sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej. Tylko jeden Tyratak skradał się do sierżanta. Reszta oddaliła się od rejonu dotkniętego wojennym kataklizmem, żeby zbadać inne ślady ciepła. Czterech, w tym jeden rozplodowiec, spotkało się przy otwartej grodzi prowadzącej do pomieszczeń kontrolnych.

- Już wiedzą, żeśmy tam wchodzili - stwierdził Samuel.

- Ci pod sufitem będą nas szukać - odpowiedziała datawizyjnie Ione. - Niebawem nas zobaczą.

- Rozpoczęło się pobieranie danych - zameldowała Oski. - Nasze statki już je odbierają.

- Świetnie. Zabierajcie się z archiwum, zaraz wysadzę śluzę. Ione, zlikwidujesz żołnierzy na krokwiach?

- Spróbuję.

- Na razie, sierżancie, nie możemy cię spisać na straty. Rozumiesz? Ktoś nas musi osłaniać, jeśli mamy się stąd wydostać.

- Rozumiem, ale tylko jedna moja osoba dotrzyma wam kroku na pochylni.

Ranny sierżant uniósł wyrzutnik i wystrzelił dwa ostatnie inteligentne pociski samokierowane. Pomknęły w mrok - dwie strzały intensywnego, bursztynowego światła - by skryć się za krzywizną pierścienia. Sierżant pokuśtykał w sam środek skłębionej chmury pyłu, zmierzając do archiwum. Za pasem odnalazł magazynek z pociskami z głowicą neutronową. Z dwunastu tylko cztery odpowiedziały na datawizyjny sygnał. Tak czy inaczej, włożył magazynek do wyrzutnika.

Kiedy ekspedycja schowa się w korytarzu pochylni, życie w pierścieniu piątym wyda się Tyratakom nieznośnie uciążliwe.

Samuel i ostatni sierżant czekali na naukowców u wejścia do archiwum. Po odkryciu ksenobionta w głowie Moniki wciąż panował mętlik. Woląła jednak nie odzywać się do swego towarzysza, żeby nie wybuchnąć.

- Pod sufitem biega jeszcze jeden żołnierz, ale to już bez znaczenia. - Samuel zdetonował ładunki założone wokół wejścia do śluzy.

Znajdowali się na tyle blisko, że zobaczyli błysk. Oślepiająca fala czystego, białego światła zalała wnętrze pierścienia i po chwili zgasła.

Samuel puścił się biegiem w tym kierunku. Mieli do przebycia tylko sto pięćdziesiąt metrów. Przekazał wskazówki towarzyszom, którzy włączyli wyrzutniki rakiet. Wieżowce przed nimi runęły w szerokim półkolu, gdy pociski rozbiły w proch dolne piętra. Pył zdusił cienkie języki gorącego ognia i strzelił w górę fontanną nieprzejrzanego mroku.

Gródz wejściowa śluzы powietrznej została wyłamana z zawiasów, gruba tytanowa płyta pogięła się jak kawałek plastiku. Otwór przysypany kamieniami znacząco się zmniejszył. Zbliżając się do niego, Samuel kruszył gruz butami. Mógł bez trudu przejść na drugą stronę, pod warunkiem że przesuwał się bokiem. Kiedy to zrobił, bezzwłocznie zaczął przylepiać na ścianach ładunki wybuchowe. Reszta też szczęśliwie precyzyjnie przeszła przez otwór. Sierżant zamykał tyły.

\*

Na "Lady Makbet" polowało osiemnaście os bojowych. Już po raz trzeci w ciągu godziny

sieć obronna Hesperii-LN ostrzeliwała się tego rodzaju salwą. Za każdym razem statek po prostu wykonywał skok, nim znalazł się w polu rażenia. Myśliwce bezradnie szukały zgubionego zbiega.

- Ci Tyratakowie niech się cieszą, że w czasie podróży arką nie napotkali wrogów - powiedział Joshua. - Przecież oni głównie się znajdują na bitwie w kosmosie. Czemu walą w nas osami, skoro jesteśmy daleko od planety i w każdej chwili możemy skoczyć?

- Chcą uśpić naszą czujność - odparł wesoło Ashly. - Obliczyli sobie z grubszą, gdzie wynurzymy się następnym razem, i posłali tam swoją superbroń, która nas rozwali.

- Nic z tego. Uzależnienie współrzędnych wynurzenia od losowych zmiennych to zasada numer jeden w podręcznikach wojskowego pilotażu.

- Zresztą i tak nie posiadają superbroni - dodał Liol. - Żeby zbudować coś takiego, trzeba mieć twórczą wyobraźnię. A tej im po prostu brakuje.

- Straszni z nich frajerzy - rzekł Dahybi. - Nie mają nawet okrętu wojennego, który by mogli wystawić do walki. Szarpią się tylko daremnie.

- Szarpią się, fakt, ale czy daremnie, to się dopiero okaże. - Joshua studiował sytuację taktyczną. Najbliższa osła bojowa za dwie minuty mogłaby odpalać podpociski. - Przygotujcie się na skok. Sara, jak tam zrzut pamięci?

- Nieźle, Joshua. Technobiotyczne procesory pracują bez zarzutu.

- Miejmy nadzieję, że ściągamy coś pożytecznego. - Wyłączył napęd termojądrowy, stabilizując statek jonowymi silnikami sterującymi. Komputer pokładowy pokazywał stan węzłów modelowania energii, gdy chowały się czujniki systemów bojowych. - No to jazda.

Wynurzyli się czterdzieści tysięcy kilometrów od gromady osł bojowych. Sieć strategiczno-obronna Hesperii-LN potrzebowała prawie trzech minut, żeby ich namierzyć.

- Odpalasz jeszcze jedną osła bojową? - Zapytał Liol.

- Na razie nie - odpowiedział Joshua i za pośrednictwem technobiotycznych procesorów otworzył kanał łączności z ekspedycją badawczą. - Gdzie jesteście?

- Wychodzimy na poziom drugi - odparła Monica. - Zabarykadowaliśmy za sobą pochylnię. Jeśli nie wpadniemy w zasadzkę, będziemy na poziomie pierwszym za dwanaście minut.

- Dobra, Monica, dzięki. Syrix, powinniśmy ustalić następny krok.

- Wiem. Zakładam, że piekielny jastrząb znowu będzie chciał nas śledzić.

- Zgubię go w trakcie kilku skoków sekwencyjnych. Potrafisz zrobić coś takiego?

- Dla mnie to pestka. Wybierz współrzędne spotkania.

- W tym sęk. Ta cholerna szamotanina na orbicie spieprzyła mi wektor. Na chwilę odpalę silniki i skieruję się na drugą planetę. Tam zakręcimy, wykorzystując grawitację, i ustawimy kurs na Mgławicę Oriona. Potem zwiejemy piekielnemu jastrzębiowi.

- Jak chcesz. "Oenone" skoczy do drugiej planety, gdy tylko weźmiemy na pokład ekspedycję. No to do zobaczenia.

\*

Grota na poziomie drugim mieściła gigantyczny generator termojądrowy o wysokości osiemdziesięciu metrów, złożony z trzech kul umieszczonych jedna na drugiej. Rury i kable, przywierające łukami do głównego modułu na podobieństwo fantazyjnych wiaduktów, ginęły w ścianach i posadzce. Maszynę otaczał zespół pięciu wymienników ciepła. Z zaworów i połączeń między rurami niegdyś wyciekała ciecz, która stwardniała na obudowie w kolorowych, wielowarstwowych wstęgach. Napromieniowane ściany sprawiły, że licznik Geigera podniósł datawizyjny alarm, zaledwie zespół badawczy wyłonił się w podskokach z jednego z korytarzy.

- Oto nasz skrót - oświadczył Samuel.

- Przy tym poziomie napromieniowania możemy sobie skrócić nie tylko drogę, ale i życie, jeśli nie będziemy uważać - zauważyła Monica. - Zupełnie jakby się tu stopił rdzeń reaktora rozszczepieniowego. Jakiego paliwa używali?

- Bóg raczy wiedzieć. - Samuel zbadał czujnikami rury znikające wysoko w sklepieniu grotu. - Jedna z tych trzech. - Program taktyczny przesłał pozostałym ikonę identyfikacyjną z podświetleniem wybranej rury. - Zgodnie z tym, czego dowiedziała się Oski w pomieszczeniu kontrolnym, płynął tędy ogrzany gaz. Część ciepła z wymienników służyła do podgrzewania jezior na Poziomie pierwszym. To ekspresowa droga na górę, wystarczy wyciąć dziurę.

Monica nie spierała się z nim, mimo że nagle opadły ją wątpliwości. Do samego końca ubezpieczała naukowców w archiwum, wobec czego szczegóły ucieczki zostawiła na jego głowie. Tak miała wyglądać praca zespołowa. Czowała się, jakby byli partnerami od zawsze. Wiedzieli już, że mogą na sobie polegać.

Odpięła od pasa krótki karabin laserowy, poleciała procesorowi strzelać ogniem ciągłym i skierowała lufę na wskazaną rurę, którą zaraz przekłuło pięć rubinowych promieni. Jasne krople stopionego metalu skapywały wolno, tracąc blask przed spotkaniem z ziemią. Radar Moniki zarejestrował poruszenie tuż przed tym, jak promień masera trafił ją w skafander. Z dozownika wystrzeliły dwa samokierowane granaty: przebywszy trójwymiarowy labirynt rur, roztrzaskały wejście do korytarza, gdzie czaił się żołnierz Tyrataków.

Podmuch wybuchu ściał ją z nóg i cisnął o podstawę wymiennika ciepła. Czujnik podczerwieni wykrył niewyraźne poruszenie po drugiej stronie grotu. Zrezygnowała z radaru, który nie spisywał się dobrze pośród tylu urządzeń mechanicznych.

- Są w środku - ostrzegła.

- Oski, Renato, dotnijcie otwór w rurze! - Rozkazał Samuel.

- My się nimi zajmiemy.

Jeden z Tyrataków oddał strzał z armatki i wyrąbał dziurę w boku generatora. Monica sięgnęła po wyrzutnik i wystrzeliła dwa inteligentne pociski. Samuel skakał jak kangur po wymienniku ciepła. Samokierowane granaty wylatywały z dozownika i niknęły w dali, aby wysadzić w powietrze wejścia do korytarzy. Trafiły go promienie masera. Monica zemściła się wypuszczeniem dwóch inteligentnych pocisków, gdy jej czujniki metodą triangulacji zlokalizowały wrogów. Eksplozje u wylotów korytarzy wstrząsnęły grotą.

- Rura otwarta - oświadczyła Oski.

- Wchodźcie do środka - rzekł Samuel. - Będziemy was osłaniać.

Monica zanurkowała pod olbrzymią rurę i spojrzała przed siebie z nosem przy ziemi. Dostrzegła dolną część czterech nogawek gorącego skafandra Tyrataka, nad nią zaś lśniąca, zwinięta spirala. Pocięła nogi laserem, który nie miał żadnego problemu z materiałem skafandra. Bryznęły kawałki dziwnego, fioletowego żeluz; trzęsły się jak galareta i rozmywały na podłodze i maszynierii. Tyratak zatoczył się i upadł. Monica rozplatała mu bok. Żel trysnął istną fontanną, a potem ciało uległo gwałtownej dekompresji.

Plecak manewrowy Oski włączył się z całą mocą i wywindował ją ku sklepieniu grotu. Żeby stłumić uczucie strachu, uruchomiła w trybie nadrzędności wszystkie programy uspokajające, jakie tylko miała. Programy chyba zrobiły swoje, bo cieszyła się w duchu, że tak beztrudnie znosi fakt, iż do niej strzelają. Program naprowadzający sterował lotem, kiedy w gmatwaninie poskręcanych rur wznosiła się wyżej i wyżej. Minęła dwumetrowy kawałek rury o zaróżowionych brzegach, który fikał koziółki w powietrzu.

Po nogach przejechała jej wiązka masera. W odpowiedzi program taktyczny odpalił

samokierowany granat. Całą uwagę koncentrowała na locie i szerokiej dziurze, wyciętej przez nich w rurze. Śmignęła tak blisko krawędzi, że zaczepiła o nią ramieniem i podrapała osłonę ręki. Znalazła się wewnątrz. Na ludzkie zmysły nie mogła tu liczyć - jedynie na radar, który pokazywał pusty, prosty jak strzała tunel, zakończony prawie trzysta metrów nad nią. W miarę jak słabła siła grawitacji, dysze plecaka manewrowego produkowały mniejszą siłę odrzutu. Nie frunęła już na złamanie karku. Poniżej do rury wśliznął się drugi opancerzony skafander.

- Jakby nas sam diabeł gonił! - Stwierdził datawizyjnie Renato.

Etchells nie miał pojęcia, że "Oenone" zamierza się oddalić od księżyców. Załoga wciąż doprowadzała go do szału swoimi obietnicami i propagandowymi sloganami, gdy raptem to się stało. Skok jastrzębia wyczuł jednak doskonale, bo objawił się głębokim rozdarciem w jednorodnym polu dystorsyjnym.

- Co robicie? - Spytał. Statki Tyrataków zbliżyłyby się do nich dopiero za kilka godzin.

Odlatujemy - odparł Ruben. - Tobie też radzę wracać do domu. Przemysł na spokojnie, cośmy ci mówili.

Nastąpiła króciutka przerwa w afinicznym kontakcie. Etchells zapamiętał ilość energii, jaką zużytkował "Oenone", żeby otworzyć wlot tunelu czasoprzestrzennego. Ustalił współrzędne terminala. Wrócili do tej przeklętej arki kosmicznej!

- Po co tu przylecieliście? - Indagował. - Co w tym statku jest takiego niezwykłego?

- Jeśli pomożesz nam rozwiązać kryzys, poznasz odpowiedzi na wszystkie pytania - odpowiedziała Serina.

- W dupie mam waszą zasraną demagogię! - Przepuścił energię przez komórki modelujące z nieprzyjemną świadomością tego, ile jej zmarnował na opędzanie się od kosmicznego rumoszu w punkcie libracyjnym. Wskoczył do otwartego tunelu i zaraz zjawił się ponownie w świecie materialnym, oddalony od arki o dwadzieścia kilometrów.

"Oenone" gruntownie badał starożytną arkę polem dystorsyjnym, czego Etchells nijak nie mógł pojąć. Wielki statek Tyrataków uruchomił zapasowe silniki, odsuwając się od Tandzurika-RI. Etchellsowi nie uśmiechała się potyczka z ksenobiontami, zwłaszcza że spodziewał się jakiejś sztuczki ze strony edenistów.

"Oenone" wykonywał następny manewr skoku.

- Nie zwiejesz mi - powiedział Etchells.

- Tak myślisz? - Odpowiedziała lodowato Syrinx z poczuciem wyższości. - No to leć z nami.

Etchells obliczył terminal jastrzębia. Współrzędne wydały mu się pomyłką. Skakali do wnętrza arki! Były tam komory, wyczuwał je. Mikroskopijne pęcherze w litej skale.

Stchórzył. W grę wchodziła precyzja, o jakiej mu się nie śniło.

Statek Tyrataków wynurzył się zza zasłony arki i wystrzelił w jego stronę piętnaście os bojowych. Etchells uciekł w pośpiechu.

\*

Grota na poziomie pierwszym wypełniła się w ciszy jasnym światłem, wydobywającym z mroku panoramę zamarzniętej wody. Fale i zmarszczki zastygły tu w pół ruchu, ograbione zarówno z kolorów, jak i z ciepła. Co innego endokarpy: płaskie skalne klify obrzeżone metalowymi półkami tuż nad lodową powierzchnią. Nad jednym z nich promieniał drobny punkcik o wyższej temperaturze, pięć postaci w opancerzonych skafandrach kierowało wzrok w stronę rosnącego źródła światła. Szczeliną tunelu czasoprzestrzennego przedostał się porwany blask gwiazd, rozpraszający się na wszystkie strony. Nic innego nie wskazywało na powstanie terminalu.

Gasnące światło, padające na niebieski, marmurkowy kadłub Oenone", połyskiwało na

toroidzie załogi. Olbrzymi jastrząb zatoczył łuk nad okrągłym jeziorem i zbliżył się do ekspedycji badawczej, omijając z gracją stare, nadwerężone krokwie.

- Nawet nie wiesz, jak miło cię widzieć. - Wypowiedź Samuela tchnęła ulgą i wdzięcznością.

- Was również - odparł "Oenone". - Wiedziałem, że dam radę.

Etchells pogodził się z porażką. Na razie przestał się zastanawiać, dlaczego przyleciały tutaj dwa statki. "Oenone" przebywał w arce niecałe pięć minut, zanim stamtąd wyskoczył. Terminal tunelu czasoprzestrzennego otworzył się w pobliżu planety drugiej od Słońca. Statek adamistów też tam skoczył.

Etchells zbliżył się do nich na bezpieczną odległość i patrzył, jak statek adamistów obiega planetę po mocno zakrzywionej trajektorii i w końcu skacze. Próbował go śledzić, lecz statek wykonał chyba skok sekwencyjny, bo nie było go nigdzie w okolicy wynurzenia.

Komórki modelowania energii piekielnego jastrzębia były bliskie wyczerpania, rezerwy płynów odżywczych szybko się kurczyły, toteż udał się w długą, samotną podróż do Nowej Kalifornii. Niech Kiera i Capone głowią się, o co w tym wszystkim chodzi.



Świeczki o kształcie liści lilii wodnych, rozkołysane na wodzie, nie dotykały dwóch osób odpoczywających w wannie. Niektóre upaprały się bąbelkami piany pachnącej jabłkami; knoty syczały, gdy płomyki próbowały uratować się od zgaśnięcia. Na marmurowym obrzeżu mdłym ogniem pełgały większe świece - wysokie na pół metra, zwały się z podłożem obfitymi strumieniami wosku. Były jedynym źródłem światła w zapuszczonej łazience, dlatego ich wąty, żółty blask nadawał wnętrzu stosownie upiorny charakter.

Przez długie lata usytuowany w centrum Edmonton pięciogwiazdkowy hotel Chatsworth cieszył się znakomitą renomą, lubili tu zajeżdzać ludzie sławni i bogaci. Wszelako częste zmiany właścicieli i kierownictwa, jakie zaszły w ciągu ostatnich dwóch dekad, doprowadziły hotel niemalże do ruiny - przede wszystkim dlatego, że zamiast przeznaczać część wpływów na utrzymanie jakości usług, śrubowano wysokość dywidend akcjonariuszy. W końcu hotel zarabiał na sobie już tylko swoją marką, choć w ten sposób nie mógł długo pociągnąć. Teraz był zamknięty dla gości, oczekiwał na należyty remont i ponowny rozruch. Jednakże robotnicy z mechanoidami nie zaczęli nawet wnosić starych sprzętów, kiedy w serwisach informacyjnych gruchnęła wiadomość o utarczkach z opętanymi w Nowym Jorku. Na całej Ziemi wstrzymywano długoterminowe projekty inwestycyjne, bankierzy i biznesmeni czekali na rozwój wypadków. To samo właściciele Chatsworth.

Quinn cicho i bez problemu przejął hotel, w którym założył swoją bazę. Trzej dozorczy pozostawieni do opieki nad hotelem zostali opętani, a łączność ze światem zewnętrznym - prąd, woda, klimatyzacja, dane - zerwana. Wiedział, że policja i rządowe służby bezpieczeństwa, szukając opętanych, tropią elektroniczne usterki, lecz ci mogliby wpaść tylko wtedy, gdyby przebywali w pobliżu urządzeń sterowanych procesorem. Dlatego zarówno jemu, jak i jego lojalnym towarzyszom wystarczała woda z hotelowych zbiorników, gotowanie na sprzęcie obozowym w jednej z luksusowych sal konferencyjnych i palenie świec. Wodę w łazience podgrzewali energistyczną mocą. Mydło i olejki pochodziły z kradzieży w pobliskim hipermarkecie. Wódka również.

Quinn sięgnął po butelkę Norfolkskich Łez, schłodzoną w stojącym między świecami wiaderku z lodem. Ciemnym trunkiem polał błyszczące piersi Courtney. Gdy sutki stwardniały z zimna, zachichotała i gibkim ruchem wynurzyła się do połowy z wody. Na złocistej skórze widoczne były sińce i ślady zębów, świadczące o preferencjach Quinna. Nie miała nic przeciwko seksualnym doznaniom, jakich jej dostarczał. Wydawały jej się ciekawe; dzięki swojej czarnej magii był zdolny do rzeczy niezwykłych. Nie uciekała więc przed jego brutalnymi zapędami, co było kolejnym świadectwem jego wszechmocy. Nie martwił się już o to, że ktoś go przyłapie na gorącym uczynku i podda karze. Teraz on ustalał zasady. Zresztą nie zadawał bólu zbyt silnego czy długotrwałego. Nie musiał jej katować, żeby zmusić ją do uległości. Wiedział, że jest oddana ciałem i duszą zarówno jemu, jak i sprawie. Nawet jej to sprawiało frajdę. Obcując z wężową bestią w jej mrocznym siedlisku, wreszcie osiągnęła coś wartościowego, jej życie nabrało blasku i kolorów. Ciuchy, fleksy AV - miała wszystko, co chciała. I nie musiała już znosić wyzwisk i obelg, będących chlebem powszednim dziwek na usługach sekty.

Quinn odrzucił butelkę i zaczął zlizywać z jej ciała kosztowny trunek.

- Po prostu zajebicie! - Oświadczył. - To prawda, co mówią: źli ludzie mają to, co najlepsze. Odjechane ciuchy, ekskluzywne laski, najnowsze dragi, ubaw na imprezach, seks bez ograniczeń. Życ, kurwa, nie umierać!

- Jesteśmy złymi ludźmi? - Spytała zmieszana. - Myślałam, że rozwalamy świat, bo tak trzeba.

Wstał, zalewając pianą pływające świece. Jego wzwidziony członek przeżył się niczym miecz nad uniesioną twarzą dziewczyny.

- Jesteśmy źli i jesteśmy dobrzy, uwierz mi na słowo.

Jej wątpliwości znikły. Znów się uśmiechała z dziewczęcą wesołością.

- Wierzę w ciebie. - Objęła jego jądra, lekko je ścisnęła, jak ą wcześniej nauczył, i zaczęła lizać pałę.

- Kiedy skończę cię rznąć, wpadnę do Banneth i zabiję następnego delikwenta. Tym razem zrobię to na jej oczach. Niech się przekona, jaka jest bezsilna.

- Zupełnie tego nie kapuję. - Odsunęła się i spojrzała na niego z zaciekawieniem. - Czemu po prostu nie schwytasz jej i nie weźmiesz na tortury? Przecież cię nie powstrzyma.

- Bo dokładnie to samo robiła ze mną. Z nami wszystkimi. Napędza frajerom stracha, to ją kręci. W tym swoim apartamencie takie robi ludziom jebane kuku, że szczają w gacie, jakby ich nadziewała na stalowego kutasa. Dlatego każdy myśli, jak jej się przypodobać, żeby nie zrobiła mu nic złego, choć wie, że też skończy pod nożem na jej stole. Możesz się tylko modlić do Bożego Brata, żeby zmajstrowała ci ulepszenie, kiedy przyjdzie twoja kolej. Na ból nie ma rady, z tym się musisz pogodzić. Dostaniesz od Banneth swój pieprzony przydział.

- A, to taką masz taktykę - powiedziała zadowolona z siebie. - Prześladujesz ją.

- Owszem, to część planu. Za każdym razem, kiedy wybiorę się, żeby zabić członka sekty, jej autorytet trochę podupadnie. Banneth, której tak się boją, codziennie maleje w ich oczach. Nawet skończone matole rozumieją że osoba, której dawniej nikt nie podskoczył, jest całkowicie bezradna wobec nadejścia nocy. Chcę żeby siedziała na dupie i patrzyła, jak cała ta zgraja w siedzibie sekty dostaje świra i spyla, gdzie pieprz rośnie. Babochłop poczuje wreszcie to, cośmy wszyscy czuli. Że jest zerem, a władza, do której dochodziła czort wie ile lat, stała się gównem warta. Jeden głupi żart, a ludzie srali ze strachu. Jeden żart, do cholery! Dasz wiarę - Taka była silna. Teraz zrozumie, jak się z nią zabawiam. I że nie wymknie mi się, kiedy zapukam do drzwi. W końcu to ja jestem górą, kontroluję sytuację. Jej życie wywróci się do góry nogami, dostanie pierdolca. Bawi mnie to prawie tak bardzo jak myśl o bólu, który jej zadam.

Courtney potarła policzkiem o jego członka z przymkniętymi oczami, pełna podziwu.

- Chciałabym to zobaczyć.

- Zobaczysz. - Kiwnął głową, podciągnął ją do góry i przygwoździł do ściany z rękami nad głową. Napierał na dziewczynę z barbarzyńską gwałtownością; mięśnie wzmocnione energistyczną mocą z łatwością pokonywały wszelki opór, gdy wbijał się w nią bez litości. Wyobrażał sobie, że to Banneth, co jeszcze potęgowało przyjemność. W połowie dzieła, kiedy zbliżał się do orgazmu, do drzwi nieśmiało zapukał Billy-Joe.

- Tylko mi tu wleź, zasrańcu! - Wrzasnął Quinn. - Zaczekaj! Patrz na nas!

Billy-Joe zrobił, co mu kazano. Choć nie podchodził za blisko. Stał w bezruchu, lecz z roziskrzonym wzrokiem śledził konwulsje dziewczyny. Quinn skończył i ją puścił. Osunęła się, rozedrgana, z plecami niezgrabnie wspartymi o ścianę. Ostrożnie dotykała ciała w miejscach, gdzie pojawiły się świeże sińce.

- Czego chcesz? - Spytał Quinn.

- Przyszedł taki jeden opętany, żeby się z tobą spotkać - odparł Billy-Joe. - Z tych nowych, z sekty w Lacombe. Mówi, że musi się z tobą rozmówić, że to pilna sprawa.

- Cholera! - Quinn wyschnął w okamgnieniu, zmateriałizował się na nim habit. - Hej, mam cię podleczyć?

- Nie trzeba, Quinn - odpowiedziała Courtney. - Znajdzie się jakiś krem... Nic mi nie będzie.

- Oby to, kurwa, było coś ważnego! - Warknął Quinn. - Tyle razy powtarzałem, kretyni, żebyście się nie szwendali po arkologii. Pchacie się w łapy policji!

- Uważałem - odparł opętany.

Miał na imię Duffy. Przywłaszczył sobie ciało magusa w siedzibie sekty w Lacombe. W odróżnieniu od niego wiernie służył Bożemu Bratu. Dowodząc siedzibą sekty, zorganizował kilka udanych akcji dywersyjnych na terenie Edmonton.

Quinn usiadł w salonie na jednym z wyświeconych foteli skórzanych i objął myślami okolice hotelu Chatsworth. Kwatera Banneth znajdowała się ledwie dwie przecznice dalej, co dawało mu szerokie pole manewru.

Nie wykrył w pobliżu podejrzanych umysłów. Jeśli Duffy'ego zauważono i śledzono, policja musiała trzymać się z daleka. Quinn miał ochotę podejść do okna, odchylić sfatygowaną zasłonę i zerknąć na ulicę.

- Dobra, nie zajebałeś na całej linii. Co jest grane?

- Tego magusa, Vientusa, ostro przyciskam, wiesz? To nie jest prawdziwy magus. Nie wierzy w Bożego Brata.

- Też mi nowina. Te gnoje nigdy nie służyły mu szczerze.

Duffy, wystraszony, nerwowo poruszał palcami. Nikomu nie uśmiechało się naprzykrzać Quinnowi, choć chciałoby się powiedzieć: Stul pysk i słuchaj! Przychodził jednak ze sprawą niecierpiącą zwłoki.

- W porządku - mruknął Quinn. - Gadaj.

- On przez wiele lat donosił tajnej policji. Co wieczór wysyłał do jakiegoś pełnomocnika raport na temat tego, co się dzieje w sekcji i o czym mówi ulica.

- Niemożliwe - rzekł Quinn bez zastanowienia. - Gdyby gliny miały takie informacje, wzięłyby szturmem siedzibę sekty.

- Wątpię, Quinn, żeby ten pełnomocnik służył w zwykłej policji. Przynajmniej nie takiej, która kojarzy się z posterunkami. Vientus nigdy się z nim nie spotkał, po prostu datawizyjnie wysyłał raport pod wskazany e-adres. To jeszcze nie koniec. Czasem dostawał polecenie, żeby namierzyć konkretnych ludzi, miejscowych biznesmenów albo budynki, które traktowano później bombą zapalającą. I gadali o tym, co robią inne gangi i czy trzeba je trochę przerzedzić. Wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Zupełnie jakby siedzibą sekty kierował pełnomocnik, nie Vientus.

- Coś jeszcze? - Quinn słuchał tego jednym uchem. Rozmyślał nad konsekwencjami, którym towarzyszyło rosnące uczucie niepokoju.

- Ten pełnomocnik musi mieć nieliczne chody na policji. Nieraz Vientus wyciągał z mamra członków sekty. Wystarczyło, że poprosił pełnomocnika, a raz-dwa ich wypuszczano. Niska kaucja, prace społeczne, takie tam pierdoły.

- Kapuję. - Quinnowi nasuwały się bardzo gorzkie wspomnienia. Jak całymi dniami czekał w Gmachu Sprawiedliwości w Edmonton z coraz słabszą nadzieją, że Banneth go uratuje. Robiła sobie kpiny z prawa, jakby każdy sędzia był jej winny przysługę. Podejrzani o morderstwo w ciągu godziny dostawali zwolnienie warunkowe. Dealerów środków stymulujących skazywano na areszt domowy.

- No i... - Duffy pocił się ze strachu. - No i jeszcze jedno. Pełnomocnik kazał Vientusowi rozglądać się za tobą.

- Za mną? Podał mu moje nazwisko?

- Tak. Z plikiem wizualnym i całą resztą. Pełnomocnik powiedział, że z pomocą opętanych przejmujesz siedzibę sekty i że prawdopodobnie spróbujesz zabić Banneth.

- Jasna cholera! - Quinn wstał i rzucił się do wyjścia. W połowie drogi przeniósł się do królestwa duchów, nawet nie zwolnił przed zamkniętymi drzwiami.

\*

O 2:30 czasu miejscowego w arkologii panowała głęboka cisza. Wężę solarne rozpięte pod estakadami łączącymi wieżowce na przedmieściach Edmonton rzucały mętny blask na wymarłe ulice. Frontony sklepów na parterze tonęły w świetle hologramowych reklam; atrakcyjne modelki błyszczały kusicielsko na tle pięknych, baśniowych światów. Armia miejskich mechanoidów rozłaziła się po chodnikach, żeby spryskiwać detergentami tłuste plamy i pożerać opakowania po jedzeniu z fast foodów. Jedyne przechodnie, których musiały unikać, były ćpuny wyrzucone z klubów przez bramkarzy i młode pary zakochanych, wracające do domu romantycznym spacerkiem.

Quinn przyjął na ulicy wygląd Erharda. Co prawda nie przedzierzgnął się w sobowtóra ducha niedorajdy, lecz upodobił się do niego pod wieloma względami. Na tyle dobrze, by zmylić szukające Quinna Dextera programy rozpoznawania twarzy, które badały przechodniów za pośrednictwem systemu ulicznego monitoringu. W odległości przecznicy od hotelu Chatsworth zatrzymał się przed postojem taksówek. Obniżyła się barierka i z podziemnego garażu wyjechał srebrzysty, opływowy Perseus. Otworzyły się drzwi.

Quinn jedną ręką zapiął pas bezpieczeństwa, drugą wklepał cel podróży na kolumnie sterującej. Kiedy przelał wyświetloną kwotę z dysku płatniczego - trzymając na wodzy energistyczną moc - mała taksówka wyskoczyła na jezdnię.

Wszystko układało się w jedną zatrzważającą całość. Przypomniawszy sobie wielkiego magusa w Nowym Jorku; pewnie dlatego się zabił, żeby po opętaniu niczego nie wyjawić. Dawno temu w Edmonton, kiedy Quinn był młodszym akolitą, każdy w szeregach sekty musiał powtarzać porządkowemu akolicie wszystkie pierdoły zasłyszane na ulicy. Dzień w dzień to samo. Porządkowi składali meldunki starszym akolitom, a ci z kolei informowali Banneth. Była to nie podlegająca dyskusji tradycja, zaszczerpiona Quinnowi wraz z wieloma innymi już w chwili inicjacji. Dobry wywiad stanowi o zwycięstwie. Musimy wiedzieć, co robią gangi, co robią patrole policji, co się dzieje w sąsiedztwie. W każdej siedzibie sekty w każdej arkologii wyglądało to identycznie. Sekta dowiadywała się o wszystkich szemranych interesach w śródmieściach miast na planecie.

- Wspaniale! - Krzyknął Quinn i rąbnął pięścią w skraj fotela. - Zaraz mnie rozpiardoli! - Taksówka zaczynała wspinać się na nadziemną ekspresówkę. Pionowe linie zaciemnionych okien coraz szybciej migały za szybą, potem przekrzywiły się i zlały w niewyraźną smugę. Przez jego świadomość przewijały się tysiące uspionych umysłów. Spokojnych i odprężonych. I takie być powinny, a nawet musiały.

Arkologie mieszczące pół miliarda ludzi ściśniętych na powierzchni dwustu kilometrów kwadratowych były społecznymi bombami, wykroczeniem przeciwko ludzkiej naturze. Społeczeństwa chcące funkcjonować w tych warunkach podporządkowywały się całkowitej, bezwzględnej dyktaturze. W gąszczu koncesji i uregulowań duszono wszelkie oznaki buntu i niezadowolenia. Anarchiści i lewicowcy nie mieli racji bytu, ponieważ arkologie były maszynami, które musiały pracować bezawaryjnie i według ustalonych kryteriów. Wszystko się zająbiało. Gdyby nawalił jeden element, szwankowałyby inne. Nie można było na to pozwolić. Wynikał z tego pewien paradoks, albowiem nie da się w nieskończoność trzymać ludzi pod butem. Dyktatura w swej najłagodniejszej formie też nie gwarantowała, że nie narodzi się kiedyś pokolenie rewolucji. Dlatego właśnie ktoś przed wiekami wykombinował, jak przykręcić śrubę, żeby już nikt jej nie ruszył. Wykorzystał pomysł stary, lecz nigdy nie wcielony w życie. Do teraz. Pomysł polegał na utworzeniu komórki rządowej, która po cichu, tajnymi sposobami, przejmie kontrolę nad popłuczynami

społeczeństwa. Tak żeby przestępcy, buntownicy i ekstremiści służyli de facto ludziom, którym zagrażali.

Quinn czuł, jak burzy się w nim energistyczna moc. W jego głowie kotłowały się wściekłe myśli, z ledwością nad sobą panował.

- Muszę się powstrzymać - syknął przez zaciśnięte zęby. Jeden błąd i będą mnie mieli. - Muszę! - Zaczął okładać się pięściami po skroniach, aż zreflektował się, że zachowuje się jak dureń, i wreszcie wziął się w garść. Odetchnął głęboko i wyjrzał przez okno taksówki. Mapa przedmieść była wyryta głęboko w jego pamięci, choć rzadko miał okazję przyglądać się im z perspektywy podniebnej estakady, a tym bardziej z taksówki. Niebawem samochód zjedzie z ekspresówki w stronę dworca Macmillan. Jeszcze kilka minut.

Wyrównał oddech, chociaż nie ochłonął z gniewu. Sektę - i jej niezwykle nauki, za które był gotów oddać życie - wykorzystywała do swoich celów nieznana supertajna agencja. Nic dziwnego, że Vientus i Banneth mogli załatwić na policji zwolnienie dla akolity. Sami byli zasraną policją! Każdego potencjalnego kryminalistę Wciągnano do sekty. A jeśli nie dało się go zmusić do ślepego posłuszeństwa i w ten sposób wyeliminować z gry, zabierały się za niego gliny i dostawał wyrok zsyłki.

- Jak ja - wyszeptał z dumą. - Banneth nie mogła mnie złamać mimo tych pieprzonych tortur. Nie dała mi rady!

A zatem policja dostała cynk o układach do sekwestracji osobowości - choć w paczce pewnie żadnych nie było - które jakoby wwoził do arkologii. Zawsze się zastanawiał, kto ich naprowadził, kto spośród jego współwyznawców był zdrajcą.

Banneth. Zawsze ta przeklęta Banneth!

Taksówka zatrzymała się przed jednym z setek wjazdów na teren stacji. W tym momencie Quinn zdał sobie sprawę, że siedzi w gównie po uszy. Wygramolił się z auta i wolnym krokiem wszedł do głównej hali.

Olbrzymia arena formalnej miejskiej architektury była prawie tak samo wyludniona jak ulice na zewnątrz. I żadnych przyjazdów, żadnych strumieni pasażerów wbiegających na ruchome schody w szaleńczym pośpiechu. W powietrzu unosiły się nieruchome wywieszki informacyjne z pustymi polami. Sprzedawcy pozakrywali i opuścili stoiska. Gdzieś pod holoe ekranami, ściskając w rękach walizki, stali w grupkach zaniepokojeni ludzie, wpatrzeni w czerwony napis, powtarzający się jak na równoległych lustrach we wszystkich zakątkach dworca: RUCH pociągów CHWILOWO WSTRZYMANE. Nawet nieliczne duchy, które widział Quinn, snuły się bez celu po swoim uroczysku z minami jeszcze bardziej niż zwykle smętnymi i skołowanymi.

Przy zamkniętym barze sieci Burrow Burger stało kilku policjantów; pili coś z plastikowych kubków i rozmawiali ściszymi głosami. Kiedy do nich podchodził, głośnie echo kroków budziło w nim aż nazbyt żywe wspomnienia. Ta sama hala, te same ciemne mundury policjantów. Wówczas doszło jeszcze głośnie tupotanie, łomot serca w piersiach, wrzaski roztrącanych ludzi, gniewne ostrzeżenia. Potem wycie syren, oślepiające światło. Oraz ból, gdy strzelili do niego z neuroparalizatora.

- Przepraszam, może mi pan powiedzieć, co tu się dzieje? Za pół godziny mam pociąg do San Antonio. - Przywołał na usta niespokojny uśmiech Erharda. Musiała mu się udać ta sztuczka, bo prawie wszyscy policjanci parsknęli szyderczo. Nareszcie niedorobiony akolita oddał Bożemu Bratu wartościową przysługę.

- Starczy sprawdzić biuletyn informacyjny - odpowiedział jeden z nich. - Boże, co za ignorancja!

- Ale... Ja... No... Nie mam neuronowego nanosystemu. Za rok mogę się ubiegać w pracy o pożyczkę.

- No dobrze... Proszę pana. Nastąpił nagły spadek próżni, a w konsekwencji wzrost ciśnienia w tunelach. Firma przewozowa musiała uruchomić dodatkowe uszczelnienia. Robotnicy usuwają awarię. Dzień, góra dwa i będzie po kłopotcie. Proszę się nie martwić.

- Dziękuję.

Quinn wrócił do taksówki. Boży Bracie, ugrzązłem tu na dobre! - Pomyślał. Zapędzili mnie, gnoje, w kozi róg! Jeśli nie dostanę się do innych arkologii, dzieło Pana nie zostanie skończone. Nadejście nocy się opóźni. Nie mogę do tego dopuścić. Rzucają kłody pod nogi Nosicielowi Światła!

To straszne, żył ze złudnym poczuciem bezpieczeństwa. I to kto: on! Ten, który nikomu nie ufał, wszystkich podejrzewał, w końcu wpadł w pułapkę. Ale musieli się go bać, kimkolwiek byli, skoro podejmowali działania zakrojone na tak wielką skalę.

Długo stał przy taksówce, zastanawiając się, dokąd jechać. Nie miał dużego wyboru. Przybył do Edmonton z powodu jednej osoby. I tylko jedna osoba mogła mu powiedzieć, kim naprawdę jest jego wróg.

\*

W tej roli Billy-Joe nie czuł się najpewniej. Trzymał w ręku pistolet laserowy, na lewym ramieniu dźwigał karabinek magnetyczny dużego kalibru z magazynkiem na naboje z pociskiem odłamkowym, na prawym ramieniu torbę pełną granatów burzących, u pasa blok zwiadu elektronicznego i blok deszyfrujący, na czoło zaś nałożył, niczym diadem, wąską opaskę widzenia wszechkierunkowego. Z takim sprzętem mógł rozpętać wojnę. Jego codziennym zajęciem było spuszczenie łomotu klientom Courtney. Rozprawiał się z nimi szybko, bez ceregieli, jeden na jeden. Nie musiał bawić się w pieprzonego komandosa, do którego będą strzelać systemy bezpieczeństwa, jeśli w grupie ktoś da dupy.

Quinn chciał jednak narobić zamieszania w Edmonton, zająć czymś gliniarzy i oderwać ich od spraw na przedmieściach. Dlatego Billy-Joe skradał się nieoświetloną alejką o wpół do piątej nad ranem z dziesięcioma akolitami, którymi w siedzibie sekty dowodził Duffy.

- To tutaj - oświadczył idący na czele opętany. Zatrzymali się przy pustym murze.

Billy-Joe trząsał przed nim portkami może nawet bardziej niż przed Quinnem. Był to jeden z pięciu typków, których Duffy wprowadził do ciał porwanych przechodniów. Wszyscy mieszkali w siedzibie sekty, gdzie traktowali akolitów z buta i kazali sobie usługiwać. Filarem planu Quinna miała być "armia nocy", ale te jego obietnice nadejścia ciemności jakoś nie przekonywały Billy-Joego. W jego mniemaniu jedna banda debili zastępowała drugą. Sekta nigdy się nie zmieniała; niezależnie od tego, kto nią kierował, on zawsze dostawał wciry.

Opętany położył dłonie na murze i naprężył się, jakby chciał go przewrócić. I pewnie zdołałby to zrobić, nawet bez energistycznej mocy. Był wyższy od Billy-Joego o trzydzieści centymetrów i chyba o połowę cięższy.

W murze zmaterializowały się drewniane drzwi, opatrzone czarnymi, żelaznymi zasuwami i masywną, okrągłą klamką. Kiedy otworzyły się bezszelestnie, na cuchnącą alejkę padł snop jasnego światła. Po drugiej stronie znajdowała się długa hala maszynowa, gdzie potężne korpusy turbin wrastały głęboko w podłogę z betonu węglowego. Billy-Joe spoglądał na nie z wysokości co najmniej sześćdziesięciu metrów, ponieważ drzwi otworzyły się wśród metalowej konstrukcji pod sufitem.

- Włazcie! - Rozkazał opętany. Jego dudniący, basowy głos wypłoszył szczury w ulicze.

- Myślałem, że nie możecie używać swojej mocy - zauważył Billy-Joe. - Gliny są na nią wyczulone.

- Potrafią wykryć jedynie kule ognia - odparł swobodnie opętany. - Słuchaj no, chłopcze. Quinn chce, żebyście rozpierniczyli stację, wyrażał się dosyć jasno. Jestem tu po to, żeby wam pomóc po cichu wejść do środka. I właśnie zamierzam to zrobić, chyba że wolicie pukać do bramy.

Spośród rozmieszczonych na szczycie muru czujników, pilnujących terenu stacji wodociągowej, trzy usłyszały butną wypowiedź opętanego i przekazały ją zaintrygowanym pełnomocnikom na Amerykę Północną i Europę Zachodnią. Byczek zostawiał za sobą ślad uszkodzonych procesorów, odkąd grupa dywersyjna opuściła siedzibę sekty.

Zawsze czujna jednostka sztucznej inteligencji powiadomiła datawizyjnie Amerykę Północną, gdy tylko potwierdziły się raporty pierwszych dwóch czujników. W ciągu paru sekund wysłano tajną jednostkę specjalną GISD-u w pościg za dywersantami, lecz ślad był tak absurdalnie wyraźny, że Ameryka Północna ostrzegła Europę Zachodnią i poleciła komandosom trzymać się w odległości przecznicy. Obaj pełnomocnicy z biura B7 czekali, żeby zobaczyć, dokąd naprawdę zmierzają wandy.

- Nie mogę pozwolić, żeby zniszczyli stację wodociągową - powiedziała Ameryka Północna. - Chuligani Quinna narozrabiali już tyle, że miasto ciągnie na ostatnich rezerwach.

- Wiem - odparła Europa Zachodnia. - I nasz duży przyjaciel też to musi wiedzieć. Niech snajperzy wezmą na muszkę bydlaków, ale nie wolno im strzelać do opętanego. Jego zachowanie bardzo mnie ciekawi.

- Mnie również. - Ameryka Północna wydała rozkazy komandosom, którzy zaczęli szukać dogodnych pozycji strzeleckich na hali stacji wodociągowej.

Wewnętrzne czujniki pokazywały, jak sabotażyści przenikają do środka przez nowe drzwi, zerkają na boki, patrząc, czy nikt ich nie widzi, a potem skradają się po pomoście z teatralną ostrożnością, graniczącą z przestracaniem. Dziewięciu weszło na halę, gdy raptem opętany niedźwiedzią łapą capnął za ramię Billy-Joego, nim ten postawił stopę na pomoście. Z palców jego drugiej ręki wystrzelił biały ogień, wymierzony w urządzenia stacji. Dwie nieduże kule trafiły skrzynkę elektryczną i wybuchły z głośnym hukem.

- Kurna, co jest!?! - Sapnął Billy-Joe. Szamotał się bezradnie, powstrzymywany przez siłacza, gdy jego koledzy krzyczeli spanikowani. Drzwi zamknęły się z przeraźliwym trzaskiem i znikły. - Ty chuju! - Wrzasnął Billy-Joe. Obrócił pistolet laserowy i z najbliższej odległości strzelił do rozbawionego opętanego, lecz nic mu to nie dało: wysiadła elektronika w pistolecie.

Hala przez chwilę rozbrzmiewała wybuchami, których dźwięku nie tłumili ściany. Pełnomocnicy z niewielkim zainteresowaniem obserwowali poczynania jednostki specjalnej, eliminującej sabotażystów. Z uwagą przysłuchiwali się dramatycznej wymianie słów w ciemnej alejce.

- Zdrajco! - Krzyknął zuchwale Billy-Joe. - Zabiłeś ich, oni tam giną!

Opętany zwiększył uścisk. Billy-Joe oderwał się od ziemi i znalazł się z nim twarzą w twarz.

- Quinn posieka cię na przynętę dla szczurów! - Syknął Billy-Joe wzburzony.

- Darowałem ci życie, żebyś zaniósł mu wiadomość.

- Co!? Jakim...?

Opętany wymierzył mu siarczasty policzek, aż kości zagrzechotały. Billy-Joe ujrzał czerwony błysk przed oczami, jakby ktoś nakierował wiązkę lasera na opaskę widzenia wszechkierunkowego. Jęknął, czując na wargach smak krwi.

- Słuchasz ty mnie? - Spytał cicho opętany.

- Tak - stęknął żałośnie Billy-Joe.

- Powiesz Quinnowi Dexterowi, że nadchodzą przyjaciele Cartera McBride'a. Najpierw pokrzyżujemy jego durnowate plany, potem zapłaci za to, co zrobił. Zrozumiałeś? Przyjaciele Cartera McBride'a.

- Kim jesteś?

- Przecież słyszałeś, czubku! - Billy-Joe, puszczonej, zatoczył się wśród śliskich odpadków i uciekających szcurów. Dostał w dupę tak potężnego kopniaka, że wystrzelił jak z procy w stronę muru. Odbił się i z krzykiem rozmasował piekące pośladki. - A teraz biegiem stąd! - Warknął opętany. - Znikaj, nim gliny ruszą za nami.

- Niech komandosi nie zbliżają się do nich! - Powiedział pełnomocnik na Europę Zachodnią. Chciał krzyczeć z radości, zdumiony nieoczekiwaną nowiną.

- Dziękuję za radę - odrzekła sarkastycznie Europa Zachodnia. - Nie będą interweniować.

- Boże, mamy sprzymierzeńca! Prawdziwego, szczerego sprzymierzeńca! Opętanego, który walczy z Quinem Dexterem.

- Pewnie nie będziemy się nim długo cieszyć.

Rosły opętany pędził, jakby ścigał przerażonego Billy-Joego. Po wyskoczeniu z alejki znaleźli się na rozległej połaci nieużytków, gdzie między spękanymi płytami z betonu węglowego sterczały rzędy metalowych słupów. Był to typowy krajobraz na skraju kopuły, w krainie lichych warsztatów i budynków fabrycznych.

- O co ci chodzi? - Spytała Europa Zachodnia.

- Spryciarz z tego kumpla Cartera McBride'a. Schowa się gdzieś w zapleczu remontowym. - Ameryka Północna przekazała odpowiedni plik.

Neuroikony zbiegały się w umyśle Europy Zachodniej w niewiarygodnie zagmatwany, trójwymiarowy labirynt. Rury, tunele, linie metra, podziemne drogi towarowe, korytarze elektryczne - wszystko to zdawało się zapętlone w tym skrawku kopuły. Był to punkt, w którym zakłady użyteczności publicznej i przedsiębiorstwa transportowe współpracowały ze sobą, żeby zaspokoić podstawowe potrzeby mieszkańców Edmonton - motor napędzający ruch kolejowy i gwarantujący terminowe dostawy do eleganckich galerii handlowych. W promieniu kilometrów od stacji wodociągowej teren był pocięty betonowymi bunkrami i przejściami, tysiącem wejść i dziesiątkiem tysięcy połączeń.

- A nie wszystko zapisano w pliku - powiedziała cierpko Ameryka Północna. - Bóg wie, co jest w tych podziemiach.

Opętany i Billy-Joe zatrzymali się nad olbrzymią metalową klapą prostokątnego wjazdu, porośniętą z brzegu ostami. Klapa dźwignęła się z głośnym chrzęstem rwących się żółtawych korzeni. W czeluść, która otworzyła się pod nimi, zsypały się grudy ziemi. Widać było górne szczeble zardzewiałej drabinki. Billy-Joe zaczął schodzić, zaraz za nim ruszył opętany. Zaledwie głowa skryła się w ciemnościach, opadła klapa. Przez krótką chwilę jej obrzeże żarzyło się fioletowym światłem, jakby zapaliły się neonowe rurki.

- Założę się, że właśnie ją zaspawał - rzekła Ameryka Północna.

- Wyślij tam pędem komandosów - zasugerowała Europa Zachodnia. - Dysponują znaczną siłą ognia, łatwo wybiją sobie otwór.

- Już ich wysłałem.

- Jednostka sztucznej inteligencji może ich tam wytropić?

- Połączyła się ze wszystkimi czujnikami i procesorami w tym labiryncie, ale szyb, którym zeszli, zapewnia dostęp ekipom remontowym do przemysłowego wymiennika ciepła, a ściślej, rury z



chłodziwem. Od pięćdziesięciu lat nikt go nie używał, nie ma tam włączonych urządzeń elektronicznych. Nie wiadomo, gdzie wyjdą.

- Cholera! Nawpuszczaj tam technobiotycznych owadów. Zwołaj wszystkich agentów, niech obstawią wyjścia. Nie możemy pozwolić, żeby nam zwiali.

- Proszę cię, tylko nie rozporządzaj moimi agentami. Mam w tych sprawach pewne doświadczenie.

- Przepraszam - powiedziała Europa Zachodnia. - Kurde, co za pech. Może wreszcie nastąpiłby przełom, na który wszyscy czekamy. Ten opętany usiłuje zlikwidować Quinna Dextera. Musimy się z nim skontaktować.

Komandosi dotarli do wjazdu, szybko wypalili okrągłą dziurę w klapie, a następnie jeden za drugim zeszli po drabince.

- Billy-Joe prawdopodobnie zaprowadzi nas do Dextera - powiedziała Europa Zachodnia. - Tylko trzeba go złapać, kiedy się pokaże.

- Zobaczymy. Postaram się, choć niczego nie obiecuję.

\*

Przeszukiwanie industrialnego labiryntu było żmudnym zadaniem, choć udało się to zrobić na tyle dyskretnie, że media niczego nie zwęszyły. Policjantów odwoływano z rutynowych patroli i wysyłano do pilnowania wyjść. W kanałach i tunelach rozproszyły się roje technobiotycznych pajaków, pszczoł, szczyprawek i karaluchów koordynowanych przez półświadomą technobiotyczną sieć procesorową. Każdy robotnik pracujący w labiryncie w momencie zejścia ze zmiany był przesłuchiwany przez jednostkę sztucznej inteligencji, która przejęła bezpośrednią kontrolę nad mechoidami na służbie działających tu firm, mających teraz pomagać w poszukiwaniach.

Pełnomocnik na Amerykę Północną odkrył kilka narkotykowych melin, tylu wałkoni, że mogliby zasiedlić cały blok mieszkalny, skrytki z bronią wyprodukowaną czasem kilkadziesiąt lat temu i masę nielegalnie wyrzuconych beczek z odpadami toksycznymi, którymi powinny zainteresować się władze. Znajdowano też trupy ludzi niedawno zmarłych i szkielety ogryzione przez szczury.

Po Billy-Joem i przyjacielu Cartera McBride'a ślad zaginął.

- Carter McBride? - Złość Quinna ustąpiła miejsca niedowierzaniu, gdy w końcu przypomniał sobie to nazwisko. - Boży Bracie! Ten opętany na pewno tak powiedział? Nie pomyliło ci się? - Mgliście wspominał twarz Cartera, jednego ze szczeniaków włóczących się po Aberdale. Jak się swego czasu dowiedział, Laton kazał zamordować dzieciaka, żeby wyglądało to na sprawkę skazańców. Mściwi wieśniacy poprzysięgli sobie wybić do nogi towarzyszy Quinna.

- Nie - odparł Billy-Joe. Ręce mu nadal dygotały. Wracając do starego hotelu, bał się, że Quinn zrobi z niego dymiące pieczyste. Nawet się zastanawiał, czyby nie prysnąć. Przez pięć godzin zadreślał się myślą o konsekwencjach, łącząc zafajdanymi korytarzami, pełnymi kurewskich szczurów i innego plugastwa. Spodziewał się, że lada chwila ze ścian wyskoczą gliniarze. I jeszcze go napadnięto, szlag jasny by trafił! Banda nierobów obila go pałkami i zakosiła prawie cały sprzęt. Wołał do nich nie strzelać, żeby gliny nie namierzyły broni.

Upłynęły godziny, nim doczłapał do hotelu. Nie uciekł głównie dlatego, że wierzył w ostateczne zwycięstwo Quinna - że w Edmonton zapanuje szatańska anarchia, podczas której do głosu dojdą opętani członkowie sekty. A kiedy to się stanie, Billy-Joe wpadnie w szpony czarnego mesjasza. Przyjdzie mu się wypowiadać... A potem pokutować. Dlatego wrócił. W ten sposób miał na sumieniu tylko jedno przewinienie.

- Cholera! - Mruknął Quinn. - Znowu on! Jestem tego pewien.

- Kto? - Spytała Courtney.

- Nie wiem. On ciągle... Włazi mi w drogę. Już się pojawił parę razy, żeby mi bruździć. Coś

jeszcze mówił? - Zwrócił się do Billy-Joego.

- Że przeszkodzi ci we wszystkim, co robisz.

- Tak mu się zdaje. Co dalej?

- Zapłacisz za to, co zrobiłeś. On tak powiedział, nie ja. Przysięgam, Quinn.

- Wierzę ci, Billy-Joe. Wiernie służysz Panu. Nikogo nie karzę za lojalność. A więc mówił, że zapłacę. Niby jak?

- Chce cię dorwać, nic więcej nie powiedział.

Quinn zmienił habit tak, że materiał usztywnił się na rękach i nogach.

- Chętnie się z nim zmierzę.

- Co zrobisz, Quinn? - Spytała Courtney.

- Zamknij się. - Energicznym krokiem podszedł do okna i wyjrzał przez szparę w grubych zasłonach. Pięć pięter niżej auta osobowe i ciężarowe łagodnym łukiem skręcały z wiaduktu na ulicę. Pojazdów było mniej niż zwykle, a i tłumy na chodnikach mocno się przerzedziły. Od samego rana, odkąd ludzie dojeżdżający do pracy utknęli na nieprzejezdnych stacjach, w mieście powoli narastała panika. Obecni w arkologii przedstawiciele Rządu Centralnego zapewniali dziennikarzy, że nie ma żadnych opętanych na wolności. Nikt im nie wierzył. Dotychczasowe życie w kopułach uległo rozchwianiu, ale nie w sposób oczekiwany przez Quinna.

To się, kurwa, w pale nie mieści! - Grzmiał w duchu. Supergliny, czy jak ich tam zwać, wiedzą, że tu jestem. Nie przyspieszę nadejścia prawdziwej nocy, jeśli nie ruszą pociągi. Na dodatek niebo wysłało porypanego mściciela, żeby na mnie polował. Boży Bracie, czemu nic mi nie wychodzi? Nawet z Banneth nie mam żadnej pociechy. Kolejna próba, której poddaje mnie Pan. Cóż by innego? Informuje mnie, że do Armagedonu trzeba dojść inną drogą. Że jako mesjasz nie mogę odpoczywać nawet po to, by karmić wężową bestię. Ale kim jest ten jebany przyjaciel Cartera? Jeśli znał chłopca, to chyba mieszkał na Lalonde, najprawdopodobniej w Aberdale. Był jednym z wieśniaków.

Mimo tej konkluzji krąg podejrzanych wcale się nie zmniejszył. W tamtej zawszonej dziurze nienawidzili go dosłownie wszyscy. Próbował się opanować, przypomnieć sobie te kilka słów, które gnój wypowiedział na asteroidzie Jesup, kiedy zakłócił ceremonię ofiarną.

"Pamiętasz ten tekst?" - Szydziła podrabiana twarz Quinna. Tajemniczy nieznajomy był zatem świadkiem obrzędów satanistów. I pochodził z Aberdale.

Przyszła mu do głowy tak radosna myśl, że na jego twarzy wykwitł uśmiech, jaki zwykle zdarzał mu się podczas orgazmu. Odwrócił się od okna.

- Zwołaj ludzi! - Rozkazał jednemu z wystraszonych akolitów. - Chwytny za broń i idziemy na Banneth! Chcę, żeby poszli ze mną wszyscy moi słudzy.

- Jejku, idziemy na nią? - Courtney zapaliła się do jego pomysłu. Oczy jej błyszczały.

- Oczywiście.

- Obiecałeś, że będę mogła popatrzeć.

- Popatrzysz. - Wiedział, że nie ma innego wyjścia. Władze wznowią ruch pociągów dopiero wtedy, gdy dojdą do wniosku, że wszyscy opętani w arkologii zostali wybici. Postanowił skrzyknąć ich do kupy i zrobić im to samo, co przyjaciel Cartera grupie sabotażystów. Potem czas będzie jego największym sprzymierzeńcem. Nawet supergliny nie zdołają miesiącami blokować ruchu na kolei, jeśli minie zagrożenie opętaniami. - Ale najpierw muszę się zająć inną sprawą. - Poleciał Courtney włączyć blok procesorowy i otworzyć kanał łączności z siecią miejską. Stał dwa metry dalej,

obserwując mały ekran nad jej ramieniem, gdy kwestor przeglądał rządowe spisy ludności. Po ośmiu minutach w pamięci bloku uruchomił się żądany plik. Przeczytał informacje i uśmiechnął się zwycięsko. - Ona! - Rzucił blok w stronę Courtney i Billy-Joego, żeby zobaczyli zdjęcie, które znalazł. - Ona jest mi potrzebna. Zejdźcie na dworzec kolejowy i czekajcie. Mam w dupie to, jak długo będziecie tam filować, ale wsiądźcie do pierwszego pociągu, jaki stąd wyruszy, i pojedziecie do Frankfurtu. Znajdziecie ją i przyprowadzicie do mnie, rozumiano? Chcę mieć ją żywą.

Dzwoniono z recepcji, że przyszła przesyłka. Telefon niczym się właściwie nie różnił od czarnego, topornego aparatu, którego używała na Norfolk, choć odzywał się głosem zwykłego dzwonnika, nie zaś donośną melodyjką. Teraz, kiedy już miała neuronowy nanosystem, urządzenie śmieszyło ją swoją archaiczną budową. Być może ludzie, którzy na swojej planecie nie musieli komunikować się wyłącznie za pomocą telefonów, widzieli w nich czarujące bibeloty, antyki podkreślające stylowy charakter wnętrza.

Gdy tylko otworzyły się drzwi windy, Louise rozejrzała się po holu. Była ciekawa, co też jej przysłało. Miała wrażenie, że doszły już paczki ze wszystkich sklepów. Andy Behoo niedbale opierał się o stanowisko recepcyjne, lustrowany przez boya hotelowego podejrzliwym wzrokiem. Na widok Louise raptownie się wyprostował, omal przy tym nie przewracając wazonu z białymi frezjami.

Uśmiechnęła się życzliwie.

- Cześć, Andy.

- Ee... - Podał jej pudełko z fleksem. - Wrócił kwestor Hyperpaedii. Pomyślałem, że dostarczę go osobiście, tak na wszelki wypadek. Wiem, jak ci zależy.

Boy przypatrywał się im z rosnącym zainteresowaniem. Ludzie nieczęsto patrzyli na Andy'ego z tak niekłamną wdzięcznością jak ona.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy wcisnął jej fleks do ręki. - To miło z twojej strony.

- Klient nasz pan. - Uśmiechnął się szeroko, błyskając krzywymi zębami.

Louise nie bardzo wiedziała, co w tej sytuacji powiedzieć.

- Co u ciebie?

- No wiesz, jak zwykle. Ciężka praca za marne pieniądze.

- Świetnie sobie radzisz w sklepie. Bardzo się cieszę, że mi tyle pomogłeś.

Andy'emu nagle brakowało tlenu. Zjechała na dół sama. A to oznaczało, że jej narzeczony jeszcze się nie zjawił.

- Ee, Louise...

- Tak?

Jej łagodny uśmiech pobudzał ośrodki szczęścia w jego mózgu i psuł koncentrację. Wiedział, że robi z siebie idiotę.

- Tak się zastanawiałem. Jeśli nie masz nic w planach, wiadomo. Wiesz, jeśli masz, to zrozumieć... Ale pomyślałem, no wiesz, jesteś w Londynie od niedawna, nie miałaś kiedy obejrzeć miasta. No więc jeśli chcesz, zabiorę cię na kolację. Dziś wieczór. Będzie mi miło.

- O, to mnie zaskoczyłeś. A dokąd pójdziemy?

Nie powiedziała "nie"! Andy wpatrywał się w nią cielecym spojrzeniem. Najpiękniejsza, najseksowniejsza i najelegantsza dziewczyna we wszechświecie nie powiedziała "nie", kiedy zaprosił ją na randkę.

- Ee... Co?

- Dokąd chcesz pójść na kolację?

- No, myślałem o Lake Isle. To niedaleko stąd, w Covent Garden. - Poprosił Liscard, żeby zapłaciła mu za dwa tygodnie z góry, co też zrobiła, z tym że miał później oddać cztery procent odsetek. Dzięki temu mógł sobie raz zaszaleć w drogiej restauracji. Tak mu się przynajmniej wydawało. Rezerwacja stolika kosztowała o wiele więcej, niż się spodziewał, na domiar złego zaliczka nie podlegała zwrotowi. Inni wciskacze doradzali mu jednak, że dziewczynę tej klasy co Louise powinno się zabrać do Lake Isle.

- Brzmi zachęcająco - powiedziała. - O której godzinie?

- O siódmej, jeśli ci pasuje.

- Jasne. - Pocałowała go lekko w policzek. - Będę tu czekała.

Andy odprowadził ją do czekającej windy. Kiedy rezerwował stolik, datawizyjnie wspomniano o przepisowych strojach. Zostały mu niespełna dwie i pół godziny na skombinowanie smokingu. Czystego i dobrze na nim leżącego. Nie zniechęcał się. Człowiek, któremu udało się umówić z Louise Kavanagh, był w stanie dokonać wszystkiego.

Louise wcisnęła guzik z oznaczeniem piętra.

- Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli wezmę Genevieve, prawda? Obawiam się, że nie mogę jej tu zostawić samej.

- Ee... - Z nirwany do piekła w pół sekundy. - Niech przyjdzie, czemu nie...

- Nie chcę z nim spędzać wieczoru, on jest jakiś dziwny. I podobasz mu się. Aż ciarki po mnie przechodzą.

- Oczywiście, że mu się podobam - odparła Louise z promiennym uśmiechem. - Inaczej nie zaprosiłby mnie na kolację.

- Ale on ci się nie podoba, co? - Spytała Genevieve, mocno wstrząśnięta. - Louise, to byłoby ohydne.

Louise otworzyła szafę i zaczęła przebierać w sukienkach kupionych podczas wypraw na zakupy.

- Nie, nie podoba mi się. Ale nie jest dziwakiem. Jest zupełnie niegroźny.

- Czegoś tu nie rozumiem. Skoro ci się nie podoba, czemu się zgodziłaś? Możemy same pójść do restauracji. Proszę cię, Louise, Londyn nie jest taki niebezpieczny, jak mówił tata. Fajnie tu. Nie można się nudzić. Przejdźmy się na przedstawienie na West Endzie. Sprzedają bilety w recepcji, sprawdzałam.

Louise westchnęła i usiadła na łóżku. Gdy poklepała materac, Genevieve przysiadła się do niej z teatralnym ociąganiem.

- Jeśli naprawdę, ale tak naprawdę nie chcesz iść ze mną i z Andym, odwołam kolację.

- Mam nadzieję, że nie będziesz się z nim całować?

- Nie! - Louise parsknęła śmiechem. - Ty diabełku! Jak możesz mówić takie rzeczy?

- To po co tam idziesz?

Louise odgarnęła z czoła siostry ciemne włosy, które za sprawą fjeksytyw zafalowały nad uszami.

- Ponieważ nigdy żaden chłopiec nie zaprosił mnie na kolację powiedziała cicho. - A zwłaszcza do wytwornej restauracji, w której mogę powalać wyglądem. Pewnie nie nadarzy się druga taka okazja. Nawet Joshua nigdzie mnie nie zaprosił. Oczywiście, nie mógł. W Cricklade nie przeszedłby taki numer.

- On jest ojcem dziecka?

- Tak. Ojcem jest Joshua.

Gen się rozpromieniła.

- W takim razie będzie moim szwagrem.

- Na to wychodzi.

- Lubię Joshuę. Byłoby fantastycznie, gdyby zamieszkał z nami w Cricklade. Jest taki fajny, można się z nim pośmiać.

- Nawet bardzo fajny. - Zamknęła oczy, wspominając pieszczotę jego rąk, zwinnych i gorących. Tak dawno go nie widziała. Ale obiecał...

- To co mam powiedzieć Andy'emu Behoo? Idziemy czy zostajemy na noc w hotelu?

- A mogę włożyć odświętą sukienkę? - Spytała Genevieve.

\*

Podczas sensorywizyjnej konferencji członków biura B7 nad wirtualnym stołem rozgrywała się scena nieudanej napaści dywersantów na stację wodociągową w Edmonton. Obraz nie był najlepszy, Ponieważ czujniki zamontowane na terenie stacji odbiegały jakością od modeli komercyjnych, lecz dwie klójące się, człekokształtne postacie zachowały dość szczegółów i kolorów, żeby je swobodnie odróżnić. Opętany olbrzym oderwał Billy-Joego kilkanaście centymetrów od ziemi. Właściwie stykali się nosami. Potem Billy-Joe oberwał w twarz, padły kolejne słowa. Obaj pobiegli śmierzącą alejką.

- Chyba wiemy, kim jest Carter McBride - oznajmiła Europa Zachodnia pozostałym pełnomocnikom, kiedy zakończyło się nagranie. - Jednostka sztucznej inteligencji znalazła kilka wzmianek. Był dzieckiem kolonistów lecących na Lalonde tym samym statkiem co Quinn Dexter. W dokumentach Towarzystwa Rozwoju Lalonde zapisano, że McBride'owie mieszkali w tej samej wsi, w której odbywał karę Dexter.

- Przyjaciel Cartera McBride'a - dumiała Afryka Południowa. - Czyżby nasz nowy opętany był kiedyś na Lalonde?

- Owszem - odpowiedziała Europa Zachodnia. - O zamieszkach w hrabstwach nad Quallheimem na początku mówiono, że zaczęły się od buntu skazańców, a poszło o zamordowanie jakiegoś chłopca. Wniosek sam się nasuwa: to musiał być Carter. Wobec tego opętany, który wpuścił w maliny dywersantów w Edmonton, umarł na Lalonde mniej więcej w tamtym czasie.

- Sugerujesz, że chce się zemścić na Quinnie Dexterze?

- Dokładnie - rzekła Ameryka Północna. - Mamy nowego sojusznika.

- Pieprzenie! - Odezwał się ostro Pacyfik Południowy. - Nawet jeśli opętani przytykają się między sobą, nie oznacza to wcale, że niektórzy są do nas przyjaźnie nastawieni. Przypuśćmy, że ten nowy opętany wyeliminuje z gry Dextera. Myślicie, że podziękujemy mu, a on zniknie? Wątpię. Zresztą nie jesteśmy z nim w kontakcie. Uciekł wam, on i ten wykolejeniec z sekty. Co za amatorszczyzna.

- Ciekawe, czy tobie poszłoby lepiej w tym cholernym labiryncie - burknęła Ameryka Północna.

- Wypadki potoczyły się bardzo szybko. Uważam, że w tej sytuacji zrobiono wszystko jak należy - stwierdziła Europa Zachodnia. - Przy okazji ujawniają się nowe okoliczności, skłaniające do głębszego zastanowienia.

- Mianowicie jakie? - Zapytał Pacyfik Północny.

- Podejrzewam, że Dexter będzie musiał odłożyć na później swoje plany. Niestety, ten młodociany kretyn Billy-Joe wymknął się nam, dlatego musimy założyć, że spotkał się z Dexterem i przekazał mu wiadomość. Innymi słowy, Dexter wie, że tropi go opętany i że po fiasku akcji dywersyjnej władze zdają sobie sprawę z obecności opętanych w Edmonton. Jeśli słusznie się domyślamy, że przyleciał po to, by w jak największym stopniu zniszczyć planetę, odłoży na bok

zemstę na Banneth, a resztę opętanych w arkologii zdradzi albo zostawi samym sobie. I poczeka w ukryciu, aż pod presją polityków Senat Ameryki Północnej ugnie się i przywróci ruch na kolei. Szczerze mówiąc, ten stan nie może trwać tygodniami, jeśli ludzie nie są narażeni na wyraźne niebezpieczeństwo. Czas działa na jego korzyść. I tak już jesteśmy pod ostrzałem krytyki.

- Nie ma mowy - warknął Pacyfik Południowy. Pełnomocniczka oskarżycielsko wymierzyła palec w Europę Zachodnią. - Zgrabnie powiedziane, ale widzę, do czego zmierzasz, i zdecydowanie się nie zgadzam.

- Do czego niby zmierza? - Spytała Ameryka Środkowa.

- Chce, żebyśmy przywrócili ruch kolejowy w Edmonton.

- Na moje poparcie nie liczcie - wtrącił szybko Pacyfik Zachodni.

- Na moje również - dodała Azja Wschodnia. - Przyskrzyniliśmy Dextera w arkologii i niech tam siedzi. Trzeba tylko usprawnić techniki monitorowania i wreszcie go namierzyć.

- Tak, tylko że on jest niewidzialny, do cholery! - Wybuchnęła Ameryka Północna. - Wszyscy widzieli, co się stało na dworcu Grand Central. Techniki, które można by ulepszyć, żeby sprostać jego zdolnościom, po prostu nie istnieją.

- Jeśli nie przywrócimy ruchu na kolei, skażemy na opętanie wszystkich mieszkańców Edmonton - argumentowała Europa Zachodnia. - I prawdopodobnie na zsyłkę do innego wszechświata. Pamiętajcie, jaki los spotkał Ketton na półwyspie Mortonridge. Tutaj zrobią to samo. Będą szukać spokoju.

- Jeśli do tego dojdzie, trudno - rzekł Pacyfik Północny. - Już o tym rozmawialiśmy. Stracimy jedną arkologię, uratujemy pozostałe.

- Po co od razu taka desperacja? - Naciskała Europa Zachodnia. - Widzimy Dextera, kiedy się porusza. Wtedy możemy się do niego dobrać.

- On przecież nie staje się widoczny - zaproponował Pacyfik Południowy. - Wiemy, że się przenosi z miejsca na miejsce, bo śledzimy zniszczenia, jakie po sobie pozostawia. Kurde, bez przeszkód rozwalił wieżę Eiffla! Spójrzcie prawdzie w oczy: nie złapiemy go.

- Przynajmniej musimy spróbować. To jest przecież jedyny sens naszego istnienia. Jeśli nie możemy uchronić Ziemi przed jednym opętanym, mając do tego okazję, w dodatku z powodu politycznego tchórzostwa, to znaczy, że do niczego się nie nadajemy.

- Bo co, szlachectwo zobowiązuje? Dla mnie to gówniany slogan. Zresztą możesz sobie mieć szlachetnych przodków, ja ich nie mam. Utworzyliśmy B7 z powodów czysto osobistych, sam w tym brałeś duży udział. Naszym głównym zadaniem jest dbać o własne interesy. W dziewięćdziesięciu przypadkach na sto ratujemy Ziemię i pomagamy obywatelom. Brawo dla nas! Nie skąpię im swojego czasu i energii. Ale dziś sytuacja nie wymaga od nas altruizmu. Dziś bronimy się przed opętaniem, a szczególnie przed cholernym Quinnem Dexterem. Żal mi mieszkańców, ale Edmonton nie uchroni się przed nadejściem tej jego nocy. Może też Paryż i inne arkologie. Przykro mi. Ważne, żeby nam się nic złego nie stało.

- Myliłem się - padło stwierdzenie ze strony Europy Zachodniej. - Nie chodzi o polityczne tchórzostwo, ty się po prostu boisz Dextera.

- Żal mi ciebie - prychnął Pacyfik Południowy. - Nie przywrócę ruchu na kolei tylko dlatego, że mnie obraziłeś.

- Wiem, obraziłem cię dla samego obrażania. Zasłużyłaś sobie.

- Akurat dbam o to. Tylko mi nie wmawiaj, że nie szykujesz się do ucieczki z tonącego okrętu.

- Każdy z nas się szykuje i każdy o tym wie. Głupotą byłoby się nie przygotować. Ale dla mnie to ostateczność. Bez owijania w bawełnę powiem, że zaczynanie wszystkiego od początku na

innej planecie raczej mnie nie pociąga. Myślę, że z wami jest tak samo.

Wirtualni pełnomocnicy siedzący wokół stołu milczeli.

- No właśnie - ciągnęła Europa Zachodnia. - Musimy wygrać z Dexterem na naszym własnym podwórku.

- Jeśli Edmonton padnie, Dexter automatycznie przegra - stwierdziła Ameryka Środkowa. - Zniknie z tej planety razem z arkologią.

- Nie pozbedziemy się go w taki sposób, jest na to za sprytny. Poza tym kieruje się czymś innym niż reszta opętanych. Pociągi ruszą, choćbyście nie wiem jak się sprzeciwiali, to tylko kwestia czasu. Proponuję zwabić Dextera w miejsce, gdzie będzie go łatwo zlikwidować.

- Zamordował już czterech akolitów Banneth w jej siedzibie - rzekł przedstawiciel wywiadu wojskowego. - Wiemy, że tam chodzi, a jednak nie udało się zabić dziada. Jeśli przeniesie się do innej arkologii, wcale nam nie ułatwi zadania.

- Nie zmienimy już niczego w otoczeniu Banneth, bo zaraz by nabrał podejrzeń i zaszył się gdzieś w kącie. Dlatego zabierzmy ją tam, gdzie będzie można przeprowadzić atak.

- Jak sam niedawno powiedziałeś, żeby zrealizować ważniejszy cel, zrezygnuje z wendety przeciwko Banneth - zauważył Pacyfik Zachodni. - Prosiłbym o logiczne argumenty.

- Mogę go wywabić z Edmonton - oświadczyła Europa Zachodnia. - Jeśli w tych okolicznościach pojawią się na horyzoncie siostry Kavanagh, stanie wobec intrygującej zagadki. Wyruszy za nimi, żeby zbadać, w czym rzecz. A one pójdą jak po sznurku, dokąd zechcą.

- Nie próbuj ich wpuszczać na moje terytorium - zagroził Pacyfik Południowy.

- Nawet mi to przez głowę nie przeszło. Operacja będzie wymagać kompetencji i chęci współpracy, czego po tobie raczej się nie spodziewam.

- W takim razie zwab go na swój teren.

- Zamierzam to zrobić.

- To co tyle marudzisz?

- Nie chcę, żeby ktoś mi robił problemy. Tu potrzeba finezji. Jeśli mam przeprowadzić tę operację, wy nie będziecie się wtrącać. Żadnych nagłych prezydenckich dekretów, które by pokrzyżowały mi szyki. Żadnego hałasu w mediach. Wszyscy wiemy, do czego jesteśmy zdolni, jeśli chcemy sobie wzajemnie szkodzić. Przerabialiśmy to na innych arenach, ale teraz nie czas na wewnętrzne swary.

Pacyfik Południowy popatrzył na Europę Zachodnią i Amerykę Północną.

- Wy dwaj róbcie, co chcecie, ale róbcie to sami. Wasze terytoria będą odtąd objęte embargiem, tak samo jak Bombaj i Johannesburg. Chyba że będziesz głosował przeciwko.

- Nie. Mam już to, czego chciałem.

\*

Skończyło się na tym, że Andy wrócił do Liscard i poprosił o drugą pożyczkę. Cztery tygodniówki oprocentowane na siedem i pół procent! Celowo nie uruchamiał w trybie nadrzędności programowego kalkulatora; wolał nie wiedzieć, jak długo musi zaiwaniac w Jude's Eworld, żeby zarobić na jedną randkę. Ale przecież nie mógł wymagać od Louise, żeby płaciła za Genevieve. Cóż by to był za blamaż!

Tym razem kiedy wszedł do poczekalni w Ritzu, boy hotelowy uśmiechnął się życzliwie. Smoking - czarny jak smoła i dość modnie skrojony - pożyczył od kogoś, komu parę miesięcy temu naprawiał sprzęt. Białej koszuli i szkarłatnej muchy użyczył mu kolega po fachu. Czarne buty zawdzięczał sąsiadowi. Jedwabna chusteczka, którą wetknął do górnej kieszonki, należała do jego matki. W zasadzie jego własnością były tylko bokserki. Tym się akurat nie przejmował. Jakoś mu się

nie wydawało, żeby Louise miała okazję zobaczyć je tej nocy.

Punkt siódma, a jej jeszcze nie było. Sześć po - zastanawiał się, czy nie poprosić, aby zadzwoniono z recepcji do jej pokoju. Osiem po - wiedział już, że go wystawiła. W sumie, nic dziwnego.

Otworzyły się drzwi windy. Louise miała na sobie długą suknię z ciemnogrnatowego materiału z czerwonobrazowym przodkiem. Nie była już tą rezolutną nastolatką, która wpadła do sklepu z prośbą o pomoc - zachowywała się tak, jakby przybyło jej dwadzieścia lat. Andy dał sobie spokój z wpisywaniem obrazu do komórki pamięciowej. Żaden program nie uchwyciłby tego połączenia piękna i elegancji. Wiedział, że do końca życia zachowa we wspomnieniach czar tej chwili.

W jego uśmiechu był więc również smutek.

- Dzięki, że przyszedłaś.

Minę miała troszkę niewyraźną. Chyba wyczuwała, ile to spotkanie dla niego znaczy.

- Miło mi, Andy, że mnie zaprosiłeś. - Szturchnęła Genevieve.

- Dziękuję bardzo, że pozwoliłeś mi pójść z wami - powiedziała dziewczynka. W jej głosie nie było nawet cienia żartobliwej obłudy.

- Nie ma sprawy - odpowiedział. - Wyglądasz świetnie. Może się zakręcisz?

Genevieve uśmiechnęła się z zadowoleniem, rozłożyła ramiona i zawirowała w kółeczku, aż załopotąła czerwona sukienka. Na szyi nosiła cienki łańcuszek ze zmatowiałym wisiorkiem, który wesoło dyndał nad dekoltem.

Andy popatrzył w oczy Louise.

- Za pięć lat chłopaki będą dostawać oczopląsu.

- Czyli że co? - Spytała Genevieve.

- Mówi, że jesteś bardzo ładna - wyjaśniła jej Louise.

- A. - Genevieve splonęła rumieńcem, lecz nadal uśmiechała się do Andy'ego.

Okazało się, że mała wcale nie jest taką kulą u nogi. W gruncie rzeczy czuł się w jej kompanii o wiele swobodniej, niż gdyby miał spędzać wieczór jedynie z Louise. Nie był z nią sam na sam, jak chłopak z dziewczyną, zmuszony szukać odpowiednich słów, żeby jej zaimponować. Taka przygoda skończyłaby się totalną porażką.

Zapłacił za krótką podróż taksówką do Covent Garden. Takich restauracji jak Lake Isle była tu chyba setka. Za okazałym, stylowym frontonem znajdował się niewielki barek, a za nim sala dla gości - zdumiewająco duża, biorąc pod uwagę wielkość sąsiednich budynków, i zbyt lśniąca, żeby uchodzić za autentycznie starą.

Zaraz za progiem Louise trąciła Andy'ego w ramię.

- Dziś każdy płaci za siebie, to już postanowione. Przecież to ja zabrałam siostrę. Inaczej źle bym się czuła.

Szef kelnerów przekazał ich młodszemu kelnerowi, który z kolei zaprowadził ich do stolika. Rozglądając się ukradkiem, Louise doszła do przekonania, że trochę za bardzo się wystroili. Nie mogła jednak zmarnować okazji do zaprezentowania się w granatowej sukni, a Andy z pewnością nie poczuł się dotknięty. Gdyby oczy były rękami, chyba by ją zmiażdżył.

- Znalazłaś już swojego przyjaciela? - Zapytał, kiedy usiedli.

- Jeszcze nie, ale detektyw, którego mi poleciłeś, robi dobre wrażenie.

Podano kartę win. Louise przypatrywała się z tęsknotą Norfolkskim Łzom, zdumiona ceną. W kwestii wyboru zdała się na Andy'ego. Zdecydował się na białe wytrawne z jowiszowych habitatów i wodę gazowaną dla Genevieve.



- Możesz wypić kieliszek wina - udobrychała Louise dziewczynkę, dostrzegłszy jej buntowniczą minę.

- Dobrze, Louise. Dziękuję, Louise.

Starsza siostra spiorunowała wzrokiem młodszą. Zaprzysięgła dziewczynce srogą zemstę, gdyby ta dokuczała podczas kolacji.

Był to dziwny wieczór. Louise doświadczała zupełnie nowych wrażeń. Delektowała się namiastką życia w gwarnej arkologii, w której dziewczyny są zapraszane na randki, mogą się ładnie ubierać i kosztować egzotycznych potraw. A rozmawiać nie tylko o zbiorach, krewnych i lokalnych wydarzeniach, lecz także o wyzwaniach, przed jakimi stoi Konfederacja, sukcesach Sił Powietrznych i najnowszych wiadomościach o kampanii wyzwoleńczej na półwyspie Mortonridge. Miała prawo mówić to, co myśli, korzystając z własnych doświadczeń, mieć do opowiedzenia niezwykle historie i cieszyć się tym, że ktoś ją wysłucha.

W tak wyjątkowej chwili nie pamiętała o umowności całej tej sytuacji. O tym, że tak naprawdę nigdy nie będzie korzystać z uroków miasta, ponieważ niebawem zostanie matką. I że Joshua ani razu nie widział jej tak ubranej. Zapomniała też, że odkąd ludzkość dowiedziała się o istnieniu zaświatów, życie nigdy nie będzie pozbawione trosk. Uleciał jej z pamięci nawet Quim Dexter, który wkradał się do pięknych, niesamowitych arkologii, gotów roztrzaskać je na miliardy kawałeczków.

Przy deserze zorientowała się, że patrzy na Andy'ego z niejaką zazdrością. On nadal mógł cieszyć się beztroskim życiem: podrywać dziewczyny, imprezować z kolegami, studiować na uniwersytecie, dorabiać się stopnia naukowego, pisać programy, podróżować. Zakładając, oczywiście, że opętani nie dopną swego.

- Co z tobą? - Spytał Andy. Właśnie opowiadał jej z zapałem o swoich planach założenia firmy programistycznej, po uzbieraniu dostatecznej sumy pieniędzy. Było to jego aktualne marzenie.

- Wybacz. - Położyła dłoń na jego dłoni i lekko ją ścisnęła. - Pewnie uznasz, że to banal, ale to jeden z najprzyjemniejszych wieczorów w moim życiu. Bardzo się cieszę, że mnie zaprosiłeś. - Wyraz niewysłowionej tęsknoty na jego twarzy był tak intensywny, że omal się nie rozpląkała, widząc oczami wyobraźni to, co nigdy nie mogło się zdarzyć. Przywołała kelnera. - Poproszę trzy kieliszki Norfolkskich Łez.

Genevieve przestała atakować łyżeczką pucharek, żeby wyskrobać z niego ostatnie resztki czekoladowego sufletu z pomarańczami. Uśmiechnęła się, zaskoczona i uradowana.

- Tak, dla ciebie też - zapewniła ją Louise ze śmiechem i zwróciła się do Andy'ego. - Ja stawiam. Jeśli nigdy nie kosztowałeś, teraz masz okazję. Tylko w ten sposób można zakończyć tak cudowny wieczór.

Trunek przybył w wąskich kryształowych kieliszkach na srebrnej tacy. Louise powąchała bukiet.

- Hrabstwo Wessex - zawyrokowała. - Prawdopodobnie majątek Clayton.

- Zgadza się, proszę pani - odparł zdziwiony kelner.

We trójkę unieśli kieliszki i Louise wzniosła toast:

- Żeby cieszyć się życiem, zamiast je marnować.

Z ochotą za to wypili.

Kiedy wracali taksówką do hotelu Ritz, Louise otrzymała datawizyjną wiadomość. Fioletowa słuchawka telefoniczna cicho zamigotała w kącie jej pola widzenia (model NAS2600 zawierał bibliotekę tysięcy dźwięków i obrazków, lecz ten wydał jej się najbardziej swojski). Uczucie błogości, które zawładnęło nią tego wieczoru, momentalnie pierzchnęło. W tej wiadomości nie mogło

być nic romantycznego.

Gdy neuronowy nanosystem przyjął połączenie, w miejscu fioletowej słuchawki pojawiła się ikona identyfikacyjna Ivanova Robsona.

- Mam dobrą nowinę - oznajmił detektyw. - Odnalazłem Banneth.

- Gdzie? - Spytała datawizyjnie.

- Obecnie przebywa w Edmonton.

- Dziękuję. - Była to jedna z tych arkologii, o których mówili w wiadomościach, że zostały odizolowane. - Ma pan e-adres?

- Oczywiście. - Przesłał plik. - Posłuchaj, Louise, gdyby rozmowa z nią nie przebiegała tak całkiem po twojej myśli, zadzwoń do mnie. Może będę mógł ci pomóc.

- Rozumiem. I jeszcze raz dziękuję.

Kiedy stanęli przed hotelem, portier obrzucił Andy'ego ciekawskim spojrzeniem. Louise zauważyła, że chłopak się waha, walczy z kompleksami. Patrzyła na niego z wręcz bolesnym współczuciem.

- Poczekaj na mnie w holu - zwróciła się do Genevieve. Dziewczynka uśmiechnęła się łobuzersko do Andy'ego, mrugnęła okiem i śmignęła do środka. Zadowolona, że nie było słyhać chichotania, Louise wzięła głębszy oddech. - Muszę już iść, Andy.

- Zobaczymy się jeszcze?

Pytał o to z taką nadzieją, że aż zmarkotniała. Niepotrzebnie przyjął to zaproszenie, wyrzucała sobie. Od początku było wiadomo, że opacznie to zinterpretuje. Ale mimo swoich wad miał też poczciwe serce.

- Przykro mi, Andy, ale nie. Muszę odnaleźć pewną osobę, wiesz o tym, no i mam narzeczonego. Odlatuję z Ziemi, gdy tylko zdołam. Nasze spotkania nie doprowadziłyby do niczego dobrego. Nie łudź się, że między nami może być coś więcej.

- Kapuję. - Spuścił głowę.

- Możesz mnie pocałować na dobranoc - powiedziała nieśmiało.

Bardziej wystraszony niż rozradowany Andy przysunął się do niej i dotknął ustami jej ust. Kiedy przerwał pocałunek, jej wargi wykrzywiły się w wyrazie żalu.

- Naprawdę spędziłam z tobą wspaniały wieczór. Dzięki, Andy.

- Jeśli z narzeczoną coś ci nie wypali i jednak wrócisz... - Zaczął optymistycznie.

- Będiesz zajmował pierwsze miejsce na liście, obiecuję.

Stojąc ze smętnie zwieszonymi ramionami, patrzył, jak dziewczyna znika za drzwiami. A więc koniec. Szok. Mało brakło, a dałby się ponieść emocjom i popędził za nią.

- Wyleczysz się z niej, synu - odezwał się portier. - Mnóstwo ich chodzi po świecie.

- Nie takich jak ona! - Odkrzyknął Andy.

Portier wzruszył ramionami i uśmiechnął się z denerwującą beztrąską.

Andy energicznie się odwrócił i ruszył chodnikiem wśród tłumów, które nocą wyległy na ulice.

- Przynajmniej ją pocałowałem - szepnął pod nosem. - Naprawdę! - Roześmiał się na głos, niedowierzając, że zbliżył się do niej tak bardzo. - Pocałowałem Louise Kavanagh. - Nie przestając się śmiać, skierował swoje kroki w stronę Islington. Wydał dziś tyle kasy, że nie mógł sobie pozwolić na przejażdżkę metrem.

\*

Louise poczekała, aż Genevieve przykryje się kołdrą, nim zadzwoniła do Banneth.

- Halo. Pani mnie nie zna, nazywam się Louise Kavanagh. Dzwonię, żeby panią ostrzec przed

Quinnem Dexterem. Zna go pani?

- Odpierdol się! - Połączenie zostało przerwane.

Louise ponownie przekazała e-adres procesorowi zarządzającemu pokojem.

- Niech mnie pani wysłucha, to ważne. Spotkałam Quinna Dextera na Norfolkku, on zamierza...

Połączenie zostało znowu przerwane i wyświetlił się czerwony krzyżyk. Następnym razem, kiedy Louise spróbowała przesłać e-adres Banneth, program filtrujący zażądał od niej ikony identyfikacyjnej. Po jej przekazaniu dostała komunikat, że adresat nie wpisał jej na listę osób upoważnionych do rozmowy.

- Psiakrew!

- O co chodzi? - Genevieve popatrywała na nią z łóżka z palcami zaciśniętymi na brzegu kołderki.

- Banneth nie chce ze mną rozmawiać. Wierzyć się nie chce! Tyleśmy przeszły, żeby ją ostrzec... Co za... Głupota!

- I co teraz zrobisz?

- Chyba zadzwonię do Robsona. - Przesyłając do procesora e-adres, zastanawiała się, czy detektyw nie ma zdolności paranormalnych. Na pewno pomagałyby mu w śledztwie.

- Nie martw się - powiedział. - Zaraz tam będę.

\*

Koktajlbar okazał się pomyłką. Louise usiadła przy stoliku, zamówiła sok pomarańczowy i czekała cierpliwie na Ivanova Robsona. Wystrój wnętrza był równie wytworny jak w innych częściach hotelu. Na ścianach obłożonych drewnianymi panelami w miodowym kolorze wisiały zwierciadła w złotych ramach. Żyrandole świeciły jasnym blaskiem, a mimo to wnętrze wydawało się ocienione niczym polanka w lesie. Za barkiem z drewna różanego nastawiano tyle butelek, że półki kojarzyły się z wystawą sztuki nowoczesnej.

Czy to za sprawą opóźnionego działania wina i Norfolkskich Łez, czy też rozkosznej miękkości obitego skórą krzesła, dziewczynie zrobiło się nagle ciepło i ogarnęła ją senność. Nie pomagało nawet to, że musiała odrzucać liczne propozycje nie zawsze młodych mężczyzn, którzy chcieli postawić jej drinka i potowarzyszyć. Bała się, że traktuje ich zbyt obcesowo. Co powiedziałyby matka?

Podszedł do niej kelner w surducie, staruszek z bujnymi, bieluteńkimi bokobrodami, który przypominał jej pana Butterwortha.

- Na pewno chce pani tu zostać? - Spytał zyczliwie. - Mamy dla gości spokojniejsze sale.

- Ja się nią zaopiekuję - rzekł Ivanov Robson.

- Jak pan sobie życzy. - Kelner uklonił się i wycofał.

Olbrzymi detektyw przesunął wzrok po twarzach mężczyzn siedzących za barem. Wszyscy nagle znajdowali sobie inny przedmiot zainteresowania.

- Nie obraż się, Louise, ale jeśli wkładasz taką suknię, nie powinnaś sama przesiadywać w barze. Nawet tutaj. Mimowolnie wysyłasz bardzo silne sygnały. - Gdy usiadł obok, pod jego ciężarem zatrzeszczało skórzane obicie.

Louise spojrzała po sobie. Dopiero teraz zauważyła, że nadal nosi granatową suknię, którą włożyła, żeby zrobić przyjemność Andy'emu.

- Chyba za dużo wypijałam. Niedawno byłam z przyjacielem na kolacji.

- Tak? No cóż, byłoby dziwne, gdybyś ubrała się tak na spotkanie ze mną. Choć muszę przyznać, bardzo by mi to schlebiało. Wyglądasz oszałamiająco.

Zarumieniła się.

- Dziękuję.

- Wiesz chyba, że twój nanosystem posiada program supresyjny, który poradzi sobie z tą minimalną nadwyżką alkoholu, krążącą w twoich żyłach?

- Nie, nie wiem.

- Ale tak jest. Jeśli uruchomisz go w trybie nadrzędności, nasze spotkanie będzie owocniejsze.

- No dobrze. - Przywołała interfejs kontrolny i wyszukała program supresyjny. Po dwóch minutach nie miała już wrażenia, że w barze jest za ciepło. Kilka głębokich oddechów wystarczyło do osiągnięcia pełnej koncentracji umysłu, która pomagała jej zdać trudne egzaminy w szkole.

Na stoliczku obok Ivanova pojawiła się whisky w kryształowej szklance. Upił drobny łyk, nie spuszczać z niej wzroku.

- Lepiej ci?

- Tak, dziękuję. - Mimo wszystko nadal denerwowała ją suknia. Ludzie gapili się na nią jak Andy, tyle że brakowało im jego przeuroczej wstydlivosti.

- Jak ci poszło z Banneth? - Spytał Ivanov.

- Przerwała rozmowę. Nie dała sobie nic powiedzieć.

- Hm, wcale się temu nie dziwię. W czasie dochodzenia zapoznałem się z kilkoma faktami z jej życia, które wskazują, że nie jest szarym obywatelem. Policja w Edmonton zgromadziła sporo informacji na jej temat. Uważa się, że jest związana z organizacją przestępczą, rozprawdza nielegalne hormony i produkty technobiotyczne. Na wzmiankę o dawnych znajomych staje się agresywna. Miałaś rację, jeśli chodzi o tego Dextera. Faktycznie został deportowany. Pod zarzutem stawiania czynnego oporu podczas zatrzymania. Policja podejrzewa, że był kurierem Banneth.

- I co mam teraz zrobić?

- Dokonać wyboru. Po pierwsze, możesz zapomnieć o sprawie i zostać w Londynie. Na razie nic ci nie grozi. Słucham, co w trawie piszczy, i wiem, że opętani jeszcze się tu nie zjawili.

- Nie mogę. Muszę ostrzec Banneth, ale proszę, niech pan nie pyta czemu. Nie po to przebyłam taki szmat drogi, żeby zawrócić o krok od celu.

- Rozumiem. W takim razie, chcąc nie chcąc, radzę ci udać się do Edmonton. Jeśli rozmówisz się z Banneth w cztery oczy, przekona się, że nie jesteś wariatką ani tajną agentką policji. I weźmie na serio twoje ostrzeżenie.

- Ale do Edmonton nie da się wjechać.

- Już się da. - Napił się whisky z wbitym w nią spojrzeniem.

- Pociągi znowu kursują. Władze chyba wyeliminowały opętanych, przynajmniej tak sądzą.

- Quinn Dexter tam jest - powiedziała cicho.

- Wiem. Dlatego wolę, żebyś tam nie jechała. No, ale skoroś taka uparta, będę ci towarzyszył i w miarę możliwości służył pomocą. Jeśli on naprawdę jest taki groźny, jak mówisz, to nie na wiele ci się przydam. Zawsze to jednak lepsze niż nic.

- Nie żartuje pan?

- Oczywiście, za odpowiednią dopłatą. Robię też w branży usług ochroniarskich.

Została jeszcze jedna sprawa. Louise starała się stłumić w sobie strach przed wyjazdem do arkologii, w której na pewno przebywał Dexter, lecz drogi Fletcher tak bardzo nalegał, że złożyła mu obietnicę.

- Wie pan, gdzie mieszka Banneth?

- Tak. Mam wtyczkę w tamtejszej policji, jestem dobrze poinformowany. Jeśli się zdecydujesz, pojedziemy prosto do niej. Powiesz, co masz do powiedzenia, a potem wyjdziemy.

Pewnie zamkniemy się w dziesięciu minutach. Przed upływem pięciu godzin byłibyśmy z powrotem w Londynie.

- Nie mogę zostawić Genevieve, nawet w takiej sytuacji.

- Kierownik hotelu z pewnością oddeleguje kogoś, żeby się nią dziś zaopiekował.

- Pan tego nie rozumie. Odpowiadam za nią. Tylko my przeżyliśmy z naszego domu, rodziny, może nawet z całej planety. Nie mogę narażać jej na niebezpieczeństwo. Ma dopiero dwanaście lat.

- Tu jej grozi to samo co w Edmonton - rzekł niewzruszenie.

- Wcale nie. Niebezpieczny jest już sam pobyt w arkologii, w której przebywa Banneth. Rząd

Centralny źle zrobił, że przywrócił ruch pociągów w Edmonton.

- Mogę wystarać się o taką samą broń, jakiej używają sierżanci na półwyspie Mortonridge.

Niezwykle skuteczna przeciwko opętany. To nam da przewagę.

Przyglądała mu się uważnie, zdziwiona jego entuzjazmem.

- Pan chyba chce, żebym tam pojechała.

- Tłumaczę ci tylko, co możesz zrobić. Ustaliliśmy przecież, że znam reguły obowiązujące w tych sprawach. To zadanie spokojnie mieści się w moich kompetencjach.

Może sprawiła to jego osobowość, a może budząca grozę wielkość, w każdym razie Louise czuła się o wiele bezpieczniej w jego obecności. Wszystko, co mówił, wydawało się takie logiczne.

Wsparłszy czoło na rękę, ze zdziwieniem spostrzegła, że się poci.

- Jeśli nie spodoba mi się to, co zastanę u Banneth, nie będę z nią rozmawiała.

Ivanov uśmiechnął się łagodnie.

- Jeśli będzie tak źle, że nawet ty to zauważysz, nie pozwolę ci wejść do środka.

Wolno pokiwała głową.

- Dobrze, pójdę po Genevieve. Zarezerwuj pan bilety?

- Jasne. Za pół godziny odjeżdża pociąg, do tego czasu powinniśmy się dostać na stację King's Cross.

Ciężko wstała z fotela, zdruzgotana własnym zmęczeniem.

- Aha, Louise. Pamiętaj o stosownym ubraniu.

\*

Jednostka sztucznej inteligencji wykryła masę charakterystycznych awarii na kilka sekund przed tym, jak przerażeni obywatele Edmonton zaczęli bombardować policję rozpaczliwymi doniesieniami o armii umarłych, która ciągnie przez centrum miasta. Po południu słońce jasno świeciło na cudownie czystym niebie i doskonale oświetlało arenę zdarzeń. Samochody i autobusy wykonywały manewry awaryjnego hamowania, gdy silniki odmawiały posłuszeństwa i wysiadały ogniwa zasilające. Pasażerowie wysypywali się na drogę i co sił w nogach czmychali przed nawałą satanistów i opętanych. Piesi walili pięściami do zamkniętych drzwi, błagając, aby ich wpuszczono.

Quinn nie szczędził wysiłków, żeby starannie rozmieścić swoje hufce na czterech najważniejszych drogach, prowadzących do głównej siedziby sekty. Ze zwyczajnymi akolitami nie miał problemu; podzielił ich na zespoły po dwie i trzy osoby, a następnie wymienił sklepy i kawiarnie, w których mieli się przyczać z bronią schowaną w torbach i plecakach. Co się tyczy opętanych, musiał zlokalizować opuszczone biura lub wolne mieszkania na parterze. Dwóch nie opętanych akolitów, którzy przeszli podstawowe kursy dydaktyczne z elektroniki, włamywało się do lokali i wyłączało procesory, żeby w środku mogli bezpiecznie zaszyć się opętani. Po dwóch godzinach wszyscy znajdowali się na wyznaczonych pozycjach. Nikt się nie skarżył, przynajmniej nie w jego obecności. Zakładano, że to część wielkiego planu sprowadzenia nocy. Na przeszkodzie stała już tylko, jak im powiedział, główna siedziba sekty i schowani w niej zdrajcy.

Kiedy opętani z Edmonton przyłączyli się do niego w komplecie - z jednym wyjątkiem, pomyślał z rozdrażnieniem - dał rozkaz do ataku. Jeśli supergliny były tak dobre, jak się tego spodziewał, ich reakcja musiała być szybka i skuteczna. Przypuszczał, że opętani zostaną wybici w pień, a spośród akolitów mało kto się uchowa.

Przez chwilę szedł na czele swej małej, skazanej na klęskę armii, gdy opętani wylewali się na ulice, wyciągali broń i przybierali makabryczne kształty. Kiedy wszyscy już parli przed siebie z zaciekłym ferworem, dyskretnie wśliznął się do królestwa duchów.

Szczęśliwi przechodnie, którzy znaleźli się za kolumnami opętanych, przestawali uciekać na złamanie karku i oglądali się nerwowo za siebie. Każdy, kto oglądał ten spektakl, zdumiewał się niezwykłym pokazem niepokornej buty i waleczności, jakiej nigdy nie widziano nawet u opętanych. Rozpoczynali ostateczną, monumentalną rozgrywkę, śmiało wychodząc z ukrycia, jakby całemu światu chcieli powiedzieć: "Pierdol się!". Osłupiali dziennikarze w biurach redakcyjnych śledzili z rozdziawionymi ustami rozwój wydarzeń.

Wataha prędko otoczyła niepozorny pięćdziesięciopiętrowy wieżowiec. Każda grupa składała się z przeszło stu rebeliantów, Przy czym szpicę stanowili zawsze opętani. Wyszukane, archaiczne stroje wojowników, tętniące energistyczną mocą, skrzyły się i błyskały. Ilekroć przechodzili koło słupów podtrzymujących estakady, w powietrzu pojedynkowały się spirale miniaturowych błyskawic, uziemiane przez podpory tryskające kroplami stopionego metalu. Zaraz za swoimi milczącymi, zuchwałymi przywódcami postępowali ściśniętą gromadą nie opętani akolici. Maszerując beztrósco, dźwigali największe armaty, jakie udało im się wygrzebać z tajnych arsenałów sekty.

Nikt z nich nie zwracał uwagi na wrzeszczących przechodniów, uciekających przed nimi w popłochu. Interesował ich tylko wieżowiec. Pojazdy zaśmiecające jezdnię rozświetliły się niebieskimi wyładowaniami i wybuchły gradem czarnych granulek. Armia przeklętych kroczyła przez dymiące wrakowisko z przesadną pompą jak na paradzie.

W świadomości przeciętnego mieszkańca Edmonton wieżowiec, na którym ogniskowała się ich wściekłość, był zwyczajnym, skromnym budynkiem, podzielonym standardowo na części mieszkalną i komercyjną. Policja wszelako wiedziała swoje, to samo ludzie z sąsiedztwa. Pogłoski o obecności sekty zaczęły przeciekać do studiów informacyjnych, lecz do tego czasu na miejscu wydarzeń rozlokowali się profesjonalni reportażyści; patrzyli, jak policja odgradza teren, a uzbrojone jednostki zajmują stanowiska.

Sześćdziesiąt procent ludności Ziemi połączyło się z siecią, czekając na strzelaninę. W dziejach nie odnotowano tak wysokiej oglądalności.

W głównej siedzibie sekty starsi akolici wdarli się do zbrojowni i zaczęli rozdawać wielkokalibrowe strzelby i karabiny maszynowe na pociski chemiczne. Nie wybuchła panika. Oblężeni prawie się cieszyli, że nareszcie mają do czynienia z namacalnym przeciwnikiem. Banneth osobiście nadzorowała przygotowania do odparcia ataku: najpierw utworzyła pierścień snajperów, mających strzelać z okien wieżowca, potem zorganizowała gniazda ogniowe na prowizorycznych barykadach. W pośpiechu obchodziła stanowiska, wydawała polecenia i zachęcała do wysiłku, tym razem bez uciekania się do gróźb. Teraz opętani z Quinnem na czele wzbudzali strach w sercach członków sekty. Ciekawy był fakt, że wszyscy wrócili pod jej skrzydła. Choć Quinn tyle razy próbował zasiać w ich sercach zwątpienie i nieufność, dopuszczając się makabrycznych morderstw w siedzibie sekty, nic tym sposobem nie osiągnął. Nadal wierzyli, że ona jest od niego silniejsza.

- Pewnie się domyślasz, że to wszystko ma na celu odwrócenie uwagi - powiedziała. - Być może zamierza mnie porwać albo zabić w czasie walki.

- Niewykluczone - odpowiedziała Europa Zachodnia ze stoickim spokojem. - Choć osobiście przypuszczam, że ta żaloszna bitwa, do której dąży, ma być tylko widowiskową rzezią, pomóc mu w osiągnięciu prawdziwego celu. On chce po prostu wymknąć się z potrzasku.

- Dzięki. Od razu poczułam się lepiej.

- Czyżbyś się bała?

- A ty byś się nie bał?

- Owszem, gdybym był teraz w twojej skórze, strach by mnie obleciał. Na szczęście nie jestem, prawda?

- Nie szpanuj mi tu swoją pozycją.

- Przepraszam.

- Daruj sobie. Czyli chcesz powiedzieć, że wycelowane są we mnie platformy bojowe?

- Obawiam się, że tak. Mimo to raczej ich nie użyjemy. Dziś jeszcze Quinn się nie ujawni.

Banneth zaglądała do znajomych, półmrocznych korytarzy w drodze powrotnej do apartamentu. Na jej polecenie akolici zapalili w nich świece i niskonapięciowe żarówki halogenowe, zasilane z prymitywnych baterii chemicznych. Tak zamierzchłej techniki opętani nie mogli zniszczyć małym nakładem sił. Z drugiej strony, pomyślała, czym tu się przejmować? Nie bronię niczego, co będzie mi potem służyło. Główna siedziba sekty przestanie istnieć. Akolici w gruncie rzeczy grali na zwłokę, żeby policja i B7 miały czas rozprawić się z nędzną rewoltą Quinna. Ale przecież sekta była wytworem B7, dogodną przykrywką dla ich i jej działań.

Ogarnęła kaplicę nostalgicznym spojrzeniem. W tym momencie wieżowiec ugodziła pierwsza rakietą z głowicą przeciwpancerną. Wystrzelił ją Duffy, nagrodzony przez Quinna za niezłomną lojalność zaszczytem rozpoczęcia ataku. Wybuch wstrząsnął posadami wieżowca; powstała ogromna dziura w północnym narożniku i posypały się setki pobliskich okien. Duże odłamki spadały na ulicę i roztrzaskiwały się w pył przed zgrają opętanych. Snajperzy, którzy przeżyli, podnieśli się i zaczęli strzelać.

\*

W wagonie z miejscami dla stu osób siedzieli tylko Genevieve, Louise i Ivanov Robson. Po przybyciu na dworzec King's Cross Louise zobaczyła na peronie zaledwie kilkunastu ludzi, przechadzających się tam i z powrotem. Nie wiedziała, czy to pasażerowie, czy może pracownicy kolei.

Pomimo jej rosnących obaw i niezadowolenia naburmuszonej siostry przeszła przez służę w ślad za prywatnym detektywem. Nadal było w nim coś, co ją uspokajało. Pomijając jego mamucią posturę, okazywał pewność siebie jeszcze większą niż Joshua. A to już coś znaczyło. Usiadła w fotelu, zaprzątnięta sennymi myślami o swoim narzeczonym. Siedzenia, choć powycierane, były bardzo wygodne, a program walczący ze skutkami nadużycia alkoholu dawno wyłączyła. Pamiętała ciepły uśmiech Joshuy. Byłoby tak fajnie, gdyby znów mógł się do niej uśmiechać.

"Kocham cię i wrócę po ciebie" - dokładnie tak powiedział, kiedy leżeli sami, zwarci nagimi ciałami. W jego obietnicy nie mogło być ani cienia fałszu.

Odnajdę go, choć wszystko się strasznie poplątało.

Nanosystemowy program reporterski powiadomił ją o sytuacji w Edmonton. Połączyła się z Time Universe, żeby obejrzeć bitwę w sensyvizji. I proszę bardzo: kuciała pod osłoną jednego z porzuconych autobusów i ostrożnie zerkała na wariacką armię, która maszerowała ulicą. Z kilkunastu uniesionych dłoni strzelały kule białego ognia, trafiające w wieżowiec. Z kraterów wyrwanych przez pociski i okien do ósmego czy dziewiątego piętra buchały płomienie. Obrońcy ostrzeliwali się z broni dużego kalibru, cętkując chodnik z węglowego betonu jaskrawymi, żółtawymi światelkami

wybuchów. Na ulicy spoczywali zabici, których ubrania wciąż się tliły po trafieniu wiązką promieniowania.

Koło autobusu zaczęły przebiegać nowe postacie. Policjanci w ciemnoszarych, opancerzonych kombinezonach taszczyli broń automatyczną jeszcze większych rozmiarów niż ta, która do tej pory brała udział w akcji. Rozpoczęli kanonadę. Nieprzerwany huk wystrzałów boleśnie świdrował w uszach. Louise wzdrygnęła się, odruchowo podnosząc ręce do głowy, lecz w tym momencie dziennikarz włączył program filtrowania dźwięku. Padł na ziemię, kiedy karabiny siekły ulicę. Tuż nad nim przeleciały kule białego ognia.

Louise przełączyła nagranie sensywizyjne w tryb podrzędności, ograniczając je do postaci żywego, rozgrywającego się w czasie rzeczywistym wspomnienia. Spojrzała na Ivanova.

- I co teraz? - Spytała. - Nasz pociąg na pewno nie zostanie wpuszczony do Edmonton.

- Czemu by nie? Posłuchaj głównych wiadomości. Opętani skoncentrowali się w jednym miejscu, a policja panuje nad sytuacją: dysponuje wystarczającą siłą ognia, żeby ich wykosić, choćby skrzyknęli dziesięć razy więcej kolegów. Poza tym, gdyby mieli odwołać pociąg, przedsiębiorstwo przewozowe natychmiast by nas poinformowało.

Louise połączyła się z procesorem wagonu i poprosiła o aktualny rozkład jazdy. Dowiedziała się, że dotrą do Edmonton za czterdzieści jeden minut.

- To bez sensu. Nie tak dawno władze panicznie się bały wędrowek opętanych.

- Polityka. Edmonton chce udowodnić, że opętani przestali być groźni, że mają wszystko pod kontrolą.

- Ale...

- Wiem, powinni poczekać, aż skończy się bitwa, i dopiero później podejmować tak ważne decyzje. Rząd Centralny ma to do siebie, że zawsze się spieszy z dobrymi nowinami. Kiedy ogłoszono izolację Edmonton, wielu wpływowych lobbystów zaczęło naciskać na biuro prezydenta i przyjaznych senatorów, żeby jak najprędzej wznowiono ruch na kolei. Jeśli arkologia wypada ze struktur światowej gospodarki, działające w niej firmy zaczynają przegrywać walkę z konkurencją. Na dodatek arkologia jest olbrzymim rynkiem zbytu, co też należy brać pod uwagę.

- Narażają ludzi na niebezpieczeństwo ze względu na pieniądze? - Zapytała ze zdumieniem. - To okropne.

- Witamy na Ziemi.

- Nie rozumieją, co się stanie, jeśli opętani przenikną do innych arkologii?

- Oczywiście, że rozumieją. Skoro wyszła na jaw obecność opętanych w Edmonton, pojawią się równie silne naciski, żeby wstrzymać ruch pociągów. Akcja i reakcja, Louise.

- To znaczy, że możemy ugrzęznąć w Edmonton?

- Nie ugrzęźniemy, starczy nam czasu. Przecież ci obiecałem, że wrócimy do domu za pięć godzin, zapomniałaś już?

Spojrzała na Genevieve, zwiniętą na siedzeniu. Mimo że spała, jej buzia wyrażała frasunek.

- Nie zapomniałam. - Na razie nic nie mogła zrobić, żeby uwolnić się od trosk. Pociąg zatrzymywał się dopiero w Edmonton. Po raz ostatni czuła się tak bezradna podczas szalonej ucieczki z Cricklade, kiedy zjawił się Quinn Dexter.

\*

Od początku nie ulegało wątpliwości, że bitwa wokół wieżowca będzie nierówna, tym niemniej skuteczność jednostek specjalnych policji budziła podziw. Wielkokalibrową broń przenośną, którą posługiwano się na pierwszej linii, wspierały lasery promieniowania X, rozmieszczone w bezpiecznej odległości, gdzie nie były narażone na zakłócenia. W rezultacie



niewielu opętanych wdarło się do budynku, a sądząc po huku dobiegającym z wnętrza, obrońcy stawiali zaciekły opór. Nie docierał tam wzrok dziennikarzy stacji informacyjnych, dlatego członkowie biura B7 korzystali z czujników, które ocalały w siedzibie sekty. Patrzyli, jak ciemnymi, zadymionymi korytarzami przekradają się nerwowe, niewyraźne postacie. Jedna z nich stanęła na kratce podłączonej do napięcia dwudziestu tysięcy woltów. Ciało zamieniło się w słup tak gorącego ognia, że w pobliżu stopił się beton.

- Fajna sztuczka - powiedziała Europa Północna. - Jak myślicie, z jakimi energiami mamy tu do czynienia?

- Może z całkowitą wymianą chemiczną? - Zasugerowała Ameryka Środkowa. - Na pewno nie z bezpośrednią zamianą masy na energię, bo wyleciałyby w powietrze cała arkologia.

- Żadna różnica - rzekł Pacyfik Południowy.

- Wręcz przeciwnie - powiedziała Ameryka Środkowa. - Im więcej wiemy o ich zdolnościach, tym bliżsi jesteśmy zwycięstwa.

- Nie nazwałabym zdolnościami ich przedśmiertnych konwulsji.

- Przyda się każda informacja. - Pełnomocnik na Europę Zachodnią przemycił protekcyjny ton do głosu swej wirtualnej kopii. - Bez nich nie odnieśliśmy sukcesu.

- Sukcesu? - Pacyfik Południowy wskazał obraz wyświetlony nad stołem konferencyjnym. Opętany spłonął. Pozostała po nim rzeźba z popiołu, zroszona kroplami stopionego betonu węglowego, która po chwili przewróciła się i zamieniła w kupę szarych płatków. - Edmonton oblegają opętani i ty nazywasz to sukcesem? Jeśli tak, to niech Bóg nas uchwyci od twoich porażek.

- Analiza informacji o Dexterze pozwala nam przewidzieć jego następne posunięcie. Mówiłem, że wyda na śmierć resztę opętanych. Kolejny dowód na to, że miałem rację.

- Edmonton nie jest obleżony - zauważyła Ameryka Północna. - Jednostki specjalne policji mają w garści opętanych.

- Mylisz się - zaoponował Południowy Pacyfik. - Przyjaciel Cartera McBride'a chodzi własnymi ścieżkami. Jego nie macie w garści.

- On zagraża wyłącznie Dexterowi - odparła Europa Zachodnia.

- To tylko hipoteza. Jeśli o mnie chodzi, to nic się nie zmieniło. Po świecie hasa jeden niewidzialny opętany i jeden niewidoczny opętany. Wasze terytoria pozostaną objęte embargiem.

- I dzięki Bogu. Wiadomo, co by się stało z Edmonton, gdybyś miała decydujący głos w tej sprawie.

- Przynajmniej ucierpiałaby tylko jedna arkologia. Nie mogę uwierzyć, że świadomie wpuścisz Dextera do drugiej.

- Jeśli nie podejmiemy ryzyka, nie wygramy, a ja chcę wygrać. Dexter jest ucieleśnieniem wszystkiego, z czym walczymy od pięciuset lat, przedstawicielem bezwzględnych anarchistów, których B7 przepędziło z planety. Nie pozwolę mu siać fermentu, niszczyć pokoju okupionego ceną krwi i wyrzeczeń.

- Cóż to, kwestia trzeciorzędnego szekspirowskiego króla w noc poprzedzającą bitwę? Cholera, i ty mi zarzucasz arogancję!

\*

Banneth wróciła do swej prywatnej komnaty, kiedy jednostka specjalna policji przetrząsała siedzibę sekty w poszukiwaniu opętanych, którzy mogli przeżyć natarcie. Wiedziała, że wszyscy zginęli, lecz nie zamierzała się wtrącać. Pełnomocnik na Amerykę Północną poinstruował komisarza, żeby zostawił w spokoju ją i należące do niej pomieszczenia. Starsi rangą oficerowie stanęli na warcie za drzwiami, pilnując, aby jakiemuś nadgorliwcowi nie zachciało się włamać do środka.

Ludzie nabuzowani adrenaliną po walce często mieli gdzieś autorytety, zwłaszcza jeśli w grę wchodziło opętani.

Pozostałym członkom sekty, którzy ocaleli ze strzelaniny, nie dopisało tyle szczęścia. Policjanci, choć nie dokuczali swoim niedawnym sprzymierzeńcom, rozbierali ich teraz i skuwali. Kaplica stała się atrakcją najczęściej odwiedzaną przez zdumionych, wzburzonych funkcjonariuszy. Wzrok przykuwały dwie ostatnie ofiary Quinna. A kiedy do akcji przystąpił zespół medycyny sądowej, wokół ołtarza i w kanałach odpływowych znaleziono ogromną masę próbek DNA. Zapowiadała się pracowita noc w Gmachu Sprawiedliwości.

Prywatne komnaty Banneth wyglądały jak pobożowisko. Kiedy pękł sufit, zleciały wszystkie lampy prócz dwóch zawieszonych na drutach, które kręciły się wkoło wolnym, statecznym ruchem. Przezroczysty płyn, teraz lekko zabarwiony krwią, wyciekł ze zbiorników systemów podtrzymania życia i chlupał pod nogami. Rozbite zbiorniki wypłuły na podłogę swoich niezwykłych lokatorów. Rurki porozrywały się, co pozbawiło ich niezbędnych substancji odżywczych. Nieszczęsne istoty rzucały kończynami - jeśli je posiadały - póki śmierć nie przyszła. Narządy i wyrostki, zwyczajnie zawieszane w płynie do czasu znalezienia dla nich zastosowania, uległy zniszczeniu.

Podniosła obraz olejny z wizerunkiem Mary Shelley i wysypała z ram potłuczone szkło. Płyn ze zbiornika przebarwił malowidło, przez chwilę wpatrywała się w spiętą twarz bohaterki, po czym z westchnieniem odrzuciła obraz.

- To się nazywa poetyczna sceneria - powiedziała cicho. Narastały w niej podejrzenia. Spustoszenia były zastanawiająco duże, biorąc pod uwagę, że nie wybuchła tu żadna bomba ani pocisk. Gdyby spowodowane eksplozjami fale podmuchowe i drżenie konstrukcji miały taką moc, cały wieżowiec runąłby w gruzy.

- Przybyła Louise Kavanagh - oznajmił pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Tylko trzymaj się, proszę, ustalonego scenariusza.

- Jasne. - Wiedziała, że wychodzi z niej buntownicza natura. Wolne żarty: nie mogła igrzać z pełnomocnikami. Co wynikało bezpośrednio z układu, na który zgodziła się bardzo dawno temu. Nie spodziewała się przecież doczekać chwili, gdy będzie o krok od samobójstwa. Ale kto podpisuje się krwią na cyrografie, nie powinien się dziwić, że diabeł dodaje swoje warunki drobnym druczkiem.

- Zejdz na niższe piętro - poleciła Europa Zachodnia. - Nie chcę, żeby Louise zobaczyła twój mały tunel strachów. Nie może się zrazić do ciebie.

Zawahała się. Nogi jej się zatrzęsły, co było aż nazbyt wyraźnym przypomnieniem, do czego można wykorzystać więź afiniczną. Gdyby odmówiła, po prostu przejęliby nad nią kontrolę i poruszali ją jak marionetką.

- Dobra, Boży Bracie, zrobię to. Tylko nie oczekuj ode mnie, że będę dziękować i ładnie się uśmiechać. - Powoli się odwróciła, rozglądając się bacznie po zdewastowanym pomieszczeniu. Ostatnie, tęskne spojrzenie.

Raptem poczuła na policzku chłodny powiew powietrza. Obracające się lampy mocniej się zakołysały. Drzwi były zamknięte.

- Coś nie tak? - Spytał pełnomocnik na Amerykę Północną.

- Nie - odpowiedziała... I się rozmyśliła. Dzięki więzi afinicznej mogli z łatwością odczytać jej stan emocjonalny. - Chociaż... Sądzę, że on się tu gdzieś czai. Mam wrażenie, że mnie obserwuje. Naprawdę, wredne uczucie. - Przesłała sztywny, ironiczny uśmiech.

- Zawołaj go! - Podekscytował się pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Sprowokuj go, wyzwij na pojedynek, zrób cokolwiek. Może się zmaterializuje. Wystarczy sekunda.

- Quinn? Czy to ty, mój mały misiaczku? Przyszedłeś w końcu? - Wyciągnęła rękę i pogładziła

stół, dotykając pasów. - Wróciłeś wreszcie do domu? Nie boisz się chyba, skarbie, co? Przecież cię udoskonaliłam. Pamiętasz ten cudowny ból, z którego się narodziłeś? Uwolniłam cię od strachu za pomocą cierpienia, żebyś mógł skuteczniej służyć Bożemu Bratu. I służyłeś mu, prawda? Nabrałeś sił, odkąd cię wypędziłam. Stałeś się prawdziwym mesjaszem ciemności. Tak twierdzisz, ale czy możesz poprzeć czynem te twierdzenia? Czy może zostałeś skażony? Mogę usunąć skazę, Quinn, mogę cię znów naprostować. Poddaj się mojej woli. Wróć do mnie, a pokocham cię na swój szczególny sposób. Nasz sposób. Będzie jak dawniej. - Uniosła pas w geście zaproszenia.

Quinn trząsał się z wściekłości. Chciał się na nią rzucić. Każde wypowiedziane przez nią słowo, ba, każda szydercza sylaba wywlekała z niego wspomnienia chwil, kiedy go dręczyła. W tym właśnie pomieszczeniu odbywały się najokrutniejsze gwałty. Jego wrzaski i jej niefrasobliwy śmiech mieszały się ze sobą do późnych godzin nocnych. Pragnienie odwrócenia ról, siłą hamowane, sprawiało, że wężowa bestia wyła w nim z rozpacz. To ją powinno się wepchnąć w te pasy! A nad stołem powinien stać on!

Wyciągnął do niej ręce, gotów pieścić i miażdżyć.

Wtem na jej twarzy zauważył wyraz zniecierpliwienia, prawie złości.

- Nic z tego - mruknęła. - Ten chuj mnie nie słyszy.

Quinn pochylił się nad nią, skonsternowany. Zupełnie jakby z kimś gadała.

Banneth podjęła decyzję i pomaszerowała w stronę drzwi. W każdym jej naprężonym mięśniu i zaciętym grymasie przejawiała się wściekłość. Umysł wrzał posępny, naznaczony strachem myślami. Podobnie jak w przypadku ludzi, których Quinn składał w ofierze. Śledził ją, gdy energicznym krokiem przemierzała swój apartament. Dołączyło do niej dwóch policjantów, służących za eskortę w drodze po schodach. Kolejny dowód zdrady, jakiej dopuszczała się względem Bożego Brata. Dowodów miał aż nadto.

Weszli do biura pod pomieszczeniami sekty, gdzie mieściła się hurtownia alkoholu. W tej branży sekta działała szczególnie prężnie. Tutaj Quinn przeżył największy wstrząs, odkąd wrócił na Ziemię. Na Banneth czekały siostry Kavanagh.

\*

Louise zdziwiła się, kiedy przyjechali do wieżowca, który oglądała w programach informacyjnych. Ivanov Robson coraz bardziej ją intrygował. Po pierwsze, dziwiło ją to, że nigdy się nie myli. Do tego dochodziły jego znajomości na policji w Edmonton. Owszem, może i kiedyś pracował w służbie prawa, może wyświadczył przysługi paru ważnym osobom, ale że tak swobodnie przeszedł przez kordon uzbrojonych po zęby policjantów, otaczających wieżowiec, to już wydawało się mocno podejrzan.

Tak czy owak, major dowodzący jednostką specjalną czekał, żeby ich powitać, kiedy taksówka zatrzymała się w odległości pięćdziesięciu metrów od gwarnej tłumu. Niebezpieczeństwo minęło, toteż zbiegły się tysiące szarych obywateli Edmonton, żeby obejrzeć na żywo ostatnią odsłonę widowiska. Dziennikarze i radni z wielu dystryktów tworzyli wewnętrzny pierścień gapiów; napierali na barierki, krzyczeli i datawizyjnie nagabywali nieugiętych policjantów o wrażenia z akcji. Niektórzy błagali, żeby pozwolono im wysunąć się przed konkurencję.

Sześciu członków jednostki specjalnej, otoczywszy ekipę Louise, torowało jej drogę w gęstej cizbie. Za barierkami ochronnymi uwijała się straż pożarna. Węży wpięte do olbrzymich cystern trzymały z drugiej strony mechanoidy, które śmigały po pionowych ścianach wieżowca, dogaszając ostatnie pożary. Policja zajmowała się pakowaniem ocalałych uczestników bitwy do opancerzonych więźniarek, odjeżdżających do Gmachu Sprawiedliwości. Pewna dziewczyna, młodsza od Louise, szlochała rozdzierająco, wierzgała nogami i szarpała się z czterema policjantami, którzy ciągnęli ją

do ciężarówki.

- Mesjasz żyje! - Krzyknęła. - Noc ogarnie was wszystkich! - Dodała, nim policjanci bezceremonialnie wrzucili ją do samochodu.

Kiedy głównym wejściem wchodzili do budynku, ze środka z impetem wypadły trzy dorosłe świny; kwicząc i chrupkając, zbiegły na ulicę po popękanych schodach. Ścigali je wkurzeni, spoceni policjanci. Louise po prostu odsunęła się na bok, żeby jej nie stratowali. Tego dnia niewiele już mogło ją zdziwić.

Major prowadził ich w głąb wieżowca. Ogień do spółki z wybuchającymi pociskami zdewastował hol. Mechanoidy straży pożarnej wylały tu tyle wody i piany, że zebrały się olbrzymie kałuże. Oświetlenie zapewniały tymczasowe lampy, zainstalowane w strategicznych kątach. Nie działały windy ani ruchome schody. Wdrapali się na czwarte piętro i tam weszli do biura, które nie doznało żadnych poważniejszych uszkodzeń. Choć paliło się jeszcze w wielu miejscach, Louise poczuła chłód.

Major znikł, zjawiała się za to niezwykła kobieta. Początkowo Louise zastanawiała się, czy to naprawdę kobieta. Mocno zarysowana szczeka nadawała twarzy męski rys, lecz figura podkreślała niewieści wygląd. Z drugiej strony, stawiała proste, długie kroki, pasujące raczej do mężczyzny. Najbardziej niesamowite były jednak jej oczy, a właściwie ich różowe tęczęwki. Kiedy popatrzyła na Louise, nie dało się określić, o czym myśli.

- Nie wiem, coście za jedni - powiedziała Banneth - ale musicie mieć silne plecy, że was tu wpuszczono. - Zatrzymała wzrok na Genevieve i po raz pierwszy porzuciła maskę obojętności. - Bardzo dziwne... - Mruknęła zamyślona.

- Mam znajomości - stwierdził lakonicznie Ivanov.

- Nie wątpię.

- Nazywam się Louise Kavanagh i już wcześniej do pani dzwoniłam w sprawie Quinna Dextera. Pamięta pani?

- Pamiętam.

- Chyba on to wszystko zrobił, a przynajmniej wysłał ludzi, którzy to zrobili. Powiedział mi, że wraca na Ziemię, żeby się z panią porachować. Próbowалаm panią ostrzec.

Banneth przewiercała wzrokiem Genevieve, bawiąc się wisiorciem.

- Fakt, próbowałaś. Niepotrzebnie przerwałam rozmowę. Chociaż, z czego chyba zdajesz sobie sprawę, mam prawo podchodzić do tego sceptycznie. Quinn został deportowany. Nie spodziewałam się, że go jeszcze zobaczę.

- On pani naprawdę nienawidzi. Co mu pani zrobiła?

- Nie za dobrze układało się między nami. Pewnie się domyślasz, że pracuję w szarej strefie. Zarabiam na życie, sprzedając ludziom rzeczy, których nie oferują zwykłe sieci sprzedaży. Przez to kilka razy miałam zatargi z policją. Drogi Quinn był jednym z moich kurierów. Wpadł przez głupotę i został skazany na deportację. Na pewno ma mi za złe, że nie wystarałam mu się o zwolnienie, ale sama wydzwaniałam po znajomych, żeby mnie nie przytknęli. Przez jego niekompetencję musiałam użerać się z prawnikami. No więc widzisz, że też mogę mieć do niego pretensje.

- Rozumiem, ale on jest teraz opętany, i to jednym z silniejszych. Niebezpiecznym zwłaszcza dla pani.

Banneth zatoczyła ręką szerokie koło.

- Zaczynam w to wierzyć. Chociaż ciekawi mnie, dlaczego akurat tobie, nieznajomej, zależy na tym, żeby mi pomóc. Możesz być pewna, że jestem kimś, kogo tak miła dziewczyna jak ty nie chciałaby poznać bliżej.

Louise zadawała sobie to samo pytanie. Dotąd Banneth była dla niej mglistym wyobrażeniem, nieco starszą wersją jej samej, kobietą niewinną i zagubioną. Z pewnością nie wyrachowaną kryminalistką, która każdym gestem i słowem daje wyraz pogardy.

- Miał obsesję na pani punkcie, a ludzi trzeba ostrzegać przed jego możliwościami. Boję się, że kiedy już panią zamorduje, zrobi z Ziemią to samo co z Norfolkem. To była moja ojczysta planeta.

- Jakaś ty dobra i szlachetna, Louise. Na tej planecie tacy ludzie są już prehistorią. - Uniosła brwi, patrząc na Ivanova. - Co mi proponujecie?

- Nie wiem - odparła Louise. - Po prostu musiałam panią ostrzec. Obiecałam sobie, że to zrobię. Nie myślałam, co będzie potem. Może pani poprosić policję o całodobową ochronę?

- Gdybym im powiedziała, że ściga mnie Quinn, pękliby ze śmiechu, a potem pokazali mi, gdzie jestem. Musiałam wykorzystała wszystkie znajomości i środki prawne, żeby nie aresztowali mnie pod zarzutem przebywania w budynku, który zaatakował.

- W takim razie musi pani wyjechać.

- Niepotrzebnie martwisz się o mnie, policja wybiła wszystkich opętanych, którzy brali udział w ataku. Nic mi nie grozi. Dusza Quinna Dextera wróciła tam, gdzie jej miejsce, cierpi męki w zaświatach.

- Nie wiadomo - upierała się Louise. - Jeśli ktoś z nich przeżył, to na pewno on. Niech pani przynajmniej wyjedzie, dopóki policja nie zbada, czy w Edmonton nie ukrywają się jeszcze opętani. Jeśli go nie złapią, przyjdzie znowu. Wiem, że przyjdzie. Dyszy wstrętą żądzą mordu.

Banneth pokiwała głową. Louise zauważyła, że z niechęcią, jakby korzystanie z rad kogoś takiego jak ona uwłaczało ludzkiej godności. Co za arogancja! Pomyśleć tylko, że tyle ryzykowałam, by jej pomóc, nie wspominając o kosztach. Nawet Fletcher machnąłby na nią ręką, gdyby wiedział, jaka jest nieznośna.

- Ostrożności nigdy dosyć - powiedziała Banneth. - Niestety, Quinn zna wszystkich moich znajomych i każdą moją kryjówkę w arkologii. - Przerwała na chwilę. - Pociągi kursują bez przeszkód do połowy arkologii w Europie i większości w Ameryce Północnej, chociaż reszta świata nie do końca wierzy zapewnieniom władz Edmonton. I słusznie.

- Wieczorem wracamy do Londynu - rzekł Ivanov Robson. - Ma tam pani przyjaciół, u których może się zatrzymać?

- Tak samo jak pan, mam trochę znajomości.

- W porządku. Poproszę dowódcę jednostki specjalnej o eskortę na dworzec. W Londynie rozejdą się nasze drogi.

Banneth beznamiętnie wzruszyła ramionami.

\*

Quinn wnikliwie obserwował tę scenę, choć słuchając beczelnych kłamstw Banneth, miał ochotę się wtrącić. Poruszyła go nie tyle treść słów, ile zawarty w nich ładunek emocji. Louise mówiła z autentycznym ferworem. Banneth oczywiście patrzyła na ludzi z góry, chłodnym wzrokiem, podobnie zresztą jak barczysty detektyw, którego zachowanie wydawało się Quinnowi wyjątkowo podejrzane. Istny teatr. Cóż by innego? A jednak kryła się w tym jakaś sprzeczność. Louise Kavanaugh nie czytała scenariusza, nikt jej nie przygotował do występu. Wierzyła w to, co mówi. Ratowała Banneth, bo takie postawiła przed sobą zadanie. Czegoś takiego nie da się podrobić, lecz całością musiały dyrygować supergliny.

W jakim celu? Oto prawdziwy dylemat...

Louise nigdy nie znalazłaby Banneth, gdyby ta się na to nie zgodziła. Dziewczynę prawdopodobnie sprowadziły tu supergliny, żeby Banneth opuściła Edmonton. Z drugiej strony,

Banneth była częścią stworzonej przez nie maszyny i sama umiała o sobie zadbać. Nic nie trzymało się kupy.

Jednej okoliczności nie mógł zignorować: pociągi znów kursowały normalnie. Choć może w tym właśnie tkwił szkopał, klucz do tej całej zagadki. Czyżby chcieli go przydybać na dnie oceanu, w połowie drogi między kontynentami? Tylko skąd będą wiedzieć, że jedzie tym a tym pociągiem?

Ich śladem opuścił biuro i ruszył po schodach, zaprzątnięty myślami. Roztrząsał różnorakie możliwości. Gdyby potrafili mnie wykryć, kiedy jestem w tym stanie, zrobiliby wszystko, żeby mnie zlikwidować. Czyli nie potrafią. A zatem postanowili mnie stąd wywabić. Wiedzą, że chcę dorwać Banneth, dlatego wystawią ją na przynętę. W pociągu nic mi się nie stanie, polowanie Urządzą gdzieś w Londynie. Tam się na mnie zaczają, tam zbudują najsilniejszą warownię i ostatnią linię obrony przed nadejściem nocy.

Uśmiechnął się chytrze i przyspieszył, sunąc wydłużonym krokiem w królestwie duchów. Nie chciał stracić z oczu kompanii. Po tylu nieudanych próbach nareszcie rozpoczynał prawdziwy Armagedon.

Robota była wredna, ale zawsze lepsza niż przeszukiwanie terenu wokół drapaczy gwiazd. Tolton i Dariat jechali powoli ciężarówką przez trawiaste równiny Valiska, szukając ciał serwitatorów. W przeżywającym kryzys habitacie żywność miała kluczowe znaczenie. Podczas panowania Kiery opętani po prostu zużywali zapasy, nie myśląc o ich uzupełnianiu. Potem, po przejściu do ciemnego kontinuum, ocaleni zaczęli zabijać żyjące na swobodzie ziemskie zwierzęta, które straciły przytomność. Pod jaskiniami w północnej czapie biegunowej wykopano wielkie doły na ogień i plemiona Gwiezdnego Mostu przywiązywały zwierzęta do długich tyczek, by piec je nad płomieniami, jak na średniowiecznej uczcie. Złożona z kóz, owiec i królików dieta była monotonna, ale sycąca, a apatyczni ludzie nie protestowali

Operację ostatnio przyspieszono, gdyż pogrążone w dziwnej śpiączce zwierzęta umierały jedno po drugim. Trzeba było je znaleźć i upiec, zanim rozpocznie się rozkład. Przechowywane w najchłodniejszych jaskiniach, dobrze uwędzone mięso pozostawało jadalne nawet po kilku tygodniach, a robienie zapasów żywności podczas wojny było rozsądnym posunięciem. Wszyscy w regimencie potomków Rubry wiedzieli o gościu i cały czas gromadzili potajemnie broń. Reszcie ocalałych o niczym nie powiedziano.

Tolton zastanawiał się, czy im dwóm zlecono to zadanie po to, żeby nie mieli kontaktu z mieszkającymi w jaskiniach uchodźcami.

- Dlaczego osobowość miałaby ci nie ufać? - Zapytał Dariat, gdy uliczny poeta prowadził pojazd wzdłuż krętego strumienia, biegnącego przez jedną z płytkich dolin na południowych stepach. - Jesteś jednym z tych, którzy przeżyli okupację opętanych. Dowiodłeś, że możesz być dla niej użyteczny.

- Chodzi o to, kim jestem. Rozumiesz, w mojej naturze leży zawsze opowiadać się po stronie uciśnionych. Mógłbym ich ostrzec.

- Myślisz, że to by w czymś pomogło? Nawet jeśli ten stwór wróci, nie będą w stanie z nim walczyć. Świetnie zdajesz sobie sprawę, że tylko moi znakomici krewni mogą mieć szansę go zatrzymać. Proszę bardzo, powiedz chorym, że zagraża nam straszliwy, lodowy smok. To na pewno poprawi ich morale. Nie chcę ci prawić kazań, ale uważam, że na czas kryzysu musimy się podzielić na sprawnych i bezradnych. To wszystko.

- Masz rację, do cholery. Ale nie możemy wiecznie utrzymywać ich w nieświadomości.

- To nie będzie wiecznie. Gdy tylko ten stwór wtargnie do środka, wszyscy się o tym dowiedzą.

Tolton uściśnął mocno obiema rękami górną część kierownicy i zwolnił, by móc uważnie obserwować Dariata, gdy będzie mu odpowiadał.

- Myślisz, że wróci?

- Wszyscy się zgadzają, że tak. Za pierwszym razem czegoś od nas chciał, a nam udało się tylko go wkurzyć. Wróci, choćby jego psychologia była najdziwaczniejsza. Są tylko dwa pytania: "Kiedy to się stanie?" i "Czy będzie sam?".

- Niech to diabli. - Tolton znowu dodał gazu i przejechał przez strumień w płytkim miejscu. - A co z wysyłaniem sygnałów? Czy możemy się skontaktować z Konfederacją?

- Nie. Kilka osób nadal nad tym pracuje, ale większość moich krewnych zajmuje się wzmocnianiem instalacji obronnych habitatu.

- A mamy jeszcze jakieś?

- Niewiele - przyznał Dariat.

Tolton zauważył pośród kęp różowej, ksenobiotycznej trawy podejrzanie wyglądający obiekt barwy awokado i zatrzymał ciężarówkę. Ciało wielkiej serwojaszczurki leżało zwinięte na ziemi. To była tegu, stworzona do zadań agronomicznych. Miała półtora metra długości od czubka nosa do końca ogona, a długie palce jej łap przypominały grabie. W Valisku były setki takich jaszczurek, zajmujących się usuwaniem martwej trawy i gałązek gromadzących się na głazach w strumieniach i hamujących ich bieg.

Tolton pochylił się i z wielką ostrożnością dotknął boków stworzenia.

- Nie umiem poznać, czy żyje - poskarżył się.
- Zdechła - zapewnił Dariat. - W jej ciele nie ma energii życiowej.
- Potrafisz to określić?
- Aha. To coś jakby słaba wewnętrzna łuna. Wszystkie żywe stworzenia ją mają.
- Niech to szlag. Naprawdę ją widzisz?
- Tak, to coś podobnego do wzroku. Chyba mój mózg po prostu interpretuje to jako światło.
- Ty nie masz mózgu. Jesteś tylko duchem. Zestawem myśli połączonych w jedną całość.
- Jestem czymś więcej, za pozwoleniem. Nagą duszą.
- Dobra, nie ma powodu się obrażać. - Tolton wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Kto by pomyślał, że duch może stroić fochy?
- Mam nadzieję, że lepszy z ciebie poeta niż humorysta. W końcu to ty musisz podnieść to ścierwo.

Trącił półprzezroczystą nogą martwą jaszczurkę. Uśmiech zniknął z twarzy Toltona.

- O w dupę. - Podeszedł do skrzyni ciężarówki i opuścił klapę. W środku leżały już trzy martwe serwoszympany. - Kozy mi właściwie nie przeszkadzały, ale to trochę przypomina kanibalizm - poskarżył się.
- W niektórych przedindustrialnych społeczeństwach na Ziemi małpie mięso uważano za przysmak.

- Nic dziwnego, że zniknęły bez śladu. Cała młodzież uciekła do miast i żyła długo i szczęśliwie, żywiąc się chińszczyzną na wynos.

Wsunął dłonie pod ciało jaszczurki. Choć skóra była sucha, wyslizgiwała mu się z rąk, a sterczące kości utrudniały porządną uchwyt. Pomarudził pod nosem na brak wciągarki i pociągnął jaszczurkę w stronę samochodu. Ważyła sporo i musiał podzielić wciąganie jej na stromą klapę na kilka etapów. Kiedy wreszcie zwałił ją na ciała serwoszympanów, był spocony z wysiłku. Zeskoczył na ziemię i zamknął klapę.

- Dobra robota - pochwalił go Dariat.
- Wszystko w porządku, dopóki nie muszę ich ćwiartować.
- Powinniśmy już wracać. Mamy spory ładunek.

Tolton odchrząknął na znak zgody. Ciężarówki ogołococono z większości urządzeń. Nie miały kierujących procesorów, wspomagania kierownicy, radaru przeciwwzderzeniowego ani sieci bezpieczeństwa w siedzeniach. Ogniwo połączono bezpośrednio z zamontowanymi w osiach silnikami. Dopływ mocy regulowano jedynie dławikiem. Potraktowane w ten sposób pojazdy funkcjonowały w miarę sprawnie, ale jazda nimi przypominała nieco loterię. A gdy zbyt je obciążono, w ogóle przestawały funkcjonować.

- Dariat - odezwała się osobowość. - Gość wrócił i nie jest sam.
- O Toale. Ilu ich jest?
- Co najmniej dwudziestu paru. Być może więcej.

Dariat po raz kolejny uświadomił sobie, jak wielkiego wysiłku wymaga od osobowości



skupienie wzroku na zbliżających się drobinkach. Nie był pewien, czy zdołała zlokalizować wszystkie. Jak poprzednio, w mrocznej mgławicy na zewnątrz poruszały się blade pasemka koloru turkusowego albo burgundowego. Pomiędzy jej ramionami przeskakiwała grupka bledziutkich, szarych punkcików, które co chwila skręcały gwałtownie, ale wciąż były coraz bliżej. Ich ruch przyprawiał o dezorientację, ale osobowość powinna sobie poradzić z jego śledzeniem.

Dariat wyrzwał na zewnątrz przez brudną szybę ciężarówki. Od północnej czapy biegunowej dzieliło ich trzydzieści kilometrów pofałdowanego stepu i półpustyni. Nagle wydało mu się to wielką odległością. Będą potrzebowali co najmniej czterdziestu minut, żeby tam dotrzeć, pod warunkiem że lepka, różowa trawa nie zrobi się gęstsza, zanim dotrą do polnej drogi. W tym kontinuum niedobrze było być samym przez tak długi czas. Co prawda, jaskinie też nie zapewnią mu bezpiecznego schronienia.

Przyszło mu do głowy, że jest w tym ironia. Przez trzydzieści lat izolował się od ludzi, a teraz nagle zapragnął ich towarzystwa. Nigdy nie zapomni porażającego chłodu, jaki sparaliżował go podczas poprzednich odwiedzin gościa. W tym królestwie jego dusza nie miała żadnej osłony. Jeśli miał umrzeć prawdziwą śmiercią, wolał, żeby stało się to w towarzystwie ludzi. Spojrzał na Toltona.

- Czy ten grat może jechać szybciej? - Zapytał, poruszając przesadnie ustami.

Uliczny poeta obrzucił go spanikowanym spojrzeniem.

- Dlaczego pytasz?

- Dlatego, że teraz byłaby odpowiednia chwila, żeby to sprawdzić.

- Ten skurwiel wrócił?

- Nie sam.

Tolton przekręcił niecierpliwym ruchem dławik, zwiększając szybkość do czterdziestu kilometrów na godzinę. Silniki - z reguły pracujące bezgłośnie - zaczęły przeraźliwie buczeć. Dariat obserwował zbliżających się gości za pośrednictwem więzi afinicznej. Osobowość uaktywniła siedem laserów i dwa masery zamontowane wokół brzegu przeciwbrotowego kosmodromu. Tak jak poprzednio, goście byli niewidoczni na radarowych ekranach.

Pierwsi wypadli już z mgławicy i pomknęli przez pustą przestrzeń w stronę habitatu. Skupiali ciemność wokół siebie, tworząc świetlne rogi zataczające kalejdoskopowe łuki. Optyczne przyrządy namierzyły ich, kierując energetyczną broń na jeden z charakterystycznych wirów. Potężne wiązki uderzyły w gościa, lecz on tylko przyspieszył obroty, wijąc się szaleńczo wokół swej trajektorii. Wieże zniekształconej światłości stawały się coraz wyższe i jaśniejsze. Potem intruz skrył się za szczytami drapaczy gwiazd, wychodząc z zasięgu broni. Wiązki przesunęły się na następny cel, ale jemu również nie wyrządziły żadnej szkody.

Osobowość przerwała ogień. Lęk szerzył się wśród potomków Rubry na podobieństwo mentalnego wirusa. Czekali, co teraz zrobią goście. Rozdano przygotowaną do użytku broń osobistą, ale nikt nie wiązał z nią zbyt wiele nadziei. Jeśli intruzów nie miały się lasery kosmodromu, karabiny - choćby największego kalibru - z pewnością okażą się całkowicie bezużyteczne. Nikt jednak nie odmówił przyjęcia broni. Ciężki, niszczycielski sprzęt trzymany w dłoniach zawsze poprawiał nastrój.

\*

Orgathe prowadził rój swych pełnych zapału krewniaków w stronę wielkiego, żywego obiektu, grzejąc się w falach tak beztrąsko przezeń emitowanego ciepła. Przybyli tu, by uniknąć absorpcji, która była losem czekającym wszystkie istoty w ciemnym kontinuum, pożreć tyle energii życiowej, ile tylko zdołają, zanim powrócą do melanzu. Gdy już to uczynią, bardzo wiele pogrzebanych w nim jestestw zdobędzie moc, która pozwoli im zmartwychwstać, odzyskać

indywidualność, a kiedy to się stanie, cały melanz osłabnie, być może nawet rozpadnie się na krótki czas. Nigdy jednak nie zdobędą tyle energii, by wszyscy mogli wrócić do stanu poprzedzającego upadek. Ten przywilej można było przyznać jedynie tym, którzy sami zdobyli moc.

Dlatego właśnie wezwał pozostałych, najpotężniejszych z ich rodzaju, tych, którzy byli w stanie oddalić się od melanzu na znaczny dystans. W pojedynkę nie zdołał zdobyć obiektu szturmem, ale może wspólnie im się uda. Warto było podjąć każde ryzyko, by zdobyć energię, która mogła im umożliwić ucieczkę z ciemnego kontinuum.

Orgathe był coraz bliżej. Przez warstwę energii życiowej położoną pod powierzchnią obiektu przebiegały potężne fale myśli skupiającej się na nim. Z martwej sekcji na dalszym końcu wytrysnęły słupy energii typu bezużytecznego dla Orgathe. Zamknął przed nią swe granice, pozwalając, by sphywała po nim bez szkody. Kiedy zbliżył się do powierzchni, słupy energii zniknęły. Kuzyni podążali za nim. Obfitość energii pobudziła ich głód i wymieniali teraz triumfalne krzyki.

Miał przed sobą puste w środku wyniosłości, sterczące ze środkowej części obiektu. Orgathe przyspieszył i utwardził powłoki, lekkomyślnie wydatkując energię. Przypominał sobie taflę przezroczystej materii, na której wylądował poprzednio. Łatwo było ją zidentyfikować wśród tysięcy identycznych na całej wyniosłości. To była martwa sekcja, pozbawiona ciepła i energii życiowej. Tym razem nie zwolnił.

Okno baru Homera zapadło się do wewnątrz z przerażającą gwałtownością. Krystaliczne fragmenty wpadły do środka, przecinając meble. Pokryte warstwą lodu stoły i krzesła rozpadły się, przerodziły w kłęby błyszczących, srebrnych drobin. Potem cały wir zmienił kierunek i wypadł z wyciem przez wybite okno. Poważnie nadwerężone drzwi do przedpokoju rozpadły się i do środka napłynęło powietrze.

Wszystkie śluzy awaryjne na dwudziestym piątym piętrze zaczęły się zamykać. To były mechaniczne, samonapędzające się systemy, uruchamiane przez proste mierniki ciśnienia, i większości z nich nie zaszkoziła choroba wywołana pobytem w ciemnym kontinuum. Tylko nieliczne z membran mięśniowych drapacza gwiazd zareagowały na potencjalnie śmiertelne zagrożenie.

Osobowość skupiła się i zamknęła membrany wokół holu Dzerby, a potem próbowała dotrzeć do niżej położonych pięter. Jej procesy myślowe napotkały jednak falę wycieńczenia, która stawała się coraz silniejsza, w miarę jak osobowość zapuszczała się niżej. Mogła odbierać tylko bardzo niewyraźne obrazy z dwudziestego piątego piętra.

Orgathe uczepił się brzegu okna baru kilkoma wyrostkami, czekając, aż huragan ucichnie. Wypadające w przestrzeń butelki eksplodowały w locie, a egzotyczne trunki zamarzały natychmiast po uwolnieniu się ze szkła, tworząc dziwaczne, cebulowate kształty. Wszystko, co uderzało w Orgathe, odbijało się od niego i niknęło w pustce. Gdy tylko świst powietrza nieco zmalął, intruz wtargnął do wnętrza. Ściana, z której wypadły drzwi, po prostu rozpadła się pod jego naporem.

Osobowość nadal nie odbierała wyraźnego obrazu posuwającego się przez hol Orgathe. Zmysłowe komórki postrzegały jedynie guzowaty cień ciemniejszy od wypełniającego pomieszczenie mroku. Osobowość habitatu musiała skierować część uwagi na następnych Orgathe, którzy wdzierali się do środka przez inne okna. W całym opuszczonym drapaczu gwiazd śluzy i membrany mięśniowe zamykały się w desperackiej próbie powstrzymania ucieczki powietrza.

Orgathe cały czas posuwał się naprzód, poszukując skupisk energii życiowej, którą mógłby pochłoniąć. Była tu bardzo rozcieńczona, w niczym nie przypominała bogatej warstwy ukrytej pod powierzchnią obiektu. Intruz instynktownie parł naprzód, w stronę tego gigantycznego źródła. Płaskie płyty materii pękały, gdy się przez nie przedzierał. Obok niego przemykały ze świstem kolejne

powiewy gazu. Potem znalazł, czego szukał, ciągły strumień nasyconego energią życiową płynu, biegnący wzdłuż środka drapacza gwiazd. Zbliżył się do niego najbardziej, jak tylko mógł, wysysając ciepło z otaczającej strumień grubej warstwy materii, aż wreszcie jej zewnętrzna ściana zaczęła pękać. Potem kilka jego wyrostków przewierciło się przez ścianę i zanurzyło koniuszki w strumieniu. Do ciała Orgathe napłynęła słodka energia życiowa, pozwalając mu odzyskać siły po znacznym wysiłku. Zatrzymał się i zaczął pochłaniać niewyczerpany strumień, osiągając rozmiary, które przedtem nie były dla niego możliwe.

\*

Do pierścienia nędznych chat otaczającego hol Dzerby zbliżały się trzy ciężarówki. W każdym pojeździe siedziało po dwóch ludzi: niespokojny kierowca i jeszcze bardziej podenerwowany strażnik, uzbrojony w wielkokalibrowy karabin. Posuwali się wolno naprzód błotnistymi drogami między ruderami. Ciężkie koła wgniatały w grunt puszek i puste saszetki.

Minęli rudery i zatrzymali się tuż przed holem. Jak wszystkie wewnętrzne budynki w Valisku gmach był bardzo ozdobny. Kopułę pokrywały liczne szeregi pochyłych okien z białego polipa, zwieńczonych kolistymi wierzchołkami z żółtego kryształu. Wewnątrz można było znaleźć komplety mebli i marmurowe posadzki typowe dla wszystkich ludzkich stacji podróży. Kilka rozbitych szyb w najniższym szeregu oraz rozwalone meble, walające się po podłodze, były jedynym śladem po bitwach między Kierą a Rubrą. Tolton obrzucił to wszystko zblazowanym spojrzeniem.

- Boże, naprawdę nie sądziłem, że jeszcze kiedyś tu wrócę - mruknął.

- Nie ty jeden - dodał Dariat.

Siedząca na miejscu dla pasażera Erentz wysiadła z ciężarówki, kierując karabin przed siebie, w głąb pomieszczenia. Goście przebywali w Valisku już od trzydziestu godzin. Przez cały ten czas żaden z nich nie opuścił drapacza gwiazd ani nie próbował atakować mieszkańców. Gdyby nie wybite okna i zamknięte śluzы awaryjne, nie byłoby żadnych dowodów ich obecności. Posunęli się do desperackich kroków, żeby dostać się do środka, i podobna bierność głęboko wszystkich zaniepokoiła. Osobowość była zdeterminowana ustalić, co knują ukrywający się w drapaczach gwiazd intruzi.

Szyby wind znajdowały się w centrum holu. Szeroka kolumna z szarego polipa sięgała w górę na połowę odległości do szczytu z żółtego kryształu. W łukowatą ścianę wprawiono srebrzyste, mechaniczne drzwi. Jedne z nich otworzyły się przed zbliżającą się grupą. Erentz postawiła na podłodze wielką walizkę ze sprzętem i wychyliła się nad krawędzią, żeby spojrzeć w dół. Szczyt windy nie był widoczny. W okrągłym szybie biegły pionowe szyny, które po kilku metrach niknęły w mroku. Włączyła latarkę, ale ujrzała tylko dalszy odcinek szyn oraz kolejne drzwi przeciwpożarowe. Gdyby nachyliła się bardziej, mogłaby też zobaczyć drzwi na dole.

- Sądząc z tego, co widzę, gość znajduje się obecnie na dwudziestym drugim piętrze - oznajmiła osobowość. - Udało mi się odciąć piętra położone niżej i na dwudziestym drugim panuje normalne ciśnienie powietrza. Na dwudziestym trzecim również. Na dwudziestym czwartym atmosfera jest znacznie rozrzedzona, a na dwudziestym piątym mamy próżnię. Erentz, dla ciebie jedyna droga ucieczki wiedzie w górę. Dariat, ty pewnie możesz się przedostać przez niższe piętra. Próżnia nie powinna ci zbytnio przeszkadzać.

Dariat skinął z zamyśleniem głową.

- Sprawdźmy tę teorię, dobra? Zresztą dokąd miałbym się udać, kiedy już dotrę na dół?

Przygotowania zajęły im dwadzieścia minut. Troje członków grupy zmontowało przyniesioną wciągarkę, mocując ją potężnymi sworzniami do posadzki. Reszta pomogła Erentz włożyć srebrnoszary skafander. Zdecydowali się na termiczny kombinezon, chroniący użytkownika przed

ekstremalnymi temperaturami. Gruba warstwa izolacji przypominała strukturą molekularną piankę z nultermu używaną w gwiazdolotach. To rozwiązanie miało tylko jedną wadę - uniemożliwiało ucieczkę ciepła produkowanego przez ciało. Noszący skafander człowiek ugotowałby się na śmierć przed upływem pół godziny. Dlatego Erentz musiała wdziać obcisły kombinezon regulacyjny z absorbującej ciepło tkaniny. Mógł on pochłaniać ciepło jej ciała przez całe siedem godzin, zanim trzeba będzie go opróżnić.

- Jesteś pewna, że to zadziała? - Zapytał Tolton, łącząc szczelnie rękawice z rękawami. Skafander wyglądał jak nadmuchany i Erentz przypominała w nim arktycznego narciarza.

- Już go raz spotkałeś - odparła. - On ma jakiegoś rodzaju zdolność aktywnego pochłaniania ciepła. Będę potrzebowała osłony na wypadek, gdybym za bardzo zbliżyła się do niego. Nie mogę ryzykować włożenia skafandra SII, nie w tym kontinuum. Nie ma gwarancji, że w ogóle będzie działał poniżej pierwszego piętra.

- Dobra, jeśli jesteś zadowolona...

- Nie jestem.

Włożyła maskę i dopasowała ją wygodnie. Skafander nie był hermetyczny, ale maska zapewniała dopływ powietrza o stałej temperaturze.

Tolton wręczył jej pałkę neuroparalizatora. Jej zaostzony koniec mógł razić impulsami o napięciu dziesięciu tysięcy wolt.

- To powinno go powstrzymać. Pałka potrafi odesłać opętanych z powrotem w zaświaty, a gość też wyraźnie się jej bał.

Kobieta uniosła pałkę, a potem zatknęła ją sobie za pas obok pistoletu laserowego i noża rozszczepieniowego.

- Czuję się, jakbym szła drażnić tygrysa - wymamrotała pod maską.

- Wybacz, ale naprawdę musimy się dowiedzieć, co kombinują te stwory - odezwała się osobowość.

- Aha, wiem.

Opuściła zasłonę hełmu. Oglądany przez grubą warstwę przezroczystego materiału świat miał lekko turkusową barwę.

- Gotowy? - Zapytała Dariata.

- Tak.

Jego afiniczny głos mógł wypowiedzieć to słowo, ale umysł był innego zdania.

Lina wciągarki nawinięta na kołowrót u szczytu szybu kończyła się kilkoma paskami. Erentz przytwierdziła je do uprząży, którą miała na ciele. Nad paskami znajdowała się prosta sterownica na giętkiej szypulce. Umieszczono na niej cztery przyciski, kierujące pracą wciągarki. Kobieta pociągnęła za cienką linę, sprawdzając jej wytrzymałość.

- To molekularne włókno silikonowe - wyjaśnił jeden z inżynierów, którzy zmontowali urządzenie. - Absolutnie niezawodne. Wytrzyma ciężar stukrotnie większy od twojego. - Wskazał na mały, przypominający przełącznik uchwyt umieszczony między dwoma paskami. - To twój przełącznik szybkiego powrotu. Lina jest owinięta wokół bębna jak sprężyna. Im niżej schodzisz, tym silniej się napręża. Jeśli będziesz musiała szybko wracać, zapomnij o sterownicy i po prostu pociągnij za przełącznik. Lina zwinie się w mgnieniu oka. Co więcej, to czysto mechaniczny proces i żaden demon go nie zakłóci.

- Dziękuję. - Erentz dotknęła z szacunkiem małego przełącznika. Widywała, jak chrześcijanie dotykają w ten sposób krucyfiksu. Potem podeszła do brzegu szybu, włączając światła na hełmie i na nadgarstkach. - Ruszajmy.

Dariat skinął głową i stanął za kobietą, obejmując ją ramionami, ugiął nogi i owinał je wokół nóg Erentz, zaczepiając o siebie stopy między jej kostkami. Czuł się, jakby trzymał się jej naprawdę. Chyba nie odpadnę.

Erentz skoczyła do szybu i zawisała nad czarną pustką, wirując ospale. Dariat był całkowicie nieważki. Zdawała sobie sprawę z jego obecności tylko dzięki bledziutkiemu światłu, emanującemu z oplatających ją ramion.

- Dobra, chodźmy sprawdzić, co on kombinuje.

Nacisnęła przycisk rozwijający linę i zaczęła się powoli opuszczać. Nad sobą widziała troje tłoczących się w ciasnym wejściu ludzi, odprowadzających ją spojrzeniami. Dwadzieścia dwa piętra to długa droga, kiedy ktoś wisi na niewidzialnej linii w nieprzeniknionej ciemności.

- Poziome uszczelnienie ciśnieniowe na trzydziestym piętrze jest zamknięte - poinformowała ją osobowość. - Różnica wysokości nie jest tak straszna, jak sobie wyobrazasz.

- Staram się w ogóle tego sobie nie wyobrażać - odcięła się ze złością.

Dariat nie odzywał się ani słowem. Całą jego uwagę pochłaniało drzenie nóg. W tej nienaturalnej pozycji jego mięśnie ciągle łapały kurcze. Raz po raz powtarzał sobie, że to wyjątkowo głupia skarga, jak na ducha. Mijali kolejne drzwi, srebrne płyty przytwierdzone do polipa za pomocą sieci metalowych poręczy. Przy wszystkich umieszczono skrzynki serwomotorów. Na każdym piętrze Dariat próbował połączyć się z komórkami zmysłowymi, żeby sprawdzić, co dzieje się w holu, ale warstwy neutralne poważnie ucierpiały od osłabiającego wpływu ciemnego kontinuum. Toczące się w nich procesy myślowe były powolne i splątane, ujrzał więc tylko skąpe obrazy pograżonych w mroku korytarzy. Na dwudziestym pierwszym piętrze zniknęły nawet one. Dariat poczuł się poważnie zaniepokojony. Te zaburzenia spowodował gość. Wydawał się czymś w rodzaju antybytu, pochłaniał życie i ciepło niczym jakiś mglisty horyzont zdarzeń. Nie można by sobie wyobrazić nic bardziej obcego. - Jesteśmy na miejscu - oznajmiła Erentz. Zwolniła, a po chwili zatrzymali się na poziomie drzwi prowadzących do holu na dwudziestym drugim piętrze.

- Chyba już dłużej nie wytrzymam - poskarżył się Dariat - Rozbolały mnie ramiona.

W umyśle Erentz pojawiło się lekkie niedowierzanie, ale kobieta darowała sobie komentarze. Zaczęła się kołysać z narastającym impetem, za każdym razem bardziej się zbliżając do ściany szybu. Bez trudności złapała się przypór i rur przy drzwiach, a potem przycisnęła się do polipa, wspierając stopy na obudowie zamykającego drzwi silnika. Na górnej poręczy umieszczono metalowy przełącznik. Erentz przesunęła go o dziewięćdziesiąt stopni i drzwi otworzyły się z cichym sykiem sprężonego powietrza.

Trzymając jedną rękę na przełączniku szybkiego powrotu, przesunęła się wzdłuż dolnej poręczy ku wejściu i wyszła na zewnątrz.

- Na razie wszystko w porządku - poinformowała osobowość i śledzących jej poczynania krewnych. W holu było tak samo ciemno jak w szybie. Nawet światła awaryjne przestały działać. Wszystkie powierzchnie, na które padał blask jej reflektorów, lśniły od szronu. Instrumenty skafandra pokazywały temperaturę pięćdziesięciu stopni poniżej zera. Do tej pory urządzenia elektroniczne funkcjonowały niemal bez zakłóceń.

Erentz odpięła ostrożnie linę i przytwierdziła ją do przypory tuż za drzwiami, gdzie w razie potrzeby będzie mogła szybko ją znaleźć. Oboje z Dariatem obejrzelni afincicznie plan piętra. Przybliżone położenie gościa symbolizowała czarna plama. Nie było to zbyt precyzyjne, oboje wiedzieli też, że ponieważ wszystkie elektroniczne i technobiotyczne systemy przestały działać, intruz mógł się przemieszczać niepostrzeżenie.

To był jeden z powodów, dla których osobowość chciała, żeby Dariat towarzyszył Erentz

podczas rekonesansu. Wiedzieli, że gość wpływa na niego w jakiś sposób. Sugerowało to, że może on być w stanie wyczuć jego obecność, co dla zamkniętej w izolującym skafandrze Erentz zapewne nie będzie możliwe. Ta teoria nie brzmiała zbyt przekonująco i Dariat zgodził się uczestniczyć w wyprawie właściwie tylko dlatego, że jak mało kto wiedział, iż sytuacja jest bardzo poważna. Osobowość niczego przed nim nie ukrywała, traktowała go niemal jak przedłużenie samej siebie, obdarzoną wyjątkową swobodą ruchu jednostkę obserwacyjną albo "zwierzątko domowe", jak myślał niekiedy Dariat. Jeśli chcieli wysłać wiadomość do Konfederacji, rozpaczliwie potrzebowali konkretnych danych na temat ciemnego kontinuum. Do tej pory sondy i czujnie analizy kwantowej nie dostarczyły im niemal żadnych informacji. Jedynym możliwym źródłem nowych danych pozostawał gość. Wyglądało na to, że potrafi manipulować stanami energii, a to mogło okazać się cenne.

- Ziemski przepis na omlet - wyszeptał bezgłośnie Dariat. Najpierw ukradnij kilka jaj.

- Chodźmy - ponagliła go Erentz.

Bez względu na wszelkie wysiłki Dariat nie potrafił wykrzyć w jej umyśle strachu. Była niespokojna, ale szczerze wierzyła, że sobie poradzą.

Ruszyli przed siebie skręcającym lekko korytarzem, zmierzając w kierunku gościa. W odległości piętnastu metrów od windy w podłodze wybito wielką dziurę. Wyglądało to jak ślad po bombie. Warstwy polipa zamieniły się w wielkie odłamki i drobny pyłu. Z przerwanych kanalików wyciekały płyn odżywczy, woda i szlam. Spływające po gruzach strumyczki szybko zamieniały się w szary, matowy lód. Erentz i Dariat przystanęli na brzegu otworu i spojrzeli w dół.

- Nie mamy szans z tym stworem - stwierdził Dariat. - Święty Anszidzie, popatrz, co on potrafi zrobić. Jest kurewsko silny! Polip ma tu przeszło dwa metry grubości. Musimy stąd zmiatać.

- Uspokój się - skarciła go osobowość. - Kto słyszał, żeby duch się bał?

- Usłysz o tym i płacz. To samobójstwo.

- Sama siła fizyczna nie mogłaby tego dokonać - stwierdziła Erentz. - Zimno również miało swój udział. Polip robi się kruchy jak szkło, jeśli wystarczająco obniżyć jego temperaturę.

- To mnie bardzo pociesza - odparł wzgardliwym tonem Dariat.

- Osobowość ma rację. Nie powinniśmy zmykać tylko z tego powodu. To po prostu dowód, że gość używa zimna w taki sam sposób, jak my używamy gorąca. Gdybyśmy chcieli przebić się przez ścianę, ogrzalibyśmy ją za pomocą laserów albo pola indukcyjnego. To przykład logiki typowej dla tego kontinuum. Skupienie energii potrzebnej, by coś ogrzać, jest tu niewiarygodnie kosztowne. Dlatego goście stosują odwrotne rozwiązanie.

- Ale nie wiemy, jak to robią - zauważył Dariat. - Dlatego nie możemy się przed tym bronić.

- To znaczy, że po prostu musimy się tego dowiedzieć - odparła Erentz. - Musisz też przyznać, że jeśli gość porusza się w ten sposób, z całą pewnością usłyszemy, jak się zbliża.

Dariat zaklął, gdy kobieta ruszyła naprzód po otaczającym otwór gruzie. Teraz już rozumiał, dlaczego osobowość wybrała właśnie ją. Miała w sobie więcej lekkomyślnego optymizmu niż cała eskadra pilotów oblatywaczy. Podążył za nią z niechęcią.

Coś wryło w podłodze głębokie bruzdy, rozdierając cytrynowo-szkarłatny dywan. Na nagim polipie pod spodem co jakieś dwa metry było widać małe kraterki formujące trójkąty. Dariat nie miał trudności z wyobrazeniem sobie, że to ślady pazurów. Gość przedarł się przez hol, rozbijając ściany i niszcząc sprzęt oraz meble. Potem skręcił ku wnętrzu drapacza gwiazd. Według osobowości zatrzymał się przy samym rdzeniu. Nagle zobaczyli, że drzwi dużego apartamentu zniknęły bez śladu razem ze sporym fragmentem otaczającej je ściany. Erentz zatrzymała się kilka metrów przed nimi i włączyła reflektory na nadgarstku, żeby zajrzeć do otworu.

- Hol po drugiej stronie jest nieuszkodzony - zameldowała. - Gość z pewnością tam jest.

- Zgadzam się.
- Jesteś tego pewien?
- Jestem duchem, nie jasnowidzem.
- Wiesz, o co mi chodzi.
- Wiem. Jak dotąd czuję się dobrze.

Przyklęknęła i odpięła od pasa przyrządy pomiarowe, by przytwierdzić je do składanej teleskopowo tyczki.

- Najpierw sprawdzę obraz w świetle widzialnym i w podczerwieni, z programami interpretującymi widmo i emisję cząstek. Żadnych aktywnych pomiarów.

- Spróbuj też zmierzyć pole magnetyczne - zasugerowała osobowość.

- Dobra. - Erentz dodała do skupiska jeszcze jeden instrument, po czym obejrzała się na Dariata. - Wszystko w porządku?

Skinął głową i kobieta rozciągnęła ostrożnie tyczkę. Dariat odbierał afinicznie wyniki bezpośrednio od technobiotycznego procesora, kierującego działaniem instrumentów. Na błądy obraz oszronionej ściany nakładały się półprzezroczyste płachty koloru, migające dyfrakcyjnymi wzorami - wyniki przedstawiane przez programy analityczne, zupełnie niezrozumiałe dla Dariata. Usunął z pola świadomości wszystko poza nieprzetworzonym obrazem w świetle widzialnym i w podczerwieni.

Obraz przesunął się za brzeg roztrzaskanej ściany. Za nią nie było nic.

- Czy instrumenty działają? - Zapytał.

- Tak. Tam w ogóle nie ma światła ani żadnych elektromagnetycznych emisji. To dziwne, w podczerwieni ściany powinny być widoczne, choćby nawet były najzimniejsze. Wygląda na to, że gość zamknął otwór czymś w rodzaju energetycznej barykady.

- Przejdźmy na aktywne metody obserwacji - zasugerował Dariat. - Laser, być może radar.

- Prościej będzie po prostu tam zajrzeć - wtrąciła osobowość.

- Wykluczone! Nie mamy pewności, czy to tylko energetyczna barykada. Za rogiem może się ukrywać sam gość.

- Gdyby był tak blisko, zapewne już byś go wyczuł.

- Nie możemy być tego pewni.

- Przestań jęczeć jak stara baba i zajrzyj do środka.

Erentz złożyła już tyczkę. Nie zamierzała poprzeć Dariata.

- Dobra, zrobię to. - To był jeszcze gorszy pomysł niż ta pigułka samobójstwa, którą połknął w apartamencie Bospoorta. Wtedy przynajmniej wiedział, czego się spodziewać. - Oświetl wnętrze najjaśniej, jak możesz - powiedział do Erentz.

Kobieta zatknęła ostatni instrument za pas i wyciągnęła pistolet laserowy oraz małą raketnicę.

- Gotowa.

Oboje przeszli na drugą stronę holu, żeby łatwiej mógł zajrzeć do środka. Erentz skierowała hełmowe reflektory na otwór, a duch podkraść się do niego. Nie było tam nic widać. Równie dobrze mogliby próbować oświetlić zimną gwiazdę neutronową.

Dariat przystanął naprzeciwko wyrwy.

- Niech to szlag. Może to faktycznie horyzont zdarzeń. Nic, za cholere, nie widzę.

Wyglądało to tak, jakby granica apartamentu była granicą wszechświata. Nieprzyjemna analogia, biorąc pod uwagę ich sytuację.

- Przechodzimy do drugiego etapu - oznajmiła Erentz. Uniosła raketnicę i wycelowała w otwór. - Może w ten sposób coś zobaczymy.

- Nie powinniśmy podejmować ryzyka - powiedział pospiesznie Dariat.

- Znakomicie - odezwała się osobowość. - Ponieważ z zewnątrz nic nie możesz zobaczyć i nie chcesz wystrzelić flary, to może po prostu tam wejdiesz, żeby się rozejrzeć.

- On może uznać flarę za broń - argumentował Dariat.

- Co więc sugerujesz?

- Chciałem tylko powiedzieć, że ostrożność nigdy nie zawadzi.

- Podjęliśmy wszelkie możliwe środki ostrożności. Erentz, wystrzel flarę.

- Chwileczkę! - W zasłonie ciemności pojawiły się jakieś ledwie dostrzegalne zaburzenia.

Słabe cienie przemknęły przez nią wężowym ruchem, świadcząc, że w głębi coś się poruszyło. Nieprzenikniony mrok odpłynął niespieszną falą, odsłaniając przed Dariatem brzegi apartamentu. Jego umysł zarejestrował, że palec Erentz dotyka spustu rakiety. Kobieta nie miała zamiaru wracać, nie zdobywszy żadnych użytecznych informacji o gościu. - Nie! Nie rób...

Flara przemknęła przez hol. Oślepiająco biały rozbłysk magnezji przebił pseudozasłonę zamykającą wyrwę i Dariat zajrzał do zdewastowanego pomieszczenia.

\*

Paradoksalnie, nowo zdobyte siły osłabiły Orgathe jako całość. W miarę jak pochłaniał siłę życiową zawartą w strumieniu płynu, jego do tej pory uspieni jeźdźcy zaczęli wyrwać się na swobodę. Nie był już pojedynczą istotą. Kolektyw, który dał mu początek, zaczynał się rozpadać. Przedtem wszyscy łączyli swe skromne resztki energii życiowej w jedną całość, tworząc synergistyczną kombinację, która pozwoliła im wyrwać się z melanzu. Razem byli silni. Teraz jednak energii życiowej było tak wiele, że każdy z nich mógł stać się silny w pojedynkę. Nie potrzebowali już jedności.

Fizycznie pozostali w tym samym miejscu. Nie mieli powodu się ruszać. Wręcz przeciwnie, było wskazane, by tu zostali, żeby nasycić się energią życiową, która pozwoli im zdobyć niezależność. Nie osiągnęli jeszcze tego celu, ale byli bardzo blisko. Fizyczna postać Orgathe zmieniała się stopniowo w oczekiwaniu na tę wspaniałą chwilę. Jego wnętrze zaczęło się dzielić w parodii biologicznego podziału komórkowego, a każda sekcja przybierała odmienny kształt. Orgathe stał się macicą, w której kształtowało się kilkanaście odrębnych gatunków.

Nagle wyczuł, że zbliżają się dwa jestestwa. Płomienie ich energii życiowej były za słabe, by warto było się dla nich wysilać. Płyn dostarczał jej znacznie więcej, niż mogłoby mu dać pochłanianie indywidualnych osobników. Orgathe po prostu owinął się barierą ciemności i zerował dalej.

Erentz wystrzeliła flarę w głąb apartamentu. Dariat zobaczył potężne cielsko Orgathe przylegające do tylnej ściany, obwisłą membranę, czarną i błyszczącą, pokrytą wiotkimi wyrostkami. Każdy z nich pulsował w odrębnym rytmie, jakby pod spodem coś się po ruszało. Przypominające macki pasma nagich mięśni owijały się wokół ciała tak ciasno, że aż drżały z napięcia.

Raca odbiła się od ściany i spadła na oszroniony dywan. Płomień przeżarł się do polipa. Pomieszczenie wypełniły światło i ciepło. Orgathe potrafił się osłonić przed pierwszym, ale nie przed drugim. Żar przeniknął do jego segmentów, niosąc ze sobą falę bólu.

Orgathe spadł ze ściany, rozpadając się na fragmenty niczym gnijący owoc. Z dwóch otworów, przez które ssał pokarm, trysnęły strumienie zamarzającego szlamu. Potężna, spieniona fala uniosła ze sobą groteskową menażerię zmiennokształtnych stworzeń. Wszystkie one przetaczały się chaotycznie w słabnącym świetle, wzburzając płyn. Nogi o wielu stawach prostowały się chwiejnie niczym nowo narodzony jelonek, który próbuje stanąć. Mokre skrzydła łopotały bezsilnie, przyskajac kaskadami lepkich kropel, paszcze, dzioby i gardziele rozwierały się, wciągając bezgłośnie



powietrze.

- O kurwa - jęknął Dariat. Gdy przekazał wszystkim ten obraz, całe pasmo afiniczne habitatu umilkło, porażone grozą.

Erentz cofnęła się od wyrwy. Po jej nogach przebiegły zimne dreszcze strachu. Flara zgasła, wypuszczając jeszcze ostatni obłoczek dymu. Na chwilę przedtem Dariat miał wrażenie, że stwory stają się bardziej solidne, ich skóra twardnieje. W ciemności rozległ się trzask, który mógł być kłapinięciem zębów w olbrzymiej paszczy. Zawroty głowy uderzyły go z siłą gumowej pałki. Oddalił się chwiejnym krokiem od apartamentu, niemal nie zauważając świateł skafandra Erentz, które podskakiwały jak szalone. Kobieta zerwała się do biegu.

- Ruszaj się, Dariat! - Gwałtowny niepokój słyszalny w głosie osobowości skłonił ducha do postawienia kilku niepewnych kroków. - Szybciej, chłopcze. Spierdalaj stamtąd.

Przeszedł kilka kolejnych kroków, łkając z powodu słabości, która poraziła jego widmowe członki. Do jego umysłu, choć nie przez bramę afiniczną, wniknęła świadomość przeraźliwego głodu gościa. Pokonał jeszcze kilka metrów, zanim sobie uświadomił, że zmierza w niewłaściwą stronę. Z jego gardła wyrwał się żaloszny jęk rozpacz:

- Anastazjo, ratuj mnie.

- Szybciej, chłopcze. Ona nie chciałaby, żebyś się poddał. Nie w tej chwili. - Rozgniewany myślą, że wspomnienie o niej wykorzystano przeciwko niemu, Dariat obejrzał się przez ramię. Światła skafandra uciekającej Erentz niemal zniknęły mu z oczu. Ich słabnący błysk przesłoniła aureola ciemności. Nogi omal nie załamały się pod nim na ten widok. - Idź. Wskażę ci drogę wyjścia.

Dariat postawił jeszcze parę niepewnych kroków, zanim dotarli do niego słowa osobowości.

- Którędy?

- Następnym szybem windy. Drzwi są zablokowane w pozycji otwartej.

Dariat widział bardzo niewiele. Nie tylko z powodu braku światła jego pole widzenia przesłaniała szara mgiełka. Odnalazł szyb windy, kierując się wyłącznie pamięcią wspomaganą przez osobowość. Cztery, pięć metrów przed nim, z lewej strony.

- W czym mi to pomoże? - Zapytał.

- To proste. Winda zablokowała się dziesięć pięter niżej. Po prostu skocz do szybu. Wylądujesz na dachu i wyjdiesz drzwiami. Potrafisz to zrobić, jesteś duchem.

- Nie dam rady - zawył. - Nic nie rozumiesz. Stała materia jest obrzydliwa.

- W przeciwieństwie do gościa, którego masz za plecami? Dariat załkał, przesunął dłonią wzdłuż ściany i znalazł otwarte drzwi. Gość posuwał się w jego stronę płynnie i bezgłośnie. Ducha ogarniał coraz silniejszy chłód. Osunął się na kolana na brzegu szybu, jakby się modlił.

- Nie dziesięć pięter. To mnie zabije.

- Jak sądzisz, które z litych kości w twoim przezroczystym ciele mogą się złamać? Posłuchaj, co ci powiemy, ty mały przygłupie. Gdybyś miał choć za grosz wyobraźni, po prostu opadłbyś do holu, przenikając przez ściany. A teraz skacz!

Dariat czuł, że polip wokół umiera. Gość był coraz bliżej.

- Pani Chiri, ratuj mnie.

Skoczył do mrocznego szybu.

Erentz uciekała w głąb holu tak szybko, jak tylko mogła. Coś zmniejszało wydajność mięśni przerażonej kobiety. Czowała się słabo. Dręczyły ją mdłości. Potykała się na pełnym nierówności dywanie.

- Uciekaj - nalegała z pasją osobowość.

Nie oglądała się za siebie. Nie musiała. Wiedziała, że coś ją ściga. Podłoga wibrowała w

rytm ruchów potężnego cielska. Raz po raz słyszała przenikliwe zgrzytnięcia rozdzieranego pazurami bądź kłami polipa. Chłód przenikał jej skafander, jakby nie było w nim izolacji. Nadal nie spoglądając za siebie, uniosła laserowy pistolet i wystrzeliła na oślep całą serię impulsów. Ścigającemu to najwyraźniej nie zaszkodziło.

Ujrzała afinicznie czekającą w holu grupę. Krewni Erentz ściskali w rękach broń, dotykając bezpieczników.

Pozbawionego więzi afinicznej Toltona nieświadomość doprowadzała do szału.

- Co się dzieje? Co się dzieje? - Wykrzykiwał.

- Zbliżasz się do dziury w podłodze - ostrzegła Erentz osobowość.

- Cholera!

To miał być krzyk złości, ale zabrzmiał jak płaczliwy jęk. Jej ciało ważyło dwukrotnie więcej niż normalnie. Słabość zwiększała jeszcze strach, spowijając całunem umysł kobiety.

- Przeskoczysz ją z łatwością - zapewniła osobowość.

- Nie zwalniam biegu. To tylko kwestia wyboru odpowiedniej chwili i dobrego odbicia.

- Gdzie Dariat? - Zapytała nagle.

- Jeszcze cztery skoki. Skup się. - Miała wrażenie, że już traci równowagę. Pochyliła się za bardzo do przodu i musiała zamachać rękami, żeby się nie przewrócić. Brzeg był coraz bliżej. Kolana się pod nią ugięły, a ona nie wiedziała dlaczego. - Teraz! - Rozkaz osobowości wypełnił jej mięśnie ogniem. Erentz przeskoczyła dziurę, wyciągając ręce przed siebie. Padła na podłogę i przetoczyła się boleśnie, zahaczając łokciami i kolanami o każdy chyba okruch gruzu. - Wstawaj. Jesteś już prawie na miejscu. Ruszaj się! - Podniosła się, jęcząc z bólu. Kiedy się odwracała, światło reflektorów padło na drugą stronę dziury. Erentz krzyknęła przeraźliwie. Ścigał ją sam Orgathe, nadal największy i najpotężniejszy z rozpadłego kolektywu.

Posuwał się w ślad za małym jestestwem, pomagając sobie pazurami. Nie było mowy, żeby mógł tu latać. Mimo że separacja z pozostałymi zmniejszyła jego rozmiary, korytarz był za wąski, by zdołał w nim rozwinąć skrzydła. Musiał się też pochylać pod niskim sufitem. Gnała go furia. Przerwano mu posiłek. Był już tak bliski osiągnięcia potrzebnego poziomu energii.

Świadomość, że zaraz odebrał mu triumf, przeszywała go gwałtownym bólem. Nie chciał wracać do uczy, nie myślał nawet o ucieczce z ciemnego kontinuum. Pragnął jedynie zemsty. Erentz znowu zaczęła uciekać. Spowodowany przerażeniem wpływ adrenaliny pobudził do działania odporne mięśnie. Popędziła ku otwartym drzwiom windy. Nagły powiew powiedział jej, że Orgathe przeskoczył przez dziurę. Nie będzie miała czasu przyczepić liny do uprząży. Uderzyła o ścianę przy drzwiach windy i odwróciła się błyskawicznie, spoglądając na Orgathe. Stwór ponownie osłonił się tarczą ciemności. Tylko fale przebiegające po złowrogiej powierzchni świadczyły, że kryje się za nią coś straszliwego. Wystrzeliła z pistoletu laserowego, ale ciemność po prostu skupiła się wokół punktu, w który uderzyła wiązka. Za Orgathe rozbłysła migotliwa, różowawa luna, drwiąca z jej broni. - Flara - podpowiedziała osobowość. - Wystrzel w skurwysyna flarę. - Erentz nie miała innego wyjścia. Mogła co najwyżej skoczyć do szybu w nadziei, że zginie, zanim Orgathe ją dopadnie. Uniosła smukłą raketnicę, mierząc w samo centrum eterycznej ciemności, i nacisnęła spust. W ogromnego Orgathe uderzyła żałośnie mała iskra jasności. Stworem targnęły niepowstrzymane spazmy. Jego wyrostki tłukły gwałtownie o ścianę i sufit. Potężne odłamki polipa posypały się niebezpieczną kaskadą na wszystkie strony. Erentz gapiała się na oszalałego potwora, nie potrafiąc uwierzyć, że mała flara mogła spowodować tak dramatyczny efekt. Cały hol trząsł się gwałtownie. - Aha, to fascynujące - odezwała się osobowość. - Ale lepiej zmiataj, zanim dojdzie do siebie. - Erentz zerwała kończące linę paski z przypory, do której je przedtem przytwierdziła.

Przytroczyła tylko jeden do upręży i nacisnęła przełącznik. Lina zaczęła się zwijać tak gwałtownie, że kobieta pisnęła głośno, mknąc w górę. Nieoczekiwane przyspieszenie wyrwało jej z dłoni pistolet i raketnicę. Wąski pas ściany szybu oświetlany jej reflektorami był jednolicie szary. - Trzymaj się - powiedziała osobowość.

Nagle znalazła się w stanie nieważkości. Nadal mknęła w górę. Wokół niej spokojnie unosiły się zwoje liny. Na górze widziała już drzwi do głównego holu - jednolity, biały prostokąt. Powiększał się przerażająco szybko. Nagle zaczęła zwalniać i osiągnęła najwyższy punkt trajektorii naprzeciwko drzwi. Potem zaczął się upadek, ale oczekujący w holu towarzysze złapali ją i wyciągnęli na zewnątrz. Osunęła się na czarno-białą, marmurową posadzkę, oddychając spazmatycznie. Zdjęli jej hełm i usłyszała irytujące, natarczywe głosy.

- Gdzie jest Dariat? - Zapytał Tolton.

- Został na dole - wydyszała z przygnębieniem. Jej umysł zawołał rozpaczliwie ducha przez więź afiniczną, ale w odpowiedzi usłyszała tylko słaby, nieartykułowany krzyk konsternacji. Z szybu dobiegł gwałtowny zgrzyt rozdieranego metalu i rozpadającego się polipa. Cała grupa zamarła w bezruchu. Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli w stronę otworu.

- Idzie na górę - wyjąkała. - Cholera, nadal mnie ściga. - Rozpierzchli się, biegnąc ku drzwiom i czekającym za nimi ciężarówkom. Zmęczona, dźwigająca ciężki skafander Erentz mogła jedynie kuśtykać za nimi. Tolton złapał ją za ramię i pociągnął za sobą.

Orgathe wypadł z szybu niczym kometa z antyświatła, niemal tak szybko jak dźwięk. Przebił dach holu, nawet nie zwalniając. Na marmurową posadzkę posypały się wielkie, śmiertcionośne odpryski żółtego kryształu. Erentz i Tolton padli na ziemię, kryjąc się za jedną z przewróconych kanap. Osobowość obserwowała gościa, który wciąż się wznosił, rozplaszczając ciało. Komórkom zmysłowym trudno było pochwycić jego obraz. Był w przybliżeniu trójkątną plamą zamazanego powietrza, otoczoną ciemnymi dyfrakcyjnymi tęczmami przypominającymi znacznie wzmocniony efekt cieplnego migotania. Na trawę sypał się wielki, twardy jak kamień grad. Na wysokości kilometra nad terenami parkowymi gość zaczął z powrotem opadać w stronę holu Dzerby. Tolton i Erentz dotarli już do ciężarówki. Oboje mrużyli oczy w czerwonym blasku osiowej lampy, starając się wypatrzeć gościa. Tolton przekręcił dławik do oporu i koła poruszyły się z głuchym łoskotem. Posuwali się w stronę ściany ruder z szybkością niespełna dziesięciu kilometrów na godzinę.

- Szybciej! - Zawołała przerażona Erentz.

Tolton przekręcił dławik po raz drugi, ale nie zwiększyło to ich prędkości. W odległości dwudziestu metrów druga ciężarówka pełzła jeszcze wolniej od nich.

- Nie da rady - warknął.

Erentz wbiła wzrok w cienką, migotliwą linię srebrno-czarnego powietrza, która mknęła po niebie w ich stronę. Pod nią pojawiły się półprzezroczyste wstęgi, przypominające rozpościerające się macki meduzy. Kobieta wiedziała, co ma ją pochwycić.

- To koniec.

- Nieprawda - zaprzeczyła osobowość. - Skryjcie się między barakami. Zostawcie ciężarówki, ale pamiętajcie zabrać lasery i raketnice.

Zapoznawszy się z planem osobowości, Erentz kazała Toltonowi jechać dalej.

Zatrzymali się tuż za pierwszą rozklekotaną rudą z plastikowych ścian wspartych na kompozytowych tyczkach. Potem pobiegli wąskim przejściem między chwiejącymi się ścianami. Orgathe zaczął opadać ku nim, syjąc na ziemię kaskadami gradu.

Erentz i jej krewni zaczęli strzelać z laserów na wszystkie strony.

- Podpalmy to! - Krzyczała do Toltona. - Spalmy wszystko.

Jaskrawe, szkarłatne wiązki trafiały w ściany i dachy, zostawiając w plastiku długie ślady. Ich brzegi tliły się i powoli ogarniały je płomienie. Stopiony materiał skapywał na ziemię. Ogień przeskakiwał z jednego baraku na drugi. Ku niebu buchały kłęby czarnego dymu.

Zebrawali się na jednym z większych podwórek między ruderami. Tolton kulił się trwożnie, przerażony ich pozornym szaleństwem, osłaniał twarz przed bijącym od płomieni zarem.

- Co wy wyprawiacie? - Zawołał.

Erentz strzelała z raketnicy w stosy odpadków. W kilku miejscach płomienie rozbłysły spektakularnie, ogarniając puste opakowania i porzucone kontenery. Kawałki sadzy unosiły się w górę na prądach rozgrzanego powietrza.

- On nie toleruje gorąca! - Krzyknęła do oszołomionego poety ulicznego. - Płomienie zmuszą go do odwrotu. Pomóż nam!

Tolton wyciągnął laser i dołączył do towarzyszy.

Orgathe był ledwie widoczną, soczewkową plamą falującego powietrza. Jego obraz dodatkowo zniekształcało bijące od ognia gorąco. Nie zmieniał kursu, mknął prosto ku nim aż do ostatniej chwili. Długie witki wiszące u jego podbrzusza cofały się gwałtownie, gdy tylko dotknęły płomieni.

Tolton już go nie widział. Oczy szczypały go od gryzącego dymu, emitowanego przez płonący plastik. Czarne jak heban kłęby wiły się mu wokół nóg, zasłaniając ziemię. Żar parzył grzbiety dłoni, którymi zasłaniał twarz. Nozdrza wypełnił mu odór przypalonych włosów. Potężny podmuch rzucił ulicznego poetę na kolana, dym otoczył go oślepiającym cyklonem. Na mgnienie oka gorąco zniknęło, ustępując miejsca swemu przeciwieństwu. Pot pokrywający warstewką jego ciało w jednej chwili zamienił się w lód. Zimno było tak potworne, że bał się, iż krew w jego żyłach również zamarznie. Potem ustąpiło.

Dym zawirował w zwartych spiralach. W twarz Toltona uderzyły odłamki gradu.

- Tak! - Zawołała Erentz, gdy Orgathe się oddalił. - Pokonaliśmy skurwysyna. Przestraszył się.

- Wycofał się - skarciła ją osobowość. - To nie to samo.

Komórki zmysłowe pokazały jej, że latający potwór zatoczył długi łuk i wraca teraz ku wiosce. Pożar w pierwszych podpalonych budynkach już dogasał.

- Przejdźcie do innej sekcji - rozkazała osobowość. - Miejmy nadzieję, że skurwielowi się odechce, zanim wam zabraknie rzeczy do podpalenia.

Orgathe jeszcze pięciokrotnie próbował atakować Erentz i jej towarzyszy, zanim wreszcie dał za wygraną i uciekł w głąb habitatu. Pożar zdążył już strawić ponad połowę wioski. Tolton był straszliwie umorusany i wymiotował gwałtownie z powodu wdychania dymu oraz oparów, podobnie jak pozostali. Ich poparzona skóra krwawiła. Tylko Erentz nie ucierpiała dzięki skafandrowi i masce.

- Lepiej ruszajcie w stronę jaskiń - poradziła osobowość. - Wyślemy po was ciężarówkę.

Erentz rozejrzała się po pogorzeliisku. Jeziora stopionego plastiku powoli krzepły.

- Nie mogliśmy po prostu tu zaczekać? Oni przeżyli piekło.

- Przykro mi, ale muszę ci przekazać złe wieści. Przypuszczalnie z Dzerby zmierzają tu kolejne fragmenty gościa. Na kolejnych piętrach ostatnie funkcjonujące systemy odmawiają posłuszeństwa. To jedyne możliwe wyjaśnienie.

- Cholera. - Spojrzała z obawą na hol. - Są jakieś wiadomości od Dariata?

- Żadnych.

- Niech to szlag.

- Jesteśmy nim. W nas żyje nadal.

- On byłby innego zdania.

- To prawda.

- Tych bestii było chyba z pięćdziesiąt.

- Nie - zaprzeczyła osobowość. - Tylko przez krótką chwilę udało się nam ujrzeć gościa bez jego osłony, ale szczegółowa analiza zapisu tej sceny sugeruje, że z rozpadu stworzenia matki zrodziło się dwanaście, najwyżej piętnaście mniejszych. Nie sądzimy też, by mogły się równać wielkością z tym, które was ścigało.

- Ale mi ulżyło.

Ruszyli przez zwęglone, cuchnące siarką ruiny, zmierzając ku drodze, która wiła się przez pustynię w stronę północnej czapy biegunowej. Tolton się ociągał, ale Erentz wyjaśniła mu, dlaczego muszą się spieszyć.

- A więc nie możemy zejść na dół, żeby zobaczyć, co się z nim stało? - Zapytał.

- Nie możemy, dopóki się nie upewnimy, że tam jest czysto. A potem... Jak wyglądają szczątki ducha? Kości raczej nie znajdziemy.

- Aha. - Tolton po raz ostatni obejrzał się z żalem na hol. - Chyba masz rację.

\*

Orgathe krążył w powietrzu, poszukując najbliższego źródła energii życiowej. Wewnątrz sytuacja była jeszcze gorsza niż na zewnątrz. Tu dostępu do żywych warstw broniły grube na wiele metrów bariery z martwej materii, tylko gdzieniegdzie usiane odrobiną komórek. Rośliny zawierały załóżnie mało energii życiowej i były dlań bezużyteczne. Musiał się dostać do prawdziwych bogactw leżących w głębi. Było tam kilka wejść prowadzących z powrotem do sterczących wyniosłości, ale zignorował wszystkie. Tym razem zamierzał znaleźć bezpieczniejsze żerowisko.

Przez chwilę krążył wokół porośniętych różową trawą równin, po czym wrócił do pasa płynu. Za zatoczkami i plażami po jego drugiej stronie znajdowało się mnóstwo wejść do wielkich jaskiń prowadzących w głąb materialnego płaszcza. W głębi jasno płonęły potężne strumienie życiowej energii płynące przez szerokie warstwy żywych komórek ułożone jedna na drugiej. Wypełnione żywymi płynami tunele tworzyły skomplikowane labirynty, tysiące odgałęzień łączyły je z wielkimi jak miasta narządami ukrytymi w czapie biegunowej.

Orgathe wylądował na szerokiej połaci platynowego piasku tworzącej jedną z plaż i ruszył ku najbliższej jaskini. Pod jego stopami formowały się filigranowe pajęczynki szronu. Gdy dotarł na porośnięty roślinnością obszar, trawa i krzaki natychmiast zginęły. Ich zmarznięte liście przybrały zgniółobrazową barwę. Ledwie zdołał się wepchnąć do środka. Pseudostalaktyty łamały się, gdy dotknęła ich jego utwardzona skorupa, i spadały ze stukiem na podłoże. Zmodyfikował swoje wyrostki, utwardził je, wydatkując dodatkową energię, żeby móc się łatwiej przedrzeć przez zwężenia i trudne do pokonania zakręty. Kontakt z gorącą materią ranił jego ciało, ale Orgathe powoli się przyzwyczajał do panującej w habitacie wysokiej temperatury.

Po chwili natknął się na wielki tunel wypełniony żywym płynem. Przenarł się przez grubą ścianę i zanurzył całe ciało w wartkim nurcie. Po raz pierwszy od chwili, gdy znalazł się w ciemnym kontinuum, poczuł zadowolenie. Towarzyszył mu dreszcz oczekiwania.

\*

Ciężarówka nie dotarła jeszcze do Erentz i jej towarzyszy, widziała już jednak maleńki, ciemny punkcik zmierzający ku nim przez pustynię. Szła naprzód jak automat, a jej umysł śledził trasę ucieczki gościa. Główne pasmo afiniczne Valiska wypełniały spekulacje i komentarze. Osobowość i krewni Erentz zastanawiali się, co teraz zrobić.

Gdy Orgathe skrył się w jaskini, śledzenie go stało się trudniejsze. Jego obecność zdradzał

jedynie ślad z martwego polipa.

- To cholera przebiło się do arterii odżywczej zaopatrującej mój przewód trawienia minerałów - poskarżyła się osobowość. - To spowodowało poważne problemy z przepływem.

- A co on właściwie robi z płynem odżywczym? - Zainteresowała się Erentz. - Wyczuwasz w nim jakieś zmiany?

- Płyn wyraźnie ostygł, ale to zrozumiałe, biorąc pod uwagę, co wiemy o możliwościach gościa. Do tego ponad dziewięćdziesiąt procent drobin jest martwych. To dziwne. Sam spadek temperatury nie powinien ich zabić.

- Kiedy zaskoczyliśmy go z Dariatem w Dźerbie, był przyssany do jednego z kanalików odżywczych drapacza gwiazd. Na pewno o to właśnie mu chodzi. Pożera twój płyn odżywczy.

- To znakomita hipoteza, ale z pewnością nie pochłania płynu. Wykrylibyśmy spadek jego objętości. Wydaje się też bardzo wątpliwe, żeby nasza biochemia była kompatybilna.

- Na pewno potrzebuje czegoś, co znajduje się w płynie. Czy mogłabyś przeprowadzić analizę płynu w Dźerbie i w innych drapaczach gwiazd, do których wtargnęli goście?

- Chwileczkę. - Erentz wyczuła, że podstawowe procesy myślowe osobowości skupiają się na ogromnej sieci kanalików i przewodów wijących się przez rozległą warstwę mitotyczną Valiska. Szukały w niej aberracji. Zlokalizowanie ich znacznie utrudniał system transportu płynu w drapaczach gwiazd. Na początek, istniało wiele różnych rodzajów płynu odżywczego. Niektóre z nich zaopatrywały w pożywienie tylko warstwę mitotyczną i membrany mięśniowe, inne zaś narządy filtrów środowiskowych znajdujące się na dolnych poziomach. Wyspecjalizowane płyny karmiły narządy syntezy żywności, znajdujące się w każdym apartamencie. A wszystkie one pokonywały długą trasę od zajmujących się trawieniem i obróbką narządów południowej czapy biegunowej do drapaczy gwiazd i z powrotem. Cykl trwał kilka dni, a cały proces był autonomiczny. Kierowały nim specjalistyczne podprogramy oraz komórki nadzorujące ukryte w ścianach kanalików, które pilnowały, by do płynu nie przedostały się toksyny. Nie potrafiły go jednak uchronić przed tajemniczym wpływem gościa. Ponieważ technobiotyczne systemy w drapaczach gwiazd funkcjonowały w najlepszym razie nieregularnie, płyn wypływał z nich ospale. Część jego drobin w naturalny sposób zużyły zaopatrywane w pokarm narządy, a wiele pozostałych nadal zawierało cząsteczki i tlen, które przenosiły. Wszystko to bardzo utrudniało analizę wypływającego z drapaczy gwiazd płynu. - Narzuca się wniosek, że wszyscy goście karmią się płynami odżywczymi - oznajmiła wreszcie osobowość. - W niektórych kanalikach ilość martwych drobin sięga dziewięćdziesięciu procent. Nie wiemy, co właściwie pożerają goście, przypuszczamy jednak, że wiąże się to jakoś z ich zdolnością pochłaniania ciepła. Z pewnością nie wykryliśmy żadnych oznak fizycznego trawienia.

- To wampiry - stwierdziła Erentz. - Pasożyty wielkości dinozaurów. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby je powstrzymać.

- Jak dotąd znamy tylko jedną skuteczną metodę: ogień. Produkcja miotaczy ognia będzie wymagała czasu.

- Trzeba to zrobić. Inaczej pożrą cię żywcem.

- To prawda. Dopóki nie wyprodukujemy odpowiedniej broni, odetniemy dopływ płynu odżywczego do drapaczy nieba.

- Świetny pomysł. - Jadące ubitą, polną drogą ciężarówki były już blisko. - Może to powstrzyma ich rozród. Jeśli tego nie zrobimy, skurwysyny staną się prawdziwą plagą.

\*

W odległości pięćdziesięciu lat świetlnych od Hesperii-LN "Lady Makbet" i "Oenone" zbliżyły się ostrożnie do siebie. Joshua musiał pomagać sobie podczas manewru radarem, Syrix zaś

wykorzystała pole dystorsyjne jastrzębia. W tak głębokim kosmosie światło gwiazd było bardzo słabe i nie można by w nim zobaczyć nawet białego, gazowego olbrzyma. Dwa małe, technologiczne artefakty otoczone nieodblaskową pianką były jedynie głębszymi plamami ciemności. Zewnętrzny obserwator mógłby je zauważyć jedynie dzięki temu, że od czasu do czasu zasłaniały odległą gwiazdę.

Gdy Joshua włączył jonowe silniki sterujące "Lady Makbet", oczy Syrinx zaszczyły łzami. Błękitny płomień oślepił zaaklimatyzowane do głębokiego kosmosu pęcherze wzrokowe "Oenone". Oba statki wysunęły śluzy i zacumowały. Joshua zaprowadził Alkad, Petera, Liola i Ashly'ego do toroidu dla załogi jastrzębia. Mieli tam odbyć naradę, zanalizować dane zdobyte na Tandzuriku-RI i zaplanować następny etap lotu. Obecność obojga fizyków z pewnością była konieczna. Joshua zabrał też Ashly'ego z uwagi na jego wielkie doświadczenie, a także zachwyty, jakie wzbudzały w nim nowe, niezwykle kultury. Trudniej było uzasadnić obecność Liola. Z nich wszystkich on znał wszechświat najslabiej, ale... Joshua przyzwyczał się już do jego obecności. Jemu niczego nie musiał tłumaczyć. Obaj myśleli tak samo i interesowały ich te same sprawy. To z kolei znaczyło, że gdyby doszło do jakiegoś sporu, Liol stanie się dla niego cennym sojusznikiem.

Syrinx czekała na nich przy wewnętrznych drzwiach śluzy. Przypomniało jej to poprzednią okazję, gdy Joshua wszedł na pokład "Oenone". Jeśli jednak miała jeszcze jakieś wątpliwości co do niego, wszystkie zniknęły w Hesperii-LN. Teraz cieszyła się, że to on towarzyszy "Oenone", nie jakiś koszmarnie operatywny kapitan Sił Powietrznych Konfederacji z budzącej grozę eskadry Mereditha Saldany.

Poprowadziła gości do głównego salonu "Oenone". W długim pomieszczeniu ustawiono proste kanapy koloru jesiennej czerwieni, dopasowane kształtem do łagodnej krzywizny ścian. Na oszklonych półkach stała wielka kolekcja najrozmaitszych przedmiotów, zgromadzonych przez załogę podczas licznych lotów - od zwyczajnych kamyczków aż po starożytne rzeźby. Były tam nawet przykłady niezwyklej towarów konsumpcyjnych.

Monica siedziała z Samuelem na jednej z kanap. Joshua zajął miejsce na sąsiedniej. Naprzeciwko niego siedzieli Renato, Oski i Kempster. Alkad i Peter spoczęli obok Parkera, który przywitał się uprzejmie z dawną koleżanką, jakby nie dbał o to, co i z jakich motywów uczyniła. Joshua jednak nie uwierzył w to nawet na chwilę.

Syrinx zajęła miejsce przy Rubenie i uśmiechnęła się szeroko.

- Skoro wszyscy jesteśmy już na miejscu: Oski, powiedz, czy przynieśliśmy z arki wszystkie zdobyte dane?

Specjalistka od elektroniki spojrzała na cienki blok procesorowy, który leżał przed nią na stole z palisandru.

- Tak. Udało nam się przelać do naszych procesorów wszystkie pliki zapisane w terminalu Tyrataków. Już je przetłumaczyliśmy. Zawierają mnóstwo informacji o planetach, które skolonizowali przed Hesperii-LN.

- Przeczytaliśmy już niektóre z tych plików - dodała Monica. - Miałam rację. Na jednej z tych planet mieszkał inteligentny gatunek. Byli we wczesnej erze przemysłowej.

Połączyła się datawizyjnie z procesorem salonu. Soczewka AV na suficie zapaliła się, rzucając w dół stożek laserowego światła. U jego podstawy, tuż nad podłogą, zmaterializowała się seria dwuwymiarowych obrazów. Wykonane z lotu ptaka zdjęcia szarych, brudnych miasteczek, budynki z cegły i kamienia rozsiane po terenie porośniętym niebieskozieloną roślinnością. Na przedmieściach skupiały się liczne fabryki. Z wysokich, szarych kominów buchał gęsty dym, przesłaniający lazrowe niebo. Po wąskich drogach o kamiennej nawierzchni poruszały się małe

pojazdy produkujące obłoki spalin. Wszędzie widziało się grunty orne. Szachownice pól podobne do ludzkich wdzierały się w lasy i wspinały na strome wzgórza.

Na kolejnych obrazach pojawiły się wahadłowce Tyrataków lądujące na polach i łąkach wokół miast. Tłumy czwororęcznych dwunogów uciekały przed uzbrojonymi Tyratakami z kasty żołnierzy. Ujrzeni zbliżenia dziwacznych budynków obcych, nakrytych łukowatymi dachami. W ścianach nie było okien. Zastępowała je lejowata studnia wpuszczająca światło do środka. Widzieli to wyraźnie, gdyż wiele domów trafiły tyratackie pociski, odsłaniając wypalone wnętrza.

Po pewnym czasie ksenobiontom udało się zebrać armię. Do wahadłowców strzelano z prymitywnych dział zaprzężonych w ociężałe, ośmionożne odpowiedniki koni. Masery obracały je w dymiące szczątki.

- Jezu - mruknął Joshua, gdy obejrzeni to do końca. - Autentyczna inwazja kosmitów. To wyglądało jak fragmenty niskobudżetowej adaptacji *Wojny światów*.

- Obawiam się, że to było nieuniknione - stwierdził z żalem Parker. - Coraz silniej przekonuję się, jak mocno poszczególne gatunki trzymają się swoich praw i filozofii, a także jak bardzo ich filozofia może się różnić pod naszej.

- To był holokaust - stwierdziła Monica, łypiąc ze złością na starego dyrektora projektu. - Jeśli nawet część tych ksenobiontów ocalała, z pewnością zrobiono z nich niewolników. To ma być filozofia? Pierdolę taką filozofię!

- Uważamy genocyd za jedną z najcięższych zbrodni, jakie może popełnić indywidualna osoba albo rząd - odparł Parker. - To nie tylko masowa eksterminacja istot żywych, ale również zagłada całego sposobu życia. Podobny uczynek wydaje się nam odrażający, i słusznie, ponieważ taka jest nasza natura. Znamy uczucia i empatię. Niektórzy powiedzieliby nawet, że one nami władają. Muszę ci jednak przypomnieć, że Tyratakowie nie posiadają podobnych cech. Jedyne, co u nich przypomina uczucia, to pragnienie ochrony dzieci oraz klanu. Gdybyś postawiła Tyrataka z kasty rozplodowej przed ludzkim sądem, żeby odpowiedział za te zbrodnie, nie byłby w stanie zrozumieć, czego od niego chcemy. Nie można ich osądzać według naszych praw, ponieważ te prawa są wytworem naszej cywilizacji. Nie możemy potępiać Tyrataków, bez względu na to, jak bardzo gardzimy ich postępami. Ludzkie prawa obowiązują jedynie ludzi.

- Podbili całą planetę, a ty uważasz, że nie zrobili nic złego?

- Oczywiście, że postąpili źle. Według naszych standardów. Ale według naszych standardów to samo można powiedzieć o Kiintach, którzy uparcie nie chcą nam zdradzić rozwiązania problemu opętania. Czy powinniśmy podać do sądu również Jobis?

- Nie mówię o pozwach. Chodzi mi o problem Tyrataków. W związku z tymi odkryciami musimy ponownie rozważyć nasze priorytety.

- W jakim sensie ponownie rozważyć? - Sprzeciwił się Joshua. - Zasadnicza sytuacja z pewnością się nie zmieniła, podobnie jak nasz cel. To prawda, że Tyratakowie przed tysiącami lat popełnili straszliwą zbrodnię. Ale my, to znaczy załogi tych dwóch statków, nie możemy nic w tej sprawie zrobić. Wiemy jednak, że musimy bardziej się ich wystrzegać. Po naszym powrocie Zgromadzenie Konfederacji zastanowi się, czy podjąć jakieś kroki w sprawie genocydu.

- Jeśli będzie mogło wystąpić z taką inicjatywą - rzekła cicho Monica. - Przyznaję, że gniewa mnie myśl o zbrodni popełnionej przez Tyrataków, ale bardziej mnie niepokoją współczesne implikacje.

- Dlaczego miałyby to nas dotyczyć? - Zapytała Alkad. - Mówię to jako osoba, która zetknęła się z ludobójstwem. To, co widzieliśmy, było straszne, ale wydarzyło się dawno temu i daleko stąd.

- To nas dotyczy - upierała się Monica. - Dlatego, że pokazuje nam, jacy naprawdę są



Tyratakowie. Nie zapominajcie, że udało się nam ustalić, iż wysłali ponad tysiąc takich ark.

- Tysiąc dwieście osiem - uściślił Renato. - Sprawdziłem to w zapisach.

- Świetnie, to jeszcze gorzej - ciągnęła Monica. - Nawet zakładając, że żadna z nich nie odniosła takiego sukcesu jak Tandzurik-RI, powiedzmy, że założyły średnio po dwie kolonie, to znaczy, że mają populację dwu- albo trzykrotnie liczniejszą niż Konfederacja.

- Ale rozsianą po wielkim obszarze przestrzeni - zauważył Kempster. - W dodatku nie są tak politycznie zjednoczeni jak nasza cywilizacja.

- Tylko dlatego, że nie potrzebowali osiągnąć jedności - nie ustępowała Monica. - Jak dotąd. Posłuchajcie, pracuję w wywiadzie. Oboje z Samuelem zajmujemy się oceną potencjalnych zagrożeń. Tego nas uczono. Wykrywamy problemy w stadium załączkowym. To właśnie jest tego typu sytuacja. Odkryliśmy straszliwą groźbę dla Konfederacji, moim zdaniem co najmniej równie poważną jak opętanie...

- W sensie fizycznym, tak - zgodził się Samuel. Uśmiechnął się, by przeprosić, że jej przerwał. - Zgadzam się z Monicą, że Tyratakowie postawili nas przed nieoczekiwanym problemem.

- Gówno prawda - skwitował Joshua. - Tylko popatrzcie, co z nimi zrobiliśmy w Hesperii-LN. Ze swoimi sierżantami pokonaliśmy cały pułk ich żołnierzy. A "Lady Makbet" zupełnie ośmieszyła ich statki. Technologia Konfederacji czyni nas potężniejszymi o cały rząd wielkości.

- Niezupełnie, Joshua - zaprzeczył Ashly. Pilot nadal wpatrywał się w ostatni obraz wyświetlony przez soczewkę AV. Na jego twarzy malował się niepokój. - Monica chciała powiedzieć, że poruszyliśmy przysłowiowe gniazdo szerszeni. Potencjalnie Tyratakowie stanowią poważną groźbę. Jeśli te tysiące kolonii się zjednoczą, sama ich liczebność postawi nas przed ogromnym problemem. Co więcej, oni dysponują technologią Konfederacji. W przeszłości sprzedawaliśmy im mnóstwo broni. W przymusowej sytuacji potrafili skonstruować osy bojowe.

- Widziałeś, jak ich użyli przeciwko "Lady Makbet" - przypomniał mu Joshua. - Tyratakowie nie nadają się do wojny w kosmosie. Ich układ nerwowy nie jest odpowiednio skonstruowany.

- Mogą się tego nauczyć. Choćby metodą prób i błędów. Przyznaję, że zapewne nigdy nam nie dorównają, ale przecież mają przewagę liczebną. Z czasem mogą nas złamać wojną na wyniszczenie.

- Ale dlaczego mieliby to robić? - Zapytał Liol, rozpościerając ramiona w błagalnym geście. - Chryste, mówicie, jakbyśmy już toczyli z nimi wojnę. Na pewno są wkurzeni, że przeskoczyliśmy do ich układu i narobiliśmy tam zamieszania. Ale nasze rządy mogą wszystkiemu zaprzeczyć. Nikt się nie przyzna, że nas wysłał. Z pewnością nie wciągną całej swej rasy w konflikt, który pochłonie życie miliardów, z powodu kawałka szmelcu, który sami porzucili.

- Celowo zapominamy o prawdziwej naturze Tyraków, żeby móc kontynuować naszą ulubioną politykę dyplomatycznej tolerancji - odparł Samuel. - Chętnie widzimy w nich lekko głupawych uparciuchów, typowy przykład przerośniętych pacanów. To gatunek, na który możemy spoglądać z góry, nawet nie zdając sobie sprawy ze swego protekcyjnalizmu. W rzeczywistości Tyratakowie są gatunkiem tak agresywnym i terytorialnym, że wyewoluowała u nich kasta żołnierzy. Wyewoluowała! Nie jesteśmy w stanie pojąć motywacji, która mogła doprowadzić do podobnego zjawiska. To musiało trwać dziesiątki tysięcy lat. I cały ten czas na ich ojczystym świecie utrzymywał się społeczny klimat sprzyjający temu kierunkowi rozwoju. Ich historia jest jedną wielką monokulturą konfliktu.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego miałoby to znaczyć, że są niebezpieczni - upierał się Liol. - To dla nas nawet korzystne. Przed z górą dwustu laty daliśmy Tyrakom z Hesperii-LN napęd translacyjny. I co z nim zrobili? Czy popędzili na spotkanie z od dawna nie widzianymi kuzynami z pięciu pierwszych kolonii? Guzik. Założyli nowe kolonie, żeby skorzystali na tym ich najbliżsi

krewni. Nie mieli zamiaru dzielić się tym technologicznym skarbem z nikim więcej.

- Masz rację - przyznał edenista. - Ale należy dodać jeszcze dwa słowa: "jak dotąd". Jak zauważyła Monica, mówimy o potencjalnych ewentualnościach. Pod jednym względem Tyratakowie nas przypominają. Zjednoczą się wobec zewnętrznego zagrożenia. Dowodem na to są arki.

- Nie jesteśmy dla nich zagrożeniem! - Zaprotestował Liol głosem bliskim krzyku.

- Do tej pory nim nie byliśmy - odparła Monica. - Nie wiedzieli, że możemy stać się elementarni. Spotkanie z opętanymi zaniepokoiło ich tak bardzo, że natychmiast zdecydowali się na izolację. Staliśmy się groźbą. Opętani ludzie zaatakowali osady Tyrataków. Już przedtem byliśmy od nich potężniejsi militarnie, a teraz nasza siła wzrosła w nieznanym stopniu. Nie zapominaj, że w ich oczach ludzkość nie dzieli się na opętanych i nie opętanych. Jesteśmy jednym gatunkiem, który nagle zmienił się drastycznie na gorsze. - Wskazała na obraz. - A widzieliśmy, jaki los spotyka ksenobiotyczne gatunki, które wchodzą w konflikt z Tyratakami.

Liol umilkł, krzywiąc się z niezadowoleniem. Przegrana w dyskusji raczej go zaniepokoiła, niż rozgniewała.

- W porządku - odezwał się Joshua. - Istnieje możliwość konfliktu między Tyratakami a Konfederacją, zakładając, że przetrwamy kryzys związany z opętaniem. To jednak nie wpływa na naszą misję.

- Powinniśmy ostrzec Konfederację - sprzeciwiła się Monica. - Dowiedzieliśmy się o naturze Tyrataków więcej niż ktokolwiek przed nami. A ponieważ stali się izolacjonistami, nikt już zapewne się tego nie dowie. Ta wiedza ma duże znaczenie strategiczne.

- Chyba nie sugerujesz, że powinniśmy zawrócić? - Obruszył się Joshua.

- Muszę się zgodzić z Monicą - odezwał się Samuel. - Powinniśmy wziąć pod uwagę te fakty.

- Nie, nie - sprzeciwił się Joshua. - Przesadzacie. Posłuchajcie, najbliższym układem planetarnym Konfederacji jest Yaroslav. Dzieli nas od niego czterdzieści dwa lata świetlne. "Lady Makbet" musiałaby zużyć mnóstwo delta v, żeby wyrównać prędkość. W tej chwili czas ma dla nas krytyczne znaczenie. Kto wie, co kombinują opętani? Mogli nawet zawładnąć całym układem Yaroslava.

- Nie habitatami edenistów - sprzeciwiła się Monica. - Jastrzębie mogłyby przekazać wszystkim nasze ostrzeżenie.

- "Oenone" potrzebowałyby tylko doby, żeby dotrzeć do Yaroslava i wrócić - odezwał się Ruben. - To nie byłaby zbyt wielka zwłoka.

Uśmiechnął się zachęcająco do Syrinx, która jednak nie odwzajemniła uśmiechu.

- Nie chciałabym, żebyśmy się teraz rozdzielali - stwierdziła. - Poza tym nie ustaliliśmy jeszcze, w jakim punkcie znajdują się poszukiwania Śpiącego Boga. Uważam, że przed podjęciem takiej decyzji powinniśmy przynajmniej wysłuchać raportu grupy Parkera.

- Zgoda - odezwał się pośpiesznie Joshua.

Monica zerknęła na Samuela, a potem wzruszyła ramionami.

- Proszę bardzo.

Parker pochylił się do przodu z lekkim uśmiechem na ustach.

- Mam przynajmniej jedną dobrą wiadomość. Udało się nam potwierdzić, że Śpiący Bóg istnieje. Jest o nim wzmianka w jednym z dokumentów Tyrataków.

Wszyscy się rozpromienili.

- Tak jest! - Zawołał głośno Ashly, splatając dłonie. On i Liol uśmiechnęli się do siebie szeroko.

- Ale nie napisano tam, gdzie to cholerstwo się znajduje - mruknął z niezadowoleniem

Kempster. - Wiemy tylko, co zrobiło. To naprawdę dziwna sprawa.

- Zakładając, że napisali prawdę - zauważył Renato.

- Nie wpadaj w depresję, chłopcze. Już omawialiśmy ten aspekt. Tyratakowie niczego nie zmyślają. Nie potrafią tego robić.

- To czego on jest w stanie dokonać? - Zapytał Joshua.

- O ile dobrze to zrozumieliśmy, przeniósł jedną z ich ark na odległość stu pięćdziesięciu lat świetlnych. Natychmiastowo.

- Czy to napęd gwiazdny? - Zapytał rozczarowany Joshua.

- Raczej nie sędzę. Oski, zechciałabyś przybliżyć nam sprawę?

- Oczywiście. - Oski połączyła się datawizyjnie z blokiem procesorowym ustawionym na stole, usuwając z projekcji AV ostatni obraz przedstawiający inwazję Tyrataków. - To jest symulacja trasy lotu Tandzurika-RI z Mastrit-PJ do Hesperii-LN, oparta na tym, co odnaleźliśmy w plikach znajdujących się w arce. - Soczewka AV wyświetliła skomplikowaną mapę gwiazdną, w której środku znajdowała się barwna plamka Mgławicy Oriona. Czerwoną gwiazdę, położoną za mgławicą, otaczał rój informacyjnych ikon. - Mastrit-PJ jest obecnie czerwonym olbrzymem albo nadolbrzymem. Z pewnością znajduje się bardzo blisko brzegu mgławicy. Dlatego nigdy nie udało się nam go zaobserwować. Tandzurik-RI okrążył mgławicę. Nie wiemy, z której strony, bo Tyratakowie nie zdradzili nam położenia pozostałych kolonii. Nie udało się nam też wydobyć potrzebnych informacji z ich terminali. Wiemy jednak z pewnością, że zatrzymywała się po drodze jednaście razy, zanim w końcu dotarła do Hesperii-LN. Pięć z tych postojów zakończyło się założeniem kolonii. W pozostałych układach nie było odpowiednich do życia planet. Tyratakowie uzupełniali paliwo, dokonali napraw i ruszali w dalszą drogę. - Z Mastrit-PJ wysunęła się cienka, niebieska linia, która połączyła jednaście gwiazd krzywą biegnącą po południowej stronie mgławicy. - Przebieg trasy jest ważny, ponieważ wynika z niego, że arka nie miała bezpośredniej łączności z Mastrit-PJ. Ich laser komunikacyjny miał za małą moc, żeby się przebić przez pyły i gazy składające się na mgławicę. Za czwartą z odwiedzonych gwiazd mogli wymieniać komunikaty z Mastrit-PJ tylko za pośrednictwem kolonii. Dlatego wszystkie późniejsze komunikaty zapisano w terminalu planetarnego habitatu.

- Jesteśmy przekonani, że to rozrost Mastrit-PJ był odpowiedzialny za przerwanie łączności - wtrącił Renato z zapalem w głosie. - Pod koniec lotu arka kontaktowała się już tylko z koloniami. Otrzymała też parę wiadomości z kolonii założonych przez inne arki, ale z samego Mastrit-PJ nie odebrano już nic.

- Dziwi mnie, że odbierali coś przedtem - stwierdziła Alkad. - Nic nie powinno przetrwać przemiany gwiazdy w czerwonego olbrzyma. Planety z pewnością zostały pochłonięte.

- Zapewne stworzyli jakiegoś rodzaju azyl w obłoku kometarnym - zasugerował Renato. - W końcu ich astroinżynierskie umiejętności były już wówczas spore. Tyratakowie, którzy nie odlecieli w arkach, z pewnością walczyli o przetrwanie.

- To brzmi rozsądnie - przyznała Alkad.

- Ale ta cywilizacja nie mogła przetrwać długo - ciągnął Renato. - Nie mieli innych zasobów niż te na arce, nie mogli też ich zdobyć w kolejnych odwiedzanych układach planetarnych. Z czasem wymarli i dlatego od pięciu tysięcy lat nie docierają już stamtąd żadne sygnały.

- Ale jeden z ostatnich komunikatów z Mastrit-PJ dotyczył Śpiącego Boga - uzupełnił Parker. - Sto lat po jego wysłaniu zaprzestali nadawania. Tandzurik-RI wysłał odpowiedź, domagając się dalszych szczegółów, ale odległość wynosiła już wtedy osiemset lat świetlnych. Cywilizacja w układzie Mastrit-PJ zapewne przestała istnieć, zanim komunikat dotarł do pierwszej kolonii.

- Możecie go nam pokazać? - Poprosił Ruben.

- Oczywiście - odparła Oski. - Wyodrębniliśmy z tekstu istotny fragment. Jest w nim mnóstwo śmieci wywodzących się ze źródła oraz kompresji. Co więcej, Tyratakowie powtarzają każdą wiadomość tysiące razy przez jakieś dwa tygodnie, by mieć pewność, że zostanie odebrana w całości.

Podawała kod pliku. Kiedy go otworzyli, procesor wyświetlił nagi tekst:

ODEBRANY SYGNAŁ

DATA 75572-094-648

ŹRÓDŁO: STACJA PRZEKAŹNIKOWA FALINDY-TY MASTRIT-PJ MELDUJE  
PRZEKAZANO SYGNAŁ ZE STATKU SWANTIK-LI DATA 38647-046-831.  
DATA OSTATNIEGO ODEBRANEGO SYGNAŁU 23867-032-749.

ZAWIERA

SZCZEGÓŁY TRANSMISJI

RAPORT SWANTIKA-LI

DATA 29321-072-491. AWARIA BUFORU PLAZMOWEGO PODCZAS ZWALNIANIA PRZED WEJŚCIEM DO UKŁADU GWIEZDNEGO \*\*\*\*\* LICZNE USZKODZENIA Z POWODU IMPAKTÓW. WYCIEK ATMOSFERY Z JEDNEGO PIERŚCIENIA MIESZKALNEGO. WYCIEK ATMOSFERY Z 27 POMIESZCZEŃ PRZEMYSŁOWYCH POŁĄCZONY Z UTRATĄ SPRZĘTU. UTRATA 32% POPULACJI. FUNKCJE PODTRZYMYWANIA ŻYCIA NIEMOŻLIWE DO UTRZYMANIA. CAŁKOWITA UTRATA FUNKCJI PODTRZYMYWANIA ŻYCIA OCZEKIWANA PRZED UPŁYWEM 7 TYGODNI. W UKŁADZIE GWIEZDNYM NIE ZNALEZIONO NADAJĄCYCH SIĘ DO ZAMIESZKANIA PLANET. INSTRUMENTY ZLOKALIZOWAŁY POTĘŻNE ZAKŁÓCENIE PRZESTRZENI ORBITUJĄCE WOKÓŁ GWIAZDY. UŚPIONE ŹRÓDŁO BOSKIEJ MOCY. WIDZI WSZECHŚWIAT. PANUJE NAD WSZELKIMI ASPEKTAMI FIZYCZNEGO BYTU. JEGO CELEM JEST POMOC BIOLOGICZNYM JESTESTWOM. NASZE PRZYBYCIE JE OBUDZIŁO. KIEDY POPROSILIŚMY JE O POMOC, PRZENIOSŁO SWANTIKA-LI DO ODLEGŁEGO O 160 LAT ŚWIETLNYCH UKŁADU, GDZIE ZNAJDUJE SIĘ NADAJĄCA SIĘ DO ZAMIESZKANIA PLANETA. WSZYSTKICH, KTÓRZY PRZYJDĄ PO NAS, INFORMUJEMY, ŻE NALEŻY JE UZNAĆ ZA SOJUSZNIKA TYRATAKÓW.

DATA 29385-040-175. POPULACJA SWANTIKA-LI PRZENIESIONA NA NADAJĄCĄ SIĘ DO ZAMIESZKANIA PLANETĘ. ZAŁOŻONO KOLONIĘ GOERTHT-WN.

Do pliku dołączono trzy obrazy. Ich jakość była niska, nawet po zastosowaniu programów wzmacniających i filtrujących. Na wszystkich przedstawiono srebrnoszarą plamę widoczną na tle gwiazd. Czymkolwiek mógł być ów obiekt, Tyratakowie z Coastuc-RT dokładnie przedstawili jego kształt: szeroki dysk, z którego po obu stronach sterczą stożkowate wieże. Jego powierzchnia była gładka, nie widziało się na niej żadnych znaków ani struktur. Miała metaliczny połysk.

- Jakie są jego rozmiary? - Zapytał Joshua.

- Nie wiemy - odparł Renato. - Nie mamy sposobu, żeby to sprawdzić. Brak nam punktu odniesienia. Do żadnego z obrazów nie dołączono skali, nie możemy więc przypisać liczby tej bestii. Może jest wielka jak gazowy olbrzym, a może ma tylko parę kilometrów średnicy. Jediną wskazówką są ich słowa o zakłóceniu przestrzeni. Zakładam, że oznacza to potężne pole

grawitacyjne. To sugeruje, że nie może być zbyt mały. Jedynym rodzajem obiektu, który zbliża się do znanych nam parametrów, byłaby mała gwiazda neutronowa, ale ona nie mogłaby mieć takiego kształtu.

Joshua obrzucił Alkad przeciągłym spojrzeniem.

- Gwiazdy neutronowe, bez względu na rozmiar, nie mają właściwości opisanych w komunikacie Tyrataków - stwierdziła uczona. - Nie wyglądają też w ten sposób. Chyba musimy przyjąć, że to artefakt.

- Nie pragnę podważać niczyich teorii - odezwał się Kempster. - Mamy po prostu za mało informacji, by określić naturę obiektu. Wpatrywanie się w niewyraźne fotografie nic nam nie da. Udało nam się tylko ustalić, że obiekt faktycznie istnieje i ma niezwykle właściwości.

- Termin "boska moc" brzmi fascynująco - zauważył Parker.

- Zwłaszcza że nie mamy do czynienia z niuansami języka mówionego. Pisany tekst można przetłumaczyć znacznie precyzyjniej.

- Ha! - Kempster machnął lekceważąco ręką. - Daj sobie z tym spokój. Nie mamy dokładnej definicji Boga nawet w naszym własnym języku. Każda kultura przypisuje mu inne cechy. Ludzkość używała tego słowa na określenie wszystkiego od stwórcy wszechświata aż po członka grupy dużych, gniewnych ludzi, którzy nie mają nic lepszego do roboty, niż ingerować w pogodę. To jest pojęcie, nie opis.

- Bez względu na semantyczne rozszczepianie włosa na czworo słowo "Bóg" w każdym języku implikuje wyjątkowo potężną moc.

- To jest boska moc, nie Bóg - poprawił z naciskiem Ruben.

- To również musi mieć znaczenie. Nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z jakimś rodzaju artefaktem. Ponieważ nie Tyratakowie go zbudowali, nam również powinno się udać go uruchomić.

- Był uspiomy i obudziła go ich obecność - zauważyła Oski.

- Wygląda na to, że nie będziemy musieli nawet naciskać guzika.

- Dla mnie nadal brzmi to jak napęd gwiazdny - odezwał się Liol, kiwając głową do Joshui. - W komunikacie napisano, że on pomaga w rozwoju biologicznych jestestw. Do tego przeniósł arkę o sto sześćdziesiąt lat świetlnych. Tyle przynajmniej wydaje się oczywiste. Nic dziwnego, że Tyratakowie uznali to za cholerny cud. Nie znają napędu nadświatelnego, a urządzenie zdolne przenieść całą arkę musiałyby być zbudowane na imponującej skale. Zdumiałoby nawet takich flegmatycznych fatalistów jak oni.

- Powiedzieli o nim bardzo wiele - odparł Joshua. - I nic z tego nie pasuje do napędu gwiazdowego ani do żadnej maszyny. Napędy nie obserwują wszechświata ani nie panują nad fizycznym bytem.

- Mogłabym dodać jeszcze kilka pytań - odezwała się Syrinx. - Na przykład, co robił w układzie pozbawionym nadających się do zamieszkania planet? Wygląda też na to, że kieruje nim jakaś inteligencja. Pamiętajcie, że Tyratakowie prosili go o pomoc, zamiast po prostu włączyć napęd i odlecieć.

- I tak nie mogliby tego zrobić - zauważył Samuel. - Śpiący Bóg odesłał Swantika-LI do układu, w którym była nadająca się do zamieszkania planeta. To znaczy, że wiedział o jej istnieniu, choć Tyratakowie o tym nie wiedzieli.

- To sugeruje, że jest przyjaźnie nastawiony, przynajmniej do biologicznych jestestw - zauważył Kempster. - Jestem wystarczająco arogancki, by uwierzyć, że skoro zechciał pomóc Tyratakom, nas z pewnością nie powinien potraktować gorzej.

Joshua omiół grupę spojrzeniem.

- Jeśli nikt nie ma nic do dodania na temat możliwości oraz natury tego obiektu, muszę uznać, że dowiedzieliśmy się wystarczająco wiele, aby usprawiedliwić kontynuowanie misji. Monico, czy chcesz wyrazić odmienne zdanie?

Agentka ESA skryła twarz w dłoniach, spoglądając na podłogę.

- Zgadzam się, że to wszystko robi wrażenie, ale nie zwracałam uwagi na Tyrataków, żeby zatruwać wam życie. Naprawdę się ich boję.

- Nie staną się zagrożeniem w najbliższym czasie - zapewniła Oski. - Nawet zakładając, że masz w stu procentach rację i uważają teraz ludzkość za niebezpieczną plagę, którą trzeba zlikwidować. Miną dziesięciolecia, nim zdołają choć zaplanować podobną akcję. Przyjmijmy, że stało się najgorsze i dotarli już z Hesperii-LN do innych kolonii założonych przez Tandzurikę-RI. Jeszcze przez długie lata nie będą w stanie budować gwiazdolotów z napędem translacyjnym, nie na większą skalę. Szczerzę mówiąc, wątpię, czy kiedykolwiek poradzą sobie z tym zadaniem. Skopiowanie naszych systemów będzie dla nich bardzo trudne z uwagi na brak intuicji. A nawet jeśli im się uda, będą musieli wybudować stacje produkcyjne. Nawet jeśli nasza wyprawa potrwa kilka lat, zdążymy wrócić na czas, żeby ostrzec naczelnego admirała.

Monica skonsultowała się z Samuelem.

- Myślę, że to rozsądne - rzekł.

- Zgoda - ustąpiła z niechęcią. - Przyznaję, że zaciekał mnie ten Śpiący Bóg.

- Znakomicie - stwierdził Joshua. - Następne pytanie brzmi, gdzie on właściwie się znajduje?

Nie podałeś nam lokalizacji tego układu.

- Współrzędne składają się z dziesięciu cyfr - odparł Kempster. - Jeśli bardzo chcesz, mogę ci podać ich tłumaczenie. Niestety, to dla nas całkowity bełkot, ponieważ nie mamy tyratackiego almanachu, z którego się wywodzą.

- Niech to diabli! - Liol oklapł na kanapie, szarpiąc ze złością jej obicie. - Chcesz powiedzieć, że musimy wracać na Tandzurikę-RI?

- To by było nierozsądne - odparł Samuel. - Analogia z gniazdem szerszeni chyba była trafna. Naprawdę udało się nam ich rozzłościć.

- A czy "Oenone" nie potrafi tego odczytać? - Zapytał Liol.

- Myślałem, że jastrzębie mają bardzo dobry zmysł przestrzenny.

- Mają - potwierdziła Syrinx. - Gdybyśmy mieli ten almanach, moglibyśmy was poprowadzić prosto do Śpiącego Boga. Najpierw jednak trzeba go znaleźć, a to jest możliwe tylko w jednym miejscu. Musimy zawrócić.

- Niekoniecznie - zaprzeczył radosnym tonem Kempster.

- Jest jeszcze drugi układ gwiazdny, w którym z pewnością się znajduje. Sam Mastrit-PJ. Nawet lepiej, odbierali tam bezpośrednie transmisje ze Swantiki-LI. Mogły być jeszcze inne wiadomości, których nie przekazali do Tandzuriki-RI. Musimy tylko okrążyć Mgławicę Oriona i czerwony olbrzym zaświeci na nas jak cholerna latarnia morska. Gdy tylko instrumenty go wykryją, opracujemy odpowiednią trajektorię.

- Z naszego punktu widzenia jeszcze bardziej obiecujący jest fakt, że Mastrit-PJ nie ma obecnie mieszkańców - zauważył Parker. - Tym razem będziemy mogli spokojnie, bez pośpiechu, odnaleźć wśród ruin poszukiwane informacje.

- Nie wiemy, ile czasu minęło od zagłady ostatniej reduty tamtejszej cywilizacji - zauważyła Oski z nutą niepokoju w głosie. - Relikty cywilizacji Laymilów są w kiepskim stanie, choć minęło zaledwie dwa i pół tysiąca lat. Nie mam pewności, czy potrafię cokolwiek odczytać z

elektronicznych zapisów, które były narażone na działanie próżni dwukrotnie dłużej.

- Jeśli okaże się to konieczne, możemy zbadać układy gwiazdne otaczające Mastrit-PJ w poszukiwaniu innych kolonii Tyrataków. Z pewnością jest ich tam bardzo wiele i nikt ich dotąd nie ostrzegł przed podstępными ludźmi. Rzecz w tym, że po drugiej stronie mgławicy możemy znaleźć kopie almanachu.

- Nie wątpię w to - stwierdziła Oski. - Chciałam tylko wskazać, że możemy mieć trudności.

- Wszyscy zapominacie o jednym - odezwał się Joshua. Omal się nie uśmiechnął, gdy spojrzeli na niego z oburzeniem. - Czy Śpiący Bóg będzie tam na nas czekał, jeśli Kiintowie dotrą do niego pierwsi? I czego właściwie od niego chcą?

- Nie możemy przerwać misji z powodu Kiintów - obruszyła się Syrinx. - Zresztą nie mamy dowodów... - Umilkła, widząc drwiące spojrzenie Joshui. - No dobra, byli na Tandzuriku-RI. Ale przecież jeszcze przed odlotem wiedzieliśmy, że są zainteresowani. Właśnie dlatego tu teraz jesteśmy. Moim zdaniem to świadczy, że Śpiący Bóg to coś ważnego.

- Dobra - skwitował Joshua. - Lecimy na drugą stronę mgławicy.

Przed pięćdziesięciu laty Sinon odwiedził skolonizowaną przez rdzennych Walijczyków planetę Llandilo, gdzie marzył przez trzy godziny o wschodzie słońca, oglądając, jak klan Nowych Druidów wita pierwszy dzień wiosny. Jak na pogańskie ceremonie, ta była dla niewtajemniczonego raczej nudna. Pełno w niej było fałszywych śpiewów oraz wygłaszanych po gaelicku inwokacji do bogini matki miejscowej planety. Tylko krajobrazy były warte obejrzenia. Ceremonia odbywała się na przylądku o zwróconych na wschód klifach, gdzie ku morzu maszerowała linia potężnych, granitowych kolumn. Tubylcy zwali je Kolumnadą Boga.

Kiedy z gęstej morskiej mgły wynurzył się różowo-złoty rąbek słońca, jego promienie padły wprost na szereg słupów. Cienie się rozpięzły i szczyty kolumn spowiły korony barwy różu i złota. Piękno natury podniosło na duchu kongregację obleczonych w biel Nowych Druidów i ich rozbrzmiewające nad brzegiem głosy osiągnęły wreszcie przyzwoitą harmonię.

To dziwne, że Sinon postanowił zabrać ze sobą akurat to wspomnienie do swego nowego ciała sierżanta z jego ograniczoną pojemnością pamięci. Z pewnością nie przypominał sobie, dlaczego je zachował. Być może powodem był nadmiar sentymentalizmu. Bez względu na motyw, wspomnienie z Llandilo ułatwiło mu przystosowanie się do chwili obecnej. Dziewięć tysięcy sierżantów uwięzionych na wyspie zgromadziło się na skraju płaskowyżu, by użyć siły swej woli. Gdy brnęli uparcie przez błoto w stronę punktu zbornego, cała reszta wspierała afinicznie ich wysiłki. Nie była to właściwie modlitwa, ale podobieństwo do Nowych Druidów bawiło Sinona i podnosiło go na duchu. Edeniści znaleźli się w trudnej sytuacji i potrzebowali pocieszenia.

Priorytetem było dla nich powstrzymanie ucieczki atmosfery z latającej wyspy, zanim wszyscy zginą z braku powietrza. Teraz, gdy już zawładnęli w pewnym zakresie energistyczną mocą, było to proste zadanie dla ich połączonych umysłów. Ich zjednoczone pragnienie mogło zmusić do posłuszeństwa miejscową rzeczywistość. Pomagała im nawet Stephanie Ash z grupką swych obdartych zwolenników. Wyglądało to tak, jakby otaczająca wyspę warstwa powietrza zmieniła się w nieprzenikloną, pionową tarczę.

Ten widok przyniósł im ulgę i zachęcił do dalszych wysiłków. Głośno i wyraźnie wyrazili swe drugie życzenie, którym był powrót. W teorii powinno to być łatwe. Jeśli potężna koncentracja energistycznej mocy sprowadziła ich tutaj, jej równie silne skupienie mogło odesłać ich z powrotem. Jak dotąd jednak ten zakładający logiczną symetrię argument na nic im się nie zdał.

- Powinniście dać sobie na chwilę spokój - stwierdził poirytowany Cochrane. - Wyglądacie naprawdę niesamowicie, jak jakaś armia zombiaków.

Razem z innymi członkami grupy Stephanie rzutki hipis poświęcił kwadrans na próby dopomożenia sierżantom w stworzeniu jakiegoś rodzaju połączenia ze starym wszechświatem. Gdy stało się oczywiste, przynajmniej dla nich, że będzie to niesłychanie trudne, a może nawet niemożliwe, jego uwaga się rozproszyła. W końcu wszyscy usiedli w kręgu wokół Tiny, starając się ją jakoś pocieszyć.

Leżąca w ocieplanym polowym śpiworze dziewczyna drżała z zimna i zlewał ją pot. Jeden z sierżantów, wyszkolony medyk, zbadał ją i stwierdził, że największym problemem jest utrata krwi. Ich sprzęt do bezpośrednich infuzji nie funkcjonował w tym królestwie, zmontowali więc prymitywną kroplówkę, żeby podać jej osocze.

Stephanie dręczyły niewypowiedziane obawy, że Tina doznała obrażeń wewnętrznych, których nie mają szans porządnie uleczyć przy użyciu energistycznej mocy, bez względu na to, jak bardzo będą wytyżać swą wolę, żeby poczuła się lepiej. Podobnie jak w przypadku oczu Moyo,



subtelne cielesne funkcje wykraczały poza ich możliwości. Potrzebowali w pełni funkcjonalnych medycznych pakietów nanonicznych, a tych tutaj nie znajdują.

Niepokoiliła się również o to, co stanie się z duszami tych, którzy umrą w tym królestwie. Łączność z zaświatami została tu nieodwracalnie zerwana. Wolalała się nie zastanawiać nad tą kwestią. Gdy jednak widziała kiepsko odgrywany optymizm Tiny, nasuwała się jej myśl, że wkrótce mogą się przekonać.

Sinon wyszedł z transu i spojrzał na Cochrane'a.

- Nasze próby manipulacji energistyczną mocą nie są fizycznie wyczerpujące. Ponieważ nie mamy tu nic innego do roboty, uważamy za właściwe kontynuować próby powrotu do domu.

- Naprawdę? Dobra, to potrafię zrozumieć. Ja się oczyszczam za pomocą jogi. To słuszna droga. Ale rozumiesz, my, koty, musimy czasem coś zjeść.

- Przepraszam. Trzeba było od razu powiedzieć. - Sinon podszedł do jednego z wielkich stosów plecaków i broni zdjętych przez sierżantów. - Obawiam się, że my nie spożywamy stałego pokarmu, ale nasza odżywcza zupa może zaspokoić wasz głód. Zawiera wszystkie białka i witaminy, jakich potrzebuje ludzki organizm. - Wyciągnął trochę srebrnych saszetek i rozdał je spoglądającej nań z powątpiewaniem grupie. - Powinniście uzupełnić ten posiłek wodą.

Cochrane zdjął zamknięcie z małego wylotu saszetki i powąchał go nieufnie. Wszyscy przyglądali się z uwagą, jak skapnął na dłoń kilka kropli jasnobursztynowego płynu i polizał go.

- Cholera! Smakuje jak morska woda. Kurde, nie mogę się żywić surowym planktonem. Nie jestem wielorybem.

- Rozmiary masz podobne - mruknęła pod nosem Rana.

- Nie mamy tu żadnego innego pokarmu - oznajmił Sinon tonem lekkiego wyrzutu.

- Dziękujemy, ten się nada - odpowiedziała wielkiemu sierżantowi Stephanie. Koncentrowała się przez chwilę, aż wreszcie jej saszetka przerodziła się w tabliczkę czekolady. - Nie przejmuj się Cochrane'em. Możemy sobie wyobrazić dowolny smak.

- Dopadnie was niedobra karma - zapowiedział hipis, pociągając nosem. - No dobra, Sinon. Masz wolną szklanekę? Tak sobie myślę, że jeszcze pamiętam, jak smakuje porządny burbon.

Sierżant pogrzebał w plecaku i znalazł w nim plastikowy kubek.

- Hej, dziękuję. - Cochrane wziął w rękę naczynie i przerobił je w szklanekę z kryształu. Nalał sobie miarkę odżywczej zupy, a potem przyglądał się z zadowoleniem, jak przeradza się ona w je go ulubiony, złocisty trunek. - To mi się bardziej podoba.

Stephanie odwinęła folię i ugryzła róg tabliczki. Czekolada smakowała równie dobrze jak importowany ze skolonizowanego przez rdzennych Szwajcarów świata artykuł pierwszej klasy, który pamiętała z dzieciństwa. Powiedziała sobie jednak, że przecież w tym przypadku smak wywodzi się ze wspomnienia.

- Ile jeszcze zostało wam tej zupy odżywczej? - Zapytała.

- Każdy z nas ma w plecaku zapas na tydzień - odparł Sinon.

- Przy założeniu, że przez większość tego czasu będziemy fizycznie aktywni. Przy starannym racjonowaniu powinno jej starczyć na z górą dwa tygodnie.

Stephanie wpatrzyła się w pofałdowaną, pokrytą szarobrązowym błotem powierzchnię latającej wyspy. Tu i ówdzie na lśniącym niebieskawym blaskiem ziemi było widać niewielkie sadzawki. Na brzegach wysychających grzędzawisk kręciły się nieliczne ferrangi i kolfrany, gryzące przywiędłe liście. Nie wystarczyłoby ich nawet na jeden posiłek dla całej złożonej z ludzi i sierżantów populacji.

- To chyba znaczy, że nie mamy więcej czasu. Nawet gdybyśmy mieli magazyny pełne ziarna,

trzy tygodnie to za mało, żeby uzyskać plon.

- Nie jest pewne, czy powietrza wystarczy nawet na tak długo - dodał Sinon. - Według naszej oceny na wyspie znajduje się ponad dwadzieścia tysięcy ludzi i sierżantów. Nie zabraknie nam tlenu, ale jeśli nie będziemy odświeżali atmosfery, dwutlenek węgla wydychany przez tak liczną populację w ciągu dziesięciu dni osiągnie potencjalnie niebezpieczne stężenie. Jak widzicie, właściwie nie ma tu już roślinności, która mogłaby produkować tlen. Dlatego jesteśmy zdeterminowani sprawdzić potencjał naszej energistycznej mocy.

- Właściwie powinniśmy wam pomóc - odezwała się Stephanie. - Ale naprawdę nie widzę sposobu. Nikt z nas nie ma więzi afinicznej.

- Może nadejść chwila, gdy będzie nam potrzebny wasz instykt - odparł Sinon. - To wasza zbiorowa wola sprowadziła nas w to miejsce. Może uda się wam znaleźć drogę powrotną. Jednym z naszych podstawowych problemów jest fakt, że nie wiemy, gdzie się znajdujemy. Nie mamy żadnych punktów odniesienia. Gdybyśmy poznali miejsce swego pobytu w odniesieniu do naszego wszechświata, moglibyśmy uzyskać z nim połączenie. Ale ponieważ nie odegraliśmy żadnej roli w przeniesieniu wyspy tutaj, nie wiemy, jak rozpocząć poszukiwania.

- Obawiam się, że my również tego nie wiemy - stwierdził Moyo. - Dla nas to po prostu azyl, miejsce, gdzie nie ma kampanii wyzwolenczej.

- To ciekawe - mruknął Sinon. Coraz więcej sierżantów przysłuchiwało się rozmowie w nadziei, że znajdą wśród słów rannego jakieś wskazówki. - To znaczy, że przedtem nie zdawaliście sobie sprawy z istnienia tego królestwa?

- Nie do końca, choć zapewne przypuszczaliśmy, że takie miejsce istnieje albo może istnieć. Wśród nas, to znaczy opętujących, pragnienie sięgnięcia na zewnątrz jest czymś powszechnym. Pragniemy znaleźć się w jakimś miejscu, w którym nie ma łączności z zaświatami ani nocy przypominającej nam o pustce.

- I sądzicie, że to właśnie takie miejsce?

- Spełnia wszelkie kryteria - odparł Moyo. - Chociaż nie wiem, jak to jest z tym brakiem nocy - dodał z goryczą.

- Czy inne planety też tu gdzieś są? - Zapytał Sinon. - Norfolk i cała reszta? Czy choć przez chwilę zdawałeś sobie sprawę z ich obecności?

- Nie. Kiedy tu się przenosiliśmy, nie wykryłem nic w tym rodzaju.

- Dziękuję.

- Wygląda na to, że instykt gra tu dominującą rolę - oznajmił towarzyszom. - Nie wierzę, byśmy uzyskali od nich jakieś odpowiedzi.

- Nie rozumiem, dlaczego nie możemy po prostu wrócić na życzenie - odparł Choma. - Nie ustępujemy im mocą i z pewnością pragniemy się stąd wydostać.

Ich zjednoczone w minikonsensusie umysły zdecydowały, że istnieją dwie możliwości. Być może opętani spontanicznie stworzyli dla siebie zamknięte kontinuum. Takie wydarzenie wydawało się jednak mało prawdopodobne, choć tłumaczyłoby to niektóre właściwości królestwa, w którym się znaleźli - awarię sprzętu elektronicznego, utratę łączności z zaświatami. Stworzenie zupełnie nowego kontinuum przez manipulację istniejącą czasoprzestrzenią za pomocą energii byłoby jednak straszliwie skomplikowane. A przecież opętanymi kierował czysty strach, co raczej wykluczało podobną procedurę.

Bardziej prawdopodobne wydawało się, że to kontinuum istniało już wcześniej, ukryte pośród niezliczonych wymiarów czasoprzestrzeni. Zaświaty również były takim miejscem, choć o zupełnie innych parametrach. Z pewnością znaleźli się głęboko wśród równoległych królestw

współistniejących z ich wszechświatem. Z jednej strony nie dzieliła ich od domu żadna odległość, z drugiej zaś znajdował się on na drugim końcu nieskończoności.

Co więcej, mimo maksymalnej koncentracji ich energistycznej mocy nie udało się im otworzyć nawet najmniejszego tunelu czasoprzestrzennego. To nie rokowało dobrze. Przedtem dziesięć tysięcy opętanych zdołało stworzyć portal wystarczająco szeroki, żeby pomieścić skałę o średnicy dwunastu kilometrów. Teraz dwanaście tysięcy sierżantów nie było w stanie wygenerować szczeliny, przez którą prześliznąłby się choć foton.

Wy tłumaczenie musiało brzmieć tak, że stany energii są tu inne. Za jedenaście dni, gdy zabraknie powietrza, ta prosta różnica ich zabije.

Stephanie przyglądała się przez parę minut Sinonowi, aż wreszcie stało się jasne, że nie usłyszy od niego nic więcej. Z trudem wyczuwała umysły otaczających ją sierżantów. Nie było w nich gwałtownych emocji towarzyszących ludzkim myślom, a jedynie słaby, miarowy płomyk racjonalności. Tylko z rzadka rozjarzał się nutą pasji jak płomień świecy spalający pyłek. Nie wiedziała, czy jest to efekt specyficznej psychiki edenistów, czy mentalności typowej dla sierżantów.

Smagłe technobiotyczne konstrukty zamaryły w budzącym niepokój bezruchu, ustawione w luźnym kręgu. Każdy kolejny pluton po przybyciu na miejsce zdejmował bezzwłocznie plecaki i dołączał do towarzyszy w nieruchomej kontemplacji. Stephanie odnosiła wrażenie, że ich grupa to jedyni ludzie w tym miejscu. Nowo przybyli sierżanci omijali ruiny Ketton szerokim łukiem, ona jednak wyczuwała tam aktywność jakichś umysłów. Z początku zastanawiała się, dlaczego nikt stamtąd nie przyszedł porozmawiać z sierżantami, doszła jednak do wniosku, że powodem jest rezygnacja.

- Powinniśmy pójść z nimi pogadać - odezwała się. - W naszej sytuacji takie podziały są śmieszne. Jeśli chcemy ocaleć, musimy ze sobą współpracować.

McPhee westchnął, wsuwając potężne ciało w śpiwór, na którym leżał.

- Och, dziewczyno, ty we wszystkich widzisz tylko dobro. Otwórz oczy. Przypomnij sobie, co te skurwysyny nam zrobiły. Niech zgniją.

- Bardzo bym chciał otworzyć oczy - wtrącił ostrym tonem Moyo. - Stephanie ma rację. Powinniśmy przynajmniej spróbować. Dzielenie się na obozy to głupota.

- Nie chciałem nikogo obrazić. Wskazałem tylko na fakt, że nie próbowali się porozumieć ani z nami, ani z sierżantami.

- Sierżantów zapewne się boją - odparła Stephanie. - W końcu minęło dopiero pół doby. Wątpię, żeby zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Nie są tak zdyscyplinowani jak edeniści.

- Prędzej czy później się dowiedzą - zauważyła Rana. - Niech przyjdą do nas, kiedy poczują się gotowi. Wtedy nie będą już tacy niebezpieczni.

- Teraz też nie są niebezpieczni. A nasza pozycja umożliwia nam wykonanie pierwszego ruchu.

- Momencik, siostró - oburzył się Cochrane. Usiadł z trudem, wylewając ze szklanki mnóstwo burbona. - Nie są niebezpieczni? Nie chrzań! A co z tą Ekelund? Kiedy się z nią zegnaliśmy, zbudowała niezłe barykady.

- Sytuacja się zmieniała. Słyszałeś, co mówił Sinon. Jeśli nie znajdziemy drogi wyjścia, wszyscy tu umrzemy. Nie wiem, czy ich pomoc przyda się na cokolwiek, ale z pewnością nam nie zaszkodzi.

- Brr. Nie znoszę, kiedy jesteś taka rozsądna. Zupełnie jakbym miał zły odlot. Wiem, że wdepnąłem w coś paskudnego, ale nie mogę się wydostać.

- Dobra. W takim razie pójdiesz z nami.

- O cholera.

- Ja zostanę z Tiną - powiedziała cicho Rana, ściskając lekko dłoń przyjaciółki. - Ktoś musi się nią zaopiekować.

Tina uśmiechnęła się bezradnie.

- Jestem dla was ciężarem.

Rozległ się chór pełnych oburzenia zaprzeczeń. Wszyscy uśmiechnęli się pospiesznie albo spróbowali pocieszyć ją jakimś gestem. Moyo z przygnębioną miną wyciągnął rękę do Stephanie, by uchwycić jej pomocną dłoń.

- To nie potrwa długo - zapewniła obie kobiety. - Sinonie? - Klepnęła lekko sierżanta w ramię. - Zechcesz pójść z nami?

Sinon poruszył się lekko.

- Tak. Nawiązanie kontaktu to dobry pomysł. Choma również będzie nam towarzyszył.

Stephanie nie do końca wiedziała, dlaczego to robi. Nie miało to nic wspólnego z opiekuńczym odruchem, który kazał jej pomóc dzieciom w Mortonridge, ani nawet z paternalizmem, który scalał ich grupę w tygodniach poprzedzających kampanię wyzwolenczą. Podejrzewała, że może chodzić o czysty instynkt samozachowawczy. Chciała, żeby obie strony współpracowały ze sobą w poszukiwaniu wyjścia z sytuacji. W przeciwnym razie mogą nie sprostać zadaniu.

Katastrofa nie spowodowała zbyt wielkich zmian otaczających Ketton gruntów. W poprzek wyspy biegła lekko zakrzywiona linia zdradzająca pierwotny kształt doliny, od której ją oderwano. Na granicach wysychających powoli grzędzawisk ciągnęły się podłużne wzniesienia przypominające zmarszczki pozostawione na piasku przez fale. Z porastających podnóże wzgórz lasów pozostały jedynie nagie, czarne gałęzie, wyciągające się nieustępliwie ku niebu. Nie było widać żadnego śladu po drogach. Te, które przetrwały powódź, zostały zniszczone przez wstrząsy. Dwukrotnie natknęli się na sterczące z błota wyszczerbione płyty węglowego betonu przechylone pod ostrymi kątami, ale nie przypominali sobie, żeby w tych miejscach były przedtem jakieś drogi.

Wszędzie znowu było pełno błota i nogi Stephanie przy każdym kroku zagłębiały się w nim na kilka centymetrów. Nie było tak źle jak wtedy, gdy biegli, żeby nie doścignęły ich dżipy, ale i tak posuwanie się naprzód wymagało sporego wysiłku. Do tego nie odzyskali jeszcze w pełni sił. Niecały kilometr od granicy miasta zatrzymała się, żeby chwilę odpocząć. Dyszała ciężko i przy każdym oddechu czuła się winna, że zużywa bezcenne powietrze.

Widziane z oddali Ketton różniło się od otaczającej je okolicy. Wyraźnie od siebie odgraniczone, różnobarwne strefy zdawały się potwierdzać teorię, że choć większość budynków została uszkodzona, nadają się jeszcze do użytku. Teraz Stephanie widziała, że to założenie było błędne. Całkowita nieobecność drzew powinna była stać się dla niej ostrzeżeniem.

Cochrane uniósł na czoło wąskie okulary słoneczne o fioletowych szklach, żeby przyjrzeć się miastu.

- O kurde, co też wam przyszło do głowy? Przecież to ruina przez największe możliwe R na świecie.

- Atak na Ketton miał za zadanie pozbawić okupujących miasto opętanych wszelkiej taktycznej osłony - wyjaśnił Sinon. - Ponieśliśmy spore straty z powodu zastawianych przez was pułapek i zasadzek. Byliście zdecydowani bronić miasta, a generał Hiltch z równą determinacją postanowił pozbawić was wszelkiej taktycznej przewagi, jaką mogło wam zaferować. Podejrzewam, że trzęsienie miało też być dla was ciosem psychologicznym.

- Tak? - Zadrwił hipis. - To chyba nie wyszliście na tym za dobrze. Tylko popatrz, co zrobiliśmy pod wpływem strachu.

- Uważasz, że tutaj jest wam lepiej?

McPhee parsknął śmiechem na widok wyraźnego niezadowolenia Cochrane'a.

- Czy to wygląda źle? - Zapytał Moyo.

- Z miasta nic nie zostało - odpowiedziała Stephanie. - Absolutnie nic.

Widziane z bliska różnobarwne plamy okazały się po prostu połączeniami błota oraz niewysokich kupek gruzu. Choć ich energistyczna moc nie osłabła prawie w ogóle, opętani nie próbowali odbudowywać miasta. Krążyli tylko bezustannie pośród ruin.

Kiedy ich grupa podeszła bliżej, Stephanie zorientowała się, że poczynania ocalonych nie są bynajmniej bezcelowe i nie świadczą o dezorientacji. Opętani rozkopywali systematycznie sterty gruzu, wydobywając z nich znaczne ilości cegieł oraz odprysków betonu. Używali przy pracy zarówno siły fizycznej, jak i energistycznej mocy. Ich zachowanie robiło wrażenie celowego i świadomego. Innymi słowy, zorganizowanego.

- To chyba jednak nie był dobry pomysł - powiedziała cicho, gdy dotarli do pierwszych stert gruzu. - Coś mi się zdaje, że Ekelund nadal tu rządzi.

- Rządzi czym? - Zapytał Cochrane. - To wygląda jak miejskie wysypisko. I zostało im tylko dziesięć dni życia.

Przy jednym ze stosów pracowała grupka złożona z dwóch kobiet i dwudziestoparoletniego mężczyzny, którzy przenosili wielkie metalowe belki, jakby były zrobione z plastiku. Udało im się już wykopać kilka krótkich tuneli, prowadzących do środka sterty. Wewnątrz znajdowały się poobtlukiwane, kompozytowe skrzynki pełne saszetek. Wszyscy troje przerwali pracę, gdy Stephanie i Sinon podeszli bliżej. Zobaczywszy, że są ubrani w wojskowe mundury, Stephanie poczuła, że opuszczają ją resztki nadziei.

- Doszliśmy do wniosku, że powinniśmy sprawdzić, czy możemy wam jakoś pomóc - zaczęła.

- Może ktoś jest uwięziony pod gruzami.

Młodzieniec skrzywił się wściekle, przenosząc spojrzenie między Stephanie a swymi towarzyszami.

- Nikt nie jest uwięziony. Czemu się zadajesz z tymi potworami z Królestwa? Jestem jakimś szpiegiem czy coś?

- Nie jestem szpiegiem - odpowiedziała ostrożnie. - Nie ma tu powodu nikogo szpiegować. Jesteśmy na tej wyspie razem. Nikt już nie ma nic do ukrycia. Nie mamy o co walczyć między sobą.

- Czyżby? A ile żywności macie? Założę się, że nie za dużo.

Czy po to tu przyszliście?

Zerknął z niepokojem na stosik skrzynek, który udało im się odkopać.

- Zapasy sierżantów wystarczą również dla nas. Kto tu właściwie sprawuje władzę?

Gdy młodzieniec otwierał usta, żeby odpowiedzieć, biodro Stephanie przeszło ukłucie niewiarygodnie palącego bólu. Kobieta padła na plecy. Świat zawirował wokół niej jak szalony. Widziała własne kończyny wyciągające się ku górze. Ziemię zboczyła krew i ciało Stephanie oklapło. "Postrzelili mnie!".

Wszyscy krzyčili i biegali wokół jak szaleńcy. Rozświetlone migotliwym blaskiem powietrze stwardniało, otaczając ją ochronną tarczą. Stephanie uniosła głowę i przyjrzała się z odrętwiałym zainteresowaniem własnemu ciału. Jej spodnie i bluzka błyszczały czerwono od krwi. Nad biodrem w tkaninie pojawiła się wielka dziura. Widać w niej było rozerwane ciało oraz odpryski kości. Szok nadał jej spojrzeniu wyjątkową ostrość. Nagle głowę kobiety załapała fala ciepła. Straszliwy ból powrócił. Krzyknęła, przed oczyma robiło się jej szaro. Mięśnie Stephanie się rozluźniły, a jej głowa osunęła się z powrotem w błoto.

- Stephanie? Kurwa, co się stało?

To był Moyo. Wzdrygnęła się, słysząc ból i strach w jego głosie.

- Cholera jasna! Ci goście ją postrzelili. Hej, Stephanie, słyszysz mnie? Trzymaj się. To tylko draśnięcie. Nic groźnego. Zaraz to załatwimy. - Klęczał obok niej mroczny demon. Po jego skorupie pełzały rozjarzone iskry. - Zastosuję ucisk. To powinno powstrzymać krwawienie. Skup myśli na naprawie kości.

Stephanie zapadała się w mrok, tylko niejasno zdawała sobie sprawę, że na jej tułów wylało się coś przypominającego suchy płyn. Najgłębsza kałuża utworzyła się na jej biodrach, uciskając je chłodnym ciężarem. Przed jej oczyma ospale migotała piękna, opalizująca chmura. Stephanie czuła, jak jej oszalałe serce zwalnia do spokojniejszego rytmu. Zapanowała też nad spazmatycznym oddechem. To dobrze. Nadal czuła się winna, że zużywa tak wiele powietrza.

- Zamyka się.

- Boże, ile krwi.

- Wszystko w porządku. Żyje.

- Stephanie, słyszysz mnie?

Jej ciałem targały gwałtowne drżenia. Skórę miała zimną jak lód. Odzyskała jednak ostrość widzenia i ujrzała nad sobą twarze najbliższych przyjaciół. Wszyscy patrzyli na nią, porażeni żalem.

Rozciągnęła usta w bledziutkim uśmiešku.

- To zabolalo - wyszeptala.

- Spokojnie - mruknal Franklin. - Jesteś w szoku.

- Z pewnością.

Moyo ścisnął boleśnie jej ramię. Spróbowała wyciągnąć rękę, żeby go uspokoić.

- Rana jest zagojona - oznajmił Sinon. - Ale straciłaś sporo krwi. Musimy zanieść cię do obozu i przetoczyć ci trochę osocza.

W sferze jej świadomości pojawiło się coś znajomego. Znajomego i niepożądanego. Zimne, twarde myśli pełne brutalnej satysfakcji.

- Ostrzegałam cię, żebyś tu nie wracała, Stephanie Ash.

- Ty faszystowska dziwko! - Ryknął McPhee. - Nie mamy broni.

Stephanie uniosła z wysiłkiem głowę. Annette Ekelund przyszła tu z grupą około trzydziestu żołnierzy. Miała na sobie nieskazitelnie wyprasowany połowy mundur oficerski barwy jasnego khaki z furażerką do kompletu. Trzy gwiazdki na jej epoletach lśniły nienaturalnym blaskiem. W rękach ścisnęła od niechcienia potężną strzelbę. Odciągnęła spokojnie zamek, patrząc Stephanie prosto w oczy. Łuska spadła na ziemię.

Stephanie jęknęła z rozpaczą.

- Jesteś nienormalna.

- Przeprowadziłaś nieprzyjaciela do naszego obozu i wydaje ci się, że unikniesz kary? Daj spokój, Stephanie, wiedziałaś, czym to grozi.

- Jakiego nieprzyjaciela? Przyszliśmy zobaczyć, czy potrzebujecie pomocy. Nie rozumiesz?

Miała ochotę skryć się z powrotem w obłoku bólu i szoku. To byłoby lepsze.

- Nasze zwycięstwo niczego nie zmieniło. Nieprzyjaciel nadal pozostaje nieprzyjacielem. A ty i twoja banda zbiegów z wariatkowa pozostajecie zdrajcami.

- Za pozwoleniem - odezwał się Sinon. - Nie odnieśliście żadnego zwycięstwa. Na tej wyspie nie ma żywności, a powietrza zabraknie za dziesięć dni. Musimy do tego czasu odnaleźć drogę powrotu.

- Jak to zabraknie powietrza? - Zdziwił się Devlin.

- W tym królestwie nie ma żadnego powietrza poza tym, które przynieśliśmy ze sobą - wyjaśnił Sinon donośniejszym głosem. - Przy obecnym tempie oddychania zużyjemy je za dziesięć dni, w najlepszym razie za dwa tygodnie.

Kilku stojących za Ekelund żołnierzy wymieniło spojrzenia.

- To zwykła dezinformacja - stwierdziła Annette z lekceważeniem w głosie. - Brzmi bardzo prawdopodobnie i gdybyśmy nadal przebywali w naszym dawnym wszechświecie, sama bym w to uwierzyła. Ale już tam nie przebywamy. Znajdujemy się w miejscu, które sami dla siebie wybraliśmy i które zapewni nam bezpieczeństwo na całą wieczność. Tak bliskie nieba, jak to tylko możliwe dla człowieka.

- Określiliście jedynie warunki brzegowe - sprzeciwił się Sinon. - Królestwo, w którym będziecie odcięci od zaświatów i w którym nie istnieje noc. To wszystko. To królestwo nie ocali was przed waszym szaleństwem. To nie jest aktywnie dobroczynne środowisko, które z radością zaspokoi wszelkie wasze potrzeby. Jesteście odpowiedzialni za to, co tu sprowadziliście, a zabraliście ze sobą tylko martwą bryłę skały otoczoną cieniutką warstwą powietrza. Powiedz mi, jak ta wyspa miałaby podtrzymywać wasze życie przez dziesiątki tysięcy lat? To ciekawe.

- Jesteś maszyną. Stworzono cię z myślą o tylko jednym celu: zabijaniu. Nie potrafisz zrozumieć nic więcej. Nie masz duszy. Gdybyś ją miał, czułbyś się jednym z tym miejscem. Poznałbyś jego chwałę. Tu właśnie pragnęliśmy się znaleźć. Jesteśmy tu bezpieczni. Przegrałeś, maszyno.

- Hej. - Cochrane uniósł rękę i uśmiechnął się szeroko, promieniejąc entuzjazmem jak podekscytowany chłopak. - No wiesz, ja bardzo lubię organiczne życie. Zawsze jestem w kontakcie z muzyką ziemi i muszę ci powiedzieć, że na tej kupie błota nic za cholere nie czuję. Tu nie ma żadnych karmicznych wibracji, kochanie. Lepiej mi uwierz.

- Miałabym uwierzyć zaćpanemu podżegaczowi? Nie sądzę.

- Czego chcesz? - Zapytała Stephanie. Zdawała sobie sprawę, że jeśli Cochrane będzie dłużej dyskutował z Ekelund, straci panowanie nad sobą, a to skończy się źle dla wszystkich zainteresowanych. Ekelund wystarczy najmniejszy pretekst, żeby eksterminować ich wszystkich. W gruncie rzeczy Stephanie zadawała sobie pytanie, co ją powstrzymuje. Zapewne po prostu chciała się trochę pochełpić triumfem.

- Nie chcę niczego, Stephanie. To ty złamałaś umowę i do mnie przyszłaś, pamiętasz?

- W pokoju. Chciałam pomóc.

- Nie potrzebujemy pomocy. Nie od ciebie. Nie tutaj. Wszystko jest pod kontrolą.

- Przestań.

- Co mam przestać, Stephanie?

- Pozwól im odejść. Zwróć tym ludziom wolność. Jeśli nie znajdziemy drogi wyjścia, wszyscy tu zginiemy, a ty wciąż próbujesz im narzucić swój autorytarny reżim. To nie jest niebo. To straszliwa pomyłka, którą popełniliśmy pod wpływem paniki. Sierzanci próbują nam pomóc. Dlaczego nie chcecie z nami współdziałać?

- Przed dziesięcioma godzinami te maszyny, z którymi się zaprzyjaźniłaś, próbowały nas zabić. Nie, gorzej niż zabić. Każdego jeńca odsyłały z powrotem do zaświatów. Jakoś nie widzę, żebyś się spieszyła oddać to swoje nowe, piękne ciało, Stephanie. Wyczołgałaś się z Ketton, licząc na to, że ukryjesz się w jakiejś dziurze, aż sobie pójde.

- Posłuchaj, jeśli tak bardzo zależy ci na zemście, to weź mnie zastrzel i z głowy, ale reszcie pozwól odejść. Nie możesz skazać wszystkich na wyspie na śmierć tylko dlatego, że masz w sobie tyle strachu i nienawiści.

- Brzydę się twoją fałszywą szlachetnością. - Annette minęła Cochrane'a oraz Sinona, zatrzymując się obok Stephanie. Lufa strzelby zawisała kilka centymetrów nad zlanym zimnym potem czołem leżącej. - Budzi ona we mnie bezgraniczną odrazę. Nigdy nie przychodzi ci do głowy, że możesz się mylić. Zawsze uważasz, że to ty masz słusność, jakbyś miała do tego jakieś wrodzone prawo. Używasz swej miłej, beztroskiej natury jako tarczy pozwalającej ci ignorować to, co uczyniłaś z ukradzionym ciałem. Brzydę się tego. Nigdy nie próbowałam zaprzeczać temu, kim jestem i co uczyniłam. Choć raz powiedz prawdę. To, co uczyniłam, było słuszne. Zorganizowałam obronę dwóch milionów dusz, w tym również twojej, i nie pozwoliłam, by ciśnięto cię z powrotem w grozę. Powiedz mi, Stephanie, czy to był słuszny postępek?

Stephanie zamknęła oczy. Po jej policzkach spłynęły cienkie strużki wilgoci. "Może Ekelund ma rację. Może faktycznie staram się ignorować tę straszliwą zbrodnię? Któż mógłby postąpić inaczej?"

- Wiem, że to, co uczyniłam, było złe. Zawsze o tym wiedziałam. Nie miałam wyboru.

- Dziękuję, Stephanie. - Ekelund spojrzała na Sinona. - A ty, maszyno śmierci, jeśli rzeczywiście wierzysz we własne słowa, wyłącz się i pozwól prawdziwym ludziom żyć trochę dłużej. Zużywasz nasze powietrze.

- Jestem takim samym człowiekiem jak ty. Podejrzewam, że nawet lepszym.

- Nadejdzie chwila, gdy ciśniemy węża z powrotem w pustkę. - Uśmiechnęła się bez cienia wesołości. - Ciesz się swym upadkiem. Zapewne będzie długi.

\*

Sylvester Geray otworzył drzwi prywatnego gabinetu księżnej Kirsten i gestem zaprosił Ralpha do środka. Księżna siedziała za biurkiem. Za plecami miała otwarte drzwi na balkon i jej suknią poruszał lekki wietrzyk. Ralph stanął na baczność, zasalutował, a potem postawił swój fleks na biurku. Nad jedynym zapisanym w nim plikiem pracował podczas lotu z Xingu.

Kirsten wydeła usta, spoglądając na przedmiot, ale go nie podniosła.

- Co to ma być? - Zapytała tonem kogoś, kto doskonale zna odpowiedź.

- Moja rezygnacja, księżno.

- Nie przyjmuję jej.

- Księżno, straciliśmy w Ketton dwanaście tysięcy sierżantów i Bóg jeden wie, ilu opętanych cywilów. Ja wydałem rozkaz i ja jestem za to odpowiedzialny.

- Z pewnością masz rację. Zgodziłeś się przyjąć tę odpowiedzialność, gdy Alastair powierzył ci dowództwo nad kampanią wyzwolenczą, i nie uwolnisz się od niej, dopóki ostatni opętany w Mortonridge nie znajdzie się w polu zerowym.

- Nie potrafię tego dokonać.

Kirsten obrzuciła go współczującym spojrzeniem.

- Usiądź, Ralph. - Wskazała na jedno z krzeseł stojących obok biurka. Przez chwilę wydawało się, że Ralph odmówi, ale potem skinął z przygnębieniem głową i spoczął na wskazanym krześle. - Teraz wiesz, co to znaczy być Saldaną - zaczęła Kirsten. - Co prawda, nie musimy podejmować tak ważkich decyzji codziennie, ale przechodzą one niekiedy przez nasze biurko. Mój brat nieraz zatwierdzał dotyczące użycia floty decyzje, które doprowadziły do znacznie większej liczby ofiar niż Ketton. I, jak doskonale wiesz, nieoficjalnie zlecamy eliminację ludzi, którzy pewnego dnia mogą przysporzyć kłopotów królestwu. Być może nie zdarza się to zbyt często, ale ich liczba z czasem się kumuluje. Ktoś musi podejmować takie decyzje, Ralph. Dlatego zaciskam zęby i wydaję konieczne rozkazy, tak nieprzyjemne, że cały gabinet narobiłby w portki, gdyby musiał wziąć odpowiedzialność na siebie. Na tym polega prawdziwa władza. Na podejmowaniu decyzji, które



wpływają na ludzkie życie. Kierowanie sprawami królestwa jest domeną Saldanów. Możesz nas nazywać bezlitosnymi dyktatorami, bezdusznymi kapitalistami albo dobroczynnymi opiekunami wyznaczonymi przez Boga, to bez znaczenia. Rzecz w tym, że jesteśmy bardzo dobrzy w tym, co robimy, dzięki temu, że potrafimy podejmować tego rodzaju decyzje bez wahania.

- Uczono was tego, księżno.

- To prawda, ale ciebie również. Przyznaję, że skala jest w tym przypadku znacznie większa od tego, do czego jest przyzwyczajony szef stacji ESA, ale tak czy inaczej już od pewnego czasu zdecydowałeś, kto będzie żył, a kto zginie.

- Ale popełniłem błąd!

Ralph pragnął krzyknąć na Kirsten, żeby przemówić jej do rozumu, lecz powstrzymało go coś w jego podświadomości. Nie chodziło o respekt ani nawet strach. Być może chciał się po prostu dowiedzieć, czy postąpił właściwie. Nikt inny w całym królestwie, poza być może samym Alastaiem II, nie mógłby go o tym zapewnić.

- Tak, Ralph, popełniłeś. Bardzo poważny błąd. Zapędzenie opętanych do Ketton było fatalnym posunięciem, jeszcze gorszym niż użycie wiązek elektronowych przeciwko czerwonej chmurze.

Zaskoczony Ralph uniósł wzrok, napotykał bezkompromisowe spojrzenie księżnej.

- Szukasz współczucia, Ralph? Tu go nie znajdziesz, nie u mnie. Chcę, żebyś wrócił na Xingu i przeorganizował ofensywę na Mortonridge. Nie tylko dlatego, że dzięki temu odpowiedzialność spadnie na ciebie, nie na mnie i moją rodzinę. Pamiętam, jak się zachowywałeś tej nocy, gdy odkryliśmy, że Ekelund i cała reszta wylądowali na planecie. Byłeś pełen determinacji, Ralph. To robiło wrażenie. Nie pozwoliłeś Jannike ani Leonardowi podjąć decyzji w żadnej sprawie. To mi się podobało. Rzadko się zdarza, żeby ludzie tej rangi spotykali się z publiczną odmową.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że poświęcasz mi tak wiele uwagi - mruknął Ralph.

- Oczywiście, że nie zdawałeś. Miałeś do wykonania robotę i nie liczyło się dla ciebie nic więcej. A teraz masz inną robotę i spodziewam się, że sobie z nią poradzisz.

- Nie jestem odpowiednim kandydatem. To właśnie ta determinacja, o której mówiłaś, doprowadziła do fiaska w Ketton. Zdecydowałem się na rozwiązanie siłowe, ponieważ byłem zbyt wściekły, żeby rozważać racjonalną alternatywę. Chciałem ich zgnieść przeważającą liczebnością i siłą ognia zmusić do kapitulacji. No cóż, teraz już wiemy, do czego prowadzi taka polityka. Do wielkiej dziury w ziemi.

- To była bolesna nauczka, nieprawdaż? - Księżna pochyliła się do przodu, wyraźnie starając się go przekonać, a nie zrazić. - Dlatego właśnie jesteś najlepszym kandydatem.

- Nikt już mi nie zaufa.

- Cholera jasna, natychmiast przestań uważać się nad sobą. - Ralph omal się nie uśmiechnął. Księżna Saldana obrzucała go przekleństwami. - Na tym właśnie polega wojna, Ralph. Edeniści nie będą nam mieli tego za złe. Oni również poparli decyzję szturmową na Ketton. Jeśli zaś chodzi o komandosów i siły okupacyjne, oni i tak cię nienawidzą. Jedną dodatkową wpadką szefa nie zmieni ich opinii. Otrzymają rozkazy i ich porucznicy oraz podoficerowie dopilnują, żeby ściśle je wykonali. Chcę, żebyś ty wydał te rozkazy. Proszę cię o to już po raz drugi.

Przesunęła palcem fleks w jego stronę ruchem szachowego arcymistrza dającego mata.

- Tak jest, księżno.

Wziął fleks w rękę. Z jakiegoś powodu od samego początku wiedział, że sprawa nie będzie łatwa.

- W porządku - powiedziała radosnym tonem Kirsten. - Jaki będzie twój następny ruch?

- Miałem zamiar zalecić swojemu następcy kolejną zmianę zasad prowadzenia ofensywy. Jednym z podstawowych powodów do niepokoju jest pytanie, w jaki sposób sierzanci i mieszkańcy Ketton zdołają przetrwać. Nawet jeśli opętani gromadzili przedtem zapasy, nie mogą mieć zbyt wiele żywności.

- To tylko domysły.

- Tak, księżno. Ale to właśnie podpowiada logika, chyba że całkowicie błędnie odczytujemy sytuację. Do tej pory opętani przenosili do tego swojego ukrytego wymiaru całe planety. Tym razem sytuacja wygląda inaczej. Ketton to tylko skała otoczona warstwą błota. Jedyne pytanie, to czy prędzej zabraknie im powietrza, czy żywności.

- Chyba że znajdą którąś z porwanych planet i skryją się na niej.

- Mam nadzieję, że im się uda, księżno. Szczerą nadzieję. Nie wiem, jakie warunki panują tam, gdzie się znaleźli, ale musiałyby być naprawdę dziwaczne, żeby umożliwić im wylądowanie tak wielką skałą na powierzchni planety. W gruncie rzeczy jesteśmy przekonani, że najprawdopodobniej wrócą, gdy tylko sobie uświadomią, że mają poważne kłopoty. Geolodzy mówią, że taki powrót może spowodować najróżniejsze zaburzenia, ale przygotowujemy się na tę ewentualność.

- Dobry Boże. - Kirsten spróbowała sobie wyobrazić, jak ogromny fragment krajobrazu ląduje w pozostałym po nim kraterze. Nie była w stanie. - Zdajesz sobie sprawę, że ich powrót miałby poważne implikacje dla pozostałych planet? To by znaczyło, że je również można sprowadzić z powrotem.

- Tak, księżno.

- W porządku, wszystko to interesujące teorie, ale na czym ma polegać proponowana przez ciebie zmiana kursu?

- Po przeanalizowaniu problemów Ketton zaczęliśmy się zastanawiać nad sytuacją na odcinku zapasów w całym Mortonridge. Powódź spowodowała, że w ogóle nie ma tam świeżej żywności. Satelity nie odkryły na całym półwyspie ani jednego nietkniętego pola. Niektóre zwierzęta ocalały, ale wkrótce zginą z głodu. Wiemy, że opętani nie potrafią stworzyć żywności za pomocą energistycznej mocy, nie z nieorganicznej materii. Całkowite wyczerpanie się zapasów jest tylko kwestią czasu.

- Możesz ich wziąć głodem.

- Tak, ale na to też potrzeba czasu. Mortonridge to rolniczy region. W większości miast funkcjonuje jakiegoś rodzaju przemysł spożywczy. Przetwórnice albo przynajmniej magazyny. Jeśli opętani porządnie się zorganizują i wprowadzą racjonowanie, będą mogli wytrzymać dość długo. Sugeruję, żebyśmy kontynuowali natarcie, ale w inny sposób. Sierzanci nadal mogą bez obaw ścierać się z małymi grupkami opętanych poza miastami. Liczniejsze grupy przebywające w miastach należy zostawić w spokoju. Otoczmy je kordonem i zaczekamy, aż zabraknie im żywności.

- A jeśli oni też znikną?

- Jesteśmy przekonani, że w Ketton wydarzyło się to dlatego, że atak spowodował uwięzionych tam opętanych do gwałtownej reakcji. Jest wielka psychologiczna różnica między widokiem dziesięciu tysięcy sierzantów maszerujących do ataku a wydzieraniem sobie nawzajem ostatnich saszetek ze spaghetti po bolońsku.

- Im dłużej będą opętani, w tym gorszym stanie znajdą się ich ciała. I to nawet pomijając skutki niedożywienia.

- Tak, księżno, wiem o tym. Dodatkowy problem polega na tym, że jeśli będziemy w dalszym ciągu nacierać ze wszystkich stron, zepchniemy mnóstwo opętanych w jedno wielkie skupisko w centrum Mortonridge. Będziemy musieli podzielić półwysep na sektory. To oznacza, że sierzanci

będą się posuwać naprzód kolumnami, które dopiero później połączą się ze sobą. Część z nich będzie też musiała obsadzić garnizony wokół miast i w związku z tym liczba sierżantów na linii frontu, gdzie najbardziej ich potrzebujemy, zmaleje.

- To kolejne decyzje do podjęcia, Ralph. Podtrzymuję obietnicę zapewnienia ci politycznej osłony. Rób na polu walki, co będziesz musiał, a resztę zostaw mnie.

- Czy mogę liczyć na jakąś poprawę na odcinku wsparcia medycznego? Kiedy zaczną się obłęzenia, będziemy go naprawdę potrzebować.

- Ambasador edenistów zaproponował, że ich habitaty zajmą się najpoważniejszymi przypadkami raka. Niestety, jastrzębie są poważnie przeciążone. Admirał Farquar spróbuje udostępnić nam wojskowe transportowce. One przynajmniej mają kapsuły zerowe. Prosiłam nawet Alastaira o kilka kolonialnych transportowców Kulu Corporation. Będziemy mogli zacząć magazynować pacjentów w polu zerowym, żeby zaczekali, aż zwolnią się miejsca w szpitalach.

- To zawsze coś.

Kirsten wstała i zawiadomiła datawizyjnie Sylvestra Geraya, że audiencja skończona.

- Najbardziej fundamentalna zasada współczesnego społeczeństwa brzmi tak, że wszystko kosztuje więcej i trwa dłużej. Zawsze tak było i zawsze będzie. Nie możemy nic na to poradzić, generale.

Drzwi się otworzyły i Ralph uklonił się nieznacznie.

- Zapamiętam to sobie, księżno.

\*

- Chyba mogę już wstać - odezwała się Stephanie.

Choma i Franklin przynieśli ją na prowizorycznych noszach do obozu sierżantów. Leżała na błotnistym gruncie obok Tiny. Owinięto jej śpiworem nogi i tułów, a potem podłączono kroplówkę. Była zbyt osłabiona, żeby się ruszać. Co chwila przysypiała i budziła się na nowo, dręczyły ją niejasne, rodzące lęk sny. Moyo towarzyszył jej przez cały czas. Trzymał ją za rękę i ocierał czoło z potu. Jej ciało reagowało na ranę gorączką.

W końcu zimne dreszcze ustały. Stephanie leżała spokojnie na plecach, próbując zebrać splątane myśli. Nic się nie zmieniło. Sierżanci nadal stali nieruchomo. Od czasu do czasu wysoko nad nimi rozjarzał się krąg światła, który pulsował przez chwilę, a potem gasł. Gdy zamykała oczy, czuła przepływ energistycznej mocy do wybranej przez nich strefy. Próbowali skupić ją w jednym miejscu, by rozdrzeć tkanę królestwa, w którym się znaleźli. Za każdym razem robili to w nieco innym rytmie, ale skutek był zawsze taki sam. Energia się rozpraszała. Rzeczywistość królestwa pozostawała uparcie nienaruszona.

Poddający oględzinom lędźwiowy kręgosłup Tiny Choma uniósł nagle wzrok.

- Wolałbym, żebyś się jeszcze przez jakiś czas nie przemęczała - powiedział do Stephanie. - Straciłaś mnóstwo krwi.

- Zupełnie jak ja - wtrąciła Tina głosem ledwie silniejszym od szeptu. Uniosła rękę kilka centymetrów nad ziemię, poruszając dłonią w powietrzu.

Stephanie dotknęła jej i ich palce splotły się ze sobą. Dłoń Tiny była niepokojąco zimna.

- Aha, pewnie powinnam się oszczędzać - przyznała Stephanie. - Jeśli nie będziemy odpoczywać, nigdy nie wyzdrowiejemy.

Tina zamknęła z uśmiechem oczy. Z jej ust wyrwał się pomruk zadowolenia.

- Ale wyzdrowiejemy, prawda?

- Tak - zapewniła ze spokojem Stephanie. Miała nadzieję, że dyscyplina pomoże jej opanować myśli. - My, dziewczyny, musimy się trzymać razem.

- Tak jak zawsze. Wszyscy jesteście tacy dobrzy, nawet Cochrane.

- Chce, żebyś wstała na nogi, bo wtedy będzie mógł znowu cię namawiać do ich rozłożenia. -

Tina wyszczerzyła zęby w uśmiechu, a potem ponownie zapadła w półsen. Stephanie wsparła się na łokciach, wyobrażając sobie, że śpiwór zmienia się w wielką poduszkę. Tkanina rozciągnęła się, podtrzymując jej plecy. Wszyscy przyjaciele spoglądali na nią z lekko zawstydzonymi minami. Martwili się o nią.

- Straszna ze mnie idiotka - stwierdziła z goryczą. - Nie trzeba było wracać do Ketton.

- Nieprawda! - Oburzył się Cochrane.

McPhee splunął w kierunku ruin.

- Postąpiliśmy właściwie. Po ludzku.

- To nie twoja wina - oznajmiła sztywno Rana. - Ta kobieta jest szalona.

- I to ja powinnam wiedzieć o tym najlepiej - zauważyła Stephanie. - Trzeba było podjąć przynajmniej elementarne środki ostrożności. Mogła zastrzelić nas wszystkich.

- Jeśli współczucie i zaufanie to wady, z dumą oświadczam, że dzielę je z tobą - oświadczył Franklin.

- Powinnam była uważać na siebie - zauważyła Stephanie, tak cicho, jakby mówiła do siebie.

- To było głupie. Przedtem kula nie zrobiłaby mi żadnej krzywdy. Na Ombey byliśmy ostrożni. Uznałam, że skoro znaleźliśmy się w tej samej sytuacji, powinniśmy trzymać się razem.

- To był poważny błąd. - Moyo pogłaskał czule jej dłoń. - Pomyliłaś się pierwszy raz od chwili naszego spotkania, więc mogę o tym zapomnieć.

Ujęła jego dłoń, uniosła do swej twarzy i pocałowała lekko w wewnętrzną powierzchnię.

- Dziękuję.

- Nie sądzę, żeby ostrożność i podejrzliwość mogły nam zbytnio pomóc - wtrącił Franklin.

- A to dlaczego?

Unióś w ręce jedną z saszetek z zupą odżywczą. Srebrny materiał przybrał powoli niebiesko-białą barwę, a kształt stał się bardziej okrągły. Trzymał w dłoni puszkę zapiekanej fasoli.

- Jesteśmy tu słabsi. W starym wszechświecie mógłbym przeobrazić tę saszetkę w mgnieniu oka. Dlatego właśnie nie możemy wrócić. - Wskazał na sierżantów. W tej samej chwili kolejny biały rozbłysk rozpląnął się w błękitne rzeczułki jonów. - Tu jest za mało mocy, żeby tego dokonać. Nie pytaj mnie dlaczego. To zapewne ma coś wspólnego z odcięciem od zaświatów. Spodziewam się, że broń, którą ma Ekelund, może nam wyrządzić sporą krzywdę, bez względu na to, jak bardzo utwardzimy powietrze wokół siebie.

- Masz jeszcze jakieś dobre wiadomości dla pacjentek? - Zapytał Moyo tonem ostrego wyrzutu.

- Nie, on ma rację - sprzeciwiła się Stephanie. - Poza tym odwracanie się od prawdy w niczym nam nie pomoże.

- Jak możesz być taka spokojna? Jesteśmy tu uwięzieni.

- Niezupełnie - zaprzeczyła. - Z ułomności też czasem płyną pewne korzyści. Sinonie?

Od czasu niefortunnej wyprawy do Ketton sierżanci cały czas obserwowali miasto na wypadek, gdyby Ekelund spróbowała ataku. Sinon i Choma pełnili straż, a jednocześnie opiekowali się dwiema pacjentkami. Zadanie nie należało do trudnych. Ulokowali się na niewielkim wzgórzu i widzieli stąd każde poruszenie na dzielącej ich od ruin połaci błota barwy ochry. Gdyby ktoś ruszył w ich stronę, z pewnością go zauważą.

Sinon sprawdzał partię snajperskich karabinów, w które wyposażono sierżantów. Nie spodziewał się jednak, by musieli ich użyć. Gdyby Ekelund wysłała przeciwko nim swych ludzi,

sierzanci po prostu otoczą obóz barierą podobną do tej, która nie dopuszczała do ucieczki powietrza z wyspy. To będzie pasywna, ale nieprzebyta przeszkoda.

- Słucham? - Powiedział Sinon, odkładając celownik, który właśnie czyścił.

- Czy sierzanci zdają sobie sprawę, że się przemieszczamy? - Zapytała Stephanie. Już od pewnego czasu obserwowała to, co w tym królestwie pełniło funkcję nieba. Gdy tu przybyli, otaczał ich jednolity blask, który sprawiał wrażenie dobiegającego z nieokreślonej odległości. Teraz jednak, gdy wpatrywała się w niego przez dłuższy czas, zaczęła zauważać subtelne zmiany. Nad latającą wyspą unosiły się cienie o niejednorodnych barwach, wyglądające jak drobne fale albo wstęgi rzadkiej mgły. I wszystkie one przesuwały się powoli w jednym kierunku.

Gdy Stephanie zaczęła je opisywać, coraz więcej sierżantów wrywało się z mentalnej unii i spoglądało w górę. Ich połączone umysły wypełniło lekkie zawstydzenie. Powinni byli to zauważyć. Bezpośrednia obserwacja jest najbardziej podstawową metodą zbierania informacji o danym środowisku.

Sierzanci połączyli swój wzrok w jedną całość, dzięki czemu mogli obserwować niebo jak wielosegmentowy teleskop. Tysiące źrenic śledziły te same, przesuwane powoli nieregularności. Połączone równoległe umysły dokonywały podstawowych obliczeń, żeby określić paralaksę. Okazało się, że aberracja znajduje się w odległości około pięćdziesięciu kilometrów.

- Ponieważ ciemniejsze pasma różnią się nieco od siebie szerokością, doszliśmy do wniosku, że otacza nas coś w rodzaju wyjątkowo rzadkiej mgławicy - poinformował zafascynowanych ludzi Sinon. - Jednakże źródło światła nadal pozostaje nieokreślone, nie możemy więc ustalić, czy przemieszcza się mgławica, czy sama wyspa. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że prędkość wynosi około stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, możemy wstępnie wysunąć hipotezę, że to wyspa się porusza.

- Dlaczego? - Zapytała Rana.

- Dlatego że potrzeba by ogromnej siły, żeby przemieszczać mgławicę z taką prędkością. Nie jest to niemożliwe, ale ponieważ wyspę otacza niemal całkowita próżnia, problem pochodzenia oddziałującej na mgławicę siły staje się poważniejszy o cały rząd wielkości. Nie wykryliśmy żadnego fizycznego ani energetycznego czynnika wpływającego na wyspę. Innymi słowy nie ma tu "wiatru", który by ją popychał. Przyznajemy, że jest możliwe, że mgławica nadal się rozszerza, oddalając się od punktu powstania, ale widoczne w niej fluktuacje mają raczej pasywny charakter, co czyni tę ewentualność mało prawdopodobną.

- A więc rzeczywiście lecimy - skwitował McPhee.

- Na to wygląda.

- Nie chodzi o to, że chcę wam dopieprzyć albo coś - odezwał się Cochrane. - Ale czy przyszło wam do głowy, że być może spadamy?

- Kierunek przepływu, który zaobserwowaliśmy w mgławicy, czyni to mało prawdopodobnym - wyjaśnił Sinon. - Wszystko wskazuje na ruch horyzontalny. Najsensowniejsze wyjaśnienie brzmi tak, że po przejściu do tego królestwa nasza prędkość różniła się od prędkości mgławicy. Poza tym, gdybyśmy od chwili przybycia spadali na jakiś obiekt, z pewnością stałby się on już widoczny.

Coś, co produkuje tak potężne pole grawitacyjne, musiałoby być masywne. Kilkakrotnie większe od superjowiszowego gazowego olbrzyma.

- Nie możecie wiedzieć, jakie relacje między masą i siłą przyciągania panują w tym królestwie - zauważył McPhee.

- To prawda. Najlepszy dowód stanowi ta wyspa.

- Dlaczego?

- Siła przyciągania nie zmieniła się po przybyciu tutaj, mimo że nie jesteśmy już częścią Ombey. Przyjeliśmy założenie, że pozostała normalna, gdyż tak zdecydowała podświadoma wola nas wszystkich.

- Niech to szlag. - Cochrane poderwał się nagle, spoglądając ze zdumieniem na swe aksamitne spodnie dzwony. - Chcesz powiedzieć, że tylko nam się śni, że tu jest grawitacja?

- Można by to tak ująć.

Hipis splótł dłonie i wcisnął je mocno w czoło.

- Kurde, to fatalnie. Chcę prawdziwej grawitacji. No wiesz, nie można się bawić czymś tak podstawowym. Po prostu nie można.

- Tutaj rzeczywistość w zasadzie zawiera się w twoim umyśle. Jeśli postrzegasz działanie grawitacji, to znaczy, że ona faktycznie działa - odparł niewzruszony sierżant.

W dłoni Cochrane'a pojawił się wielki, zapalony skręt. Hipis zaciągnął się potężnie.

- Jestem ciężki - zaśpiewał. - Ciężki, ciężki, ciężki. Niech nikt o tym nie zapomina. Słyszycie, co mówię? Myślcie o tym przez cały czas.

- Tak czy inaczej - ciągnął Sinon, zwracając się do McPhee - gdyby oddziaływało na nas pole grawitacyjne, mgławica spadałaby razem z nami, a tak nie jest.

- Ale mi pocieszenie - mruknął McPhee. - Tu nie ma nic naturalnego.

- Zapomnijcie o akademickich rozważaniach - odezwał się Moyo. - Czy możemy to w jakiś sposób wykorzystać?

- Zamierzamy zorganizować grupę obserwacyjną - oznajmił Sinon. - Coś w rodzaju wachty, która będzie wypatrywać, czy przed nami coś się nie pojawi. Niewykluczone, że znajdują się tu wszystkie planety usunięte przez opętanych z naszego wszechświata. Zaczniemy też wzywać pomocy, korzystając z naszych zdolności afinicznych. To jedyna dostępna dla nas metoda komunikacji, która tu działa.

- Kurde, nie ma szans! Kto was usłyszy? Dajcie spokój. Trzeba myśleć realnie.

- Rzecz jasna, nie wiemy, czy ktokolwiek nas usłyszy. Nawet jeśli jest tu jakaś planeta, wątpliwe, żebyśmy zdołali wylądować na jej powierzchni nietknięci.

- To znaczy żywi - uściślił Moyo.

- W rzeczy samej. Niemniej jednak istnieje jedna, realna szansa ratunku.

- Jaka? - Wykrzyknął Cochrane.

- Jeśli to jest królestwo, do którego pragną się przenieść opętani, nie można wykluczyć, że gdzieś tu znajduje się Valisk. Być może usłyszy nasze wołanie, a jego biosfera powinna być w stanie podtrzymać nasze życie. Przejście do jego wnętrza zapewne nie przysporzy nam trudności.

Cochrane westchnął przeciągle, wypuszczając przez nozdrza długie wstęgi zielonego dymu o słodkim zapachu.

- Hej, tak już lepiej, stary. Dobry przykład pozytywnego myślenia. Z chęcią bym zamieszkał w Valisku.

\*

Obserwacja była tu jedynym zadaniem, z którym ludzie mogli sobie poradzić prawie tak samo dobrze jak sierżanci. Stephanie i jej przyjaciele pokonali kilometr drogi dzielący ich od krawędzi wyspy, by pomóc w ustanowieniu tam obozu obserwacyjnego. Szli ponad godzinę. Teren nie był szczególnie trudny, choć pokrywająca błoto wyschnięta skorupa pękała im pod stopami i musieli też ominąć kilka zbiorników stojącej wody. Dźwigali jednak na noszach Tinę razem z jej małym zestawem prymitywnego sprzętu medycznego. Co więcej, Stephanie musiała odpoczywać co kilka

minut, choć energistyczna moc dodawała jej sił.

W końcu dotarli na szczyt urwiska i zatrzymali się pięćdziesiąt metrów przed przepaścią. Wybrali wzgórze, z którego rozciągał się wspaniały widok na pustkę przed nimi. Tinę położyli w takim miejscu, że mogła patrzeć przed siebie, unosząc lekko głowę. W ten sposób ona również stała się uczestniczką ich przedsięwzięcia. Gdy zawiesili pojemnik z osoczem na suchej gałęzi, kobieta uśmiechnęła się boleśnie na znak podziękowania. Dziesięciu towarzyszących im sierzantów zrzuciło plecaki na stertę i usiadło w szerokim półokręgu niczym kolekcja posążków Buddy w pozycji lotosu. Stephanie osunęła się na śpiwór, ciesząc się, że droga wreszcie się skończyła. Natychmiast zmieniła saszetkę zupy odżywczej w kanapkę z szynką i zaczęła ją chciwie pochłaniać. Moyo usiadł obok, wspierając się o nią ramieniem. Wymienili pospieszny pocałunek.

- Ale bajer - zawołał ze śmiechem Cochrane. - Hej, jeśli miłość jest ślepa, skąd się bierze popyt na seksowną bieliznę?

Rana obrzuciła go zniechęconym spojrzeniem.

- Cóż za takt.

- To był tylko żart - zaprotestował hipis. - Moyo wcale się nie obraził. Prawda, stary?

- Prawda.

Moyo i Stephanie przytulili się do siebie i zaczęli chichotać.

Cochrane popatrzył na nich z lekką podejrzliwością i usiadł na własnym śpiworze. Zmienił przedtem jego tkaninę w szmaragdowoszkarłatny gnieciony welur.

- Może tak urządzimy sobie totka, koledzy? Co pierwsze wyłoni się zza horyzontu?

- Latające talerze - zaproponował McPhee.

- Nie, nie - sprzeciwiła się afektowanym tonem Rana. - Skrzydlate jednorożce, a na nich dziewice w białej, koronkowej bieliźnie Cochrane'a.

- Hej, dajcie spokój. To poważna sprawa. Od tego może zależeć nasze życie.

- To dziwne - zastanowiła się Stephanie. - Jeszcze nie tak dawno gorąco pragnęłam, żeby śmierć oznaczała ostateczny koniec, a teraz, kiedy rzeczywiście może tak być, chcę tylko pożyć jeszcze trochę.

- Chciałbym was zapytać, dlaczego sądzicie, że rzeczywiście umrzecie - odezwał się Sinon. -

Wszyscy najwyraźniej uważacie, że to właśnie wydarzy się w tym królestwie.

- To pewnie tak jak z przyciąganiem - odparła Stephanie. - Śmierć jest czymś bardzo fundamentalnym. Jej właśnie spodziewamy się pod koniec życia.

- Chcesz powiedzieć, że chcecie własnej zagłady?

- Niezupełnie. Wolność od zaświatów była jedynie częścią tego, czego pragnęliśmy. To królestwo miało być cudownie przychylne. Zapewne takie właśnie jest, pod warunkiem że przebywa się na planecie. Zamierzaliśmy tu przybyć i żyć wiecznie, jak w legendach o niebie. A jeśli nawet nie wiecznie, to z pewnością przez tysiąclecia. To miało być prawdziwe życie, a życie kończy się śmiercią.

- W niebie umarli nie wracaliby do zaświatów - zauważył Choma.

- W tym rzecz. To życie miało być lepsze od poprzedniego. Energistyczna moc mogła spełnić nasze marzenia. Nie potrzebujemy przemysłu ani pieniędzy. Potrafimy sami stworzyć wszystko, czego zapagniemy. Jeśli to nie uczyni ludzi szczęśliwymi, nic tego nie dokona.

- Nie wiedzielibyście, co to radość z osiągnięć - zauważył Sinon. - W waszym życiu nie byłoby wyzwania. Elektryczność tu niemal nie istnieje, a to znaczy, że nie moglibyście zbudować żadnych urządzeń bardziej zaawansowanych niż maszyna parowa. A przecież spodziewacie się żyć bardzo długo. Do tego nikt nie może opuścić tego miejsca. Wybaczcie, ale trudno mi to uznać za raj.

- Każda sytuacja ma złe strony - mruknął Cochrane.

- Może i masz rację. Ale nawet życie na zatrzymanej w rozwoju na etapie XVIII wieku karnej planecie, po którym następuje prawdziwa śmierć, jest lepsze od zaświatów.

- W takim razie z pewnością korzystniej by było skupić wysiłki na rozwiązaniu problemu ludzkich dusz uwięzionych w zaświatach.

- Piękne słowa - zauważył Moyo. - Ale jak to zrobić?

- Nie mam pojęcia. Ale gdyby choć niektórzy z was zechcieli z nami współpracować, z pewnością odkrylibyśmy jakieś możliwości.

- Przecież z wami współpracujemy.

- Nie tutaj. Mówię o wszechświecie, gdzie można by wykorzystać naukowy potencjał Konfederacji.

- Kiedy byliśmy na Ombey, nie zaoferowaliście nam nic oprócz wojny - zauważyła Rana. - Wiem też, że wojsko pojmało kilku opętanych i poddało ich wiwisekcji. Słyszeliśmy echa ich męki niosące się po zaświatach.

- Gdyby zgodzili się z nami współpracować, nie użylibyśmy siły - odparł Choma. - Poza tym to nie była wiwisekcja. Nie jesteśmy barbarzyńcami. Naprawdę sądzisz, że chciałbym skazać swych bliskich na zaświaty? Chcemy wam pomóc, choćby ze względu na własny interes.

- Kolejna zmarnowana sposobność - stwierdziła ze smutkiem Stephanie. - Ich liczba wciąż rośnie.

- Ktoś idzie do nas z miasta - oznajmił Choma. - Zmierzają w stronę naszego obozu.

Stephanie odwróciła się odruchowo i spojrzała na błotnistą równinę za ich plecami. Nie widziała tam żadnego ruchu.

- To tylko pięcioro ludzi - dodał sierżant. - Nie sprawiają wrażenia wrogo nastawionych.

Choma komentował wydarzenia na bieżąco. Na spotkanie przybyszów wysłano drużynę. Twierdzili, że opuszczają Ekelund, bo nie podoba im się sytuacja w ruinach miasta. Sierzanci skierowali ich do grupy obserwatorów.

Stephanie przyglądała się, jak się zbliżają. Nie poczuła się zaskoczona, gdy ujrzała wśród nich Devlina. Był ubrany w swój galowy mundur oficera z XX wieku, uszyty z ciemnej wełny i ozdobiony licznymi wstążkami koloru szkarłatu, złota oraz fioleto.

- Fallocentryczny militarizm - stwierdziła Rana, pociągając wzgardliwie nosem, i manifestacyjnie spojrzała z powrotem w czeluść.

Stephanie skinęła na przybyszy, każąc im usiąść. Wszyscy wyraźnie się obawiali, jak zostaną tu przyjęci.

- Mielicie jej już po dziurki w nosie, tak?

- Świetnie pan to ujął - przyznał Devlin. Zamienił śpiwór w koc w szkocką kratę i usiadł na nim wygodnie. - Kompletnie jej odbiło. Od władzy, oczywiście. Nieraz to widziałem podczas Wielkiej Wojny. Każdy głos sprzeciwu uznaje za bunt. Podejrzewam, że jeśli nas jeszcze kiedyś zobaczy, każe nas rozstrzelać. Albo robi to osobiście.

- A więc zdezerterowaliście.

- Jestem pewien, że Ekelund tak by to nazwała.

- Jesteśmy przekonani, że potrafimy powstrzymać jej siły - zapewnił Sinon.

- Miło to usłyszeć, staruszku. Sytuacja w mieście zrobiła się bardzo paskudna. Ekelund i Hoi Son nadal przygotowują się do jakiegoś rodzaju konfliktu. No wiesz, ona ma władzę. Teraz, gdy dusze nie mogą już uciec do zaświatów, dyscyplina zrobiła się diabelnie efektywna. Do tego Ekelund kieruje racjonowaniem żywności. Cała masa przyglupów nadal jej wierzy. To wszystko, czego



potrzeba, jeden przywódca i grupa lojalistów, którzy wymuszają przestrzeganie jego rozkazów. Cholerna głupota.

- Co jej zdaniem ma się wydarzyć? - Zapytała Stephanie.

- Nie jestem tego pewien. Ona chyba też nie. Hoi Son ciągle bredzi o tym, że jesteśmy jednością z ziemią, a sierzanci niszczą naszą harmonię. Podbechtują się nawzajem. Próbują przekonać tych biednych frajerów, że wszystko wspaniale się ułoży, jeśli tylko wyrzucimy was w przepaść. Co za debilizm. Każdy idiota potrafiłby zauważyć, że ten kawałek ziemi na nic się nikomu nie zda.

- Wyłącznie Annette mogłaby pomyśleć, że o tę wyspę warto się bić.

- Zgadzam się - przyznał Devlin. - To totalne szaleństwo. Już to nieraz widziałem. Człowiek popada w obsesję na punkcie jakiejś idei i nie potrafi się od niej uwolnić. Nie obchodzi go, jak wielu zginie z tego powodu. Ja w każdym razie nie zamierzam jej pomagać. Raz już popełniłem ten błąd. Nigdy więcej.

- Stary, witaj wśród przyzwoitych ludzi.

Cochrane podał mu srebrną manierkę.

Devlin pociągnął mały łyżeczek i uśmiechnął się z uznaniem.

- Niezłe. - Wypił drugi, większy, i podał manierkę dalej. - Czego właściwie tu wypatrujecie?

- Nie mamy pojęcia - odparł Sinon. - Ale jeśli to zobaczymy, z pewnością to poznamy.

\*

Po śniadaniu Jay poświęciła dwadzieścia minut na poprawianie błędów uniwersalnego dostawcy i czynienie mu wymówek. Ciągle pochłaniał jej sukienkę i wydzielał nową. Różnice nie były wielkie, ale dziewczynka była zdeterminowana zmusić go, żeby zrobił to, jak trzeba. Tracy wytrzymała to przez pierwsze pięć minut. Potem wstała z miejsca i klepnęła lekko Jay w ramię.

- Chyba zostawię was dwoje samych, złociutka - powiedziała. Model, o który chodziło Jay, był całkiem prosty. Widziała go dwa lata temu w arkologii: luźna, plisowana, czerwona spódniczka sięgająca do kolan i przechodząca gładko ku górze w jaskrawy, kanarkowożółty. Obie barwy zachodziły na siebie niczym zazębiające się płomienie. Na sklepowym manekinie wyglądało to cudownie, model był atrakcyjny i drogi. Gdy poprosiła o niego matkę, usłyszała, że nie mogą sobie na niego pozwolić. Potem sukienka stała się dla niej symbolem wszystkiego, co było nie w porządku z Ziemią. Jay zawsze wiedziała, czego pragnie od życia, ale nigdy nie mogła tego dostać.

Tracy zapukała do drzwi sypialni.

- Haile przyjdzie za minutkę, złotko.

- Już idę - odkrzyknęła Jay i zerknęła ze złością na unoszącą się nad wiklinowym krzesłem kulę. - No dobra, wypłuj ją.

Sukienka wysunęła się na zewnątrz przez fioletową powierzchnię. W dalszym ciągu nie wyglądała jak trzeba! Jay wsparła ręce na biodrach i westchnęła z niesmakiem.

- Spódniczka nadal jest za długa. Mówiłam ci! Nie można mieć rąbka na wysokości kolan. To wygląda okropnie.

- Przepraszam - mruknął potulnie dostawca.

- Na razie będę musiała ją włożyć. Ale kiedy wrócę wieczorem, masz ją zrobić jak należy.

Włożyła pospiesznie sukienkę, krzywiąc się, kiedy przeciągała ją nad siniakiem na żebrach, który nabiła sobie, spadając z deski surfingowej, gdy uderzyła mocno w jej brzuch. Buty również wyglądały fatalnie: białe tenisówki z bieżnikiem grubym jak w trepach noszonych w dżungli. A do tego niebieskie skarpetki. Po raz ostatni westchnęła na myśl o swych cierpieniach, wzięła słomkowy kapelusz - to przynajmniej dostawca wykonał porządnie - i włożyła go. Spojrzała jeszcze szybko

w wiszące nad umywalką lustro, żeby się przekonać, czy uszkodzenia są poważne, i zobaczyła, że na łóżku leży Książę Dell. Wykrzywiła twarz, dręczona wyrzutami sumienia. Nie mogła zabrać go ze sobą na ojczystą planetę Haile. Po prostu nie mogła. Robiła tyle rwetesu o suknię tylko dlatego, że miała być pierwszym człowiekiem, który tam dotrze, i w związku z tym czuła się bardzo silnie przekonana, że musi wyglądać porządnie. W końcu miała się stać kimś w rodzaju ambasadora całej ludzkości. Potrafiła sobie wyobrazić, co by powiedziała matka. Zabranie ze sobą starej, brudnej zabawki po prostu nie wchodziło w grę.

- Jay! - Zawołała Tracy.

- Już idę.

Wypadła na małą werandę domku. Tracy stała przy schodach, podlewając geranium małą blaszaną konewką z długim dziobkiem. Obrzuciła dziewczynkę uważnym spojrzeniem.

- Bardzo ładnie, złotko. To był dobry wybór.

- Dziękuję, Tracy.

- Pamiętaj, że zobaczysz mnóstwo nowych rzeczy. Jestem pewna, że niektóre z nich wydadzą ci się zdumiewające. Proszę, postaraj się nie ekscytować przesadnie.

- Będę grzeczna. Daję słowo.

- Jestem pewna, że będziesz. - Tracy pocałowała ją lekko.

- A teraz ruszaj w drogę.

Jay zaczęła schodzić po schodach, lecz zatrzymała się nagle.

- Tracy?

- O co chodzi?

- Jak to możliwe, że nigdy nie byłaś na Riynine? Haile mówi, że ona jest bardzo ważna. To jedna z ich stołecznych planet.

- Och, sama nie wiem. W czasach, gdy taka turystyka mogłaby mnie pociągać, miałam zbyt wiele zajęć. A teraz, kiedy mam czas, już mi się nie chce. Jeśli ktoś widział jeden cud techniki, to tak jakby widział wszystkie.

- Jeszcze nie jest za późno - zauważyła szczerze Jay.

- Może innym razem. A teraz leć, bo się spóźnisz. Pamiętaj, Jay, jeśli zechcesz iść do toalety, poproś dostarczyciela. Nikt się nie zawstydzi ani nie będzie urażony.

- Tak, Tracy. Do widzenia.

Dziewczynka wcisnęła mocniej kapelusz na głowę i pobiegła po piasku w stronę hebanowego kręgu.

Staruszka odprowadzała ją spojrzeniem, zbyt mocno zaciskając kościste dłonie na rączce konewki. Krople wilgoci w kącikach jej oczu lśniły w jasnym blasku słońca.

- Niech to diabli - wyszeptała.

Haile zmaterializowała się, gdy Jay dzieliło od kręgu dziesięć metrów. Dziewczynka krzyknęła radośnie i przyspieszyła biegu.

- Przyjaciółko Jay. To dobry dzień.

- To cudowny dzień! - Zatrzymała się przed małym Kiintem i objęła go za szyję. - Haile! Rośniesz z dnia na dzień!

- I to bardzo.

- A kiedy zrobisz się całkiem dorosła?

- Za osiem lat. I cały ten czas będzie mnie swędziało.

- Będę cię drapała.

- Jesteś prawdziwą przyjaciółką. To idziemy?

- Tak! - Podskoczyła lekko, uśmiechając się z zachwytem. - Chodźmy! Chodźmy!

Plama ciemności przeniosła obie w inne miejsce.

Wrażenie spadania nie przeszkadzało już Jay. Po prostu zamknęła oczy i wstrzymała oddech. Haile owinęła jedną z kończyn wokół nadgarstka dziewczynki, żeby dodać jej otuchy.

Ciężar powrócił szybko. Podeszwy butów Jay dotknęły twardej podłogi. Kolana ugięły się pod nią lekko, żeby zamortyzować wstrząs. Na zamknięte powieki dziewczynki padło światło.

- Jesteśmy na miejscu.

- Wiem.

Nagle poczuła, że boi się otworzyć oczy.

- Tutaj mieszkam.

Ton Haile był tak pełen entuzjazmu, że Jay po prostu musiała to zobaczyć. Słońce dopiero co wzeszło i wciąż jeszcze miało lekko czerwonawą barwę. Na wielki hebanowy krąg, który ich tu sprowadził, padały długie cienie ich obu. Znajdowały się na otwartej przestrzeni, a pagórkowaty krajobraz ciągnął się aż po horyzont, który sprawiał wrażenie odległego o jakieś sto kilometrów. Nad bujny gąszcz niebieskozielonej roślinności wyrastały majestatyczne góry, przypominające kształtem ścięte stożki. Ich jasne, skaliste stoki przecinały liczne, bladofioletowe żleby. Szczyty nie tworzyły łańcucha, lecz wyrastały tu i ówdzie na całym stepie. Wielkie, meandrujące rzeki i wpadające do nich strumienie lśniły srebrzyście w świetle poranka, a podstawy górskich szczytów spowijała delikatna, perłowobiała mgiełka. Krajobraz reprezentował wszystko, co najpiękniejsze w naturze. Nie był jednak naturalny. Tak właśnie wyobrażała sobie wnętrze habitatu edenistów, tu jednak skala była nieporównanie większa. Nie tolerowano tu istnienia brzydoty. Kontrolowana geologia gwarantowała, że na tym świecie powstawały bagniste odgałęzienia rzek, nie mroczne, cuchnące bagna, wulkaniczne stoki, nie martwe pola lawy.

Tak czy inaczej, wyglądało to pięknie.

Tu i ówdzie widziało się budynki wprawione w kontury krajobrazu. Przeważały kopuły Kiintów o różnych rozmiarach, ale zdarzały się też wieżowce zdumiewająco podobne do budowanych przez ludzi. Były tam też konstrukcje przypominające raczej rzeźby niż gmachy: spirala z brązu, prowadząca donikąd, czy szmaragdowe sfery przylegające do siebie niczym skupisko baniek mydlanych. Każdy budynek stał oddzielnie, Jay nie widziała żadnych łączących je dróg ani nawet polnych ścieżek. Niezaprzeczalnie jednak było to miasto, i to zbudowane na większą skalę niż wszystko, o czym mogła marzyć Konfederacja. Przykład posturbanistycznego panowania nad terenem.

- To gdzie dokładnie mieszkasz? - Zapytała Jay. Traktamorficzne ramię Haile puściło jej nadgarstek i wyprostowało się. Hebanowy krąg ze wszystkich stron otaczała rozległa łąka porośnięta błyszczącym, akwamarynowym odpowiednikiem trawy. Dalej widać było skupiska drzew. One przynajmniej wyglądały na naturalne lasy, nie starannie zaplanowany park. Kilka różnych gatunków drzew rosnęło obok siebie, czarne, ośmiokątne liście i żółte parasole rywalizowały ze sobą o światło i przestrzeń, a długie, gładkie pnie zakończone kulą różowych, puszystych liści przypominających liście paproci wyrastały nad szczyty bardziej krzaczastych odmian, wyglądających jak gigantyczne sitowie. W luce między drzewami widniała odległa o jakieś pół kilometra kopuła z niebieskiej stali. Nie sprawiała wrażenia większej od tych, które Jay widziała w Tranquillity. - Ładna - powiedziała uprzejmie dziewczynka.

- Ma różnicę z moim poprzednim domem, jeśli chodzi o to, co otacza. Tutaj uniwersalni dostarczyciele bardzo ułatwiają życie.

- Nie wątpię w to. A gdzie są wszyscy twoi przyjaciele?

- Chodź. Vyano powiedziano o tobie. Chciałby zainicjować pozdrowienia.

Gdy dziewczynka odwróciła się, by podążyć za małym Kiintem, wciągnęła nagle powietrze ze zaskoczenia. Znajdowało się tam wielkie jezioro, a z jego centrum wyrastało coś, co dla Jay mogło być tylko zamkiem jakiegoś magicznego władcy elfów. Dziesiątki gładkich, białych, zwężających się ku szczytowi wież wyciągały się ku niebu. Najwyższe z nich, te pośrodku skupiska, z pewnością przekraczały kilometr wysokości. Delikatne mosty łączyły je ze sobą pojedynczymi przęsłami. Niekiedy bardzo się do siebie zbliżały, ale nigdy się nie dotykały. Dziewczynka nie potrafiła się w nich dopatrzeć żadnej regularności ani logiki. Niektóre wieżowce miały dziesięć mostów odchodzących od nich na różnych poziomach, inne zaś tylko dwa. Ich przypominająca kwarc powierzchnia lśniła jaskrawym, czerwonozłotym blaskiem w promieniach wschodzącego słońca. Widok był piękny i dostojny.

- Co to jest? - Zapytała Jay, biegnąc za Haile.

- Punkt Korpusu, miejsce, w którym dojrzewa i rośnie wiedza.

- Coś jakby szkoła?

- Korpus mówi, że tak - odpowiedział mały Kiint po chwili wahania.

- Czy chodzisz do niego?

- Nie. Nadal odbieram wiele podstawowych instrukcji od Korpusu i rodziców. Najpierw muszę je wszystkie zrozumieć w pełni. To trudność. Kiedy osiągnę zrozumienie, będę mogła zacząć rozszerzać swe myśli.

- Och rozumiem. My też tak robimy. Będę musiała ukończyć mnóstwo dydaktycznych kursów, zanim pójdę na uniwersytet.

- Pójdiesz na uniwersytet?

- Tak sądzę. Ale nie wiem, czy na Lalonde to będzie możliwe. Może w Durringham jest uniwersytet. Mama mi powie, kiedy wróci i sytuacja się poprawi.

- Wspiera cię moja nadzieja. - Dotarły do skraju jeziora. Jego wody były bardzo ciemne. Nawet gdy Jay stanęła na kosmatym odpowiedniku trawy na brzegu i zajrzała w nie ostrożnie, nie zobaczyła dna. W tafli odbijała się jej twarz. Potem pojawiły się maleńkie zmarszczki. Haile zmierzała w kierunku białych wież. Jay znieruchomiała na chwilę, obserwując przyjaciółkę. W tej scenie coś było nie w porządku, coś oczywistego, czego jej umysł nie potrafił zarejestrować. Haile oddaliła się od brzegu na dziesięć metrów, zanim się zorientowała, że dziewczynka za nią nie idzie. Odwróciła głowę i spojrzała na Jay. - Tam jest Vyano. Nie chcesz go poznać?

Jay odchrząknęła bardzo przeciągle.

- Haile, ty idziesz po wodzie.

Mały Kiint popatrzył na miejsca, gdzie tafla jeziora ugięła się pod jego łapami.

- Tak. Zapytanie zdziwienie. W czym widzisz niewłaściwość?

- To woda! - Zawołała Jay.

- Jest tu stabilność dla tych, którzy chcą dotrzeć do Punktu. Nie wpadniesz w głębinę.

Jay łypnęła ze złością na przyjaciółkę, choć intensywna ciekawość tworzyła silną pokusę. W jej umyśle wyraźnie rozbrzmiewało ostrzeżenie Tracy. Haile nigdy by jej nie oszukała. Dziewczynka dotknęła ostrożnie wody palcem stopy. Ciemna tafla ugięła się leciutko, ale stopa Jay nie przebiła się przez napięcie powierzchniowe. Dziewczynka postawiła nogę na wodzie, która bez trudu wytrzymała jej ciężar. Postąpiła parę niepewnych kroków i rozejrzała się na boki, chichocząc.

- Rewelacja. Nie musicie budować mostów i takich rzeczy.

- Czujesz teraz szczęście?

- No jasne. - Ruszyła w stronę Haile. Wokół jej stóp po wodzie rozchodziły się leciutkie zmarszczki. Jay nie mogła powstrzymać chichotania. - Szkoda, że w Tranquillity tego nie mamy.

Mogłybyśmy wtedy chodzić na wyspę.

- Słuszność.

Jay uśmiechnęła się radośnie i pozwoliła, żeby ramię Haile owinęło się wokół jej palców. Potem ruszyły razem przez jezioro. Po paru minutach drogi wieże w ogóle nie wydawały się bliższe. Jay zaczęła się zastanawiać, jaką naprawdę mają wysokość.

- To gdzie jest Vyano?

- Zbliża się.

Jay spojrzała na podstawę wież.

- Nikogo nie widzę.

Haile zatrzymała się i popatrzyła na nogi, kołysząc głową z boku na bok.

- Mam widok.

Jay spojrzała w dół, obiecując sobie, że nie będzie piszczeć ani nic w tym rodzaju. Pod jej nogami coś się poruszało. Dwadzieścia metrów pod powierzchnią wodę przeszywała niewielka, jasnoszara góra. Serce dziewczynki załomotało mocno, zacisnęła jednak zęby, przypatrując się z fascynacją stworzeniu. Z pewnością było większe od największych wielorybów w jej dydaktycznych wspomnieniach dotyczących zoologii. Miało też więcej płetw niż dawne ziemskie lewiatany. Obok płynęła mniejsza wersja takiej samej istoty, dziecko. Nagle oddaliło się ono od boku rodzica i pomknęło w górę, poruszając entuzjastycznie płetwami. Potężny rodzic przetoczył się powoli i zniknął w głębinie.

- Czy to Vyano? - Zawołała Jay.

- Tak. To kuzyn.

- Jak to kuzyn? W ogóle nie jest do ciebie podobny.

- Ludzie mają wiele podgatunków.

- Nieprawda!

- Adamiści i edeniści, białoskórzy i ciemnoskórzy, więcej odcieni włosów niż kolorów tęczy.

Widziałam to osobiście.

- No tak, ale... Posłuchaj, nikt z nas nie żyje pod wodą. To coś zupełnie innego.

- Korpus mówi, że ludzcy uczeni eksperymentowali z płucami, które mogłyby czerpać tlen z wody.

Jay poznawała typowy dla przyjaciółki mentalny ton czystego uporu.

- Pewnie eksperymentowali - przyznała.

Młody wodny Kiint miał ponad piętnaście metrów długości. Był bardziej płaski od ziemskiego wieloryba i miał gruby, traktamorficzny ogon, który z chwilą zbliżania się do powierzchni kurczył się, przechodząc w cebulowatą narośl. Jego pozostałe kończyny, sześć pączków traktamorficznego ciała, były rozmieszczone wzdłuż boków. Gdy istota poruszała się w wodzie, kurczyły się, przybierając kształt półokrągłych wachlarzy powoli pulsujących mocą.

O pokrewieństwie z lądowymi Kiintami zapewne najsilniej świadczyła głowa. Była tylko bardziej opływowa i zamiast otworów oddechowych miała sześć skrzel. Wielkie, lekko smętne oczy również wyglądały podobnie, ale przesłaniała je mleczna membrana. Vyano wynurzył się z wody, bryzgając na wszystkie strony. Po tafli przebiegły wysokie fale. Jay zachwiała się nagle. Powierzchnia jeziora kołysała się pod jej nogami jak jakaś hiperplastyczna trampolina. Haile podskakiwała gwałtownie obok niej. Miała podobne kłopoty, co nieco uspokoiło dziewczynkę. Gdy fale się uspokoiły, obie zobaczyły odległe o parę metrów wzgórze z błyszczącego, szarego jak ołów ciała. Wodny Kiint przeobraził jedną ze swych bocznych kończyn w rękę podobną do ludzkiej. Jej końcówka rozpościerała się na podobieństwo dłoni. Jay jej dotknęła.

- Witaj na Riynine, Jay Hilton.

- Dziękuję. To piękny świat.

- Jest na nim wiele dobrego. Haile podzieliła się ze mną wspomnieniami o światach waszej Konfederacji. One również są interesujące. Chciałbym je kiedyś odwiedzić, gdy już zostanę uwolniony spod rodzicielskiego nadzoru.

- Ja też bym chciała wrócić.

- Wiele mówiono o twojej sytuacji. Łączę się z tobą w żalu za tymi, których straciłaś.

- Richard mówi, że damy sobie radę. Pewnie ma rację.

- Richard Keaton jest zestrojony z Korpusem. Nie powiedziałaby nieprawdy - oznajmiła Haile.

- W jaki sposób mógłbyś odwiedzić Konfederację? Czy te wasze skoczki działają również pod wodą?

- Tak.

- Obawiam się, że nie miałbyś zbyt wiele do oglądania. Wszystko, co ciekawe, dzieje się na lądzie. Och, poza Atlantydą, oczywiście.

- Łąd zawsze jest mały i zapchany identycznymi roślinami. Mógłbym zobaczyć życie kwitnące w głębi morza. Tam nic nigdy nie pozostaje niezmiennie. Każdy dzień jest radośnie inny. Powinnaś się zmodyfikować i zamieszkać z nami.

- Dziękuję, nie skorzystam - odparła.

- To smutne.

- Chciałam powiedzieć, że nie mógłbyś zobaczyć ludzkich osiągnięć. Wszystko, co zbudowaliśmy, znajduje się na lądzie albo w kosmosie.

- Wasza maszyna jest dla nas stara. Już nas nie pociąga. Dlatego moja rodzina wróciła do wody.

- Chcesz powiedzieć, że jesteście jak nasi pastorałiści?

- Wybacz. Nie zawsze rozumiem odniesienia do ludzkiej kultury.

- Pastorałiści to ludzie, którzy odwrócili się od techniki i prowadzą życie tak proste, jak to tylko możliwe. To bardzo prymitywna egzystencja, ale za to wolna od zmartwień związanych z nowoczesnością.

- Wszystkie rasy Kiintów korzystają z techniki - stwierdziła Haile. - Dostarczyciele nie mogą zawieść. Zaopatrują nas we wszystko i dają nam wolność.

- Tego właśnie u was nie rozumiem. Wolność czego?

- Życia.

- Dobra, spróbujmy inaczej. Kim chcecie zostać, jak dorośniecie?

- Ja będę sobą.

- Nie, nie. - Jay miała ochotę tupnąć dla emfazy, ale przypomniała sobie, na czym stoi, i powstrzymała się. - Jaki zawód będziecie wykonywać? Czym Kiintowie zajmują się przez cały dzień?

- Wiesz, że moi rodzice pomagają wam w studiach nad Laymilami.

- Wszelka aktywność ma tylko jeden cel - odpowiedział Vyano. - Wzbogacanie w wiedzę. Może to płynąć z prostej interpretacji obserwowanego wszechświata albo z ekstrapolacji myśli do ostatecznych konkluzji. Te dwie formy są komplementarne. Życie służy wzbogacaniu, bo tylko ono pozwoli nam odważnie przejść do transcendencji.

- Transcendencji? Masz na myśli śmierć?

- Tak, utratę życia ciała.

- Wam na pewno odpowiada, jeśli nie robicie nic poza myśleniem, ale dla mnie to nudne.

Ludzie potrzebują konkretnego zajęcia.

- Różnice to piękno - stwierdził Vyano. - W wodzie jest więcej różnic niż na lądzie. Nasza domena jest najpiękniejszą częścią natury, macicą każdej planety. Teraz rozumiesz, dlaczego wolimy żyć w wodzie?

- Chyba tak. Ale nie można spędzić całego życia na podziwianiu wciąż nowych rzeczy. Ktoś musi pilnować, żeby wszystko działało jak należy.

- Tym zajmują się dostarczyciele. Nie mogliśmy wspiąć się na obecny poziom rozwoju, dopóki nasza maszyna nie stała się odpowiednio zaawansowana. Dostarczyciele dostarczają, a kieruje nimi mądrość Korpusu.

- Chyba rozumiem. Macie Korpus, jak edeniści mają Konsensus.

- Konsensus jest wczesną wersją Korpusu. Z czasem wy również osiągnięcie nasz poziom.

- Naprawdę? - Zapytała Jay. Wybierając się na Riynine, raczej nie planowała filozoficznych dyskusji z Kiintami. Zatoczyła ręką krąg, wskazując na Punkt Korpusu oraz inne wspaniałe budynki. Ten ludzki gest zapewne nic nie znaczył dla młodego wodnego Kiinta. - Chcesz powiedzieć, że ludzie będą kiedyś tak żyć?

- Nie mogę przemawiać w waszym imieniu. Czy chciałabyś żyć jak my?

- Fajnie by było nie martwić się o pieniądze i takie rzeczy. - Przypomniała sobie mieszkańców Aberdale i ich entuzjazm dla tego, co budowali. - Ale my potrzebujemy konkretnych zajęć. Tacy już jesteśmy.

- Wasza natura wskaże wam drogę ku przeznaczeniu. Zawsze tak jest.

- Pewnie masz rację.

- Wyczuwam, że jesteście sobie bliscy, Jay Hilton. Ty również pragniesz co dzień widzieć coś nowego. Dlatego przybyłaś na Riynine. Zapytanie.

- Tak.

- Powinnaś odwiedzić kongresje. Tam zobaczysz najwięcej fizycznych osiągnięć, które tak wysoko cenisz.

Jay zerknęła na Haile.

- Czy to się da zrobić?

- Będzie w tym dużo radości - zapewniła Haile.

- Dziękuję, Vyano.

Wodny Kiint zaczął się zanurzać.

- Twoja wizyta to nowość, która mnie wzbogaciła. Jestem zaszczycony, Jay Hilton.

\*

Kiedy Jay usłyszała od Haile, że Riynine jest stołecznym światem, wyobraziła sobie kosmopolityczną metropolię zamieszkaną przez krocie Kiintów oraz tysiące ekscytujących ksenobiontów. Punkt Korpusu z pewnością wyglądał imponująco, ale nie zwał z nóg.

Zmieniła jednak zdanie, gdy wypadła z czarnego bąbla teleportacyjnego w jednej z kongresji Riynine. Choć sam pomysł nie był niczym nadzwyczajnym dla gatunku o tak wielkich możliwościach, w gigantycznych miastach unoszących się spokojnie w stratosferze planety było coś anachronicznego, a zarazem pełnego dumy. Wspaniałe, zdobne kolosy z kryształu i lśniącego metalu ujawniały przed wszystkimi gośćmi prawdziwą naturę Kiintów w jeszcze większym stopniu niż pierścień sztucznych planet. Nikt, kto choć w najmniejszym stopniu wątpił we własne możliwości, nie mógłby stworzyć takiego cudu.

Kongresja, w której znalazła się Jay, miała przeszło dwadzieścia kilometrów szerokości. Jej jądro tworzyło gęste skupisko wieżowców oraz krętych kolumn światła, przypominających

zdeformowane tęcze. Odchodziło od niego promienieście osiem półwyspów najeżonych krótkimi, płaskimi kolcami. Puszyste chmury rozstępowały się gładko przed kongresją, opływając jej granice. Pośrodku znajdowała się strefa ciszy, która niczym lupa zdawała się powiększać leżący dziesięć kilometrów w dole krajobraz. Wokół krążyły niezliczone latające statki o geometriach i technologiach równie urozmaiconych jak gatunki, które je zbudowały. Gwiazdoloty wyposażone w służące do poruszania się w atmosferze napędy latały tymi samymi trajektoriami co maleńkie wahadłowce orbitalne. Lądowiska umieszczono na sterczących z półwyspów kolcach.

Jay teleportowała się na koniec alei biegnącej wzdłuż górnej części półwyspu. Jej nawierzchnią była gładka płyta jakiegoś minerału burgundowej barwy. Tuż pod powierzchnią lśniła pajęczyna opalizujących żyłek. Z każdego ich skrzyżowania wyrastał wysoki, nefrytowy trójkąt przypominający rzeźbę przedstawiającą sosnę. Nad głową dziewczynka miała kryształową kopułę, boleśnie przypominającą dach arkologii.

Jay mocno chwyciła Haile za ramię. Na alei roiło się od ksenobiontów. Przedstawiciele setek różnych gatunków chodzili, pełzali, a w kilku przypadkach również latali, tworząc ogromną, wielobarwną rzekę życia.

- Ojej! - Zawołała głośno, wypuszczając z płuc długo zatrzymywane powietrze. Obie oddaliły się pospiesznie od kręgu teleportacyjnego, pozwalając skorzystać z niego rodzinie wysokich, pierzastych ośmionogów. Nad aleją unosiły się sennie kule, podobne do dostarczycieli, ale wielobarwne. Jay powęszyła, ale w powietrzu unosiło się tak wiele różnych zapachów, że poczuła tylko coś przypominającego woń suchej przyprawy. Ze wszystkich stron dobiegały ją powolne, basowe pomruki, szybkie skrzeczenie, gwizdy oraz mowa podobna do ludzkiej. Wszystko to stapiało się w jednolity zgiełk. - Skąd oni się biorą? Czy to wszystko wasi obserwatorzy?

- Żaden z nich nie jest obserwatorem. To przedstawiciele gatunków mieszkających w tej galaktyce, a także w paru innych. Wszyscy są przyjaciółmi Kiintów.

- Aha. - Jay podeszła do skraju alei. Umieszczono tam wysoką barierę, jakby cała aleja była po prostu wyjątkowo dużym balkonem. Jay wspięła się na palce i spojrzała w dół. Znajdowali się nad ciasno zabudowanym miastem, czy może dzielnicą przemysłową. W alejkach między budynkami nie dostrzegała żadnego ruchu. Na wprost przed nią przemykały statki kosmiczne zmierzające ku lądowiskom. Kongresja unosiła się tak wysoko nad ziemią, że pośród barwnych plam gór i sawann nie sposób było dostrzec szczegółów. Za to Jay widziała wyraźnie linię horyzontu, intensywnie fioletową granicę między lądem a niebem. Daleko z przodu, a może z tyłu, ciągnęła się linia brzegowa. Dziewczynka nie była pewna, w którą stronę porusza się miasto. I czy w ogóle się porusza. Zadowolona się obserwacją statków kosmicznych. - Skąd bierze się ich aż tyle?

- Przedstawiciele różnych gatunków przybywają tu celem wymiany. Niektórzy mają do zaoferowania nowe pomysły, inni potrzebują wiedzy, by wprowadzić swoje pomysły w życie. Korpus kieruje wymianą, a kongresje są miejscami spotkań dla tych, którzy mają coś do dania, i tych, którzy pragną coś otrzymać.

- To brzmi okropnie szlachetnie.

- Już dawno temu otworzyliśmy nasze światy dla tych, którzy tego pragną. Niektóre gatunki znaleźliśmy od początku naszej historii, inne są nowe, ale wszystkie są tu mile widzianymi gośćmi.

- Poza ludźmi.

- Wy również możecie przybyć z wizytą.

- Ale nikt nie wie o istnieniu Riynine. Wszyscy w Konfederacji myślą, że waszym ojczystym światem jest Jobis.

- Odczuwam smutek. Ten, kto może tu przybyć, jest mile widziany.



Jay zauważyła czwórkę dorosłych Kiintów zmierzających ku nim aleją. Towarzyszyły im smukłe gadopodobne istoty w jednoczęściowych kombinezonach, podejrzenie przypominające widma. Z pewnością były półprzezroczyste, widziała, co znajduje się za nimi.

- Rozumiem. To coś w rodzaju testu. Jeśli ktoś jest wystarczająco inteligentny, żeby tu trafić, jest też wystarczająco inteligentny, żeby uczestniczyć w wymianie.

- Potwierdzenie.

- Bardzo by nam pomogło, gdybyśmy mogli się nauczyć nowych rzeczy, ale i tak nie wierzę, żeby ludzie chcieli spędzać całe życie na filozofowaniu. Może nieliczni, tacy jak ojciec Horst, ale to wszystko.

- Niektórzy przybywają do kongresji, żeby prosić o pomoc i udoskonalić swoją technologię.

- Dajecie im maszyny i inne takie rzeczy?

- Korpus każdy przypadek rozpatruje indywidualnie.

- Dlatego dostarczyciel nie chciał mi dać gwiazdolotu.

- Jesteś samotna. Sprowadziłam cię tutaj. Odczuwam smutek.

- Hej. - Objęła szyję małego Kiinta ramieniem i pogłaskała otwory oddechowe. - Wcale się nie gniewam. Nawet Joshua nie widział tego miejsca, chociaż był wszędzie w Konfederacji. Po powrocie będę mu miała czym zaimponować. To będzie bomba. - Znowu spojrzała na niezwykle statki. - Chodź, poszukamy dostarczyciela. Chętnie zjadłabym lody.

Po powrocie konwoju Organizacji ze stacji produkującej antimaterię Rocio odczekał cały dzień, zanim opuścił rutynową orbitę patrolową wokół Nowej Kalifornii i przeskoczył na Almaden. Radar asteroidy wykrył "Mindori", ale na ekranach pokazała się tylko dziwna, zamazana plama, kurcząca się w rytm uderzeń ludzkiego serca. W widzialnym świetle ogromne, ciemne, harpiowate kształty jastrzębia były wyraźnie widoczne. Złożył skrzydła, unosząc się w odległości dwóch kilometrów od przeciwbrotowego kosmodromu. Pod przymkniętymi powiekami błyskały czerwone światła.

Rocio skupił zmysły na półce cumowniczej Almadena. Wszystkie cokoły ucierpiały wskutek laserowego ognia. Stopiony metal i plastik wylały się na skałę i zestaliły się, tworząc szarą, przypominającą zastygły żużel kałużę pokrytą kraterami po pęcherzykach gazu. Ofiarą ataku padły też rafineria płynu odżywczego oraz trzy cysterny.

Rocio przekazał obraz z Pran Soo na Montereyu.

- Co o tym myślisz? - Zapytał drugiego piekielnego jastrzębia.

- Rafineria nie jest tak poważnie uszkodzona, jakby się zdawało. Ucierpiały tylko zewnętrzne warstwy maszynierii. Etchells po prostu przejechał po niej laserem. Z pewnością wyglądało to spektakularnie. Płynny metal tryskał na wszystkie strony, rury eksplodowały pod ciśnieniem. Ale środek jest nietknięty, a tam właśnie znajduje się mechanizm syntezy chemicznej.

- Typowe.

- Aha. I całe szczęście. Nie widzę powodów, dla których nie można by przywrócić funkcjonowania stacji. Pod warunkiem, że mieszkańcy się zgodzą.

- Zgodzą się - zapewnił Rocio. - Mamy coś, czego pragną. Siebie.

- Życzę szczęścia.

Rocio ponownie skierował zmysły na przeciwbrotowy kosmodrom. Mały dysk sprawiał wrażenie, że jego budowy jeszcze nie ukończono. Widział nagie dźwigary, zbiorniki i grube przewody, pozbawione ochronnej powłoki zwykle oglądanej w tego typu konstrukcjach. Cumowały tam trzy statki: dwa towarowe i "Lucky Logom". Jednostki międzyorbitalne wróciły przed dziesięcioma godzinami. Jeśli porucznicy Organizacji na asteroidzie mieli zamiar ukarać załogi, z pewnością już to zrobili.

Rocio otworzył krótkozasięgowy kanał.

- Deebank?

- Cieszę się, że cię widzę.

- Ja również. To dobrze, że nie wykopano cię z nowego ciała.

- Powiedzmy po prostu, że moja sprawa ma więcej sympatyków niż Organizacja.

- Co się stało z namiestnikami?

- Skarżą się Ałowi Capone z zaświatów.

- To było ryzykowne. On traktuje bunty poważnie. Może wysłać kilka fregat, żeby wam o tym przypomnieć.

- Naszym zdaniem ma obecnie za dużo kłopotów z antimaterią. Tak czy inaczej, nie może nam nic zrobić bez użycia broni jądrowej. Jeśli będzie się na to zanosilo, podejmiemy ryzyko i uciekniemy z tego wszechświata, chociaż wolelibyśmy tego nie robić.

- Świetnie was rozumiem. Ja również wolałbym, żeby do tego nie doszło.

- Zgoda, obaj mamy swoje problemy. Jak możemy sobie na wzajem pomóc?

- Jeśli chcemy się oderwać od Organizacji, będziemy potrzebowali niezależnego źródła płynu

odżywczego. W zamian za naprawę rafinerii jesteśmy gotowi przetransportować całą waszą populację na jakąś planetę.

- Nowa Kalifornia nas nie przyjmie.

- Możemy wykorzystać planetę, którą Organizacja już zinfiltrowała. Ja i moi przyjaciele dysponujemy wystarczającą liczbą wahadłowców. Ale to będzie musiało być szybko. Bez stacji produkcji antimaterii nie ma mowy o nowych infiltracjach, a już zinfiltrowane planety nie pozostaną długo w naszym wszechświecie.

- Możemy natychmiast rozpocząć naprawy, ale jak utrzymacie w ruchu rafinerię, jeśli wszyscy odlecimy?

- Trzeba będzie wyprodukować tyle zapasowych części, żeby wystarczyło na dziesięć lat. Musicie też przystosować swoje mechanoidy do zdalnych operacji przeprowadzanych za pomocą manipulatorów.

- Nie prosicie o wiele.

- Jestem przekonany, że to obopólnie korzystna wymiana.

- Dobra, wyłożę karty na stół. Moi ludzie mówią, że części nie powinny stanowić problemu. Nasza baza przemysłowa poradzi sobie z tym zadaniem. Nie potrafimy jednak wyprodukować sprzętu elektronicznego, jakiego potrzebuje rafineria. Czy możecie go nam załatwić?

- Przekaż listę datawizyjnie. Zapytam kogo trzeba.

\*

Jed i Beth wysłuchali rozmowy w kabinie recepcyjnej, do której się przenieśli. Spędzali we dwoje w tym ładnie umeblowanym pomieszczeniu mnóstwo czasu. W łóżku. Nie mieli zbyt wiele do roboty, odkąd Jed uzupełnił zapasy żywności. Choć Rocio zapewniał, że jego plany idą gładko, nie potrafili się uwolnić od przeczucia katastrofy. W tej sytuacji zapomnieli o wszelkich zahamowaniach.

Leżeli obok siebie, zmęczeni po akcji miłosnym, i pieścili się nawzajem, spoglądając na siebie z podziwem. Napływające do środka przez szpary między deskami, którymi zabito bulaj, światło słońca pokrywało ich skórę ciepłymi pasami, pomagając osuszyć pot.

- Hej, Rocio, naprawdę wierzysz, że to się może udać? - Zapytała.

Lustro nad tekowym kredensem zamigotało i pojawiła się w nim twarz Rocia.

- Tak sądzę. Obie strony potrzebują czegoś od siebie. Na tym zwykle opiera się handel.

- Ile piekielnych jastrzębi chce się do tego przyłączyć?

- Wystarczająco wiele.

- Tak? Jeśli zwiejecie całą zgrają, Kiera zrobi, co będzie w jej mocy, żeby was osłabić. Po pierwsze, będziecie musieli bronić Almadena, a do tego będą potrzebne osy bojowe.

- Dobry Boże, naprawdę tak uważasz?

Beth przeszła go wściekłym spojrzeniem.

- W innych układach gwiazdnych nie znajdziemy odpowiednich kolonii na asteroidach - ciągnął Rocio. - To nasza jedyna szansa, żeby zapewnić sobie niezależną przyszłość, nawet jeśli leży blisko Organizacji. Bez obaw, potrafimy obronić tę przyszłość.

Jed usiadł, okrywając kocem krocze, zanim spojrzał na lustro. Beth nigdy nie potrafiła zrozumieć tego wyrazu nieśmiałości.

- A jaka jest w tym nasza rola?

- Jeszcze nie wiem. Może się okazać, że jednak was nie potrzebuję.

- Oddasz nas Alowi Capone? - Zapytała Beth, mając nadzieję, że w jej głosie nie słyhać drżenia.

- To by było trudne. Jak mógłbym wytłumaczyć waszą obecność na pokładzie?

- Więc po prostu wpuścisz tu Deebanka i jego kumpli, żeby się nami zajęli, tak?

- Proszę, nie wszyscy jesteśmy tacy jak Kiera. Miałem nadzieję, że już to zrozumieliście. Nie chcę, żeby opętali dzieci.

- W takim razie, gdzie chcesz nas wypuścić? - Zapytała Beth.

- Nie mam pojęcia, ale jestem pewien, że edeniści z radością wyzwolą was z moich niegodziwych szponów. Szczegóły będziemy mogli ustalić, gdy już zabezpieczymy naszą pozycję. Muszę też dodać, że jestem rozczarowany waszym podejściem, biorąc pod uwagę, przed czym was uratowałem.

- Przepraszam, Rocio - powiedział natychmiast Jed.

- Aha, z pewnością nie chcieliśmy cię urazić - dodała Beth ociekającym sarkazmem głosem.

Obraz zniknął i oboje popatrzyli na siebie nawzajem.

- Nie powinnaś go tak ciągle drażnić - zaprotestował Jed. - Jezu, jesteśmy od niego całkowicie zależni. Powietrze, woda, ciepło, nawet cholerna grawitacja. Przestań go prowokować!

- Chciałam go tylko zapytać.

- To nie pytaj!

- Tak jest, szefie. Zapomniałam na chwilę, że ty tu wszystkim rządzisz.

- Przestań - odparł Jed pełnym poczucia winy głosem. Poglaskał ją czule po policzku. - Nie mówiłem, że tobą rządzą. Po prostu się martwię.

Beth świetnie wiedziała, że kiedy Jed patrzy na jej ciało, widzi bajkową figurę Kiery. Już się tym nie przejmowała, choć nie zastanawiała się dlaczego. Pewnie chodziło o to, że poczucie godności ustąpiło przed wymogami sytuacji.

- Wiem. Ja również. Całe szczęście, że możemy zająć się czymś innym, prawda?

Uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Masz rację.

- Lepiej już pójdę. Dzieciakom trzeba dać kolację.

Kiedy weszli do kuchni, Navar pisnęła głośno i wyciągnęła rękę.

- Znowu to robiliście!

Jed spróbował trzepnąć ją w rękę, ale uchyliła się, śmiejąc się drwiąco. Nie mógł właściwie jej skarcić. Raczej nie ukrywali z Beth swego związku.

- Możemy już jeść? - Zapytała płaczącym głosem Gari. - Wszystko przygotowałam.

Beth szybko przyjrzała się ich dziełu. Dziewczynki i Webster wypełnili sześć tacek mieszanym prowiantem z pakietów. Trzeba je było tylko włożyć do pieca indukcyjnego. Krokiety ziemniaczane z uwodnioną masą jajeczną i krojoną w kostki marchewką.

- Dobra robota. - Zaprogramowała piec i włączyła go. - Gdzie Gerald?

- Świruje w salonie. Gdzie jeszcze mógłby być? - Beth obrzuciła dziewczynkę ostrym spojrzeniem, ale Navar nie zamierzała ustąpić. - To naprawdę świr.

- Podaj jedzenie - poleciła Jedowi Beth. - Ja pójdę zobaczyć, w czym problem.

Gerald stał przed wielkim oknem w salonie. Opierał otwarte dłonie o szybę, jakby chciał ją wypchnąć na zewnątrz.

- Hej, Gerald. Kolacja gotowa.

- Czy ona tam jest?

- Gdzie?

- Na asteroidzie.

Beth stanęła za nim, spoglądając mu przez ramię. Almaden znajdował się w samym środku obrazu; ciemna skalna bryła obracająca się powoli na tle gwiazd.

- Nie, stary, przykro mi. To jest Almaden, nie Monterey. Marie tam nie ma.

- Myślałem, że to ta druga. Monterey.

Beth przyjrzała się uważnie jego dłoniom. Na kostkach miał zadrapania, zapewne walił w coś pięściami. Na szczęście nie krwawił. Położyła delikatnie dłoń na jego przedramieniu. Wszystkie mięśnie pod jej dotykiem były sztywne i napięte. Na czole perlił mu się pot.

- Chodź - powiedziała cicho. - Musisz coś wrzucić na ruszt. To ci dobrze zrobi.

- Nic nie rozumiesz! - Był bliski łez. - Muszę do niej wrócić. Nawet już nie pamiętam, kiedy ostatnio ją widziałem. Głowę wypełnia mi ciemność. To boli.

- Wiem.

- Wiesz! - Wrzasnął. - Co ty możesz wiedzieć? To moje dziecko, moja mała, piękna Marie. A ona ciągle każe jej robić okropne rzeczy.

Zadrżał gwałtownie, zatrzepotał powiekami. Przez chwilę wydawało się, że zemdleje. Zachwiał się na nogach i Beth zacisnęła dłoń.

- Gerald? Jezu...

Otworzył nagle oczy i rozejrzał się gorączkowo po pokoju.

- Gdzie jesteśmy?

- Na "Mindori" - odpowiedziała spokojnie. - Jesteśmy na pokładzie i staramy się dostać na Monterey.

- Tak. - Skinął pospiesznie głową. - Zgadza się. Musimy tam dotrzeć. No wiesz, ona tam jest. Marie. Muszę ją odnaleźć. Potrafię ją uwolnić. Wiem, jak trzeba to zrobić. Loren mi powiedziała, zanim odeszła. Mogę pomóc jej uciec.

- To dobrze.

- Porozmawiam z kapitanem. Wy tłumaczę mu wszystko. Musimy tam natychmiast polecieć. On mnie wysłucha, zrozumie. To moja córeczka.

Beth znieruchomiała. Gerald odwrócił się błyskawicznie i wybiegł z pokoju. Przygnębiona dziewczyna wypuściła z płuc długi oddech.

- Niech to szlag. - Jed i troje dzieci siedzieli wokół małego barku w kuchni, jedząc łyżkami różowawą masę. Gdy Beth wróciła, skierowali na nią niespokojne spojrzenia. Dziewczyna skinęła głową do Jeda i wyszła na korytarz. Chłopak podążył za nią. - Musimy go zaprowadzić do lekarza albo coś - powiedziała cicho.

- Powiedziałem ci to, jak tylko go spotkaliśmy, stokrotko. To totalny świr.

- Nie chodzi tylko o głowę. On jest naprawdę chory. Ma okropnie gorącą skórę. To na pewno gorączka albo jakiś wirus.

- Jezu, Beth. - Jed przycisnął czoło do chłodnej, metalowej ściany. - Zastanów się. Co, kurde, możemy zrobić? Jesteśmy w cholernym piekielnym jastrzębiu, pięćdziesiąt trylionów lat świetlnych od ludzi, których cokolwiek obchodzimy. Nie możemy nic poradzić. Bardzo mi przykro, że złapał jakąś ksenobiotyczną chorobę. Byle tylko nie zaraził nas wszystkich.

Miał rację i nienawidziła go za to. Byli zupełnie bezsilni, a do tego zależni od Rocia. To bolało. Zajrzała jeszcze do dzieci, żeby się upewnić, że jedzą kolację, a potem zaciągnęła Jeda do salonu.

- Rocio.

W oknie pojawił się półprzezroczysty obraz twarzy.

- O co chodzi?

- Mamy poważny problem z Geraldem. Chyba jest chory. Nie wygląda dobrze.

- To wy nalegaliście, żeby go zabrać. Co mam z nim zrobić?

- Nie jestem pewna. Masz kapsułę zerową? Moglibyśmy na razie go w niej zamknąć. Lekarze edenistów na pewno potrafią mu pomóc.

- Nie. Nie mam już działającej kapsuły. Opętani boją się ich ze zrozumiałych względów. Gdy tylko weszli na pokład, zaraz ją zniszczyli.

- Kurwa! I co mamy zrobić?

- Musicie się nim opiekować na miarę swych możliwości.

- Rewelacja - mruknął Jed. Za oknem Almaden zaczął się przesuwać. - Hej, dokąd teraz lecimy? - Zapytał. Asteroida zniknęła za krawędzią okna. Na zewnątrz było widać tylko gwiazdy, zataczające łuki na tle czarnego nieba. Piekielny jastrząb przyspieszał, lecąc po ciasnej trajektorii.

- Wracam na trasę patrolową - oznajmił Rocio. - Mam nadzieję, że nikt nie zauważył mojej nieobecności. Deebank przekazał mi datawizyjnie listę części elektronicznych, których będą potrzebowali, żeby uruchomić rafinerię płynu odżywczego. Na Montereyu będziemy mogli dostać wszystkie.

- Słyszę to z radością, stary - powiedział odruchowo Jed. Przez jego umysł przebiegła złowroga myśl. - Chwileczkę. W jaki sposób przekonasz Organizację, żeby ci dała te części? - Rocio mrugnął znacząco. Potem twarz zniknęła. - Jezu. Znowu to samo!

\*

W czasach pokoju strefy dozwolonego wyjścia gwiazdolotów znajdowały się w dogodnej odległości od Avon oraz otaczającego planetę pierścienia asteroid oraz ich stacji i portów. Jedynym wyjątkiem był Trafalgar, który z konieczności zawsze się wystrzegał podejrzanych statków. Gdy oficjalnie zaczęła się wojna albo - jak woleli mówić dyplomaci z Reginy - sytuacja kryzysowa, wszystkie strefy dozwolonego wyjścia przesunięto dalej od portów. Każdy almanach w Konfederacji podawał alternatywne współrzędne, a kapitanowie mieli obowiązek śledzić oficjalne deklaracje.

Strefa dozwolonego wyjścia DR45Y znajdowała się w odległości trzystu tysięcy kilometrów od Trafalgara. Była przeznaczona dla cywilnych lotów z rządową autoryzacją. Obsługujące ją satelity obserwacyjne nie ustępowały jakością tym, które strzegły stref przeznaczonych dla okrętów wojennych. Nigdy nie wiadomo, jakich statków może użyć nieprzyjaciel. Gdy czujniki zaburzeń grawitonicznych wykryły znajome cechy charakterystyczne statku, po paru milisekundach włączyły się dodatkowe instrumenty. Na szybko rozszerzające się zaburzenie czasoprzestrzeni skierowało swą broń pięć platform strategiczno-obronnych. Ośrodek kontroli lotu wysłał w tamtą stronę cztery patrolowe jastrzębie, a dziesięć następnych postawił w stan gotowości.

Horyzont zdarzeń rozszerzył się do średnicy trzydziestu ośmiu metrów i zniknął, odsłaniając kadłub gwiazdolotu. W paśmie światła widzialnego kontrolerzy ujrzeli standardową kulę pokrytą matową pianką z nultermu. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie, poza tym, że brakowało jednej sześciokątnej płyty. Statek wynurzył się imponująco blisko środka strefy. Kapitan z pewnością bardzo dokładnie wyznaczył koordynaty ostatniego skoku. Sugerowało to, że pragnie się przypodobać miejscowym władzom.

Transponder statku uruchomił się pod wpływem impulsów radaru. Jednostka sztucznej inteligencji Trafalgara po niespełna milisekundzie zidentyfikowała statek jako "Villeneuve's Revenge", dowodzony przez Andre Duchampa.

Po standardowym kodzie transpondera statek przekazał oficjalny kod pozwolenia na lot wydany przez rząd Ethenthii.

Oba kody były połączone z protokołami bezpieczeństwa drugiego stopnia. Dyżurny oficer CNIS-u w trafalgarskim centrum dowodzenia natychmiast przejął kontrolę nad sytuacją.

Wewnątrz bezpiecznej sieci łącznościowej asteroidy ogłoszono drugi, znacznie dyskretniejszy

alarm, o którym CNIS nic nie wiedział. Telewizory, radia i holograficzne okna w klubie, w którym zbierali się mieszkańcy Wioski, przerwały nostalgiczne pokazy, żeby poinformować obserwatorów o tym najnowszym wydarzeniu.

Tracy wyprostowała się i spojrzała na ekran. W wielkiej sali nagle zapadła cisza. Na dużym ekranie telewizora firmy Sony przesuwały się kolorowe obrazy, pokazujące różne rodzaje broni wymierzone w gwiazdolot. Tracy uzupełniła te niezbyt szczegółowe dane znacznie obszerniejszym streszczeniem pochodzącym od Korpusu, który pospiesznie zbierał informacje z różnych źródeł na Trafalgarze.

- Nie pozwolą, żeby statek się zbliżył - odezwała się Saska z nadzieją w głosie. - Są na to stanowczo zbyt podejrzliwi, dzięki świętym.

- Obyś miała rację - mruknęła Tracy. Zapytała szybko Korpus i dowiedziała się, że Jay nadal przebywa w kongresji z Haile. W tej chwili to było dla niej najlepsze miejsce. Tracy z pewnością nie chciała, żeby dziewczynka wyczuła dręczące ją wątpliwości i niepokój. - Diabli wiedzą, w jaki sposób Pryorowi udało się wymknąć z Ethenthii.

- Tamtejszych opętanych zapewne zastraszyło nazwisko Ala Capone - stwierdził Galie. - Ale zakradnięcie się do kwatery głównej Sił Powietrznych Konfederacji to znacznie trudniejsze zadanie.

Dyżurny oficer CNIS-u najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku. Bezzwłocznie ogłosił alarm C4, zakazując podejrzanemu o nieprzyjacielskie zamiary gwiazdolotowi ruszać się z miejsca, i rozkazał patrolowym jastrzębiom przechwycić intruza. "Villeneuve's Revenge" ostrzeżono datawizyjnie, że jeśli nie posłucha rozkazu, dowództwo strategiczno-obronne podejmie niezbędne kroki. Gwiazdolotowi zabroniono uruchamiać napęd, nie pozwolono nawet włączyć silników sterujących, żeby mógł poprawić położenie. Nie wolno im też było wysuwać paneli chłodzących, wysięgników z instrumentami obserwacyjnymi ani otwierać klap w kadłubie. Otrzymali pozwolenie na wypuszczanie nienapędowych gazów, ale tylko po uprzednim ostrzeżeniu. Gdy kapitan Duchamp potwierdził z niechęcią, że zrozumiał rozkazy, cztery jastrzębie pomknęły ku nieruchomemu statkowi ze sporym przyspieszeniem 5 g.

Kingsley Pryor przekazał oficerowi dyżurnemu swój osobisty kod, który identyfikował go jako oficera Sił Powietrznych Konfederacji.

- Udało mi się umknąć z Nowej Kalifornii i dotrzeć tutaj - oznajmił. - Zdobyłem mnóstwo informacji o taktycznym znaczeniu, dotyczących floty Organizacji. Trzeba je jak najszybciej przekazać admirał Lalwani.

- Zdajemy sobie sprawę, że przez pewien czas przebywałeś u Ala Capone - oznajmił oficer dyżurny. - Nasz agent Erick Thakrar przekazał bardzo dokładny raport z okresu, gdy był członkiem załogi "Villeneuve's Revenge".

- Erick tu jest? To bardzo dobrze. Myśleliśmy, że go złapali.

- Wniósł przeciwko tobie oskarżenie o dezercję i kolaborację.

- Nawet jeśli będę musiał stanąć przed sądem wojennym, żeby dowieść swej niewinności, nie zmienia to faktu, że przynoszę bardzo wiele cennych informacji. Admirał z pewnością zechce się zapoznać z moim sprawozdaniem.

- Będziesz miał okazję je złożyć. Gdy tylko potwierdzimy status waszego statku, patrolowe jastrzębie odstawią was do bezpiecznego stanowiska.

- Zapewniam, że nie mamy na pokładzie opętanych. Nasz statek nie stanowi też militarnego zagrożenia. Nasze systemy są w tak kiepskim stanie, że jestem zdziwiony, że w ogóle udało się nam tu dotrzeć. Kapitan Duchamp nie należy do wybitnych fachowców.

- O tym również wiemy.

- W porządku. Powinniście też się dowiedzieć, że w płycie kadłubowej 4-36-M jest zamontowana bomba jądrowa o sile wybuchu trzech dziesiątych kilotony. Posiadam kod kontroli jej zegara. W obecnej chwili jest on nastawiony na wybuch za siedem godzin.

- Tak, Al Capone zwykle stosuje taką metodę wymuszania posłuszeństwa. Potwierdzimy zdalnie lokalizację bomby za pomocą sondy wysłanej z jastrzębi.

- Dobra, to co mam zrobić?

- Absolutnie nic. Płyta zostanie usunięta, zanim pozwolimy wam zacumować. Duchamp musi otworzyć przed nami komputer pokładowy i usunąć wszystkie ograniczenia dostępu. Po zakończeniu analizy przyślemy wam dalsze instrukcje.

Kingsley zdjął pasy przytwierdzające go do fotela i obrzucił rozwścieczonego kapitana obojętnym spojrzeniem.

- Wykonaj polecenia. Natychmiast.

- Ależ oczywiście - warknął kapitan. Podczas lotu tysiące razy miał ochotę po prostu odmówić wykonania rozkazu i sprawdzić błąd Pryora. Przybycie na Trafalgar będzie oznaczało ostateczny koniec jego życia. Dzięki Thakrarowi kierowane przez Angoli Siły Powietrzne wiedziały o nim stanowczo zbyt wiele. Odbiorą mu statek i zapewne również wolność, bez względu na to, ile pieniędzy wyda na łajdackich prawników. W tym porcie nie miał żadnych znajomości. Za każdym razem, gdy jednak rozważał tę opcję, włączało się tchórzostwo, nie pozwalając zamienić myśli w czyny. Odmowa oznaczała pewną śmierć wskutek wybuchu bomby, a Andre Duchamp nie mógł już traktować tej perspektywy tak obojętnie jak niegdyś. Patrzył opętany prosto w oczy i pokonał ich; Siły Powietrzne Konfederacji bynajmniej mu za to nie podziękowały. Znakomicie wiedział, kim są, i zdawał sobie sprawę, jaki los czeka jego duszę. Nawet najgorsze upokorzenie stało się nagle dla niego czymś lepszym od śmierci.

Przekazał datawizyjnie polecenia komputerowi pokładowemu, umożliwiając centrum dowodzenia przejęcie kontroli. To była ustalona procedura. Uaktywniono wszystkie wewnętrzne czujniki, żeby potwierdzić liczbę członków załogi oraz ustalić ich tożsamość. Potem rozkazano im przekazać dane dotyczące procesów fizjologicznych do centrum dowodzenia. To był pierwszy etap w procesie sprawdzania, czy nie są opętani. Drugim będą szczegółowe zdalne badania po zacumowaniu.

Gdy centrum dowodzenia prowizorycznie zakwalifikowało pięć osób przebywających na pokładzie jako "nieopętanych", wszystkie procesory gwiazdolotu sprawdzono za pomocą programów diagnostycznych. W przypadku "Villeneuve's Revenge" ta procedura nie przebiegła tak gładko jak w statkach bardziej przestrzegających przepisów CAB. Kilka wymaganych przez prawo systemów uparcie nie chciało się włączyć. Niemniej jednak centrum dowodzenia nie wykryło w działaniu funkcjonujących procesorów zakłóceń świadczących o obecności opętanych. W połączeniu z wynikami analizy rejestrów systemu podtrzymywania życia - choć niekompletnych - stwierdzono z prawdopodobieństwem dziewięćdziesięciu pięciu procent, że na pokładzie gwiazdolotu nie ukrywają się opętani.

Andre otrzymał pozwolenie na wysunięcie paneli chłodzących. Uruchomiono silniki sterujące, żeby wyrównać pozycję statku. Z hangaru jednego z jastrzębi wystrzelono sondę, która zajęła pozycję nad płytą 4-36-M i wysunęła manipulatory, gotowa ją usunąć.

Tracy patrzyła na ekran wielkiego telewizora, przyglądając się, jak klucze dotykają obwodu płyty.

- Niewiarygodne! - Zawołała. - Wydaje im się, że to bezpieczne!

- Bądź rozsądna - zaprotestował Arnie. - Te środki wystarczą, żeby zlokalizować opętanych



ukrywających się na pokładzie.

- Chyba że to Quinn Dexter - poskarżyła się Saska.
- Nie komplikujmy sprawy. Siły Powietrzne zachowują wielką ostrożność.
- Bzdura - warknęła Tracy. - Ten oficer CNIS-u wykazał się kryminalną niekompetencją.

Musi wiedzieć, że Capone szantażuje czymś Pryora, ale nie wziął tego pod uwagę. Jak już odkręcą tę cholerną płytę, pozwolą statkowi zacumować.

- Nie możemy ich powstrzymać - ostrzegła ją Saska. - Znasz zasady.

- Capone słabnie. Jego wpływy są coraz mniejsze - stwierdziła Tracy. - Nawet jeśli zdoła osiągnąć iluzoryczne zwycięstwo, nie odzyska już tego, co stracił. Uważam, że nie możemy mu pozwolić na ten gest. Trzeba wziąć pod uwagę psychologiczną dynamikę sytuacji. Konfederacja musi przetrwać, nawet gdy już zdoła skutecznie zakończyć obecny kryzys. A Siły Powietrzne są symbolem Konfederacji, zwłaszcza teraz. Nie możemy pozwolić, żeby poniosły straty, jakie może spowodować misja Pryora.

- Jesteś tak samo arogancka jak Capone - zaprotestował Galie. - Uważasz, że twoje myśli, twoje opinie muszą zwyciężyć.

- Wszyscy świetnie wiemy, co musi zwyciężyć - odparowała Tracy. - Potrzebny będzie funkcjonalny rząd, którego władza obejmie cały gatunek. Tylko taki rząd będzie mógł wprowadzić zmiany potrzebne w fazie przejściowej. Pomimo swych wad Konfederacja może spełnić to zadanie. Jeśli upadnie, ludzkość podzieli się na frakcje społeczne, polityczne, ekonomiczne, religijne i ideologiczne. Cofniemy się do czasów poprzedzających erę podróży międzygwiazdnych. Miną stulecia, nim zdołamy wrócić do punktu, w którym jesteśmy dzisiaj. A przecież do tego czasu powinniśmy już dołączyć do aktywnej transcendentnej populacji tego wszechświata.

- My?

- Tak, my. Garstka uprzywilejowanych. Stworzono nas sztucznie, ale to nie znaczy, że nie jesteśmy ludźmi. Spędziliśmy wśród naszych kuzynów dwa tysiące lat i ten świat jest teraz dla nas obcy.

- Zachowujesz się melodramatycznie.

- Możesz to nazywać, jak chcesz. Wiem, kim jestem.

\*

Według pokładowych czujników "Villeneuve's Revenge" Kingsley Pryor przebywał samotnie w swej małej kabinie. Przybrał tę samą niepokojącą pozę, którą Andre i jego załoga obserwowali podczas całego, pełnego udręki lotu. Wisiał kilka centymetrów nad pokładem z nogami zwiniętymi w pozycji lotosu i wpatrywał się w wizję jakiegoś straszliwego, osobistego piekła. Nawet oficer CNIS-u obserwujący go z daleka widział, że Kingsley cierpi.

Gdy już zakończono zdalną kontrolę systemów elektronicznych i usunięto płytę 4-36-M, Duchampowi przekazano wektor, który zaprowadzi ich na Trafalgar z przyspieszeniem 0,1 g. Komputer pokładowy zareagował na polecenia, uruchamiając silnik termojądrowy. Załoga co do joty przestrzegała protokołów bezpieczeństwa.

Kingsley osunął się na pokład, tłumiąc jęk zrodzony na myśl, co to oznacza. Podczas lotu nieustannie rozważał swój dylemat, aż wreszcie stał się on źródłem niemal fizycznego bólu. Każda myśl o nim paliła go od wewnątrz. Z pułapki, którą zastawili na niego Capone i jego dziwka, po prostu nie było wyjścia. Śmierć otaczała go ze wszystkich stron, zapewniając jego posłuszeństwo skuteczniej niż wszelkie sekwestracyjne nanosystemy. Nie pozwoli, żeby małego Webstera i Clarissę pochłonęły zaświaty. Nie dopuści też, żeby ich opętano. Nie mógł również jednak zaakceptować jedyne go sposobu, by temu zapobiec.

Podobnie jak inni, którzy znaleźli się w przeszłości w podobnej sytuacji, Kingsley Pryor nie robił nic, pozwalając, żeby fala wydarzeń niosła go w stronę rozwiązania. Po prostu czekał i modlił się o to, żeby w magiczny sposób pojawiło się jakieś trzecie wyjście. Teraz jednak, gdy termojądrowe silniki popychały powoli statek w stronę Trafalgara, nadzieja go opuściła. Dano mu moc zadawania cierpienia na obłąkaną skalę, a mimo to jego uczucia były z Websterem i Clarissą. Zgodnie z przewidywaniami Ala Capone jedno równoważyło drugie. Kingsley Pryor był zmuszony dokonać nieakceptowanego wyboru między abstrakcją a tym, co bliskie sercu.

Instrumenty w kabinie miały wystarczającą rozdzielną, by zarejestrować gorzki uśmiech, który wykwitł na jego twarzy. Wydawało się, że z ust Kingsleya zaraz wyrwie się krzyk. Oficer dyżurny CNIS-u potrząsnął głową. Zachowania Kingsleya nie sposób było zrozumieć. Być może postradał zmysły. Zachowywał się jednak spokojnie.

Instrumenty nie zarejestrowały, że powietrze obok koi skupiło się bezszelestnie, tworząc postać Richarda Keatona. Przybysz uśmiechnął się ze smutkiem do zrozpaczonego oficera.

- Kim jesteś? - Zapytał ochryplym głosem Kingsley. - Jak udało ci się ukryć na pokładzie?

- Nie ukrywałem się - odparł Richard Keaton. - Nie jestem opętany, który miałby cię pilnować. Jestem obserwatorem, to wszystko. Proszę, nie pytaj, dla kogo pracuję ani w jakim celu. Nie odpowiem ci. Mogę ci jednak powiedzieć, że Websterowi udało się uciec od Ala Capone. Nie przebywa już na Montereyu.

- Webster? - Zawołał Kingsley. - Gdzie on jest?

- Jest tak bezpieczny, jak to tylko możliwe w tych czasach. Znajduje się na pokładzie zbuntowanego statku, który nie wykonuje niczyich rozkazów.

- Skąd wiesz?

- Nie jestem jedyną osobą obserwującą Konfederację.

- Nie rozumiem, dlaczego mi o tym mówisz.

- Świetnie wiesz dlaczego, Kingsley. Dlatego, że musisz podjąć decyzję. Znalazłeś się w sytuacji, która daje ci wyjątkową możliwość wpływu na bieg wydarzeń. Rzadko się zdarza, by ktoś otrzymał podobną szansę, choć być może nie jesteś zadowolony z implikacji tego faktu. Nie mogę podjąć tej decyzji za ciebie, choć z pewnością bym tego pragnął. Nawet ja nie mogę się uwolnić od ograniczeń, jakie mi narzucono. Mogę jednak je nagiąć i upewnić się, że przed podjęciem decyzji poznasz wszystkie istotne fakty. Musisz zdecydować, kiedy i gdzie zginiesz, a także, kto umrze razem z tobą.

- Nie mogę.

- Wiem, że to niełatwe. Pragniesz, żeby status quo utrzymywało się tak długo, aż twoja decyzja przestanie być istotna. Nie mam do ciebie pretensji, ale tak się nie stanie. Musisz wybrać.

- Wiesz, co mi zrobił Capone? Co w sobie mam?

- Wiem.

- Co byś uczynił na moim miejscu?

- Za dużo wiem, żeby móc ci odpowiedzieć.

- To znaczy, że nie powiedziałeś mi wszystkiego, co muszę wiedzieć. Proszę!

- Pragniesz po prostu rozgrzeszenia. Nie mogę ci go dać. Powiedziałem ci wszystko, co moim zdaniem powinieneś wiedzieć. Twój syn nie ucierpi bezpośrednio z powodu niczego, co mógłbyś zrobić. Ani teraz, ani w przyszłości.

- Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? Kim jesteś?

- Mówię prawdę, ponieważ wiem, co ci powiedzieć. Gdybym nie był tym, za kogo się podaję, skąd wiedziałbym o tobie i o Websterze?

- Jak powinienem postąpić? Powiedz mi.

- Już to zrobiłem.

Richard Keaton zaczął unosić rękę w geście, który mógł wyrażać współczucie, Kingsley Pryor nigdy jednak się tego nie dowiedział, gdyż gość zniknął równie zaskakująco, jak się pojawił.

Z ust Kingsleya wyrwał się słaby, piskliwy śmiech. Jacyś ludzie - albo ksenobionty, czy może nawet anioły - obserwowali Konfederację i byli w tym bardzo dobrzy. Śledzenie rozgrywających się na jej obszarze wydarzeń nie było zbyt trudne. Wystarczy trochę odpowiednio rozmieszczonych instrumentów przechwytyjących przekazy datawizyjne. CNIS i jej odpowiedniki robiły to rutynowo. Umieszczenie obserwatorów wśród opętanych znacznie przekraczało jednak możliwości ludzkich agencji wywiadowczych. To było niepokojące, lecz mimo to Kingsley poczuł ulgę. Tajemniczy obserwatorzy byli przyjaźnie nastawieni, w wystarczającym stopniu, by zainterweniować, choćby nawet na niewielką skalę.

Zdawali sobie sprawę, jak wiele zniszczeń może spowodować. I dali mu usprawiedliwienie, by tego nie zrobić.

Kingsley spojrział prosto w obserwujący go czujnik.

- Przykro mi. Naprawdę. Dotarłem tak daleko, bo byłem bardzo słaby. Teraz z tym skończę.

Datawizyjnie przekazał polecenia komputerowi pokładowemu.

Przebywający na mostku Andre wzdrygnął się nagle, gdy pod jego czaszką zapłonęły czerwone, ostrzegawcze neuroikony. Tracił kolejno kontrolę nad wszystkimi podstawowymi systemami statku.

- Duchamp, co ty wyprawiasz? - Zapytało centrum dowodzenia. - Natychmiast przywróć nam dostęp do komputera pokładowego albo otworzymy ogień.

- Nie mogę - odpowiedział datawizyjnie przerażony kapitan. - Moje kody dostępu anulowano. Madeleine! Potrafisz to powstrzymać?

- Nie dam rady. Ktoś instaluje własne programy kontrolne.

- Nie strzelajcie - błagał Andre. - To nie my.

- To musi być ktoś, kto ma bezpośredni dostęp do programu sterującego. Ktoś z twojej załogi, Duchamp.

Andre obrzucił Madeleine, Desmonda i Shane'a przerażonym spojrzeniem.

- Ale my nie... *merde* Pryor! To Pryor! W końcu to on chciał tu przylecieć.

- Wytracamy moc - zawołał Desmond. - Napęd termojądrowy się wyłączył. Plazma w tokamaku stygnie. Cholera, otworzył awaryjne zawory odpowietrzające. Wszystkie. Co on kombinuje?

- Zejdź na dół i powstrzymaj go. Użyj broni ręcznej, jeśli będzie trzeba - zawołał Andre. - Nadal z wami współdziałamy - przekazał datawizyjnie do centrum dowodzenia. - Za chwilę odzyskamy panowanie nad sytuacją. Dajcie nam kilka minut.

- Kapitanie! - Zawołał Shane, wyciągając rękę. Właz w pokładzie się zamykał. Pomarańczowe światła rozbłyły niemal oślepiającymi impulsami w rytm przeszywającego gwizdka.

- *Mon dieu, non!*

Instrumenty obserwacyjne platform strategiczno-obronnych przekazywały oficerowi dyżurnemu CNIS-u bardzo wyraźny obraz "Villeneuve's Revenge". Gdy zaczął się kryzys, statek wytracił już znaczną część prędkości. Od przeciwbrotowego kosmodromu Trafalgara dzieliło go niespełna dwieście kilometrów, mieli więc poważne powody do niepokoju. Demonstrowana przez załogę trwoga mogła być jedynie zmyłką. Gdyby z tej odległości wystrzelili w asteroidę salwę os bojowych, przechwycenie wszystkich byłoby niemal niemożliwe.

Gdyby na pokładzie znajdował się jedynie Duchamp z załogą, oficer dyżurny w mgnieniu oka zniszczyłby statek. Powstrzymało go jednak zachowanie Pryora oraz enigmatyczne słowa, które wygłosił na chwilę przed wyłączeniem czujników w kabinie. Nie ulegało wątpliwości, że to Pryor jest winny. Jedynym systemem, którego działanie Trafalgar mógł nadal obserwować, była kontrola os bojowych. Pryor z pewnością starał się uspokoić centrum kontroli. Żadnego ze śmiercionośnych pocisków nie uzbrojono.

- Miejcie go na oku i nie spuszczaście z celownika - przekazał datawizyjnie pozostałym oficerom z centrum dowodzenia. - Każcie eskortie jastrzębi być w gotowości.

Z "Villeneuve's Revenge" wytrysnęły długie smugi śnieżnych oparów. Awaryjny zawór opróżnił wszystkie zbiorniki na pokładzie. Wodór, hel, tlen, chłodziwo, woda, czynnik roboczy, wszystko to wytrysnęło w pustkę pod wysokim ciśnieniem. Statek kołysał się gwałtownie, jakby nagle uruchomiono kilkanaście silników sterujących próbujących przemieścić go w przeciwnych kierunkach. Żaden z impulsów nie był jednak wystarczająco silny, żeby zmienić jego trajektorię. Ponieważ hamujący silnik przestał działać, statek nadal mknął w stronę Trafalgara z prędkością prawie dwóch kilometrów na sekundę.

- Nawet jeśli odzyskają kontrolę nad systemem napędowym nie mają już paliwa - zauważył oficer kierujący systemami strategiczno-obronnymi. - Za dwie minuty statek uderzy w Trafalgar.

- Jeśli zbliży się na odległość dziesięciu kilometrów, zniszczcie go - rozkazał oficer dyżurny CNIS-u.

Wypływ gazów trwał jeszcze piętnaście sekund. Statek kołysał się gwałtownie. Wokół kadłuba doszło do serii nagłych wybuchów. W pustkę wystrzeliły pióropusze szarego pyłu. Wielkie fragmenty powłoki oddzieliły się na podobieństwo matowosrebrnych płatków kwiatu, odsłaniając ciasno upakowane, metaliczne trzewia. Pod powierzchnią rozblęły oślepiające, niebieskie światła, widoczne jedynie przez szczeliny w kadłubie; kolejne eksplozje niszczące wewnętrzną integralność statku. Gwiazdolit zaczął się rozpadać. Jego zbiorniki, dysze, toroidy tokamaków, węzły modelowania energii, wymienniki ciepła i cała masa innych mechanizmów utworzyły rozszerzającą się powoli chmurę.

Trzy silniki rakietowe na paliwo stałe ulokowane u podstawy kapsuły podtrzymywania życia, w której znajdował się mostek, włączyły się bez ostrzeżenia. Duchamp i pozostali członkowie załogi padli nagle na fotele amortyzacyjne. Sfera opuściła obłok technologicznych śmieci, poruszając się z prędkością 15 g.

- Mój statek! - Zawołał Andre, miażdżony przygniatającą siłą. "Villeneuve's Revenge", ostatnia iskierka nadziei na przetrwanie kryzysu, jaka mu pozostała, rozpadał się na jego oczach. Warte milion fuzjodolarów części znikwały bezpowrotnie w galaktycznej otchłani. Duchamp kochał swój statek bardziej niż jakąkolwiek kobietę w życiu i wybaczał mu nieustanne wydatki, jakich od niego wymagał, nieobliczalne zachowanie oraz nienasycone pragnienie paliwa i zasobów zużywalnych. W zamian statek dawał mu życie lepsze od przeciętnego. Nadal jednak nie spłacił go do końca i przed kilku laty zrezygnował z polisy ubezpieczeniowej w jednej z tych zajmujących się zalegalizowanym złodziejstwem angolskich firm ubezpieczeniowych. Wolał ufać własnym umiejętnościom oraz głowie do interesów. Jego krzyk przerodził się w spazmatyczne łkanie. Wszechświat stał się dla Duchampa gorszy niż wszelka perspektywa zaświatów.

Kingsley Pryor nie uruchomił rakiet w swej kapsule. Nie miał dokąd uciekać. Szczątki "Villeneuve's Revenge" rozprzestrzeniały się gwałtownie, poruszone kapsułą podtrzymywania życia mostka, która wypadła z ich środka, nadal jednak mknęły w stronę Trafalgara, niosąc ze sobą Kingsleya. Nie miał pojęcia, gdzie dokładnie się znajduje, nie chciało mu się sprawdzać prostych

instrumentów zamontowanych w kapsule. Wiedział jedynie, że zrobił, co tylko mógł, dla załogi i nie dotarł do Trafalgara, gdzie chciał go wysłać Al Capone. Nic więcej nie miało już dla niego znaczenia. Decyzja została podjęta.

Kingsley unosił się samotnie w kabine oświetlonej wyłącznie małymi, żółtymi światełkami awaryjnymi. Przekazał datawizyjnie kod uruchamiający implant w jego brzuchu. Mały generator pola bezpieczeństwa był szczytem techniki Konfederacji, lecz mimo to lekko naruszał przepisy dotyczące obchodzenia się z antymaterią. W superspecjalistycznym laboratorium wojskowym na Nowej Kalifornii, gdzie go wyprodukowano, nie dołączono standardowych zabezpieczeń używanych nawet przez najbardziej oszczędne z czarnych syndykatów. Capone po prostu zarządził, że pojemnik ma być możliwie jak najmniejszy, i spełniono jego żądanie.

Gdy pole się wyłączyło, kula zamrożonego antywodoru dotknęła ściany pojemnika. Anihilacja protonów, elektronów, antyprotonów i pozytonów na bardzo krótką chwilę odtworzyła warunki gęstości energii, jakie panowały w chwili wielkiego wybuchu. Tym razem jednak nie powstał żaden wszechświat.

Lasery platformy strategiczno-obronnej rozbijały już wirujące fragmenty na pograniczu chmury szczątków, w którą przerodził się "Villeneuve's Revenge". Główna część roju znajdowała się w odległości niespełna dwudziestu pięciu kilometrów od Trafalgara i zmierzała wprost na jeden z jego sferycznych przeciwbrotowych kosmodromów. Zdezintegrowane części przerodziły się w zjonizowany gaz, który żarzył się bladoniebieską fluorescencją pod wpływem energii laserowych wiązek, tworząc wokół pozostałych fragmentów kipiącą falę dziobową. Wyglądało to, jakby pustkę pruć prawie całkowicie niematerialna kometa.

Gdy nastąpiła eksplozja, kapsuła Kingsleya Pryora znajdowała się w odległości dwudziestu trzech kilometrów albo ośmiu sekund drogi od kosmodromu. Jeszcze trzy sekundy i lasery strategiczno-obronne zdążyłyby ją zniszczyć. Co prawda, nie zmieniłoby to wiele. Al Capone zamierzał zrobić z Trafalgarem to samo, co Quinn Dexter uczynił z Jesupem. Gdyby antymateria eksplodowała w jednej z komór biosferycznych, asteroida rozpadłaby się na kawałki. Nawet gdyby Kingsley nie zdołał się przedostać przez nieuchronną kontrolę bezpieczeństwa i był zmuszony do samobójczego ataku na kosmodrom, straty byłyby poważne. Cała sfera uległaby zniszczeniu, podobnie jak cumujące w porcie statki. Niewykluczone też, że asteroida zostałaby wytracona z orbity.

Wyłączając pole bezpieczeństwa na zewnątrz Trafalgara, Kingsley ograniczył zniszczenia w wystarczającym stopniu, żeby uspokoić sumienie, a jednocześnie móc wrócić na Nową Kalifornię i oznajmić, że wykonał zadanie. Niemniej Siły Powietrzne Konfederacji z pewnością nie miały mu za to podziękować. W przeciwieństwie do wybuchu bomby wodorowej anihilacja antymaterii nie produkowała sfery poruszającej się z relatywistyczną prędkością plazmy ani złożonej z cząstek fali uderzeniowej, ale rozbłysk energii był tak jasny, że oświetlił całą nocną stronę odległej o sto tysięcy kilometrów planety. Tylko niewielka część energii skupiała się w świetle widzialnym i promieniowaniu podczerwonym. Zdecydowaną większość stanowiły promienie X i promieniowanie gamma.

Otoczająca miejsce wybuchu chmura złomu pozostałego po "Villeneuve's Revenge" rozblęła jasno na pikosekundę, po czym rozpadła się na subatomowe fragmenty. Trafalgar okazał się nieco bardziej odporny. Szaro-czarna skała rozgorzała jaśniej niż słońce, gdy uderzyło w nią energetyczne tsunami. Kiedy białe światło wygasło, powierzchnia asteroidy nadal żarzyła się ciemnoczerwonym blaskiem. Poruszone siłą odśrodkową ospałe strumienie stopionej skały zalały wzgórza i kraterę, tworząc cebulowate, szybko rosnące stalaktyty. Dorównujące wielkością małym miasteczkom

wymienniki ciepła przyczepione do skały rozpadły się, ich kompozytowe elementy pękły jak antyczne szyby, a metalowe struktury zamieniły się w płyn, sypiąc ku gwiazdom szkarłatnymi kropelkami.

Eksplozja mikronowej zaskoczyła setki gwiazdolotów. Statki adamistów miały więcej szczęścia. Ich masywne kadłuby osłoniły załogi przed większą częścią promieniowania. Mechaniczne systemy przestały jednak nagle działać, gdy uderzyło w nie promieniowanie rentgenowskie, i statki w jednej chwili zmieniły się w latający złom, wykasłujący opary tak samo jak "Villeneuve's Revenge". Z dziesiątków niebezpiecznie radioaktywnych wraków wystrzelono kapsuły podtrzymywania życia.

Odsłonięte jastrzębie ucierpiały poważniej. Same statki skonały w męczarniach, gdy ich komórki utraciły integralność. Im dalej znajdowały się od miejsca wybuchu, tym dłużej trwały ich cierpienia. Załogi w pozbawionych osłony toroidach o cienkich ścianach zginęły niemal natychmiast.

Sferyczny przeciwbrotowy kosmodrom Trafalgar wygiął się jak domek na plaży podczas huraganu. Pianka z nultermu pokrywająca jego zbiorniki oraz dźwigary poczerniała nagle i zniknęła. Powietrze w zamkniętych hermetycznie pomieszczeniach rozgrzało się gwałtownie pod wpływem promieniowania i eksplodowało, rozrywając wszystkie mieszkalne pomieszczenia. Zbiorniki pękały. Generatory termojądrowe ulegały destabilizacji i gwałtownie zmieniały się w parę.

Siła wstrząsu zdecydowanie przekraczała granice wytrzymałości konstrukcji. Plazma z generatorów termojądrowych opuściła w gwałtownych strumieniach zapadającą się sferę i smukłe dźwigary zaczęły się uginać. Kosmodrom oderwał się od asteroidy i oddalił od niej. Z martwego cielska tu i ówdzie buchały szybko gasnące kule ognia.

Wewnątrz czaszki Samuela Aleksandrovicha wibrowało natarczywie kilkanaście datawizyjnych alarmów. Naczelnym admirał uniósł wzrok, spoglądając na oficerów sztabowych zajętych codziennym przeglądem sytuacji strategicznej. Jeszcze bardziej niepokojący od serii alarmów był fakt, że trzy z nich umilkły nagle, gdy procesory przestały działać. Potem światła zamigotały. Samuel spojrzął na sufit.

- O cholera.

Informacje napływające do jego umysłu potwierdziły, że obok asteroidy doszło do eksplozji. Czy jednak mogła być wystarczająco potężna, żeby uszkodzić wewnętrzne systemy? Widoczna za panoramicznym oknem oś świetlna centralnej biosfery gasła stopniowo. Cywilne generatory wyłączały się kolejno w odpowiedzi na utratę chłodziwa. Całe sekcje superodpornej sieci komunikacyjnej asteroidy były niedostępne. Nie funkcjonował ani jeden zewnętrzny czujnik.

Oświetlenie i funkcje podtrzymywania życia biura przełączyły się na generatory awaryjne. Wysokie dźwięki tworzące tło codziennego życia na całej asteroidzie przybierały coraz głębszą tonację, w miarę jak pompy i wentylatory odmawiały posłuszeństwa.

Do pomieszczenia wpadło siedmiu komandosów w pełnych pancerzach, oddział osobistej straży naczelnego admirała. Dowodzący nim kapitan nie zwracał sobie głowy salutowaniem.

- Panie admirale, ogłoszono alarm CIO. Proszę udać się do bezpiecznego centrum dowodzenia.

Okrągły fragment podłogi obok biurka odsunął się, odsłaniając prowadzącą w dół rynnę. Do datawizyjnych alarmów dołączyły migające światła oraz dźwięk syren. Na okno nasuwały się grube, metalowe płyty. Korytarzem biegli kolejni komandosi, wykrzykujący rozkazy. Samuel omal się nie roześmiał na myśl, że podobny dramatyzm przynosi niekiedy więcej szkody niż pożytku. W tego typu sytuacjach ludzie musieli zachować spokój, a nie dodatkowo zwiększać swe obawy. Zastanawiał się nad możliwością niewykonania dyrektywy młodego, pełnego zapału kapitana. Instynkt podpowiadał mu, że powinien odegrać rolę doświadczonego dowódcy, dowodzącego z pierwszej linii. Kłopot w tym, że na tak wysokim szczeblu podobny gest byłby zupełnie niepraktyczny. Podczas kryzysu na

podobnie wielką skalę kluczowe znaczenie miało zachowanie hierarchii dowodzenia w nienaruszonym stanie, gdyż tylko ona pozwalała szybko reagować na groźby.

Nagle podłoga zadrżała. Naprawdę ich zaatakowano! Nie sposób było w to uwierzyć. Wytrzeszczył oczy ze zdumienia, gdy filiżanki na biurku podskoczyły i herbata wylała się na blat.

- Oczywiście - odpowiedział równie zaniepokojonemu oficerowi.

Dwaj komandosi zjechali na dół pierwsi, trzymając magnetyczne karabiny w gotowości. Samuel podążył za nimi. Gdy zjeżdżał po szerokiej spirali, w jego neuronowym nanosystemie uruchomił się program oceny i korelacji, który zaczął przeglądać napływające strumienie danych, żeby sprawdzić, co naprawdę się stało. Centrum dowodzenia potwierdziło, że na "Villeneuve's Revenge" nastąpiła anihilacja pewnej ilości antymaterii. Straty na Trafalgarze były poważne, ale myśl o tym, co się stało z okrętami Pierwszej Floty, przeszła Samuela dreszczem. W chwili eksplozji na asteroidzie cumowało ich dwadzieścia, a trzy dalsze eskadry czekały w odległości stu kilometrów. Na cokołach spoczywały dwadzieścia cztery jastrzębie. W pobliżu znajdowało się też z górą pięćdziesiąt statków cywilnych i rządowych.

Bezpieczne centrum dowodzenia było ciągiem pomieszczeń wykutych głęboko w skale Trafalgara. Samowystarczalne i zaopatrzone we własne źródła mocy miało zapewnić sztabowi naczelnego admirała schronienie podczas ataku. Broń wystarczająco potężna, by je uszkodzić, rozbiłaby asteroidę na kawałki.

Ta myśl nie pocieszyła zbytnio Samuela. Wypadł z rynny i wbiegł do centrum koordynacyjnego, przyciągając spojrzenia zredukowanej do minimum załogi pełniącej dyżur. Długie, prostokątne pomieszczenie - pełne łukowatych konsol oraz holograficznych ekranów - zawsze przypominało mu mostek okrętu wojennego. Tu jednak przynajmniej nie musiał znosić wysokich przyspieszeń.

- Proszę mi podać informację o stanie - zażądał od kierującej dyżurem komandor porucznik.

- Do tej pory był tylko jeden wybuch, panie admirale - zameldowała kobieta. - Centrum dowodzenia próbuje odzyskać łączność z satelitami obserwacyjnymi. Kiedy ją straciliśmy, w zasięgu przyrządów nie było innych nieautoryzowanych statków.

- Czy w ogóle mamy z kimś kontakt?

- Niektóre instrumenty w ocalałym kosmodromie nadal funkcjonują, ale nie dostarczają nam zbyt wielu informacji. Elektromagnetyczny impuls spowodowany eksplozją zniszczył znaczną część sprzętu elektronicznego. Nawet wzmocnione procesory nie potrafią wytrzymać tak wielkiej mocy. Żadna z działających anten nie odbiera sygnału od platformy strategiczno-obronnej. Nie wiemy, czy to awaria procesorów, czy też zniszczono ją fizycznie.

- Dajcie mi satelitę GDOS. Połączcie nas z jakimś gwiazdolotem. Chcę porozmawiać z kimś, kto wie, co się dzieje na zewnątrz.

- Tak jest. Uruchamiamy już awaryjne systemy bojowe.

Kolejni członkowie załogi centrum koordynacyjnego wpadali do środka i zajmowali miejsca. Oficerowie sztabu ustawiali się za plecami naczelnego admirała. Samuel zauważył admirała Lalwani i wezwał ją niecierpliwym skinieniem.

- Ma pani łączność z jastrzębiami? - Zapytał cichym głosem.

- Z kilkoma. - Na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiego bólu. - Wciąż czuję, jak umierają. Straciliśmy już z górą pięćdziesiąt.

- Jezu - wysyczał naczelną admirała. - Wyraży współczucia. Co tam się dzieje, do diabła?

- Już nic. Ocalali nie zauważyli żadnych okrętów Organizacji.

- Panie admirale! - Zawołała komandor porucznik. - Odzyskujemy łączność z siecią

strategiczno-obronną. Trzy satelity GDOS milczą. Z pewnością uszkodziło je promieniowanie. Pięć pozostałych funkcjonuje prawidłowo.

Na jednym z holograficznych ekranów rozbłysły pomarańczowe i zielone pasy. Po chwili obraz się ustabilizował. Pochodził z satelity obserwacyjnego, zajmującego pozycję na granicy zasięgu sieci strategiczno-obronnej Trafalgar, w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów od asteroidy. Żaden z satelitów wewnętrznego kordonu nie ocalał.

- Do diabła - mruknął naczelny admirał. W całym centrum zapadła cisza.

Połowa długiej, przypominającej fistaszek asteroidy lśniła ciemnoburgundowym blaskiem na tle gwiazd. Widzieli powolne fale stopionej skały zalewające wzniesienia, wielkie jak głązy krople uciekające w pustkę pod wpływem siły odśrodkowej. Szczątki kosmodromu oddalały się od złapanej osi, wirując powoli i sypiąc fragmentami na wszystkie strony. Wokół asteroidy krążyły bez celu kule magny ciągnące za sobą czarne od sadzy ogony pary niczym zimne komety - statki, które były za blisko eksplozji, by ich załogi mogły przeżyć.

- W porządku, centrum jest nietknięte i zdolne do działania - oznajmił z powagą naczelny admirał. - Naszym priorytetem musi być odbudowa sieci strategiczno-obronnej. Jeśli Organizacja ma choć blade pojęcie o taktyce, spróbuje nas zaatakować, gdy nasze platformy są nieczynne. Pani komandor, proszę tu przywołać dwie eskadry okrętów Pierwszej Floty, które zastąpią platformy strategiczno-obronne, oraz przeorganizować sieć planetarną, żeby zapewniła nam maksymalną osłonę. Niech im pani też powie, żeby wystrzegali się infiltracji. Z pewnością Al Capone może się do tego posunąć. Potem zaczniemy loty ratunkowe w poszukiwaniu niedobitków.

Załoga centrum koordynacji poświęciła godzinę na przegrupowanie ocalałych eskadr Pierwszej Floty, które utworzyły otaczającą Trafalgar tarczę. Kolejne łącza odzyskiwały sprawność i napływało do nich coraz więcej informacji. Eksplozja zniszczyła trzy czwarte sieci strategiczno-obronnej na asteroidzie. Z górą sto pięćdziesiąt okrętów uległo całkowitej zagładzie, a dalszych osiemdziesiąt było tak radioaktywnych, że nie sposób je było uratować. Z kosmodromu, do którego zmierzał "Villeneuve's Revenge", nie ocalało nic. Po wydobyciu ciał trzeba go będzie skierować w stronę Słońca. Według wstępnych ocen liczba ofiar wynosiła osiem tysięcy, w centrum koordynacji uważano jednak, że to zbyt optymistyczny szacunek.

Gdy tylko jego rozkazy wprowadzono w życie, naczelny admirał przejrzał dotyczące "Villeneuve's Revenge" informacje zawarte w archiwum centrum dowodzenia. Powołał tymczasową komisję śledczą złożoną z sześciu oficerów swojego sztabu i polecił im odtworzyć prawdopodobny przebieg wydarzeń. Jego neuronowy nanosystem kilkanaście razy odtwarzał ostatnie chwile udręczonego Kingsleya Pryora.

- Potrzebny nam pełen profil psychologiczny - oznajmił naczelny admirał porucznikowi Keatonowi. - Chcę się dowiedzieć, co mu zrobili. Nie podoba mi się myśl, że są w stanie zwrócić naszych oficerów przeciwko nam.

- Dla opętanych jedynym ograniczeniem są niedostatki ich wyobraźni - odparł uprzejmie oficer medyczny. - Mogą poddać ludzi dowolnym naciskom. A komandor porucznik Pryor miał na Nowej Kalifornii rodzinę. Żonę i syna.

- Przysięgam, że na mnie i na moje czyny nie wpłyną żadne względy osobiste - zacytował cicho Samuel. - Ma pan rodzinę, poruczniku?

- Nie, panie admirale, nie najbliższą. Mam daleką kuzynkę, którą bardzo lubię. Jest mniej więcej w tym samym wieku co Webster Pryor.

- Myślę, że złożone w akademii przysięgi i dobre intencje nie zawsze mogą przetrwać groźbę, z jaką stykamy się w realnym życiu. Wygląda jednak na to, że Pryora pod koniec dopadły



wątpliwości. Powinniśmy się z tego cieszyć. Jeden Bóg wie, jak ogromne straty by spowodował, gdyby udało mu się przedostać do Trafalgara.

- Tak jest, admirale. Jestem przekonany, że zrobił, co mógł.

- W porządku, poruczniku, niech pan wraca do swoich obowiązków.

Samual Aleksandrovich ponownie skierował swą uwagę na raporty wyświetlane w jego umyśle. Ponieważ ocalałe eskadry już przegrupowano, a statki ratunkowe wysłano, mógł się skupić na samym Trafalgarze. Asteroida poważnie ucierpiała. Niemal cały umieszczony na powierzchni sprzęt wyparował, w tym również dziewięćdziesiąt procent mechanizmów odprowadzających ciepło. Produkcja mocy spadła niemal do zera. Systemy podtrzymywania życia funkcjonowały jedynie dzięki rezerwom. Komory biosferyczne i segmenty mieszkalne nie mogły odprowadzać nadmiaru ciepła, a pojemność awaryjnych zbiorników cieplnych wystarczała zaledwie na dziesięć dni. Projektanci habitatu nie przewidzieli tak katastrofalnych uszkodzeń. Zakładano, że promienniki cieplne uszkodzone przez osy bojowe można z łatwością wymienić w ciągu dziesięciu dni. Jeśli nawet jednak fabryki na Avon zdołałyby przez ten czas wyprodukować potrzebną ilość sprzętu, zamontowanie go nie było możliwe. Połowa powierzchni asteroidy była tak radioaktywna, że kilka górnych metrów skały trzeba będzie usunąć. Co więcej, panowała tam bardzo wysoka temperatura. W ciągu paru miesięcy większa część tego ciepła odpłynie w kosmos, ale znaczący ułamek z pewnością przeniknie do wnętrza Trafalgara. Jeśli nie powstrzyma się tego procesu, temperatura w komorach biosferycznych stanie się wystarczająco wysoka, żeby je wysterylizować. Zapobiec temu mogły jedynie mechanizmy odprowadzające ciepło, których nie można było zamontować z uwagi na wysoką temperaturę i promieniowanie.

Samual zaklął, gdy ekipy cywilnych inżynierów przekazały mu datawizyjnie ocenę sytuacji oraz sugestie. Nawet pomijając koszty, nie było szans, by mógł rozpocząć tego rodzaju program w samym środku kryzysu.

Będzie musiał ewakuować asteroidę. Istniały plany kryzysowe przewidujące rozmieszczenie instytucji oraz oddziałów Sił Powietrznych w różnych osiedlach na asteroidach i księżycach Avon. Nie to stanowiło problem. Capone odniósł wielkie zwycięstwo propagandowe. Siły Powietrzne Konfederacji straciły kwaterę główną oraz kilka eskadr. Zginęło wiele jastrzębi. W oczach opinii publicznej zaćmi to całą kampanię wyzwolenia Mortonridge.

Samual Aleksandrovich osunął się na krzesło. Nie skrył głowy w dłoniach jedynie dlatego, że wszyscy na niego patrzyli i musiał im świecić przykładem.

- Panie admirale?

Uniósł spojrzenie i zobaczył, że na z reguły spokojnej twarzy kapitana Amr al-Sahhafa pojawił się wyraz lęku. Co znowu się stało?

- Słucham, kapitanie.

- Admirale, doktor Gilmore melduje, że Jacqueline Couteur uciekła.

Zimna furia, jakiej Samual nie doświadczył już od dawna, przebiła się przez jego racjonalne myśli. Ta przekłeta kobieta stała się jego *bite noir*, wampirem karmiącym się nieszczęściami Sił Powietrznych. Była śmiertelnie groźna i pełna wyniosłej pogardy.

- Czy udało się jej wydostać z laboratorium?

- Nie, admirale. Klatka demona zachowała integralność przez cały czas ataku.

- W porządku, wyślijcie drużynę komandosów ze wszystkim, czego doktor Gilmore potrzebuje, żeby ją odnaleźć. Macie priorytet. - Pospiesznie sprawdził wyszukiwarką kilka plików. - Chcę, żeby poszukiwaniami dowodził porucznik Hewlett. Moje rozkazy dla niego są proste. Natychmiast po schwytaniu należy ją zamknąć w kapsule zerowej. Podkreślam: natychmiast. W

przyszłości doktor Gilmore ma używać do swych badań kogoś mniej kłopotliwego.

\*

Przy trzecich drzwiach było wyraźnie cieplej niż w szerokim korytarzu prowadzącym do bezpiecznego laboratorium CNIS-u. Powietrze ogrzało się od ciepła wypromieniowywanego przez panczerze trzydziestu pięciu komandosów. Umieszczone na suficie klimatyzatory działały na ograniczoną skalę. Palila się tylko co trzecia płyta świetlna.

Murphy Hewlett ruszył przodem, reszta żołnierzy podążała za nim. Wszyscy byli uzbrojeni w strzelające elektrostatycznymi pociskami pistolety maszynowe oparte na modelu opracowanym na Ombey. Pięciu na wszelki wypadek miało również bradfieldy. Kiedy wkładali skafandry, Murphy osobiście wprowadził ich w sytuację i zapoznał z podstawowymi procedurami walki z opętanymi. Miał nadzieję, że w jego głosie brzmi pewność.

Gdy dotarli do trzecich drzwi, wezwał skinieniem sierżanta technicznego. Mężczyzna podszedł do procesora sterującego drzwiami i sprawdził go własnym blokiem.

- Nie widzę żadnych nieścisłości w rejestrze czasu, panie poruczniku - zameldował. - Nikt ich nie otwierał.

- W porządku. Pierwsza linia przygotować się - rozkazał Murphy. Ośmiu komandosów ustawiło się w szereg na korytarzu, mierząc w drzwi z pistoletów maszynowych. Murphy poinformował datawizyjnie doktora Gilmore'a, że są gotowi do akcji. Drzwi otworzyły się z sykiem wywołanym różnicą ciśnień. Gdy gorące powietrze zmieszało się z zimnym, na granicy pojawiły się smużki białej pary. Tuż za drzwiami stał doktor Gilmore, pięciu innych uczonych oraz trzech uzbrojonych komandosów. Wewnątrz nie było widać nikogo więcej. Murphy włączył obwód głosowy skafandra. - Wchodzimy! - Rozkazał.

Komandosi wpadli do środka, zmuszając naukowców do zbiecia się w ciasną grupkę. Murphy polecił datawizyjnie procesorowi zamknąć drzwi i wprowadził własny kod otwarcia. Potężna płyta metalu zatrzasnęła się.

- Jacqueline w tej sekcji nie ma - zapewnił doktor Gilmore, przyglądając się z zainteresowaniem temu pokazowi wojskowego profesjonalizmu.

Murphy wezwał go skinieniem do siebie i dotknął jego ramienia elektrostatycznym czujnikiem. Rezultat był negatywny. Rozkazał swoim żołnierzom sprawdzić pozostałych.

- Wierzę panu, doktorze. Co dokładnie się stało?

- Chyba impuls elektromagnetyczny przerwał dopływ prądu, za pomocą którego neutralizowaliśmy jej energistyczną moc. Nie powinno do tego dojść, ponieważ mamy tu bardzo dobre osłony, a wszystkie nasze systemy poza wymiennikami ciepła mają niezależne źródła mocy. Mimo to udało się jej w jakiś sposób wyeliminować komandosów i wyrwać z izolatki.

- Wyeliminować?

Pierce Gilmore uśmiechnął się bez wesołości.

- Zabiła ich, podobnie jak dwóch moich współpracowników. Ta eskapada to tylko próżny gest. Nawet Jacqueline nie zdołała się przebić przez dwa kilometry litej skały. Wie o tym, oczywiście, ale chce spowodować jak najwięcej zamieszania. To się staje nudne.

- Nasza cierpliwość się wyczerpała, doktorze. Mam natychmiast po pojmaniu umieścić ją w kapsule zerowej. Ten rozkaz pochodzi od samego naczelnego admirała, więc niech pan nawet nie próbuje go kwestionować.

- Jesteśmy po tej samej stronie, poruczniku Hewlett.

- Jasne, doktorze. Byłem na sali sądowej. Pamiętam wszystko dokładnie.

- Sprzeciwiałem się temu planowi. Couteur jest bardzo podstępna i inteligentna. To niedobre

połączenie.

- Będziemy o tym pamiętać. Ilu pracowników laboratorium dotąd się nie odnalazło?

Gilmore zerknął na główny korytarz biegnący wokół kompleksu laboratoryjnego. Niektóre ze srebrzystych drzwi były otwarte, wyglądali z nich zaniepokojeni ludzie.

- Dziewięć osób nie odpowiedziało na moje datawizyjne wezwanie.

- Cholera! - Murphy sprawdził plan w swym neuronowym nanosystemie. Kompleks laboratoryjny miał dwa piętra. W górnym pierścieniu znajdowały się pracownie naukowe, w dolnym zaś systemy podtrzymywania życia, generatory, magazyny oraz inne urządzenia techniczne. - Dobra, niech wszyscy wrócą na miejsca pracy. Ocalali komandosi mają ich pilnować. Nie chcę, żeby po kompleksie poruszał się ktokolwiek poza moją drużyną. To dotyczy również pana, doktorze. Uruchomcie jednostkę sztucznej inteligencji i każcie jej szukać zakłóceń w zamontowanych w kompleksie procesorach.

- Już to zrobiliśmy - odparł Gilmore.

- I nie znalazła jej?

- Jeszcze nie. Jacqueline wie, w jaki sposób wykrywamy opętanych. Z pewnością ukrywa swą moc. To znaczy, że przez kilka sekund po zlokalizowaniu będzie podatna na atak.

- Aha. Zapewniam, że jestem zachwycony tym przydziałem, doktorze.

Murphy zdecydował się na prostą procedurę. Pięciu komandosów pilnowało drzwi, na wypadek gdyby Couteur próbowała się przez nie wydostać. Murphy przyznawał, że to mało prawdopodobne, ale w jej przypadku zawsze istniała możliwość podwójnego blefu. Resztę oddziału podzielił na dwie grupy, które ruszyły wokół pierścienia w przeciwnych kierunkach. Sprawdzali kolejno każde laboratorium, używając militarnych bloków oraz czujników podczerwieni - na wypadek gdyby Couteur próbowała zamaskować się jako sprzęt. Poddano testom cały personel. Wszyscy kolejno musieli otwierać swe neuronowe nanosystemy przed nadzorującymi misję pracownikami CNIS-u, żeby udowodnić, że nie są opętani. Sprawdzano kolejno wszystkie pokoje, a nawet ściany korytarzy. Murphy niczego nie zostawiał przypadkowi.

Prowadził grupę posuwającą się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Korytarz miał znacznie prostszą geometrię niż dżungla na Lalonde i nie było w nim miejsc nadających się na zasadzki, lecz Murphy nie potrafił się uwolnić od świetnie znanego wrażenia, że nieprzyjaciel jest tuż za jego plecami. Kilkakrotnie oglądał się nerwowo na podążających za nim komandosów. To nie było korzystne, bo w ten sposób zwiększał tylko ich niepokój. Skupił uwagę na korytarzu przed sobą, sprawdzając jeden pusty pokój za drugim. Wszystko po kolei. Musi być przykładem dla swoich ludzi.

Choć w większości laboratoriów znajdowało się mnóstwo sprzętu, ich sprawdzanie było stosunkowo łatwym zadaniem. Uczni i technicy odczuwali na ich widok głęboką ulgę, choć jednocześnie witali to z głębokim smutkiem. Żołnierze sprawdzali pomieszczenia i zamykali je szczelnie.

Biologiczna izolatka, w której przetrzymywano Jacqueline Couteur, była dziewiątym odwiedzionym przez Murphy'ego pomieszczeniem. Jej drzwi wyważono i pozostawiono półotwarte. Wygięte, metalowe prowadnice nie pozwalały otworzyć ich szerzej. Murphy wezwał skinieniem sierżanta technicznego. Mężczyzna przycisnął się do ściany, z wielką ostrożnością przesuwając blok procesorowy wzdłuż krawędzi drzwi.

- Jest czysto - zameldował. - Jeśli nawet gdzieś się tam kryje, nie jest w zasięgu.

Weszli do środka w dwóch, osłaniających się nawzajem grupach. Komandosi badali po drodze każdy centymetr. W szklanej ścianie dzielącej pomieszczenie wybito wielką, owalną dziurę.

Murphy spodziewał się tego, podobnie jak widoku ciał naznaczonych nieprzyjemnie głębokimi śladami poparzeń. Po drugiej stronie szyby stał stół chirurgiczny otoczony stolikami z narzędziami. Wokół niego walały się rurki i przewody, a z brzegów zwisały przecięte pasy krępujące kończyny.

“Kto mógłby mieć do lokatora tego pokoju pretensję, że stąd uciekł?”. Murphy nie był zadowolony, że musi sobie zadawać to pytanie.

Zostawili w pomieszczeniu dwa bloki procesorowe, żeby strzegły wyważonych drzwi na wypadek powrotu zbiega, i gęsiego wyszli na korytarz. W gabinecie, który odwiedzili potem, znaleźli na dywanie jedną z pozostałych ofiar Jacqueline. Najpierw sprawdzili zwłoki, a potem potraktowali je ładunkiem elektrostatycznym. Murphy nie zamierzał dać się w ten sposób zaskoczyć.

To jednak był prawdziwy trup. Miał mnóstwo poparzeń na ciele i kilka złamanych kości. Kontrola cech charakterystycznych potwierdziła, że był to Eithne Cramley, technik pracujący w wydziale fizyki. Murphy był pewien, że Jacqueline próbowała zmusić Cramleya, żeby zgodził się na opętanie, ale miała za mało czasu. Reszta pokoju była pusta. Zamknęli go i ruszyli w dalszą drogę.

Minęło dziewięćdziesiąt minut, zanim dwie grupy komandosów spotkały się po drugiej stronie pierścienia. Znaleźli ciała sześciu pracowników, którzy nie odpowiedzieli na wezwanie Gilmore'a.

- Chyba przyczała się w piwnicy - oznajmił Murphy. Rozkazał dziesięciu komandosom pełnić straż na szczycie schodów i zszedł z resztą oddziału na dół. Przyszło mu na myśl, że ten teren z pewnością bardziej jej odpowiada. Tutaj budowniczowie nie byli tak skrupulatni jak w pierścieniu laboratoryjnym. Choć sale były obszerne i dobrze oświetlone, w sumie było to tylko sześć jaskiń służących jako pomieszczenia gospodarcze.

Po zejściu na dół komandosi po raz kolejny ustawili się w perfekcyjną formację. Murphy'ego dręczył narastający niepokój. Był tak napięty, że neuronowy nanosystem musiał regulować mu rytm serca, a w regenerowanych palcach lewej dłoni czuł fantomowe mrowienie. Gdyby tylko było to niezawodne ostrzeżenie przed bliskością opętanych. Z każdym następnym krokiem spodziewał się gwałtownego ataku Jacqueline. Po prostu nie potrafił zrozumieć jej postępowania. Najbardziej prawdopodobny scenariusz wyglądał tak, że troje pracowników, których nie udało im się odnaleźć, zostało opętanych. Jacqueline jednak z pewnością wiedziała, że Murphy dojdzie do takiego wniosku. Nie mogło jej to dać żadnych korzyści poza kilkoma dodatkowymi godzinami wolności. Dla większości ludzi stanowiłoby to wystarczającą motywację, Murphy nie potrafił jednak zapomnieć powrotnej podróży na Trafalgar na pokładzie “Ileksa” i męczącej walki, jaką cały czas toczyła Jacqueline ze swymi strażnikami. Nie minęło wiele czasu, nim uświadomił sobie, że pozwoliła, by ją pojмали, drwiąc ze straszliwych poparzeń biednego starego Regehra.

Kierowała nią jedynie ambicja, pragnienie zdobycia władzy nad innymi. Ucieczka jej tego nie zapewni, chyba że Murphy przeoczył jakiś fakt o kolosalnym znaczeniu. Miał wrażenie, że jego mózg kamienieje pod naciskiem niepokoju.

- Poruczniku - zawołał żołnierz idący przodem. - Mamy obraz w podczerwieni.

Dotarli do pomieszczenia, w którym znajdowały się systemy podtrzymywania życia. Ściany tworzyła tu naga skała, a pośrodku umieszczono siedem wielkich skrzyń regeneracyjnych filtrów powietrza. Łączyły się z nimi stożkowate pajęczyny rur i przewodów znikających w pokrytych płytami świetlnymi suficie. Komandosi ruszyli naprzód, omijając z obu stron wielkie, szare skrzynie.

Na szczycie trzeciej przycupnęła jakaś postać, ukryta w plątaniu grubych na metr rur. Gdy Murphy przełączył siatkówki na podczerwień, zobaczył różowawą mgiełkę emisji cieplnej unoszącą się wokół nich. Neuronowy nanosystem potwierdził, że ilość emitowanej energii sugeruje jedną osobę.

- Coś tu nie gra - mruknął. System głośnikowy jego skafandra wzmocnił to słowo, aż poniosło się echem po całej sali. Tak jest, próbowała się ukrywać, ale to była żałosna próba. Tylko udawała, że chce uniknąć odkrycia. Dlaczego?

- Doktorze Gilmore? Czy mogła ukraść z waszego laboratorium jakąś superbroń? - Zapytał data wizyjnie.

- Absolutnie wykluczone - odpowiedział Gilmore. - Poddajemy w tej chwili testom zaledwie trzy przenośne systemy broni. Sprawdziłem, czy wszystkie są na miejscu, gdy tylko dowiedzieliśmy się o jej ucieczce.

Murphy pomyślał z przygnębieniem, że kolejną teorię diabli wzięli.

- Otoczyć ją - rozkazał datawizyjnie żołnierzom. Wszyscy ustawili się w wachlarz, kryjąc się za rurami i maszynerią. Gdy już okrążyli ściganą, zwiększył głośność jeszcze bardziej. - Wyłaź, Jacqueline. Wiesz, że tu jesteśmy, a my wiemy, gdzie się chowasz. Gra skończona.

Kobieta nie zareagowała.

- Panie poruczniku - odezwał się sierżant techniczny. - Blok militarny odbiera impulsy. Ona gromadzi energistyczną moc.

- Jacqueline, przestań natychmiast. Jestem upoważniony cię zabić. Tym razem naprawdę wkurzyłaś dowództwo. Przyjrzyj się, na czym siedzisz. Te rury są metalowe. Nie będziemy nawet musieli używać pistoletów maszynowych. Po prostu rozkażę komuś rzucić granat EE. Powinnaś już wiedzieć, jak działa na was elektryczność. - Odczekał kilka sekund, po czym wystrzelił trzy pociski w rury tuż nad miejscem, z którego dobiegała ciepła emisja. Kule zostawiły w jego polu widzenia bladofioletowy ślad, który natychmiast zniknął. Jacqueline Couteur wstała powoli, unosząc ręce nad głowę. Popatrzyła z bezbrzeżną pogardą na przycupniętych poniżej, mierzących do niej komandosów.

- Złaz na podłogę - rozkazał Murphy. Wykonała polecenie obraźliwie powoli, schodząc szczebel po szczeblu po metalowej drabince. Gdy znalazła się na dole, ruszyło ku niej pięciu komandosów. - Na podłogę - powtórzył.

Zademonstrowała westchnieniem, jak źle ją traktują, po czym uklękła i pochyliła się powoli.

- Mam nadzieję, że teraz czujecie się bezpieczniej? - Zapytała drwiąco.

Pierwszy z żołnierzy zawiesił karabin na plecach i wy dobył z za pasa pręt obezwładniający. Gdy instrument rozciągnął się teleskopowo na długość dwóch metrów, komandos zacisnął uchwyt na szyi kobiety.

- Sprawdźcie i zabezpieczcie resztę sali - rozkazał Murphy. - Nadal brakuje nam trzech ciał.

Podszedł do unieruchomionej Jacqueline Couteur. Uchwyt zamknięto wysoko na szyi, odchylając głowę kobiety do tyłu. Pozycja była niewygodna, ale Jacqueline nie okazywała gniewu.

- I co teraz? - Zapytał.

- Chyba ty tu rządzisz - odparła irytującym tonem, pełnym ironii i poczucia wyższości. - Powiedz mi.

- Chcesz mnie przekonać, że zadowolonaś się tylko tym? Dwie godziny wolności spędzone na ukrywaniu się na dole? To żałosne, Couteur.

- Dwie godziny, podczas których odciągałam was od innych zajęć, przerażałam twój oddział. Wyczuwam strach zaćmiewający twój umysł. Wyeliminowałam kilku uczonych pracujących dla CNIS-u, a być może udało mi się też stworzyć garstkę opętanych, którzy przebywają na swobodzie na waszej wspaniałej asteroidzie. Będziecie musieli sami to sprawdzić. Naprawdę uważasz, że to nie ma znaczenia, poruczniku?

- Ma, ale to niegodne ciebie.

- Schlebiasz mi.

- Bynajmniej. Dowiem się, co wykombinowałaś, i pokrzyżuję twoje pierdolone plany. Nie oszukasz mnie, Couteur. - Murphy uniósł zasłonegą hełmu. Jego twarz dzieliło tylko kilka centymetrów od jej twarzy. - Idziesz do kapsuły zerowej. Zbyt długo już wykorzystywałeś naszą przyzwoitość. Szkoda, że cię nie zastrzeliłem na Lalonde.

- Nie zrobiłbyś tego - odparła. - Jesteś zbyt, jak sam powiedziałaś, przyzwoity.

- Zaprowadźcie ją do laboratorium - warknął Murphy.

Gilmore czekał na nich u szczytu schodów. Skierował ich do laboratorium profesora Nowaka, gdzie paru techników przygotowało już kapsułę zerową. Jacqueline Couteur zawahała się lekko na jej widok. W jej plecy wbiły się lufy dwóch pistoletów maszynowych, zmuszając ją do wejścia do środka.

- Powiniennem powiedzieć, że przykro mi, że cierpisz z naszego powodu - odezwał się skrępowany Gilmore. - Ale po tym, co wydarzyło się na sali sądowej, czuję się całkowicie usprawiedliwiony.

- To mnie nie dziwi - odparła Jacqueline. - Będę cię obserwowała z zaświatów. Gdy wreszcie do nas dołączysz, będę na ciebie czekała.

Gilmore wskazał na kapsułę, jakby kobieta wchodziła do niej dobrowolnie.

- Obawiam się, że to czcza groźba. Do tego czasu uda się nam rozwiązać problem zaświatów.

Couteur obrzuciła go pożegnalnym, wzdrygniętym spojrzeniem i weszła do kapsuły.

- Jakies ostatnie słowa? - Zapytał Murphy. - Chcesz coś przekazać dzieciom albo wnukom?

Dopilnuję, żeby się dowiedziały.

- Pierdol się.

Odchrząknął i skinął głową do technika. Couteur zniknęła, zasłonięta czarnym polem.

- Ile czasu? - Zapytał nerwowo Murphy. Nadal nie potrafił uwierzyć, że już po wszystkim.

- Co najmniej godzinę - odparł Gilmore z pełnym goryczy respektem. - To twarda sztuka.

- Proszę bardzo.

Murphy nie pozwolił otworzyć drzwi łączących bezpieczne laboratorium z resztą asteroidy. Trzech zaginionych osób nadal nie odnaleziono. Komandosi kontynuowali przeszukiwanie podziemi. Trzeba było sprawdzić nie tylko ludzi, lecz również generatory termojądrowe. Od chwili utraty zewnętrznych wymienników ciepła pracowały na biegu jałowym, odprowadzając niewielką ilość nadmiarowego ciepła do awaryjnego silosu cieplnego. Couteur nie mogłaby spowodować ich eksplozji, ale gdyby plazma wyrwała się na swobodę, straty byłyby poważne.

Po chwili technicy zameldowali, że generatory są w porządku. Czterdzieści minut później odnaleziono ciało jednego z zaginionych, ukryte za odpowietrznikiem. Murphy rozkazał żołnierzom ponownie sprawdzić pokoje i otworzyć wszystkie kraty, choćby nawet najmniejsze. Opętani z łatwością mogli wydrążyć dla siebie małą niszę w skale.

Odczekał siedemdziesiąt minut, zanim kazał wyłączyć kapsułę zerową. Zamknięta w niej kobieta była ubrana w wystrzępiony, nadpalony fartuch laboratoryjny z insygniami CNIS-u na ramieniu. Wyszła na zewnątrz chwiejnym krokiem, łkając rozpaczliwie. Obiema rękami ścisnęła ranę w brzuchu. Program rozpoznawczy Murphy'ego zidentyfikował ją jako Toshi Numour, biofizyka pracującego w wydziale analiz uzbrojenia.

- Cholera - jęknął Murphy. - Doktorze Gilmore - przekazał datawizyjnie. Odpowiedzi nie było. - Doktorze?

Procesory łącznościowe w bezpiecznym kompleksie laboratoryjnym zameldowały, że nie mogą odnaleźć neuronowego nanosystemu doktora Gilmore'a.

Murphy wypadł na korytarz, krzykiem rozkazując drużynie podążyć za nim. Popędził sprintem

w stronę gabinetu doktora Gilmore'a. Dziesięciu opancerzonych żołnierzy deptało mu z chrzęstem po piętach.

\*

Gdy tylko wokół Jacqueline Couteur zamknęła się czarna powłoka pola zerowego, Pierce Gilmore wrócił do gabinetu. Nie protestował przeciwko rozkazom Hewletta, który na razie zakazał naukowcom opuszczania kompleksu laboratoryjnego. W gruncie rzeczy był z nich raczej zadowolony. Ucieczka Jacqueline Couteur w chwili, gdy całą asteroidą wstrząsnął przeprowadzony za pomocą antimaterii atak, była dla niego przykrym szokiem. W bieżącej sytuacji wprowadzenie podobnych ograniczeń było jak najbardziej rozsądne.

Drzwi gabinetu zasunęły się za nim. Zapaliły się niektóre światła. Racjonowanie mocy pozwalało mu włączyć tylko cztery płyty sufitowe i w pokoju panował półmrok, jak chłodnym, zimowym popołudniem. Żaden z holograficznych ekranów nie był aktywny.

Podszedł do bulgoczącego spokojnie ekspresu do kawy i nalał sobie filiżankę. Po chwili z żalem wyłączył urządzenie. Podczas ewakuacji zapewne nie przydzielano wystarczająco wiele miejsca, żeby mógł zabrać ekspres albo swoje filiżanki z kostnej porcelany. Nie wiadomo, czy w ogóle będzie mógł zabrać jakieś osobiste rzeczy. Musieli w tydzień ewakuować trzysta tysięcy ludzi i w najlepszym razie pozwolą im tylko na minimum bagażu.

Mała rurka solarna dostarczająca światła jego orchideom również była wyłączona. Niektóre z rzadkich roślin o czystym genotypie miały wkrótce zakwitnąć. Mięiste pączki mogły pęknąć w każdej chwili. Nie miały jednak światła ani świeżego powietrza, a wkrótce nadejdzie gorąco. Kompleks laboratoryjny znajdował się bliżej powierzchni asteroidy niż większość sekcji mieszkalnych i ucierpi znacznie poważniej od przesączającego się do środka ciepła. Stracą wszystkie meble i sprzęt. Ocaleją tylko elektroniczne zapisy.

Pierce usiadł za biurkiem. Właściwie powinien się zająć opracowaniem procedur bezpiecznego przekazywania informacji do rezerwowego kompleksu. Postawił filiżankę na obitym skórą blacie tuż obok drugiej, pustej. Przedtem jej tam nie było.

- Cześć, doktorze - odezwała się Jacqueline Couteur.

Wzdrygnął się, ale przynajmniej nie podskoczył ani nie pisnął.

Nie dał jej satysfakcji ujrzenia strachu. W grze, którą ze sobą toczyli, było to warte wiele punktów. Wbił wzrok w pustą ścianę przed sobą, odmawiając spojrzenia na kobietę.

- Jacqueline. Naprawdę nie masz serca. Biedny porucznik Hewlett nie będzie zadowolony, że go przechytrzyłaś.

- Możesz sobie darować datawizyjne wzywanie pomocy, doktorze. Unieszkodliwiłam wszystkie procesory w gabinecie, i to bez użycia energistycznej mocy, nie spowodowałam więc żadnych zakłóceń, które przyciągnęłyby uwagę sztucznej inteligencji. Kate Morley zna się trochę na elektronice, skończyła parę kursów dydaktycznych.

Pierce Gilmore połączył się datawizyjnie z zestawem procesorów zainstalowanym w jego biurku i usłyszał odpowiedź, że połączenie z siecią łącznościową Trafalgara jest zerwane.

Jacqueline zachichotała cicho. Okrążyła biurko, wchodząc w jego pole widzenia. Trzymała w dłoni blok procesorowy. Na jego ekraniku widać było zapis wysłanych przez doktora komunikatów.

- Chcesz spróbować czegoś jeszcze? - Zapytała od niechcienia.

- Jednostka sztucznej inteligencji zauważy, że procesory przestały funkcjonować. Nawet jeśli nie ma zakłóceń, i tak wyślą tu oddział komandosów, żeby zbadać sprawę.

- Doprawdy, doktorze? Impuls elektromagnetyczny uszkodził bardzo wiele systemów. Mnie najwyraźniej pojmano i wsadzono do kapsuły zerowej, a komandosi sprawdzili już to piętro. Chyba

powinno nam wystarczyć czasu.

- Na co?

- Ojej, czyżbym wreszcie wyczuwała w twoim umyśle nutę strachu, doktorze? To chyba dla ciebie pierwsza reakcja emocjonalna od wielu lat. Może to nawet cień wyrzutów sumienia? Z powodu tego, na co mnie skazałeś.

- Sama się na to skazałaś, Jacqueline. Prosiłiśmy cię o współpracę, a ty odmówiłaś. Bardzo stanowczo.

- Nie przyznaję się do winy. Torturowałeś mnie.

- Kate Morley. Maynard Khanna. Czy muszę mówić dalej?

Zatrzymała się na wprost biurka, wpatrując się w niego.

- Aha. I to usprawiedliwia twoje postęпки? Bardzo nisko upadłeś, doktorze. Strach źle wpływa nawet na najznakomitsze umysły. Doprowadza je do desperacji, czyni żałosnymi. Masz jeszcze jakieś usprawiedliwienia?

- Gdybym stał przed uczciwym sądem, mógłbym ich przedstawić wiele, ale na dyskusję z fanatykami szkoda czasu.

- To było niskie, nawet jak na ciebie.

- Zgódź się na współpracę. Jeszcze nie jest za późno.

- Nawet banały nie zmieniły się przez pięćset lat. To bardzo wiele mówi o ludzkości, nie sądzisz? Z pewnością nie muszę wiedzieć nic więcej.

- Przenosisz swoje uczucia na abstrakcyjne pojęcie. Nienawiść do samych siebie to częsta przypadłość chorych umysłów.

- Jeśli to ja jestem chora i niezdolna do racjonalnego działania, jak to się stało, że to ty masz poważne kłopoty?

- Przestań być problemem i pomóż nam znaleźć rozwiązanie.

- Nie jesteśmy problemem. - Walnęła pięścią w blat tak mocno, że aż filiżanki podskoczyły. - Jesteśmy ludźmi. Gdyby udało ci się ogarnąć ten prosty fakt swym faszystowskim, technobiotycznym mózgiem, może potrafiłbyś skierować swe wysiłki w inną stronę i pomóc położyć kres naszym cierpieniom. Ale to nie dla ciebie. Musiałbyś być człowiekiem. A po tygodniach przyglądania się tobie doszłam do wniosku, że z pewnością nim nie jesteś i nigdy nie będziesz mógł nim zostać. Brak ci moralnych fundamentów, które mogłyby się stać podstawą wzrostu. W porównaniu z tobą Laton i Hitler byli świętymi.

- Podchodzisz do tego stanowczo zbyt osobiście. To zrozumiałe. Trudno się spodziewać, żebyś postąpiła inaczej. Masz za mało odwagi.

- Nieprawda. - Wyprostowała się. - Mogę stoczyć ostatnią walkę. Pozbawienie Sił Powietrznych Konfederacji twojego tak zwanego talentu będzie dla mnie wystarczającym sukcesem. Rozumiesz, to nie jest sprawa osobista.

- Mogę położyć temu kres, Jacqueline. Jesteśmy już bardzo blisko rozwiązania.

- Zobaczymy, jak twój racjonalizm pomoże ci w zaświatach. Będziesz miał okazję doświadczyć wszystkich ich aspektów. Opęta cię jeden z ich mieszkańców. Potem sam się w nich znajdziesz, a jeśli szczęście naprawdę się do ciebie uśmiechnie, wrócisz jako opętujący i będziesz się bał, że jakiś żywy skurwysyn o większym farcie odbierze ci cenny łup i odeśle z powrotem w zaświaty. Ciekawe, jak wtedy będzie brzmiała twoja odpowiedź?

- Tak samo. - Uśmiechnął się do niej ze smutkiem, jak człowiek pokonany. - To się nazywa determinacja. Zdecydowanie doprowadzenia sprawy do końca, choćby nawet był on zaskakujący albo nieprzyjemny. Pozostanę wierny sobie, choć i tak nikt się o tym nie dowie.



Zaniepokojona nowym tonem w jego myślach Jacqueline zaczęła unosić prawą rękę. Po jej nadgarstku przebiegły strużki srebrnego ognia.

Gilmore stanął przed okrutną alternatywą. Jacqueline z pewnością podda go torturom. Zostanie opętany albo - co bardziej prawdopodobne - uszkodzenia ciała doprowadzą do śmierci i jego dusza znajdzie się w zaświatach. W tym punkcie logika go zawodziła. Wierzył - a przynajmniej sądził, że wierzy - iż z zaświatów istnieje droga wyjścia, ale dręczyły go wątpliwości. Niesforne, nieczyste ludzkie uczucia, którymi tak bardzo gardził. Jeśli taka droga rzeczywiście istniała, dlaczego ludzkie dusze nadal pozostawały uwięzione w zaświatach? Nic nie było już pewne. Przynajmniej nie dla niego. Nie potrafił znieść tej myśli. Fakty i racjonalizm były dlań czymś więcej niż fundamentem osobowości. Były całym jego bytem. Jeśli zaświaty rzeczywiście były miejscem pozbawionym logiki, Pierce Gilmore nie pragnął w nich istnieć. Co więcej, jego poświęcenie przysłuży się postępowi ludzkiej wiedzy. To była godna ostatnia myśl.

Połączył się datawizyjnie z zestawem procesorów i ściągnął najnowszą wersję antypamięci. Jacqueline wyciągnęła rozpaczliwie ku niemu dłoń, lecz w tej samej chwili projektor AV bezgłośnie wypełnił pomieszczenie oślepiającym, przenikliwym, czerwonym światłem.

\*

Po sześćdziesięciu minutach Murphy Hewlett i jego drużyna wysadzili drzwi ładunkiem EE i wpadli do środka. Gilmore osunął się na biurko, a Kate Morley leżała na podłodze. Oboje żyli, ale nie reagowali na żadne bodźce zastosowane przez medyka. Jak powiedział później Murphy podczas zdawania raportu, byli tylko parą całkowicie przytomnych trupów.

Ukryty bezpiecznie na małym płaskowyzu w jednej czwartej wysokości północnej czapy biegunowej Tolton nakierował teleskop na hol drapacza gwiazd Dzerby. W górę białej kopuły posuwał się kolejny wir ciemności. Fragmenty konstrukcji walały się po zwiędłej murawie otaczającej opuszczony budynek. W każdej chwili spodziewał się usłyszeć brzęk pękających szyb. Obraz był dobry, wyrazisty, jakby znajdował się w odległości kilku metrów od holu. Zadrżał na tę nieprzyjemną myśl. Wciąż jeszcze czuł falę chłodu, która go zalewała, gdy latający potwór przemykał nad jego głową.

- Ten chodzi po ziemi.

Odsunął się od teleskopu i pozwolił Erentz popatrzeć. Siedziała przy instrumencie przez minutę.

- Masz rację. I to z każdą chwilą coraz szybciej. - Gość przedarł się już przez dymiące ruiny baraków, zostawiając za sobą głęboką bruzdę. Teraz posuwał się przez łąki. Różowa trawa wokół niego czerniała jak przypalona. - Jest szybki jak diabli. W tym tempie powinien dotrzeć do południowej czapy biegunowej za jakieś pięć, sześć godzin.

- Tego tylko nam brakowało. Jeszcze jeden wysysający nasze soki skurwiel. Będziemy musieli ograniczyć produkcję płynu odżywczego do minimum, żeby zachować przy życiu warstwy neuralne. To nie wyjdzie na zdrowie głównej warstwy mitotycznej. Trzeba będzie lat, żeby naprawić uszkodzenia.

Z Dzerby wyłoniło się już ośmiu złowrogich gości. Trzech z nich miało skrzydła, a wszyscy bez wyjątku kierowali się w stronę południowej czapy biegunowej, podobnie jak pierwszy i największy z nich. Ci, którzy poruszali się po ziemi, zostawiali za sobą ślad z martwej trawy. Po dotarciu do czapy biegunowej wgrzali się w polip, by dostać się do arterii zaopatrujących olbrzymie narządy.

- Wkrótce powinniśmy być w stanie ich spalić - zapewniła. - Produkcja miotaczy ognia i pocisków zapalających idzie pełną parą. Nic ci nie grozi.

Spojrzenie, jakim obrzucił ją Tolton, z nawiązką nadrabiało brak więzi afinicznej. Ponownie pochylił się nad teleskopem. Gość przedzierał się przez lasek. Drzewa kołysały się i padały na ziemię, złamane u podstawy. Wyglądało na to, że intruz po prostu nie potrafi omijać przeszkód.

- Jest cholernie silny.

- Aha - potwierdziła z wyraźnym niepokojem.

- Jak idą prace nad wysłaniem sygnału?

Każdego dnia zadawał to pytanie kilkakrotnie, bojąc się, że jakieś zdumiewające odkrycie umknie jego uwagi.

- Obecnie większość z nas zajmuje się produkcją broni.

- Nie możecie zrezygnować z tego projektu. Nie możecie! - Powtórzył głośno, zwracając się do osobowości.

- Nikt nie zamierza z niego zrezygnować. Zasadnicza ekipa fizyków nadal nad nim pracuje.

Nie powiedziała mu jednak, że ograniczono ją do pięciu teoretyków, którzy większość czasu poświęcali na spory o to, od czego zacząć.

- W porządku.

- Zbliżają się dwa następne - ostrzegła osobowość.

Erentz obrzuciła go pospiesznym spojrzeniem. Uliczny poeta znowu patrzył przez teleskop, śledząc ruchy gości na trawiastych równinach.

- Nie ma potrzeby wywoływać paniki u pozostałych.
- Słusznie.

Od czasu fatalnego wypadu Erentz do Dzerby kolejne istoty pojawiały się mniej więcej co pół godziny. Osobowość obawiała się, że nie zdoła utrzymać integralności habitatu. Każdy nowy przybysz włamywał się do jednego z drapaczy gwiazd i niszczył jego strukturę wewnętrzną. Do tej pory awaryjne uszczelnienia ciśnieniowe nie ustąpiły, ale jeśli inwazja będzie trwała, prędzej czy później dojdzie do powstania wylomu.

- Jesteśmy przekonani, że niektórzy z wcześniej przybyłych zaczęli się przemieszczać - odezwała się osobowość. - Proces jest powolny, więc trudno mieć pewność, ale wygląda na to, że już jutro mogą zacząć wylazić na powierzchnię na terenach parkowych.

- Myślisz, że się dzielą, jak ten pierwszy?

- Nie sposób tego określić. Nasze funkcje obserwacyjne są w ich otoczeniu całkowicie sparaliżowane. Podejrzewam, że większa część polipa jest martwa. Niemniej, jeśli jeden się podzielił, logika podpowiada, że następne również mogą to zrobić.

- Rewelacja. Niech to diabli wezmą. Będziemy musieli załatwić każdego z osobna. Nie jestem pewna, czy damy radę. Zaczynają zdobywać przewagę liczebną.

- Po kilku pierwszych starciach poddamy naszą taktykę analizie. Jeśli okaże się, że koszty są zbyt wysokie, możemy spełnić życzenie Toltona i skierować wszystkich do pracy nad sygnałem.

- W porządku. - Westchnęła z rezygnacją. - Wiesz co? Nawet nie uważam już tego za defetyzm. Zaakceptuję wszystko, co pozwoli nam się stąd wydostać.

- Zdrowe podejście.

Tolton wyprostował się nagle.

- I co teraz?

- Lepiej zejdźmy do reszty. W tej chwili goście nie stanowią bezpośredniego zagrożenia.

- To się może zmienić.

- Gdyby do tego doszło, z pewnością zaraz się dowiemy.

Skierowali się ku wejściu do tunelu położonego z tyłu płaskowyzu. Korytarz biegł spiralnie w dół w kierunku położonych na dole czapy biegunowej jaskiń, przechodząc po drodze przez kilka komór. Każdy bieg składał się ze schodów ruchomych i konwencjonalnych ulokowanych obok siebie, ale te pierwsze z reguły nie funkcjonowały, droga trwała więc dość długo.

Jaskinie sprawiały wrażenie oblężonej twierdzy. Na nędznych posłaniach leżały dziesiątki tysięcy chorych, rozmieszczonych bez ładu i składu. Opieka nad nimi spadła w stu procentach na tych, którzy byli tylko nieco zdrowsi i sprowadzała się głównie do zaspokajania potrzeb sanitarnych. Ci, którzy potrafili obsługiwać pakiety medyczne albo którym wszczepiono podstawowe wspomnienia dydaktyczne, byli nieustannie zajęci i padali z wycieńczenia.

Krewni Erentz tworzyli odizolowaną grupę przebywającą w najgłębiej położonych jaskiniach, gdzie skupiały się źródła światła i przyrządy badawcze. Pamiętali również o zgromadzeniu własnych zapasów żywności, które mogły wystarczyć na z górą miesiąc. Tu przynajmniej udało się zachować pozory normalności. Na korytarzach jasno świeciły pasy elektrofosforencyjne. Mechaniczne drzwi otwierały się z furkotem. Polip wibrował od pracy cybernetycznych maszyn. Nawet blok procesorowy Toltona wydał z siebie kilka skromnych pisków, świadczących, że odzyskał podstawowe funkcje.

Erentz poprowadziła Toltona do komory pełniącej funkcję zbrojowni. Od czasu wypadu do Dzerby jej krewni trudzili się intensywnie nad zaprojektowaniem i wyprodukowaniem ręcznego miotacza ognia. Zasada nie zmieniła się zbyt od sześciuset lat: zbiornik środka zapalającego

noszony przez użytkownika na plecach, z dołączonym giętym węzłem zakończonym cienkim wylotem przypominającym lufę karabinu. Nowoczesna technologia pozwalała na zastosowanie większego ciśnienia, dzięki czemu płomień mógł być wąską strugą sięgającą na ponad dwadzieścia metrów bądź szerokim wachlarzem o małym zasięgu. Skalpel albo buzdygan, jak mawiała Erentz. Mieli też wyrzutnie pocisków zapalających, będące w zasadzie powiększoną wersją raketnic.

Erentz wdała się w dyskusję z kilkoma krewnymi, głównie przez więź afiniczną. Tylko kilkakrotnie zakrzyknęli w głos. Tolton czuł się jak ignorowane przez pogrążonych w trudnej rozmowie dorosłych dziecko. Po chwili pogrążył się w zamyśleniu. Z pewnością osobowość nie zażąda, żeby przyłączył się do oddziałów walczących z istotami z mroku? Brakowało mu wrodzonej pasji, jaką cechowała się Erentz i jej krewni. Bał się zapytać, w obawie, że odpowiedzą "tak". Co gorsza, mogli odpowiedzieć "nie" i wykopać go ze swych jaskiń, żeby dołączył do reszty uchodźców.

Z pewnością znajdzie się dla niego jakieś ważne zajęcie bez konieczności udziału w walce. Uniósł blok procesorowy, żeby napisać nie przyciągające uwagi zapytanie dla osobowości. Dawny Rubra potraktowałby go ze współczuciem, a ta jego sekcja, która była Dariatem, uważała go za przyjaciela. Nagle uświadomił sobie, że Erentz i jej kuzyni przestali rozmawiać.

- Co się stało? - Zapytał nerwowo.

- Wyczuwamy coś w tunelu kolei. Zbliży się do jednej ze stacji czapy biegunowej.

Dobiegający z bloku procesorowego głos był bardzo podobny do tego, którym Rubra rozmawiał z nim, kiedy się ukrywał, coś w nim się jednak zmieniło. Czyżby brzmiał nieco sztywniej? Zmiana była drobna, ale istotna.

- Jeden z nich zmierza do nas?

- Nie sądzimy. Demolują wszystko wokół, nawet nie próbując się ukrywać. To raczej przypomina skradającą się cichaczem myszkę. Nie wykrywamy też śmiertelnej utraty ciepła w otaczającym polipie. Niestety, nasze komórki zmysłowe nie są w stanie uzyskać wyraźnego obrazu.

- Skurwysyny zmieniły taktykę - warknęła Erentz i zerwała ze stojaka miotacz ognia. - Wiedzą, że tu jesteśmy!

- Nie możemy być tego pewni - sprzeciwiła się osobowość. - Niemniej sprawa wymaga zbadania.

Do zbrojowni wpadła grupka ludzi. Wszyscy chwyтали za broń. Tolton z niepokojem przyglądał się tej aktywności.

- Łap.

Erentz rzuciła mu wyrzutnię pocisków zapalających. Chwycił ją odruchowo.

- Nie umiem się tym posługiwać.

- Celujesz i strzelasz. Skuteczny zasięg około dwustu metrów.

Najwyraźniej nie była w zbyt dobrym nastroju.

- Niech to diabli - mruknął Tolton. Pokiwał głową z boku na bok, starając się rozluźnić mięśnie szyi, a potem popędził za innymi. Grupa, która ruszyła w dół, ku stacji, składała się z dziewięciorga osób. Ośmiorga uzbrojonych po zęby potomków Rubry, o zawziętych twarzach, oraz Toltona, który trzymał się blisko końca, starając się jednocześnie, by nie rzuciło się to zbyt w oczy. Główne pasy oświetleniowe były zimne i ciemne. Awaryjne płyty migwały szafirowym blaskiem, jakby odgłos kroków wzbudził ich wyrzuty sumienia i skłonił do działania. Nie zdawało się to jednak na wiele. Hełmowe reflektory otaczały każdego z członków grupy kręgiem jasnego, białego światła. Jak dotąd ich baterie działały prawidłowo. - Coś się zmieniło? - Wyszeptał.

- Nie - odparł również szeptem blok procesorowy. - Niezidentyfikowana istota nadal posuwa się wzdłuż tunelu.

Rubra nie uszkodził tej stacji podczas krótkiej fazy aktywnego konfliktu z opętanymi. Tolton nie mógł się oprzeć wrażeniu, że za chwilę wszystko wróci do życia w feerii światła, hałasu i ruchu. Czuł się jak na "Marie Celeste". Przy jednym z dwóch peronów stał porzucony wagon. Jego drzwi były otwarte, a na marmurowej posadzce obok leżały dwa porzucone pakiety żywnościowe. Ich zawartość przerodziła się już w plamę szarej pleśni.

Erentz i jej kuzyni ustawili się w tyralierę na peronie i ruszyli ostrożnie w stronę czarnego wylotu tunelu. Troje zeskoczyło na szyny i przeszło pospiesznie na drugą stronę. Tam skryli się w rozmaitych zakamarkach pod ścianą, celując w wylot tunelu.

Podobnie jak reszta tych, którzy zostali na peronie, Tolton schował się za jedną z centralnych kolumn, unosząc wyrzutnię. Dziewięć hełmowych reflektorów skierowało się na wylot tunelu, rozpraszając ciemność na jego kilku pierwszych metrach.

- Trudno to nazwać zasadzką - stwierdził. - Z pewnością nas zauważy.

- No to przekonamy się, jak bardzo im zależy, żeby się do nas dobrać - odparła Erentz. - Subtelne podejścia próbowałam w Dzierbie. Uwierz mi, gównu z tego wyszło.

Tolton zacisnął dłonie na wyrzutni, zastanawiając się, jak bardzo różnią się od siebie ich definicje słowa "subtelny". Po raz kolejny sprawdził bezpiecznik.

- Jest już blisko - ostrzegła osobowość.

Na końcu oświetlonego obszaru pojawiła się plamka falującej szarości, sunąca powoli w stronę stacji.

- Jest inny - mruknęła Erentz. - Nie próbuje się ukrywać.

Wciągnęła nagle powietrze, gdy komórki zmysłowe habitatu wreszcie uzyskały wyraźny obraz.

Tolton uważnie wpatrywał się w formującą się powoli postać. Uniósł wyrzutnię do pionu, żeby mu nie przeszkadzała.

- Niech mnie licho - wyszeptał.

Z tunelu wyłonił się Dariat. Uśmiechnął się łagodnie, widząc w oślepiającym blasku półokrąg wymierzonych weń śmiertcionośnych luf.

- Powiedziałem coś nie tak? - Zapytał niewinnym tonem.

- Trzeba się było z nami skomunikować - skarciła go osobowość.

- Byłem zajęty myśleniem. Musiałem się przekonać, kim jestem.

- I do jakiego wniosku doszedłeś?

- Jeszcze nie jestem pewien.

Tolton wypadł z radosnym krzykiem zza kolumny.

- Ostrożnie! - Zawołała Erentz.

- Dariat? Hej, to naprawdę ty?

Tolton biegł w jego stronę, uśmiechając się jak szaleniec.

- Tak, to ja.

W odpowiedzi pobrzmiwała lekka nuta ironii.

Dariat wsparł dłonie na powierzchni peronu i podciągnął się na niego jak pływak wychodzący z basenu. Podźwignęcie tak wielkiego ciężaru wyraźnie wymagało mnóstwa wysiłku. Toga ciasno opinała mu ramiona.

- Co się stało, Tolton? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Ruszył z chichotem na spotkanie przyjaciela, zaczepiając togą o jeden z pakietów żywnościowych, który nagle zawirował.

Tolton wytrzeszczył oczy, spoglądając na plastikowy czworokąt. Pozostali znowu unieśli

broń.

- Jes-teś ma-ter-ial-ny - wydukał. - Dotykalny!

Stojący przed nim uśmiechnięty grubas nie był już półprzezroczysty.

- Masz cholerną rację. Pani Chi-Ri uśmiechnęła się do mnie. Przyznaję, że to był wypaczony uśmiech, ale zawsze uśmiech.

Tolton wyciągnął ostrożnie rękę i dotknął ramienia przyjaciela. Jego palce przeszły ostre jak brzytwa zimno. Cofnął gwałtownie dłoń. Z pewnością jednak dotknął fizycznej powierzchni. Poczuł nawet pod palcami szorstki materiał togi.

- Cholera! Co się z tobą stało?

- Ach, to długa historia.

\*

- Upadłem - zaczął opowieść Dariat. - Dziesięć cholernych pięter w dół szybu i wrzeszczałem przez cały czas. Jeden Toale wie, dlaczego samobójcy tak bardzo lubią skakać z urwisk albo mostów. Na pewno nie wiedzą, jakie to wrażenie. Nawet nie wiem, czy zrobiłem to celowo. Osobowość mnie popędzała, ale ten stwór się zbliżał i byłem coraz słabszy. Chyba po prostu straciłem panowanie nad nogami. Nieważne... Spadłem i wylądowałem na szczycie windy. Leciałem tak szybko, że nawet wbiłem się na kilka centymetrów w podłogę. Cholera, to było okropne. Nie macie pojęcia, jak nieprzyjemne jest dla ducha zetknięcie ze stałą materią. Tak czy inaczej, nim wyciągnąłem nogi z dachu, żeby stamtąd zwiać, to cholerne paskudztwo wylądowało tuż obok. Nawet wyczułem jego zbliżanie, jakby w dół szybu spływał strumień płynnego helu. Rzecz w tym, że jak już spadł, nie rozbił się, tylko rozprysnął.

- Rozprysnął? - Powtórzył Tolton.

- Dokładnie. To było tak, jakby w szybie eksplodowała wielka masa brei. Gęsty płyn obryzgał wszystko dookoła, w tym również mnie. Ale na mnie w jakiś sposób zareagował. Czulem jego kropelki. Były jak drobinki lodu.

- Jak to, zareagował?

- Kropelki zmieniały się, przechodząc przeze mnie. Starły się dopasować kształtem i kolorem do części ciała, w której się znalazły. Wyobrażam sobie swój kształt, tak? No więc moja wyobraźnia wchodziła w reakcję z płynem i zmieniała go.

- Prymat ducha nad materią - mruknęła z niedowierzaniem Erentz.

- W tym rzecz. Te istoty niczym się nie różnią od ludzkich duchów, poza tym, że składają się z tego płynu. To tylko materialna wizualizacja. Są duszami, tak samo jak my.

- Więc jak w końcu stałeś się materialny? - Zapytał Tolton.

- Walczyliśmy ze sobą o płyn, ja i dusza tamtego jestestwa. Wstrząs odwrócił na chwilę jej uwagę i płyn się rozprysnął. Potem obaj staraliśmy się go wessać jak najwięcej, a ja byłem nieporównanie silniejszy. Wygrałem. Zagarnąłem chyba z siedemdziesiąt procent, zanim stamtąd zwiąłem. Potem schowałem się na dolnych piętrach i czekałem, aż wszystkie sobie pójdą. - Spojrzał na wyrażające lekkie niedowierzanie twarze otaczających go ludzi. - Po to właśnie tu przybyły. Valisk jest wypełniony energią, którą mogą wykorzystać. Przyciąga je jak pyłek pszczoły. Potrzebują tej energii. Są rozumne, tak samo jak my, i pochodzą z tego samego wszechświata, ale obecnie włada nimi ślepy instynkt. Przebywają w tym królestwie tak długo, że znacznie osłabły i nie są już zdolne do racjonalnego myślenia. Wiedzą tylko, że muszą pochłaniać energię życiową, a Valisk jest jej największym źródłem, odkąd sięgają pamięcią.

- A więc po to właśnie potrzebują płynu odżywczego - zauważyła osobowość. - Karmią się jego życiową energią.

- Aha. I w ten sposób go niszczą. Kiedy zapasy się skończą, nie zdołasz już wyprodukować więcej. To ciemne kontinuum jest jeszcze bardziej piekielną wersją zaświatów.

Tolton osunął się na najniższy stopień.

- Kurwa, rewelacja. To miejsce jest jeszcze gorsze niż zaświaty?

- Obawiam się, że tak. To z pewnością szóste królestwo, bezimienna pustka. Władą tu wyłącznie entropia i prędkiej czy później wszyscy będziemy musieli pokłonić się przed nią.

- To nie jest jedno z królestw kultu Gwiezdnego Mostu - sprzeciwiła się ostrym tonem osobowość. - To aspekt fizycznej rzeczywistości i gdy tylko zdołamy zrozumieć jego właściwości, otworzymy tunel czasoprzestrzenny i uciekniemy stąd. Już udało nam się powstrzymać te stworzenia przed dalszym żerowaniem na nas.

Dariat rozejrzał się podejrzliwie po pustym dworcu.

- A w jaki sposób?

- Zamknęliśmy arterie z płynem odżywczym.

- Ojej - zawołał Dariat. - To kiepski pomysł.

\*

Po przerwaniu dopływu pokarmu Orgathe zaczęli poszukiwać innych źródeł surowej energii życiowej, porozumiewając się ze sobą niezwykłymi, niepojętymi krzykami. Ich kuzyni, którzy wtargnęli do narządów południowej czapy biegunowej, odpowiedzieli im przenikliwymi głosami. Nawet tam dopływ sycących płynów ustał, ale same narządy gorzały życiową energią niczym piece. Wystarczy jej dla tysięcy. Orgathe opuszczali kolejno drapacze gwiazd i rozwijali skrzydła, by pomknąć w tamtą stronę.

Dariat, Tolton, Erentz i garstka innych stali u wejścia do jednej z jaskiń, która służyła jako garaż dla samochodów używanych przez ochroniarzy. Osłaniając oczy przed pomarańczowosinym blaskiem przewodu oświetlającego, przyglądali się, jak jeden z mrocznych kolosów wzbija się do lotu z rozpadającego się holu. Gdy rozłożył wystrzępione żagle skrzydeł, był większy od towarowego wahadłowca. Z brodawkowatego podbrzusza sypał się delikatny, perłowo-biały strumień gradu i śniegu.

Erentz z ulgą wypuściła powietrze przez zęby.

- Dobrze, że nadal kierują się ku południowej czapie biegunowej.

- Już z górą trzydzieści tych istot przegryza się przez narządy - oznajmiła osobowość. - Uszkodzenia zaczynają sięgać niebezpiecznego poziomu. W drapaczu gwiazd Igana pozostały tylko jedne drzwi chroniące przed wyciekiem powietrza. Musimy przejść do ofensywy. Dariat, czy miotacze ognia je zabiją?

- Nie. Duszy nie można zabić, nawet tutaj. Po prostu zmieniają się w widma albo nawet jeszcze słabsze cienie.

- Wiesz, o co nam chodziło!

- Aha, wiem. Ogień z pewnością zaszkodzi płynowi, z którego się składają. Potrzebowały długiego czasu, żeby się przyzwyczać do poziomu ciepła panującego w habitacie. Toale wie, jak niska temperatura panuje na zewnątrz. Z pewnością tysiące stopni niższa niż tutaj.

- Chciałeś powiedzieć setki.

- Nie sędzę. Tak czy inaczej, nie są w stanie znieść zetknięcia z fizycznym gorącem. Promienie lasera albo masera mogą po prostu odbijać, ale płomień powinien rozproszyć ciecz, zostawiając tylko nagie dusze. Staną się kolejną zgrają duchów wałęsających się po terenach parkowych.

- Znakomicie.

- Jeśli nie mogą umrzeć, to po co im życiowa energia? - Zapytała Erentz.

- Czyni je silniejszymi od innych - wyjaśnił Dariat. - A kiedy stają się silne, mogą przez dłuższy czas zachować wolność, zanim energia znowu się wyczerpie.

- Wolność od czego? - Zapytał zaniepokojony Tolton. Musiał trzymać się kilka dobrych kroków od przyjaciela. Nie chciał być nieuprzejmy, ale Dariat był diabelnie zimny. Po jego todzie spływały kropelki wilgoci, jak po butelce piwa świeżo wyjętej z lodówki. Tolton zauważył jednak, że na materiale nie ma plam wilgoci. To była tylko jedna z osobliwych cech tego nowego wcielenia jego przyjaciela. W jego zachowaniu również pojawiły się osobliwe nuty. Tolton z uwagą obserwował Dariata. Otaczała go aura pewności siebie, której przedtem nie było. Wydawało się, że raczej okazuje krewnym pobłażliwość, niż stara się im pomóc. Zniknął również głęboko zakorzeniony gniew. Zastąpił go smutek. Tolton zastanawiał się nad tym połączeniem. Smutek i pewność siebie składały się na dziwną motywację. Zapewne mogły prowadzić do niestabilności. Biorąc jednak pod uwagę, jak wiele biedny, stary Dariat wycierpiał w ostatnich tygodniach, można mu było to wybaczyć. Mógłby nawet stworzyć parę wierszy na ten temat. Dawno już niczego nie napisał.

- W szybie nie było czasu na długie rozmowy - ciągnął Dariat. - To była przyspieszona wymiana pamięci, jakiej doświadczyłem w zaświatach. Myśli istoty nie były zbyt stabilne.

- Chcesz powiedzieć, że wiedzą o naszym istnieniu?

- Tak sądzę. Ale to nie znaczy, że są nami zainteresowani. Obchodzi ich wyłącznie pochłanianie energii życiowej.

Erentz śledziła wzrokiem Orgathe, który oddalał się od nich, przelatując nad okrężnym morzem.

- Lepiej się przygotujmy - stwierdziła bez cienia entuzjazmu w głosie.

Dariat odwrócił spojrzenie od intruza z mroku i rozejrzał się wokół. Z dala od wejścia do jaskini, pomiędzy największymi z głazów, które rozrzucone były po pustyni, kłębił się tłum duchów. Spoglądały na grupkę uparcie trzymających się cielesności ludzi z udzielanym z niechęcią respektem, nie chcąc patrzeć im w oczy, jak złodziej unikający spojrzenia sklepowego ochroniarza.

- Hej, ty! - Warknął nagle Dariat i ruszył przed siebie po sypkim piasku. - Do ciebie mówię, głąbie. Pamiętasz mnie, co?

Tolton i Erentz podążyli za nim, zdziwieni tym zachowaniem.

Dariat zmierzał w stronę ducha w workowatym kombinezonie. To był mechanik, którego spotkał, gdy wyruszył na poszukiwania Toltona wkrótce po przejściu habitatu do ciemnego kontinuum.

Mechanik również go poznał i rzucił się do ucieczki. Duchy rozstępowały się, żeby go przepuścić. Dariat popędził za nim, zaskakująco szybko jak na takiego grubasa. Gdy przedzierał się przez tłum, duchy drżały i odsuwały się trwożnie, wstrząśnięte bijącym od niego zimnem.

Po chwili Dariat dopadł mechanika i złapał go za ramię. Mężczyzna wrzasnął z bólu i przerażenia. Miotał się jak szalenciec, ale nie potrafił wyrwać się z uścisku. Z każdą chwilą stawał się bardziej przezroczysty.

- Dariat - zawołał Tolton. - Puść go! Robisz mu krzywdę!

Mechanik padł na kolana, drżąc gwałtownie. Stracił wszelkie kolory. Za to Dariat niemal promieniał. Łypnął ze złością na ofiarę.

- Pamiętasz? Pamiętasz, co mi zrobiłeś, głąbie?

Tolton zatrzymał się przed niedawnym przyjacielem, bojąc się go dotknąć. Wspomnienie o zimnie, które poczuł na stacji, było zbyt wyraziste.

- Dariat! - Zawołał.



Grubas spojrział na wędną twarz mechanika i poczuł wyrzuty sumienia. Rozluźnił uścisk, wypuszczając niematerialną rękę. Co by Anastazja powiedziała o takim zachowaniu?

- Przepraszam - mruknął zawstydzony.

- Co mu zrobiłeś? - Zapytał gniewnie Tolton. Mechanik był ledwie widzialny. Zwinął się w pozycji płodu, kryjąc połowę sylwetki w piasku.

- Nic - burknął zawstydzony swym postępowaniem Dariat. Za płyn, który przywrócił mu materialność, musiał najwyraźniej zapłacić straszliwą cenę. Wiedział o tym od samego początku, po prostu nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Nienawiść była tylko pretekstem, nie motywacją. Jak w przypadku Orgathe, racjonalne myślenie ustępowało u niego miejsca instynktowi.

- Nie chrzań głupot. - Tolton pochylił się i przesunął dłoń przez jęczącego ducha. Powietrze było tam nieco chłodniejsze, ale poza tym nie wyczuł nic. - Co mu zrobiłeś?

- Chodzi o płyn - odparł Dariat. - Zużywam teraz bardzo wiele.

- Bardzo wiele czego?

- Energii życiowej. Potrzebuję jej, żeby przetrwać. Muszę uzupełniać jej zapasy. Nie jestem biologiczną istotą. Nie mogę jeść ani oddychać. Muszę pochłaniać energię w czystej postaci. A dusze to jej silne skupiska.

- A co się stanie z nim? - W miejscu, gdzie rysowała się nie wyraźna sylwetka ducha, ziemię pokryła cienka warstewka szronu.

- Z tym skupiskiem?

- Nic mu nie będzie. Są tu rośliny i tak dalej. Może odzyskać energię. Mnie kiedyś potraktował znacznie gorzej.

Bez względu na usilne starania Dariat nie mógł oderwać spojrzenia od osłabionego ducha. Zdawał sobie sprawę, że z czasem wszyscy staną się podobni do niego. Zmienia się w żalosne pozostałości, rozpaczliwie czepiające się swej tożsamości, podczas gdy ciemne kontinuum będzie wysysało z nich energię, aż przerodzą się w jeden głos wypełniający ciemność niemym płaczem. Nie było drogi wyjścia. Entropia była tu zbyt silna, nie pozwalała wrócić do światła.

A on odegrał ważną rolę w sprowadzeniu ich tutaj.

- Wracajmy do środka - odezwała się Erentz. - Pora już obejrzeć cię pod mikroskopem. Zobaczmy, czy fizycy rozumieją, na jakiej zasadzie działasz.

Dariat chciał się sprzeciwić, ale skinął tylko potulnie głową.

- Jasne.

Ruszyli w stronę wejścia do jaskini, przechodząc przez tłum przygnębionych duchów. Dwaj kolejni Orgathe wypadli z holu drapacza gwiazd Gonczarowa i pomknęli w mrok na górze.

\*

Na dworcu King's Cross kręcili się ludzie ze straży obywatelskiej, młodzi członkowie gangów zwerbowani w tanich dzielnicach w zewnętrznych rejonach kopuły Westminster. Nosili różne uniformy - od pseudowojskowych mundurów aż po drogie garnitury - symbolizujące gangi, z których się wywodzili. W normalnych warunkach byłaby to mieszanka wybuchowa. Pozabijaliby się nawzajem w mgnieniu oka. A gdyby na linii ognia znaleźli się cywile, to trudno. W niektórych przypadkach konflikty między sąsiednimi dzielnicami czy poszczególnymi gangami ciągnęły się od stuleci. Dzisiaj jednak wszyscy nosili w klapach proste, białe wstążeczki - symbole Czystej Duszy i sprawy, która ich połączyła. Mieli dopilnować, by cały Londyn pozostał czysty.

Louise wysiadła z wagonu kolei próżniowej, ziewając szeroko. Gdy wyszły przez wielką służbę, Gen opierała się o nią, niemal uśpiona. Była prawie trzecia rano miejscowego czasu. Louise wolą nie myśleć, jak długo już jest na nogach.

- Hej, świry, dokąd to?

Nawet ich nie zauważyła, dopóki nie zagroziły im drogi: dwie ciemnoskóre dziewczyny o wygolonych czaszkach, starsza zastąpiła oczy srebrnymi kulkami. Miały na sobie identyczne, czarne kostiumy z jakiejś przypominającej atlas tkaniny. Nie nosiły bluzek, a żakiety zapięły na jeden guzik, odsłaniając brzuchy umięśnione jak u robotników rolnych z Norfolk. Tylko dekolty zdradzały, że są kobietami. Louise nie była jednak tego pewna. To mogły być po prostu przerośnięte od anabolików mięśnie piersiowe.

- He? - Zdołała wykrztusić.

- To pociąg z Edmonton, dziecino. Tam są opętani. Czy dlatego stamtąd zwiążyście? A może wybieracie się do jakiegoś nocnego klubu dla zboków?

Louise ocknęła się pospiesznie. Na dworcu roiło się od młodych ludzi. Niektórzy byli ubrani tak samo jak obie dziewczyny - głos przekonał ją, że rzeczywiście nimi są - inni zaś mieli mniej wyjściowe stroje. Nikt nie sprawiał wrażenia zainteresowanego wsiadaniem do pociągu. Przy wyjściu stało kilku policjantów w pancerzach. Mieli uniesione zasłony hełmów i przyglądali się jej z lekkim zainteresowaniem.

Ivanov Robson podszedł płynnie do Louise i zatrzymał się obok. Poruszał się z inercją przywodzącą na myśl górę lodową. Uśmiechnął się z wystudiowaną uprzejmością. Dziewczyny właściwie się nie wzdrygnęły, ale z jakiegoś powodu nagle wydały się mniejsze i nie tak groźne.

- W czym problem? - Zapytał cicho.

- My nie mamy żadnego - zapewniła srebrnooka dziewczyna.

- Świetnie. W takim razie przestańcie nękać te młode damy.

- Tak? Jesteś ich tatą czy co? A może po prostu wujaszkiem, który chce się z nimi dziś zabawić?

- Jeśli to wszystko, na co cię stać, lepiej daj sobie spokój.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, małpoludzie.

- Jesteśmy mieszkańcami Londynu, wszyscy. A co wam do tego?

- Chujowo dużo, bracie.

- Nie jestem twoim bratem.

- Czy masz czystą duszę?

- Jesteś moim spowiednikiem czy co?

- Jesteśmy strażnikami, nie kapłanami. Religia jest do dupy. Nie potrafi walczyć z opętanymi. My potrafimy. - Poglaskała białą wstążkę. - Bronimy czystości arkologii. Żaden zaszran demon się nie prześliznie.

Louise zerknęła na policjantów. Pojawiło się jeszcze dwóch, ale nic nie wskazywało, żeby mieli zamiar się wtrącać.

- Nie jestem opętana - zapewniła z oburzeniem w głosie. - Ani ja, ani nikt z nas.

- Udowodnij to, mała.

- Jak?

Dziewczyny wyjęły z kieszeni małe czujniki.

- Pokaż nam, że zawierasz tylko jedną duszę, że jesteś czysta.

Ivanov spojrział na Louise.

- Zrób, o co cię proszą - rzekł wyraźnie. - Inaczej będę musiał je zastrzelić, a sędzia zażądałby stanowczo za wiele, żeby wypuścić nas z mamra przed śniadaniem.

- Pierdol się - warknęła druga z dziewczyn.

- Dobra, zróbcie to - zgodziła się zmęczonym tonem Louise. Uniosła lewą rękę. Prawą nadal

tuliła opiekuńczo Gen. Dziewczyna przystawiła czujnik do grzbietu jej dłoni.

- Nie ma ładunków - burknęła. - Mała jest czysta. Uśmiechnęła się, odsłaniając dziwacznie wyglądające zęby, za długie, żeby mogły być naturalne.

- Sprawdź bachora.

- Gen, wyciągnij rączkę - poprosiła Louise.

Genevieve wykonała polecenie, łypiąc na nią ze złością.

- Jest czysta - oznajmiła dziewczyna z gangu.

- W takim razie to ty tak śmierdzisz - zadrwiła Genevieve.

Dziewczyna uniosła rękę do ciosu.

- Lepiej nie próbuj - ostrzegł Ivanov.

Na twarzy Genevieve wykwitł powoli uśmiech.

- Louise, czy to lesbijki? - Zapytała, patrząc prosto w srebrne oczy pierwszej z dziewczyn.

- Chodź z nami, dziecko - odparła ta, z trudem hamując złość. - Przekonasz się, co robimy z takim świeżym mięskiem.

- Starczy tego. - Ivanov podszedł bliżej, wyciągając rękę. - Genevieve, bądź grzeczna, bo ci przyłożę.

Dziewczyna przyłożyła z wielką ostrożnością czujnik do jego skóry.

- Spotkałam już opętanych - odezwała się Genevieve. - Najwredniejszych ze wszystkich.

Obie dziewczyny z gangu popatrzyły na nią niepewnie.

- Wiecie, co powinniście zrobić, jeśli opętani wysiądą z pociągu? Zwiewać stąd. Nie macie szans ich powstrzymać.

- Mylisz się, kurdupłu. - Dziewczyna poklepała się po kieszeni, w której miała coś masywnego. - Jak ich kopnie dziesięć tysięcy wolt, posypią się fajerwerki. Słyszałam, że to ekstra widok. Jak będziesz grzeczna, dam ci popatrzeć.

- Już to widziałam.

- Hej! - Dziewczyna skierowała srebrne oczy na Banneth. - Ty też. Chcę sprawdzić, czy jesteś czysta.

- Mam nadzieję, że twój czujnik nie zajrzy mi do serca - odparła kobieta z cichym śmieszkim.

- Co tu robicie, do licha? - Zainteresował się nagle Ivanov. - Tylko raz widziałem Blairów i Bennów w tym samym miejscu, i to było w kostnicy. Widzę tu też paru MoHawków.

- Pilnujemy swojego terenu, bracie. Ci opętani należą do sekty. Tych skurwysynów tu nie widzisz, prawda? Nie pozwolimy, żeby zdeptali nas jak Nowy Jork i Edmonton.

- Od tego chyba mamy policję, nie?

- Chuj z policją. Policja służy Rządowi Centralnemu, a to właśnie ci skurwiele wpuścili tu opętanych. Planeta ma najlepszy system ochronny w całej galaktyce, a opętani po prostu przemknęli się przez niego, jakby nigdy nic. Wiesz może, jak to się stało?

- Celne pytanie - wycodziła Banneth. - Też chciałabym się dowiedzieć.

- I dlaczego nie odwołali pociągów próżniowych? - Ciągnęła dziewczyna. - Nadal jeżdżą do Edmonton, chociaż wiemy, że tam są opętani. Widziałam tę bitwę w sensoryzacji. Jezu, to było tylko parę godzin temu.

- To kryminalna sprawa - zgodziła się Banneth. - Na pewno przekupił ich wielki biznes.

- Robisz sobie ze mnie jaja?

- Kto, ja?

Dziewczyna z gangu spojrzała z niesmakiem na Banneth, nie wiedząc, co o niej sądzić.

Uniosła rękę, wskazując kciukiem za siebie.

- Dobra, spierdalajcie stąd wszyscy. Nienawidzę bogatych zboków.

Gdy wychodzili z dworca, ogarnął ją lekki niepokój. Ta grupa miała w sobie coś dziwnego. Była totalnie niedobrana. Ale kit z tym, grunt że nie byli opętani. Kogo obchodzi, czy wybierają się na jakąś porąbaną orgię? Zadrżała z zimna pod wpływem nagłego powiewu. To na pewno dlatego, że służy towarowe się zamknęły.

\*

- To było okropne - zawołała Genevieve, gdy znaleźli się w wielkiej, podziemnej sali usytuowanej na piętrze ponad peronami. - Dlaczego policja ich nie powstrzyma?

- Dlatego, że o trzeciej rano to byłby za duży kłopot - odparł Ivanov. - Poza tym podejrzewam, że większość policjantów cieszy się na myśl, że jeśli opętani wysiądą z pociągu, pierwszy cios spadnie na straż obywatelską. Ona służy jako bufor.

- Czy Rząd Centralny rzeczywiście jest głupi, że nie odwołał pociągów? - Zapytała Louise.

- Nie tyle głupi, ile powolny. W końcu to największa biurokracja w całym wszechświecie. - Wskazał na tablicę z rozkładem jazdy nad ich głowami. - Widzisz? Niektóre pociągi już odwołali. Wkrótce opinia publiczna zmusi ich do odwołania następnych. Gdy wszyscy już obejrzą relację z bitwy w Edmonton, ruszy lawina. Jutro o tej porze trudno będzie przejechać taksówką więcej niż dwie przecznice.

- Myślisz, że uda się nam jeszcze opuścić Londyn?

- Zapewne nie.

Jego słowa zabrzmiały nieodwołalnie, raczej jak zapowiedź niż opinia. Jak zwykle wypowiadał się autorytatywnie o sprawach, o których nie powinien nic wiedzieć.

- W porządku - powiedziała Louise. - W takim razie lepiej jedźmy do hotelu.

- Pojadę z wami - zaproponował Ivanov. - Może tu być więcej tych świrów. Lepiej, żeby miejscowi nie dowiedzieli się, że jesteście z Norfolku. Wszyscy są teraz bardzo podejrzliwi.

Louise przypomniała sobie nagle Andy'ego Behoo, który zaferował, że poprze jej prośbę o obywatelstwo.

- Dziękuję.

- A co z tobą? - Zapytał Ivanov Banneth. - Pojedziesz z nami?

- Nie, dziękuję. Wiem, dokąd się wybieram.

Oddaliła się w stronę wind ulokowanych wzdłuż brzegu półkolistej sali.

- Ale mi wdzięczność - mruknęła Louise pod nosem.

- Myślę, że jest wdzięczna, ale po prostu nie potrafi tego okazać - stwierdził Ivanov.

- Mogłaby się trochę postarać.

- Chodźcie, odwiozę was do hotelu. To był długi dzień.

\*

Quinn wpatrywał się w drzwi, które zamknęły się za Banneth. Nie próbował jej gonić. Odnajdzie ją bez trudu. Przynęta nigdy się nie ukrywa. Och, to z pewnością nie będzie zbyt łatwe. Będzie potrzebował czasu i sporo wysiłków. Ale wśród mieszkańców rozejdzie się wiadomość o jej przybyciu. Ludzie w siedzibach sekty i gangach będą wiedzieli. W końcu po to właśnie go tu zwabiono. Londyn był największą i najbardziej skomplikowaną pułapką, jaką kiedykolwiek zastawiono na jednego człowieka. Co dziwne, to mu raczej schlebiało. Fakt, że supergliny były gotowe poświęcić całą arkologię, żeby tylko go dorwać, świadczył o wielkim szacunku. Bali się Bożego Brata, jak należało się go bać.

Śledził Louise, która podeszła do wind z małą siostrą i roslym prywatnym detektywem. Była

bardzo senna, co nadawało jej delikatnej twarzy spokojny, naturalny wyraz podkreślający jeszcze urodę dziewczyny. Nagle zapragnął pogłaskać ją po pięknych policzkach, zobaczyć, jak uśmiecha się na jego widok. Wita go.

Zmarszczyła brwi i potarła ramiona.

- Ale tu zimno.

Chwila minęła.

Quinn wyjechał za trojgiem przybyszów na powierzchnię, a potem zostawił ich, gdy poszli po taksówkę. Przeszedł przejściem podziemnym pod ruchliwą ulicą i ruszył pospiesznie jedną z głównych arterii odchodzących promieniście od dworca. Zostało bardzo niewiele czasu, zanim supergliny odwołają wszystkie pociągi.

W drugim zaułku odchodzącym od ulicy znalazł to, czego szukał. "Czarny Byk", tania restauracyjka pełna pijanych mężczyzn. Poruszał się wśród nich niepostrzeżenie, obserwując udoskonalonymi zmysłami ich ubrania i czaszki. Żaden z nich nie był wyposażony w neuronowy nanosystem, ale kilku miało bloki procesorowe.

Poszedł za jednym z nich do toalety, gdzie jedynym elektronicznym przyrządem była płyta oświetleniowa.

Jack McGovern odlewał się beztrąsko do pękniętego pisuaru, gdy nagle lodowata dłoń zacisnęła się na jego karku. Napastnik uderzył jego twarzą o ścianę. Strumień krwi ze złamanego nosa spłynął na porcelanę.

- Wyjmij blok procesorowy z kieszeni płaszcza - poleciał nieznajomy. - Użyj swojego kodu aktywacyjnego i wyślij dla mnie wiadomość. Zrobisz to albo zginiesz, głąbie.

Jack mógł być kompletnie napierdolony, ale zdrowy instynkt przetrwania pozwolił mu z wyjątkową jasnością rozważyć stojące przed nim opcje.

- Zgoda - wymamrotał. Kiedy poruszył ustami, krew trysnęła na ścianę. Wyciągnął blok procesorowy. Miał w nim alarmowy program, który zawiadamiał policję w wypadku wpisania nieprawidłowego kodu.

Straszliwy nacisk na kark ustał i Jack mógł się odwrócić. Kiedy zobaczył, kim jest napastnik, wszelka myśl o potajemnym wezwaniu pomocy zniknęła szybciej niż jedyny płatek śniegu w piekle.

\*

Quinn wrócił na dworzec i zjechał na dół z grupką młodocianych gangsterów ze straży obywatelskiej. Krążył po wielkiej sali, przyglądając się zamkniętym kioskowi, i omijał szerokim łukiem pracowite mechanoidy czyszczące. Z wind wysiadali wciąż nowi członkowie gangów. Wszyscy natychmiast wchodzili na ruchome schody i zjeżdżali na perony. Cały czas śledził rozkłady jazdy, zwłaszcza ekrany przyjazdów. W ciągu dwóch następnych godzin przybyło pięć pociągów z Edmonton. Liczba odjazdów spadła do zera.

Pięć po piątej przyjechał pociąg z Frankfurtu. Quinn zatrzymał się u końca ruchomych schodów. Wjechali na górę ostatni. Courtney i Billy-Joe delikatnie podtrzymywali między sobą oszołomioną narkotykiem kobietę. Dwoje akolitów poprawiło swój wygląd, przypominali teraz raczej niechlujnych studentów niż śródmiejskich barbarzyńców. Ofiara porwania - kobieta w średnim wieku w wymiętej sukni i rozpiętym swetrze z guzikami - miała nieobecne spojrzenie typowe dla osób, które nadużyły triatozyny. Jej ciało funkcjonowało prawidłowo, ale mózg był w pełni otwarty na sugestie hipnotyczne. Gdyby kazano jej skoczyć ze szczytu kopuły arkologii, zrobiłaby to.

Przeszli szybkim krokiem przez salę i weszli do windy. Quinn zapragnął się zmaterializować, choćby po to, żeby móc zakrzyknąć z radości na cały głos. Los się odwrócił. Boży Brat zesłał swemu mesjaszowi kolejny znak potwierdzający, że zmierza właściwą ścieżką.

O piątej trzydzięci przyjechał szósty pociąg z Edmonton. Zawiadomienie wpęzło na hologram obwieszczający, że połączenia z Ameryką Północną zawieszono na polecenie Rządu Centralnego. Po pięciu minutach odwołano wszystkie odjazdy. Pociągi zmierzające już do arkologii miały zostać skierowane do Birmingham albo Glasgow. Londyn izolowano od reszty planety.

Myśl, że jego przewidywania sprawdziły się tak dokładnie, budziła lekki lęk. Musiał jednak mieć rację, ponieważ Boży Brat obdarzył go mądrością.

Ludzie opuszczali perony: ostatni pasażerowie, członkowie gangów - spoglądający na siebie podejrzliwie, odkąd nie było już powodów do przestrzegania rozejmu - policjanci i pracownicy dworca. Unoszące się w górze ekrany informacyjne zgasły, rozkład jazdy zniknął. Otwarte całą dobę sklepy zamknięto, ich pracownicy wymieniali gorączkowo plotki, wracając na powierzchnię. Ruchome schody stanęły. Światła solarów przygasały i halę dworcową wypełnił półmrok. Nawet wentylatory zwolniły obroty, a ich dźwięk stał się o kilka oktaw niższy.

To właśnie była chwila, jakiej boją się wszyscy solipsyści. Świat był tylko otaczającą go sceną, a teraz niepotrzebny już fragment dekoracji demontowano. Przez chwilę Quinn obawiał się, że jeśli spróbuje wyrzucić na zewnątrz, nic nie zobaczy.

- Jeszcze nie - mruknął. - Ale już niedługo.

Obszedł wszystko wkoło jeszcze raz, a potem skierował się na schody ewakuacyjne, by zacząć długą drogę ku powierzchni i miejscu spotkania.

\*

Louise dziwiła się, jak bardzo pokój hotelowy przypomina jej dom. Dobrze było znaleźć się w normalnym otoczeniu po tym, co wydarzyło się w Edmonton. Wykonała zobowiązania: zrobiła to, co obiecała Fletcherowi, i ostrzegła Banneth. Wniosła swój wkład do walki z tym potworem Dexterem, choć on nigdy się o tym nie dowie. Pomagał jej też fakt, że w Ritzu było tak wygodnie.

Ivanov Robson odwiózł je do hotelu, a potem obie spały do późnego rana. Gdy wreszcie zeszły na dół, w recepcji poinformowano Louise, że jest dla niej przesyłka. To była ciemnoczerwona róża w białym pudełeczku owiązanym srebrną wstążką. Dołączono do niej notatkę od Andy'ego Behoo.

- Pokaż mi - zażądała Gen, podskakując na łóżku z podniecenia.

Louise powąchała różę. Szczerze mówiąc, zapach był raczej słaby.

- Nie - odpowiedziała, unosząc kartkę. - To prywatna wiadomość. Włóż kwiat do wody.

Gen przyjrzała się podejrzliwie róży i powąchała ją ostrożnie.

- Dobra, ale przynajmniej powiedz mi, co napisał.

- Tylko: "Dziękuję za wczorajszy wieczór". Nic więcej.

Nie wspomniała o drugiej części, w której napisał, że jest bardzo piękna i zrobiłby wszystko, żeby znowu się z nią zobaczyć. Włożyła karteczkę do nowej torebki z wężowej skóry i zabezpieczyła zamek kodem, żeby nie otworzyły go wścibskie paluszki.

Gen zdjęła jeden z wazonów z antycznego kredensu z dębiny i poszła do łazienki nalać wody. Louise połączyła się datawizyjnie z serwerem i zapytała, czy są dla niej jakieś wiadomości. Wykonywała ten rytuał co sześć godzin, mimo że był zupełnie bezcelowy, gdyż serwer automatycznie zawiadamiał ją o wszystkich przekazach.

Nie było żadnych wiadomości, w tym również wiadomości z Tranquillity. Dziewczyna położyła się na łóżku i wbiła spojrzenie w sufit, by spokojnie rozważyć problem. Wiedziała, że stosuje protokół prawidłowo, był elementem programu komunikacyjnego NAS2600. Coś musiało być nie tak na drugim końcu. Gdy jednak przestawiła łowcę wiadomości na tryb zasadniczy, przekonała się, że w Tranquillity nie wydarzyło się nic groźnego. Być może Joshui po prostu tam nie było i

wiadomości od niej gromadziły się w pamięci jego sieciowego serwera.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym napisała krótką wiadomość do samej Ione Saldany. Joshua mówił, że ją zna, że wychowywali się razem. Jeśli ktokolwiek znał miejsce jego pobytu, to z pewnością ona.

Potem przeszukała pospiesznie katalogi i połączyła się datawizyjnie z detektywem Brentem Roim.

- Louise Kavanagh? - Zapytał. - Boże, chcesz powiedzieć, że kupiłaś sobie neuronowy nanosystem?

- Tak. Nie zabronił mi pan tego.

- Myślałem, że na waszej planecie tego rodzaju technologia jest zakazana.

- Nie jestem już na Norfolkku.

- Tak, to prawda. To czego chcesz, do licha?

- Chciałabym polecieć na Tranquillity. Nie wiem, do kogo zwrócić się o pozwolenie.

- Do mnie. Jestem twoim oficerem prowadzącym. Ale nie możesz tego zrobić.

- Dlaczego? Myślałam, że chce pan, żebyśmy opuściły Ziemię. Gdybyśmy poleciały na Tranquillity, nie musiałby się pan o nas martwić.

- Szczerze mówiąc, nie martwię się o ciebie, panno Kavanagh. Wszystko wskazuje na to, że jesteś grzeczna. Przynajmniej nie zaalarmowałaś żadnego z naszych programów monitorujących.

Louise zastanawiała się, czy policjant wie o pluskwach, które Andy usunął w Jude's Eworld. Nie zamierzała mu o tym mówić.

- To dlaczego nie mogę polecieć?

- Widzę, że nie nauczyłaś się jeszcze korzystać z przeglądarki katalogów.

- Nauczyłam się.

- Naprawdę? W takim razie powinnaś wiedzieć, że o 5.17 czasu Greenwich globalną sieć pociągów próżniowych zamknięto prezydenckim dekretem. Biuro prezydenta ogłosiło, że chodzi o uniemożliwienie opętany z Paryża i Edmonton przeniknięcie do kolejnych arkologii. Osobiście uważam, że to bzdura, ale prezydent boi się opinii publicznej bardziej niż opętanych. Jak już mówiłem, musisz na razie zostać na Ziemi.

- Tak szybko? - Wszepnęła na głos. Okazało się, że Rząd Centralny wcale nie działa powoli. Niemniej jednak Robson znowu miał rację. - Musi być jakaś droga z Londynu do wieży - przekazała datawizyjnie.

- Tylko pociągi próżniowe.

- Ale jak długo będzie to trwało?

- Zapytaj prezydenta. Zapomniał mnie poinformować.

- Rozumiem. Dziękuję panu.

- Nie ma za co. Mogę ci coś poradzić? Dysponujesz ograniczonymi środkami, prawda? Może powinnaś się przenieść do innego hotelu. A jeśli ta sytuacja będzie się przeciągać, a podejrzewam, że będzie, będziesz musiała znaleźć sobie pracę.

- Pracę?

- Aha. To taki nieprzyjemny układ, który muszą zawierać zwyczajni ludzie. Robią różne rzeczy, a w zamian pracodawca płaci im pieniądze.

- Nie musi pan być nieuprzejmy.

- Mało mnie to wzrusza. Kiedy zgłosisz się do pracy jako kelnerka w miejscowym Burrow Burgerze albo coś w tym rodzaju, poproszą cię o numer obywatelski. Skieruj ich do mnie. Przyznam ci status tymczasowego imigranta.

- Bardzo dziękuję.

Sarkazmu nie można było przekazać datawizyjnie, ale z pewnością to zrozumie.

- Hej, jeśli to ci się nie uśmiecha, zawsze masz alternatywę. Taka dziewczyna bez trudu znajdzie mężczyznę, który się nią zaopiekuje.

- Detektywie Roi, czy mogę zapytać, co się stało z Fletcherem?

- Nie możesz.

Przerwał połączenie.

Louise spojrzała na rozciągający się za oknem Green Park. Nad kopułą kłębiły się ciemne chmury przesłaniające słońce. Zastanawiała się, kto je przysłał.

\*

Czterdziestopiętrowy, ośmiokątny wieżowiec w dzielnicy Dalston był jednym z ośmiu składających się na osiedle Parsonage Heights. Miały one poprawić ogólny obraz dzielnicy, której szkodziły tanie domy mieszkalne, oferujące towary po okazjnych cenach hale targowe oraz żyjący z zasiłków mieszkańcy. Wieżowce miały się wznosić nad wielką, podziemną halą przemysłową. Pierwsze siedem pięter nad tym industrialnym centrum miały zajmować sklepy detaliczne, pięć następnych zakłady przemysłu rozrywkowego, trzy piętra profesjonalne i komercyjne biura. Resztę stanowiły apartamenty mieszkalne. Cały projekt miał stać się dla Dalston ekonomicznym przeszczepem serca, stworzyć nowe szanse i ożywić labirynt nędznych, starych uliczek strumieniem handlu i inwestycji.

Niestety, Dalston zbudowano na gliniastym gruncie i ochrona podziemnej hali przed zalaniem przez wody gruntowe potroiłaby koszty budowy. Dlatego ograniczono się do paru pięter przeznaczonych na magazyny. Miejscowe hale targowe jeszcze bardziej obniżyły i tak już skandalicznie niskie ceny i połowa pomieszczeń sklepowych stała pusta, sieci rozrywkowe wykupiły zaś tylko osiem procent przeznaczonych dla nich powierzchni. Chcąc powetować sobie straty, inwestorzy pospiesznie przeznaczyci trzydzieści górnych pięter na wygodne mieszkania z niezłym widokiem na kopułę Westminster. Badania rynku wskazywały, że będzie można je sprzedać ludziom z kadry kierowniczej niższego i średniego szczebla.

Ten poczyniony naprędce kompromis zakończył się umiarkowanym sukcesem. Sześćdziesiąt lat po powstaniu osiedla mieszkańcy Parsonage Heights z pewnością byli nieco zamożniejsi od populacji Dalston. Na dolnych piętrach powstało nawet trochę niezłych sklepów i kawiarni, choć mieszkańcy górnych woleli nie sprawdzać, co się dzieje w nędznych, wilgotnych, rozsypujących się magazynach ulokowanych w piwnicach.

W miejscowym komisariacie wiadano, że znajduje się tam siedziba sekty Nosiciela Światła, ale z jakiegoś powodu szef policji nigdy nie próbował jej zlikwidować. Dlatego gdy Banneth wysiadła z metra na stacji Dalston Kingsland, magus czekał na nią spokojnie na peronie z obstawą złożoną z piętnastu ludzi. Trudno jej było powstrzymać śmiech na widok młodych zbirów o pozbawionych wyrazu twarzach, którzy ściskali w rękach żalostną, przestarzałą broń.

- Ty to załatwiłeś? - Zapytała pełnomocnika na Europę Zachodnią.

- Po prostu powiadomiłem magusa, że jesteś bardzo ważna dla Bożego Brata. Nie uważasz, że zareagował odpowiednio?

- Nawet zbyt odpowiednio. To się przeradza w farsę.

Magus miejscowego zgromadzenia podszedł do niej i ukłonił się płytko.

- Wielki magusie, to dla nas zaszczyt, że zechciałaś nas odwiedzić. Przygotowaliśmy dla ciebie bezpieczną kryjówkę.

- Lepiej, żeby rzeczywiście była bezpieczna, bo w przeciwnym razie przywiążę cię do



twojego własnego ołtarza i pokażę, jak w Edmontonie radzimy sobie z tymi, którzy zawiedli Bożego Brata.

Otoczająca magusa aura lekkiej nadziei zniknęła nagle, ustępując miejsca wrogości.

- Nie znajdziesz nic, do czego mogłabyś się przyczepić. Nas nie zinfiltrowano.

Zignorowała ten łatwy do przejrzenia przytyk.

- Prowadź.

Ochroniarze weszli z głośnym tupotem na schody, kierując się na Kingston High Street. Pierwsi czterej, którzy wyszli na ulicę, unieśli karabiny TIP, celując przed siebie, nieprzyjemnie zaskakując garstkę opóźnionych pieszych wracających do domu z nocnych klubów. Zakreślili krąg lufami w sposób, który najwyraźniej uważali za profesjonalny.

- Czysto! - Warknął ich dowódca.

Banneth zatoczyła pogardliwie oczyma, gdy reszta ochroniarzy przebiegła obok niej. Przeszli przez ulicę, zmuszając samochody do zatrzymania się. Wpadli do pasażu handlowego, znajdującego się na parterze wieżowca po przeciwnej stronie ulicy. Czekają tam na nich trzech kolejnych członków sekty, stojących na warcie przy otwartej windzie. Do środka razem z Banneth wcisnął się magus oraz ośmiu ochroniarzy. Wjechali na najwyższe piętro, gdzie drzwi windy otwierały się w korytarzu mieszkania. Wewnątrz czekali kolejni uzbrojeni sekciarze, kończący pracę nad nowym strażniczym zestawem procesorowym.

- Żaden skurwysyn cię tu nie zaskoczy - zapewnił magus. - Obstawiliśmy wszystkie możliwe dojścia. Ustawimy wartowników przy wejściu i w klatkach schodowych. Nie prześliznie się nikt, kto nie będzie znał ustalonego przez ciebie kodu.

Banneth weszła do zajmującego całe czterdzieste piętro apartamentu. Nieobecny właściciel wybrał wystrój wnętrza z katalogu sprzed trzydziestu lat specjalizującego się w bezwstydnym kiczu: obite zieloną skórą meble, tureckie dywany na posadzce z gładzonego marmuru, szkice w jaskrawych kolorach na ścianach oraz kominek z czerwonego marmuru, na którym palił się holograficzny ogień. W szklanej ścianie umieszczono otwierające się do góry drzwi, prowadzące do dachowego ogrodu z basenem i jacuzzi. Leżaki z niebieskiego plastiku miały kształt żab.

- Lodówka jest pełna - ciągnął magus. - Jeśli będziesz miała na coś ochotę, wystarczy, że nas zawiadomisz. Trzymam to miasteczko mocno w garści.

- Nie wątpię w to - odparła Banneth. - Ty, ty i ty. - Wskazała palcem na dwie atrakcyjne dziewczyny i nastoletniego chłopaka. - Wy zostajecie. Reszta spierdalać. I to już.

Magus poczerwieniał intensywnie. Traktując go jak ulicznego śmiecia w obecności akolitów, zadała poważny cios jego autorytetowi. Spojrzała mu prosto w oczy w milczącym wyzwaniu.

Strzelił palcami, nakazując wszystkim wyjść, po czym podążył za nimi i zatrzasnął za sobą masywne, drewniane drzwi.

- Odłóżcie broń - poleciła Banneth trojgu akolitów. - Nie będziecie jej potrzebować.

Po chwili wahania położyli karabiny w kuchni. Banneth wyszła do wyłożonego kamiennymi płytami ogrodu. W nocnym powietrzu unosił się słodki zapach fuksji. Za wysoką balustradą z foliowanego szkła widziała jaśniejący krater światła, jakim było miasto. Do środka nikt nie mógł zajrzeć. Musiała przyznać, że to nie najgorsza ochrona przed snajperami.

- Czy narobiłam wystarczająco wiele hałasu? - Zapytała pełnomocnika na Europę Zachodnią.

- Och, z pewnością. Nasz drogi magus już w tej chwili skarży się na cały głos londyńskiemu wielkiemu magusowi, jaka z ciebie wredna suka. Wieczorem wiadomość o twoim przybyciu dotrze do wszystkich siedzib sekty.

- Wieczorem. - Potrząsnęła z irytacją głową. - Nie cierpię zmieniać stref czasowych.

- To nieistotne. Postarałem się, żeby ta scena z zatrzymaniem ruchu znalazła się w policyjnym biuletynie. Posterunkowi będą wypytywać współpracowników o dalsze informacje dotyczące najnowszych poczynań miejscowego zgromadzenia. Przyciągniemy uwagę całej arkologii. Dexter cię znajdzie.

- Cholera - mruknęła pod nosem Banneth. Skinęła na niespokojnych akolitów, wywołując ich na dach. - Nalejcie mi szklanekę porządnej whisky i zrzućcie łachy. Chcę popatrzeć, jak pływacie.

- Hm, wielki magusie - odezwała się nerwowo jedna z dziewczyn. - Ja nie umiem pływać.

- To będziesz musiała szybko się nauczyć.

Banneth zignorowała szept, które rozległy się za jej plecami. Spojrzała w górę. Kopułę okrążały długie wstęgi świecących lekko chmur, zmieniających się w zetknięciu z jej powierzchnią w skłębioną pianę. W lukach między nimi było widać skrawki nocnego nieba. Na czarnym tle błyszcząły jasno gwiazdy oraz statki kosmiczne. Nad północnym horyzontem rysował się zamazany kontur arki.

- Do tego apartamentu trudno się dostać z powierzchni, ale jest narażony na atak z góry - zauważyła. - To znaczy, że trzeba będzie użyć platformy strategiczno-obronnej.

- Zgadza się. Nie mam zamiaru użyć ładunku jądrowego wewnątrz kopuły. Laser rentgenowski może przebić kryształ, powodując tylko minimalne uszkodzenia. Jeśli Dexter zdoła to wytrzymać, szczerze mówiąc, nie ma dla nas nadziei.

- Dla mnie nie ma jej z całą pewnością.

- Ty go stworzyłaś.

- A B7 stworzyło mnie.

- Pozwoliliśmy ci istnieć, to nie to samo. Byłaś dla nas wygodna. Pod naszym patronatem mogłaś spełnić większość swoich ambicji. Bez nas zginęłabyś albo została zesłana.

- Jeśli dam radę go załatwić...

- Nie. Nie chcemy, żebyś stawiała opór. Nie możemy dopuścić, żeby znowu zrobił się niewidzialny. Będziemy mieli tylko jedną szansę. Jest w tym coś epickiego. Losy całego świata zależą od jednej osoby.

- Epickiego. Kim wy, kurwa, jesteście?

- Mam wrażenie, że nasza umowa przewidywała, że B7 otoczy cię patronatem pod warunkiem, że nie będziesz zadawać żadnych pytań. Bez względu na swoją sytuację nie masz jeszcze prawa zadać tego pytania i nie zamierzam ci na nie odpowiedzieć. Po śmierci będziesz mogła obserwować mnie z za światów.

- Niektórym ludziom udaje się opuścić zaświaty. Tak przynajmniej twierdzą edeniści.

- W takim razie życzę szczęśliwej podróży.

Banneth ponownie spojrzała na miasto. Zza wschodniego horyzontu wyłoniły się pierwsze fotony bladoszarego świtu, uderzając o podstawę kryształowej kopuły. Zastanawiała się, ile wschodów słońca jeszcze zobaczy.

Biorąc pod uwagę, kim uczyniła Dextera, nie mogła liczyć na więcej niż tydzień.

Akolici pluskali się już w basenie. Dziewczyna, która nie umiała pływać, twardo trzymała się płycizny. Banneth to nie przeszkadzało. Chciała tylko popatrzeć na ich młode, piękne, lśniące wilgocią ciała. To było z pewnością lepsze od tradycyjnego ostatniego posiłku. Niemniej w jej neuronowym nanosystemie były zapisane pliki, które musiała porządnie zredagować. Dzieło jej życia. Nie mogła pozwolić, by się zmarnowało, choć znalezienie instytucji, która zechce je przyjąć, może się okazać trudne. Nie zadowolili się zachowaniem swego dorobku. Pragnęła, żeby go przestudiowano i zrobiono z niego użytek. To była ważna wiedza: zachowanie człowieka w

ekstremalnych warunkach, które zawsze pozostaną niedostępne dla akademickiej medycyny. Te wyniki były jedyne w swoim rodzaju, co czyniło je jeszcze cenniejszymi. Być może pewnego dnia będą się ich uczyć studenci psychologii.

Wróciła do głównego pomieszczenia i usiadła na jednej z okropnych, zielonych kanap, gotowa zacząć katalogowanie plików. Ciekawe, jak długo akolici wytrzymają w wodzie.

\*

Dom handlowy "Lancini", zbudowany na początku XXI wieku w Millbank nad Tamizą, miał rywalizować z najlepszymi w Londynie. Jego *tres chic* wygląd oraz dekoracja wewnątrz w stylu retro miały przyciągać bogatych i ciekawskich. Podobnie jak w wypadku wszystkich zakrojonych na zbyt wielką skalę przedsięwzięć jego schyłek nie był szybki. Funkcjonował przez całe dziesięciolecie, choć przynosił straty, a liczba klientów ciągle spadała. Od samego początku prezentował wizerunek godności wolnej od snobizmu. Zgodnie z badaniami rynku, które tak uwielbiają menedżerzy, miało to przyciągnąć starszych klientów, dysponujących większym kredytem. Kierownicy pięter, którym nie zostawiono swobody działania, zamawiali wciąż te same, niemodne marki, żeby utrzymać wiernych, starzejących się klientów. Z roku na rok było ich jednak coraz mniej.

Kierownictwo naprawdę powinno było to przewidzieć. Gdyby porównano wyniki sprzedaży ze statystykami funkcjonującego w budynku zakładu pogrzebowego, stałoby się oczywiste, jak daleko może sięgnąć lojalność klientów. Niestety, po pogrzebie nie kupowali już nic. W roku 2589 ostatnia tradycyjna styczniowa wyprzedaż zakończyła się pozbawioną godności licytacją reszty zapasów. Pozostał tylko pusty budynek.

Od tego czasu nic się w nim nie zmieniło, ponieważ nic nie mogło się zmienić. Rada do spraw zachowania historycznej zabudowy miasta Londynu dopilnowała tego, wprowadzając rygorystyczną definicję zabytku. Każdy mógł kupić "Lanciniego" i rozpocząć w nim działalność handlową, pod warunkiem że odtworzy oryginalny wystrój wewnątrz, a działalność będzie polegała na sprzedaży detalicznej. Dodatkowym problemem była cena, jakiej żądał syndyk masy upadłościowej, chcący spłacić wierzycieli.

Potem na Ziemię dotarły wieści o opętaniu i o zaświatach. Paradoksalnie, wiek stał się nagle czynnikiem silnie motywującym zmianę, a członkami rady do spraw historycznej zabudowy byli starzy ludzie. Najbardziej szanowanymi i najbogatszymi bankami oraz instytucjami finansowymi miasta kierowali stulatkowie. To oni jako pierwsze pokolenie ludzi mieli wkroczyć w zaświaty świadomi oczekującej ich grozy. Chyba że znajdzie się jakiś ratunek, oczywiście. Jak dotąd Kościoły wszystkich wyznań, rządowe rady naukowe oraz Siły Powietrzne Konfederacji były bezradne.

Została tylko jedna droga ratunku: pole zerowe.

Szybko powstało kilka firm zaspokajających popyt. Nie ulegało wątpliwości, że będą potrzebne wytrzymałe budynki zapewniające klientom tysiąclecia nicości, mauzolea trwalsze niż piramidy. Ich zaprojektowanie i zbudowanie wymagało jednak czasu. Szpitalni kapelani nadal mieli zajęcie. Trzeba było szybko tworzyć tymczasowe magazyny.

Rada niemal jednogłośnie zaaprobowwała zmianę przeznaczenia domu handlowego "Lancini". Z Halo sprowadzono kapsuły zerowe, by rozmieścić je tam, gdzie niegdyś oferowano na sprzedaż meble i modne ubrania. Staroświeckie windy towarowe miały wystarczającą ładowność, by dostarczyć je na wszystkie piętra, a dębowe parkiety, wzmocnione przez pięćset lat przebywania w odwilżanej atmosferze, mogły wytrzymać nowy rozkład obciążeń. Przystosowane do wysokich obciążeń przewody potrafiły sobie poradzić z zadaniem zaopatrzenia w energię wiecznie głodnych kapsuł. Gdyby nie fakt, że gmach miał zgodnie z planem wytrzymać jeszcze tylko trzysta lat, byłby znakomitą kryptą na całą wieczność.

Paul Jerrold z pewnością uważał go za odpowiedni. Jego kapsuła znajdowała się na czwartym piętrze, w dziale ogrodnictwa. Stała w długim szeregu naprzeciwko okien. Z górą połowa masywnych sarkofagów była włączona. Ich czarne powierzchnie pochłaniały promienie słońca niczym bezdenna otchłań kosmosu. Dwie pielęgniarki pomogły mu wejść do środka, a potem poprawiły luźny dres. Nie zwracał na to uwagi. Miał sto dwanaście lat i zdążył się już przyzwyczać do tego, że personel medyczny zawsze poświęca pacjentom przesadną uwagę, jakby w przeciwnym razie jego starania mogły pozostać niezauważone.

- Jest pan gotowy? - Zapytała jedna z nich.

- Tak, tak - zapewnił z uśmiechem Paul. W ciągu kilku ostatnich tygodni miał mnóstwo zajęć, co w jego wieku było błogosławieństwem. Najpierw przerażające wieści o opętaniu. Potem powolna reakcja, determinacja członków elitarnego klubu z West Endu, do którego należał. Żaden z nich nie chciał stać się ofiarą zaświatów. Nawiązano dyskretne kontakty z ludźmi oferującymi alternatywę dla tych, których było stać na zapłacenie wygórowanej ceny. Polecił notariuszom i księgowym przekazać znaczny majątek, jakim dysponował, na długoterminowy fundusz powierniczy mający finansować przechowywanie jego ciała. Koszty nie były wysokie: konserwacja, czynsz i prąd. Nawet przy fatalnym zarządzaniu funduszem pieniędzy w banku wystarczy na dziesięć tysięcy lat. Gdy już załatwił sprawę, czekał go konflikt z dziećmi i tłumami ich potomków, którzy spokojnie czekali na spadek. Po krótkiej walce w sądzie - mógł sobie pozwolić na lepszych adwokatów niż oni - miał wreszcie szansę zostać chrononautą nowego typu.

Strach przed przyszłością, który zawsze dotąd mu towarzyszył, ustąpił miejsca ciekawości tego, co go czeka. Gdy opuści pole zerowe, problem zaświatów będzie rozwiązany, a społeczeństwo zmieni się pod wpływem wiedzy o przyszłym życiu. Być może nawet opracuje się porządną terapię rejuwenacyjną. Niewykluczone, że ludzie wreszcie osiągną fizyczną nieśmiertelność. Stanie się podobny bogu.

Mgnienie szarości, krótsze niż mrugnięcie oka...

Pokrywa kapsuły się uniosła i Paul Jerrold z lekkim zaskoczeniem przekonał się, że nadal przebywa w domu handlowym "Lancini". Spodziewał się zobaczyć jakiś wielką, supernowoczesną salę albo być może gustownie urządzone pokój szpitalny. Jego podróż przez wieczność zakończyła się w tym samym miejscu, w którym się zaczęła. Chyba że niezwykle wysoko rozwinięci ludzie z przyszłości odtworzyli wewnątrz domu towarowego, żeby ich przodkowie ocknęli się w znanym otoczeniu, co z pewnością ułatwi im przystosowanie się do życia we wspaniałej cywilizacji, jaka powstała pod ich nieobecność.

Wyrzwał z zaciekawieniem przez wielkie, brudne okno naprzeciwko. Nad kopułą Westminster zapadł zmierzch. Światła południowego brzegu paliły się jasno pod stalowoszarymi chmurami spowijającymi potężną kopułę. Czyżby to była jakiegoś rodzaju projekcja?

Dwoje pielęgniarzy wyglądało raczej niekonwencjonalnie. Pochylająca się nad kapsułą dziewczyna była bardzo młoda i miała zdumiewająco wielkie piersi, uciśnięte obcisłą skórzaną kamizelką. Nastoletni chłopak nosił drogi sweter z czystej wełny, który z jakiegoś powodu zupełnie do niego nie pasował. Twarz pokrywał mu zarost, a oczy miały szalony, zwierzęcy wyraz. Trzymał w dłoni pętlę przewodu elektrycznego ze zwisającą luźno wtyczką.

Na widok wtyczki Paul natychmiast przekazał datawizyjnie kod alarmowy. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, a po chwili jego neuronowy nanosystem przestał działać. Trzecia postać w czarnej jak noc szacie wyłoniła się z mroku i przystanąła u podstawy kapsuły.

- Kim jesteście? - Wychrypiał przerażony Paul. Usiadł z wysiłkiem, łapiąc chudymi, pokrytymi żyłami rękami za brzeg kapsuły.

- Wiesz, kim jesteśmy - odparł Quinn.

- Zwyciężyliście? Pokonaliście nas?

- Pokonamy.

- Kurde, Quinn - sprzeciwił się Billy-Joe. - Tylko popatrz na tych starych przyków. Do niczego się nie nadają. Żadna dusza nie podtrzyma długo ich ciał, nawet przy użyciu twojej czarnej magii.

- Wytrzymają wystarczająco długo.

- Mówię ci, jeśli chcesz mieć porządną opętanych, zgłoś się po ciała do sekt. Kurwa, w sektach cię uwielbiają. Możesz z nimi zrobić, co chcesz.

- Boży Bracie - warknął Quinn. - Nie umiesz myśleć, głąbie? Sekty to kłamstwo. Mówiłem ci, że kierują nimi supergliny. Nie mogę się z nimi kontaktować, bo w ten sposób bym nas zdradził. Kurwa, to miejsce jest idealne. Nikt nie zauważy ich zniknięcia. Przestali istnieć dla świata, gdy tylko przeszli przez te drzwi. - Wysunął głowę spod kaptura i uśmiechnął się do Paula. - Zgadza się?

- Mam pieniądze.

To była dla Paula ostatnia szansa. Wszyscy pragnęli pieniędzy.

- To bardzo dobrze - ucieszył się Quinn. - Już prawie jesteś jednym z nas. Został tylko jeden drobiazg.

Uniósł palec i cały świat Paula wypełnił ból.

\*

Pełnomocnik na Europę Zachodnią podłączył do londyńskiej sieci komunikacyjnej osiem jednostek sztucznej inteligencji, co dało mu moc obliczeniową wystarczającą, by sprawdzać w cyklu dziesięciosekundowym cały sprzęt elektroniczny w arkologii. Wszystkie bloki procesorowe, bez względu na funkcję, kontrolowano datawizyjnie co piętnaście sekund w poszukiwaniu podejrzanych zakłóceń.

Inni obywatele również się niepokoili. Kilka firm sprzedających oprogramowanie postanowiło wykorzystać koniunkturę i oferowało pakiety wykrywające opętanie - neuronaniczne programy nieustannie wysyłające do centrum kontroli informacje o stanie i położeniu. Jeżeli kontakt nagle zerwano albo wystąpiły niewyjaśnione zakłócenia, centrum zawiadamiało policję. W sklepach pojawiły się również bransolety pełniące tę samą funkcję u dzieci zbyt małych, żeby nosić neuronowy nanosystem.

Coraz poważniejszym problemem stawał się brak szerokości pasma. Pełnomocnik na Europę Zachodnią powołał się na autorytet GSDI, żeby przyznać priorytet programom monitorującym kierowanym przez jednostki sztucznej inteligencji. Dzięki temu mogły one działać bez zakłóceń, ale w cywilnym przekazie danych dochodziło do niesłychanych dotąd ograniczeń oraz opóźnień.

Wizualizacja elektronicznej struktury arkologii była teatralnym gestem, który na nikim nie zrobił szczególnego wrażenia. Ustawiony na stole w bezpiecznej sali konferencyjnej przedmiot przypominał wymyślny szklany model dziesięciu kopuł. W miniaturowych, półprzezroczystych budynkach krążyły z regularnością stroboskopu wachlarze wielobarwnego światła.

Pełnomocnik na Pacyfik Południowy wpatrywała się w ich ruch, gdy inni członkowie B7 zasiadali za owalnym stołem.

- Gdzie on jest? - Zapytała, gdy cała szesnastka zajęła już miejsca.

- W Edmonton go nie ma - zapewnił pełnomocnik na Amerykę Północną. - Wykopaliśmy z wszechświata całą tę załosną bandę. Nie został ani jeden.

- Naprawdę? - Zapytał pełnomocnik na Pacyfik Azjatycki. - Przyjaciela Cartera McBride'a też?

- On nie jest zagrożeniem dla arkologii. Chce tylko dorwać Dextera.

- Gówno prawda. Nie potraficie go znaleźć, mimo że to tylko zwykły opętany. - Pełnomocnik na Pacyfik Azjatycki wskazał na imitację Londynu. - Muszą tylko unikać elektronicznego sprzętu i nic im nie będzie groziło.

- Muszą czasem coś zjeść - zauważył pełnomocnik na Afrykę Południową. - W końcu raczej nie mają przyjaciół, którzy by się nimi zaopiekowali.

- Sekta Nosiciela Światła ich kocha - poskarżył się pełnomocnik na Azję Wschodnią.

- Sekty należą do nas - zapewnił pełnomocnik na Europę Zachodnią. - O nie nie musimy się martwić.

- Dobra - podjęła pełnomocnik na Pacyfik Południowy. - Powiedz nam, jak wygląda sytuacja w Nowym Jorku? Sądziliśmy, że tam również policja dorwała ich na czas.

- Ach, tak - odezwał się szef Wywiadu Wojskowego. - Jak to brzmi to sformułowanie, którego używają media? "Efekt hydry". Jeśli wepchnie się jednego opętanego do kapsuły zerowej, na jego miejsce pojawia się pięciu nowych. To odwołuje się do emocji, ale nie przestaje przez to być prawdą.

- Nowy Jork wyrwał się spod kontroli - przyznał pełnomocnik na Amerykę Północną. - Nie byłem na to przygotowany.

- To oczywiste. Ile kopuł już opanowali?

- Tak wielkie liczby wzbudzają niepotrzebne emocje - stwierdził pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Gdy liczebność opętanych przekracza dwa tysiące, nie można już nic poradzić. Zaczyna się wykładniczy wzrost i arkologię szlag trafia. Nowy Jork stanie się ziemskim Mortonridge. To nie nasza sprawa.

- Nie nasza sprawa! - Oburzył się pełnomocnik na Pacyfik Północny. - Gówno prawda. Oczywiście, że nasza. Jeśli opętani opanują arkologię, stracimy całą planetę.

- Wielkie liczby nas nie obchodzą. Armia będzie potem musiała zająć się Nowym Jorkiem.

- Jeśli miasto jeszcze tam będzie, a jego mieszkańcy nie zostaną kanibalami. No wiesz, kadzie produkujące żywność nie działają w sąsiedztwie opętanych. Osłony chroniące przed czynnikami atmosferycznymi również nie wytrzymają.

- Oni wzmacniają zdobyte kopuły swoją energistyczną mocą - zauważył pełnomocnik na Amerykę Północną. - Wczorajszej nocy o arkologie zawadził koniec armadowej burzy. Wszystkie kopuły wytrzymały.

- Robią to tylko do czasu, gdy zapanują nad nimi całkowicie - stwierdziła pełnomocnik na Pacyfik Południowy. - Pozostałe kopuły nie mogą bronić się w nieskończoność.

- Nieuchronny upadek Nowego Jorku to z pewnością zła wiadomość - zgodził się pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Ale to nie ma większego znaczenia. Musimy pogodzić się z porażką i dalej robić swoje. Zadaniem B7 jest prewencja, nie kuracja. A żeby uchronić całą Ziemię przed upadkiem, musimy wyeliminować Quinna Dextera.

- To gdzie on jest?

- Jak już mówiłem, w tej chwili miejsce jego pobytu nie jest znane.

- Wymknął ci się, tak? Spieprzyłeś sprawę. Miałeś go w Edmonton na widelcu, ale chciałeś być za sprytny. Wydawało ci się, że psychologiczne gierki przyniosą skutek. Przez twoją arogancję wszyscy mogliśmy zostać niewolnikami.

- Ciekawy wybór czasu - warknął pełnomocnik na Europę Zachodnią. - "Mogliśmy". Próbujesz nam powiedzieć, że uratowałaś sytuację, odwołując pociągi, mimo że wszyscy się zgodziliśmy, że nie będziemy sobie wchodzić w paradę.

- Prezydent miał w tej sprawie bardzo silne poparcie opinii publicznej. Po tej edmontońskiej

strzelaninie jak z filmu *W samo południe* cały świat głośno domagał się zawieszenia kursowania pociągów.

- Pod wpływem twoich agencji medialnych - zauważył pełnomocnik na Afrykę Południową.

Pełnomocnik na Europę Zachodnią pochylił się nad stołem ku uśmiechniętej pełnomocnik na Pacyfik Południowy, zatrzymując głowę kilka centymetrów przed hologramem.

- Sprowadziłem ich z powrotem, ty debilna suko. Banneth i Louise Kavanagh bezpiecznie wróciły do Londynu. Dexter zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby podążyć tam za nimi, ale nie może tego zrobić, jeśli jest uwięziony w cholernym Edmonton. Tylko sześć pociągów zdążyło dotrzeć do miasta przed twoim kretyńskim rozkazem. Sześć! To za mało, żeby mieć pewność.

- Jeśli rzeczywiście jest taki groźny, jak uważasz, z pewnością był w jednym z nich.

- Lepiej dla ciebie, żeby tak było, bo w przeciwnym razie możesz się pożegnać z Edmonton. Nie mamy tam nic, co mogłoby potwierdzić jego obecność.

- W najgorszym razie stracimy dwie arkologie. Pozostałym zapewniłmy bezpieczeństwo.

- Ja stracę dwie arkologie - zauważył pełnomocnik na Amerykę Północną. - Dzięki tobie. Zdajesz sobie sprawę, jak wielkie to terytorium?

- Paryż - odparła pełnomocnik na Pacyfik Południowy. - Bombaj. Johannesburg. Wszyscy ponieśliśmy dziś straty.

- Ale nie ty. Poza tym opętani w tamtych arkologiach muszą się ukrywać. Dzięki sektom udało się nam ich osaczyć. W żadnym z tych miast nie dojdzie do powtórki z Nowego Jorku.

- Mamy taką nadzieję - zauważył pełnomocnik na Indie. - W obecnej chwili udaje się mi utrzymywać równowagę, nic więcej. Wkrótce poważnym czynnikiem stanie się panika. A ona będzie działać na ich korzyść.

- Niepotrzebnie spieramy się o szczegóły - stwierdziła pełnomocnik na Pacyfik Południowy. - Rzecz w tym, że istnieją inne metody rozwiązania problemu niż obsesyjna pogoń za Dexterem. Moja polityka jest słuszna. Musimy ich powstrzymać do czasu znalezienia ostatecznego rozwiązania. Gdybyśmy tak postępowali od samego początku, stracilibyśmy tylko brazylijską stację naziemną.

- W chwili przybycia Dextera nie wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia - sprzeciwił się pełnomocnik na Amerykę Południową. - Tak czy inaczej musielibyśmy stracić co najmniej jedną arkologię.

- Ojej, nie wiedziałem, że planujemy tu naszą przyszłą politykę - odezwał się pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Sądziłem, że mamy tylko zdać sprawę z naszych postępów.

- A ponieważ nie poczyniłeś żadnych... - Wtrąciła słodkim głosem pełnomocnik na Pacyfik Południowy.

- Jeśli jest w Londynie, nie znajdziemy go przy użyciu konwencjonalnych środków. Sądziłem, że to oczywiste. Mogę ci też powiedzieć, że totalna bierność to nie jest żadna polityka. To tylko myślenie życzeniowe, typowe dla ciasnych umysłów.

- Udało mi się powstrzymać postępy opętania. Przypomnij mi, co ty osiągnąłeś.

- Marnujesz czas na drobiazgi, kiedy świat się wali. Najważniejsza jest przyczyna katastrofy.

- Wyeliminowanie Dextera nie uwolni nas od opętanych przebywających w Nowym Jorku i gdzie indziej. Jestem za tym, żeby przeznaczyć większy procent środków na naukę na poszukiwania ostatecznego rozwiązania.

- Trudno mi uwierzyć, że nawet ty uważasz tę sytuację za pretekst do rozgrywek politycznych. Na obecnym etapie procenty niczego nie zmieniają. Każdy, kto może wnieść wkład w rozwiązanie problemu, robi to od samego początku. Nie potrzebujemy wzywać audytorów, którzy sprawdzą nasze referencje w sprawie współczucia. Zresztą takie sprawy nie są mierzalne.

- Jeśli nie chcesz uczestniczyć w projekcie, to trudno. Grunt, żebyś nie narażał nas na dalsze niebezpieczeństwo przez swoją nieodpowiedzialność.

Pełnomocnik na Europę Zachodnią zlikwidował swój hologram, opuszczając konferencję. Model Londynu zniknął razem z nim.

\*

Jaskinia znajdowała się na samym dole kompleksu południowej czapy biegunowej. Ze wszystkich stron otaczały ją setki metrów litego polipa. W jej wnętrzu Tolton po raz pierwszy od dawna czuł się bezpiecznie.

Powstała jako centrum weterynaryjne dla serwitorów, ale obecnie przekształcono ją w laboratorium fizyczne. Kierownik zespołu, któremu osobowość Valiska zleciła poznanie tajemnic ciemnego kontinuum, doktor Patan, ucieszył się na widok Dariata, jakby ujrzął dawno zaginionego syna. Przeprowadzono dziesiątki różnych eksperymentów, zaczynając od prostych pomiarów: temperatury - zastępcze ciało było osiem stopni cieplejsze od płynnego azotu, rezystywności - szybko przerwane, gdy Dariat poskarżył się na ból. Potem przysła kolej na analizę widma energii oraz kwantowych cech charakterystycznych. Najbardziej interesująca dla laika, jakim był Tolton, chwila nadeszła, gdy pobrano próbkę ciała. Uczni szybko się przekonali, że dokładna analiza płynu nie jest możliwa, dopóki ożywiają go myśli Dariata. Nie udało się pobrać próbki za pomocą igły, gdyż nie można było przebić nią skóry. W końcu sam musiał się skaleczyć igłą, którą wyczarował z wyobraźni. Czerwona krew skapnęła do szklanego naczynia, zmieniając się w locie. Gdy wpadła do środka, była już szarawobiałym, nieco lepkiem płynem. Triumfujący fizycy zabrali ją do zbadania. Dariat i Tolton wymienili zdziwione spojrzenia i usiedli na krzesłach ustawionych pod ścianą.

- Nie łatwiej by było oderwać kawałek togi? - Zapytał Tolton. - W końcu to ten sam materiał, nie?

Dariat popatrzył na niego z osłupieniem.

- Kurde. To mi nie przyszło do głowy.

Parę następnych godzin spędzili na cichej rozmowie. Dariat opowiedział mu szczegółowo o swoich przeżyciach. W końcu jednak umilkł, spoglądając z przygnębieniem na fizyków. Milczeli już od kilku minut. Pięciu z nich i Erentz oglądało próbkę pod impulsowym mikroskopem gamma. Miny mieli jeszcze bardziej zaniepokojone niż Dariat.

- Co znaleźliście? - Zapytał Tolton.

- Dariat mógł mieć rację - odparła Erentz. - Rzeczywiście wygląda na to, że w ciemnym kontinuum entropia jest silniejsza niż w naszym wszechświecie.

- Tym razem wolałbym nie mówić: "A nie mówiłem" - rzekł Dariat.

- Skąd o tym wiecie? - Zapytał Tolton.

- Podejrzewaliśmy to już od pewnego czasu - wyjaśnił doktor Patan. - A ta substancja zdaje się potwierdzać nasze przypuszczenia. Niemniej nie mam jeszcze stuprocentowej pewności.

- Co to właściwie jest, do licha?

- Mam to opisać krótko? - Doktor Patan uśmiechnął się blado. - To nic.

- Nic? Przecież on jest materialny.

- To prawda. Ten płyn to idealnie neutralna substancja. Końcowy produkt procesu całkowitego rozkładu. To najlepszy opis, jaki mogę przedstawić na podstawie naszych wyników. Impulsowy mikroskop gamma pozwala badać strukturę subatomową. To bardzo użyteczne narzędzie dla fizyków. Niestety, w tym płynie nie ma subatomowych cząstek. Nie ma nawet atomów. Występuje w nim tylko jedna cząstka, pozbawiona ładunku.

Tolton przywołał dydaktyczne wspomnienia zawierające kurs podstaw fizyki.



- Masz na myśli neutrony?

- Nie. Te cząstki mają znacznie mniejszą masę spoczynkową. Wiąże je ze sobą nikłe oddziaływanie nadające im strukturę płynu, ale to ich jedyna mierzalna właściwość. Wątpię, by mogły kiedykolwiek osiągnąć stan stały, nawet gdyby zgromadzić masę równą masie gwiazdy nadolbrzyma. W naszym wszechświecie tak wielka ilość zimnej masy zapadnie się pod wpływem ciężenia, przechodząc w neutronium, ale tutaj najwyraźniej wcześniej dochodzi do innej postaci rozkładu. Elektrony i protony nieustannie emitują energię, aż wreszcie tracą spójność. W ciemnym kontinuum normą jest rozproszenie, nie kolaps.

- Nieustannie emitują? Chcesz powiedzieć, że atomy w naszych ciałach wytracają energię?

- Tak. To z pewnością tłumaczy, dlaczego elektroniczne urządzenia funkcjonują tu tak kiepsko.

- Ile czasu minie, nim wszyscy zmienimy się w tę substancję? - Zapytał piskliwym głosem Tolton.

- Jeszcze nie udało się nam tego określić. Teraz, gdy już wiemy, czego szukamy, będziemy mogli określić tempo utraty energii.

- Niech to szlag. - Spojrzał na Dariata. - Mówiłeś, że jesteśmy tu jak homary gotujące się w garnku. Nie zdołamy się stąd wydostać, prawda?

- Z niewielką pomocą Konfederacji nadal mamy szansę wrócić w całości.

Tolton pospiesznie rozpatrywał wszystkie implikacje.

- Jeśli zamienię się w ten płyn, moja dusza będzie mogła odtworzyć ciało i stanę się podobny do ciebie.

- Pod warunkiem, że będzie zawierała wystarczająco wiele energii życiowej.

- Ale ona również się rozprasza... Dlatego musiałeś ukraść energię temu duchowi. A te jestestwa bytujące na zewnątrz walczą ze sobą o energię życiową. Nie mogą robić nic więcej. Przez całą wieczność.

Dariat uśmiechnął się ze smutkiem i współczuciem.

- Taki już jest ten świat.

Przerwał, wpatrując się w sklepienie jaskini. Fizycy zrobili to samo. Na ich twarzach malował się niepokój.

- Co się stało? - Zapytał Tolton, który nic tam nie widział.

- Wygląda na to, że naszym gościom znudziła się południowa czapa biegunowa - wyjaśnił Dariat. - Wybierają się do nas.

\*

Pierwszy z trzech wahadłowców Sił Powietrznych Konfederacji przemknął nad Regią, gdy zapadał zmierzch. Siedzący w przedziale dla pasażerów Samuel Aleksandrovich połączył się z zestawem instrumentów obserwacyjnych stateczku, żeby popatrzeć na rozciągające się na dole miasto. Latarnie uliczne, reklamy i wieżowce rozbłysły opalizującym blaskiem w odpowiedzi na zachód słońca. Widział to już wielokrotnie, dzisiaj jednak ruch na ulicach był słabszy niż zazwyczaj.

Zgadzało się to z ogólnym nastrojem, o którym donosiły oglądane przez niego ostatnio programy informacyjne. Atak Organizacji wstrząsnął mieszkańcami planety. Byli przekonani, że w całej Konfederacji jedynie Ziemia jest światem bardziej bezpiecznym niż Avon. Teraz jednak do ziemskich arkologii przeniknęli opętani, a Trafalgar uszkodzono tak poważnie, że trzeba go było ewakuować. Na całej planecie zajęto wszystkie miejsca w położonych poza miastami hotelach. Wszyscy pospiesznie brali urlopy albo szli na zwolnienia.

Wahadłowiec przemknął nad ciągnącym się na wschód od miasta jeziorem i zawrócił szybko,

wytracając prędkość. Zmierzał ku koszarom Sił Powietrznych, położonym w cieniu Gmachu Zgromadzenia. Wylądował na okrągłym, metalowym stanowisku i natychmiast opadł do podziemnego hangaru. Zatrzasnęły się za nim pancerne drzwi.

Gdy naczelny admirał wysiadł z wahadłowca, przywitał go Jeeta Anwar.

- Nie powinien pan sprawdzać nowo przybyłych, kapitanie? - Zapytał Samuel.

Twarz Jeety nic nie wyrażała, ale mężczyzna wyraźnie nie chciał patrzeć admirałowi w oczy.

- Powiniennem - odpowiedział.

- To niech pan to zrobi. Nie może być żadnych wyjątków. Jasne?

Do dłoni naczelnego admirała przystawiono czujnik. Poproszono go też o datawizyjne przekazanie danych dotyczących fizjologii do bloku procesorowego.

- Znakomicie. Wkrótce przybędą admirałowie Kolhammer i Lalwani. Niech pan zawiadomi ludzi.

Z wahadłowca wysiadł oddział komandosów oraz dwóch oficerów sztabowych, Amr al-Sahhaf i Keaton. Gdy już wszystkich sprawdzono, otoczyli pierścieniem naczelnego admirała.

Ten incydent zaniepokoił Samuela Aleksandrovicha. Z jednej strony zachowanie kapitana można było usprawiedliwić. Było niewyobrażalne, żeby naczelny admirał mógł zostać opętany. Ale z drugiej strony opętanie szerzyło się właśnie dlatego, że nikt nie potrafił uwierzyć, iż ich przyjaciel, małżonek albo dziecko mogli paść jego ofiarą. Z tego właśnie powodu Siły Powietrzne wysłały trzech najstarszych rangą admirałów w trzech osobnych wahadłowcach, na wypadek, gdyby któryś z nich zestrzelono. Rutynowe procedury mogły się okazać skuteczne tam, gdzie osobista znajomość wiodła do katastrofy.

Spotkał prezydenta Haakera w sali konferencyjnej koszar. Obaj się zgodzili, że z tą sprawą nie powinni jeszcze się zwracać do Zgromadzenia Ogólnego.

Razem z prezydentem zjawiała się Mae Ortlieb, co znaczyło, że mieli po dwoje towarzyszy. Samuel uścisnął dłoń prezydenta, myśląc, że spotkali się w naprawdę neutralnych warunkach. Haaker przywitał go ze szczerą radością, co sugerowało, że jest tego samego zdania.

- A więc antypamięć rzeczywiście jest skuteczna - stwierdził Haaker, gdy już zasiedli za stołem.

- I tak, i nie, panie prezydencie - odparł kapitan Keaton. - Wymazała Jacqueline Couteur i jej gospodarza razem z doktorem Gilmore'em, ale nie rozprzestrzeniła się na zaświaty. Dusze nadal tam przebywają.

- A czy można osiągnąć ten cel?

- Zasada jest prawidłowa, ale nie mam pojęcia, ile czasu będzie potrzeba. Przewidywania uczonych wahają się od kilku dni do wielu lat.

- Ale te badania w dalszym ciągu są priorytetem, prawda? - Zapytał Jeeta Anwar.

- Wznowimy je, gdy tylko nasza ekipa uczonych zainstaluje się w rezerwowym instytucie - zapewnił kapitan Amr al-Sahhaf. - Mamy nadzieję, że stanie się to przed upływem tygodnia.

Mae spojrzała na prezydenta.

- Jedna ekipa - powiedziała z naciskiem.

- To mi nie wygląda na priorytet - stwierdził prezydent. - Do tego doktor Gilmore nie żyje. Jak rozumiem, jego wkład był znaczny.

- Był - przyznał naczelny admirał. - Ale nikt nie jest niezastąpiony. Ustalono już zasady działania antypamięci. Jej udoskonalenie jest międzydiscyplinarną operacją.

- W rzeczy samej - zgodziła się Mae. - Gdy już się udowodni, że coś jest realne, najlepiej jest zlecić zadanie kilku różnym ekipom. Im więcej ludzi i im więcej nowych pomysłów, tym wcześniej

będziemy mieli zdatną do użytku broń.

- Musielibyście zgromadzić ekipy uczonych i zapoznać ich z naszymi wynikami - zauważył kapitan Keaton. - Nim to zrobicie, zdążymy posunąć się dalej.

- Tak pan przynajmniej twierdzi - odcięła się.

- Ma pani jakieś powody, by sądzić, że naukowcy pracujący dla Sił Powietrznych są niekompetentni?

- Bynajmniej. Po prostu sugeruję podejście, które znacznie zwiększyłoby nasze szanse na sukces. W gruncie rzeczy to standardowe podejście w dziedzinie badań i rozwoju.

- A kto miałby nam pomagać? Wątpię, by dział badań nad bronią kompanii astroinżynieryjnej zatrudniał potrzebnych specjalistów.

- Większe uprzemysłowione układy planetarne mogłyby nam użyczyć niezbędnych ludzi. Kulu, Nowy Waszyngton, Oshanko, Nanjing, Petersburg i tak dalej. Jestem też przekonana, że i edeniści mogliby nam udzielić znaczącej pomocy. Wiedzą o procesach myślowych więcej niż adamistyczne kultury. Ziemi GISD już zaoferował swą pomoc.

- Założę się, że to zrobił - mruknął Samuel Aleksandrovich.

Dzięki swojej pozycji zdawał sobie sprawę, że ziemską agencja wywiadowcza jest wszechobecna wśród gwiazd Konfederacji. Miała co najmniej trzykrotnie więcej agentów niż ESA i nawet Lalwani nie była pewna, jak daleko sięga jej sieć. Jednym z powodów, dla których tak trudno było ocenić jej rozmiary, była zasadniczo pasywna natura tejsieci. W ciągu ostatnich dziesięciu lat CNIS odkryła tylko trzy jej aktywne operacje, wszystkie skierowane przeciwko czarnym syndykatom. Co właściwie robi GISD z całą zebraną informacją, pozostawało tajemnicą, a to skłaniało Samuela do nieufności. Z drugiej strony, agencja zawsze dotąd szła na rękę Lalwani, gdy ta występowała z oficjalną prośbą o pomoc.

- To brzmi rozsądnie - stwierdził prezydent.

- Ale w ten sposób Zgromadzenie Ogólne utraciłoby wyłączność - sprzeciwił się naczelny admirał. - Jeśli suwerenne państwa zdobędą broń antypamięciową, będą mogły użyć jej bez konsultacji, zwłaszcza w przypadku wtargnięcia opętanych. Po tym holokaucie nie pozostaną dowody w postaci ciał. Antypamięć jest bronią ostateczną, naszym podstawowym atutem w negocjacjach. Zawsze uważałem, że nie jest rozwiązaniem. Musimy wspólnie stawić czoło temu problemowi.

Prezydent westchnął ciężko.

- Jak sobie życzysz, Samualu. Na razie zostawmy sprawę Siłom Powietrznym. Ale za dwa tygodnie chcę usłyszeć raport o waszych postępach. Jeśli wasza ekipa nie osiągnie przez ten czas zadowalających rezultatów, sprowadzę specjalistów z zewnątrz, zgodnie z sugestią Mae.

- Oczywiście, panie prezydencie.

- W porządku. Chodźmy stawić czoło Zgromadzeniu Ogólnemu i wysłuchać naprawdę złych wieści.

Olton Haaker podniósł się z miłym uśmiechem, zadowolony, że kolejny problem udało się rozwiązać tradycyjną metodą kompromisu. Mae Ortlieb wyglądała na równie zadowoloną, ale Samuel Aleksandrovich nie dał się oszukać jej profesjonalnemu uśmiechowi.

\*

Prywatne sesje Zgromadzenia Ogólnego Konfederacji nie odbywały się w bezpiecznym środowisku sensoryjnym. Jej członkowie spotykali się osobiście, w dyskretnej dobudówce do gmachu Zgromadzenia. Ponieważ tam właśnie zapadały kluczowe decyzje dotyczące losów ludzkości, projektanci uznali za stosowne poświęcić znaczne sumy z pieniędzy podatników na

wystrój wnętrza. Stanowiło ono połączenie wszystkich sal gabinetowych w Konfederacji z domieszką spokojnego klasycyzmu. Dwanaście kolumn z miejscowego granitu podtrzymywało kopułę pomalowaną w stylu renesansowym. W jej najwyższym punkcie zawieszono żyrandol ze złota i platyny, a jasnoniebieskie ściany były pokryte białymi jak śnieg freskami wyobrażającymi leśne sceny mitologiczne. Ustawiony pośrodku okrągły stół zrobiono z przekroju sekwoi, ostatniego z tych wielkich drzew zwalonych przez armadowe burze. Piętnaście krzeseł z dębiny ze skórzanym obiciem wykonano w dziewiętnastowiecznym stylu Plymouth. Po skończeniu kadencji każdy delegat mógł zabrać swoje krzesło do domu. W marmurowych, zamkniętych szybami niszach wystawiono 862 rzeźby i statuetki. Tyratakowie ofiarowali płytę łupku o w przybliżeniu sześciokątnym kształcie naznaczoną bladozielonymi rysami. Było to coś w rodzaju tablicy pamiątkowej pochodzącej z Tandzurika-RI. Dla nich płyta nie miała wartości, ale wiedzieli, że ludzie wysoko cenią starocie. Kiintów reprezentowała enigmatyczna rzeźba kinetyczna ze srebrzystej folii, złożona z dwudziestu pięciu kolistych, koncentrycznych pasów, które obracały się wokół siebie, choć nie było między nimi żadnego połączenia. Każdy pas wisiał w powietrzu i kręcił się nieustannie, jakby napędzało go perpetuum mobile. Podejrzewano, że są wykonane z metalicznego wodoru.

Lalwani i Kolhammer dołączyli do naczelnego admirała przed drzwiami sali, po czym wszyscy troje weszli do środka za prezydentem. Dwanaście miejsc zajęli już ambasadorzy zasiadający aktualnie w Zgromadzeniu Ogólnym. Haaker i Samuel usiedli na krzesłach, piętnaście zaś zostało puste. Choć ambasador Roulor miał prawo zająć miejsce opróżnione przez Rittagu-FUH, zgromadzenie opóźniało formalne przegłosowanie tej zmiany. Kiintowie nie protestowali.

Samuel przywitał ambasadorów skinieniem głowy, starając się nie przyciągać ich uwagi. Nie podobało mu się, że wezwano go tutaj, tak jak on wezwał pozostałych, by zażądać wprowadzenia międzygwiazdnej kwarantanny. Sugerowało to, że wydarzenia wyrwały się spod kontroli.

Prezydent otworzył sesję.

- Admirale, czy zechciałby pan zapoznać nas z sytuacją dotyczącą Trafalgara?

- Ewakuacja zostanie ukończona za trzy dni - oznajmił Samuel. - Pierwszeństwo mają żołnierze Sił Powietrznych w służbie czynnej, których przenosimy do baz rezerwowych. Za dwa dni powinniśmy odzyskać pełną sprawność operacyjną. Cywilnych pracowników transportujemy wahadłowcami na Avon. Wszelkie decyzje dotyczące odbudowy asteroidy trzeba będzie odłożyć do chwili zakończenia kryzysu. I tak musimy zaczekać, aż spadnie temperatura.

- A co z okrętami? - Zapytał prezydent. - Ile zostało uszkodzonych?

- Sto siedemdziesiąt trzy okręty adamistyczne eksplozja zniszczyła całkowicie, a osiemdziesiąt sześć następnych uszkodziła w stopniu uniemożliwiającym naprawę. Liczba ofiar w ludziach wynosi jak dotąd dziewięć tysięcy dwieście trzydzieści dwie osoby. Siedmiuset osiemdziesięciu dziewięciu ludzi hospitalizowano, większość z powodu poparzeń popromiennych. Nie przekazaliśmy jeszcze tych danych mediom. Wiedzą tylko, że straty są poważne.

Ambasadorowie milczeli przez długą chwilę.

- Ile z tych okrętów należało do Pierwszej Floty? - Zapytał ambasador Ziemi.

- Straciliśmy dziewięćdziesiąt siedem okrętów pierwszej linii.

- Dobry Boże.

Samuel nie zauważył, kto wypowiedział te słowa.

- Nie możemy dopuścić, żeby Alowi Capone uszło na sucho coś takiego - stwierdził prezydent. - Po prostu nie możemy.

- To był zbieg niezwykłych okoliczności - oznajmił Samuel. - Nasze nowe procedury bezpieczeństwa nie pozwolą, żeby to się powtórzyło.

Świetnie wiedział, jak żałośnie zabrzmiały te słowa.

- Te okoliczności zapewne się nie powtórzą - zgodził się z goryczą ambasador Abeche. - Ale co będzie, jeśli on wymyśli coś nowego? Wówczas czeka nas kolejna krwawa katastrofa.

- Powstrzymamy go.

- Powinniście byli to przewidzieć, przedsięwziąć jakieś kroki. Wiedzieliśmy, że Capone dysponuje antymaterią i nie ma nic do stracenia. To musiało doprowadzić do jakiegoś ryzykownego ataku. Jezu, czy wasi planiści nie rozważają takich scenariuszy?

- Rozważamy je, panie ambasadorze. I traktujemy je poważnie.

- Mortonridge nie dało nam oczekiwanego zwycięstwa - odezwał się ambasador Miyagu. - Infiltracyjne loty Ala Capone sparaliżowały wszystkich. A teraz jeszcze to.

- Pozbawiliśmy Ala Capone dostępu do antymaterii - odparł ze spokojem naczelny admirał. - To doprowadziło do przerwania lotów infiltracyjnych. Organizacja nie ma już zasobów potrzebnych do podbicia kolejnej planety. To medialny problem, nie prawdziwe zagrożenie.

- Niech pan nie próbuje mi wmawiać, że powinniśmy go ignorować - włączył się w dyskusję ambasador Ziemi. - Jest różnica między powstrzymaniem nieprzyjaciela a nierobieniem niczego w nadziei, że sobie pójdzie. Siły Powietrzne uczyniły bardzo niewiele, by mnie przekonać, że panują nad zagrożeniem.

Prezydent uniósł rękę, nie pozwalając naczelnemu admirałowi odpowiedzieć.

- Chcemy powiedzieć, Samualu, że postanowiliśmy zmienić dotychczasową strategię. Nie możemy już dłużej ograniczać się do kwarantanny.

Samual rozejrzał się, spoglądając na twarde, pełne determinacji twarze. To było prawie jak wotum nieufności wobec niego. Ale nie do końca. By do tego doszło, potrzeba będzie jeszcze jednej porażki.

- A jakie zmiany proponujecie?

- Czas przejść do aktywnej strategii - odezwał się z pasją ambasador Abeche. - Czegoś, co pokaże ludziom, że armia ich chroni. Czegoś pozytywnego

- Trafalgar nie powinien się stać casus belli - nie ustępował naczelny admirał.

- Nie będzie nim - odparł prezydent. - Chcę, żebyście wyeliminowali flotę Ala Capone. To będzie misja taktyczna, nie wojna. Zniszcz go, Samualu. Wyeliminuj zagrożenie, jakim jest antymateria. Dopóki ma jej zapasy, będzie mógł wysyłać jednego Pryora po drugim.

- Flota jest jedynym, co zapewnia Alowi Capone władzę nad Organizacją. Jeśli ją zniszczymy, stracimy Arnstadt i Nową Kalifornię. Opętani wyprowadzą je z wszechświata.

- Wiemy o tym. Podjęliśmy decyzję. Musimy się pozbyć opętanych, zanim znajdziemy sposób radzenia sobie z nimi.

- W ataku na skalę potrzebną do zniszczenia floty oraz sieci strategiczno-obronnej Nowej Kalifornii zginą tysiące ludzi. Przypominam, że większość załóg okrętów Organizacji stanowią nieopętani.

- Chciał pan powiedzieć zdrajcy - stwierdził ambasador Mendiny.

- Nie - zaprzeczył ze spokojem naczelny admirał. - To ofiary szantażu, którym zagrożono torturami ich i ich rodzin. Al Capone potrafi stosować terror bez cienia litości.

- Właśnie dlatego musimy rozwiązać ten problem - odparł prezydent. - To sytuacja wojenna. Musimy szybko przeprowadzić akcję odwetową, bo w przeciwnym razie stracimy resztki inicjatywy. Al Capone musi zrozumieć, że jego diaboliczny plan nas nie sparaliżował. Jeśli to konieczne, nadal potrafimy działać szybko i stanowczo, mimo że ma zakładników.

- Zabijanie ludzi w niczym nam nie pomoże.

- Wprost przeciwnie, naczelny admirał - sprzeciwił się ambasador Miyagu. - Choć bardzo nam żal ofiar, wyeliminowanie Organizacji zapewni nam niezbędną swobodę. Żadna inna grupa opętanych nie potrafiła z równą skutecznością dowodzić okrętami wojennymi. Wróćmy do czasu niewielkiego ryzyka, jakim była ekspansja opętanych poprzez łamiące kwarantannę loty. Siły Powietrzne powinny być w stanie powstrzymać, zgodnie z pańskim oryginalnym planem. Z czasem wszyscy opętani opuszczą wszechświat. Wtedy będziemy mogli rozpocząć prawdziwą kontrofensywę, i to pod znacznie mniejszym naciskiem niż obecnie.

- Czy to decyzja Rady? - Zapytał Samuel.

- Tak - potwierdził prezydent. - Z jednym głosem wstrzymującym - dodał, spoglądając na Cayeaux. Ambasador edenistów ze spokojem odwzajemnił to spojrzenie. Edenizm i Ziemia były dwoma pozostałymi stałymi członkami Rady. Przyznano im tę pozycję z uwagi na liczbę ludności. Tworzyły też potężny blok, gdyż rzadko się zdarzało, żeby w zasadniczych sprawach politycznych doszło między nimi do rozbieżności. Rzecz jasna, w kwestiach etycznych edenisci niemal zawsze mieli odrębne zdanie.

- Zadają nam zbyt wielkie straty - oznajmił wyrażającym umiarkowanie tonem ambasador Ziemi. - Fizyczne i ekonomiczne. Nie wspominając już o ciosie dla morale, jakim stał się Trafalgar i, niestety, również nasze arkologie. Musimy to powstrzymać. Nie wolno nam okazać słabości.

- Rozumiem - rzekł naczelny admirał. - W układzie planetarnym Avon nadal stacjonuje zasadnicza część sił admirała Kolhammera. Moleta, ile czasu będziemy potrzebowali, żeby wprowadzić je do akcji?

- Za osiem godzin możemy się spotkać z okrętami adamistów nad Kotcho - odparł Kolhammer. - Eskadry jastrzębi będą potrzebowały nieco więcej czasu, żeby się zebrać. Większość powinna dołączyć do nas po drodze.

- To znaczy, że będziemy mogli zaatakować Organizację za trzy dni - stwierdził Samuel. - Chciałbym poświęcić trochę czasu na wzmocnienie naszych sił. Taktyczne symulacje sugerują, że potrzebowalibyśmy co najmniej tysiąca okrętów, żeby pokonać Ala Capone w walnej bitwie. Będziemy musieli wezwać odwody z flot planetarnych.

- Ma pan tydzień - oznajmił prezydent.

Wieści o Trafalgarze rozchodziły się po zaświatach, aż wreszcie dotarły na Monterey. Niektórzy przyjęli je z radością.

- Dokopaliśmy skurwysynom - zakrzyknął radośnie Al. Pływali z Jez w basenie Hiltona, gdy Patricia przyniosła tę wiadomość.

- No jasne, szefie - zgodziła się Patricia. - Tysiące ludzi z załóg wylądowało w zaświatach. Uśmiechała się promiennie. Al nie pamiętał, kiedy ostatnio widział ją w takim nastroju.

Jezzibella skoczyła mu na plecy, oplótła ramionami jego szyję, a nogami objęła go w pasie. Znowu grała beztroską nastolatkę, odzianą w złote mikrobikini.

- Aha.

Opryskała go.

- A nie mówiłam?

Zanurzył ją pod wodę. Wypłynęła z radosnym śmiechem niczym Wenus.

- Co z asteroidą? - Zapytał Al. - Czy załatwiliśmy naczelnego admirała?

- Chyba nie - odparła Patricia. - Wygląda na to, że antymateria eksplodowała na zewnątrz.

Asteroida jest nietknięta, ale nie nadaje się do użytku.

Al przechylił głowę na bok, nasłuchując niezliczonych szeptów powtarzających to samo błaganie. Potrwało chwilę, nim zdołał odsiać nonsensowne tło, ale w końcu w jego umyśle ukształtował się obraz katastrofy.

- To w końcu co się stało? - Zapytała Jezzibella.

- Kingsleyowi nie udało się dostać do środka. Chyba wykryli go naziści z ochrony. Ale i tak zrobił, co do niego należało. Jezu, i to jak. Załatwił wszystkie okręty w kosmoporcie i od chuja innego sprzętu.

Jezzibella okrążyła Ala, stanęła przed nim i uściskała go namiętnie.

- Świetnie. To dobre posunięcie propagandowe.

- Czemu tak myślisz?

- Rozwaliłeś ich maszyny, ale nie zabiłeś zbyt wielu ludzi. Wychodzi na to, że to ty jesteś dobrym facetem.

- Aha. - Potarł nosem jej nos i ucisnął dłońmi tyłeczek. - Chyba masz rację.

Jezzibella obrzuciła Patricję chytrym spojrzeniem.

- Czy ktoś przekazał już dobre wieści Kierze?

- Nie sądzę. - Patricia znowu się uśmiechnęła. - Wiesz co, chyba ja to zrobię.

- Nie wpuści cię do swojego małego getta - stwierdził Al. - Wystarczy, jak zaprosisz ją na uroczystość.

- Urządzamy uroczystość? - Zapytała Jezzibella.

- Hej, dziewczyno, jeśli to nie jest dobry powód, to, kurwa, nie wiem, co mogłoby nim być. Zawiadom Leroya i powiedz mu, żeby dostarczył dobrą gorzałę do sali balowej. Dzisiaj będziemy się bawić!

\*

Kiera stała przed oknem, spoglądając na spoczywające na cokołach jastrzębie. Żałosne, jazgotliwe głosy dobiegające z zaświatów usiłowały uzmysłowić jej skalę katastrofy, która spotkała Trafalgar. Triumf Organizacji doprowadzał ją do furii. Al Capone okazał się znacznie trudniejszym przeciwnikiem, niż się jej zdawało na początku buntu. Nie chodziło tylko o magię jego nazwiska ani o spryt, jaki okazał, przejmując kontrolę nad Organizacją. Te dwa czynniki z czasem utraciłyby

znaczenie. Miał też piekielnie dużo szczęścia. Zniszczenie stacji produkującej antymaterię na pewien czas przechyliło szalę na jej korzyść. Po odwołaniu lotów infiltracyjnych nastroje we flocie zrobiły się niespokojne. A teraz wydarzyło się to. Al Capone świetnie zdawał sobie sprawę z jej buntowniczych planów, mimo że nie zrobiła niczego jawnie. Jak dotąd.

Choć nie widziała tego z okna, w jednej trzeciej długości półki cumowniczej ten mały dłubacz Emmet Mordden starał się przywrócić do stanu używalności jedną ze zniszczonych przez nią rafinerii płynu odżywczego. Gdyby mu się udało, oznaczałoby to dla niej dotkliwą porażkę. Jeden z głosów, szczególnie przymiłny, poinformował ją, że wskutek eksplozji zginęła przynajmniej jedna eskadra jastrzębi.

- Niech to chuj! - Warknęła Kiera. Przestała słuchać podstępnego, bezcielesnego bełkotu. - Nie wiedziałam, że planuje coś takiego.

Jej dwaj główni współpiskowcy, Luigi Balsamo i Hudson Proctor, popatrzyli na siebie nawzajem. Wiedzieli, że gdy Kiera jest w takim nastroju, życie staje się niebezpieczne.

- Ja też nie wiedziałem - zapewnił Luigi. Siedział na jednej z długich kanap, popijając znakomitą kawę i przyglądając się uważnie Kierze. - Al jakiś czas temu zużył trochę antymaterii do tajnego projektu, ale nie podejrzewałem, że to może być coś w tym rodzaju. Trzeba przyznać, że to znacznie zwiększył jego popularność wśród załóg.

- Ten barbarzyńca jest za głupi, żeby wykombinować coś takiego - warknęła Kiera. - Założę się, że to ta mała kurwa poddała mu tę myśl!

- Jest bystra jak na kurwę - zauważył Hudson Proctor.

- Za bystra - odparła Kiera. - Pewnego dnia z przyjemnością jej to powiem.

- To nam utrudnia zadanie - wtrącił Luigi. - Ostatnio rozmawiałem z wieloma ludźmi. Pomysł powrotu na planetę był bardzo popularny.

- Nadal jest - stwierdziła Kiera. - Na jak długo wystarczy mu ten triumf? Na tydzień? Dwa? Na dłuższą metę to nic nie zmieni. On nie ma nic więcej do zaoferowania. Zabiorę Organizację ze sobą na Nową Kalifornię, a on i ta jego mała suka mogą tu sobie siedzieć na dupach, dopóki reszta Sił Powietrznych Konfederacji nie przybędzie z wizytą. Ciekawe, jak to mu się spodoba.

- Będziemy nadal się starać - obiecał Luigi.

- Może uda mi się obrócić to na naszą korzyść - zastanawiała się Kiera. - Pod warunkiem, że uda się wytłumaczyć załogom, że to właściwie tylko propagandowe posunięcie, które z pewnością zdrowo wkurzyło ocalałe dziewięćdziesiąt dziewięć procent Sił Powietrznych Konfederacji.

- Które zapewne zapragną rewanzu - dodał podekscytowany Hudson.

- Tak jest. A jest tylko jedno miejsce, w którym będziemy przed nimi bezpieczni.

Kolumnowy projektor AV ustawiony na szklanym stoliku przed kanapą wydał z siebie głośny pisk. Poirytowana Kiera podeszła do niego i wpisała hasło odbioru. Patricia Mangano chciała zapytać, czy już słyszeli wspaniałe wieści z Trafalgara, i zaprosić ich na uroczystość urządzaną przez Alę dziś wieczorem.

- Przyjdziemy - zapewniła słodkim głosem Kiera i przerwała połączenie.

- Idziemy tam? - Zapytał zdumiony Hudson Proctor.

- Oczywiście. - Uśmiech Kiery wyrażał stuprocentową złośliwość. - To będzie idealne alibi.

\*

"Mindori" okrążył przeciwbrotowe wrzeciono i opadł na cokół wyznaczony przez Hudsona Proctora. Rocio nie zwinął pola odkształcającego piekielnego jastrzębia natychmiast po wylądowaniu. Na skalnej półce działo się coś, co przyciągnęło jego uwagę. Kilku nieopętanych w skafandrach skupiło się wokół jakiejś maszyny przytwierdzonej do urwiska.



- Jak długo to już trwa? - Zwrócił się do Pran Soo w trybie rozmowy indywidualnej.

- Od dwóch dni.

- Czy ktoś wie, co oni kombinują?

- Nikt, ale to nie ma nic wspólnego z Kierą.

- Na pewno? Na półce są wyłącznie systemy związane z obsługą jastrzębi i czarnych jastrzębi.

- Znalezienie źródła pokarmu dla nas byłoby w tej chwili dla Ala Capone oczywistym ruchem

- zauważył Pran Soo. - Wygląda na to, że wreszcie zaczynają się przed nami otwierać jakieś opcje.

- Nie przede mną - sprzeciwił się Rocio. - Jemu zależy tylko na tym, żebyśmy wzmocnili flotę Organizacji. Z pewnością zaoferuje nam lepsze warunki niż Kiera, ale i tak zostaniemy wciągnięci w konflikt. Moim celem pozostaje uzyskanie całkowitej autonomii dla nas wszystkich.

- W tej chwili piętnastu z nas jest gotowych służyć ci potajemną pomocą. Jesteśmy przekonani, że jeśli uda się uruchomić sprzęt z Almadena, większość pozostałych przyłączy się do nas. Z kilkoma istotnymi wyjątkami.

- Właśnie, gdzie jest Etchells?

- Nie mam pojęcia. Jeszcze nie wrócił.

- Niemożliwe, żeby aż tak nam się poszczęściło. Sprawdziłeś w sieci Montereja, czy potrzebny nam sprzęt elektroniczny nadal jest dostępny?

- Tak. Możemy wszystko dostać, ale nie wiem, jak to stamtąd zabierzemy. Musielibyśmy się zwrócić bezpośrednio do Organizacji. Masz zamiar z nią negocjować? Flota nadal chce, żebyśmy patrolowali przestrzeń wokół planety. To nie jest zadanie bojowe.

- Nie. Al Capone nie będzie zadowolony z umowy, jaką zawarłem z Almadenem. Pozbawiłem go dostępu do tamtejszej bazy przemysłowej. Jestem przekonany, że możemy zdobyć potrzebny sprzęt bez pomocy z zewnątrz.

Rocio połączył się z siecią komunikacyjną Montereja za pomocą technobiotycznych procesorów kapsuły podtrzymywania życia "Mindori". Poprzednim razem po prostu włamał się do sieci czujników wizualnych, żeby zlokalizować magazyn żywności dla Jeda. To było proste, tym razem jednak stanął przed nieporównanie trudniejszym zadaniem. Przy pomocy Pran Soo uzyskał dostęp do danych centrum obsługi i dowiedział się, gdzie fizycznie znajdują się poszukiwane przedmioty. Ta informacja nie była tajna, ale i tak zalogowali się za pomocą fałszywego hasła, by mieć pewność, że nie zostawią żadnych dowodów. Następnie Rocio przesłał zamówienie na wszystkie pozycje z listy. System przydziału części zamiennych stworzony przez Emmeta Morddena miał kilka protokołów bezpieczeństwa. Rocio musiał uruchomić zestaw procesorów piekielnego jastrzębia, żeby obejść zabezpieczenia za pomocą potężnego programu łamiącego kody. Gdy weszli do systemu, polecił dostarczyć części do warsztatu w sekcji kosmoportu znajdującej się poza jurysdykcją Kiery.

- Znakomicie - ucieszył się Pran Soo. - I co teraz?

- To proste. Wystarczy po nie pójść.

Jed przyjrzał się zaprojektowanej przez Rocia trasie, starając się wykryć błędy. Jak dotąd nie zauważył żadnego. Rocio pokazywał mu mapę na wielkim ekranie w salonie, ale można ją było załadować do procesora skafandra. Jed wyświetlił ją sobie na szybie hełmu, żeby nie musieć polegać na dyrektywach Rocia. Aby dotrzeć do wyznaczonej śluzy, będzie musiał przejść cały kilometr po półce, nie skarżył się jednak, mimo że znowu musiał włożyć zgniatacz jąder. Opętani nie mogli używać skafandrów, dlatego dopóki będzie na zewnątrz, żaden ze skurwysynów nie zbliży się do niego. Kłopoty zaczną się, kiedy znajdzie się w środku. Znowu to samo!

- Za pięćdziesiąt minut ma się rozpocząć huczna feta - oznajmił Rocio. Jego twarz zajmowała mały kwadrat w prawym górnym rogu ekranu. - Wtedy właśnie powinieneś wykonać misję. Większość opętanych pójdzie na zabawę, co powinno zmniejszyć ryzyko wpadki.

- Dobra - mruknął Jed. Trudno mu się było skupić. Beth siedziała na kanapie obok niego, a Gerald chodził w kółko za jego plecami, mamrocząc coś bez sensu pod nosem.

- Połowę części już dostarczono do warsztatu - kontynuował Rocio. - Na tym polega uroda zautomatyzowanych systemów, jakich używa się na Montereyu. Mechanoidy transportowe nie mogą zadawać pytań, bo na miejscu nie ma nikogo, kto by na nie odpowiedział. Zostawiają po prostu sprzęt i jadą po następny ładunek.

- Aha, wiemy - odezwała się Beth. - Jesteś cholernym geniuszem.

- Nie każdy potrafiłby to zrobić w tak pięknym stylu.

Jed i Beth wymienili spojrzenia. Przesunął dłoń nad udem dziewczyny i uszczypnął ją mocno.

- Pięćdziesiąt minut - wyszeptała.

Gerald okrążył kanapę i zatrzymał się przed wielkim ekranem. Uniósł rękę i przesunął ją wzdłuż zielonej, kropkowanej linii symbolizującej drogę z "Mindori" do śluzy. Jego palce głąskały lekko szkło.

- Pokaż mi ją - zażądał. - Pokaż mi Marie.

- Nie mogę. Przykro mi - odparł Rocio. - Sieć nie dociera do części asteroidy, w której zabarykadowała się Kiera.

- Zabarykadowała się? - Twarz Geralda poczerwieniała pod wpływem nagłego niepokoju. - Czy coś się jej stało? Czy Al Capone do niej strzela?

- Nie, nie. Nic w tym rodzaju. To tylko polityka. Trwa wielka przepychanka o władzę nad Organizacją. Kiera chce mieć pewność, że nikt jej nie będzie szpiegował elektronicznie.

- W porządku.

Gerald skinął powoli głową. Zaciśnął ręce tak mocno, że aż kości trzasnęły.

Jed i Beth czekali z niepokojem na dalszy ciąg. Tego typu zachowanie zwykle zwiastowało jakieś żądania.

- Pójdę z Jedem - oznajmił Gerald. - Będzie potrzebował pomocy.

Rocio wydał z siebie głęboki chichot.

- Nie ma mowy. Przykro mi, Geraldzie, ale jeśli cię wypuszczę, już więcej cię nie zobaczymy. A na to nie możemy pozwolić, prawda?

- Pomogę mu, naprawdę pomogę. Nie narobię kłopotów.

Beth skuliła się na kanapie, nie patrząc nikomu w oczy. Żalodne błagania Geralda były straszliwie żenujące. Jego stan fizyczny również nie wydawał się nadzwyczajny. Skórę zlewał mu pot, a pod oczyma miał wielkie worki.

- Nic nie rozumiesz. - Gerald odsunął się od ekranu. - To moja ostatnia szansa. Słyszałem waszą rozmowę. Nie zamierzasz tu wrócić. Tu jest Marie! Muszę ją odnaleźć. To jeszcze dziecko. Moja mała. Muszę jej pomóc, muszę.

Dygotał gwałtownie, jakby miał zaraz się rozplakać.

- Pomogę ci, Geraldzie - zapewnił Rocio. - Daję słowo. Ale nie w tej chwili. To jest dla nas bardzo ważne. Musisz okazać cierpliwość.

- Cierpliwość? - To słowo zabrzmiało jak zdławione westchnienie. Gerald odwrócił się, unosząc ręce. - Nie! Dość już tego.

Wyciągnął z kieszeni laserowy pistolet.

- Jezu - jęknął Jed. Dotknął odruchowo własnej kurtki, choć wiedział, że nic to nie da. To

była jego broń.

Beth spróbowała wstać, ale przeszkodził jej gwałtowny ruch spanikowanego chłopaka.

- Geraldzie, nie rób tego - zawołała.

- Ona prosi, ja każe - oznajmił stanowczo Rocio.

- Zabierz mnie do Marie! Nie żartuję. - Gerald wycelował z lasera w obejmującą się parę.

Podszedł szybko do kanapy i zatrzymał soczewkę lufy kilka centymetrów od czoła Jeda. - Nie próbuj używać swojej energistycznej mocy. To nic nie da. - Uniósł wolną ręką bluzę, odsłaniając kilka baterii oraz blok procesorowy, połączone ze sobą różnymi przewodami. Na małym ekranie bloku powoli obracał się wokół osi szmaragdowy, spiralny stożek. - Jeśli dojdzie do zakłóceń, wszystkich nas rozerwie na strzępy. Potrafię ominąć zabezpieczenia baterii. Nauczyłem się tego dawno temu. Jeszcze na Ziemi, zanim to wszystko się zaczęło. To ja zabrałem stamtąd Marie i Loren, chciałem zacząć nowe życie. Miało być lepsze. Ale nie było. Chcę odzyskać córkę. Chcę wszystko naprawić. Pomożecie mi w tym. Wszyscy.

Jed patrzył prosto na Geralda. Zauważył, że mężczyzna mruga co chwila, jakby cierpiał ból. Zaczął bardzo powoli odsuwać Beth od siebie.

- Idź - powiedział, kiedy zaczęła się sprzeciwiać. - Gerald cię nie zastrzeli. Prawda, Geraldzie? To ja jestem twoim zakładnikiem.

Ręka trzymająca pistolet laserowy zdrząła niepokojąco, ale nie wystarczająco silnie, by Jed mógł się wymknąć. I tak zresztą by tego nie zrobił, z uwagi na baterie.

- Zabiję cię - wysyczał Gerald.

- Pewnie. Ale nie Beth.

Jed nadal odpychał od siebie dziewczynę, aż wreszcie wstała z kanapy.

- Chcę do Marie.

- Dobra, zabiorę cię do niej, ale musisz wypuścić Beth.

- Jed! - Sprzeciwiła się dziewczyna.

- Uciekaj, maleńka.

- Nie ma mowy. Geraldzie, odłóż ten cholerny pistolet i wyłącz blok.

- Ja chcę do Marie! - Wrzasnął Gerald. Beth i Jed wzdrygnęli się wyraźnie. Gerald przycisnął lufę pistoletu do skóry chłopaka. - Natychmiast! Musicie mi pomóc! Wiem, jak bardzo boicie się zaświatów. Wiem, co robię.

- Geraldzie, z całym szacunkiem, chuj wiesz o...

- Zamknij się! - Mężczyzna dyszał, jakby w pomieszczeniu było za mało powietrza. - Kapitanie, dlaczego boli mnie głowa?

Ostrzegałem, żebyś nie używał energistycznej mocy.

- Nie robię tego, Geraldzie - zapewnił pospiesznie Rocio. - Sprawdź bok. Nie ma żadnych zakłóceń, prawda?

- Jezu, Geraldzie! - Zawołała Beth. Spróbowała usiąść, ale z jej nóg odpłynęła siła.

- Wybuch będzie wystarczająco silny, żeby wybić dziurę w kadłubie.

- Nie wątpię w to, Geraldzie - odparł Rocio. - Okazałeś się bardzo sprytny. Przechytrzyłeś mnie. Nie będę ci się sprzeciwiał.

- Myślisz, że jeśli tam pójde, na pewno mnie złapią, tak?

- To wydaje się bardzo prawdopodobne.

- Ale i tak potem stąd odleciez, prawda? To co cię obchodzi mój los?

- Pod warunkiem, że dostanę części.

- Sam widzisz. - Gerald zachichotał histerycznie. - Pomogę Jedowi przynieść części, a potem

pójdę poszukać Marie. To proste. Sam powinieneś na to wpaść.

- Rocio? - Odezwała się Beth, spoglądając błagalnie na maleńki fragment ekranu zajmowany przez jego twarz.

Rocio rozważył stojące przed nim opcje. Negocjacje z szaleńcem nie zapowiadały się obiecująco, a zwlekanie nic mu nie da. Czas miał krytyczne znaczenie. Zostały mu najwyżej cztery godziny, zanim skończy wchłanianie płynu odżywczego. I tak robił to bardzo powoli. Taka szansa już się nie powtórzy.

- Zgoda, Geraldzie. Pójdiesz z Jedem. Ale pamiętaj, że w żadnym wypadku nie wpuszczę cię z powrotem na pokład. Rozumiesz, Geraldzie? Będziesz musiał radzić sobie sam.

- Tak. - Wyglądało to tak, jakby pistolet laserowy nagle stał się dwudziestokrotnie cięższy. Ręka Geralda zwisała bezwładnie u jego boku. - Pozwolisz mi odejść? Do Marie? - Jego głos przeszedł w pełen niedowierzania pisk. - Naprawdę?

Beth nie odzywała się ani słowem, gdy Jed i Gerald wkładali skafandry. Pomogła im zamknąć hełmy i sprawdziła systemy plecakowe. Potem kombinezony zamknęły się wokół nich. Na piersi Geralda wyraźnie uwypuklały się baterie. Kiedy wciskał się w obszerny worek, miała kilka okazji, by wyrwać mu pistolet, ale powstrzymała ją myśl o tym, co mógłby wtedy zrobić. Nie był już oszołomionym, zranionym ekscentrykiem, którym opiekowała się od czasu Koblatu. Jego choroba przeszła w nowe, potencjalnie śmiertelne stadium. Wierzyła, że naprawdę się wysadzi, jeśli ktoś spróbuje go powstrzymać.

Pocałowała Jeda, nim zamknął zasłonę.

- Wróc - wyszeptała.

Uśmiechnął się do niej odważnie. Śluz się zamknęła. -

Rocio! - Krzyknęła dziewczyna do najbliższej soczewki AV. - Co ty kombinujesz? Na sto procent ich złapią. Jezu, trzeba było ich zatrzymać.

- Zaproponuj jakąś alternatywę. Gerald jest niebezpiecznie nieźrównoważony, ale ta sztuczka z bateriami była sprytna.

- Jak to się stało, że nie zauważyłeś, kiedy je zmontował? Dlaczego nas nie obserwujesz?

- Naprawdę chcesz, żebym patrzył na wszystko, co robicie?

Beth zaczerwieniła się.

- Nie, ale myślałam, że będziesz pilnował, czy nie wykręcimy ci jakiegoś numeru.

- Ty i Jed nie stanowicie dla mnie zagrożenia. Przyznaję, że popełniłem błąd, jeśli chodzi o Geralda. Poważny. Ale jeśli Jedowi uda się zdobyć części, to nie będzie miało znaczenia.

- Dla Geralda będzie! Złapią go. Wiesz, że tak będzie. Nie zniesie tego po raz drugi.

- Wiem, ale nic na to nie poradzę. Ty również nie. Pogódź się z tym. Będziesz musiała z tym żyć. To nie ostatnia tragedia, jaka spotka cię w życiu. Przykro mi, ale tak już jest. Po uwolnieniu się od Geralda będziemy mogli wrócić do ważniejszych spraw. Jestem wam wdzięczny za fizyczną pomoc. I przekażę was edenistom. Masz na to moje słowo, cokolwiek ono jest warte. Nie mogę ci dać nic więcej.

Beth wróciła na mostek. Większość ekranów wypełniały obrazy przekazywane przez kamery i instrumenty obserwacyjne. Nie dotykała żadnego z przyrządów, usiadła tylko w wielkim fotelu, starając się obserwować maksymalnie dużo ekranów jednocześnie. Na jednym z nich dwie sylwetki w skafandrach szły po gładkiej ścianie półki. Na innych widziała drzwi śluz, okna oraz różną maszynę. Pięć dalszych wyświetlało obrazy pochodzące z wnętrza asteroidy: parę pustych korytarzy, warsztat, w którym znajdowały się cenne części zwinięte przez Rocia, oraz dwa ujęcia holu Hiltona, w którym zbierali się już goście Ala Capone.

Do sali weszła niewiele starsza od Beth dziewczyna, której towarzyszyło dwóch przystojnych mężczyzn. Większość gości oglądała się za nią, trącąc się wzajemnie łokciami.

Beth skrzywiła się na widok pięknej twarzy dziewczyny.

- To ona, prawda? To jest Kiera?

- Tak - potwierdził Rocio. - Ten mężczyzna po prawej to Hudson Proctor. Drugiego nie znam. Jakiś biedny ogier, którego morduje w łóżku. To totalna dziwka.

- Tylko nie mów o tym Geraldowi, na litość boską.

- Nie miałem takiego zamiaru. No wiesz, większości opętanych odbija na punkcie seksu.

Kiera nie jest żadnym wyjątkiem.

Beth zadrżała.

- Jak daleko Jed musi zajść?

- Dopiero zaczął. Nie martw się. Droga jest wolna, a części na niego czekają. Za dziesięć minut wróci.

- Jeśli Gerald czegoś nie spieprzy.

\*

Bernhard Allsop nie żałował, że nie wybrał się na przyjęcie. Nie lubił ważniaków służących Alowi. Wszyscy śmiali się z niego za jego plecami. Czy opętani, czy nie opętani traktowali go z szacunkiem, jak wkurzonego grzechotnika. Nie przejmował się tym. Znajdował się w samym sercu wydarzeń, a Al mu ufał. Nie zdegradował go ani nie odesłał na planetę, jak wielu namiestników, którzy nie spełniali jego oczekiwań. Zaufanie Ala znaczyło znacznie więcej niż śmiech tych głabów.

Dlatego Bernhard nie skarżył się, gdy wylosował tę służbę. Nie bał się ciężkiej pracy. A to był jeden z najważniejszych projektów Ala. Tak powiedział sam Emmet Mordden. Ustępował znaczeniem tylko atakowi na Trafalgar. Dlatego pracy nie przerwano nawet podczas przyjęcia. Mieli do naprawienia całą masę maszyn. To miało coś wspólnego z piekielnymi jastrzębiami. Bernhard nie interesował się zbytnio technicznymi szczegółami. W domu, w Tennessee, naprawiał silniki samochodowe, ale wszystko, co było bardziej skomplikowane niż turbina, lepiej było zostawić jajogłowym.

Nie miał właściwie nic przeciwko temu. To znaczyło, że nie musi sobie brudzić rąk, a tylko pilnować facetów wyznaczonych przez Emmeta do tego zadania. Wypatrywać zdradzieckich myśli w umysłach nie opętanych i dopilnować, by zrobili, co im kazano.

A potem Al będzie wiedział, że Bernhard Allsop znowu wykonał zadanie.

Droga z głównych pomieszczeń mieszkalnych Monterey do sekcji półki cumowniczej, w której prowadzono prace, była daleka. Bernhard nie miał pojęcia, co dzieje się za wszystkimi drzwiami, które mijał. W tej części skały znajdowały się głównie warsztaty i magazyny. Większość z nich opuszczono, gdy Organizacja przejęła asteroidę od floty Nowej Kalifornii. W długich kilometrach dobrze oświetlonych, ciepłych korytarzy, tworzących trójwymiarową sieć, nie było nikogo poza garstką mechanoidów i techników. Co jakieś dwieście metrów umieszczono wielkie awaryjne drzwi ciśnieniowe, umożliwiające Bernhardowi orientację w labiryncie. Wszystkie oznaczono numerami oraz literami, które określały położenie. Po kilku razach człowiek znajdował tu drogę łatwo jak na Manhattanie.

Drzwi 78D4, dziesięć minut drogi od rafinerii płynu odżywczego. Przeszedł nad grubym metalowym pierścieniem i ruszył korytarzem biegnącym równoległe do półki. Wiedział, że korytarz musi się zakrzywiać, ale nigdy nie udało mu się tego zauważyć. Drzwi po lewej prowadziły do kilku warsztatów naprawczych o długich oknach wychodzących na półkę cumowniczą, pokoju wypoczynkowego, śluzy oraz dwóch pomieszczeń ze skafandrami. Po prawej stronie było tylko

dwoje drzwi: do punktu obsługi mechnoidów oraz do warsztatu elektronicznego.

Usłyszał cichy, metaliczny zgrzyt i uniósł spojrzenie. Drzwi 78D5, sześćdziesiąt metrów przed nim, zamykały się powoli. Pożyczone serce Bernharda zabiło gwałtownie. To działo się tylko wtedy, gdy dochodziło do utraty powietrza. Odwrócił się błyskawicznie. Drzwi 78D4 zamknęły się na jego oczach.

- Hej - zawołał. - Co tu jest grane?

Nie zapaliły się czerwone światła ani nie zabrzmiał sygnał alarmowy jak na ćwiczeniach. Zapadła niepokojąca cisza. Uświadomił sobie, że wentylatory przestały działać. Z pewnością ich przewody również się zamknęły.

Bernhard pobiegł ku drzwiom 78D5, wyciągając z kieszeni blok procesorowy. Gdy wcisnął klawisze wywołujące centrum kontroli, pojawił się napis: POŁĄCZENIE SIECIOWE NIEDOSTĘPNE. Wpatrzył się w te słowa ze zdziwieniem i irytacją. Potem rozległ się syk, który nagle nabral znacznej głośności. Zatrzymał się i znowu obejrzał za siebie. W połowie długości korytarza otwierały się drzwi śluzy prowadzącej na półkę. Emmet raz po raz powtarzał, by uspokoić członków Organizacji pochodzących z dawnych wieków, że nie jest możliwe, by obie pary drzwi śluzy otworzyły się jednocześnie.

Bernhard zawył z gniewu i przerażenia. Popędził sprintem do 78D5. Uniósł rękę, wypuszczając z niej strumień białego ognia, który uderzył w drzwi, zamieniając się w fioletowe iskierki. Po drugiej stronie był ktoś, kto odbijał jego energistyczną moc.

Powietrze uciekało na zewnątrz z siłą huraganu, oplatając jego ciało kosmykami białej mgły. Uderzył w drzwi kolejną białą błyskawicą. Tym razem impuls rozproszył się jeszcze przed matową metalową powierzchnią.

Ktoś próbował go zabić!

Dotarł do potężnej płyty drzwi i zaczął tłuc w umieszczone w ich centralnym punkcie okienko. Wicher szarpał jego ubraniem, zawodząc z każdą chwilą słabiej. Po drugiej stronie ktoś się poruszał. Wyczuwał dwa umysły; jeden z nich wydawał mu się znajomy. Wypełniało je łatwe do zauważenia zadowolenie.

Bernhard otworzył usta i przekonał się, że właściwie nie ma czego wciągnąć w płuca. Otoczył się energistyczną mocą, wzmocnił swe ciało, walcząc z bolesnym mrowieniem przebiegającym po jego skórze. Serce waliło mu jak szalone.

Walnął w drzwi, zostawiając w ich brzegu lekkie wgniecenie. Uderzył po raz drugi. Pierwsze wgniecenie wygładziło się z czerwonym blaskiem.

- Na pomoc! - Wrzasnął. Podciśnienie wyrwało mu haust powietrza z gardła, ale krzyk był skierowany do otaczających go niezliczonych dusz. Powiedzcie Alowi Capone, błagał je bezgłośnie. To Kiera!

Trudno mu było skupić uwagę na nieustępliwych drzwiach.

Uderzył w nie po raz kolejny. Na metalu pojawiła się czerwona plama. Tym razem była to ciecz, nie efekt energistycznej mocy zniekształcającej rzeczywistość. Bernhard osunął się na kolana, drapiąc paznokciami metal. Otaczające go dusze stawały się coraz wyraźniejsze.

\*

- Co to było? - Zapytał Jed. Nie odzywał się do Geralda od chwili, gdy opuścili "Mindori", a i wtedy powiedział mu tylko, w którą stronę muszą się udać. Szli razem, mijając pochłaniające płyn odżywczy piekielne jastrzębie. Znaleźli się w sekcji półki, nie będącej ani pod zwierzchnictwem Kiery, ani Ala Capone. Na ziemi niczyjej. Fioletowe ikony fizjologiczne widoczne na szybie hełmu jak zwykle nie mówiły nic dobrego. Serce biło mu za szybko, a temperatura ciała była wyższa, niż

należało. Tym razem obeszło się jednak bez dawki, która uspokoiłaby rozdygotane myśli. Jak dotąd.

- Masz jakieś problemy? - Zapytał Rocio.

- Skąd mam wiedzieć? - Jed wskazał na ścianę urwiska odległą o pięćdziesiąt metrów. Z otwartej śluzy tryskała pozioma fontanna białej pary. - To chyba był jakiś wybuch.

- Marie - wycharczał Gerald. - Czy ona tam jest? Czy coś jej grozi?

- Nie, Geraldzie - odparł Rocio z irytacją w głosie. - Nie ma jej w pobliżu. Jest na przyjęciu u Ala Capone. Pije i świetnie się bawi.

- Mnóstwo powietrza wydostaje się na zewnątrz - odezwał się Jed. - Na pewno doszło do przedziurawienia komory. Rocio, widzisz, co tam się dzieje?

- Nie mam dostępu do instrumentów obserwacyjnych w korytarzu za śluzą. Całą sekcję sieci izolowano. W centrum kontroli środowiska asteroidy nie podniesiono nawet alarmu. Korytarz jest szczelnie zamknięty. Ktoś zadał sobie mnóstwo kłopotu, żeby ukryć coś, co tam robi.

Gaz przestał wypływać.

- Mamy iść dalej? - Zapytał Jed.

- Jak najbardziej. W nic się nie mieszajcie. Nie ściągajcie na siebie uwagi.

Jed spojrzał na szereg ciemnych okien nad otwartą śluzą.

- Jasne.

- A dlaczego? - Zapytał Gerald. - Co tam jest? Czemu nie chcesz, żebym to zobaczył? To Marie, prawda? Moja córeczka.

- Nie, Geraldzie.

Gerald postąpił kilka kroków w stronę otwartej śluzy.

- Geraldzie? - W wysokim głosie Beth pobrzmiwało silne napięcie. - Wysłuchaj mnie, Geraldzie. Tam jej nie ma. Rozumiesz? Marie tam nie ma. Widzę ją, w hotelowym holu są kamery. Właśnie na nią patrzę. Daję słowo, stary. Ma na sobie czarno-różową suknię. Nie wymyśliłabym czegoś takiego, prawda?

- Nie! - Gerald zerwał się do biegu, podskakując z wysiłkiem przy każdym kroku. - Kłamiesz.

Jed popędził za nim. Ogarnęła go trwoga. Nic poza wystrzeleniem flary nie mogłoby skuteczniej ściągnąć na nich uwagi.

- Jed - odezwał się Rocio. - Mówię do ciebie na osobistym paśmie skafandra. Gerald nas nie słyszy. Musisz go powstrzymać. Ten, kto otworzył śluzę, na pewno nie ucieszy się na jego widok. Taką akcję mogła przeprowadzić tylko któraś z większych frakcji. To może zniszczyć cały nasz plan.

- Jak niby mam to zrobić? Zastrzeli mnie albo wysadzi nas obu.

- Jeśli podniosą przez niego alarm, nikt z nas już nigdy nie opuści tej skały.

- Jezu.

Pogroził bezsilnie pięścią uciekającemu szaleńcowi. Od otwartej śluzy dzieliło go już tylko piętnaście metrów.

- Weź dawkę - poradziła Beth. - Uspokój się, nim za nim popędzisz.

- Spierdalaj. - Popędził za Geraldem, przekonany, że cały świat na niego patrzy, a co gorsza śmieje się z niego. Ten dobiegł do śluzy i zniknął wewnątrz. Jed dotarł tam pół minuty później i nigdzie już nie zobaczył zbiega. To była standardowa śluza, taka sama jak ta, przez którą przechodził, gdy poprzednio odwiedzał to cholerne skalne gniazdo czerwi. Ruszył ostrożnie naprzód. - Geraldzie? - Wewnętrzne drzwi były otwarte. To świadczyło, że coś jest bardzo nie w porządku. Jed wiedział wszystko o stosowanych na asteroidach śluzach. Nie można było przypadkowo otworzyć wewnętrznego korytarza na próżnię. Spojrzał po drodze na prostokątny właz i zauważył, że zamykające go bolce są oderwane, a przewody elektryczne stopione. - Geraldzie?

- Tracę twój sygnał - odezwał się Rocio. - Nadal nie mogę się dostać do sieci w tym sektorze. Ten, kto to zrobił, nadal tam jest.

Gerald siedział oparty o ścianę korytarza. Nogi szeroko rozstawił przed sobą. Nie ruszał się.

- Geraldzie? - Zapytał Jed, podchodząc do niego ostrożnie.

Usłyszał w głośnikach skafandra słaby, pełen strachu jęk.

- Wstawaj, Geraldzie. Musimy stąd zmiatać. I dość już tych wariactw. Nie wytrzymam tego dłużej, kapujesz? Naprawdę nie wytrzymam. Głowa mi od tego pęka. - Mężczyzna uniósł bezwładnie dłoń, wskazując za siebie. Jed spojrzał na koniec korytarza. Do gardła podeszły mu wymioty. Ukradzione ciało Bernharda Allsopa rozerwało się w spektakularny sposób, gdy zniknęła wzmacniająca je moc energistyczna. Płuca, najdelikatniejsza i najwrażliwsza z tkanek, eksplodowały natychmiast i z ust trysnął strumień krwi. Tysiące naczyń włosowatych pod skórą popękały, nasączając ubranie kropelkami krwi. Wyglądało to tak, jakby jego dwurzędowy garnitur uszyto z jaskrawoszkarałatnego materiału. Materiału, który drżał lekko, jakby był żywy. Krew parowała w próżni, otaczając zwłoki różową mgiełką. Jed nacisnął sterownik na nadgarstku, jakby jego dotyk go parzył. W twarz buchnęło mu suche powietrze przesycone zapachem mięty i sosny. Zaciskał ze wszystkich sił szczęki, żeby powstrzymać wymioty. Skafander nie był na tyle doskonały, by sobie z nimi poradzić. Coś w jego wnętrzu nie wytrzymało. Zakasłał i prychnął, opryskując wewnętrzną powierzchnię szyby ohydną, białawą żółcią. Potem jednak mdłości minęły. - Jezu, została z niego miazga. - Zapach sosny stał się bardzo mocny, pozbawiał czucia jego członki. Ręce Jeda poruszały się straszliwie powoli, choć były lekkie jak wodór. Podobało mu się to odczucie. Z jego ust wyrwał się chichot. - Pewnie nie umiał się pozbierać, nie?

- To nie jest Marie.

Procesor kierujący skafandrem Jeda odwołał alarmową dawkę i natychmiast zastosował antidotum. Doza znacznie przekroczyła dopuszczalne granice. Wokół młodzieńca natychmiast zapadła zima. Chłód był tak dojmujący, że Jed uniósł dłoń do oczu, spodziewając się, że zobaczy szron na gumowatej tkaninie rękawicy. Wielobarwne światła świecące mu drażniąco w oczy stopniowo zmieniły się w cyfry i ikony. Słysząc było nieustające zawodzenie: "Marie, Marie, Marie".

Chłopak ponownie spojrzał na trupa. Wyglądał obrzydliwie, ale tym razem nie było mdłości. Miał wrażenie, że dawka sparaliżowała wszystkie jego narządy wewnętrzne. Dodała mu też pewności siebie. Był teraz przekonany, że z resztą misji poradzi sobie bez trudu.

Potrząsnął ramieniem Geralda, przerywając okropną recytację. Mężczyzna odsunął się od niego.

- Wstawaj, stary, idziemy stąd - powiedział Jed. - Robota na nas czeka. - Jego uwagę nagle przyciągnął jakiś ruch. Ktoś przycisnął twarz do szyby w drzwiach ciśnieniowych. Krew na szkle zniknęła nagle. Nieznajomy spojrzał prosto na Jeda. - O cholera - wykrztusił chłopak. Spokój, który zawdzięczał dawce, opuścił go bardzo szybko. Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył, że wewnętrzne drzwi śluzy zaczynają się zamykać. - No, stary, pora stąd zmiatać. - Podniósł Geralda i oparł go o ścianę. Szyby ich hełmów zetknęły się ze sobą, pozwalając chłopakowi ujrzeć twarz szaleńca za mrugającymi ikonami. Gerald nie zważał na nic, pogrążony w przypominającym senne marzenie transie. Pistolet laserowy wysunął się z jego bezwładnych palców i upadł na podłogę. Jed spojrzał tęsknie na broń, ale postanowił jej nie podnosić. Gdyby doszło do strzelaniny z opętanymi, nie miałby szans. Tylko by ich wkurzył, a to nie był dobry pomysł. Twarz za szybą zniknęła. - Chodź. - Pociągnął Geralda za sobą. Z otworów na suficie trysnęły cienkie strużki szarego gazu. Na szybie skafandra pojawiły się zielone i żółte ikony, meldujące, że ciśnienie tlenu i azotu w korytarzu rośnie. Jed uczeplił się myśli, że opętani nie radzą sobie w próżni. Nie mogli nosić skafandrów, a moc



energistyczna nie zapewniała im osłony. Gdy tylko wróci na półkę, będzie bezpieczny. W miarę.

Kiedy dotarli do drzwi śluzy, Jed dotknął płytki, ale światła na tablicy rozdzielczej się nie zapaliły. Cyfry na szybie skafandra zmieniały się szybko. Ciśnienie osiągnęło już dwadzieścia pięć procent standardowego. Jed puścił Geralda i nacisnął dźwignię sterowania ręcznego. Z początku poruszała się bez oporu, ale nagle szarpnęła się w jego uchwycie. Spojrzał na nią, dziwiąc się, że coś tak prostego jak zamek próbuje zrobić mu krzywdę. Gdy jednak pociągnął za drzwi, otworzyły się.

Gerald przeszedł na drugą stronę, posłuszny jak mechanoid. Jed zamknął za nimi drzwi z radosnym śmiechem.

- Wszystko z wami w porządku? - Zapytał Rocio. - Co się stało?

- Jed? - Zawołała Beth. - Jed, słyszysz mnie?

- Jasne, stokrotko. Przeciwnik jest za słaby, żeby mi podskoczyć.

- Nadal jest na haju - stwierdził Rocio. - Ale już mu przechodzi. Jed, dlaczego użyłeś modułu medycznego?

- Nie truj, stary. Jezu, zrobiłem, czego ode mnie oczekiwałeś, tak? - Dotknął zamka zewnętrznych drzwi śluzy. O dziwo, zielone światła zmieniły barwę na żółtą. - Sam byś puścił pawia na parę megawatów, gdybyś zobaczył to co ja.

- A co zobaczyłeś? - Zapytał Rocio łagodniejszym tonem, przypominającym głos, jakim pani Yandell zwracała się do grupy młodszych dzieci. - Co to było, Jed?

- Trup. - Wspomnienie drżącej, szkarłatnej tkaniny stłumiło irytację wywołaną tonem Rocia. - Jakiś gość dał się złapać w próżni.

- Wiesz, kto to był?

- Nie!

Jed zdążył już otrzeźwieć i rozpaczliwie pragnął uniknąć myślenia na ten temat. Spojrzał na tablicę rozdzielczą i z ulgą upewnił się, że śluza funkcjonuje prawidłowo. Na tym jej końcu przyrządy elektroniczne nie były uszkodzone. Nie padły ofiarą sabotażu, poprawił się chłopak.

- Jed, telemetryczne odczyty skafandra Geralda podają dziwne dane - ciągnął Rocio. - Czy on się dobrze czuje?

Jed miał ochotę zapytać: "A kiedy ostatnio czuł się dobrze?".

- Chyba widok ciała nim wstrząsnął. Gdy zobaczył, że to nie Marie, po prostu się zamknął.

Jed z pewnością nie zamierzał się na to skarżyć. Światła zrobiły się czerwone i drzwi się otworzyły.

- Lepiej stamtąd zmiatajcie - poradził Rocio. - W sieci jeszcze nie ogłoszono alarmu, ale prędzej czy później z pewnością ktoś odkryje morderstwo.

- Jasne.

Złapał Geralda za rękę i pociągnął go za sobą.

Rocio kazał im zatrzymać się pod serią podkowiastych garaży u podstawy urwiska, sto metrów od drzwi, przez które mieli się dostać do środka asteroidy. Parkowały tam trzy ciężarówki, proste pojazdy z napędem na cztery koła, z sześcioma siedzeniami i platformą.

- Sprawdź ich systemy - polecił Rocio. - Będziesz potrzebował jednej z nich, żeby zawieźć do mnie części.

Jed podszedł do samochodów, aktywował ich procesory i uruchomił podstawowe procedury diagnostyczne. Pierwsza miała wyczerpane baterie, ale z drugą wszystko było w porządku. Posadził Geralda na jednym z miejsc dla pasażerów i podjechał ciężarówką do śluzy. Kiedy wewnętrzne drzwi komory się otworzyły, Jed sprawdził odczyt czujników, po czym uniósł szybę. Na Koblacie od

dzieciństwa uczonego go procedur alarmowych i zawsze zachowywał ostrożność w takich sprawach. - W pobliżu nikogo nie ma - zapewnił go Rocio. - Idź po części.

Jed popędził korytarzem, skręcił w prawo i zobaczył szerokie drzwi warsztatu, trzecie po prawej stronie. Otworzyły się, kiedy dotknął płyty zamka. Wszystkie światła się zapaliły i ujrzał prostokątne pomieszczenie o ścianach pokrytych jasnoniebieskimi płytami. Pośrodku stał szereg cybernetycznych modułów narzędziowych, zamkniętych w kryształowych cylindrach chroniących ich delikatne manipulatory. Tylną ścianę zajmowały półki, na których zwykle leżały części zamienne używane w warsztacie. Teraz zostało tylko kilka walających się tu i ówdzie pudełek - pomijając wielki stos dostarczony tu przez mechanoidy.

- Jezu, Rocio - poskarżył się Jed. - Jest ich chyba ze sto. Nie dam rady przenieść tego sam. Musiałbym tyrać do jutra.

Wszystkie części zapakowano w plastikowe pudełka.

- Chyba mam deja vu - odparł gładko Rocio. - Załaduj je na wózek i zwał w komorze śluzy. Wystarczą najwyżej trzy kursy. Dziesięć minut.

- Och, bracie. - Jed przyciągnął wózek do półek i zaczął zrzucać na niego pudełka. - Dlaczego nie kazałeś mechanoidom dostarczyć ich do śluzy?

- Ona nie jest przestrzenią magazynową. Musiałbym je przeprogramować. To nie byłoby trudne, ale ktoś mógłby się zorientować. A tak ryzyko jest mniejsze.

- Jak dla kogo - mruknął Jed.

Do magazynu wszedł Gerald. Chłopak prawie już o nim zapomniał.

- Geraldzie, możesz zdjąć hełm.

Mężczyzna nie odpowiedział.

- Nie możesz tu nosić skafandra, stary. Ktoś na pewno to zauważy. Do tego z czasem się udusisz.

Gerald miał tak zrozczoną minę, że wydawało się, iż zaraz się rozplacze. Dręczony wyrzutami sumienia Jed wrócił do ładowania skrzynek.

- Muszę to odwieźć - oznajmił, gdy już wypełnił wózek. - Zrób mi przysługę i zacznij ładować następny transport.

Gerald skinął głową. Jed nie był przekonany, ale pojechał do śluzy. Kiedy wrócił, Gerald zdążył załadować dwie skrzynki.

- Nie zwracaj na niego uwagi - odezwał się Rocio. - Zrób to sam.

Jed potrzebował jeszcze trzech kursów, by wreszcie zawieźć wszystkie części do śluzy. Gdy ładował wózek po raz ostatni, spojrzał na towarzysza.

- Geraldzie, musisz wziąć się w garść, jasne?

- Zostaw go - rozkazał krótko Rocio.

- Już po nim - stwierdził ze smutkiem Jed. - Wymazało mu mózg. To przez tego trupa. Nie możemy go tu zostawić.

- Nie pozwolę, żeby wrócił na pokład. Wiesz, że stał się niebezpieczny. Nie jesteśmy w stanie mu pomóc.

- Wydaje ci się, że ta banda mu pomoże?

- Jed, on nie przyszedł tu po ich pomoc. Nie zapominaj, że ma owiniętą wokół pasa bombę własnej roboty. Jeśli Al Capone zrobi się nieprzyjemny, czeka go niemiła niespodzianka. Wracaj do śluzy. To o Beth i siostrę powinieneś się teraz martwić.

Jed bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął kolejnej dawki z apteczki skafandra. Czegoś, co złagodziłoby ból wywołany porzuceniem starego szaleńca.

- Bardzo mi przykro, stary. Mam nadzieję, że odnajdziesz Marie. Przykro mi, że jest... Hm, tym, czym teraz jest. Wielu z nas dała nadzieję. Jestem dłużnikiem was obojga.

- Jed, idź już - ponaglił go Rocio.

- Pierdziel się. - Chłopak nakierował wózek na szerokie drzwi. - Życzę szczęścia - zawołał na pożegnanie.

Trudno mu było się zmusić, żeby nie jechać do "Mindori" zbyt szybko. Stawka była za wielka, by mógł ryzykować przyciągnięcie uwagi. Oparł się pokusie przekręcenia dławika, gdy mijali służę, za którą znajdował się trup. Rocio powiedział, że sieć w tym sektorze już działa i drzwi awaryjne się otworzyły, ale nikt dotąd nie znalazł ciała.

Jed podjechał pod piekielnego jastrzębia i zatrzymał się tuż pod jedną z przypominających pąkle ładowni. Rocio otworzył muszelkowate drzwi i Jed zaczął ładować skrzynki na platformę, która opuściła się teleskopowo na dół. Ani na moment nie zapominał, że gdy ostatnia skrzynka znajdzie się na pokładzie, on, Beth i dzieciaki nie będą już potrzebne. A nawet staną się obciążeniem. Dlatego też zdziwił się, gdy pozwolono mu wejść po drabince do służy "Mindori". Kiedy zdjął hełm, zalał go wstyd. Beth stała obok, gotowa pomóc mu w ściągnięciu skafandra. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Gdy uświadomił sobie, co uczynił, nogi się pod nim ugięły. Osunął się na grodz i wybuchnął płaczem. Beth objęła go ramionami.

- Nie mogłeś mu pomóc - wyszeptała. - Nie mogłeś.

- Nawet nie próbowałem. Zostawiłem go tam i już.

- Nie mogliśmy go wpuścić na pokład. Próbował nas wysadzić.

- Nie wiedział, co robi. Jest szalony.

- Nie. Tylko bardzo chory. Jest teraz tam, gdzie chciał być. Blisko Marie.

\*

Jack McGovern powoli odzyskiwał przytomność. Nos przeszywał mu głęboki, kłujący ból. Otworzył powieki i zobaczył, że dotyka twarzą ciemnobrązowego parkietu. W pomieszczeniu było niemal zupełnie ciemno, a on spoczywał w najbardziej niewygodnej z możliwych pozycji. Nogi miał tak wygięte, że stopy wbijały mu się w tyłek, a ręce wykręcone za plecami. W przedramionach czuł pulsujący ból. Nigdy w życiu nie miał większego kaca. Nie był w stanie się poruszyć. Ręce i nogi skrępowano mu czymś, co przypominało rozgrzaną do czerwoności taśmę izolacyjną. Kiedy spróbował jęknąć, przekonał się, że usta również mu zaklejono. Jedno nozdrze zatkała zakrzepła krew.

Ogarnęło go przerażenie. Dyszał ciężko, serce waliło mu jak młotem. Powietrze przedostawało się ze świstem przez wąski otwór, jedyny, jaki mu pozostał. To jeszcze nasiliło jego strach. Omal się nie udusił z powodu hiperwentylacji i głowa rozbolała go jeszcze bardziej. Oczy przesłoniła mu czerwona mgiełka.

Panika trwała przez nieokreślony czas. Wiedział tylko tyle, że gdy odzyskał zdolność widzenia, a wraz z nią powróciły ospałe myśli, oddychał spokojniej. Dzięki swym wysiłkom zdołał się przesunąć o kilka centymetrów. Uspokoił się, pragnąc serdecznie, by kac wreszcie się od niego odpierdolił. Wróciło wspomnienie tego, co wydarzyło się w pubie. Zaklejająca usta taśma nie powstrzymała jęku, który wyrwał się z jego gardła.

Opętany! Napadł go opętany. Ale jego nie opętano, a przecież oni zawsze tak postępowali z ofiarami. Wszyscy o tym wiedzieli. A może to były zaświaty?

Zdołał przetoczyć się na bok i rozejrzeć wokół. Z pewnością nie zaświaty. Znajdował się w jakimś staroświeckim, sześciennym pomieszczeniu. Wysoko na ścianie umieszczono półokrągłe okno. Po przeciwnej stronie leżały stosy starych plakatów reklamowych. Wyblakłe holoforescencyjne

napisy zachwalały akcesoria łazienkowe, jakie niejasno pamiętał z czasów dzieciństwa. Ciężki łańcuch łączył jego kostki z metalowymi rurami biegnącymi od podłogi do sufitu.

Zdołał się przesunąć o całe pół metra, zanim łańcuch się naprężył. Nic, co zrobił później, nie zdołało nawet zarysować rur, nie wspominając już o ich osłabieniu czy odgięciu od ściany. Od drzwi nadal dzieliły go trzy metry. Napinanie mięśni ramion i barków dało mu tylko tyle, że nadgarstki rozboleły go jeszcze bardziej. Nie miał szans ucieczki.

Gdy drzwi wreszcie się otworzyły, kac dawno już minął. Jack nie wiedział, ile czasu upłynęło. Wiele godzin. Przez wysoko umieszczone okno do środka napływało zimne, nocne światło, nadające pokrytym nagim tynkiem ścianom brudnożółtą barwę. Pierwszy do pokoju wszedł opętany, który napadł na niego w pubie. Poruszał się bezszelestnie, a czarna, mnisia szata spowijała go niczym gęsta mgła. Za nim podążało dwoje nastolatków: dziewczyna i chłopak z naburmuszoną miną. Ciągnęli między sobą kobietę w średnim wieku o plecach zgarbionych w wyrazie porażki. Kasztanowe włosy uczesała sobie do góry, ale kilka kosmyków wyrwało się na swobodę i opadało na oczy. Większa część twarzy nie była widoczna, Jack jednak widział malującą się na niej rozpacz.

Chłopak schylił się i pociągnął z całej siły za taśmę, zrywając ją z ust skrepowanego. Jack stęknął z bólu i wciągnął gwałtownie powietrze w płuca.

- Proszę - wydyszał. - Proszę, nie torturujcie mnie. Poddaję się, dobra. Kurwa, nie torturujcie mnie.

- Nawet nam się nie śni - uspokoił go Quinn. - Chcę, żebyś mi pomógł.

- Zgoda! Na sto procent. Zrobię, co zechcesz.

- Ile masz lat, Jack?

- Hm... Dwadzieścia osiem.

- Wyglądasz na starszego. Ale nic nie szkodzi. Wzrost też masz w sam raz.

- Do czego?

- Widzisz, Jack, pofarciło ci się. Upiększemy cię trochę, poprawimy twój wygląd. Kiedy skończymy, będziesz innym człowiekiem. I nie weźmiemy od ciebie ani grosza. Co ty na to?

- Chcecie mi dać nowe ubranie? - Zapytał ostrożnie Jack.

- Niezupełnie. Widzisz, okazało się, że ta pani, Greta, jest wykwalifikowaną pielęgniarką. Oczywiście, niektóre dupki nazwałyby to szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ale my dwaj wiemy, że to bzdura, tak?

Jack uśmiechnął się radośnie.

- Jasne! Pojebana bzdura.

- Zgadza się. Wszystko to część jego planu. Boży Brat pilnuje, żeby wszystko mi się udało. W końcu jestem wybrańcem. Oboje jesteście jego darami.

- Powiedz mu, Quinn - odezwała się Courtney.

Uśmiech zamarł na twarzy Jacka. Mężczyzna uświadomił sobie boleśnie, jak głęboko zapadł w ich wspólne szaleństwo.

- Pielęgniarką?

- Aha.

Quinn skinął na Gretę, nakazując jej podejść bliżej. Jack zauważył, że kobieta trzyma w rękach medyczny pakiet nanoniczny.

- Jezu, kurwa, co chcecie mi zrobić?

- Jezus nie żyje, ty dupku - krzyknęła Courtney. - Nie próbuj go wzywać przy nas. On ci nie pomoże. To fałszywy pan. Quinn jest nowym mesjaszem Ziemi.

- Ratunku! - Zawołał Jack. - Niech ktoś mi pomoże.

- Ale pyskaty wypierdek - zauważył Billy-Joe. - Nikt cię tu nie usłyszysz, chłopcze. Innych też nie słyszeli, a Quinn zadał im znacznie więcej bólu.

- Słuchajcie, powiedziałem, że wam pomogę - mówił zdesperowany Jack. - Zrobię to. Nie próbuję was oszukać. Ale musicie dotrzymać umowy. Mówiliście, że nie będzie tortur.

Quinn podszedł do drzwi, oddalając się od Jacka tak bardzo, jak tylko było to możliwe w małym pokoju.

- Czy teraz działa? - Zapytał Gretę.

Kobieta spojrzała na ekranik bloku procesorowego.

- Tak.

- Dobra. Na początek pozbądź się jego strun głosowych. Billy-Joe miał rację, on za dużo gada. A gdy przyjdzie co do czego, będzie musiał milczeć. To ważne.

- Nie! - Wrzasnął Jack i zaczął się miotać po podłodze.

Billy-Joe ryknął śmiechem i usiadł mu na piersi, wyciskając powietrze z płuc. Uciekło przez wolne nozdrze ze słabym dźwiękiem przypominającym ton fletu.

- Pakiet nie może usunąć strun głosowych - oznajmiła Greta obojętnym, monotonnym głosem.  
- Będę musiała przeciąć nerwy.

- Świetnie - zgodził się Quinn. - Rób, co uważasz.

Gdy kobieta dotknęła jego gardła błyszczącym, zielonym pakietem, Jack patrzył jej prosto w oczy, nawiązując najbliższy kontakt możliwy dla człowieka. Prosił ją, błagał tym spojrzeniem. "Nie rób tego". Równie dobrze mógłby patrzeć w soczewkę zmysłową mechanoida. Pakiet przylegał do jego skóry, miękki i ciepły. Jack zacisnął mięśnie gardła, chcąc powstrzymać inwazję. Po jakiejś minucie zaczęły się jednak rozluźniać. Utracił czucie na całym obszarze od żuchwy aż po barki.

Pozbawienie go głosu było zaledwie początkiem. Zostawili go samego, by pakiet mógł wykonać swoją robotę, po czym cała czwórka wróciła. Tym razem Greta przyniosła pakiet nanoniczny innego rodzaju, maskę z kilkoma wypełnionymi galaretowatym płynem pęcherzami na zewnętrznej powierzchni. Nie było w niej żadnych otworów na oczy.

Potem zaczęła się procedura. Co kilka godzin wracali i zdejmowali mu maskę. Greta wypełniała worki płynem, potem oglądali jego twarz, Quinn wydawał kilka poleceń i maska wracała na miejsce. Od czasu do czasu dawali mu zimną zupę i kubek wody.

Kiedy zostawał sam, ciemność przerażała go swą nieprzeniknionością. Pakiet znieczulał mu twarz. Jego działanie hamowało nawet powstawanie czerwonych plam, które zwykle pojawiały się za zamkniętymi powiekami. Został mu tylko słuch. Nauczył się odróżniać dzień od nocy. Przez okno do środka wpadały rozmaite dźwięki, głównie odgłosy ruchu z wielkiej autostrady biegnącej po nasypie pośrodku Tamizy. Słyszał też łódzie, łabędzie i kłótlive kaczkę. W jego umyśle ukształtowało się wyobrażenie budynku, w którym się znajdował. Był pewien, że jest on wielki i stary. Przez podłogę i rury docierały do niego słabe wibracje. Za dnia panował w nim niewielki ruch. Słyszał furkot wind i łoskot towarzyszący przesuwaniu ciężkich przedmiotów. Żaden z tych odgłosów nie zbliżał się jednak do jego pokoju.

Nocą słyszał krzyki. Krzyczała kobieta. Zaczynała od rozpaczliwego zawodzenia, które z czasem przechodziło w żalostne łkanie. Za każdym razem było tak samo. Głos dobiegał z bliska. Minęło sporo czasu, nim sobie uświadomił, że to Greta. Zdarzały się gorsze rzeczy niż modyfikacja twarzy przez pakiet nanoniczny, ta świadomość nie pocieszyła go jednak zbytnio.

\*

Duchy wiedziały, że Orgathe zbliżają się do północnej czapy biegunowej Valiska. Ich nowe zmysły postrzegały intruzów jako czarne skupiska groźnego głodu unoszące się w powietrzu.

Wystarczyło to, by przewyciężyły lęk przed nienawidzącymi ich ludźmi i uciekły do jaskiń, w których skryli się ich niedawni nosiciele.

Ich obecność stała się dla obrońców kolejną komplikacją. Choć osobowość mogła obserwować latających po habitacie Orgathe, z pewnością nie wiedziała, gdzie wylądują. Erentz i jej krewni musieli pilnować całego obwodu. Doszli do wniosku, że ewakuacja tysięcy chorych, wynędzniałych ludzi z jaskiń położonych na linii frontu będzie niemożliwa. Czas lotu przez całą długość habitatu wynosił zaledwie piętnaście minut, a do Orgathe wylazących z południowej czapy biegunowej dołączyło kilku nowych, którzy przed chwilą wdarli się do wnętrza przez drapacze gwiazd. Nie mieli czasu na przygotowania. Mogli tylko chwycić za broń i uformować się w oddziały mające odeprzeć nowych intruzów. Nawet pozycje zajmowane przez nich wokół czapy biegunowej były dalekie od optymalnych.

- Zaczekajcie, aż dostaną się do środka - mówiła osobowość. - Jeśli zaczniecie strzelać, gdy jeszcze będą w powietrzu, po prostu odlecą. Po wejściu do jaskiń nie będą już mogli uciec.

Orgathe zawahali się, opadając w stronę pustyni. Wyczuwali strach i nienawiść jestestw na dole. Przez kilka minut krążyli nad wejściem do jaskini, nim wreszcie ostatnie duchy skryły się wewnątrz. Potem podążyli w dół.

- Skurwieli jest trzydziestu ośmiu. Przygotujcie się.

Gdy Erentz wydała rozkaz, Tolton mocniej zacisnął ręce na wyrzutni pocisków zapalających. Dłonie miał śliskie od potu. Stał za Dariatem, który zajął pozycję na końcu długiego szeregu swych krewnych, czekających w szpitalu za jedną ze szpitalnych jaskiń. Mógł uważać, że ma szczególny status, ale nie zwolniło go to od udziału w tym morderczym szaleństwie.

W jaskini rozległ się głośny jęk, który szybko przerodził się w słabe krzyki i przekleństwa. Duchy napływały do środka, ignorując obłożnie chorych ludzi, i znikły w głębi labiryntu jaskiń. Przebiegały obok Toltona, otwierając szeroko usta w bezgłośnym ostrzeżeniu. Wyglądały jak przeszywające powietrze plamy wyblakłych barw.

Potem do wejścia dotarł jeden z Orgathe. Jego ciało się wydłużyło, przednia część przeciskała się niecierpliwie przez kręty korytarz, a tylna, bardziej masywna, miotała się gwałtownie, zwiększając impet. Duchy, które ostatnie dotarły do wejścia, zostały pochłonięte przez wijące się wyrostki olbrzymiego stwora. Krzyczały przeraźliwie, gdy odpływała z nich energia życiowa. Ich głosy niosły się na całą czapę biegunową. Inne duchy oraz Dariat słyszały je rzeczywiście, natomiast ludzie odbierali ich cierpienia jako falę głębokiego niepokoju. Tolton popatrzył na wyrzutnię w nadziei, że jej widok go uspokoi, przekonał się jednak, że ręce drżą mu paskudnie.

- Nadchodzi! - Warknęła Erentz.

Orgathe wtargnął do jaskini. Poprzedzała go kaskada zamarzających fragmentów polipa oraz wielobarwna fala przerażonych duchów. Na polipowej podłodze przed nim ustawiono trzy szeregi łóżek, na których leżało z górą trzystu poważnie osłabionych pacjentów. Wielu próbowało uciekać, chwając się na nogach albo opierając o ściany. Niektórym pielęgniarkom udało się wyprowadzić swych podopiecznych do korytarzy. Orgathe parł naprzód, jaskinię wypełnił chaos przerażonych ludzi i uderzających gwałtownie macek. Gdy tylko któraś z nich chwyciła uciekiniera, ciało zamieniało się w lód i pękało, uwalniając ducha, który opadał na kolana i czekał na ostateczny cios.

Erentz oraz jej krewni próbowali rozwinąć się w szyk i otoczyć Orgathe. Krok za krokiem przepychali się przez tłum przerażonych ludzi. Koce, plastikowe pojemniki oraz kawałki zamarzniętych ciał sprawiały, że każdy krok był zdradliwy. Manewr oskrzydający nie mógł zakończyć się powodzeniem. Mogli co najwyżej liczyć na to, że zablokują korytarze, uniemożliwiając

Orgathe ucieczkę.

Gdy już zamknęli pięć z siedmiu możliwych wyjść, otworzyli ogień. Salę wypełnił oślepiający blask, pochłaniany przez mglistą postać Orgathe. Skulony trwożnie Tolton uznał to za sygnał do ataku. Odepchnął na bok dwóch słabowitych staruszków i uniósł wyrzutnię. Widok paniki i zniszczeń wstrząsnął nim tak głęboko, że właściwie nie próbował celować. Nacisnął spust i przyglądał się z odrętwieniem, jak pociski zapalające trafiają w mroczne cielsko przeciwnika.

Miotacze ognia zawyły ochryple, zwiększając jeszcze chaos. Nad głowami przerażonego tłumu pojawiło się osiem strug żółtego płomienia, które trafiły w Orgathe. Bestia miotała się jak szalona. Straszliwa pożoga otaczała ją ze wszystkich stron. Płyn, z którego składała się istota, zawrzał gwałtownie. Jaskinię wypełniły obłoki dławiącej mgły.

Tolton zatkał usta dłonią. Oczy szczypały go boleśnie. Zimniejszy niż lód opar osadzał się na jego skórze i ubraniu śluzową warstwą. Trudno mu było zachować równowagę na nagle śliskiej podłodze. Wszędzie wokół ludzie ślizgali się i przewracali. Nie był w stanie celować, gdyż po każdym wystrzale cofał się gwałtownie pod wpływem odrzutu. Zresztą nie był już pewien, gdzie jest stwór. Przeszywana strugami płomieni mgła jarzyła się fluorescencyjnym blaskiem, całą jaskinię wypełniła jednolita, topazowa poświata.

Nie widząc celu, Tolton przerwał ogień. Wszędzie było pełno ludzi, którzy krzyczeli i płakali, ślizgając się po podłodze. Ich głosy mieszały się z rykiem miotaczy ognia, tworząc totalną kakofonię. Każdy strzał mógł przypadkowo kogoś trafić. Tolton padł na czworaki, szukając ściany jaskini i drogi wyjścia.

Erentz i jej towarzysze nie przestawali strzelać. Komórki czuciowe dawały osobowości jedynie niewyraźny obraz jaskini, wystarczało to jednak, by ich informować o przybliżonym położeniu Orgathe. Erentz przesuwiała się nieustannie, omiatając płomieniem boki stworzenia. Mgła gęstniała, wokół tłoczyli się uciekający ludzie, a cel zmniejszał się z każdą chwilą, nie było więc łatwo weń trafić. Niemniej atak przynosił rezultaty. Ta świadomość była najważniejsza, pozwalała jej zapomnieć, co może przypadkowo pochłonąć płomień.

Po chwili Dariat zobaczył, że ogołocony duch Orgathe uciekł do wnętrza habitatu. Podzielił się tą wiadomością z krewnymi i osobowością, przekazując im widok zmykającego widma. Miotacze ognia umilkły.

Gdy ohydna, lepka mgła wreszcie opadła, osadzając się na ludziach i na polipie, okazało się, że podłogę zaścielają liczne ciała. Ci, którzy nie byli zbyt poważnie poparzeni i których nie dosięgły siekące gwałtownie macki, poruszali się bezgłośnie pod warstwą śluzowego błota. Blisko jedna trzecia postaci była nieruchoma. Nie sposób było określić, czy są zbyt poważnie ranni, czy po prostu wycieńczeni. Brudny płyn przesłaniał wszystkie szczegóły.

Tolton patrzył z osłupieniem na duchy, które wyłaniały się z podłogi niczym człekokształtne grzyby, ciągnąc za sobą elastyczne płachty płynu. Zbierały go, podobnie jak Dariat, by osiągnąć materialną postać.

Erentz i jej ekipa szli przez to wszystko, nie widząc śmierci ani cierpienia. Pozdrawiali się nawzajem radosnymi okrzykami, zmierzając ku wejściu do jednego z bocznych korytarzy. Był wśród nich doktor Patan, który otarł z twarzy lepki płyn i sprawdził wyrzutnię, uśmiechając się równie radośnie jak pozostali.

Tolton odprowadził wzrokiem oddalającą się korytarzem grupę. Jej członkowie sprawiali wrażenie całkowicie niewrażliwych na otaczające ich cierpienie. Osobowość poinformowała ich, że w pobliskiej jaskini sieje spustoszenie kolejny gość. Pragnęli wznowić walkę. Nasunęła mu się myśl, że w tym kontinuum nie tylko entropia jest potężniejsza. Bezduszość również dawała się tu silniej

odczuć.

W końcu ruszył się z miejsca, choć nie był pewien, co robić dalej. Podszedł do niego Dariat. Rozejrzeli się po pełnej trupów, rannych oraz wycieńczonych duchów jaskini, a potem poszli pomagać cierpiącym.

\*

Maska bez trudu zeszła z twarzy Jacka McGoverna. Mężczyzna zamrugał powiekami, oślepiony łagodnym blaskiem wpadającym przez okno. Uwolniona od pakietu skóra wydawała się odrętwiała i znieczulona zarazem. Pragnął dotknąć jej dłońmi, przesunąć palcami po policzkach i szczęce, żeby się przekonać, co mu zrobili. Nadal jednak był związany.

- Nieźle - stwierdziła Courtney i klepnęła z sympatią Gretę po ramieniu. Kobieta wzdrygnęła się gwałtownie. Mięśnie jej szyi i ramion skurczyły się w kaskadowej reakcji.

- Nawet kolor oczu się zgadza.

- Pokaż mu - rozkazał Quinn.

Courtney pochyliła się z chichotem, podsuwając Jackowi lusterko. Wytrzeszczył oczy na widok swego odbicia. To było ostatnie, czego by się spodziewał. Dali mu twarz Quinna. Zmarszczył brwi w pytającym wyrazie.

- Przekonasz się - rzucił Quinn. - Przygotujcie go.

Jeden gest i z nóg Jacka spadły okowy. Zdjęcie taśmy nastęrczyło więcej trudności. Nie był w stanie utrzymać się na nogach. Courtney i Billy-Joe musieli wlec go między sobą. Pierwszym przystankiem była łazienka dla personelu. Wepchnęli go do kabiny prysznicowej i odkręcili wodę na maksa. Od zimnego płynu dopadły go mdłości. Z jego spodni wypływały ciemne plamy. Ani razu nie pozwolili mu skorzystać z toalety.

- Ściągaj łachy - rozkazał Quinn. Rzucił na splekaną posadzkę tubę mydła w żelu. - Wymyj się dokładnie. Ten smród by cię zdradził.

Otoczyli go kręgiem, przyglądając się, jak powoli rozpina koszulę i spodnie. Czucie i zdolność ruchu powoli wracały do kończyn. Bardzo trudno mu było utrzymać w rękach tubę. Stanie również było bardzo bolesne. Gdy prostował kolana, bał się, że ścięgna mu się zerwą. Quinn jednak rozkazał mu wstać, a on nie śmiał się sprzeciwić.

Quinn strzelił palcami i Jack nagle zrobił się suchy. Courtney wręczyła mu czarny strój o kroju identycznym jak szata Quinna. Miał obszerne ramiona i kaptur, ale był zwyczajnym ubraniem, nie fragmentem pustki, jaki przylegał do mrocznego mesjasza.

Courtney i Billy-Joe przyjrzeni się Jackowi i Quinnowi ustawionym obok siebie. Wzrostem różnili się najwyżej o trzy centymetry, a szata maskowała niewielką różnicę wagi.

- Boży Brat na pewno rży ze śmiechu - stwierdził Billy-Joe. - Kurwa, wyglądacie jak bliźniacy.

- Ujdzie - zdecydował Quinn. - Mamy nowe informacje dotyczące jej położenia?

- A gdzie tam. - Billy-Joe nagle spoważniał. - Ci goście z siedziby sekty w Lambeth przysięgają, że nic nie wiedzą. To dla nich kurewski zaszczyt, że inny wielki magus raczył odwiedzić arkologię, zwłaszcza teraz. Wszyscy powtarzają, że nadeszła Jego godzina. Ale ona cały czas siedzi w wieży i nigdzie się stamtąd nie rusza. Nie chce z nikim się spotkać, nawet z londyńskim wielkim magusem. Wszyscy też mówią, że jest cholernie upierdliwa. Kto inny to mógłby być?

- Dobrze się spisałeś, Billy-Joe - pochwalił go Quinn. - Nie zapomnę o tym. On również nie. Kiedy sprowadzę noc na tę arkologię, oddam ci całą agencję modelek. Będziesz mógł skompletować sobie harem z najatrakcyjniejszych laleczek.

- Tak jest! - Billy-Joe uniósł pięść w triumfalnym geście. - Bogate zdziury, Quinn. Chcę dostać



bogate zdziury ubrane w najlepsze jedwabie i tak dalej. Dla nadzianych gości zawsze wkładają piękne ciuszki, a na takich jak ja nawet nie spojrzą. Pokażę im, co to znaczy pierdolić się z prawdziwym facetem.

Quinn ryknął śmiechem.

- Kurwa, ty się nigdy nie zmienisz. - Spojrzał jeszcze raz na Jacka i skinął głową z zadowoleniem. Podobieństwo było niesamowite. Powinno wystarczyć.

- Zrób to - rozkazał Courtney. Dziewczyna zdjęła Jackowi kaptur i przycisnęła mu do szyi medyczny rozpylacz. - To cię uspokoi - oznajmił Quinn. - Do tej pory wszystko idzie świetnie i nie chciałbym, żebyś teraz coś schrzanił. - Narkotyk wypełnił uszy Jacka ciepłym szumem. Strach przed tym, co mu zrobią, ulotnił się bez śladu. Stanie bez ruchu i podziwianie błyszczących kropelek formujących się na wylocie prysznicza wydało mu się nagle fascynującą rozrywką.

- Chodź tu - rozkazał.

Jack pomyślał, że głos zabrzmiał bardzo donośnie, nie miał jednak nic innego do roboty, ruszył więc w stronę czekającego nań mężczyzny. Nagle zrobiło mu się straszliwie zimno, jakby przez szatę przeniknął zimowy wiatr. Pokój zaczął się zmieniać, jego blade kolory zniknęły. Ściany i podłoga stały się zwykłymi płaszczyznami gęstego cienia. Billy-Joe, Courtney i Greta przerodzili się w pozbawione twarzy posągi lśniące opalizującym blaskiem. Pojawili się inni ludzie. Widział wyraźnie wszystkie szczegóły ich sylwetek: rysy twarzy, ubrania w dziwnie staroświeckich stylach, włosy. Byli jednak bezbarwni, niemal przezroczyści, a ich smutne oczy wypełniał ból.

- Nie zwracaj na nich uwagi - odezwał się Quinn. - To banda głabów.

W przeciwieństwie do tamtych promieniował życiem i energią.

- Tak.

Quinn obrzucił go dociekliwym spojrzeniem, po czym wzruszył ramionami.

- Dobra, tak naprawdę wcale ze sobą nie rozmawiamy. W końcu tutaj nie jesteś naprawdę żywy.

Jack zastanowił się nad tymi słowami. Jego myśli nie były już takie ospałe.

- Nie rozumiem.

Uświadomił sobie, że nie słyszy bicia własnego serca. Jego usta nie poruszyły się, gdy wypowiadał te słowa.

- Cholera. - Irytacja Quinna miała postać fali ciepła bijącej od jego lśniącego ciała. - Hipnogen też tu nie działa. Powiniennem być to przewidzieć. Dobra, powiem ci prosto. Zrób, co ci każę, albo sprawię ci ból. A w tym królestwie ból może być naprawdę wielki. Jasne? - Zaczęli się przemieszczać. Jack nie wiedział, jak to się dzieje. Jego nogi się nie ruszały. Ściana zbliżyła się do niego, a kiedy przez nią przechodził, poczuł nieprzyjemny świąd, uniemożliwiający mu normalne myślenie. - Będzie gorzej - zapowiedział Quinn. - Przechodzenie przez grube warstwy materii jest bolesne. Nie zwracaj na to uwagi. Podziwiał spokojnie widoki.

Zaczęli przyspieszać.

\*

Banneth znudziła się już akolitami. Nawet oglądanie, jak pierdola się niczym króliki, stawało się z czasem nużące. Wszystko to było straszliwie zwyczajne. Ciągłe myślała o udoskonaleniach i modyfikacjach, jakie mogłaby wprowadzić do ich ciał, żeby uczynić seks zdecydowanie bardziej interesującym. Z pewnością istniały atrybuty, których z chęcią przydałaby chłopakowi, by stał się bardziej bezlitosny zarówno w łóżku, jak i w życiu. W końcu to pierwsze było areną szkoleniową dla drugiego. Po długim namyśle doszła do wniosku, że dziewczynom zapewne pomogłaby bardziej kocia natura.

To jednak nie miało już znaczenia. Podobnie jak reszta mieszkańców planety uległa fatalizmowi. Od chwili odwołania pociągów próżniowych w każdej arkologii wzrosła absencja w pracy oraz drobna przestępczość. Władze z początku się niepokoiły, potem jednak doszły do wniosku, że te zjawiska nie muszą zapowiadać triumfu opętanych. Obywatele źle przyjmowali napływające wiadomości. Apatia spowiła wszystkich niedostrzegalnym całunem.

Banneth włożyła szatę i opuściła główną sypialnię mieszkania, nawet nie spoglądając na kłębowisko ciał na materacu za jej plecami, mimo że dobiegła stamtąd nowa fala jęków. Podeszła do baru i naląła sobie sporą porcję whisky Crown. Banneth siedziała beczynnym w apartamencie już od czterech dni i w butelce zostało tylko kilka centymetrów płynu.

Usiadła na jednym z okropnych, obitych skórą foteli i połączyła się datawizyjnie z procesorem kierującym funkcjami pokoju. Kotary z frędzlami zasunęły się, zasłaniając rozciągający się za szklaną ścianą widok na arkologię nocą. Holograficzny ekran nad kominkiem rozbłysnął kolorami, przekazując program informacyjny z miejscowej stacji.

W Nowym Jorku dwie kolejne kopuły uległy opętaniem. Reporterzy przekazywali obraz z megawieży. Budynki pod geodezyjnym kryształowym dachem spowijała blada, czerwona poświata. Policja w Paryżu twierdziła, że udało się zatrzymać dziewiętnastu kolejnych opętanych i zamknąć ich w kapsułach zerowych. Pokazano wywiady z ich oszołomionymi ofiarami. Jedna z nich zapewniała, że opętał ją Napoleon, inna zaś zapewniała, że gościła duszę Ewy Peron. W Bombaju wydano krótkie, oficjalne oświadczenie, stwierdzające, że udało się zapanować nad miejscowymi zaburzeniami.

Stacja kilkakrotnie przełączała się na poranne przemówienie prezydenta, który zapewniał, że nie zaobserwowano nowych przypadków opętania. Oznajmił też, że decyzja o odwołaniu pociągów próżniowych była w pełni usprawiedliwiona. Lokalne siły policyjne zamknęły opętanych w arkologiach w tych kilku godnych pożałowania przypadkach, gdy udało im się zdobyć tam przyczółki. Wezwał wszystkich do modlitwy za Nowy Jork.

Banneth pociągnęła kolejny łyk whisky, radując się rzadko przez nią odczuwanym wrażeniem wywołanym przez przesączający się przez synapsy alkohol.

- Żadnej wzmianki o Londynie.
- Żadnej - potwierdził pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Nawet nie musiałem niczego utajniać. Wykazał się wyjątkową powściągliwością.
- O ile nadal tu przebywa.
- Przebywa.
- Odwołałeś pociągi diabelnie szybko.
- To nie byłem ja.
- Naprawdę? - Banneth ożywiła się wyraźnie. Wszelkie informacje o B7, jakie udało się jej zdobyć, zawsze budziły jej fascynację. - A kto to zrobił?

W więzi afinicznej rozbłysła ulotna irytacja.

- Jedna z moich koleżanek zgłupiała i wpadła w panikę. Niestety, nie wszyscy z nas całkowicie skupili się na problemie.
- Ilu was jest?
- Nie. Trudno się uwolnić od starych nawyków, a w moim przypadku nawyk zachowania tajemnicy jest bardzo stary. Powinnaś to zrozumieć. W końcu psychologia behawioralna jest twoją obsesją.
- Daj spokój. Możesz zaspokoić moją ciekawość. Nie mogę nawet pierdnąć bez twojego pozwolenia. A wkrótce zamienię się w parę.
- Mam pogłaskać wierną służącą po główce?

- Nazwij to jak chcesz.
- Proszę bardzo. Pewnie rzeczywiście jestem ci winny wdzięczność. Spisałaś się znakomicie. Ujawnię ci pewną informację o sobie, pod warunkiem że nie będziesz mi więcej zawracać głowy.
- Umowa stoi.
- Ten nawyk kształtował się przez sześć stuleci.
- O cholera! Masz sześćset lat?
- Dokładnie sześćset pięćdziesiąt dwa.
- Kim, kurwa, jesteś?
- Pamiętaj o naszej umowie.
- Jesteś ksenobiontem, tak?

Więź afiniczną przekazała cichy chichot.

- Zapewniam, że jestem stuprocentowym człowiekiem. A teraz dość już pytań.
- Sześćset lat - mruknęła zdumiona Banneth. To było zdumiewające. O ile to była prawda. Jej rozmówca nie miał jednak powodu kłamać.

- Zamykasz się w kapsule zerowej, spędzasz tam pięćdziesiąt lat i co stulecie wychodzisz na parę lat na zewnątrz. Słyszałam o ludziach, którzy tak robią.

- Ojej, jestem rozczarowany. Chyba umysł ci się zmącił od wyżłopanej whisky. Nie jestem aż tak banalny. Kapsuła zerowa, też coś.

- A więc co?
- Domyśl się sama. Powinnaś być mi wdzięczna. Dałem ci coś, co zajmie ci umysł przez ostatnie dni. Zredagowałaś już i skatalogowałaś swoje archiwum. Potrzebujesz nowego wyzwania.

- Co się stanie z moimi notatkami. Opublikujesz je?

- Ach, słodka próżność. Doprowadziła już do upadku pyszałków większych od ciebie.

- Opublikujesz je? - Powtórzyła z nutą irytacji.

- Staną się znakomitym źródłem informacji dla mojej grupy.

- Dla twojej grupy? A po co wam... - Holograficzny obraz zakołysał się nagle. Przekazywano właśnie relację z Edmonton, reporter krążył po elektrowni, którą naprawiano po sabotażu. -

Widziałeś to?

- Jednostka sztucznej inteligencji melduje, że w elektronicznych obwodach apartamentu doszło do mikrofluktuacji. On tu jest.

Podniecenie pełnomocnika na Europę Zachodnią przeniosło się przez więź afiniczną, uderzając w mózg Banneth z siłą ładunku elektrycznego.

- Cholera! - Banneth przełknęła resztę whisky jednym haustem. "Nic na to nie poradzę". Ta myśl powtarzała się w jej mózgu raz po raz. Teraz, gdy chwila nadeszła, zawładnęła nią gorycz. Wstała z wysiłkiem. Quinn nie ujrzy jej jako pokonanej. Zrozumie też, że odegrała główną rolę w przechytrzeniu go. Zapaliła datawizyjnie wszystkie światła i zatoczyła krąg, sprawdzając całe mieszkanie. Wilgoć przesłaniała jej oczy. Holoekran znowu się zakołysał, dźwięk stał się urywany. -

Gdzie jesteś, Quinn? - Wycedziła z szyderyczym uśmiechem na twarzy.

Wyglądało to jak kiepska projekcja AV, która włączyła się nagle. W drzwiach sypialni zmaterializował się mroczny cień, przesłaniając niczego nieświadomych akolitów. Z początku był półprzezroczysty, ale szybko zgęstniał. Światła na suficie zamigotały, a holograficzny obraz implodował w tęczy brudnych kolorów. Neuronowy nanosystem Banneth przestał działać.

Quinn Dexter stał w drzwiach, odziany w czarną jak heban szatę. Patrzył prosto na Banneth. Był w pełni materialny.

- Mam cię, skurwysynu!

Triumfalny krzyk nadzorcy poniósł się echem w czaszce Banneth. Przez całą sekundę patrzyła na swe piękne dzieło, na jego wspaniałą twarz, wspominając gniewną moc ukrytą pod gładką, białą skórą. Quinn spoglądał prosto na nią. Ale jego oczy były całkowicie nieruchome. Coś tu było nie tak. Nie tak! NIE TAK.

- Zaczekaj! To nie...

Laser rentgenowski na platformie strategiczno-obronnej wystrzelił. Wiązka przebiła kryształową kopułę arkologii i uderzyła w szczyt wieżowca Parsonage Heights, zmieniając jego węglobetnową strukturę oraz niegustowną dekorację w chmurę jonów. Ze szczytów szczytu wzbiło się w górę tornado błękitnego światła, sięgając niemal kopuły.

Quinn opadał powoli przez serce eksplozji, zaintrygowany gwałtowną energią, która wypełniła fizyczny wszechświat. Zastanawiał się, jakiej broni postanowili użyć przeciwko niemu. Tylko platforma strategiczno-obronna mogła doprowadzić do tak gwałtownych zniszczeń.

Obserwował duszę Banneth, uwalniającą się od rozpraszających się atomów ciała. Gdy ujrzała jego prawdziwą postać, zawyła z wściekłości. Zrozpaczona dusza Jacka McGovernna zniknęła już w zaświatach.

- Nieżle - zadrwił Quinn. - Czego spróbujecie następnym razem?

Rozciągnął zmysły, radując się bólem i bezsilną furią Banneth. A gdzieś w oddali... Na granicy świadomości... Słyszał chór jeszcze słabszych głosów. Przesyconych rozpaczą i straszliwym bólem. Bardzo odległych.

To było interesujące.

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[1](#)  
[2](#)  
[3](#)  
[4](#)  
[5](#)  
[6](#)  
[7](#)  
[8](#)  
[9](#)

# Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[1. 2](#)

[2. 37](#)

[3. 83](#)

[4. 139](#)

[5. 183](#)

[6. 220](#)

[7. 258](#)

[8. 294](#)

[9. 337](#)